

James Clavell



SHOGUN

CLAVELL JAMES

Shogun #1

JAMES CLAVELL

część 1

Powieść o Japonii

Przełożyli Małgorzata i Andrzej

Grabowscy

ISKRY

Dwóm kapitanom Królewskiej Marynarki żeglarzom

którzy, jak tego po nich oczekiwano,

bardziej kochali statki niż kobiety.

Prolog

Wichura targnęła nim, ukąsiła głęboko i zrozumiał, że jeżeli w ciągu trzech dni nie dotrą do jakiegoś lądu, zginą. Za dużo ludzi zmarło podczas tej wyprawy, jestem pilotem flotyli umarłych, pomyślał. Z pięciu statków zachował się jeden, z liczącej stu siedmiu marynarzy załogi przeżyło dwudziestu ośmiu, z czego na nogach trzymało się dziesięciu, reszta zaś, w tym dowódca wyprawy, dogorywała. Brakowało jedzenia, prawie nie było wody, a ta, która pozostała, miała słony smak i cuchnęła.

Nazywał się John Blackthorne i przebywał na pokładzie sam, jeśli nie liczyć obserwatora na dziobniku, niemowy Salamona, który kulił się po zawietrznej, przeszukując wzrokiem morze w przodzie.

Statek zakołysał się pod nagłym uderzeniem szkwału i Blackthorne chwycił się poręczy żeglarskiego krzesła, przymocowanego przy kole sterowym na rufówce, trzymając się jej dopóty, dopóki Erasmus nie wyprostował się przy akompaniamencie trzeszczących wręg. Był dwudziestosześcietonowym trzymasztowym okrętem handlowo-wojennym z Rotterdamu, uzbrojonym w dwadzieścia dział, jedynym, który ocalał z pierwszej ekspedycji wysłanej z Niderlandów, aby zniszczyła wrogów w Nowym Świecie. Ekspedycji holenderskich statków, które jako pierwsze naruszyły tajemnicę Cieśniny Magellana. Liczyła ona czterystu dziewięćdziesięciu sześciu ludzi, samych ochotników. I samych Holendrów, z wyjątkiem trzech Anglików – dwóch

pilotów i jednego oficera. Mieli rozkazy: splądrować i puścić z dymem hiszpańskie i portugalskie posiadłości w Nowym Świecie, uzyskać trwałe koncesje handlowe, odkryć i ogłosić własnością Holandii nowe wyspy na Oceanie Spokojnym, mogące posłużyć za bazy, a na koniec w ciągu trzech lat powrócić do kraju.

Od ponad czterech dziesiątków lat protestanckie Niderlandy toczyły wojnę z katolicką Hiszpanią, walcząc o zrzucenie z siebie jarzma znienawidzonych hiszpańskich władców. Niderlandy, zwane niekiedy Holandią, Flandrią bądź Krajami Nizinnymi, prawnie nadal należały do imperium hiszpańskiego. Ich jedyny sprzymierzeniec, Anglia, pierwszy kraj w chrześcijaństwie, który zerwał z dworem papieskim w Rzymie i przed siedemdziesięcioma laty stał się protestancki, od dwudziestu lat również wojowała z Hiszpanią, a od dziesięciu otwarcie sprzyjała Holendrom.

Wiatr jeszcze bardziej przybrał na sile i statek przechylił się. Płynął z prawie nagimi masztami, mając postawione jedynie sztormowe marsie. Ale mimo to burza i prąd morski pchały go w stronę ciemniejącego horyzontu.

I tam również jest burza, orzekł Blackthorne, też są rafy, też są mielizny. I nieznane morze. To dobrze. Całe swoje życie walczyłem z morzem i zawsze wygrywałem. Zawsze wygram.

Jestem pierwszym angielskim pilotem, który przebył Cieśninę Magellana. Tak jest, pierwszym... a także pierwszym, który żeglował przez te azjatyckie wody, jeśli nie liczyć garstki portugalskich wyrodków i hiszpańskich bękartów, przekonanych, że to oni władają światem. Jestem pierwszym Anglikiem na tych morzach...

Tyle pionierskich, osiągnięć. Tak. Okupionych tyłoma zgonami.

Jeszcze raz zbadał wiatr i powąchał go, nic jednak nie wskazywało na bliskość lądu. Przeszukał wzrokiem ocean, ale był jednostajnie szary i wzburzony. Ani śladu wodorostów czy odbarwienia wody wskazującego na piaszczysty szelf. Daleko po prawej burcie dojrzał jeszcze jedną sterczącą z wody rafę, nie powiedziało mu to jednak nic. Podwodne skały wystające z morza zagrażały im już od miesiąca, lądu wszakże nie dostrzegli. Ten ocean jest bezkresny, pomyślał. To dobrze. Do tego cię właśnie szkolono – żebyś żeglował po nieznanym morzach, sporządzał ich mapy i wracał do kraju. Jak daleko stąd do niego w czasie? Rok, jedenaście miesięcy i dwa dni. Sto trzydzieści trzy dni temu ostatnie zejście na ląd, a potem skroś ocean zwany Pacyfikiem, przez który lat temu osiemdziesiąt płynął Magellan.

Blackthorne był wygłodzony, a usta i ciało miał obolałe od skorbutu. Zmusił się, żeby sprawdzić wzrokiem kurs na kompasie i obliczyć w głowie przybliżoną pozycję statku. Wpisanie kursu do ruty – jego podręcznego przewodnika żeglarskiego – zapewniało mu bezpieczeństwo w tym punkciku oceanu. A jeżeli jemu, to tym samym

statkowi, wspólnie zaś mogli odnaleźć Japonię, a może nawet chrześcijańskiego króla Jana Prezbitera i jego Złote Cesarstwo, które według legendy leżało na północ od Kataju, gdziekolwiek ów Kataj się znajdował.

A dzięki przypadającej mi części tych bogactw poześluję znowu, na zachód, do kraju, pomyślał, jako pierwszy angielski pilot, który opłynął świat, i już nigdy go nie opuszczę. Nigdy. Na głowę mojego syna!

Poryw ostrego wiatru przerwał mu rozmyślenia i rozbudził. Zasnąć w tej chwili byłoby głupotą. Nigdy by się nie ocknął z tego snu. Przeciągnął się, żeby rozluźnić zdrętwiałe mięśnie pleców, i ciaśniej owinął się płaszczem. Zobaczył, że żagle są w porządku, a ster zabezpieczony. Obserwator na dziobie czuwał. Blackthorne usadowił się więc cierpliwie w żeglarskim krześle i pomodlił o bliskość lądu.

–Zejdź pod pokłada pilocie. Jeżeli chcesz, to przejmę od ciebie tę wachtę – powiedział trzeci oficer pokładowy, Hendrik Specz, mozolnie wchodząc po schodni. Twarz miał szarą ze zmęczenia, oczy zapuchnięte, a cerę krostowatą i ziemistą. Żeby utrzymać równowagę, oparł się o podstawę kompasu i chwilę wymiotował. – Błogosławiony Panie Jezu, niechaj przeklęty będzie dzień, w którym opuściłem Holandię.

–Gdzie starszy oficer, Hendriku?

–W koi. Nie może wstać ze swojej scheit voll koi. I nie wstanie... nie po tej połowie Sądnego Dnia.

–A dowódca wyprawy?

–Jęczy o jedzenie i wodę. – Hendrik splunął. – Mówię na to, że usmażę mu kapłona i przyniosę go na srebrnej tacy z flaszką brandy do popicia. Scheit-huis! Coot!

–Nie przeklinaj!

–Dobrze, pilocie. Ale to kapryśny kretyn i przez niego zginiemy! – Młody oficer zwymiotował i splunął pstrokatą flegmą. – Błogosławiony Panie Jezu, pomóż mi!

–Zejdź pod pokład. Wróć o świcie.

Hendrik z wielkim trudem usiadł na drugim krześle żeglarskim.

–Na dole cuchnie śmiercią. Jeżeli chcesz, to przejmę od ciebie wachtę. Jaki kurs?

–Tam, dokąd niesie nas wiatr.

–Gdzie to twoje obiecane lądowanie? Gdzie ta Japonia... gdzie ona, pytam?

–Przed nami.

–Stale przed nami! Gottimhimmel, nie mieliśmy rozkazów płynąć w nieznane. Do tej pory powinniśmy już być w domu, bezpieczni, z pełnymi brzuchami, a nie gonić za Bóg wie czym. – Zejdź na dół albo milcz.

Hendrik odwrócił przygnębiony wzrok od wysokiego, brodatego mężczyzny. Chciał zapytać: „Gdzie jesteśmy? Dlaczego nie mogę zobaczyć tej sekretnej ruty?” Wiedział jednak, że pilotowi nie zadaje się podobnych pytań, a zwłaszcza pilotowi takiemu jak ten. Ale i tak chciałbym być równie zdrowy i silny, co przy wyjeździe z Holandii, pomyślał. Bo wtedy bym się nie wahał. Z miejsca palnąłbym cię w te szaroniebieskie oczy, zdjął ci z twarzy ten drażniący półuśmiech i posłał cię do piekła, na które zasługujesz. A wtedy ja zostałem kapitanem i tym statkiem dowodziłby nie cudzoziemiec, ale Holender, i wszystkie twoje tajemnice zachowałibyśmy dla siebie. Bo przecież niedługo zaczniemy z wami, Anglikami, wojnę. Pragniemy tego samego: panowania na morzach, zawiadywania wszystkimi szlakami handlowymi, podbicia Nowego Świata i zduszenia Hiszpanii.

–Może Japonii wcale nie ma – wymruczał zniechęca. – To Gottbewonden, legenda.

–Jest. Pomiędzy trzydziestym a czterdziestym stopniem szerokości północnej. A teraz przestań gadać albo zejdź pod pokład.

–Pod pokładem jest śmierć, pilocie – mruknął Hendrik, zapatrzył się przed siebie i zamyślił.

Blackthorne poprawił się w krześle, był dziś bardziej obolały. Mam więcej szczęścia od innych, pomyślał, więcej od Hendrika. Nie, nie więcej. Więcej przezorności. Kiedy inni pomimo moich ostrzeżeń niefrasobliwie zjedli swoje owoce, ja swoje zachowałem. Tak więc mój szkorbut jest nadal dość łagodny, oni zaś cierpią na nieustanne krwotoki, trzewia rozrywa im biegunka, oczy mają podrażnione i kaprawe, a zęby ruszają im się albo już wypadły. Dlaczego ludzie nigdy niczego się nie Uczą?

Wiedział, że wszyscy się go boją, nawet dowódca Wyprawy, i że większość go nienawidzi. Było to wszakże normalne, ponieważ to pilot dowodził na morzu. To on ustalał kurs i kierował statkiem, to on doprowadzał go z portu do portu.

W dzisiejszych czasach każda wyprawa była niebezpieczna, gdyż te nieliczne mapy morskie, które istniały, były tak niedokładne, że nie na wiele się zdały. Nie było też żadnego sposobu na ustalanie długości geograficznej.

–Odkryj, jak ustalić długość geograficzną, a zostaniesz najbogatszym człowiekiem na świecie – rzekł mu kiedyś jego stary nauczyciel Alban Caradoc. – Za rozwiązanie tej zagadki nasza królowa, niech ją Bóg błogosławi, da ci dziesięć tysięcy funtów i książęcy tytuł. Ci portugalscy gównożercy dadzą ci więcej – złoty galeon! A te

hiszpańskie wyrodkie dadzą ci dwadzieścia! Kiedy tracisz z oczu ląd, wtedy już po tobie, chłopcze. – Caradoc urywał i jak zwykle ze smutkiem pokręcił głową. – Już po tobie. Chyba że...

–Chyba że mam rutę! – wykrzyknął ochoczo Blackthorne wiedząc, że dobrze wyuczył się lekcji. Miał wtedy trzynaście lat i już od roku terminował u Albana Caradoca, pilota i skutnika, który zastąpił mu utraconego ojca i który nigdy go nie bił, tylko uczył go oraz innych chłopców budowy okrętów oraz odkrywał przed nimi tajemnice morza.

Ruta była małą książeczką, zawierającą szczegółowe zapiski pilota na temat miejsc, w których był. Odnotowywano w niej magnetyczne kursy kompasowe pomiędzy portami i przylądkami, półwyspami i kanałami, pomiary głębokości, kolor wody, rodzaj dna morskiego, a także opisywano, jak dotrzeć gdzieś i jak stamtąd wrócić. Ile dni płynąć określonym halsem, jakie są wiatry, kiedy i skąd wieją, jakich prądów się spodziewać, i z którego kierunku. Ruta określała porę sztormów i porę sprzyjających wiatrów, gdzie reperować statek i gdzie zaopatrywać się w wodę, gdzie są przyjaciele, a gdzie wrogowie, gdzie mielizny, rafy, pływy, bezpieczne zatoki. Słowem wszystko, co potrzebne jest do udanej podróży.

Anglicy, Holendrzy i Francuzi mieli ruty swoich własnych wód, ale po wodach reszty świata żeglowali wyłącznie kapitanowie z Portugalii i Hiszpanii, kraje te zaś trzymały wszystkie ruty w tajemnicy. Ruty te ujawniały morskie szlaki do Nowego Świata i tajemnice Cieśniny Magellana oraz Przylądka Dobrej Nadziei – obu tras odkrytych przez Portugalczyków – dlatego też oni i Hiszpanie strzegli sekretów morskich tras do Azji niczym skarbów narodowych, ich holenderscy i angielscy wrogowie zaś polowali na nie z równą zaciekleścią.

Ale ruta była tylko tyle warta co pilot, który ją sporządził, skryba, który ją ręcznie skopiował, jeden z bardzo nielicznych drukarzy, który ją wydrukował, i uczony, który ją przełożył. Dlatego też ruta mogła zawierać błędy. Nawet umyślne. Pilot nigdy niczego nie wiedział na pewno, dopóki sam nie znalazł się w określonym miejscu. Przynajmniej raz.

Na morzu był on dowódcą, jedynym przewodnikiem i ostateczną instancją dla statku i załogi. Sam jeden dowodził z rufówki.

To wino, które uderza do głowy, orzekł w duchu Blackthorne. Raz go człowiek skosztuje, nigdy nie zapomni, zawsze będzie go poszukiwał i zawsze będzie mu ono niezbędne. To jedna z tych rzeczy, które utrzymują cię przy życiu w warunkach, w których inni giną.

Wstał i wypróżnił pęcherz do splywnika. W klepsydrze przy kompasie przesypał się piasek, odwrócił więc ją i zadzwonił w okrętowy dzwon.

–Nie zaśniesz, Hendrik? – spytał.

–Nie. Myślę, że nie.

–Przyślę kogoś, żeby zmienił obserwatora na dziobie. Dopilnuj, żeby stał na wietrze, a nie po zawietrznej. Dzięki temu zachowa czujność i nie zaśnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien ustawić statek pod wiatr i dryfować przez noc, postanowił jednak, że tego nie zrobi, zszedł po zejściówce i otworzył drzwi forkasztelu. Zejściówka prowadziła do pomieszczenia dla załogi. W kabinie tej, mającej szerokość statku, było miejsce na koje i hamaki dla stu dwudziestu marynarzy. Pomimo nieustannego smrodu, bijącego z zęz w dole, odczuł przyjemność, gdy spowiło go panujące tu ciepło. Nikt z około dwudziestu ludzi nie ruszył się z koi.

–Na górę, Maetsukker – powiedział w języku holenderskim, wspólnym dla Krajów Nizinnych, którym władał tak samo dobrze, jak portugalskim, hiszpańskim i łaciną.

–Ja ledwo żyję – odparł niski, drobny mężczyzna o ostrych rysach, wciskając się głębiej w koję. – Jestem chory. Popatrz, przez skorbut straciłem wszystkie zęby. Chryste, dopomóż nam, wszyscy zginiemy! Gdyby nie ty, pilocie, to w tej chwili wszyscy bylibyśmy już w domu, bezpieczni! Jestem kupcem. Nie jestem marynarzem. Nie należę do załogi... Weź kogoś innego. Tam jest Johann...

Krzyknął, bo Blackthorne szarpnięciem wyciągnął go z koi i przycisnął do drzwi. Na jego ustach pojawiły się krwawe cętki i osłupiał. Brutalny kopniak w bok wyrwał go z odrętwienia.

–Zabieraj się na górę i pozostań tam, aż umrzesz albo zobaczysz ląd!

Maetsukker otworzył drzwi i umknął zmaltretowany. Blackthorne spojrział na pozostałych. Wpatrywali się w niego.

–Jak się czujesz, Johann? – spytał.

–Nie najgorzej, pilocie. Może wyżyję.

Czterdziestotrzyletni Johann Vinck, starszy bosman, dowódca kanonierów, był najstarszy na pokładzie. Bezwłosy i bezzębny miał cerę barwy starego dębu i silny był też jak dąb. Sześć lat temu odbył z Blackthorne'em, nieudany rejs w poszukiwaniu Szlaku Północnego, znali więc nawzajem swoją wartość.

–W twoim Wieku mężczyźni na ogół już nie żyją, a więc wyprzedziłeś nas wszystkich – powiedział Blackthorne, który miał trzydzieści sześć lat.

Vinck uśmiechnął się niewesoło.

–To zasługa brandy, pilocie, zasługa brandy, chędożenia i świątobliwego życia, jakie wiodłem.

Nikt się nie roześmiał. Ktoś wskazał na koję.

–Pilocie – powiedział – bosman nie żyje.

–Więc zabierzcie zwłoki na górę! Obmyjcie go i zamknijcie mu oczy! Ty, ty i ty!

Tym razem wyznaczeni szybko wyszli z koi i razem, to niosąc, to ciągnąc, zabrali trupa z kabiny.

–Obejmiesz poranną wachtę, Vinck. A ty, Ginsel, będziesz obserwował z dziobu.

–Tak jest.

Blackthorne powrócił na pokład.

Zobaczył, że Hendrik nadal czuwa i że statek płynie jak trzeba. Salamon, obserwator zluzowany z posterunku, wyminął go potykając się, ledwie żywy, z oczami zapuchniętymi od ostrego wiatru. Blackthorne podszedł do drugich drzwi i zszedł pod pokład. Korytarz prowadził do wielkiej kabiny na rufie, gdzie mieściła się kwatery dowódcy wyprawy oraz magazyn. Na prawo znajdowała się jego własna kabina, a na lewo druga, należąca zwykle do trzech oficerów pokładowych., W tej chwili dzielili ją naczelnny kupiec Baccus van Nekk, trzeci oficer Hendrik i młodzik Croocq. Wszyscy byli bardzo chorzy.

Blackthorne wszedł do głównej kabiny. Na koi leżał na wpół przytomny dowódca wyprawy, gubernator Paulus Spillbergen. Był niskim, rumianym mężczyzną, normalnie pokaźnej tuszy, lecz w tej chwili bardzo wychudł, a skóra zwisała mu w luźnych fałdach z wydatnego brzucha. Blackthorne wyjął z ukrytej szuflady flaszkę z wodą i pomógł mu się napić.

–Dziękuję – rzekł słabym głosem Spillbergen.– Gdzie jest ziemia... gdzie ziemia?

–Przed nami – odparł Blackthorne, nie wierząc już w to dłużej, a potem odstawił flaszkę, zamknął uszy na jęki gubernatora i na nowo czując do niego nienawiść wyszedł.

Prawie dokładnie przed rokiem dotarli do Tierra del Fuego, kiedy wiatry sprzyjały im w podjęciu próby pokonania Cieśniny Magellana. Ale dowódca wyprawy zarządził lądowanie, żeby poszukać złota i skarbów.

–Chryste Panie, niechże pan się przyjrzy temu brzegowi, gubernatorze. Na tym pustkowiu nie ma żadnych skarbów!

–Według legendy jest tu wiele złota, a ponadto możemy ogłosić ten ląd własnością naszych prześwieatnych Niderlandów.

–Przez pięćdziesiąt lat pełno tu było Hiszpanów.

–Być może... być może jednak nie aż tak daleko na południu, naczelny pilocie.

–Tak daleko na południu pory roku są odwrócone. Maj, czerwiec, lipiec i sierpień to tutaj środek zimy. Według tej ruty arcyważne jest przepłynięcie przez tę cieśninę w odpowiednim czasie... dlatego że za kilka tygodni zmienia się wiatry i będziemy zmuszeni tu pozostać, zimować długie miesiące.

–Za ile tygodni, pilocie?

–Według tej ruty, za osiem. Ale pory roku nie zawsze zaczynają się w tym samym czasie...

–W takim razie poszukamy przez dwa tygodnie. Zostanie nam mnóstwo czasu, a potem, jeśli będzie trzeba, udamy się na północ i złupimy jeszcze kilka miast, co, panowie?

–Powinniśmy to zrobić już, gubernatorze. Na Pacyfiku Hiszpanie mają bardzo mało okrętów. A na tych wodach jest ich pełno i szukają nas. Moim zdaniem powinniśmy wyruszyć natychmiast.

Ale dowódca wyprawy nie zgodził się z nim i poddał sprawę pod głosowanie innych kapitanów nie będących pilotami – Anglika i trzech Holendrów – po czym przystąpił do bezowocnych wypadów na brzeg.

Tego roku wiatry odmieniły się wcześniej i musieli zimować w tamtych stronach, gdyż gubernator bał się popłynąć na północ ze względu na hiszpańskie flotylle. Mogli ruszyć dalej dopiero po czterech miesiącach. Przez ten czas z głodu, chłodu i wskutek czerwoności zmarło stu pięćdziesięciu sześciu ludzi z ich flotylli, wszyscy zaś jedli cielęce skóry, którymi pokryte były liny. Straszliwe sztormy w cieśninie rozproszyły ich statki. Jedynie Erasmus dotarł na wyznaczone miejsce spotkania u brzegów Chile. Czekali miesiąc na resztę, aż wreszcie, ponieważ zbliżyli się do nich Hiszpanie, podnieśli żagle i odpłynęli w nieznaną. Tajna ruta kończyła się na Chile.

Blackthorne wrócił korytarzem do swojej kabiny, otworzył zamek w drzwiach i zamknął je za sobą. Idąc przez małą, schludną kabinę do biurka, żeby przy nim usiąść, musiał się pochylić, bo jej belkowany strop był nisko. Otworzył kluczem szufladę i ostrożnie rozwinął ostatnie jabłko, które tak pieczołowicie przechowywał

przez całą drogę z wyspy Santa Maria przy wybrzeżu Chile. Było obtłuczone i małe, a jego zgniły kawałek pokrywała pleśń. Blackthorne odciął ćwiartkę. W środku było kilka robaków. Zjadł je wszystkie, kierując się starą żeglarską legendą, że robaki w jabłku są tak samo dobre na skorbut jak sam owoc i że wtarte w dziąsła zapobiegają wypadaniu zębów. Ponieważ zęby bolały go, a dziąsła miał podrażnione i wrażliwe, zjadł jabłko powoli, a potem napił się wody z bukłaka po winie. Była słonawa. Na koniec zawiązał resztę jabłka i zamknął je w szufladzie, na klucz.

Z cieni rzucanych przez wiszącą nad jego głową oliwną lampę wypadł szczur. Belki zatrzeszczały przyjemnie dla ucha. Na podłodze roiły się karaluchy.

Jestem zmęczony, pomyślał. Jestem taki zmęczony.

Zerknął na koję. Długi, wąski, słomiany siennik zapraszał.

Czuł się taki zmęczony.

Prześpij się godzinę, podszeptęła mu diabelska część jego natury. Choćby dziesięć minut, a będziesz rześki przez tydzień. Od kilku dni spałeś raptem parę godzin, i to przeważnie na pokładzie, w zimnie. Musisz się przespać. Przespać. Oni polegają na tobie...

–Nie, pośpię jutro – rzekł na głos, a potem zmusił się do otworzenia kluczem marynarskiego kufra i wyjęcia ruty. Zobaczył z zadowoleniem, że ta druga, portugalska ruta jest bezpieczna i nietknięta. Wziął czyste gęsie pióro i zaczął pisać:

21 kwietnia 1600 roku. Godzina piąta. Pomroka. 133 dzień żeglugi od wyspy Santa Maria koło Chile, 32 stopień szerokości geograficznej północnej. Morze wciąż wzburzone, wiatr silny, statek otaklowany jak poprzednio. Kolor morza jednostajnie szarzielony, głębia. Nadal płyniemy pełnym wiatrem, kurs 270 stopni, skręcając na północ-północny zachód i posuwając się szybko, około dwóch lig na godzinę, każda po trzy mile.

Pół godziny temu w odległości półtorej mili na północny wschód-północ dostrześliśmy duże rafy w kształcie trójkąta.

W nocy zmarło na skorbut trzech członków załogi: żaglomistrz Joris, kanonier Reiss, drugi oficer de Haan. Powierzywszy ich dusze Bogu (dowódca wyprawy wciąż choruje) ciała ich wrzuciłem do morza nie zaszyte w płótno, gdyż nie miał kto go zszyć. Dzisiaj umarł bosman Rijckloff.

Nie mogę zmierzyć kąta nachylenia słońca, znowu z powodu chmur. Ale oceniam, że utrzymujemy się na kursie i że niedługo powinniśmy wylądować w Japonii...

–Niedługo, ale za ile? – zadał pytanie wiszącej nad jego głową żeglarskiej lampie,

która huśtała się wraz z kolebiącym się wzdłużnie statkiem. Jak sporządzić mapę? Musi być jakiś sposób, powtórzył, sobie w duchu po raz tysięczny. Jak ustalić długość geograficzną? Musi być jakaś metoda. Jak przechowywać warzywa, żeby pozostały świeże? Czym właściwie jest skorbut?...

–Powiadają, że to fluksja biorąca się z morza, chłopcze – powiedział mu kiedyś Alban Caradoc. Był brzuchatym, serdecznym mężczyzną ze zmierzwioną siwą brodą., Ale czy można gotować te warzywa i przechowywać zupę z nich?

–Choruje się od niej. Nikt jeszcze nie znalazł sposobu na jej przechowywanie.

–Podobno wkrótce wypływa Francis Drake.

–Nic z tego. Nie popłyniesz, chłopcze.

–Mam prawie czternaście lat. Pozwoliłeś nająć się do niego Timowi i Wattowi, a on potrzebuje chłopaków uczących się na pilotów.

–Oni mają po szesnaście lat, a ty zaledwie trzynaście.

–Mówią, że spróbuje dopłynąć do Cieśniny Magellana, a potem w górę wybrzeża do niezbadanych ziem – do Kalifornii – żeby znaleźć Cieśninę Aniańską, która łączy Ocean Spokojny z Atlantykiem. A z Kalifornii aż do Nowej Fundlandii, stamtąd zaś wreszcie Północnym Szlakiem...

–Domniemanym Północnym Szlakiem, chłopcze. Jeszcze nikt nie udowodnił prawdziwości tej legendy.

–On udowodni. Jest admirałem, a my będziemy pierwszym angielskim statkiem, który przepłynie przez Cieśninę Magellana, pierwszym na Oceanie Spokojnym, pierwszym... taka okazja już mi się nie powtórzy.

–A właśnie, że powtórzy, on zaś nigdy nie odkryje sekretnego szlaku Magellana, chyba że ukradnie rutę albo schwyta portugalskiego pilota, żeby go przezeń przeprowadził. Ile razy mam ci powtarzać, że pilot musi być cierpliwy. Ucz się cierpliwości, chłopcze. Masz mnó...

–Proszę cię!

–Nie.

–Dlaczego?

–Ponieważ nie będzie go dwa, trzy lata, może więcej. Słabi i młodzi dostają najgorsze jedzenie i najmniej wody. A z pięciu jednostek, które z nim wypłyną,

powróci tylko jego statek. Za nic nie przeżyłbyś tej wyprawy, chłopcze.

–Wobec tego zaciągnę się, ale tylko na jego statek. Jestem silny. Weźmie mnie!

–Posłuchaj, chłopcze, byłem z Drake'em na jego pięćdziesięcotonowej Judycie pod Sari Juan de Ulua, kiedy wraz z płynącym na Minion admirałem Hawkinsem przebiliśmy sobie drogę z zatoki przez tych hiszpańskich gównojadów. Sprzedawaliśmy na hiszpańskich Karaibach niewolników z Gwinei, ale bez pozwolenia Hiszpanów, którzy zwiedli Hawkinsa i schwytali naszą flotyllę w pułapkę. Mieli trzynaście wielkich okrętów, a my sześć. Zatopiliśmy trzy ich jednostki, oni zaś nasze: Jaskółkę, Anioła, Karawelę i Jezusa z Lubeki. O tak, Drake'a wy dostał nas z tej pułapki i doprowadził do kraju. Z jedenastoma ludźmi na pokładzie, żeby o tym opowiedzieli. Hawkinsowi zostało piętnastu – z czterystu ośmiu królewskich marynarzy! Drake'a jest bezwzględny. Zabiega o chwałę i pieniądze, ale jedynie dla siebie, a dowodem na to jest zbyt wielu marynarzy, którzy stracili życie.

–Ale ja nie zginę. Będę jednym z...

Nie. Twój termin trwa dwanaście lat. Masz jeszcze dziesięć lat przed sobą, a potem będziesz wolny. Ale do tego czasu, do roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego, naliczysz się, jak budować statki i dowodzić nimi... będziesz się słuchał Albana Caradoca, mistrza skutniczego, pilota i członka Trinity House, albo nigdy nie otrzymasz uprawnień. A bez tych uprawnień nigdy nie popilotujesz statku na angielskich wodach, nigdy i na żadnych wodach nie będziesz dowodził z mostka żadnego angielskiego okrętu, bo takie prawo ustanowił zacy król Henryś, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. Takie było prawo tej wielkiej dziewczki Marii Tudor, oby jej dusza smażyła się w piekle, i takie też jest prawo naszej królowej, oby władała wiecznie, prawo angielskie, najlepsze prawo morskie na świecie.

Blackthorne pamiętał, jak bardzo nienawidził za to swojego mistrza, jak nienawidził Trinity House, monopolistycznej korporacji założonej w 1514 roku przez Henryka VIII w celu szkolenia i przyznawania uprawnień wszystkim angielskim pilotom i kapitanom, jak nienawidził swojej dwunastoletniej ograniczonej wolności, bez której, o czym dobrze wiedział, nie zdobyłby jedynej rzeczy na świecie, której pragnął. Pamiętał również, jak jeszcze mocniej nienawidził Albana Caradoca, kiedy Drake'a, który zniknął przed trzema laty, cudownym zrzędzeniem losu powrócił na swoim stu tonowym słupie Złota Łania do Anglii, pierwszym angielskim statku, który opłynął świat, i przywiózł najbogatsze łupy, jakie kiedykolwiek przywieziono do kraju, niewiarygodne półtora miliona szterlingów w złocie, srebrze, przyprawach i naczyniach.

Jego nienawiści nie zmniejszyło to, że przepadły cztery z pięciu statków Drake'a, że życie straciło ośmiu na dziesięciu marynarzy, że zginęli Tim i Watt, że na Ocean Spokojny ekspedycję przeprowadził przez Cieśninę Magellana nie Drake'a, ale pojmany

portugalski pilot. To, że admirał powiesił jednego oficera, wyklął kapelana Fletchera i nie znalazł Północnego Szlaku, nie przeszkodziło powszechnemu uwielbieniu dla niego w kraju. Królowa wzięła połowę z przywiezionego przezeń skarbu i nadała Drake'owi szlachectwo. Szlachta i kupcy, którzy wyłożyli pieniądze na tę ekspedycję, otrzymali w zamian trzysta procent zysku i podjęli się sfinansowania następnej korsarskiej wyprawy. A wszyscy żeglarze błagali, żeby z nim popłynąć, bo rzeczywiście zdobył łupy, wrócił do ojczyzny, a garstce szczęśliwców, którzy przeżyli wyprawę, ich udział w zdobyczy zapewnił bogactwo do końca życia.

Ja na pewno bym przeżył, rzekł sobie w duchu Blackthorne. Na pewno. A wówczas mój udział w tych bogactwach wystarczyłby mi, żebym...

–Rotz vooruiiiiiit! Przed nami rafy!

Z początku nie tyle usłyszał ten okrzyk, co go wyczuł. A potem ów przeciągły wrzask doleciał go ponownie, przemieszany z zawodzeniem wiatru.

Wyskoczył z kajuty i z walącym sercem i wyschniętym gardłem wbiegł po zejściówce na pokład. Zapadły już ciemności i lało, co go na moment ucieszyło, gdyż uświadomił sobie, że brezentowe zbiorniki na deszczówkę, przygotowane tyle tygodni temu, wkrótce przepelni woda. Nastawił usta w stronę prawie pionowo siekącego deszczu i popróbował jego świeżego smaku, a potem odwrócił się plecami do nawałnicy.

Zobaczył, że Hendrik zamarł z przerażenia. Obserwator z przodu, Maetsukker, przycupnięty na dziobie, wykrzykiwał coś bez związku i pokazywał przed siebie. A Wtedy także Blackthorne spojrział w tym kierunku.

Zaledwie dwieście jardów przed statkiem była rafa – wielkie czarne kleszcze skalne, w które tłukło zachłanne morze. Po prawej i lewej burcie ciągnęły się poprzerywane gdzieś smugi piany. Wichura porywała wielkie pokosy wody i ciskała je w nocny mrok. Na skrajniku dziobowym z trzaskiem pękł fał, a drzewce najwyższego bramsla uniósł wiatr. Maszt zadygotał w posadach, ale wytrzymał, morze zaś nieubłaganie popychało statek ku zagładzie.

–Wszyscy na pokład! – krzyknął Blackthorne i gwałtownie zadzwonił w okrętowy dzwon.

Jego dźwięk wyrwał Hendrika z odrętwienia.

–Jesteśmy zgubieni! – zawołał po holendersku. – O Jezusie, dopomóż nam!

–Sprowadź na pokład załogę, draniu! Zasnąłeś! Obaj zasnęliście!

Blackthorne popchnął go w stronę zejściówki, chwycił koło sterowe, zsunął z jego

drażków zabezpieczającą linę, zmobilizował się i mocno przekręcił je w lewo.

Wyteżył wszystkie siły, kiedy ster zderzył się z prądem. Cały statek zadrżał. A potem jego dziób zaczął się przesuwac coraz prędezej, bo nadleciał wiatr i znaleźli się bokiem do niego i fal. Sztormowe topsle wydęły się, dzielnie starając się wytrzymać ciężar statku, a wszystkie liny zajęczały pod naporem. Następna falą spiętrzyła się nad nimi i kiedy płynąc równolegle do rafy przedzierali się przez nią, Blackthorne zobaczył ogromny wał wodny. Ostrzegł krzykiem ludzi nadchodzących od forkasztelu i uchwycił się czegoś, żeby nie zginąć.

Fala zwała się na statek, przechylając go niebezpiecznie, i Blackthorne pomyślał, że ich zmiażdży, ale Erasmus otrząsnął się z niej jak mokry terier i wydostał z morskiej doliny. Woda spłynęła kaskadami przez szpigaty, pilot zaś łapczywie nabrał w płuca powietrza. Ujrzał, że leżące na pokładzie zwłoki bosmana, przygotowane na jutrzejszy pogrzeb, zniknęły i że kolejna nadpływająca fala jest jeszcze silniejsza. Pochwyciła Hendrika i uniosła go, krztuszącego się i miotającego, zmywając go za burtę do morza. Jeszcze jedna fala przewaliła się z rykiem przez pokład. Blackthorne uczeplił się koła sterowego i woda przeszła po nim. Hendrik był już pięćdziesiąt jardów od lewej burty. Morze wessało go i zaniósło z powrotem pod statek, gdzie gigantyczny grzywacz wyniósł go wysoko ponad Erasmusa, przez chwilę trzymał krzyczącego w górze, potem zaś poniósł go, rozmiażdżył na ostrej krawędzi skały i pochłonał.

Statek wpłynął w falę, starając się przez nią przedostać. Poszedł następny fał, a talia zakręciła się gwałtownie i splątała z takielunkiem.

Vinck z drugim marynarzem wspięli się na rufówkę i podparli koło sterowe, żeby pomóc Blackthorne'owi. Blackthorne widział po prawej burcie rafę wystającą z morza, przybliżała się. Z przodu i po lewej burcie, sterczało więcej skał, ale tu i ówdzie dostrzegał między nimi przerwy.

–Wejdźcie na górę, Vinck. Postawcie foki! – krzyknał.

Stopa po stopie Vinck i dwaj marynarze wspięli się mozolnie po wantach takielunku przy fokmaszcie, podczas gdy na dole inni napierali na liny, żeby im to ułatwić.

–Uważaj z przodu! – krzyknał Blackthorne.

Przez pokład przeszła spieniona fala, zabrała z sobą następnego marynarza i przyniosła z powrotem zwłoki bosmana. Dziób Erasmusa wyskoczył z morza, a opadając trzasnął w wodę, która znowu zalała pokład. Vinck i pozostali rozwiązali liny przytrzymujące żagiel. Rozwinął się on nagle i strzelił jak z armaty, kiedy wypełnił go wiatr, statek zaś się przechylił.

Vinck z pomocnikami zawiśli w górze, huśtając się nad falami, a potem zaczęli

schodzić.

–Rafa... rafa z przodu! – krzyknął Vinck.

Blackthorne z towarzyszem przekręcili koło sterowe w prawo. Statek zawahał się, a potem obrócił się i głośno zaprotestował, kiedy znajdujące się tuż pod powierzchnią morza skały napotkały jego burtę. Było to jednak uderzenie z ukosa i skalny ząb odłupał się. Belki burtowe wytrzymały, a ludzie na pokładzie znów odetchnęli z ulgą.

W rafie przed statkiem Blackthorne spostrzegł przerwę i skierował go w tamtą stronę. Wiatr wzmógł się, a morze rozsrożyło jeszcze bardziej. Statek odchylił się w porywie wichru, wyrwijąc koło sterowe z rąk marynarza i Blackthorne'a. Uchwycili je razem i przywrócili Erasmusowi poprzedni kurs, ale kołysał się i kręcił jak pijany. Pokład zalała fala i wdarła się do forkasztelu, zatapiając cały pokład, podobnie jak ten górny, i roztrzaskując jednego z marynarzy o grodzień.

–Obsadzić pompy! – krzyknął Blackthorne i zobaczył, że dwóch ludzi schodzi pod pokład.

Deszcz siekł go po twarzy, więc z bólu mrużył oczy. Lampa przy kompasie i latarnia kotwiczna na rufie dawno zgasły. Następny poryw wichury jeszcze bardziej odsunął statek z kursu, a towarzysz Blackthorne'a poślizgnął się i koło ponownie wyrwało im się z rąk. Marynarz krzyknął, bo kołek od koła sterowego uderzył go w skroń, i upadł zdany na łaskę morza. Blackthorne podniósł go z pokładu i trzymał, dopóki nie przewalił się nad nimi spieniony grzywacz. A wtedy spostrzegł, że marynarz nie żyje, więc upuścił go bezwładnie na krzesło żeglarskie, a potem kolejna fala usunęła trupa z rufówki.

Przerwą w skałach znajdowała się trzy rumby, w prawo po nawietrznej i chociaż Blackthorne dokładał wszelkich starań, to nie był w stanie przybliżyć się do niej. Rozpaczliwie wypatrywał innego kanału w rafie, wiedział jednak, że go nie ma, więc żeby chwilowo zwiększyć prędkość, pozwolił Erasmusowi odpaść od wiatru, po czym ustawił go na powrót dziobem do wichury. Nadrobił ułamek dystansu i trzymał kurs.

Statek zajęczał, zapiszczał drżąc z udręki, bo jego stępka zaszurała o ostre jak brzytwa grzbiety skalne, i wszyscy na pokładzie wyobrazili sobie, jak puszczają jego dębowe wręgi i do kadłuba wlewa się woda. Pozbawiony wszelkiej kontroli, zatoczył się w przód.

Blackthorne krzyknął na pomoc, ale nikt go nie usłyszał, trzymając i więc koło, sam się zmagając z morzem. Raz rzuciło go w bok, ale sięgnął po omacku i znów je pochwycił, zastanawiając się mętnie, jak długo wytrzyma ster...

W przesmyku pomiędzy rafami powstał wodny młyn, otoczony skałami i napędzany przez nawałnicę.

Wielkie fale rozbijały się o rafę i wirując cofały się do walki z intruzem, by na koniec ścierać się ze sobą i atakować ze wszystkich stron. Wir ów wessał osaczony zewsząd i bezbronny statek.

–A bodaj cię diabli, burzo! – ryknął rozwścieczony Blackthorne. – Zabierz precz swoje przeklęte łapy od mojego statku!

Koło sterowe znów się obróciło i odrzuciło go od siebie, a pokład zachwiał się przerażająco. Dziobnik uderzył w skałę i odpadł, a wraz z nim część takielunku, statek natomiast wyprostował się. Fokmaszt wygiął się w łuk i złamał. Marynarze rzucili się do takielunku z siekierami, żeby go odciąć i zostawić na łaskę żywiołu, Erasmus zaś zapadł się w dolinę pomiędzy rozhukanymi falami. Marynarze odrąbali maszt, który poszedł za burtę, a wraz z nim przepadł jeden z załogi, który uwiązał w splątanej masie lin i drzewc. Schwytyany w pułapkę krzyknął, ale koledzy nie mogli mu pomóc i tylko patrzyli, jak wyłania się wraz z masztem przy burcie, znika i nie pojawia się więcej.

Vinck i ci, którzy ocaleli, obejrzeni się w stronę rufówki i ujrzeli Blackthorne'a, który zmagał się z burzą jak szalony. Przeżegnali się i zdwoili modlitwy, niektórzy płacząc ze strachu i walcząc o życie.

Przesmyk poszerzył się na moment i żaglowiec zwolnił, ale przerwa w rafie przed nim znowu się zwężała, a skały zdawały się rosnąć, górując nad nimi. Od jednej z burt odbił się prąd, uniósł statek, ponownie obrócił go bokiem i rzucił ku zagładzie.

Blackthorne przestał wyklinać sztorm i pomimo bólu stężonych mięśni stoczył bój z kołem sterowym, żeby przesunąć je w lewo i utrzymać w tej pozycji. Ale statek nic sobie nie robił ze steru, podobnie morze.

–Obróć się, piekielniku! – wykapał Blackthorne, szybko słabnąc. – Pomóżcie mi!

Morski prąd przyśpieszył, a jemu o mało co nie pękło serce, ale nadal wytężał siły, zmagając się z napierającym morzem. Starał się widzieć Wyraźnie, ale w oczach pociemniało mu, a barwy zmały się i przygasły; Żaglowiec znajdował się w przesmyku i stał w miejscu, lecz właśnie wówczas jego stępka zaszurała o mulistą płyciznę. Od wstrząsu dziób statku obrócił się. Ster zderzył się z falą. A potem morze i wiatr pospołu przyszyły mu z pomocą, ustawiając go rufą do wiatru, i Erasmus przedostał się przez przesmyk na bezpieczne wody. Do zatoki za rafami.

KSIĘGA PIERWSZA

1.

Blackthorne ocknął się nagle. Przez chwilę myślał, że śni, bo znajdował się na łądzie, w niewiarygodnym pomieszczeniu. Małym, bardzo czystym i wyłożonym miękkimi matami. Leżał na grubej kołdrze, a drugą podobną był przykryty. Strop w izbie był z wypolerowanego drewna cedrowego, a ściany z połączonych w kwadrat cedrowych listew i matowego papieru, który przyjemnie tłumił światło. Przy pościeleniu stała czerwona taca z małymi miseczkami. W jednej były zimne gotowane warzywa, które pochłonął łapczywie, ledwie zwracając uwagę na ich pikantny smak. W drugiej zupa rybna, którą wypił do dna. W trzeciej zaś gęsta papka z pszenicy albo jęczmienia, z którą uporał się prędko, jedząc palcami. Woda w tykwie o dziwnym kształcie była ciepła i miała osobliwy smak – nieco gorzki, ale apetyczny.

I wtedy zauważył w niszy pokoju krzyż.

Pomyślał w osłupieniu, że to dom Hiszpanów albo Portugalczyków. Czy to Japonia? A może Katakaj?

W tym momencie odsunięto część ściany. Obok wejścia klęczała krągłolica, mocno zbudowana kobieta w średnim wieku, która ukloniła się mu i uśmiechnęła. Cerę miała złocistą, oczy czarne i wąskie, a długie czarne włosy starannie spiętrzone na głowie. Ubrana była w szarą jedwabną szatę, krótkie białe skarpetki na grubej podeszwie, a w talii opasana szeroką fioletową szarfą.

–Goshujinsama, gokibun wa ikaga desu ka? – spytała. A ponieważ Blackthorne wpatrywał się w nią nic nie pojmując, zaczęła chwilę, po czym powtórzyła pytanie.

–Czy to Japonia? – zapytał. – Japonia? A może Katakaj?

Spojrzała na niego zdezorientowana i dodała coś niezrozumiałego.

Zdał sobie sprawę, że jest nagi. Jego ubrania nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Gestami dał jej do zrozumienia, że chce się ubrać, a potem wskazał na miseczki z jedzeniem i pojęła, że jest jeszcze głodny.

Uśmiechnęła się, ukloniła i zasunęła za sobą drzwi. Położył się wyczerpany, a niewygodna, dokuczliwie nieruchoma podłoga przyprawiła go o zawrót głowy. Z trudem spróbował się skupić. Pamiętał, że rzucili kotwicę. On i Vinck. Byli w zatoce, statek wpakował się dziobem na rafę i utknął. Słyszeli fale rozbijające się o brzeg, ale nic im nie groziło. Na brzegu paliły się światła, potem zaś znalazł się w kabinie i w ciemnościach. Nic sobie nie przypominał. Później w ciemnościach tych pojawiły się

światła i dziwne głosy. Rozmawiał po angielsku, a także po portugalsku. Portugalski znał trochę któryś z miejscowych. A może to był Portugalczyk? Nie, chyba tubylec. Czy spytałem go, gdzie jesteśmy? – zastanawiał się. – Nie pamiętam. Potem znowu znaleźliśmy się na rafie, nadpłynęła kolejna wielka fala, mnie zmyło do morza i zacząłem tonąć – w lodowatej wodzie – nie, morze było ciepłe i miękkie jak jedwabne łożo grube na sążeń. Na pewno przewieźli mnie na brzeg i umieścili tutaj.

–To z pewnością dzięki temu posłaniu było mi tak ciepło i miękko – powiedział na głos. – Pierwszy raz spałem w jedwabiach.

Oslabiony organizm zmógł go i zasnął, nie śniąc o niczym.

Kiedy się obudził, znowu stało przy nim jedzenie w glinianych miskach, a ubranie leżało porządnie ułożone w stos. Uprano je, wyprasowano i zacerowano drobnym, wybornym ścięciem.

Ale jego nóż przepadł, tak samo klucze.

Muszę odzyskać nóż, i to szybko, pomyślał. Albo pistolet.

Powędrował wzrokiem w stronę krzyża. Pomimo strachu poczuł podniecenie. Całe życie słyszał legendy, które krążyły wśród pilotów i żeglarzy, o niesłychanym bogactwie okrytego tajemnicą portugalskiego imperium na Wschodzie, o tym, że Portugalczycy nawrócili pogan na katolicyzm i podporządkowali ich sobie, złoto jest tam tanie jak surówka żelaza, a szmaragdów, rubinów, diamentów i szafirów tak pełno, jak kamyków na brzegu morza.

Jeżeli wieść o katolicyzmie jest prawdziwa, rzekł w duchu, to być może i cała reszta. O bogactwach. Tak. Ale im prędyj zdobędę broń, wrócę na pokład Erasmusa i stanę przy dziale, tym lepiej.

Zjadł, co było, ubrał się i chwiejnie wstał. Jak zawsze, na łądzie nie czuł się w swoim żywiole. Podszedł do drzwi, lekko się zatoczył i chcąc złapać równowagę wyciągnął rękę, ale lekkie kwadraty z listewek nie wytrzymały jego ciężaru i pękły, a papier się rozerwał. Blackthorne stanął prosto. Przestraszona Japonka na korytarzu podniosła na niego wzrok.

–Przepraszam – powiedział, dziwnie zażenowany swoją niezręcznością. Chciał nie chciał, sprofanował jednak nieskazitelność tego, pomieszczenia. – Gdzie są moje buty?

Kobieta wpatrzyła się w niego nie pojmując. Gestami cierpliwie powtórzył jej więc pytanie o buty, na co spieszenie poszła korytarzem, uklękła, otworzyła jeszcze jedne drzwi z listewek i przyzwała go ręką. Z niedaleka docierały ludzkie głosy i ciurczenie wody. Wszedł przez otwarte drzwi i znalazł się w kolejnej izbie, niemal tak samo

pustej jak tamta. Wychodziła ona na werandę ze stopniami prowadzącymi do małego ogródka otoczonego wysokim murem. Przy głównym wejściu stały dwie staruszki, troje dzieci w czerwonych szatach i starzec z grabiami w ręku, z pewnością ogrodnik. Wszyscy natychmiast pokłonili mu się z powagą i nie podnieśli głów.

Blackthorne ze zdziwieniem spostrzegł, że starzec jest właściwie nagi i że nosi jedynie wąską opaskę na biodrach, ledwo zakrywającą mu przyrodzenie.

–Dzień dobry – odezwał się do nich, nie wiedząc, co powiedzieć.

Stali nieporuszeni, wciąż zgięci w ukłonie.

Głęboko zakłopotany, wpatrywał się w nich, aż wreszcie niezgrabnie się im odkłonił. Wyprostowali się i uśmiechnęli do niego. Starzec ukłonił mu się jeszcze raz i powrócił do zajęć w ogrodzie. Dzieci przez chwilę gapily się na obcego, a potem ze śmiechem umknęły. Stare kobiety zniknęły w głębi domu. Czuł jednak na sobie ich wzrok.

U podnóża schodków spostrzegł swoje buty. Nim zdążył je wziąć, towarzysząca mu kobieta w średnim wieku uklękła i pomogła mu je włożyć.

–Dziękuję – powiedział. Po krótkim zastanowieniu wskazał na, siebie. – Blackthorne – rzekł powoli. – Blackthorne. – Wskazał na, nią. – Jak się nazywasz?

Wpatrzyła się w niego nie pojmując.

–Blackthorne – powtórzył, wyraźnie wskazując na siebie, a potem, na nią. – Jak się nazywasz?

Kobieta zmarszczyła czoło i nagle, zrozumiałwszy, o co pyta, wskazała na siebie i powiedziała:

–Onna! Onna!

–Onna! – powtórzył, równie dumny z siebie, jak ona z siebie.– Onna.

–Onna! – powtórzyła i uszczęśliwiona skinęła głową.

Takiego ogrodu jeszcze nie widział – był tam mały wodospad, strumień, mostek i wypielęgnowane kamienne ścieżki, większe kamienie, kwiaty i krzewy. Tak tu czysto, pomyślał. Tak schludnie.

–Niewiarygodne – powiedział.

–Nirrygone? – spytała usłużnie.

–Nic, nic – odparł, a potem, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, odprawił ją gestem.

Posłusznie i grzecznie ukłoniła się mu i odeszła.

Blackthorne usiadł w ciepłym słońcu, opierając się o słup. Bardzo osłabiony, przyglądał się starcowi, który pielł już dokładnie wypielony ogród. Ciekawe, gdzie są pozostali, pomyślał. Czy dowódca wyprawy jeszcze żyje? Ile dni przespałem? Pamiętam, że budziłem się, jadłem, znowu zasypiałem, a jedzenie było tak niedobre, jak moje sny.

Obok niego przebiegły goniące się dzieci i zawstydził się za nie z powodu nagości ogrodnika, bo kiedy starzec pochylał się bądź skłaniał, widać mu było wszystko, dzieci jednak, aż trudno uwierzyć, nie zwracały na to uwagi. Ponad murem, dostrzegł inne budynki, kryte dachówką lub strzechą, a w oddali wysokie góry. Niebo zamiętał rześki wiatr i popędzał obłoki. Pszczoły uganiały się za pożywieniem, był piękny wiosenny dzień. Jego ciało domagało się więcej snu, ale zmusił się do wyprostowania i ruszył do ogrodowej furtki. Ogrodnik uśmiechnął się do niego, ukłonił, podbiegł, żeby otworzyć drzwiczki, ukłonił się ponownie i zamknął je za nim.

Wioska leżała nad półkolistą zatoką, która wychodziła na wschód, a do podnóży opadającej ku brzegowi góry przytulało się może ze dwieście Dómostw, jakich dotąd nie oglądał na oczy. Nie przypominał sobie podobnych. Powyżej nich, na tarasach, ciągnęły się pola i gruntowe drogi, które biegły na północ i południe. Poniżej brukowane nabrzeże i kamienna rampa wychodząca z nabrzeża w morze. Dobra, bezpieczna przystań i kamienna molo, kobiety i mężczyźni czyszczący ryby i splatający sieci, a po północnej stronie zatoki ktoś budował niezwykle zaprojektowaną łódź. Na wschodzie i na południu daleko w morzu widać było wyspy. Właśnie tam musiały być rafy, na które wpadli, albo za horyzontem.

W zatoce pełno było innych łodzi o niezwykłych kształtach, przeważnie rybackich. Część z dużymi pojedynczymi żaglami, kilka wiosłowych. Wioślarze stali i pchali wiosła pod prąd, zamiast siedzieć i ciągnąć, tak jak zrobiłby to on. Kilka z tych łodzi wypływało w morze, inne kierowały się do drewnianej przystani, Erasmus zaś stał solidnie na uwięzi pięćdziesiąt jardów od brzegu na głębokiej wodzie, przymocowany trzema kotwicznymi linami rufowymi. Blackthorne zadał sobie pytanie, kto to zrobił. Przy burtach statku stały łodzie, a na pokładzie widać było tubylców. Ale nikogo z załogi. Gdzież się oni podziali?

Rozejrzał się po wiosce i spostrzegł, że przypatruje mu się wielu ludzi. Kiedy zobaczyli, że ich zauważył, ukłonili mu się, na co, wciąż czując się nieswojo, odkłonił im się. Powrócili do pogodnej krzątaniny, idąc w obie strony, przystając, targując się, wymieniając ukłony i najwyraźniej nie przejmując się nim, niczym liczne wielobarwne motyle. Ale kiedy szedł w stronę wybrzeża, czuł na sobie badawcze spojrzenia

rzucane z wszystkich okien i drzwi.

Co jest w nich takiego dziwnego? – zastanawiał się. Chodzi nie tylko, o ich stroje i zachowanie... Oni nie są uzbrojeni, skonstatował wreszcie., Nie noszą pałaszy ani pistoletów! Dlaczego?.

Wzdłuż uliczek ciągnęły się otwarte sklepiki wypełnione najrozmaitszymi towarami i belami materiałów. Ich podłogi znajdowały się powyżej poziomu ulicy, a sprzedawcy i kupujący klękali albo kucali na czystych deskach. Spostrzegł, że większość nosi drewniaki albo proste plecione sandały, a niektórzy jednakowe białe skarpetki na grubej podeszwie, z przedziałem na duży i sąsiedni palec stopy dla przytrzymania rzemyków. Drewniaki i sandały zostawiali przed sklepami na ziemi. Ci na bosaka oczyszczali stopy i wsuwali je w przygotowane czyste sandały sklepowe. Jeżeli się nad tym zastanowić, to bardzo rozsądny zwyczaj, pomyślał z uznaniem Blackthorne.

Wtem dojrzał idącego w jego stronę mężczyznę z tonsurą i od jąder po żołądek przeszła go paskudna trwoga. Zakonnik był na pewno Portugalczykiem albo Hiszpanem i choć jego falująca sutanna była pomarańczowa, to u pasa miał bez wątpienia krzyż i różaniec, a na twarzy wypisaną zimną wrogość. Jego sutanna nosiła ślady trudów podróży, europejskie buty zaś były ubłocone. Patrzył na Erasmusa. Blackthorne nie miał wątpliwości, iż tamten zorientował się, że to statek angielski albo holenderski, nowy na większości mórz, smuklejszy i szybszy handlowy okręt bojowy, odwzorowany i ulepszony przez angielskich korsarzy, którzy dokonali takich spustoszeń na Karaibach. Z zakonnikiem szło dziesięciu tubylców, czarnowłosych i czarnookich, z których jeden był ubrany tak samo jak mnich, tyle że nosił rzemienne trepy. Inni mieli na sobie różnokolorowe suknie bądź luźne spodnie albo tylko przepaski na biodrach. Żaden jednak nie był uzbrojony.

Blackthorne chciał zawczasu uciec, ale zdawał sobie sprawę, że nie starczy mu na to sił, a poza tym nie miał gdzie się ukryć. Przy swoim wzroście i kolorze oczu był w tym świecie obcy. Oparł się plecami o ścianę.

–Ktoś ty? – spytał po portugalsku zakonnik. Był grubym, ciemnowłosym, zażywnym dwudziestokilkuletnim mężczyzną z długą brodą.

–A ty? – odparł Blackthorne, mierząc go wzrokiem.

–To jest niderlandzki statek korsarski. A ty jesteś holenderskim heretykiem. Jesteście piratami. Oby Bóg się nad wami zlitował!

–Nie jesteśmy piratami. Jesteśmy spokojnymi kupcami, ale nie wobec naszych nieprzyjaciół. Jestem pilotem tego statku. A ty?

–Jestem ojciec Sebastio. Jak tu dopłynęliście? W jaki sposób?

–Wyrzuciło nas na brzeg: Co to za kraj? Japonia?

–Tak. Japonia. Nippon – odparł zniecierpliwionym tonem zakonnik.

Odwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy, starszego od pozostałych, drobnego, szczupłego, z silnymi rękami o zgrubiałych dłoniach, z ogoloną na szczycie głową i włosami ściągniętymi w cienki ogonek, siwy jak jego brwi. Przemówił do niego urywanymi zdaniami po japońsku, wskazując na Blackthorne’a. Japończycy przerazili się, a jeden zabobonnie przeżegnał.

–Holendrzy to heretycy, buntownicy i piraci. Jak się nazywasz?

–Czy to osada portugalska?

Zaczerwienione oczy księdza spoglądały srogo.

–Naczelnik wioski mówi, że zawiadomił już o was władze. Nie, ujdiesz karze za grzechy. Gdzie jest reszta twojej załogi?

–Zniosło nas z kursu. Potrzebujemy żywności, wody i czasu na naprawę statku. A potem odpłyniemy. Możemy zapłacić za każdy...

–Gdzie reszta twojej załogi?

–Nie wiem. Przypuszczam, że na pokładzie.

Zakonnik jeszcze raz spytał naczelnika wioski, który odpowiedział mu i wskazał na drugi koniec osady, szczegółowo coś wyjaśniając. Duchowny odwrócił się ponownie do Blackthorne’a.

–Tutaj przestępców się krzyżuje, pilocie – rzekł. – Umrzecie. Przyjeżdża daimyō z samurajami. Niech Bóg się nad wami zlituje.

–Kim jest daimyō?

–To władca feudalny. Należy do niego cała ta prowincja. Jak tu dopłynęliście?

–A samuraje?

–To wojownicy, żołnierze, członkowie kasty rycerskiej – odparł zakonnik z rosnącą irytacją. – Skąd przy płynęliście i kim jesteście?

–Nie rozpoznaję twojej wymowy – powiedział uszczypliwie Blackthorne. – Jesteś Hiszpanem?

–Portugalczykiem – odparł z gniewem zakonnik, chwytając przynętę. – Mówiłem ci

już, że jestem ojciec Sebastio z Portugalii. Gdzieś nauczył się tak dobrze portugalskiego? Co?

–Ale przecież Portugalia i Hiszpania to w tej chwili jeden kraj – powiedział Blackthorne urągliwie. – Macie tego samego króla.

–Jesteśmy oddzielnym krajem. Jesteśmy dwiema różnymi nacjami. Zawsze tak było. Pływamy pod własną banderą. Nasze zamorskie posiadłości są oddzielne, tak jest, oddzielne. Król Filip przystał na to, kiedy skradł nam kraj. – Ojciec Sebastio z trudem opanował gniew, palce mu drżały. – Zdobył mój kraj siłą oręża dwadzieścia lat temu! Jego żołnierze i ten diabelski pomiot, hiszpański tyran książę Alva, zgnetli naszego prawdziwego króla. Que va! Teraz włada syn Filipa, ale i on nie jest naszym prawdziwym władcą. Wkrótce będziemy mieć z powrotem naszego własnego króla – oświadczył ojciec Sebastio, a potem dodał jadowitym tonem:– Sam wiesz, że to prawda. Co diabeł Alva wyrządził twojemu krajowi, to samo zrobił mojemu.

–Nieprawda. Alva był dla Niderlandów prawdziwym skaraniem boskim, ale ich nie podbił. Nadal są wolne. I zawsze będą wolne. Ale w Portugalii rozbił jedną małą armię i cały kraj mu się poddał. Z braku odwagi. Gdybyście chcieli wyrzucić Hiszpanów, tobyście ich wyrzucili, ale nigdy na to się nie zdobędziecie. Brak wam honoru. Brak cojones[1]. [Nie licząc palenia w imię Boga niewinnych!](#)

–Bodaj cię Bóg smażył w ogniu piekielnym przez wieki! – wybuchnął zakonnik. – Szatan wędruje po świecie, ale będzie wytępiony. Heretycy będą wytępieni. Ty bluźnisz przeciwko Panu Bogu!

Wbrew woli Blackthorne poczuł, jak budzi się w nim bogoboyny strach.

–Książę nie mają posłuchu u Pana Boga ani nie przemawia On przez ich usta. Zrzuciliśmy z siebie wasze nikczemne jarzmo i pozostaniemy wolni!

Zaledwie czterdzieści lat temu Anglią władała Krwawa Maria Tudor, a jej mężem był Hiszpan Filip Drugi, Filip Okrutny. Ta głęboko religijna córka Henryka VIII sprowadziła z powrotem katolickich księży, inkwizytorów, procesy o herezję oraz uznała – wbrew woli większości – ponowne zwierzchnictwo obcego papieża nad krajem. Unieważniła historyczne zmiany w kościele angielskim, wprowadzone przez jej ojca. Władała przez pięć lat, a królestwo rozdarte zostało na kawałki przez nienawiść, strach i rozlew krwi. Jednakże umarła i królową została dwudziestoczteroletnia Elżbieta, Ilekroć Blackthorne myślał o królowej, był pełen podziwu dla niej i odczuwał głęboką synowską miłość. Przez czterdzieści lat wojowała z całym światem. Przechytrzyła i pokonała papieży, Święte Cesarstwo Rzymskie, Francję i Hiszpanię pospołu. Wyklęta, oczerniana, Iżona w obcych krajach, przywiodła Anglię do przystani – bezpiecznej, silnej, niezależnej.

–Jesteśmy wolni – rzekł Blackthorne do zakonnika. – A wy rozbici. Mamy obecnie własne szkoły, własne książki, własne Pismo święte, własny Kościół. A wy, Hiszpanie, jesteście wszyscy jednym i tym samym. Ścierwem! Wy, mnisi, niczym się między sobą nie różnicie.

Jesteście bałwochwalcami!

Zakonnik podniósł krzyż, osłaniając się nim przed Blackthorne’em niczym tarczą.

–O Boże, obroń nas ode złego! Powiadam ci, że nie jestem Hiszpanem! Jestem Portugalczykiem. A poza tym nie jestem mnichem. Jestem bratem z Towarzystwa Jezusowego.

–Aha, a więc jednym z nich. Jezuitą!

–Tak. Niechaj Bóg zlituje się nad twoją duszą!

Ojciec Sebastio powiedział coś krótko po japońsku i jego towarzysze rzucili się na Blackthorne’a. Blackthorne przywarł plecami do ściany i mocno uderzył jednego, ale reszta opadła go i poczuł, że się dusi.

O dziesięć kroków od Blackthorne’a stał młody mężczyzna. Był w bryczesach, drewniakach, lekkim kimonie, a za pasem miał zatknięte dwa miecze w pochwach. Jeden przypominał sztylet. Drugi, oburęczny zabójczy miecz był długi i lekko zakrzywiony. Prawa ręka przybysza spoczywała swobodnie na jego rękoności.

–Nanigoto da? – spytał szorstko, a kiedy nie odpowiedzieli mu natychmiast, powtórzył: – Nanigoto da?!

Japończycy upadli na kolana, skłaniając głowy aż do ziemi. Nie ukląkł tylko ksiądz. Skłonił się i zacinając się począł wyjaśniać, ale mężczyzna przerwał mu z pogardą i wskazał na naczelnika wioski:, – Mura!

Naczelnik Mura, nie unosząc pochylonej głowy, pośpiesznie zaczął tłumaczyć sytuację. Kilka razy wskazał na Blackthorne’a, raz na statek, a dwa razy na jezuitę. Ruch na ulicy całkiem zamarł. Wszyscy w zasięgu wzroku klęczeli w niskim ukłonie. Naczelnik skończył. Uzbrojony mężczyzna wyniośle wypytywał go jeszcze chwilę, otrzymując szybkie i pełne szacunku odpowiedzi. Wreszcie powiedział coś do Mury, z jawną pogardą skinął w stronę księdza, następnie w stronę Blackthorne’a, potem zaś siwowłosa naczelnik wioski wyjaśnił to w prostych słowach jezuitcie, który się zaczerwienił.

Japończyk o przystojnej, lekko ospowatej twarzy, niższy i znacznie młodszy od Anglika, wpatrywał się w cudzoziemca.

–Onushi ittai doko kara kitanoda? Doko no kuni no monoda?

–Kasigi Omi-san pyta: „Skąd przybywasz i jakiej jesteś narodowości?” – przetłumaczył nerwowo zakonnik.

–Czy pan Omi-san to daimyō? – spytał Blackthorne, mimo woli lękając się mieczy Japończyka!

–Nie. Jest samurajem, samurajem zarządzającym tą wsią. Nazywa się Kasigi Orni. Orni to jego imię. Tutaj zawsze najpierw wymieniają swoje nazwiska. „San” znaczy „szanowny” i przez grzeczność dodaje się to słowo do wszystkich imion. Radzę ci nauczyć się grzeczności... i szybko nabrać dobrych manier. – Głos jezuita zaostrzył się. – Nie zwlekaj z odpowiedzią.

–Z Amsterdamu – odpowiedział Blackthorne. – Jestem Anglikiem.

Ojcem Sebastio wyraźnie to wstrząsnęło.

–Jest Anglikiem! Z Anglii – powiedział do samuraja i zaczął mu wyjaśniać, ale Orni przerwał mu niecierpliwie i zasypał go gradem słów.

–Omi-san pyta, czy jesteś przywódcą. Naczelnik wioski twierdzi, że przeżyła jedynie garstka was, heretyków, i że większość choruje. Czy jest wśród nich dowódca wyprawy?

–Ja jestem przywódcą – odparł Blackthorne, mimo że po zejściu na brzeg władza formalnie przeszła w ręce dowódcy wyprawy. – To ja dowodzę – dodał wiedząc, że gubernator Spillbergen nie mógłby dowodzić niczym, tak na brzegu, jak na morzu, nawet gdyby był cały i zdrów.

Samuraj znowu wyrzucił z siebie potok słów.

–Omi-san mówi, że jako przywódcy wolno ci swobodnie poruszać się po wiosce, kiedy tylko zechcesz, aż do przybycia jego pana. Jego pan, daimyō, postanowi o twoim losie. A do tego czasu wolno ci mieszkać w domu naczelnika i zachowasz swobodę ruchów. Ale nie opuścisz wioski. Twoją załogę umieszczono w przeznaczonym dla niej domu i jej członkom nie wolno go opuszczać. Rozumiesz?

–Tak. Gdzie jest moja załoga?

Ojciec Sebastio, wyraźnie skonfundowany decyzją i zniecierpliwieniem Omiego, wskazał wymijająco w stronę grupki domów nie opodal nabrzeża.

–Tam! Zażywaj wolności, piracie. Nie unikniesz kary za zło...

–Wakarimasu ka?! – spytał Omi, zwracając się wprost do Blackthorne’a.

–Pyta, czyś go zrozumiał.

–Jak jest po japońsku „tak”?

–Wakarimasu – powiedział ojciec Sebastio do samuraja.

Omi odprawił go pogardliwym gestem. Wszyscy nisko mu się pokłonili, z wyjątkiem jednego Japończyka, który z rozmysłem stał, nie składając mu ukłonu.»

Morderczy miecz świsnął, zataczając oślepiająco prędki łuk. Japończykowi głowa spadła z ramion, a ziemię obryzgała fontanna krwi. Ciałem zabitego kilkakrotnie targnęły drgawki, po czym znieruchomiało. Zakonnik mimowolnie cofnął się o krok. Nikomu oprócz niego na całej ulicy nie drgnął nawet mięsień. Głowy wszystkich były nieruchome i trzymali je nisko. Blackthorne stał porażony i wstrząśnięty.

Omi niedbale postawił stopę na zwłokach, – Ikinasai! – powiedział, gestem nakazując im, żeby odeszli.

Kłęczący przed nim Japończycy ukłonili się jeszcze raz, do samej ziemi. A potem wstali i spokojnie, biernie odeszli. Ulica zaczęła pustoszeć. Podobnie sklepy.

Ojciec Sebastio spojrział na ciało zabitego. Z ponurą miną zrobił nad nim znak krzyża i powiedział:

–In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. A potem już bez lęku spojrział na samuraja.

–Ikinasai!

Koniuszek lśniącego miecza dotknął zwłok.

Po dłuższej chwili zakonnik odwrócił się i odszedł. Z godnością. Orni przyglądał mu się bacznie, a po chwili spojrział na Blackthorne’a. Blackthorne wycofał się, a kiedy znalazł, się w bezpiecznej odległości, prędko skręcił za róg i zniknął.

Omi zaniósł się gromkim śmiechem. Ulica wyludniła się. Kiedy się wyśmiał do syta, chwycił oburącz miecz i metodycznie zaczął siekać zwłoki na kawałki.

Blackthorne siedział w małej łódce, a jego przewoźnik ochoczo wiosłował w stronę Erasmusa. Ze zdobyciem łodzi nie miał najmniejszych kłopotów – na głównym pokładzie statku widać było mężczyzn. Samych samurajów. Niektórzy nosili stalowe napierśniki, ale większość zwykle kimona, jak nazywali swoje szaty, a ponadto po dwa miecze. Uczesani byli jednakowo: szczyt głowy ogolony, włosy z potylicy i ze

skroni zebrane w kitę, naoliwioną, złożoną wpół na czubku głowy i starannie związaną. Takie fryzury zastrzeżone były wyłącznie dla samurajów i tylko oni mogli nosić dwa miecze – nieodmiennie oburęczny, zabójczy długi oraz krótki, przypominający sztylet – i było to ich obowiązkiem.

Samuraje ustawili się rzędem wzdłuż nadburcia, przyglądając się cudzoziemcowi.

Pełen obaw wspiął się do furty burtowej i wszedł na pokład. Jeden z samurajów, odziany staranniej od innych, podszedł do niego i złożył mu ukłon. Nauka nie poszła w las, dlatego Blackthorne odkłonił mu się równie nisko i wszyscy na pokładzie rozpromienili się w jowialnych uśmiechach. W dalszym ciągu odczuwał zgrozę na wspomnienie zabójstwa na ulicy wioski, ich uśmiechy nie rozproszyły więc jego złych przeczuć. Poszedł do zejściówki i zatrzymał się jak wryty. W poprzek drzwi biegła szeroka wstęga z czerwonego jedwabiu, a przy niej dziwnymi zawijasami wypisano mały znak. Zawahał się, sprawdził drugie drzwi, ale i na nich wisiała taka sama wstęga, a do grodzi przybito taki sam hieroglif.

Wyciągnął rękę, chcąc usunąć jedwab.

–Hotte oke! Żeby nie było żadnych wątpliwości, w czym rzecz, strzegący drzwi samuraj przecząco pokręcił głową. Już się nie uśmiechał.

–Ale to przecież jest mój statek i chcę...

Blackthorne ukrywał swój niepokój, nie odrywając wzroku od mieczy. Muszę się dostać pod pokład, pomyślał. Muszę zabrać ruty, swoją i tę tajną. Chryste Panie, jeżeli je znajdą i przekażą tym zakonnikom albo Japończykom, to koniec. Mając takie dowody, każdy sąd na świecie – poza Anglią i Niderlandami – skazałby nas za piractwo. Moja ruta wymienia miejscowości, daty i ilość zrabowanych łupów, liczbę zabitych podczas trzech lądowań w Ameryce i jednego w hiszpańskiej Afryce, liczbę splądrowanych kościołów oraz spalone miasta i statki. No a ruta portugalska? Dla nas oznacza wyrok śmierci, ponieważ jest kradziona. Wprawdzie ta moja została odkupiona od portugalskiego sprzedawczyka, ale zgodnie z portugalskim prawem cudzoziemiec przyłapany na posiadaniu jakiegokolwiek z ich map, nie wspominając już nawet o takiej, która ujawnia trasę Magellana, zostaje natychmiast zgładzony. A kiedy jeszcze taką mapę znajduje się na pokładzie nieprzyjacielskiego statku, zostaje on spalony, a wszyscy na jego pokładzie bezlitośnie straceni.

–Nan no yoda? – spytał jeden z samurajów.

–Mówisz po portugalsku? – zapytał w tym języku Blackthorne.

Japończyk wzruszył ramionami.

–Wakamarisen – odparł.

Inny Japończyk wystąpił naprzód i z szacunkiem przemówił do dowódcy, na co ten przyzwalająco skinął głową.

–Przyjacier Portugizu – rzekł samuraj po portugalsku z silnym obcym akcentem. Odstłonił górną część kimona i pokazał mały drewniany krzyżyk, który mu wisiał na szyi. – Kreścianin! – Wskazał na siebie i uśmiechnął się. – Kreścianin. – Wskazał na Blackthorne’a. – Kreścianin ka?

Blackthorne po chwili wahania skinął głową.

–Chrześcijanin – odparł. – Portugizu?

–Anglik.

Samuraj i dowódca, potrajkotawszy pomiędzy sobą, wzruszyli ramionami i podnieśli na niego wzrok.

–Portugizu?

Blackthorne pokręcił głową, choć czuł się niesporo, zaprzeczając im w czymkolwiek.

–Moi przyjaciele? Gdzie? – spytał.

Samuraj wskazał na wschodni kraniec wioski.

–Pryciere – powiedział.

–To mój statek. Chcę zejść pod pokład – rzekł Blackthorne, powtarzając to zdanie na różne sposoby i gesty, tak że w końcu zrozumieli go.

–Ah, so desu! Kinjiru – odpowiedzieli z naciskiem, wskazując znak, i uśmiechnęli się promiennie,.

Było oczywiste, że nie pozwolą mu zejść pod pokład. Pomyślał z rozdrażnieniem, że „kinjiru” znaczy na pewno „nie wolno”. Trudno, pał sześć! Nagłym ruchem nacisnął klamkę u drzwi i odrobinę je uchylił.

–Kinjiru!!!

Szarpnięciem odwrócono go twarzą do samurajów. Miecze mieli do połowy wyciągnięte z pochew. Obaj znieruchomieli, czekali, co zrobi. Pozostali na pokładzie przyglądali się temu beznamiętnie...- Blackthorne wiedział, że nie pozostaje mu nie innego, jak wycofać się, wzruszył więc ramionami i odszedł, przy okazji sprawdzając, najlepiej jak się dało, stan takielunku i statku. Porwane żagle były opuszczone i związane. Ale cumy różniły się od tych, które znał, wywnioskował więc, że statek zabezpieczyli Japończycy. Ruszył ku furcie burtowej i zatrzymał się. Spozrzegł

bowiem ich złowrogi wzrok i oblał się zimnym potem myśląc: „Chryste, jak mogą być aż tak głupi!” Ukłonił się uprzejmie i wrogość Japończyków natychmiast zniknęła. Odkłoniłi mu się i znowu zaczęli uśmiechać. Nadal jednak czuł, jak po krzyżu spływa mu pot. Nienawidził wszystkiego, co japońskie, i pragnął znaleźć się znowu wraz ze swą załogą na statku, uzbrojony i na pełnym morzu.

–Jezu Chryste, chyba nie masz racji, pilocie – powiedział Vinck. Jego bezzębny uśmiech był szeroki i sprośny. – Jeśli tylko człowiek przyzwyczai się do tych pomyj, które oni nazywają jedzeniem, to trudno o lepsze miejsce. W życiu. W ciągu trzech dni miałem dwie baby, a one są jak królice. Zrobią wszystko, jeżeli tylko pokażesz im jak.

Racja. Ale bez mięsa i brandy nic nie zdziałasz. A przynajmniej ja. Jestem wyczerpany i stać mnie tylko na raz – rzekł Maetsukker, a jego wąska twarz drgała. – Te żółte psubraty nie pojmują, że potrzebujemy mięsa, piwa, chleba. I brandy albo wina.

–I to właśnie jest najgorsze! Chryste, królestwo za krzynę grogu!

Baccus van Nekk był niepokieszony. Podszedł do Blackthorne’a, stanął przed nim i przyjrzał mu się badawczo. Miał bardzo krótki wzrok, a w czasie burzy stracił okulary. Ale nawet mając je na nosie, stawał jak najbliżej rozmówcy. Był naczelnym kupcem, skarbnikiem i przedstawicielem Spółki Wschodnioindyjskiej, która wyłożyła pieniądze na tę wyprawę.

–Jesteśmy na brzegu, bezpieczni, a ja jeszcze się nie napiłem. Ani kropeleczeni! To straszne. A tobie coś dali, pilocie?

–Nie. – Blackthorne nie lubił, kiedy ktoś stał blisko niego, ale Baccus był jego przyjacielem, w dodatku prawie niewidomym, więc się nie odsunął. – Tylko gorącą wodę z jakimiś ziołami.

–Oni po prostu nie znają grogu. Nic do picia oprócz gorącej wody z ziołami, dobry Boże, miej nas w swojej pieczy! A jeżeli w tym kraju w ogóle nie ma trunków?! – Brwi Baccusa podskoczyły w górę. – Wyświadczeni mi wielką przysługę pilocie. Poproś o jakiś trunek, dobrze?

Blackthorne odnalazł dom, który jego towarzyszom przydzielono na wschodnim krańcu wioski. Strażujący tam samuraj pozwolił mu wejść, ale członkowie jego załogi potwierdzili, że im samym nie wolno przekroczyć bramy ogrodu. Podobnie jak i jego dom, ten również miał wiele izb, lecz był większy i z liczną służbą w różnym wieku i obu płci.

Przeżyło jedenastu uczestników wyprawy. Zmarłych zabrali Japończycy. Obfite porcje świeżych warzyw szybko zaczęły leczyć skorbut i oprócz dwóch wszyscy

prędko wyzdrowieli. Dwaj chorzy mieli w kiszka krew, a ich wnętrzości pełne były wody. Vinck upuścił im krwi, ale to nie pomogło. Spodziewał się, że do wieczora umrą. Dowódca wyprawy leżał w drugiej izbie, nadal w bardzo ciężkim stanie.

–Tak jak mówi Johann, dobrze nam tu, pilocie, z wyjątkiem strawy i braku grogu – rzekł ze śmiechem niski, przysadzisty kucharz okrętowy Sonk. – Z miejscowymi jest pełna zgoda, o ile tylko człowiek nie chodzi po domu w butach. Te małe żółte psubraty wściekają się, jeżeli się ich nie zdejmie.

–Posłuchajcie – rzekł Blackthorne. – Jest tu ksiądz. Jezuita.

–O Chryste!

Kiedy opowiedział im o zakonniku i Odcięciu głowy, przeszła im wszelka ochota do żartów.

–Dlaczego on odciął tamtemu głowę, pilocie?

–Nie wiem.

Musimy wrócić na statek. Jeżeli papiści schwytają nas na brzegu W izbie zapanowała wielka trwoga. Niemowa Salamon wpatrywał się w Blackthorne'a. Poruszał ustami, w kącikach których pojawiły się banieczki śliny.

–Nie, Salamonie, to nie pomyłka – odparł życzliwie Blackthorne na jego nieme pytanie. – Powiedział, że jest jezuitą.

–Chryste, jezuita, dominikanin czy czort wie kto jeszcze to, psiamać, żadna różnica – rzekł Vinck. – Lepiej wróćmy na pokład, pilocie. Zażądasz tego od tamtego samuraja, co?

–Jesteśmy w rękach Boga – powiedział Jan Roper, należąca do poszukiwaczy przygód młody kupiec z wąskimi oczami, wysokim czołem i cienkim nosem. – On nas obroni przed czcicielami Szatana.

Vinck ponownie spojrział na Blackthorne'a.

–A co z Portugalczykami, pilocie? – spytał. – Widziałeś jakichś?

–Nie. W wiosce nie było ich ani śladu.

–Jak tylko się o nas dowiedzą, wkrótce się tu zlecą – orzekł w imieniu wszystkich Maetsukker, na co młody Croocq jęknął.

Tak, a jeżeli jest tu ten zakonnik, to muszą też być inni powiedział Ginsel, oblizując spieczony wargi. – A w takim razie ci przekłęci konkwistadorzy też na pewno są

niedaleko.

–Pewnie – dodał zaniepokojony Vinck. – Oni są jak wszy.

–Jezu Chryste! Papiści! – mruknął któryś. – I konkwistadorzy!

–Ale jesteśmy w Japonii, pilocie? – spytał van Nekk. – Powiedział ci to?

–Tak. A dlaczego pytasz?

Van Nekk przysunął się bliżej i ściszył głos.

–Jeżeli są tu księża, a niektórzy tubylcy są katolikami, to może i ta druga część opowieści jest prawdziwa, ta o bogactwach, o złocie, srebrze i drogich kamieniach. – Zapadła cisza. – Widziałeś jakieś, pilocie?

Jakieś klejnoty u tubylców... albo złoto?

–Nie. Nic. – Blackthorne zastanawiał się chwilę. – Nic takiego sobie nie przypominam. Żadnych naszyjników, pereł ani bransolet. Słuchajcie, muszę wam powiedzieć o jeszcze jednym. Wczoraj popłynąłem na Erasmusa, ale zapieczętowali go.

Opowiedział, co się stało, i ich obawy wzrosły.

–O Jezu, jeżeli nie możemy wrócić na pokład, a na brzegu są księża i papiści... Musimy się stąd wydostać. – Maetsukkerowi zaczął drżeć głos. – Co zrobimy, pilocie? Oni nas spalą! Konkwistadorzy, te psie syny, wpakują swoje rapiery...

–Jesteśmy w rękach Boga! – zawołał z wiarą Jan Roper. – On broni nas przed antychrystem. Przyrzekł to. Nie ma się czego bać.

–Ten samuraj Omi-san warknął na tego zakonnika tak... że, jestem tego pewien, nienawidzi go – powiedział Blackthorne. – To dobrze, prawda? Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego ten zakonnik nie nosił zwykłej sutanny. Dlaczego pomarańczową? Jeszcze takiej nie widziałem.

–Tak, to zastanawiające – przyznał van Nekk.

Blackthorne spojrzał na niego.

–A może ich pozycja tutaj nie jest silna – rzekł. – To by nam ogromnie pomogło.

–Co powinniśmy zrobić, pilocie? – spytał Ginsel.

–Zachować ostrożność i zaczekać na przyjazd ich wodza, tego daimyō. On nas

wypuści. No bo dlaczego nie? Nie wyrządziliśmy im nic złego. Mamy na sprzedaż towary. Nie jesteśmy piratami, nie mamy się czego bać.

–Święte słowa, a nie zapominajcie, że nie wszyscy ci dzikusy są, jak mówi pilot, papistami – rzekł van Nekk, bardziej dla dodania otuchy sobie niż innym. – Tak. To dobrze, że ten samuraj nienawidzi księdza. No i uzbrojeni są tu tylko samuraje. To też plus, prawda? Trzeba tylko uważać na nich i odzyskać naszą broń, w tym cała rzecz. Znajdziemy się na pokładzie, nim się obejrzymy.

–A co, jeżeli ten daimyō jest papistą? – spytał Jan Roper.

Nie otrzymał odpowiedzi.

–Pilocie – odezwał się Ginsel – a ten z mieczem? Po odcięciu temu drugiemu złotemu głowy porąbał go na kawałki?

–Tak Chryste! To barbarzyńcy! Szaleńcy! – Ginsel był wysokim przystojnym młodzieńcem z krótkimi rękami i mocno kabłąkowatymi nogami. Wskutek szkorbutu stracił wszystkie zęby. – Kiedy odciął mu głowę, to reszta zwyczajnie sobie odeszła? Bez jednego słowa?«

–Tak.

–Jezu Chryste. Żeby tak bez niczego zaszlachtować bezbronnego człowieka?! Dlaczego on to zrobił? Dlaczego go zabił?

–Nie wiem, Ginsel. Ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zrobił to tak szybko. W jednej chwili miecz tkwił w pochwie, a w następnej głowa tamtego toczyła się po ziemi.

–Boże, miej nas w opiece! Co zrobić, pilocie? – spytał Jan Roper.

–Czekać i dochodzić do sił. Niedługo przyjedzie ich wódz... a wtedy wszystko załatwimy.

Vinck przyglądał się samurajowi w ogrodzie, który siedział bez ruchu na piętach przy bramie.

–Spójrzcie na tego drania. Siedzi tam od wielu godzin i ani drgnie, nie odezwie się, nawet nie podłubie w nosie.

–Ale nie sprawia jak dotąd kłopotów, Johann. Najmniejszych – powiedział van Nekk.

–Owszem, ale my przecież tylko śpimy, dupczymy i żremy te pomyje.

–Pilocie, on jest tylko jeden. A nas dziesięciu – rzekł cicho Ginsel.

–Myślałem o tym. Ale jeszcze nie całkiem wyzdrowieliśmy. Wyleczenie skorbutu zajmie z tydzień – odparł zaniepokojony Blackthorne. – Na statku jest ich za dużo. Wolałbym nie mierzyć się z nimi bez włóczni albo arkebuza w ręku. Pilnują was w nocy?

–Tak. Ze trzy, cztery razy zmieniają warty. Czy któryś z was zauważył, żeby jakiś strażnik spał? – spytał Van Nekk.

–Pokręcili przecząco głowami., Dziś wieczorem możemy się dostać na pokład – powiedział Jan Roper. – Z Bożą pomocą zwyciężymy pogan i weźmiemy statek.

–Oczyść sobie uszy z gówna! Przecież pilot dopiero co ci mówił! Nie słuchałeś?!

Vinck splunął z obrzydzeniem.

–Właśnie – poparł go artylerzysta Pieterzoon. – Przestań się czepiać starego Vincka!

Oczy Jana Ropera zwężyły się jeszcze bardziej.

–Wejrzyj w swą duszę, Johannie Vincku – powiedział. – A ty w swoją, Hansie Pieterzoonie. Zbliża się Sądny Dzień!

Odszedł i usiadł na werandzie.

–Wszystko będzie dobrze. Zobaczycie – przerwał milczenie van Nekk.

–Roper ma rację. Przywiodła nas tu chciwość – oświadczył drżącym głosem młodzik Croocq. – To kara boska za...

–Przestań!

Chłopak wzdrygnął się.

–Tak, pilocie. Przepraszam, ale... cóż... – Maximillian Croocq był z nich najmłodszy, miał zaledwie szesnaście lat i popłynął na tę wyprawę wyłącznie dlatego, że jego ojciec dowodził jednym ze statków, a ponadto dlatego, bo mieli zdobyć majątek. Był jednak świadkiem strasznej śmierci ojca podczas plądrowania hiszpańskiego miasta Santa Magdellana w Argentynie. Zdobycz była obfita, poznał tam, co to przemoc i sam jej skosztował, pełen odrazy do siebie, przesiąknięty odorem mordy i krwi. Później oglądał śmierć jeszcze innych znajomych, z pięciu statków ostał się jeden, w tej chwili zaś miał uczucie, jakby był najstarszym z załogi. – Przepraszam. Przepraszam.

–Jak długo jesteśmy na brzegu, Baccusie? – spytał Blackthorne.

–Trzeci dzień. – Van Nekk znów podszedł do niego i przykucnął. – Nie za bardzo pamiętam, jak dopłynęliśmy, ale kiedy się ocknąłem, na statku wszędzie pełno było tych dzikusów. Niemniej zachowywali się bardzo grzecznie i życzliwie. Dali nam jedzenie i gorącą wodę. Zabrali zmarłych i rzucili kotwice. Wiele nie pamiętam, ale chyba przyholowali nas w bezpieczne miejsce. Kiedy przewozili cię na brzeg, majaczyłeś. Chcieliśmy, żebyś został z nami, ale nie pozwolili. Jeden wypowiedział kilka słów po portugalsku. Zdaje się, że był to naczelnik tej wsi, miał siwe włosy. Nie rozumiał tytułu „naczelnik pilot”, ale znał słowo „kapitan”. Było oczywiste, że chce, aby nasz kapitan mieszkał oddzielnie, powiedział jednak, żeby się o ciebie nie martwić, bo dobrze się tobą – zaopiekują. Nami również. A potem przyprowadził nas tutaj, przeważnie jednak nas nieśli, i oznajmił, że zostaniemy tu do przybycia jego kapitana. Nie chcieliśmy, żeby cię zabrali, ale nic nie mogliśmy poradzić. Spytasz się naczelnika o wino albo brandy, pilocie? – Van Nekk chciwie oblizał wargi, po czym dodał: – Teraz, kiedy o tym myślę, to przypominam sobie, że zwracając się do mnie, też wymienił słowo „daimyō”. Co będzie, kiedy przyjedzie ten daimyō?

–Czy któryś z was ma nóż albo pistolet?

–Nie – odparł van Nekk, z roztargnieniem drapiąc się w zawieszoną głowę. – Zabrali nam do prania całe odzienie i zatrzymali naszą broń. Wtedy nie przywiązywałem do tego znaczenia. Zabrali mi również klucze, razem z pistoletem. Wszystkie klucze nosiłem na kółku. Do skarbcza, do kasy pancernej, do magazynu.

–Na pokładzie wszystko jest szczelnie zamknięte. Nie ma powodu do obaw.

–Ale nie podoba mi się, że nie mam kluczy. Bardzo się tym denerwuję. Niech mnie kule biją, ale z wielką chęcią napiłbym się teraz brandy. A nawet wypiłbym dzban piwa.

–Jezu Chryste! Ten samuraj poszatkował go na kawałki, tak? – odezwał się nie wiadomo do kogo Sonk.

–Zamknij się, na miły Bóg! Mówi się „samuraj”! Zesrać się można od twojego gadania – powiedział Ginsel.«

–Mam nadzieję, że ten drań zakonnik tu nie przyjdzie – rzekł Vinck.

–W ręku Pana Boga jesteśmy bezpieczni. – Van Nekk nadal starał się mówić z przekonaniem. – Kiedy przyjedzie ten daimyō, wypuszczą nas. Zwrócą nam statek i pistolety. Zobaczycie. Sprzedamy wszystkie towary, a potem wrócimy do Holandii bogaci, szczęśliwie opłynąwszy Ziemię jako pierwsi Holendrzy na świecie. A katolicy pójdą do piekła i koniec.

–Wcale nie koniec – powiedział Vinck. – Na myśl o papistach cierpnie mi skóra. Nic na to nie poradzę. Na myśl o nich i o konkwistadorach. Jak myślisz, pilocie, dużo ich

tu jest?

–Nie wiem. Pewnie tak! Szkoda, że nie jesteśmy tu z całą eskadrą.

–Biedaczyska – rozculił się Vinck. – Ale przynajmniej my żyjemy., Może są już W domu – powiedział Maetsukker. – Może zawrócili z Cieśniny Magellana, kiedy rozproszyły nas burze.

–Obyś się nie mylił – rzekł Blackthorne. – Myślę jednak, że te statki przepadły razem z załogami.

–Przynajmniej my żyjemy – powtórzył za Vinckiem Ginsel, wzdrygając się., Ponieważ są tu papiści i ci poganie z ich nieobliczalnymi humorami, to nie dałbym za nasze życie nawet szpary wysłużonej dziewczki...

–Niechaj będzie przeklęty dzień, w którym opuściłem Holandię – poskarżył się Pieterzoon. – Niechaj będzie przeklęty grog! Gdybym nie schlał się w cztery dupy, to nadal bym sobie leżał z moją starą w łóżku w Amsterdamie.

–Możesz sobie przeklinać, jak ci się żywnie podoba, Pieterzoon, ale nie przeklinaj grogu! To woda życia!

–A ja uważam, że po szyję siedzimy w gnojówce i że jej szybko przybywa. – Vinck przewrócił oczami. – Tak jest, bardzo szybko.

–Ja w ogóle nie myślałem, że dopłyniemy do brzegu – rzekł Maetsukker. – Z wyglądu przypominał kreta, tyle że bezzębego. – W ogóle. A już najmniej, że do Japonii. Przekłęci, parszywi papiści! Nie wyjdziemy stąd żywi! Żeby tak mieć pistolety! Co za fatalne lądowanie! Ja nie miałem, na myśli nic złego, pilocie – dorzucił prędko, kiedy Blackthorne spojrzał na niego. – To zwykły pech, i tyle.

Później służba znów przyniosła im posiłek. To samo co zawsze: gotowane i surowe warzywa, lekko doprawione octem, zupę rybną i kleik z pszenicy czy jęczmienia. Wszyscy wzgardzili małymi kawałeczkami surowej ryby i zażądali mięsa i trunku. Ale nie rozumiano ich, a potem, przed zachodem słońca, Blackthorne odszedł. Zmęczyły go ich obawy, animozje i sprośności. Zapowiedział im, że wróci wczesnym rankiem.

W sklepikach przy wąskich uliczkach panował ruch. Odnalazł swoją ulicę i bramę domu. Zakrwawioną ziemię zamieciono, a zwłoki zniknęły. Człowiek ma niemal wrażenie, jakby to wszystko mu się przyśniło, pomyślał. Furtka do ogrodu otworzyła się, zanim jeszcze zdążył dotknąć jej ręką.

Stary ogrodnik, który nadal miał na sobie jedynie opaskę na biodra, uśmiechnął się do niego promiennie i ukłonił.

–Konbanwa – powiedział.

–Witam – odparł Blackthorne, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Podeszedł do schodów i przypomniawszy sobie o butach, zatrzymał się. Zdjął je, a potem bosy wszedł na werandę i do pokoju. Przeszedł przez niego na korytarz, ale nie potrafił odnaleźć swojej izby.

–Onna! – zawołał.

–Hai? – odezwała się starsza Japonka, która się pojawiła.

–Gdzie Onna?

Stara zmarszczyła brwi i pokazała na siebie.

–Onna! – powiedziała.

–Na miły Bóg – rzekł gniewnie Blackthorne. – Gdzie jest mój pokój? Gdzie jest Onna? – Odsunął następne kwadratowe drzwi. Na podłodze wokół niskiego stołu siedziało jedząc czworo Japończyków. W jednym z nich rozpoznał siwowłosego naczelnika wioski, który towarzyszył zakonnikowi. Wszyscy mu się ukłonili. – Och, przepraszam – powiedział i zasunął drzwi.

–Onna! – zawołał.

Starsza kobieta myślała przez chwilę, a potem się ukłoniła. Podążył za nią drugim korytarzem. Odsunęła jakieś drzwi. Poznał swój pokój po wiszącym krzyżu. Jego kołdry już starannie i porządnie rozłożono.

–Dziękuję – powiedział z ulgą. – A teraz sprowadź Onnę.

Staruszka odeszła drepcząc. Blackthorne usiadł, ciało i głowa bolały go i żałował, że nie ma tu krzesła. Zastanawiał się, gdzie je trzymają. Jak się dostać na statek? Jak zdobyć pistolety? Na pewno jest jakiś sposób.

Drobne kroczyki powróciły i tym razem pojawiły się trzy kobiety – starsza, młoda dziewczyna o okrągłej twarzy i niewiasta w średnim wieku.

Staruszka wskazała na lekko wystraszoną dziewczynę.

–Onna – powiedziała.

–Nie. – Rozeźlony Blackthorne wstał i palcem wskazał kobietę w średnim wieku. – To jest Onna, na miły Bóg! Czy wy nie wiecie, jak się nazywa? Onna! Jestem głodny. Mogę dostać coś do jedzenia?

Potań dłoń bruch, pokazując, że zgłodniał. Kobiety wymieniły spojrzenia. A potem ta w średnim wieku wzruszyła ramionami, powiedziała coś, co rozśmieszyło jej towarzyszkę, podeszła do posłania i zaczęła się rozbierać. Pozostałe dwie przysiadły, patrząc wyczekująco szeroko rozwartymi oczami.

–Co robisz? – spytał zatrwożony Blackthorne.

–Ishimasho! – powiedziała, odkładając na bok szeroką szarfę i rozchylając kimono. Piersi miała płaskie, wysuszone, a brzuch duży.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że chce się położyć na posłaniu. Potrząsnął głową, kazał jej się ubrać, wziął za rękę, a wtedy wszystkie Japonki naraz zaczęły paplać i gestykulować, kobietę zaś wyraźnie to wszystko zgniewało. Uwolniła się z długiej halki i naga próbowała wrócić na posłanie.

Nagle paplanina umilkła i wszystkie trzy ukłoniły się, bo, na korytarz wyszedł cicho naczelnik wioski.

–Nanda? Nanda?– spytał.

Stara kobieta wyłożyła mu sprawę.

–Chcesz tę kobietę? – spytał z niedowierzaniem w naznaczonej silnym akcentem, ledwo zrozumiałej portugalszczyźnie, wskazując nagą Japonkę.

–Nie. Nie, oczywiście, że nie. Chciałem tylko, żeby Onna przyniosła mi coś do jedzenia. – Blackthorne zniecierpliwionym gestem wskazał kobietę. – Onna!

–Onna znaczy „kobieta”. – Gospodarz wskazał na wszystkie trzy Japonki: – Onna... onna... onna. Chcesz onna? Blackthorne ze znużeniem pokręcił głową.

–Nie. Nie, dziękuję. Pomyliłem się. Przepraszam. Jak się nazywa?

–Proszę?

–Jak jej na imię?

–A! Imię jej Haku. Haku – powtórzył naczelnik. – Haku?

–Hai. Haku!

Przepraszam, Haku-san. Myślałem, że masz na imię Onna. Japończyk wyjaśnił to Haku, co bynajmniej jej nie ucieszyło. Ale powiedział też coś jeszcze, a wtedy wszystkie spojrzały na Blackthorne'a, zachichotały, osłaniając usta dłońmi, i opuściły pokój. Haku odeszła naga, nadzwyczaj godnie, z kimonem przerzuconym przez ramię.

–Dziękuję – powiedział Blackthorne, wściekły na siebie za okazaną głupotę.

–To mój dom. Imię mam Mura – przedstawił się Japończyk.

–Mura-san. A ja Blackthorne.

–Proszę?

–Ja nazywam się Blackthorne.

–A! Berr-rek-fon.

Mura próbował wymówić to kilka razy, ale bez powodzenia. Wreszcie dał za wygraną i ponownie z wielką uwagą zaczął się przyglądać olbrzymowi, który stał przed nim. Był to pierwszy barbarzyńca, jakiego oglądał na oczy, nie licząc ojca Sebastio i tamtego drugiego księdza wiele lat temu. No, ale w końcu księża są ciemnowłosi, ciemnoocy i normalnego wzrostu. A ten jest wysoki, złotowłosy i złotobrody, ma niebieskie oczy i dziwnie bladą skórę tam, gdzie jest zasłonięta, i czerwoną tam, gdzie odkryta. Zdumiewające! – orzekł. Myślałem, że wszyscy ludzie mają czarne włosy i ciemne oczy. Wszyscy mamy takie. Mają takie Chińczycy, a czyż Chiny to nie cały świat, jeśli nie liczyć kraju portugalskich barbarzyńców? Zdumiewające! A poza tym dlaczego ojciec Sebastio tak bardzo nienawidzi tego człowieka? Bo jest on czcicielem Szatana? Wątpię, bo ojciec Sebastio, gdyby tylko chciał, to potrafiłby przegnać tego diabła liii, nigdy jeszcze nie widziałem zacnego ojca tak zagniewanego. Nigdy. Zdumiewające!

Czy niebieskie oczy i złote włosy to znamiona Szatana?

Mura spojrzał na Blackthorne'a i przypomniał sobie, jak próbował go wypytać na pokładzie statku i jak potem, kiedy ten kapitan stracił przytomność, postanowił przewieźć go do swojego domu, gdyż jako dowódcy należały mu się specjalne względy. Ułożyli go na kołdrze i rozebrali z niemalym zaciekawieniem.

–Jego Niezrównane Organy są na pewno imponujące, ne? – zagadnęła matka Mury, Saiko. – Ciekawe, jak duży będzie, kiedy się podniesie.

–Duży – odparł i wszyscy się roześmieli: jego matka, żona, znajomi, służba, również lekarz.

–Spodziewam się, że ich kobiety są na pewno... na pewno równie szczodrze obdarzone przez naturę – powiedziała jego żona Niji.

–Bzdury opowiadasz, dziewczyno – odparła na to jego matka. – Każda z naszych kurtyzan łącznie by mu wygodziła. – Z podziwem potrząsnęła głową. – W całym życiu nie widziałam takiego u nikogo. Jest bardzo niezwykły, ne?

Umyły go, ale się nie ocknął. Lekarz uznał, że nieroztropnie byłoby go dokładnie kąpać, zanim nie odzyska przytomności.

–Może powinniśmy mieć na względzie, że właściwie nie bardzo wiemy, jaki jest naprawdę ten barbarzyńca, Mura-san – powiedział z mądrą powściągliwością. – Przykro mi, ale przez pomyłkę moglibyśmy go zabić. Na pewno jest skrajnie wyczerpany. Powinniśmy okazać cierpliwość.

–Ale co z wszami w jego włosach? – spytał Mura.

–Na razie muszą pozostać. O ile wiem, to mają je wszyscy barbarzyńcy. Przykro mi, ale doradzam cierpliwość.

–Nie sądzisz, że moglibyśmy umyć mu przynajmniej głowę? – spytała żona Mury. – Zrobimy to bardzo ostrożnie. Jestem pewna, że gospodyni pokieruje naszymi niedoskonałymi staraniami. Powinno to dopomóc barbarzyńcy, a nasz dom utrzymać w czystości.

–Zgoda. Możecie mu umyć głowę – przesądziła sprawę jego matka. – Ale bezwarunkowo chciałabym zobaczyć, jaki duży on jest, kiedy mu się podniesie.

Mura mimowolnie spojrział na Blackthorne'a. I wówczas przypomniał sobie, co ksiądz mówił im o tych satanistach i piratach. Boże Ojczy, chroń nas ode złego, pomyślał. Gdybym wiedział, że jest taki straszny, nigdy bym go nie wprowadził pod swój dach. Nie, nie, rzekł do siebie. Masz obowiązek traktować go jako wyjątkowego gościa aż do chwili, kiedy Omi-san nie każe inaczej. Ale mądrze zrobiłeś, zawiadamiając księdza i natychmiast powiadamiając szanownego Omi. Bardzo mądrze Jesteś naczelnikiem, ochroniłeś wieś i wyłącznie ty za nią odpowiadasz.

Tak. A Omi-san ciebie uczyni odpowiedzialnym za tę śmierć dzisiaj rano oraz za zuchwalstwo zabitego, i całkiem słusznie.

–Nie bądź głupcem, Tamazaki! Narażasz na szwank dobre imię naszej wioski, ne? – ostrzegał tuzin razy swojego przyjaciela rybaka. – Skończ z tą nietolerancją. Omi-san nie ma innego wyboru, jak tylko szydzić z chrześcijan. Czyż nie nienawidzi ich nasz daimyō? Co innego może zrobić szlachetny Omi?

–Nic, przyznaję, Mura-san, zechciej mi wybaczyć – odpowiadał mu równie konwencjonalnie Tamazaki. – Ale buddyści powinni być bardziej wyrozumiali, ne? Czyż obaj nie praktykują buddyzmu zen?

Zasadą buddyzmu zen była dyscyplina wewnętrzna – polegał on w wielkim stopniu na samowystarczalności w działaniu i medytacji zmierzających do osiągnięcia stanu Oświecenia. Do sekty zen należała większość samurajów, ponieważ odpowiadała im ona i wydawała się wprost stworzona dla dumnych, szukających śmierci rycerzy.

–Tak, buddyzm uczy wyrozumiałości. Ale ile razy trzeba ci powtarzać, że to są samuraje i że znajdujemy się w Izu, a nie Kiusiu, a nawet gdyby to było Kiusiu, to i tak nie miałbyś racji. Nigdy. Ne?

–Tak. Zechciej mi wybaczyć, wiem, że nie mam racji. Ale czasem czuję, że nie wolno mi żyć ze wstydem w duszy, – kiedy Omi-san łączy Prawdziwą Wiarę.

No i nie żyjesz, Tamazaki, z własnego wyboru, ponieważ znieważyłś szanownego Omi, nie kłaniając się mu tylko dlatego, że powiedział słowa „ten cuchnący ksiądz obcego wyznania”. A przecież nasz ksiądz rzeczywiście cuchnie, a Prawdziwa Wiara jest obca. Biedny przyjacielu. Ta wiara nie wyżywi teraz twojej rodziny ani nie wywabi plamy na dobrej opinii wioski.

Och, Przenajświętsza Panno, pobłogosław mojego starego druha i zapewnij mu wieczną szczęśliwość w Niebie.

Spodziewaj się fury kłopotów ze strony szlachetnego Omiego, prze strzegł się w duchu Mura. A jakby jeszcze tego było mało, przyjeżdża do nas daimyō.

Ilekcroć pomyślał o swoim feudalnym władcy, Kasigi Yabu, daimyō Izu, wuju Omiego, człowieku okrutnym i nieszlachetnym, o tym, jak okrada wszystkie wioski z należnych im części połowów i, plonów, i o miazdzącym brzemieniu jego rządów, ogarniał go dojmujący lęk. Z kim się sprzymierzy Yabu, kiedy wybuchnie wojna, z panem Ishido czy z panem Toranagą? – zadawał sobie pytanie. Siedzimy w potrzasku pomiędzy dwoma olbrzymami, uzależnieni od obydwu.

Na północ stąd są dobra Toranagi, największego żyjącego wodza, władcy Kantō – Ośmiu Prowincji, najważniejszego daimyō w kraju i naczelnego dowódcy Armii Wschodu, Na zachodzie zaś włości Ishido, pana na zamku w Osace, zdobywcy Korei, Opiekuna Następcy, naczelnego dowódcy Armii Zachodu. Od północy natomiast biegnie Tokaidō, Wielka Nadmorska Droga, która łączy stolicę Toranagi Edo z Osaka, stolicą Ishido – trzysta mil na zachód, które muszą pokonać w marszu ich oddziały.

Kto wygra tę wojnę?

Nikt.

Ponieważ wojna znowu ogarnie całe cesarstwo, sojusze się rozpadną, prowincje zaczną walczyć z prowincjami, a wreszcie wioski z wioskami, tak jak było zawsze. Z wyjątkiem ubiegłych dziesięciu lat. Nie do wiary, ale przez te dziesięć lat po raz pierwszy w historii w całym cesarstwie panowało bezwojnie, zwane pokojem.

Zaczynałem już lubić pokój, pomyślał Mura.

Ale człowiek, który doprowadził do pokoju, nie żyje. Ten chłopski żołnierz, który stał się samurajem, potem generałem, a później największym wodzem, na końcu zaś taikō, absolutnym władcą protektorem Japonii, zmarł rok temu, a jego siedmioletni syn jest o wiele za młody, żeby odziedziczyć absolutną władzę. Tak więc chłopiec, podobnie jak my, jest uzależniony. Od tych dwóch olbrzymów. No a wojna jest nieunikniona. Teraz nawet i taikō nie może sam obronić ukochanego syna, dynastii, dziedzictwa ani imperium.

Być może tak powinno być. Taikō podbił kraj, ustanowił pokój, zmusił wszystkich daimyō, żeby płaszczyli się przed nim niczym chłopi, według swoich zachcianek pozamieniał lenna – jednych wyniósł, innych usunął – no a potem zmarł. Był olbrzymem pomiędzy karłami. Ale może to sprawiedliwie, że jego dzieło i wielkość odeszły wraz z nim. Czyż człowiek nie jest tylko kwiatem uniesionym przez wiatr i jedynie góry, morze, gwiazdy i ta Kraina Bogów są wieczne i rzeczywiste?

Wszyscy jesteśmy uzależnieni, taka jest prawda. Sam Yabu zadecyduje, po której jesteśmy stronie, taka jest prawda. Wieś zawsze będzie wsią, bo pola ryżowe są żyzne, a morze zasobne, i taka jest ostatnia z prawd.

Mura na dobre powrócił myślami do pirata barbarzyńcy, który stał przed nim.

–Jesteś diabłem zesłanym na nasze skaranie, pomyślał, i odkąd przyplynałeś, mamy przez ciebie same kłopoty. Czemu nie wybrałeś sobie innej wioski? – Kapitan-san chce onna? – spytał usłużnie.

Na jego, propozycję rada wioski poczyniła przygotowania do przyjęcia reszty barbarzyńców, już to z grzeczności, już to po to, żeby po prostu wypełnić im czas aż do przyjazdu zwierzchności. To, że po wszystkim wieś zapewniała sobie dobrą zabawę dzięki opowieściom o obłapiankach, z naddatkiem zwracało pieniądze, które musiała na ten cel wyłożyć.

–Onna? – powtórzył, wnioskując oczywiście, że skoro pirat stoi, to z równą radością legnie na brzuchu, rozgrzewając sobie przed snem swą Niebiańską Włócznię, a w każdym razie wszystko było przygotowane.

–Nie! – odparł Blackthorne, który marzył jedynie, żeby zasnąć. Ale ponieważ zdawał sobie sprawę, że potrzebuje mieć tego Japończyka po swojej stronie, zmusił się do uśmiechu i wskazał na krzyż. – Jesteś chrześcijaninem?

Mura skinął głową.

–Kreścianem.

–Ja jestem chrześcijaninem.

–Ojciec mówi, że nie. Nie kreścianem.

–Jestem chrześcijaninem. Nie katolikiem. Ale mimo to chrześcijaninem.

Mura nie mógł jednak tego pojąć. Blackthorne zaś, choćby nie wiem jak się starał, nie potrafiłby mu tego wytłumaczyć.

–Chce onna?

–Ten... ten dimyó... kiedy przyjeżdża?

–Dimyó?... Nie rozumie.

–Dimyó... a, to znaczy, daimyó.

–A, daimyó. Hai, daimyó! – Mura wzruszył ramionami. – Daimyó przyjedzie, kiedy przyjedzie. Spać. Najpierw myć. Proszę.

–Co?

–Myć. Kąpu, proszę.

Mura podszedł bliżej i z odrazą zmarszczył nos.

–Cuchnie. Śmierdzi. Żre. Jak wszyscy Portugizu. Kąpu. To czysty dom.

–Wykąpię się, kiedy zechcę, a poza tym ja nie cuchnę! – zawrzał gniewem Blackthorne. – Każdy wie, że kąpiele są niebezpieczne. Chcesz, żebym dostał fluksa? Myślisz, że Pan Bóg odebrał mi rozum? Zabieraj się stąd do diabła i daj mi spać!

–Kąpu! – polecił Mura, oburzony jawnym gniewem barbarzyńcy, co było szczytem złego wychowania. Rzecz bowiem nie tylko w tym, że ten barbarzyńca cuchnęła, ale, jak było mu wiadomo, nie kąpał się on od trzech dni, więc nie ulegało wątpliwości, że kurtyzana odmówi spania z nim bez względu na wysokość zapłaty. Ci straszni cudzoziemcy, pomyślał. Zadziwiające! Jakże zdumiewająco wstrętne są ich nawyki. Odpowiadam za ciebie. Nauczymy cię dobrych manier. Będziesz się kąpał jak człowiek i matka dowie się tego, czego pragnie się dowiedzieć. – Kąpu!

–Wynoś się stąd, zanim cię rozedrę na kawałki! – odparł Blackthorne, mierząc go groźnie wzrokiem i wyprasając gestem.

Po krótkiej chwili zjawili się trzej Japończycy wraz z trzema kobietami. Mura wyjaśnił im krótko, w czym rzecz, a potem rzekł stanowczo do Blackthorne'a:

–Kąpu. Proszę.

–Precz!

Mura wszedł sam do pokoju. Blackthorne wyciągnął rękę, nie chcąc mu zrobić krzywdy, a jedynie odepchnąć. I nagle krzyknął z bólu. Mura uderzył go w łokieć tak, że odebrał mu władzę w ręce, która natychmiast zwiśla mu bezwładnie. Rozwścieczony, zaatakował Japończyka. Ale izba zawirowała mu przed oczami, a potem upadł na twarz, poczuł w plecach jeszcze jedno obezwładniające ukłucie bólu i nie mógł się poruszyć.

–O mój Boże...

Spróbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. A wówczas Mura ze spokojem wystawił swój mały, ale twardy jak żelazo palec i nacisnął splot nerwowy na jego szyi. Ból był oślepiający.

–Jezu Przenajświętszy...

–Kąpu? Proszę.

–Tak... tak – wysapał Blackthorne w paroksyzmie bólu, zdumiony, że tak niepozorny mężczyzna wziął nad nim górę i że oto leży bezradny jak dziecko, gotów na rzeź.

Wiele lat temu Mura wyuczył się sztuki dżudo i karate, podobnie jak władania włócznią i mieczem. Działo się to w czasach, gdy był wojownikiem, walczył dla Nakamury, chłopskiego generała, taikō – na długo przedtem nim taikō stał się taikō – w czasach, kiedy chłopci mogli być samurajami, a samuraje chłopami, rzemieślnikami albo nawet skromnymi kupcami, po czym od nowa wojownikami. Dziwne, pomyślał z roztargnieniem Mura, spoglądając na powalonego olbrzyma, że zaraz, prawie na samym początku, po zdobyciu pełnej władzy taikō rozkazał wszystkim chłopom zaniechać żołnierki i natychmiast oddać całą broń. Taikō po wsze czasy zabronił chłopom posiadania broni i ustanowił nieznany do tej pory system kastowy, któremu podlegali wszyscy w cesarstwie: na samej górze stali samuraje, niżej chłopci, następnie rzemieślnicy, potem kupcy, stojący wyżej od aktorów, wyrzutków i bandytów, a wreszcie na samym dole drabiny społecznej eta, nieludzie, ci, którzy zajmowali się ciałami martwych, wyprawianiem skór i padłymi zwierzętami, ponadto zaś pełnili rolę katów publicznych, wypalających piętna i obcinających członki. Na drabinie tej nie było oczywiście miejsca dla żadnego barbarzyńcy.

–Wybacz mi, proszę, kapitan-san – rzekł Mura, nisko się kłaniając, zażenowany, że barbarzyńca do tego stopnia stracił twarz, iż leży, kwiląc niczym niemowlę przy piersi. Tak jest, bardzo tego żałuję, ale musiałem to zrobić, pomyślał. Rozdrażniłeś mnie ponad wszelki rozsądek, nawet jak na barbarzyńcę. Krzyczałeś jak szalenciec, napędziłeś strachu mojej matce, zakłóciłeś spokój tego domu, zaniepokoiłeś służbę,

a żona musi wymienić drzwi shoji na nowe. W żaden sposób nie mogłem pozwolić na tak oczywisty brak wychowania. Ani na to, byś zachowywał się wbrew moim życzeniom w moim własnym domu. Zrobiłem to doprawdy dla twojego dobra. Z drugiej strony nie stało się nic takiego, bo przecież wy, barbarzyńcy, nie macie do stracenia żadnej twarzy. Z wyjątkiem księży, którzy są inni. Co prawda, straszliwie cuchną, ale są wybrańcami Boga Ojca, dzięki czemu są ogromnie godni. Ale ty, ty jesteś zarówno kłamcą, jak piratem. Bez honoru. Zdumiewające! Podawać się za chrześcijanina! To ci, niestety, nic nie pomoże. Nasz daimyō nienawidzi Prawdziwej Wiary oraz barbarzyńców i toleruje ich jedynie z musu. Ale ty nie jesteś Portugalczykiem ani chrześcijaninem, dlatego prawo cię nie chroni, ne? Więc mimo że jesteś skazany na śmierć, a co najmniej na okaleczenie, mam obowiązek dopilnować, abys poszedł czysty na spotkanie swojego losu. – Kapu bardzo dobra!

Pomógł pozostałym przenieść ciągle jeszcze oszołomionego Blackthorne'a przez dom, przez ogród pod zadaszonym chodnikiem, z którego był bardzo dumny, i wnieść go do łaźni. Kobiety podążyły za nimi.

Okazało się to jednym z największych przeżyć w jego życiu. Wiedział, że będzie opowiadał tę historię wciąż od nowa swoim niedowierzającym znajomkom przy beczulce gorącego sake, narodowego japońskiego wina, wioskowej starszyźnie, rybakom, wieśniakom i swoim dzieciom, które również nie od razu mu uwierzą. One zaś z kolei uraczą tą opowieścią swoje dzieci i tak imię rybaka Mury będzie żyć po wsze czasy w wiosce Anjiro, leżącej w prowincji Izu na południowo-wschodnim wybrzeżu głównej japońskiej wyspy Honsiu. A wszystko dzięki temu, że on, Mura rybak, miał szczęście być naczelnikiem wsi w pierwszym roku po śmierci taikō, i dlatego przez pewien czas był odpowiedzialny za przywódcę dziwnych barbarzyńców, którzy przyплыnęli ze wschodniego morza.

2.

–Daimyō, Kasigi Yabu, władca Izu, chce wiedzieć, kim jesteście, skąd przybywacie, jak się tu dostaliście i jakich pirackich czynów żeście się dopuścili – powiedział ojciec Sebastio.

–Powtarzam ci, że nie jesteśmy piratami.

Ranek był pogodny i ciepły, Blackthorne klęczał przed podestem na wiejskim placu, a głowa wciąż jeszcze bolała go od uderzenia. Zachowaj spokój i myśl, powiedział sobie. To jest proces o nasze życie. Reprezentujesz załogę, i tyle. Ten wrogo nastawiony jezuita jest jedynym dostępnym tłumaczem, więc nie masz sposobu sprawdzić, co mówi, ale jednego możesz być pewien – że ci nie pomoże... „Zachowaj czujność, chłopcze – niemal słyszał w uszach nauki Albana Caradoca. – Kiedy burza sroży się najbardziej, a morze jest najstraszniejsze, wtedy musisz być czujny jak nigdy. Dzięki temu ocalisz siebie i statek, jeśliś jest prawdziwym pilotem. Zachowaj czujność i co dzień wyciskaj z życia, co się da, choćby było to nie wiem jak niedobre...”

Sokiem życia tego dnia jest żółć, pomyślał z goryczą Blackthorne. Dlaczego tak wyraźnie słyszę głos Albana?

–Najpierw powiedz daimyō, że toczymy ze sobą wojnę, że jesteście wrogami – rzekł. – Powiedz mu, że Anglia i Niderlandy prowadzą wojnę z Hiszpanią i Portugalią.

Ostrzegam cię jeszcze raz, żebyś mówił prosto i nie przekręcał faktów. Niderlandy albo inaczej Holandia, – Zelandia, Zjednoczone Prowincje, czy jak tam jeszcze wy, parszywi holenderscy buntownicy, je zwiecie, są małą zbuntowaną prowincją Imperium Hiszpańskiego. Prze wodzisz zdrajcom, którzy wystąpili przeciwko swojemu prawowitemu królowi.

–Anglia toczy wojnę, a Niderlandy oddzie... – Blackthorne nie dokończył zdania, ponieważ zakonnik przestał go słuchać i zaczął tłumaczyć., Niski, przysadzisty i władczy daimyō zajmował miejsce na podeście. Klęczał wygodnie, zgrabnie podwinąwszy stopy, otoczony czterema porucznikami, wśród których był Kasigi Omi, jego bratanek i wasal. Wszyscy nosili jedwabne kimona, a na nich ozdobne kaftany z dużymi, sztywnymi ramionami, ściśnięte w talii szerokimi pasami. Do tego zaś nieodłączne miecze.

Mura klęczał na ziemi. Był na placu jedynym wieśniakiem. Pięćdziesięciu samurajów, którzy przybyli tu z daimyō, siedziało w karnych, milczących szeregach. Za plecami Blackthorne'a klęczała tak jak i on jego żeglarska czereda, a nie opodal strażnicy. Kiedy po nich posłano, musieli przynieść ze sobą, pomimo jego choroby, dowódcę wyprawy. Pozwolono ułożyć go, nadal półprzytomnego, na ziemi. Stanąwszy przed

obliczem daimyō, Blackthorne i jego towarzysze ukłonili się, ale to nie wystarczyło. Samuraje rzucili ich wszystkich na kolana i niczym wieśniakom przycisnęli głowy do ziemi. Próbował się stawiać i krzyczał do księdza, by wyjaśnił, że nie przywykli do takiego traktowania, że jest dowódcą, emisariuszem ich kraju i powinni się z nim stosownie obchodzić. Ale cios trzonkiem włóczni zachwiał nim. Jego załoga przygotowała się do ataku, ale krzyknął im, by poniechali tego i uklękli. Na szczęście usłuchali go. Daimyō powiedział coś gardłowo, a zakonnik przetłumaczył, że mają mówić prawdę, szybko i bez ociągania. Blackthorne zażądał krzesła, ale jezuita odparł, że Japończycy nie używają krzesel i że w Japonii w ogóle ich nie ma.

Kiedy Sebastio mówił do daimyō, Blackthorne skupił uwagę na nim, szukając jakiejś wskazówki sposobu na pokonanie tej przeszkody.

Na twarzy daimyō widać butę i okrucieństwo, pomyślał. Założę się, że to wyjątkowe bydlę. Zakonnik nie mówi po japońsku płynnie. Aha, widzisz? To oznaki irytacji i zniecierpliwienia. Czyżby daimyō zażądał innego słowa, bardziej zrozumiałego? Chyba tak. Dlaczego ten jezuita nosi pomarańczową sutannę? Czy daimyō jest katolikiem? Przyjrzyj się, jezuita jest bardzo uległy i mocno się poci. Założę się, że daimyō nie jest katolikiem. Wyrażaj się dokładniej! Być może nim nie jest. Tak czy owak nie licz na jego litość. Jak by tu wykorzystać to złe bydlę? Jak by tu przemówić do niego bezpośrednio? W jaki sposób załatwić księdza? Jak go skompromitować? Jakiej użyć przynęty? No, szybciej, myśl! Wiesz dostatecznie dużo o jezuitach...

–Daimyō każe ci rychlej odpowiadać na pytania.

–Tak. Oczywiście, przepraszam. Nazywam się John Blackthorne. Jestem Anglikiem, naczelnym pilotem flotylli niderlandzkiej. Naszym macierzystym portem jest Amsterdam.

–Flotylli? Jakiej flotylli? Kłamiesz. Żadnej flotylli nie ma. Dlaczego to Anglik jest pilotem holenderskiego statku?

–Wszystko w swoim czasie. Najpierw zechciej przełożyć to, co powiedziałem.

–Dlaczego jesteś pilotem holenderskiego statku pirackiego? Prędezej!

Blackthorne postanowił zaryzykować. Jego głos nabrał nagle ostrości i przeciął ciszę ciepłego poranka.

–Que va! Najpierw przełoż, co powiedziałem, Hiszpanie! Natychmiast!

Zakonnik pokraśniał na twarzy.

–Jestem Portugalczykiem – odrzekł: – Już ci to mówiłem. Odpowiedz na pytanie.

–Jestem tu, żeby rozmawiać z daimyō, a nie z tobą. Przełóż, co powiedziałem, ty podrzucony paduchu!

Książd zaczerwienił się jeszcze mocniej i Blackthorne odniósł wrażenie, że nie uszło to uwagi daimyō. Bądź ostrożny, przestrzegł się. Jeżeli przeholujesz, ten żółty bydlak posieka cię na kawałki szybciej niż stado młodych rekinów.

–Powiedz to panu daimyō!

Z rozmysłem uklonił się nisko w kierunku podestu – i obrawszy taktykę, od której nie było odwrotu, poczuł, jak na ciele zaczyna mu się skraplać pot.

Ojciec Sebastio świadom był, że jego przygotowanie duchowe powinno uczynić go głuchym na obelgi tego pirata i oczywisty zamiar zdyskredytowania go w oczach daimyō. Ale po raz pierwszy nie udało mu się to i się pogubił. Kiedy posłaniec Mury przyniósł do jego misji w sąsiedniej prowincji wiadomość o statku, na myśl o możliwych następstwach tego faktu przeżył wstrząs. To nie może być statek holenderski ani angielski! – orzekł. Na Oceanie Spokojnym nie pojawił się jak dotąd statek heretyków, z wyjątkiem jednostek tego diabła w ludzkiej skórze, korsarza Drake’a, a tutaj, w Azji, ani jeden. Ruty bowiem otoczone były tajemnicą i strzeżone. Natychmiast przygotował się do wyjazdu i wysłał gołębia z pilną wiadomością do swojego przełożonego w Osace żałując, że nie może się go poradzić. Zdawał sobie sprawę, że nie ma prawie żadnego doświadczenia, że przebywa w Japonii zaledwie od dwóch lat i jest tutaj nowy, że nie został jeszcze wyświęcony i brak mu odpowiedniej wiedzy, żeby załatwić tę nagłą sprawę właściwie.

Pośpieszył do Anjiro, licząc na to i modląc się, żeby wieści nie okazały się prawdziwe. Ale statek był holenderski, a pilot Anglikiem, tak więc całkowicie zawładnęła nim straszliwa odraza do szatańskich herezji Lutra, Kalwina, Henryka VIII i tej wcielonej diablipy Elżbiety, jego córki z nieprawego łoża. I w dalszym ciągu mąciła mu zdrowy rozsądek.

–Kapłanie, przetłumacz, co powiedział pirat – usłyszał głos daimyō. O Błogosławiona Matko Boża, rzekł w duchu, dopomóż mi wypełnić Twoją wolę. Dopomóż mi, abym okazał przed daimyō siłę, obdarz mnie darem mowności i daj mi go nawrócić na Prawdziwą Wiarę. Ojciec Sebastio uspokoił się i przemówił z większą pewnością siebie.

Blackthorne słuchał go pilnie, starając się wyłowić słowa i znaczenia. Ojciec Sebastio użył słów „Anglia” i „Blackthorne” oraz wskazał na statek, który spokojnie stał na uwięzi w zatoce.

–Jak się tu dostaliście? – spytał.

–Przez Cieśninę Magellana. Jest o sto trzydzieści sześć dni żeglugi stąd. Powiedz

daimyō...

–Kłamiesz. Szlak Magellana otacza tajemnica. Przybyłeś przez Afrykę i Indie. W końcu wyznasz prawdę. Oni stosują tortury.

–Cieśninę otaczała tajemnica. Pewien Portugalczyk sprzedał nam rutę. Jeden z waszych rodaków sprzedał was za trochę judaszowego złota. Wszyscy jesteście głównymi wariami! I teraz wszystkie angielskie okręty wojenne i wszystkie holenderskie znają drogę przez Pacyfik. W tej właśnie chwili flota złożona z dwudziestu angielskich liniowców, okrętów wojennych po sześćdziesiąt dział każdy, atakuje Manilę. Koniec z waszym imperium.

–Kłamiesz!

Tak, przyznał w duchu Blackthorne, wiedząc, że udowodnić to kłamstwo można jedynie, jeśli się popłynie do Manili.

–Ta flota będzie nękać wasze morskie szlaki i zniszczy wasze kolonie. Lada tydzień zjawi się tu jeszcze jedna holenderska flota.

Hiszpańsko-portugalska świnia z powrotem trafia do swojego chlewa, a kutas waszego generała jezuitów tkwi w jej zadzie, tam gdzie powinien!

Blackthorne odwrócił się od zakonnika i nisko uklonił daimyō.

–Skaż cię Bóg i twój plugawy język!

–Ano mono wa nani o moshite oru? – warknął zniecierpliwiony daimyō.

Jezuita przemówił szybciej, ostrzejszym tonem, i wymienił nazwisko Magellana oraz Manilę, ale Blackthorne odniósł wrażenie, że daimyō i jego przybocznicy nie zrozumieli go za dobrze.

Yabu zaczęły nużyć te spytki. Spojrzał na zatokę i na statek, który zawładnął jego myślami, odkąd otrzymał tajną wiadomość od Omięgo. Po raz kolejny zastanawiał się, czy to jest ten podarunek bogów, na który liczył.

–Sprawdziłeś już jego ładunek, Omi-san? – spytał dziś rano, zaraz po przyjeździe, ubłocony i mocno zdrożony.

–Nie, panie. Pomyślałem, że najlepiej zrobię zapieczętowując statek do twojego przyjazdu, ale w ładowniach pełno jest skrzyń i beł. Mam nadzieję, że postąpiłem właściwie. Oto wszystkie klucze. Skonfiskowałem je.

–Dobrze.

Yabu przybył z Edo, stolicy pana Toranagi, leżącej ponad sto mil stąd, rozstawnymi końmi, potajemnie i za cenę wielkiego osobistego ryzyka, musiał zaś powrócić równie szybko. Podróż zajęła mu prawie dwa dni jazdy po złych drogach i przez wezbrane wiosenne strumienie, częściowo, wierzchem, częściowo w palankinie.

–Popłynę na ten statek zaraz – oświadczył.

–Powinieneś zobaczyć tych cudzoziemców, panie – powiedział ze śmiechem Orni. – Są niebywali. Większość ma niebieskie oczy, jak syjamskie koty, i złote włosy. Ale najlepsze ze wszystkiego jest to, że są piratami...

Orni opowiedział mu o księdzu, o tym, co powiedział on o przybyszach, co powiedział pirat i co się wydarzyło, tak więc jego podniecenie wzrosło w trójnasób. Yabu przemógł niecierpliwość, żeby pojechać na statek i złamać pieczęcie. Zamiast tego wykąpał się, przebrał i nakazał sprowadzić barbarzyńców przed swoje oblicze.

–Ty, kapłanie! – powiedział ostrym głosem, ledwie rozumiejąc jego kiepską japońszczyznę. – Dlaczego on jest na ciebie taki wściekły?

–Jest zły. Bo to pirat. Czciiciel diabła.

Yabu pochylił się w stronę Omiego, który siedział po jego lewej ręce.

–Czy rozumiesz, co on mówi, bratanku? Kłamie? Jak myślisz?

Nie wiem, panie. Któż Wie, w co naprawdę wierzą barbarzyńcy. Ksiądz chyba rzeczywiście myśli, że ten pirat jest czciicielem diabła. Naturalnie, wszystko to są brednie., Yabu obrócił, się ponownie w stronę księdza, pełen odrazy do niego. Żałował, że nie może go dziś ukrzyżować i raz na zawsze usunąć chrześcijaństwa ze swoich ziem. Ale nie mógł. Chociaż on i inni daimyō byli całkowitymi panami na swoich włościach, to podlegali jednak Radzie Regencyjnej, rządzącej grupie wojskowych, którym taikō ustawowo powierzył władzę na czas niepełnoletności swojego syna, oraz dekretem, jakie wydał on za życia i które nadał prawnie obowiązywały. Jeden z nich, ogłoszony przed wieloma laty, dotyczył portugalskich barbarzyńców i czynił z nich osoby chronione prawem, ich religię tolerowaną – w rozsądnych granicach, księża zaś, w rozsądnych granicach, mogli nawracać na swoją wiarę.

–Ty, kapłanie! Co jeszcze powiedział ten pirat? Co ci mówił? Prędszej! Zaniemówiłeś Pirat mówi złe rzeczy. Złe. O więcej łodziach piratach... wielu.

–Co znaczy „łodziach piratach”?

–Przepraszam, panie, nie rozumiem.

–„Łodziach piratach” to bez sensu, ne?

–A! Pirat mówi, że inne okręty wojenne są w Manili, na Filipinach.

–Omi-san, rozumiesz, o czym on mówi?

–Nie, panie. Ma straszną wymowę, to prawie bełkot. Czy pirat twierdzi, że więcej pirackich statków jest na wschód od Japonii?

–Ty, kapłanie! Czy te pirackie statki są daleko od naszych brzegów? Na wschód? Tak?

–Tak, panie. Ale myślę, że pirat kłamie. Mówi, że w Manili.

–Nie rozumiem ciebie. Gdzie jest ta Manila?

–Na wschodzie. Wiele dni żeglugi stąd.

–Gdziekolwiek jest ta Manila, jeżeli przyłyną tu jakieś pirackie statki, to pięknie je powitamy.

–Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

–Nieważne – odparł Yabu, wyczerpawszy cierpliwość.

Postanowił, że cudzoziemcy zginą, i rozkoszował się tą myślą. Edykt taikō, w którym wymieniano tylko „portugalskich barbarzyńców”, tych ludzi z pewnością nie obejmował, a poza tym tak czy owak byli oni piratami. Jak tylko sięgał pamięcią, nienawidził barbarzyńców, ich smrodu, brudu, obrzydliwego zwyczaju jedzenia mięsa, ich głupiej religii, zarozumiałości i obmierzłych manier. Co więcej, podobnie jak wszyscy daimyō, wstydził się, że trzymają za gardło tę Krainę Bogów. Japonia i Chiny od wieków toczyły ze sobą wojnę. Chiny nie pozwalały na handel. Chińskie ubrania z jedwabiu były nieodzowne, żeby znośnie przeżyć długie, gorące, wilgotne japońskie lato. Od pokoleń jedynie niewielkie ilości przemycanych materiałów prześlizgiwały się przez oka chińskiej sieci i były dostępne – po olbrzymich cenach – w Japonii. I wówczas, przed mniej więcej sześćdziesięcioma laty, przyłynęli pierwsi barbarzyńcy. Cesarz chiński w Pekinie wyznaczył im malutką stałą bazę w Makau na południu Chin i zgodził się wymieniać jedwab na srebro. Japonia miała srebra pod dostatkiem. Wkrótce rozwinął się handel, a oba kraje rozkwitły. Portugalscy pośrednicy wzbogacili się, a ich księża, głównie jezuici, wkrótce stali się dla tego handlu niezbędni. Jedynie oni zdołali się wyuczyć chińskiego i japońskiego, stąd też przypadła im rola negocjatorów i tłumaczy. Wraz z rozkwitem handlu niezbędność duchownych jeszcze bardziej wzrosła. Obecnie coroczna wymiana handlowa osiągnęła takie rozmiary, że wpływała na życie wszystkich samurajów. Tak więc tolerowano księży, tolerowano szerzenie przez nich religii, gdyż w przeciwnym razie

barbarzyńcy mogliby odpłynąć, a handel ustać.

Do tej pory na chrześcijaństwo przeszło już sporo bardzo wpływowych daimyō, a nawróciło się wieśset tysięcy Japończyków, których większość mieszkała na Kiusiu, południowej wyspie, leżącej najbliżej Chin i mającej w Nagasaki portugalski port. Tak, musimy tolerować księży i Portugalczyków, pomyślał Yabu, ale nie tych barbarzyńców, nie tych nowych niewiarygodnie złotowłosych i błękitnookich. Ogarnęło go podniecenie. Nareszcie mógł zaspokoić swoją ciekawość, jak też umierają barbarzyńcy, kiedy podda się ich torturom. A miał jedenastu ludzi, jedenaście różnych egzemplarzy ludzkich do wypróbowania. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego cierpienia innych sprawiają mu przyjemność. Wiedział tylko, że sprawiają, dlatego uważał je za pożądane i miłe.

–Ten statek, obcy, nieportugalski i piracki, zostaje skonfiskowany z całą zawartością – oznajmił. – Wszyscy piraci zostają skazani na natychmiastową...

Szczęka opadła mu ze zdumienia, bo ujrzał, że przywódca piratów nagle rzuca się na księdza, odrywa mu od pasa drewniany krzyż, łamie go na kawałki, ciska je na ziemię, a potem cos bardzo głośno wykrzykuje. Pirat natychmiast ukląkł, a kiedy strażnicy skoczyli ku niemu z uniesionymi mieczami, nisko pokłonił się daimyō.

–Stać! Nie zabijać go! – Yabu był zdumiony, że ktokolwiek mógł okazać się do tego stopnia zuchwały, by zachować się aż tak niegrzecznie w jego obecności. – Ci barbarzyńcy są niepojęci!

–Tak – przyznał mu Orni, w którego głowie wydarzenie to wyzwoliło masę pytań.

Jezuita nadal klęczał, ze wzrokiem utkwionym w kawałkach krzyża. Japończycy przyglądali się, jak trzęsącą się ręką sięga po zbezczeszczone drewno i podnosi je. Powiedział coś cichym, niemal łagodnym głosem do pirata. Z zamkniętymi oczami złożył dłonie i wolno zaczął poruszać ustami. Przywódca piratów bez jednego drgnienia przyglądał się Japończykom na podeście; patrzył bez zmrużenia powiek jasnoniebieskimi jak u syjamskiego kota oczami, siedząc przed plebejuszami ze swojej załogi.

–Omi-san – rzekł Yabu. – Najpierw chcę popłynąć na ten statek.

A potem zaczniemy. – Głos mu schryplł, kiedy pomyślał o przyjemności, jaką sobie obiecał. – Chcę zacząć od tego rudego na końcu szeregu, tego małego.

Orni nachylił się bliżej i ściszył głos.

–Zechciej mi wybaczyć, szanowny panie, ale coś takiego jeszcze się tu nie zdarzyło. Nie zdarzyło się od przyjazdu portugalskich barbarzyńców. Czyż krzyż nie jest dla nich świętym symbolem? Czyż nie okazują zawsze szacunku swoim kapłanom? Czyż

publicznie nie klękają przed nimi? Tak jak nasi chrześcijanie? Czyż księża nie mają nad nimi pełnej władzy? Przejdź do rzeczy.

–Wszyscy brzydzimy się Portugalczyków, wielmożny panie. Poza tymi z nas, którzy są chrześcijanami, ne? A może ci barbarzyńcy są więcej dla ciebie warci żywi niż martwi?

–Jak to?

–Ze względu na swoją wyjątkowość. Są przeciwnikami chrześcijan. Być może, mądry człowiek zdołałby jakoś wykorzystać tę nienawiść, czy też tę niereligijność, dla swoich celów. Oni należą do ciebie, panie, więc możesz z nimi zrobić, co chcesz. Ne?

Tak. I chcę, żeby cierpieli, pomyślał Yabu. Owszem, ale tym mogę się nacieszyć w każdej chwili. Posłuchaj Omiego, rzekł sobie. Dobry z niego doradca. Ale czy możesz mu w tej chwili ufać? Czy za jego słowami nie kryje się jakiś utajony powód? Zastanów się.

–Ikawa Jikkyu jest chrześcijaninem – usłyszał słowa bratanka, który wymienił imię i nazwisko jego znenawidzonego wroga, jednego z krewnych i sprzymierzeńców Ishido, włości którego graniczyły na zachodzie z jego prowincją. – Czy ten plugawy kapłan nie tam mieszka?

A może barbarzyńcy dostarczą ci pomysłu, jak zdobyć dostęp do całej prowincji Ikawy. A może i do prowincji Ishido. Kto wie, czy nawet nie do ziem pana Toranagi – dorzucił ostrożnie Orni.

Yabu przyjrzał się uważnie jego minie, próbując dociec, co się pod nią kryje. A potem przeniósł wzrok na statek. Nie miał już dłużej wątpliwości, że zesłali mu go bogowie. Tak. Ale czy był to dar czy też dopust?

Przedłożył bezpieczeństwo rodu ponad własne przyjemności.

–Zgoda – rzekł. – Ale najpierw złam mi tych piratów. Naucz ich zasad grzeczności. A zwłaszcza tego!

–Na rany Przenajświętszego Jezusa! – mruknął Vinck.

–Powinniśmy zmówić modlitwę – powiedział van Nekk.

–Jedną właśnie zmówiliśmy.

–Może lepiej zmówić jeszcze jedną. Panie Boże w niebiesiech, z chęcią wypiłbym pół kwarty brandy.

Stłoczono ich w głębokiej piwnicy, jednej z wielu, w których rybacy przechowywali ryby wysuszone na słońcu. Samuraje popędzili ich w gromadzie przez wioskowy plac, zmusili do zejścia na dół po drabinie, tak więc teraz siedzieli zamknięci pod ziemią. Wysoka na cztery kroki piwnica, miała wymiary pięć kroków na pięć, a ściany i podłogę z gołej ziemi. Zaopatrzony w podnoszoną klapę strop wykonano z desek, które były przykryte ziemią na grubość stopy.

–Zejdź mi z drogi, ty przeklęty małpiszonie!

–Zamknij gębę, ty wozignoju! – odparł żartobliwie Pieterzoon. – Ej, Vinck! Posuń się kawałek, ty stary bezzębny grzmocie, masz więcej miejsca niż my wszyscy! Boże, z jaką chęcią napiłbym się chłodnego piwa! Posuń się.

–Nie mogę, Pieterzoon. Jesteśmy ściśnięci ciasniej niż rzyć dziewicy.

–To przez dowódcę wyprawy. Zajął całą piwnicę. Przesuńcie go.

Obudźcie! – powiedział Maetsukker.

–Co? O co chodzi? Zostawcie mnie w spokoju. Co się dzieje? Jestem chory. Muszę leżeć. Gdzie jesteśmy?

–Zostawcie go. Jest chory. No, Maetsukker, wstań, jak Boga kocham. – Rozgniewany Vinck poderwał Maetsukkera z ziemi i pchnął go na ścianę. Na to, żeby wszyscy naraz mogli leżeć, a nawet wygodnie siedzieć, brakowało miejsca. Dowódca wyprawy, Paulus Spillbergen, z głową ułożoną na zwiniętym płaszczu, leżał wyciągnięty pod wejściem do piwnicy, bo było tam najwięcej powietrza. Blackthorne siedział wciśnięty w kąt i wpatrywał się w klapę. Załoga dała mu spokój i zaniepokojona trzymała się od niego w miarę możliwości na dystans, na podstawie długiego doświadczenia rozpoznając jego humor, tłącą się gwałtowną wybuchowość, która czaiła się pod zewnętrznym opanowaniem.

Maetsukker rozzłościł się i pięścią zdzielił Vincka między nogi.

–Jeżeli się ode mnie nie odczepisz, to cię zabiję, sukinsynu – zapowiedział.

Vinck rzucił się ha niego, ale Blackthorne pochwycił obu i trzasnął ich głowami o ścianę.

–Zamknijcie się, wszyscy! – rzekł cicho. Posłuchali go. – Po dzielimy się na wachty. Pierwsza śpi, druga siedzi, trzecia stoi. Spillber gen leży aż do wyzdrowienia. W tym kącie będzie latryna.

Podzielił ich. A kiedy od nowa się rozlokowali, zrobiło się znacznie znośniej.

Musimy się stąd wydostać przed upływem dnia, bo inaczej za bardzo osłabniemy, pomyślał Blackthorne. Zrobimy to, kiedy następnym razem przyniosą drabinę, żeby dać nam jeść i pić. Trzeba to zrobić wieczorem, dziś albo jutro. Dlaczego nas tu wtrącili? Przecież nikomu nie zagrażamy. Moglibyśmy pomóc temu daimyō. Czy zrozumie to? Nie miałem innego sposobu na pokazanie mu, że ten zakonnik jest naszym prawdziwym wrogiem. Czy to pojmie? Bo jezuita wszystko rozumiał.

–Może Bóg wybaczy ci to świętokradztwo, ale nie ja – powiedział mu bardzo cicho ojciec Sebastio. – Nie spocznę, dopóki nie zniszczę ciebie i twojego zła...

Po policzkach i brodzie Blackthorne'a spływał pot. Wytarł go z roztargnieniem uszami łowiąc dźwięki spoza ziemianki – tak jak wówczas, gdy był na pokładzie i spał lub na wachcie, a statek dryfował – na tyle czujny, by zawczasu dosłyszeć zbliżające się niebezpieczeństwo.

Musimy się stąd wydostać i zająć statek. Ciekawe, co porabia Felicity. I dzieci. Zaraz, Tudor ma teraz siedem lat, a Lisbeth... Z Amsterdamu wypłynęliśmy rok, jedenaście miesięcy i sześć dni temu, do tego dochodzi trzydzieści siedem dni na zaprowiantowanie i dopłynięcie tam z Chatham, a na koniec jeszcze jedenaście dni, które sobie liczyła w dniu mojego zaokrętowania. A więc dokładnie tyle wynosi jej wiek – jeżeli nic złego się nie przydarzyło. A nie powinno się nic przydarzyć. Felicity będzie gotowała, doglądała, sprzątała i paplała, a dzieci rosły, silne i odważne jak ich matka. Dobrze będzie znaleźć się z powrotem w domu, chodzić razem brzegiem morza, po lasach i polanach pięknej Anglii.

W ciągu lat nauczył się o nich myśleć jak o postaciach ze sztuki, ludziach, których się kocha i za których się cierpi, ze sztuki, która nie ma końca. W przeciwnym razie ból rozłąki byłby nie do zniesienia. Mógł niemal policzyć dni, które spędził w domu w ciągu jedenastu lat małżeństwa. Mało ich, pomyślał, bardzo mało. „Dla kobiety to ciężki los, Felicity” – powiedział kiedyś żonie. A ona odpowiedziała: „Los kobiety zawsze jest ciężki”. Miała wtedy siedemnaście lat, długie włosy, była wysoka, zmysło...

Uszy go ostrzegły.

Jego marynarze siedzieli, opierali się o ściany albo starali się zasnąć. Bardzo zaprzyjaźnieni ze sobą Vinck i Pieterzoon rozmawiali cicho. Van Nekk wraz z innymi gapił się w przestrzeń. Spillbergen był na wpół przytomny, ale Blackthorne podejrzewał, że jest silniejszy, niż się do tego przyznaje.

Zapadła nagła cisza, bo usłyszeli nad głowami kroki. Kroki zatrzymały się. Stłumione głosy rozbrzmiewały szorstką, dziwnie brzmiącą mową. Blackthorne'owi wydało się, że rozpoznaje głos tego samuraja – Omiego? Tak, tak miał na imię – niemniej nie był całkiem pewien. Po chwili głosy ucichły, a kroki oddaliły się.

–Myślisz, że dadzą nam jeść, pilocie? – spytał Sonk.

–Tak.

–Z chęcią bym się napił. Zimnego piwa, mój Boże – rzekł Pieterzoon.

–Nie gadaj – powiedział Vinck. – Przez ciebie człowiek tylko się poci.

Blackthorne czuł, że ma przeupoconą koszulę. Boże święty, z chęcią bym się wykąpał, pomyślał i nagle uśmiechnął się do wspomnień.

Tamtego wieczora Mura i pozostali zanieśli go do nagrzanego pomieszczenia i nadal całkiem odrętwiałego i spowolniałego w ruchach ułożyli na kamiennej ławie. Trzy kobiety, pod komendą tej staruchy, zaczęły go rozbierać. Próbował je powstrzymać, ale na jego najłżejszy ruch jeden z Japończyków dźgał go w nerw i obezwładniał, tak więc bez względu na to, jak mocno się pieklił i przeklinał, rozbierały go dalej, aż do naga. Rzecz nie w tym, że się wstydził obnażyć przed kobietą, ale w tym, że ludzie zawsze rozbierali się na osobności i że było to powszechnie przyjęte. A poza tym nie lubił, żeby go ktokolwiek rozbierał, tym bardziej niecywilizowani tubylcy. Ale zostać rozebrany publicznie niczym bezradne niemowlę i wymyтым wszędzie niczym dziecko w ciepłej, pianistej, pachnącej wodzie, a potem leżeć na wznak, podczas gdy tamte paplały i śmiały się, tego już było mu za wiele. Później zaś jego męskość podniosła się i im bardziej starał się do tego nie dopuścić, tym było gorzej – a przynajmniej tak sądził on, jednakże nie te kobiety. On się zawstydził, im zaś powiększyły się oczy. Chryste Panie, Boże Jedyny, nie mogę się czerwienić, modlił się w duchu, ale czerwienił się, co, jak się zdaje, tylko powiększało rozmiary jego przyrodzenia, na którego widok zdumiona staruszka klasnęła w dłonie i powiedziała coś, na co pozostałe skinęły głowami, ona zaś z podziwem pokręciła swoją i dodała jeszcze coś, na co również skinęły głowami.

–Kapitan-san, szanowna matka dziękuje ci za najwspanialszy widok w swoim życiu, teraz umrze szczęśliwa – powiedział mu z nadzwyczaj poważną miną Mura. A potem on i Japonki ukłonili się jednocześnie, on zaś, pojawiwszy niezwykle komizm tej sceny, zaczął się śmiać. To ich zaskoczyło, lecz potem także oni wybuchnęli śmiechem, a jemu śmiech odebrał męskie moce, co nieco zasmuciło staruszką, która wyraziła z tego powodu żal, przyprowadzając go tym o nowy napad śmiechu, Japończyków również. No a potem włożyli go delikatnie do okropnie gorącej wody i wkrótce nie mógł w niej dłużej wytrzymać, więc ponownie ułożyli go, ciężko dyszącego, na kamiennej ławie. Kobiety osuszyły go, po czym zjawił się ślepiec. Blackthorne nie miał pojęcia, czym jest masaż. Z początku próbował się opierać wnikającym w jego ciało palcom Japończyka, ale później ich magiczne działanie uwiodło go i wkrótce mruczał prawie niczym kot, kiedy palce niewidomego odnalazły węzły nerwowe i odblokowały krew bądź eliksir, który tkwił przyczajony tuż pod skórą, w mięśniach, w ścięgnach.

Następnie, dziwnie osłabionego, w półśnie, ułożono go na posłaniu, gdzie czekała już na niego dziewczyna. Okazała mu wielką cierpliwość i kiedy się przespał, odzyskał potencję, a potem, mimo że zajęło mu to aż tyle czasu, ostrożnie ją wziął.

Nie spytał jej o imię, a rano, kiedy napięty, zdenerwowany i mocno wystraszony Mura wyrwał go ze snu, dziewczyny już nie było.

Blackthorne westchnął. Życie jest cudowne, pomyślał.

W piwnicy Spillbergen znowu narzekał, Maetsukker trzymał jego głowę i jęczał, nie z bólu jednak, lecz ze strachu, młody Croocq zaś był bliski załamania...

–Masz jakiś powód do uśmiechu, pilocie? – zagadnął go Jan Roper.

–Idź do diabła.

–Z całym szacunkiem, pilocie – odezwał się ostrożnie van Nekk, głośno wypowiadając myśl, która ich nurtowała – ale postąpiłeś bardzo nierozważnie, atakując księdza na oczach tego parszywego żółtego sukinsyna.

Powszechnie, acz ostrożnie przyznano mu rację.

–Gdybyś go nie zaatakował, to wątpię, czybyśmy wpadli w takie tarapaty., Van Nekk nie ośmielił się zbliżyć do Blackthorne'a.

–Wystarczy tylko dotknąć czołem ziemi, kiedy ten jaśnie pan sukinsyn jest w pobliżu, a łagodnieją jak baranki.

Czekał na odpowiedź, ale Blackthorne mu jej nie udzielił, a tylko odwrócił się plecami do klapy w stropie. Wyglądało to tak, jakby nie powiedziano niczego. Niepokój uwięzionych wzrósł. Paulus Spillbergen z trudem uniósł się na łokciu.

–O czym ty mówisz, Baccusie? – spytał.

Van Nekk podszedł do niego, opowiedział mu o księdzu i o krzyżu, co się stało potem i dlaczego są tutaj, oczy zaś dokuczały mu jak jeszcze nigdy.

–Tak, było to niebezpieczne posunięcie, naczelnny pilocie – orzekł Spillbergen. – Tak jest, uważam, że całkiem błędne... podajcie mi wody, proszę. Teraz jezuici już się od nas nie odczepią.

–Powinieneś był mu skrócić kark, pilocie. Bo jezuici tak czy owak się od nas nie odczepią – powiedział Jan Roper. – Jezuici to obmierzłe wszy, a my siedzimy w tej cuchnącej norze, bo Bóg nas pokarał.

–Bzdury gadasz, Roper – rzekł Spillbergen. – Jesteśmy tu, ponie...

–To kara boska! Powinniśmy byli spalić wszystkie kościoły w Santa Magdellana, a nie tylko dwa. Powinniśmy to byli zrobić. Te siedliska Szatana!

Spillbergen słabowicie klapnął muchę.

–Oddziały hiszpańskie przegrupowały się i były piętnaście razy liczniejsze od nas. Dajcie mi wody! Splądrowaliśmy to miasto, wzięliśmy łupy i przytarliśmy im nosa. Gdybyśmy tam pozostali, zabiliby nas...

–A czy to ważne, jeżeli wypełnia się dzieło Boże? Zawiedliśmy Go.

–Może trafiliśmy tutaj, żeby je wypełnić – rzekł pojednawczo van Nekk, ponieważ Roper, chłop porządny, choć może zbyt gorliwy, był rozsądnym kupcem i synem jego wspólnika. – Może będziemy mogli wykazać tubylcom, że praktyki papistów są błędne. Może uda nam się nawrócić ich na Prawdziwą Wiarę.

–Święta racja – przyznał Spillbergen. Nadal był osłabiony, ale wracał do sił. – Myślę, że powinieneś poradzić się Baccusa, naczelnego pilota. W końcu jest naszym głównym kupcem. Bardzo dobrze umie pertraktować z dzikusami. Powiedziałem, żebyście mi dali wody!

–Nie ma wody, Paulusie – odparł van Nekk, jeszcze – bardziej przygnębiony. – Nie dali nam ani jedzenia, ani wody. Nie mamy się nawet do czego załatwić.

–No, to zażądajcie! Także wody! Boże w niebiesiech, chce mi się pić. Zażądajcie wody! Ty!

–Ja? – spytał Vinck.!

–Tak. Ty.

Vinck spojrzał na Blackthorne'a, ale ten, nie zwracając na nich uwagi, wpatrywał się w klapę. Vinck stanął więc pod otworem wejściowym i krzyknął:

–Hej! Wy tam! Dajcie nam wody, psia mać! Chcemy jedzenia i wody!

Nie było odpowiedzi. Krzyknął znowu. Żadnej reakcji. Stopniowo do jego krzyków dołączyli ze swoimi pozostali. Wszyscy oprócz Blackthorne'a. Wkrótce do ich głosów wkradła się panika i obrzydzenie spowodowane ciasnotą więzienia, zaczęli więc wyć jak wilki.

Otworzono klapę. Z góry spojrzał na nich Omi. Obok niego stał Mura. I portugalski zakonnik.

–Wody! Jedzenia, na miły Bóg! Wypuście nas stąd!

Bardzo szybko znowu wszyscy podnieśli krzyk.

Orni dał znak Murze, a ten skinął głową i odszedł. W chwilę później powrócił z drugim rybakiem, dźwigając wraz z nim dużą beczkę.

A potem wylali jej zawartość – gnijące resztki ryb i wodę morską – na głowy uwięzionych.

Zamknięci w ziemiance rozpierzchli się, starając się uciec, ale nie wszyscy mogli. Spillbergen dławił się, bliski utonięcia. Paru poślizgnęło się i stratowali ich inni. Blackthorne nie ruszył się z kąta. Jedynie z nienawiścią świdrował wzrokiem Omiego.

A potem Orni przemówił. Zastraszeni siedzieli w ciszy, przerywanej jedynie kaszlem i odgłosami wydawanymi przez wymiotującego Spillbergena. Kiedy Orni skończył, do otworu w suficie zbliżył się nerwowo jezuita.

–Oto rozkazy, jakie wydał Kasigi Orni. Zaczniecie się zachowywać jak przystało na ludzi. Nie będziecie więcej hałasować. Jeżeli to zrobicie, następnym razem do piwnicy zostanie wlanych pięć beczek. Potem dziesięć, potem dwadzieścia. Jedzenie i wodę będziecie dostawać dwa razy dziennie. Kiedy nauczycie się zachowywać jak należy, pozwoli się wam wrócić do świata ludzi. Pan Yabu miłosiernie oszczędził was, stawiając warunek, że będziecie mu wiernie służyć. Oszczędził wszystkich, oprócz jednego. Jeden z was umrze. O zmierzchu. Sami go wybierze spośród siebie. Ale ty – zakonnik wskazał na Blackthorne'a – ty jeden nie możesz być wybrany.

Mocno skrępowany ojciec Sebastio odetchnął głęboko, złożył samurajowi półukłon i cofnął się.

Orni zajrzał do piwnicy. Dostrzegł wzrok Blackthorne'a i wyczuł jego nienawiść. Trudno go będzie złamać, pomyślał. Ale nie szkodzi. Jest na to dość czasu.

Kłapa zatrzaskała się.

3.

Leżący w ciepłej kąpieli Yabu był zadowolony i tak pewny siebie, jak jeszcze nigdy w życiu. Barbarzyński statek okazał się bogaty, jemu zaś to bogactwo dawało władzę, o jakiej nawet nie marzył.

–Chcę, żeby jutro wszystko przewieziono na brzeg – powiedział. – Przepakujcie muszkiety w skrzyniach. Zamaskujcie wszystko sieciami albo materiałem na worki.

Pięćset muszkietów, pomyślał rozradowany. A prochu strzelniczego i kul więcej niż Toranaga ma we wszystkich Ośmiu Prowincjach. Do tego dwadzieścia dział, pięć tysięcy kul armatnich i pod dostatkiem materiałów strzelniczych. Całe skrzynie ognistych strzał. Wszystkie najlepszej europejskiej jakości.

–Mura, dostarczysz tragarzy – rozkazał. – Igurashi-san, chcę, żeby całe uzbrojenie, włącznie z armatami, bezzwłocznie przewieziono potajemnie do mojego zamku w Mishimie. Odpowiadasz za to.

–Tak, wielmożny panie.

Znajdowali się wtedy w głównej ładowni statku, a wszyscy byli wpatrzeni w niego – Igurashi, wysoki, gibki, jednooki dowódca jego świty, Zukimoto, jego kwatermistrz, dziesięciu spoconych wieśniaków, którzy pod nadzorem Mury otwierali skrzynie, oraz czterech samurajów z jego straży przybocznej. Był pewien, że nie rozumieją jego rozradowania ani konieczności zachowania wszystkiego w tajemnicy. To dobrze, pomyślał.

Kiedy w 1542 roku Portugalczycy odkryli Japonię, wprowadzili tu muszkiety i proch. W ciągu osiemnastu miesięcy Japończycy sami zaczęli je wytwarzać. Wprawdzie ich jakość nie umywała się do wyrobów europejskich, ale nie było to istotne, gdyż broń palną traktowano tu za ledwie jako nowinkę i przez dłuższy czas używano jej wyłącznie do polowań, a i tak łuki były o wiele celniejsze. Ponadto zaś, co ważniejsze, wojowanie w Japonii stanowiło niemalże rytuał i w bezpośredniej walce wręcz miecz był najszlachetniejszą bronią. Używanie broni palnej uchodziło za tchórzliwe, za nieszlachetne i całkowicie sprzeczne z kodeksem samurajskim, bushido, który zobowiązywał samuraja do honorowej walki, honorowego życia i honorowej śmierci. Do dożgonnej, bezzwzględnej wierności jednemu feudalnemu panu. Do nieustraszonej śmierci, a nawet do szukania jej na służbie. Do dumy z własnego nazwiska i utrzymywania go bez skazy.

Całe Jata Yabu pielęgnował w sekrecie pewną teorię. Nareszcie będzie mógł ją rozwinąć i wprowadzić w czyn, pomyślał rozradowany. Pięćset doborowych samurajów uzbrojonych w muszkiety, ale wyćwiczonych do działania w formacji, na czele dwunastu tysięcy konwencjonalnego wojska, wspomaganego przez

dwadzieścia dział używanych w specjalny sposób przez specjalnych żołnierzy, również wyćwiczonych do działania w grupie. Nowa strategia dla nowej ery! W nadchodzącej wojnie o zwycięstwie rozstrzygnie broń palna!

A co z bushido? – zapytywały nieodmiennie duchy jego przodków.

A co z bushido? – odpowiadał im nieodmiennie.

Nigdy nie dały mu odpowiedzi.

Nigdy, w najśmielszych marzeniach nie sądził, że kiedykolwiek będzie go stać na pięćset muszkietów. Ale teraz miał je za darmo i tylko on jeden wiedział, jaki z nich zrobić użytek. Ale użyć ich po czyjej stronie? Toranagi czy Ishido? A może poczekać... i może samemu zostać ostatecznym zwycięzcą?

–Igurashi-san. Będziesz jechał nocą i zachowasz skrajne środki bezpieczeństwa – powiedział.

–Tak, panie.

–Ma to pozostać w tajemnicy, Mura, bo inaczej twoja wioska przestanie istnieć.

–Nikt nic nie powie, wielmożny panie. Ręczę za swoją wieś. Nie mogę jednak ręczyć za to, co się stanie w podróży, ani też za inne wsie. Kto wie, gdzie siedzą szpiedzy. Ale my nic nie powiemy.

Potem zaś Yabu poszedł do skarbcza. To, co tam znalazł, uznał za piracki łup – srebrne i złote talerze, puchary, świeczniki i ozdoby, trochę religijnych malowideł w zdobionych ramach. W kufrze były kobiece szaty, starannie wyhaftowane złotymi niciami i przybrane kolorowymi kamieniami.

–Srebro i złoto każę przetopić w sztabki i schowam do skarbcza – powiedział Zukimoto, schludny, pedantyczny czterdziestokilkuletni mężczyzna, który nie był samurajem. Przed laty był buddyjskim kapłanem-wojownikiem, ale taikō zniszczył jego klasztor w trakcie kampanii oczyszczania cesarstwa z wojowniczych klasztorów i sekt buddyjskich, które nie uznałyby jego absolutnego feudalnego zwierzchnictwa. Zukimoto wykupił się od śmierci w młodym wieku łapówką i został Dōmokrażcą, a w końcu drobnym kupcem handlującym ryżem. Dziesięć lat temu dołączył do intendencji Yabu i od tej chwili stał się niezastąpiony.

–Co do tych szat, to być może te złote nici i klejnoty są coś warte. Za twoim pozwoleniem, panie, każę je zapakować i odesłać do Nagasaki ze wszystkim, co zdołam ocalić – rzekł.

Port Nagasaki na najdalej wysuniętym na południe wybrzeżu południowej wyspy

Kiusiu był legalnym portem przeładunkowym i rynkiem handlowym Portugalczyków.

–Barbarzyńcy mogą dobrze zapłacić za te drobiazgi – dodał.

–Dobrze. A co z tymi belami w drugiej ładowni?

–To samo grube sukno. Dla nas całkowicie nieprzydatne, panie, bez żadnej wartości rynkowej. Natomiast to powinno cię ucieszyć – rzekł Zukimoto i otworzył kasę pancerną.

Zawierała dwadzieścia tysięcy bitych sztuk srebra. Hiszpańskich dublonów. Najlepszej jakości.

Yabu poruszył się w kąpieli. Otarł pot z twarzy i szyi małym białym ręcznikiem i zanurzył się głębiej w gorącej, wonnej wodzie. Gdyby trzy dni temu, pomyślał, wróżbita przepowiedział mi, że zdarzy się to wszystko, to kazałbym mu zjeść własny język za to, że tak straszliwie łże.

Trzy dni temu przebywał w Edo, stolicy pana Toranagi. Wiadomość od Omiego nadeszła o zmięczeniu. Oczywiście sprawę statku należało zbadać natychmiast. Jednakże Toranaga nadal bawił w Osace, żeby stawić czoło generałowi Ishido, a pod swoją nieobecność zaprosił Yabu i wszystkich zaprzyjaźnionych daimyō z ościennych prowincji do siebie, żeby czekali na jego powrót. Takiego zaproszenia nie można było odrzucić bez fatalnych następstw. Yabu wiedział, że i on, i pozostali daimyō wraz z rodzinami służą zwiększeniu bezpieczeństwa Toranagi, będąc – choć naturalnie słowo to nigdy nie padło – zakładnikami mającymi zagwarantować, że szczęśliwie powróci ze spotkania regentów W niezdobytej twierdzy przeciwnika w Osace. Toranaga przewodniczył Radzie Regencyjnej, którą na łożu śmierci powołał taikō, by rządziła cesarstwem w czasie niepełnoletności jego, siedmioletniego w tej chwili, syna Yaemona, Regentów, samych znamienitych daimyō, było wprawdzie pięciu, lecz tylko Toranaga i Ishido posiadali prawdziwą władzę.

Yabu starannie rozważył wszystkie powody przemawiające za jazdą do Anjiro, niebezpieczeństwa z nią związane, a także racje za tym, żeby zostać. Potem zaś posłał po swoją żonę i ulubioną konkubinę. Konkubina była legalną kochanką. Mężczyzna mógł mieć tyle konkubin, ile chciał, lecz tylko jedną żonę naraz.

–Mój bratanek Orni przysłał mi potajemnie wieść, że do brzegu w Anjiro podpłynął barbarzyński statek – oznajmił im.

Któraś z Czarnych Karawel? – spytała jego podekscytowana zona.

Karawele te były wielkimi, niewiarygodnie zasobnymi statkami handlowymi, które co roku kursowały w porze monsunowych wiatrów pomiędzy Nagasaki a portugalską kolonią Makau, leżącą prawie tysiąc mil na południe na kontynencie, w Chinach.

–Nie. Ale może mieć cenny ładunek. Natychmiast tam jadę. Powiesz, że zachorowałem i pod żadnym pozorem nie wolno mnie niepokoić. Wrócę za pięć dni.

–To ogromnie niebezpieczne – ostrzegła go żona. – Pan Toranaga wyraźnie rozkazał nam zostać. Jestem pewna, że zawrze następną ugodę z Ishido, a jest przecież za potężny, żeby go sobie zrażać. Nie mamy żadnej gwarancji, że ktoś nie domyśli się prawdy, panie, a szpiedzy są wszędzie. Gdyby Toranaga powrócił i nie zastał ciebie, to twoja nieobecność byłaby niewłaściwie odczytana. Twoi wrogowie zatrują jego myśli i nastawią go przeciwko tobie.

–Tak – dodała jego konkubina. – Zechciej mi wybaczyć, panie, ale musisz posłuchać się swojej wielmożnej małżonki. Ma rację. Pan Toranaga nigdy nie uwierzyłby, że okazałeś mu nieposłuszeństwo tylko dlatego, że chciałeś zobaczyć barbarzyński statek. Wyślij, proszę, kogoś innego.

–Ale to nie jest zwykły barbarzyński okręt. On nie jest portugalski! Posłuchajcie. Orni twierdzi, że jest z innego kraju. Ci ludzie porozumiewają się inaczej brzmącym językiem, a w dodatku mają niebieskie oczy i złote włosy!

–Omi-san zwariował. Albo wypił za dużo sake – odpowiedziała na to jego żona.

–To zbyt poważna sprawa, żeby sobie z tego stroić żarty, i dla niego, i dla ciebie.

Żona ukloniła mu się, przeprosiła i przyznała, że słusznie ją skarcił, ale że nie powiedziała tego żartem. Była drobną, chudą kobietą o dziesięć lat starszą od niego, i przez osiem lat z rzędu co roku rodziła mu dzieci, w tym pięciu synów, aż wreszcie jej łono wyjałowiało. Trzech z nich zostało wojownikami i polegli bohatersko na wojnie z Chinami. Czwarty został buddyjskim kapłanem, ostatnim zaś, liczącym w tej chwili dziewiętnaście lat, Yabu gardził.

Jego żona, pani Yuriko, była jedyną kobietą, przed którą czuł respekt, jedyną, którą cenił – oprócz swojej już nieżyjącej matki – a rządziła ona jego domem z pomocą jedwabnego bata.

–Raz jeszcze proszę cię o wybaczenie – powiedziała. – Czy Omi-san określił szczegółowo ładunek?

–Nie. Nie sprawdzał go, Yuriko-san. Donosi, że zapieczętował ten statek natychmiast, bo taki jest niezwykły. Jeszcze nie było tutaj nieportugalskiego statku, nie? Twierdzi też, że jest uzbrojony. Na pokładach ma dwadzieścia dział.

–O! W takim razie ktoś musi tam natychmiast jechać.

–Sam pojedę.

–Zastanów się nad tym, proszę. Poślij Mizuno. Twój brat jest inteligentny i mądry. Błagam cię, nie jedź.

–Mizuno ma słaby charakter i nie można mu ufać.

Wobec tego każ mu popęlić seppuku i pozbądź się go – odparła szorstko.

Seppuku, zwane niekiedy harakiri, rytualne samobójstwo przez rozprucie sobie brzucha, było jedynym sposobem, w jaki samuraj mógł zmazać każdą hańbę, grzech albo utratę honoru, i wyłącznym przywilejem kasty samurajskiej. Wszystkich samurajów, zarówno mężczyzn, jak kobiety, od dzieciństwa przygotowywano bądź do samej ceremonii, bądź do udziału w niej w roli sekundanta. Kobiety popełniały seppuku wyłącznie przez podcięcie sobie nożem gardła.

–Później, nie teraz – odpowiedział Yabu żonie.

–W takim razie poślij Zukimoto. Jemu na pewno można ufać.

–Gdyby Toranaga nie rozkazał pozostać tutaj także wszystkim żonom i konkubinom, to posłałbym cię. Ale to zbyt niebezpieczne. Muszę jechać. Nie mam, wyboru. Powiedziałaś, Yuriko-san, że mój skarbiec jest pusty. Twierdzisz, że ci parszywi lichwiarze nie chcą nam już udzielać kredytu. Zukimoto mówi, że od wieśniaków ściągamy już najwyższą daninę. A muszę mieć więcej koni, uzbrojenia, broni i więcej samurajów. Może ten statek zapewni mi na to środki.

–Rozkazy pana Toranagi są zupełnie jasne, panie. Jeżeli wróci i odkryje...

–Tak. Jeżeli wróci, pani. A ja nadal uważam, że wpadł w pułapkę. Pan Ishido ma osiemdziesiąt tysięcy samurajów w samym tylko zamku w Osace i jego okolicach. Toranaga postąpił jak szaleniec, wybierając się tam z kilkuset wojownikami.

–Jest o wiele za mądry, żeby bez potrzeby się narażać – odparła z przekonaniem.

–Gdybym był Ishido i miał go w ręku, zabiłbym go natychmiast.

Tak – powiedziała Yuriko. – Ale matka następcy jest nadal zakładniczką w Edo, aż do powrotu Toranagi. Generał Ishido nie ośmielił się tknąć Toranagi, dopóki ona nie powróci bezpiecznie do Osaki...

–Zabiłbym go. Nieważne, czy pani Ochiba żyje, czy zginie.

Następca jest w Osace bezpieczny. Śmierć Toranagi gwarantuje mu odziedziczenie władzy. Toranaga jest jedynym rzeczywistym zagrożeniem dla następcy, jedynym, który ma szansę posłużyć się Radą Regentów, przywłaszczyć sobie władzę taikō i zabić chłopca.

–Zechciej mi wybaczyć, panie, ale może generał Ishido przeciągnie na swoją stronę trzech pozostałych regentów, postawią pana Toranagę w stan oskarżenia i to będzie jego koniec, ne? – spytała konkubina.

–Tak, pani, Ishido zrobiłby to, gdyby mógł, ale wątpię, czy może w tej chwili, tak samo Toranaga. Taikō wybrał tych pięciu regentów bardzo chytrze. Gardzą sobą nawzajem do tego stopnia, że jest prawie niemożliwe, aby się w jakiejś sprawie zgodzili.

Przed przejściem władzy pięciu wielkich daimyō zaprzysięgło wieczną wierność umierającemu taikō, jego synowi i rodowi. Publicznie złożyli świętą przysięgę, zgadzając się na zasadę jednomyślności w Radzie, i zobowiązali się solennie do przekazania nie uszczuplonej władzy Yaemonowi, kiedy skończy piętnaście lat.

–Zasada jednomyślności oznacza, że w istocie niczego nie można zmienić aż do przekazania władzy Yaemonowi – dokończył Yabu.

–Ale kiedyś, panie, czterech regentów zjednoczy się przeciwko jednemu – z zazdrości, obawy albo ambicji, ne? Czterech nagnie rozkazy taikō na tyle, żeby wywołać wojnę, ne?

–Tak. Ale byłaby to mała wojna, pani, więc ten jeden zawsze będzie rozgromiony, jego ziemie rozdzielone pomiędzy zwycięzców, którzy będą musieli wyznaczyć piątego regenta, a po jakimś czasie czterech stanie znowu przeciwko jednemu, który znów zostanie rozgromiony, jego ziemie zaś odebrane, dokładnie tak, jak sobie zaplanował taikō. Moim jedynym zmartwieniem jest rozstrzygnięcie, kto to będzie tym razem – Ishido czy Toranaga.

–Tym, który zostanie sam, będzie Toranaga.

–Dlaczego?

Pozostali za bardzo się go obawiają, ponieważ wiedzą, że skrycie pragnie zostać shogunem, choćby nie wiem jak mocno się tego wypierał. Shogun był najwyższym stanowiskiem, jakie śmiertelnik mógł osiągnąć w Japonii. Shogun oznaczał tytuł najwyższego wojskowego dyktatora. Mógł go posiadać w określonym czasie tylko jeden daimyō. I tylko Jego Cesarska Wysokość, władający cesarz, Boski Syn Niebios, który żył w odosobnieniu z Cesarską Rodziną w Kioto, mógł go przyznać.

W parze z mianowaniem na shōguna szła absolutna władza – cesarska pieczęć i mandat. Shōgun rządził w imieniu cesarza. Cała władza pochodziła od cesarza, gdyż jego ród wywodził się bezpośrednio od bogów. Dlatego każdy daimyō, który przeciwstawiał się shōgunowi, chcąc nie chcąc buntował się przeciwko tronowi cesarskiemu, od razu stawał się wyrzutkiem, a jego dobra ulegały konfiskacie.

Panujący cesarz był czczony jako bóstwo, ponieważ pochodził w prostej linii od bogini słońca Amaterasu Omikami, córki bóstw Izanagi i Izanami, które ze sklepienia niebieskiego stworzyły wyspy Japonii. Z mocy boskiego prawa do władającego cesarza należała cała ta ziemia, a władał on i miał posłuch absolutny. W praktyce jednak od ponad sześciu wieków prawdziwa władza spoczywała poza cesarskim tronem.

Sześć wieków temu miał miejsce rozłam, kiedy to dwa z trzech rywalizujących ze sobą półkrólewskich rodów samurajskich, Minowara, Fujimoto i Takashima, poparły cesarskich rywali roszczących sobie pretensje do tronu i pogrążyły kraj w wojnie Dōmowej. Po sześćdziesięciu latach ród Minowara pokonał ród Takashima, ród Fujimoto zaś, który zachował neutralność, czekał na swój moment.

Od tamtej pory, zazdrośnie strzegąc swojej władzy, shōgunowie Minowara zdominowali cesarstwo, ogłosili swój shōgunat dziedzicznym i żenić poczęli niektóre ze swych córek z przedstawicielami rodziny cesarskiej. Cesarz i jego dwór byli trzymani w całkowitym odosobnieniu w otoczonych murami pałacach i ogrodach w niewielkiej enklawie w Kioto, przeważnie cierpiąc niedostatek, a ich działalność ograniczała się wciąż do przestrzegania obrzędów shintō, starożytnej animistycznej religii japońskiej, oraz do zajęć umysłowych, takich jak kaligrafia, malarstwo, filozofia i poezja.

Dwór Syna Niebios był łatwy do zdominowania, bo choć do niego należała cała ziemia, to nie czerpał z niej żadnych dochodów. Tylko daimyō, tylko samuraje czerpali z niej dochody i mieli prawo nakładać podatki. Tak więc chociaż wszyscy członkowie dworu cesarskiego stali w hierarchii wyżej od samurajów, to żyli jednak z zasiłków przydzielanych dworowi wedle widzimisię shōguna, kampaku – państwowego głównego doradcy, bądź też przez klikę wojskową, która akurat dzierżyła władzę. Niewielu z tych ludzi było szczodrych. Niektórzy cesarze musieli nawet wymieniać swoje podpisy za jedzenie. Wielokrotnie brakowało pieniędzy na koronację.

Wreszcie shōgunowie Minowara stracili władzę na rzecz innych – potomków rodów Takashima i Fujimoto. A kiedy wojny z nie słabnącą siłą ciągnęły się przez stulecia, cesarz coraz bardziej i bardziej stawał się zabawką w ręku tego daimyō, który był na tyle silny, żeby sięgnąć po władzę nad Kioto. Z chwilą gdy nowy zdobywca Kioto zabił panującego shōguna i jego potomków, uniżenie – pod warunkiem, że pochodził z rodów Minowara, Takashima albo Fujimoto - zaprzysięgał posłuszeństwo tronowi cesarskiemu i pokornie prosił ubezwłasnowolnionego cesarza, żeby przyznał mu akurat wolne stanowisko shōguna. Potem zaś, tak jak jego poprzednicy, starał się rozszerzyć swoje panowanie poza Kioto, dopóki jego z kolei nie połknął następny rywal. Cesarze żenili się, abdykowali albo wstępowali na tron wedle zachcianek shōgunatu. Ale zawsze ich rodowód pozostawał nieprzerwany i nieskazitelny.

Tak więc shōgun był wszechwładny.

Wielu shōgunów zostało w ciągu wieków wysadzonych z siodła, a cesarstwo rozdrobniło się tymczasem na jeszcze mniejsze części. Przez ubiegłych sto lat żaden daimyō nie był na tyle potężny, żeby stać się shōgunem. Dwanaście lat temu chłopski generał Nakamura doszedł do takiej potęgi i uzyskał od panującego cesarza, Go-Nijo, mandat. Ale Nakamura, choćby nie wiem jak tego pragnął, nie mógł jednak otrzymać tytułu shōguna, gdyż urodził się chłopem. Musiał się więc zadowolić znacznie skromniejszym tytułem państwowym kampaku – Głównego Doradcy, później zaś, gdy przekazał ten tytuł swemu nieletniemu synowi Yaemonowi – zachowując wszakże, w zgodzie ze zwyczajem, pełnię władzy – poprzestać na tytule taikō. Z mocy historycznej tradycji jedynie potomkowie rozgałęzionych, starożytnych, półboskich rodów Minowara, Takashima i Fujimoto mieli prawo do tytułu shōguna.

Toranaga pochodził z rodu Minowara. Yabu mógł się doszukać swoich protoplastów w dosyć niepewnej, drugorzędnej gałęzi rodu Takashima, co w fazie czego było koligacją, która wystarczała do objęcia najwyższej władzy.

–Iiii, pani – powiedział – naturalnie, że Toranaga chce zostać shōgunem, ale nigdy mu się to nie uda. Pozostali regenci gardzą nim i się go boją. Unieszkodliwią go, tak jak to zamyslił taikō. – Pochylił się do przodu i bacznie przyjrzał żonie. – Powiadasz, że Toranaga przegra z Ishido?

A ponadto, że ma chorą wątrobę i umrze najdalej za dwa lata. Zabiją go sake i prawdopodobnie środki wzmagające potencję.

–Jesteś silny, jak na swój wiek, Yabu-sama – rzekł.

–Ty również. Ile masz lat, Suwo?

Starzec zaśmiał się, ale jego palce nie przestały się poruszać.

–Jestem najstarszym człowiekiem na świecie, moim świecie. Wszyscy moi znajomi już od dawna nie żyją. Na pewno mam ponad osiemdziesiąt lat, trudno powiedzieć. Służyłem u pana Yoshiego Chikitady, dziadka pana Toranagi, kiedy lenno jego rodu było nie większe od tej wsi. A nawet przebywałem w obozie tego dnia, kiedy go zamordowano.

Yabu wysiłkiem woli powstrzymał się od napięcia rozluźnionych mięśni, ale wyostrzył uwagę i zaczął bacznie słuchać...

–To był ponury dzień, Yabu-sama. Nie wiem, ile liczyłem wtedy lat... ale głos miałem jeszcze dziecięcy. Mordercą był Obata Hiro, syn jego najpotężniejszego sojusznika. Być może znasz, panie, tę historię, o tym, jak ów młodzian zdjął panu Chikitadzie głowę z karku jednym uderzeniem miecza. Była to klinga Murasamy i stąd właśnie

wziął się przesąd, że wszystkie klingi tego mistrza są nieszczęśliwe dla rodu Yoshi.

Czy opowiada mi to dlatego, że ja sam posiadam miecz Murasa my? – zadał sobie pytanie Yabu. Znam wielu, którzy je mają. A może jest to zwyczajny stary człowiek, który wspomina niezwykły dzień ze swojego długiego życia?, Jaki był dziadek Toranagi? – spytał, żeby wybadać Suwo, udając brak zainteresowania.

–Wysoki, Yabu-sama. Powiedziałbym, że wyższy od ciebie i znacznie szczuplejszy. W dniu śmierci miał dwadzieścia pięć lat – odparł z ożywieniem Suwo. – liiii, Yabu-sama, w wieku dwunastu lat był już wojownikiem, a gdy miał piętnaście, władcą, bo jego ojciec zginął w potyczce. Pan Chikitada był już wówczas żonaty i zdążył spłodzić syna. Szkoda, że pisane mu było zginąć. Obata Hiro był zarówno jego przyjacielem, jak wasalem, a miał wtedy siedemnaście lat. Ktoś jednakże zatrul umysł młodego Obaty, podszeptując mu, że Chikitada planuje zabić podstępnie jego ojca. Oczywiście były to same kłamstwa, lecz nie wróciło to życia Chikitadzie, żeby nam znów przewodził. Młody Obata ukląkł przed jego ciałem i trzy razy się uklonił. Powiedział, że dokonał owego czynu z synowskiego szacunku dla ojca i chce odpokutować za obrazę nas i naszego rodu popełniając seppuku. Zezwolono mu na to.

Najpierw własnoręcznie obmył głowę Chikitady i umieścił ją na szacownym miejscu. Potem zaś otworzył sobie brzuch i skonał mężnie, bardzo uroczyście, a jeden z naszych posłużył za sekundanta i jednym uderzeniem miecza ściał mu głowę. Później ojciec Obaty przyszedł po synowską głowę i miecz Murasamy. Źle się nam zaczęło wieść. Jedyne go syna pana Chikitady zabrano gdzieś jako zakładnika, a dla części naszego rodu nastaly złe czasy. Było to...

–Kłamiesz, stary. Wcale cię tam nie było. – Yabu obrócił głowę i spojrzał groźnie na masażystę, który w jednej chwili zmarł. – Po śmierci Obaty ten miecz złamano i zniszczono.

–Nie, Yabu-sama. To legenda. Widziałem, jak jego ojciec przyszedł i zabrał jego głowę i miecz. Któż chciałby zniszczyć takie dzieło sztuki? Byłoby to świętokradztwo. Zabrał go jego ojciec.

–A co z nim zrobił?

–Nikt nie wie. Niektórzy mówili, że wrzucił go do morza, bo kochał i szanował naszego pana Chikitadę jak brata. Inni mówili, że zakopał miecz i że czeka on w ukryciu na jego wnuka, Yoshiego Toranagę.

–A według ciebie, co z nim naprawdę zrobił?

–Wrzucił do morza.

–Widziałeś to?

–Nie.

Yabu znowu się położył, a palce ślepcy przystąpiły do działania. Myśl, że ktoś jeszcze prócz niego wie, że ów miecz nie został złamany, dziwnie go poruszyła. Powinieneś zabić Suwo, pomyślał. Dlaczego? Jakże ślepiec mógłby rozpoznać tę klingę? Jest podobna do innych mieczów Murasamy, a rękojeść i pochwa były w ciągu lat wielokrotnie zmieniane. Nikt nie wie, że twój miecz to miecz, który w coraz większej tajemnicy przechodził z rąk do rąk wraz z rosnącą potęgą Toranagi. Po co więc zabijać Suwo? To, że żyje, dodaje temu wszystkiemu smaku. Podnieca cię. Zostaw go przy życiu – możesz go przecież zabić, kiedy tylko zechcesz. Tymże mieczem.

Myśl ta ucieszyła Yabu, jeszcze raz cudownie odprężony swobodnie pograżył się w marzeniach. Już niedługo będę na tyle potężny, żeby nosić mój miecz Murasamy w obecności Toranagi, pomyślał. Kiedyś być może opowiem mu historię tej klingi.

–A co zdarzyło się potem? – spytał chcąc, żeby go ukołysał głos starca.

–Zwyczajnie, nastaly dla nas złe czasy. Był to rok wielkiego głodu, tak więc po śmierci mojego pana zostałem roninem.

Roninowie byli to nie posiadający ziemi albo pana chłopci żołnierze bądź też samuraje, którzy wskutek okrycia się hańbą lub utraty władcy zmuszeni byli tułać się po kraju, aż jakiś inny pan przyjął ich na służbę. Roninom bardzo trudno było znaleźć nowe zatrudnienie. Brakowało żywności, niemal wszyscy mężczyźni zajmowali się żołnierką, a obcym rzadko ufano. Większość band zbójceckich i korsarskich, które trapiły kraj i wybrzeże, składało się z roninów.

Tamten rok i następny były bardzo złe. Walczyłem dla każdego – tu bitwa, tam potyczka. W zamian za jedzenie. I wtedy usłyszałem, że na Kiusiu jest w bród żywności, więc ruszyłem na zachód. Tej zimy znalazłem sobie miejsce w świątyni. Udało mi się najać na strażnika buddyjskiego klasztoru. Walczyłem dla nich przez pół roku, broniąc klasztoru i jego pół ryżowych przed bandytami. Klasztor znajdował się blisko Osaki i w tamtych czasach, na długo przedtem, nim taikō wytępił większość grasujących zbójców, było ich tylu, co komarów na bagnach. Któregoś dnia wpadliśmy w pułapkę i zostawiono mnie dogorywającego. Znaleźli mnie pewni mnisi i wyleczyli rany. Ale nie mogli przywrócić mi wzroku.

Dotyk palców Suwo wnikał w ciało Yabu coraz głębiej.

–Przydzielili mnie niewidomemu mnichowi, od którego wyuczyłem się masażu i ponownego widzenia za pomocą palców. Myślę, że w tej chwili moje palce mówią mi więcej, niż kiedyś moje oczy. Ostatni obraz, jaki zapamiętały, to szeroko

rozdziawione usta bandyty, jego popsute zęby, błyszczący łuk, jaki zatoczył miecz, a po ciosie woń kwiatów. Zobaczyłem aromat we wszystkich jego kolorach. Wszystko to wydarzyło się bardzo dawno, przed przybyciem do nas barbarzyńców, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu, ale ujrzałem barwy woni. Sądzę, że zobaczyłem nirwanę i przez mgnienie chwili oblicze Buddy. Ślepotą to niewielka cena za taki podarunek, ne?

Nie było odpowiedzi, Suwo nie spodziewał się jej usłyszeć. Yabu zgodnie z planem zasnął. Podobała ci się moja opowieść, Yabu-sama? – spytał niemo Suwo, ubawiony tak, jak tylko ubawiony może być starzec. Wszystko było prawdą, z wyjątkiem jednego. Klasztor nie leżał w pobliżu Osaki, ale po drugiej stronie zachodniej granicy twoich włości. Jak się nazywał ów mnich? Su, wuj twojego wroga, Ikawy Jikkyu.

Jakże łatwo mógłbym ci skrócić kark, pomyślał. Byłaby to przysługa dla szanownego Omiego. Błogosławieństwo dla tej wsi, a także, w małej mierze, odpłata za dar od mojego opiekuna. Powinienem to zrobić już? A może później?

Spillbergen z napiętą twarzą podniósł pęk źdźbeł ryżowej słomy.

–Kto chce pociągnąć pierwszy? – spytał.

Nikt się nie odezwał. Blackthorne sprawiał wrażenie, jakby drzemał wciśnięty w kąt, z którego się nie ruszał. Zbliżał się zachód słońca.

–Ktoś musi pociągnąć pierwszy – powiedział chrapliwie Spillbergen. – Ciągnijcie, nie mamy za dużo czasu.

Dostali jedzenie praż beczkę wody i ceber do załatwiania się. Ale nic, żeby zmyć z siebie śmierdzące odpadki z ryb lub oczyścić się. Nadleciały muchy. Powietrze cuchnęło, ziemia zamieniła się w śliskie błoto. Większość z nich była rozebrana do pasa i pociła się z gorąca. I ze strachu.

Spillbergen wędrował wzrokiem po ich twarzach. Jego spojrzenie powróciło do Blackthorne'a.

–Dlaczego... dlaczego ciebie wyłączyli? Co pilocie? Dlaczego? – spytał.

Blackthorne otworzył oczy, patrzyły lodowato.

–Powtarzam po raz ostatni: nie wiem!

–To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe.

Blackthorne powrócił do przerwanych myśli. Musi być jakiś sposób, żeby stąd uciec. Musi być jakiś sposób, żeby dostać się na statek. Ten drań w końcu zabije

nas wszystkich, to jasne jak Gwiazda Polarna. Nie zostało wiele czasu, a mnie wyłączyli, bo mają względem mnie jakieś szczególnie parszywe plany.

Po zamknięciu klapy do piwnicy wszyscy wbili w niego wzrok, a któryś spytał:

–I co zrobimy?

–Nie wiem – odparł...

–Dlaczego to Właśnie ty jeden nie masz być wybrany?

–Nie wiem.

–Jezu Chryste, dopomóż nam – zaskamlał któryś.

–Posprzątajcie tutaj – rozkazał. – Zwalcie ten gnój tam!

–Nie mamy mioteł ani...

–A od czego macie ręce?!

Wypełnili jego polecenie, on zaś – pomógł im i oczyścił jak się tylko dało dowódcę wyprawy.

–Teraz będzie ci lepiej, panie – rzekł.

–W jaki sposób... w jaki sposób kogoś wybierzemy? – spytał Spillbergen.

–Nie wybierzemy. Będziemy z nimi walczyć.

–Czym?

–Pójdziecie jak owce na rzeź? Naprawdę?

–Nie pleć bzdur, pilocie, oni mnie nie chcą. Nie byłoby w porządku, gdyby wypadło na mnie.

–A to niby dlaczego? – spytał Vinck.

–Bo jestem dowódcą wyprawy.

–Z całym szacunkiem, łaskawy panie – odparł z ironią Vinck – ale może powinien pan zgłosić się na ochotnika. Zgłoszenie się ochotniczo to pański obowiązek.

–Świetna myśl – poparł go Pieterzoon. – Jestem za tym, jak mi Bóg miły.

Powszechnie przyznano mu rację, wszyscy zaś myśleli przy tym: „Jezu Chryste,

każdy, byle nie ja!”

Spillbergen zaczął krzyczeć, rozkazywać, ale spostrzegłszy ich bezlitosne spojrzenia zamilkł i zdjęty mdłościami wbił wzrok w ziemię.

–Nie – odezwał się. – Nie... nie byłoby w porządku, żaby ktoś zgłaszał się na ochotnika. Nie... my... pociągniemy losy. Słomki... jedna będzie krótsza od pozostałych. Oddamy ręce... oddamy się w ręce Pana Boga. Pilocie, będziesz trzymał słomki.

–Nie. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Powiedziałem: walczmy.

–Wszystkich nas zabiją. Przecież słyszałeś, co powiedział ten samuraj: oszczędzą życie wszystkich, prócz jednego. – Spillbergen otarł spoconą twarz i w górę wzbiła się chmara much, które po chwili znów usiadły. – Dajcie mi wody. Lepiej, żeby umarł jeden niż wszyscy.

Van Nekk zanurzył tykwę w beczce i podał ją Spillbergenowi.

–Jest nas dziesięciu. Włącznie z panem, Paulusie – powiedział. – Szanse są duże...

–Bardzo duże... chyba że los wskaże ciebie. – Vinck zerknął na Blackthorne’a. – Mamy walczyć przeciwko tym mieczom? – spytał.

–A pójdziesz potulnie do tego kata, jeżeli los wskaże ciebie?

–Nie wiem.

–Pociągniemy losy – rzekł van Nekk. – Niech rozstrzygnie za nas Bóg.

–Biedny Bóg – powiedział Blackthorne. – Jakimiż głupstwami zawracają Mu głowę!

–No, a jak inaczej wybierzemy?! – krzyknął któryś.

–Wcale nie wybierzemy!

–Zrobimy tak, jak mówi Paulus. On jest dowódcą wyprawy – rzekł van Nekk. – Pociągniemy słomki. Tak będzie najlepiej dla większości. Przegłosujmy. Czy wszyscy są za tym?

Wszyscy powiedzieli tak, z wyjątkiem Vincka.

–Ja popieram pilota – oświadczył. – Do diabła z tymi zgnojonymi, zaszczanymi i zasranymi słomkami!

W końcu jednak przekonali go. Kalwin Jan Roper zmówił modlitwy. Spillbergen z

pieczołowitą dokładnością ułamał dziesięć słomek. A potem jedną z nich przepołowił.

Van Nekk, Pieterzoon, Sonk, Maetsukker, Ginsel, Jan Roper, Salamon, Maximillian Croocq i Vinck.

–Kto chce pociągnąć pierwszy? – spytał jeszcze raz.

–A skąd wiemy, że... że ten; kto wyciągnie pechową, krótką słomkę, pójdzie? Skąd to wiemy? – spytał Maetsukker głosem nabrzmiałym nie skrywaną grozą.

–Nie wiemy. Pewności nie ma. A powinniśmy ją mieć – rzekł młody Croocq.

–To proste – powiedział Jan Roper. – Przysięgnijmy na Boga Wszemogącego, że to zrobimy. Na Niego. Że... że umrzemy za innych w Jego imię. Wtedy nie będzie obawy. Wybrany Baranek Boży pójdzie wprost do Królestwa Niebieskiego.

Wszyscy się na to zgodzili.

–No, dalej, Vinck, zrób, jak mówi Roper.

–Dobra. – Vinck miał spieczone wargi. – Jeżeli... jeżeli wypadnie na mnie... przysięgam na Pana Boga, że z nimi pójdę, jeżeli... jeżeli wyciągnę złą słomkę. Jak Boga kocham.

Po nim przysięgli pozostali. Maetsukker był tak przerażony, że musieli mu podsuwać słowa, zanim na powrót zapadł się w trzęsawisko swoich snów na jawie.

Pierwszy wybrał słomkę Sonk. Drugi Pieterzoon. Potem Roper, a po nim Salamon i Croocq. Spillbergen czuł zbliżającą się wielkimi krokami śmierć, ustalono bowiem, że nie będzie ciągnął, ale pozostanie dla niego ostatnia słomka, w tej chwili zaś jego szanse straszliwie zmalały.

Ginsel szczęśliwie ocalał sobie życie. Zostało czterech.

–!».

Maetsukker otwarcie płakał, odepchnął jednak Vincka na bok, wziął słomkę i nie mógł uwierzyć, że nie wyciągnął feralnej.

Spillbergenowi trzęsła się zaciśnięta dłoń i Croocq mu ją przytrzymał. Nie spostrzegł, że robi po nogach.

Którą wziąć? – zapytywał się rozpaczliwie w duchu van Nekk. O Boże, pomóż mi! Ledwie widział słomki swoimi zamglonymi krótkowzrocznymi oczami. Gdybym tylko mógł je dojrzeć, może poznałbym po czymś, którą wybrać. Którą?

Pociągnął słomkę i przysunął ją sobie blisko do oczu, żeby wyraźnie zobaczyć wyrok na sobie. Ale słomka nie była krótka.

Vinck patrzył na swoje palce, jak wybierają przedostatnią słomkę i jak upada ona na ziemię, ale wszyscy zobaczyli, że jest najkrótsza z wyciągniętych. Spillbergen rozwarł zaciśniętą dłoń i wszyscy ujrzeli, że ostatnia słomka jest długa. Spillbergen zemdłał.

Wszyscy wpatrywali się w Vincka. Spojrzał na nich bezradnie, niewidzącym wzrokiem. Niezdecydowanie poruszył ramionami, niezdecydowanie się uśmiechnął i z roztargnieniem odpędził ręką muchy. A potem osunął się na ziemię. Zrobili mu miejsce, odsuwając się odeń niczym od trędowatego.

Blackthorne uklęknął w błocie przy Spillbergenie.

–Nie żyje? – spytał ledwie dosłyszalnie van Nekk.

Vinck zawył ze śmiechu, który zmroził wszystkich, a potem równie nagle jak zaczął się śmiać, zamilkł.(

–To ja, to ja nie żyję! – powiedział. – To ja nie żyję!

–Nie lękaj się. Jesteś wybrańcem bożym. Jesteś w Jego rękach – zapewnił go z przekonaniem Jan Roper.

–Tak – rzekł van Nekk. – Nie lękaj się.

–Łatwo wam teraz mówić, co?

Oczy Vincka wędrowały od twarzy do twarzy, ale nikt nie był w stanie spojrzeć mu w nie prosto. Tylko Blackthorne nie odwrócił wzroku.

–Podaj mi wody, Vinck – powiedział cicho. – Podejdz do beczki i podaj mi wody. Rusz się.

Vinck wpatrzył się w niego. A potem wziął tykwę, napełnił wodą i podał mu ją.

–Boże Święty, Jezu Chryste, pilocie – wymamrotał – co ze mną będzie?

–Najpierw pomóż mi przy Paulusie. Vinck! Rób, co ci mówię! Dojdzie do siebie?

Vinck, któremu dopomógł spokój Blackthorne'a, odsunął od siebie dręczące myśli. Puls Spillbergena był słaby. Vinck osłuchał mu serce, odciągnął powieki i przez chwilę im się przyglądał.

–Nie wiem, pilocie – odparł. – Jezu Chryste, nie mogę normalnie myśleć. Z jego sercem jest chyba wszystko w porządku. Trzeba mu puścić krew, ale... ale nie ma

jak... nie... nie mogę się skupić... Daj mi...

Urwał wyczerpany i usiadł opierając się o ścianę. Zaczął dygotać.

Kłapa w stropie uniosła się.

Na tle nieba zarysowała się ostro postać Omiego w kimonie zabarwionym krwawo światłem zachodzącego słońca.

4.

Vinck starał się zmusić nogi do ruchu, ale nie był w stanie. Wiele razy w życiu stawał naprzeciwko śmierci, ale jeszcze nigdy potulnie jak baran. Tak zdecydowały słomki. Dlaczego właśnie ja?! – krzychało mu w głowie. Nie jestem gorszy od tamtych, a lepszy od większości z nich. Dobry Boże w niebiesiech, dlaczego ja?

Spuszczono drabinę. Orni dał znak, żeby jeden z nich wszedł na górę, i to szybko.

–Isogi! – ponaglił, co znaczyło „Prędko!”

Van Nekk i Jan Roper modlili się po cichu, zamknawszy oczy. Pieterzoon nie mógł na to patrzeć. Blackthorne zaś wpatrywał się w Omiego i jego samurajów.

–Isogi! – powtórzył ostrym tonem Orni. Vinck jeszcze raz spróbował wstać.

Niech ktoś mi pomoże – powiedział. – Pomóżcie mi wstać! Pieterzoon, który znajdował się najbliżej Vincka, schylił się, chwycił go pod ramię i pomógł mu się podnieść, wówczas jednak nagle u stóp drabiny wyrósł Blackthorne, mocno zapierając się nogami w szlamie:

–Kinjiru! – krzyknął, używając słowa zasłyszanego na statku.

Wszyscy wstrzymali oddech. Omi zacisnął dłoń na mieczu i zbliżył się do drabiny. Blackthorne w tej samej chwili obrócił ją,” nie dopuszczając, żeby tamten na niej stanął.

–Kinjiru! – powtórzył.

Omi zatrzymał się.

–Co się dzieje? – spytał Spillbergen, wystraszony tak jak pozostali.

–Powiedziałem mu, że tego robić nie wolno! Nikt z mojej załogi nie pójdzie na śmierć bez walki!

–Ale... ale przecież zgodziliśmy się!

–Nie ja.

–Czyś ty oszalał?

–Wszystko w porządku, pilocie – szepnął Vinck. – Ja... zgodziliśmy się na to i odbyło się to uczciwie. Wola boska. Chcę... to...

Niepewnie ruszył do drabiny, ale Blackthorne nieugięcie zastawiał mu drogę i wpatrywał się w Omiego.

–Nie pójdziesz bez walki. Nikt nie pójdzie – oświadczył.

–Odejdź od drabiny, pilocie! Rozkazuję ci odejść! – Rozdygotany Spillbergen trzymał się kąta, żeby być jak najdalej od otworu w suficie. – Pilocie! – ostrzegł przeszywającym głosem.

Ale Blackthorne go nie słuchał.

Omi cofnął się o krok i szorstkim głosem wydał rozkazy swoim ludziom. Jeden z nich, a tuż za nim jeszcze dwaj natychmiast zaczęli Schodzić z obnażonymi mieczami po drabinie. Blackthorne przekręcił ją i uchylając się przed gwałtownym ciosem miecza, mocno schwycił pierwszego Japończyka, próbując go udusić.

–Pomóżcie mi! – zawołał. – Prędszej! Nuże! Brońcie się!

Zmienił chwyt tak, żeby ściągnąć przeciwnika ze szczebli, ściskając go z całych sił, podczas gdy drugi z nich dźgał mieczem w dół. Vinck otrząsnął się z odrętwienia i z szaleńczą brawurą rzucił się na drugiego samuraja. Powstrzymał cios, który odciąłby Blackthorne'owi dłoń; przytrzymał rękę napastnika z dygoczącym mieczem, a drugą, wolną, trzasnął go w krocze. Samuraj stracił oddech i wściekle wierzgnął. Ale na Vincku kopniak nie zrobił wrażenia. Wspiął się po szczeblach, chcąc odebrać przeciwnikowi miecz, i wbił mu palce w oczy. Dwóm pozostałym samurajom ruchy ograniczała niewielka przestrzeń w piwnicy oraz Blackthorne, jednakże kopnięcie któregoś trafiło Vincka w twarz i Holender poleciał w bok. Samuraj na drabinie sieknął mieczem, nie trafił Blackthorne'a, a potem cała załoga hurmem opadła wroga.

Croocq rąbnął pięścią w spód jego stopy i poczuł, jak pęka w niej jakaś kość. Japończykowi, który nie chciał dopuścić, aby jego broń wpadła w ręce wrogów, udało się wyrzucić miecz z ziemianki, a potem zwałił się ciężko w błoto. Vinck i Pieterzoon runęli na niego. Walczył z nimi zapamiętale, reszta zaś ruszyła na następnego schodzącego samuraja. Blackthorne podniósł krótki miecz powalonego Japończyka i zaczął wchodzić po drabinie, a za nim Croocq, Jan Roper i Salamon. Dwójka samurajów wycofała się i stanęli przy wejściu, z zabójczymi mieczami złowieszczo przygotowanymi do zadania ciosu. Blackthorne dobrze wiedział, że przeciwko nim jego krótki miecz jest bezużyteczny. A mimo to natarł, wspomagany z bliska przez innych. W chwili gdy jego głowa znalazła się ponad ziemią, jeden z mieczów zatoczył łuk, chybiając o ułamek cala. A potem potężne kopnięcie nie zauważonego przezeń samuraja strąciło go na powrót pod ziemię.

Odwrócił się i zeskoczył, unikając kłębówiska walczących, którzy w cuchnącym błocie starali się pokonać samuraja. Vinck kopnął leżącego w kark i ciało Japończyka

opadło bezwładnie. Vinck walił go dalej raz za razem, dopóki Blackthorne go nie odciągnął.

–Nie zabijaj go, możemy go użyć jako zakładnika! – krzyknął i gwałtownie szarpnął drabinę, próbując ściągnąć ją do piwnicy. Ale była za długa. W górze samuraje Omiego czekali niewzruszenie przy otworze.

–Na miłość boską, pilocie, dość tego! – wycharczał Spillbergen. – Oni nas wszystkich zabijają... ty nas wszystkich zabijesz! Niech ktoś go powstrzyma!

Orni wydał krzykiem następne rozkazy i silne ręce na górze uniemożliwiły Blackthorne'owi zatarasowanie wejścia drabiną.

–Uważajcie! – krzyknął.

Do piwnicy zeskoczyło zwinnie trzech samurajów ubranych tylko w przepaski na biodra i uzbrojonych w noże. Pierwszych dwóch, nie przejmując się zagrożeniem, zważyło się na bezradnego Blackthorne'a, przygnietli go do ziemi i z furią zaatakowali.

Zmiażdżyli go swoją siłą. Nie mógł użyć krótkiego miecza, czuł, jak opuszcza go chęć oporu, i żałował, że nie potrafi walczyć bez broni tak, jak naczelnik wioski Mura. Obezwładniony, zdawał sobie sprawę, że długo nie wytrzyma, zdobył się jednak na ostatni wysiłek i wyszarpnął rękę. Wprawdzie zadany twardą jak kamień dłonią cios wstrząsnął jego głową, a od drugiego w mózgu wybuchły mu wszystkie kolory, to mimo to nie dał za wygraną.

Vinck skoczył jednemu z samurajów do oczu, ale z otworu w suficie zważył się mu na plecy następny, Maetsukker zaś wrzasnął, bo krótki miecz przeciął mu rękę. Van Nekk młócił na oślep, Pieterzoon mówił – Wal ich, jak Boga kocham, a nie mnie! – ale nie docierało to do przerażonego kupca.

Ślizgając się, ubłoconą i spoconą dłonią Blackthorne chwycił jednego z napastników za gardło i prawie udało mu się wstać. W chwili kiedy niczym rozjuszony byk próbował strząsnąć ich z siebie, otrzymał ostatni cios, po którym zapadł w nicość. Trzech samurajów przebiło sobie drogę do drabiny, a pozbawieni przywódcy europejscy więźniowie cofnęli się przed kolistymi sieknięciami ich noży, dzięki którym opanowali piwnicę, nie starając się jednak nikogo zabić ani zranić, a tylko odpędzić zdyszanych i wystraszonych jeńców pod ściany, dalej od drabiny, przy której leżeli nieruchomo samuraj i Blackthorne.

Omi wyniośle zstąpił do ziemianki i chwycił najbliższego stojącego, którym był Pieterzoon. Szarpnięciem pociągnął go w stronę drabiny.

Pieterzoon krzyczał i wrywał się, ale jeden nóż przeciął mu przegub, a drugi zranił w rękę. Krzyżący marynarz został bezlitośnie przyparty plecami do drabiny.

–Chryste, dopomóż mi, to nie ja „mam iść, nie ja, to nie ja...

Pieterzoon stał na szczeblu i cofał się w górę, byle dalej od bolesnych cięć noży, potem zaś po raz ostatni krzyknął: „Pomóżcie mi, na miłość boską!” – i jak szalony umknął w górę, na powietrze.

Omi bez pośpiechu podążył za nim.

Jeden samuraj wycofał się. Za nim następny. Trzeci zaś zabrał krótki miecz, którego używał Blackthorne. Z pogardą odwrócił się plecami do nich, przestąpił przez rozciągniętego na ziemi nieprzytomnego towarzysza i wszedł po drabinie.

Nagłym szarpnięciem wciągnięto ją na górę. Powietrze, niebo i światło zniknęły. Szczęknęły zamykane rygle. Pozostała jedynie ciemność, a w niej falujące ludzkie piersi, bijące, rozdarte serca, leżący się pot i smród. Powróciły muchy.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Jan Roper miał lekko rozcięty policzek, Maetsukker mocno krwawił, a pozostali byli, przeważnie w szoku. Wszyscy z wyjątkiem Salamona. Przedostał się on po omacku do Blackthorne’a i odciągnął go od nieprzytomnego samuraja. Powiedział coś gardłowym głosem i wskazał na wodę. Croocq przyniósł jej trochę w tykwie i pomógł mu usadzić przy ścianie wciąż jeszcze nie zdradzającego oznak życia pilota. Wspólnie zaczęli oczyszczać mu twarz z błota.

–Kiedy te psie syny... kiedy oni na niego skoczyli, to wydało mi się, że słyszę, jak trzaska mu kark albo ręka – powiedział chłopak, mocno dysząc. – O Jezu, wygląda jak trup!

Sonk zmusił się, żeby wstać, i przedostał się do nich. Ostrożnie przekręcił głowę Blackthorne’a z boku na bok i obmacał mu ręce.

–Chyba nic mu nie złamali. Trzeba poczekać, aż się ocknie i sam powie.

–O mój Boże – wyjęczał Vinck. – Biedny Pieterzoon... jestem przeklęty... przeklęty...

–Ty przecież szedłeś. To pilot cię zatrzymał. Ty szedłeś, tak jak obiecałeś, sam widziałem, na miły Bóg! – Sonk potrząsnął Vinckiem, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. – Sam widziałem, Vinck. – Obrócił się w stronę Spillbergena, odganiając ręką muchy. – Nie tak było?

–Tak, szedł. Nie labiedź, Vinck. To przez pilota. Dajcie mi wody.

Jan Roper nabrał tykwą wody, napił się i zwilżył rozcięty policzek.

–Powinien był pójść Vinck.– To on był Barankiem Bożym. To on był wybrany. A teraz jego dusza jest stracona. O Panie Boże, zlituj się nad nim, bo przez całą

wieczność będzie się smażył w ogniu piekielnym.

–Dajcie mi wody – zaskomlił dowódca wyprawy.

Van Nekk wziął tykwę od Jana Ropera i podał ją Spillbergenowi.

–To nie wina Vincka – rzekł ze znużeniem. – Nie pamiętacie, jak nie mógł wstać? Poprosił, żeby ktoś mu pomógł. Ja bałem się tak, że też nie mogłem się ruszyć, a przecież nie musiałem iść tak jak on.

–To nie była wina Vincka – powtórzył Spillbergen. – Nie. To przez niego. – Wszyscy spojrzeli na Blackthorne'a. – On zwariował.

–Wszyscy oni to sukinsyny! – zawyrokował Ginsel.

–Nie, nie wszyscy – sprzeciwił się van Nekk. – Pilot robił jedynie to, co uważał za słuszne. Chronił nas i przepłynął z nami dziesięć tysięcy mil., Gówno, a nie chronił! Kiedy wypływaliśmy, było nas pięciuset na pięciu statkach. A zostało dziewięciu!

–To nie jego wina, że flotylla się rozproszyła. To nie jego wina, że burza rozgoniła nas wszystkich...

–Gdyby nie on, to pozostałibyśmy w Nowym Świecie, na miły Bóg. To przecież on powiedział, że dopłyniemy do Japonii. No i patrzcie, na rany Chrystusa Pana, gdzieśmy trafili.

–Zgodziliśmy się płynąć do Japonii. Wszyscyśmy się zgodzili – przypomniał ze znużeniem van Nekk. – Wszyscy głosowali.

–Tak. Ale on nas do tego namówił.

–Uwaga!

Ginsel wskazał na samuraja, który poruszał się i jęczał. Sonk szybko znalazł się przy nim i trzasnął go pięścią w szczękę. Japończyk znowu stracił przytomność.

–Na rany Chrystusa! Dlaczego te sukinsyny go tu zostawiły? Z łatwością mogli go stąd zabrać. My byśmy im nie przeszkodzili.

–Myślisz, że uznali go za trupa?

–Nie wiem! Na pewno go obejrzeli. Jezu, ale napiłbym się zimnego piwa – powiedział Sonk.

–Już go więcej nie bij, Sonk, nie zabijaj go. To zakładnik. – Croocq spojrział na zasklepionego w żalośliwej nienawiści do samego siebie Vincka, który siedział

skulony pod ścianą. – Boże, dopomóż nam wszystkim. Co oni zrobią z Pieterzoonem? Co zrobią z nami?

–To wina pilota – powtórzył Jan Roper. – Wyłącznie jego.

Van Nekk ze współczuciem przyjrzał się Blackthorhe'owi.

–To teraz nieważne – rzekł. – No nie? Czyja jest to wina albo była.

Maetsukker wstał chwiejnie, z rany na rękę wciąż ciekła mu krew.

–Jestem ranny, niech mi ktoś pomoże – powiedział.

Salamon z kawałka koszuli zrobił opaskę uciskową i zatamował krew. Biceps Maetsukkera był głęboko rozcięty, ale żyły i arterie miał całe. Ranę już zaczęły napastować muchy.

–Przeklęte muszyska! I przeklęty pilot, oby się w piekle smażył! – zaklął Maetsukker.
– Wszystko uzgodniliśmy. Ale nie, skądże! Oh musiał uratować Vincka! A teraz ma na sumieniu Pieterzoon, a my wszyscy przez niego cierpimy!

–Zamknij gębę! Powiedział, że nikt z jego załogi...

Nad ich głowami rozległy się kroki. Otworzono klapę. Chłopi zaczęli wlewać do piwnicy beczki morskiej wody z odpadkami z ryb. Przeszli, kiedy na dnie piwnicy stało już sześć cali wody.

Krzyki zaczęły się, kiedy księżyc stał wysoko.

Yabu klęczał w otoczonym murem ogrodzie przy domu Omiego. Nie poruszał się. Przyglądał się światłu księżycy spowijającemu kwitnące drzewo z gałęziami czarnymi jak węgiel na tle jaśniejszego nieba. W powietrzu zawirował płatek i Yabu pomyślał:

Piękności

Nie ujmuje

Spadanie

Na wietrze

Na ziemi spoczął jeszcze jeden płatek. Westchnienie wiatru uniosło następny. Drzewo było zaledwie wzrostu człowieka, wciśnięte pomiędzy omszałe kamienie, które umieszczono tak przemyślnie, że zdawały się wyrastać z ziemi.

Yabu musiał dobrać całej siły woli, żeby skupić się na tym drzewie, kwiatach, niebie i

nocy, łowić delikatne dotknięcia wiatru, czuć jego morską świeżość, myśleć o poezji, a przy tym nasłuchiwać odgłosów tortur. Jego kręgosłup zmiękł. I tylko siła woli czyniła go podobnym do skał. Świadomość tego pozwalała osiągnąć mu taki poziom zmysłowości którego nie da się opisać. A dziś wieczorem była ona silniejsza i gwałtowniejsza niż kiedykolwiek.

–Omi-san, jak długo zatrzyma się tu nasz pan? – spytała z wnętrza

domu wystraszonym szeptem matka Omiego.

–Nie wiem.

–Te krzyki są okropne. Kiedy się skończą?

–Nie wiem – odparł Orni.

Siedzieli za parawanem w drugim z najlepszych pokoi. Najlepszy, należący do matki, oddali Yabu, oba zaś wychodziły na ogród, którego urządzenie kosztowało tyle trudu. Widzieli Yabu przez kratki parawanu, drzewo rzucało na jego twarz wyraźny cień, a w rękojeściach jego mieczy błyszczał księżyc. Na ciemnoszare kimono miał nałożony ciemny haori, czyli wierzchni kaftan.

–Chcę iść spać – powiedziała kobieta, drżąc. – Ale przy tym wyciu nie zasnę. Kiedy ono się skończy?

–Nie wiem. Bądź cierpliwa, matko – odparł cicho Omi. – Wycie wkrótce ustanie. A jutro pan Yabu powróci do Edo. Proszę cię, okaż cierpliwość.

Wiedział jednak, że tortury będą trwały aż do świtu. Tak je zaplanowano.

Postarał się skupić. Ponieważ jego feudalny pan medytował pośród krzyków, spróbował jeszcze raz pójść za jego przykładem. Ale kolejny wrzask przekreślił ten zamiar i Omi pomyślał: „Nie potrafię. Nie potrafię, jeszcze nie. Wciąż brakuje mi jego samokontroli i siły. Ale czy to jest siła?”

Wyraźnie widział twarz Yabu. Spróbował odgadnąć, co oznacza mina daimyō: lekki grymas obwisłych grubych warg, krople śliny w ich kącikach, oczy zaciśnięte w ciemne szparki, przesuwane się tylko wraz z ruchem płatków. Wyglądało to niemal tak, jakby właśnie przeżywał orgazm – jakby do niego dochodził – nie dotykając siebie. Czy to możliwe?

Omi po raz pierwszy znajdował się tak blisko wuja, gdyż stanowił bardzo poślednie ogniwo w łańcuchu ich rodu, a jego lenno w Anjiro wraz z okolicami było biedne i bez znaczenia. Omi był najmłodszy z trójki synów, jego ojciec zaś, Mizuno, miał sześciu braci. Yabu był z nich najstarszy i przewodził rodowi Kasigi, natomiast ojciec Omiego

był drugi wedle starszeństwa. Omi miał lat dwadzieścia jeden i własnego synka.

–Gdzie twoja nieszczęsna żona? – zapytała piskliwym i zrzędlwym głosem staruszka. – Chcę, żeby pomasowała mi plecy i ramiona.

–Musiała pojechać do swojego ojca, nie pamiętasz? Jest bardzo chory, matko. Pozwól, że ja to zrobię.

Nie. Za chwilę możesz posłać po służącą. Twoja żona jest nieuprzejma. Mogła poczekać kilka dni. Przyjechałam do ciebie w odwiedziny aż z Edo. Ta okropna podróż zajęła mi aż dwa tygodnie i co mnie spotyka? Siedzę tu zaledwie tydzień, a ta sobie wyjeżdża. Powinna była się z tym wstrzymać. Nicpotem, oto cała ona! Twój ojciec popełnił bardzo wielki błąd, załatwiając jej małżeństwo z tobą. Powinieneś kazać jej, żeby trzymała się od ciebie z daleka, rozwiedź się raz na zawsze z tą, nic niewartą kobietą. Nie potrafi nawet wymasować mi przyzwocie pleców. Powinieneś przynajmniej raz i drugi porządnie przetrzepać jej skórę. Te okropne krzyki! Dlaczego nie zamilkną?

–Zamilkną. Już bardzo niedługo.

–Powinieneś porządnie przetrzepać jej skórę.

–Tak, matko.

Omi pomyślał o swojej żonie Midori i serce mu zabiło. Była taka piękna, taka miła, delikatna i mądra, głos miała taki czysty, a grała tak dobrze, jak kurtyzany z Izu.

Musisz natychmiast jechać, Midori-san – powiedział jej na osobności. Omi-san, mój ojciec nie jest aż taki chory, a moje miejsce jest tutaj, służyć twojej matce, ne? – odparła. – Skoro przyjeżdża nasz pan, daimyō, dom musi być przygotowany. Och, Omi-san, to jest dla ciebie taka ważna, najważniejsza chwila w całej służbie, ne? Jeżeli zrobisz dobre wrażenie na panu Yabu, to może da ci lepsze lenno, ty przecież zasługujesz na wiele więcej! Gdyby cokolwiek złego wydarzyło się pod moją nieobecność, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła, a po raz pierwszy masz sposobność wybić się i musi ci się to udać. On przyjeżdża na pewno. Proszę cię, tak wiele jest do zrobienia.

–Owszem, ale chciałbym, żebyś wyjechała natychmiast, Midori-san.

Spędź tam tylko dwa dni, a potem szybko wracaj do domu.

Błagała go, jednakże nalegał, więc pojechała. Chciał, żeby przed przyjazdem Yabu i podczas jego pobytu tutaj nie było jej w domu. Nie z obawy, żeby Yabu ośmielił się ją tknąć bez pozwolenia – było to nie do pomyślenia, gdyż wówczas zgodnie z prawem miałby podstawy, honor i obowiązek zabić go. Zauważył jednakże, jak zaraz po ich

ślubie w Edo Yabu przypatruje się Midori, dlatego chciał usunąć ewentualne źródło zadrażnień, wszystko, co mogłoby wyprowadzić z równowagi albo wprowadzić w zakłopotanie jego feudalnego pana, gdy tu bawił. Bardzo zależało mu, żeby wyrzucić wrażenie na wielmożnym Yabu swoim synowskim przywiązaniem; przezornością i dobrymi radami. Do tej pory wszystko udawało się nad podziw. Statek okazał się prawdziwym skarbem, jego załoga następnym. Wszystko szło wybornie.

–Poprosiłam naszego Dórnego kami, żeby się tobą opiekował – powiedziała tuż przed odjazdem Midori, mając na myśli szczególnego ducha shintō, który opiekował się ich domem – i posłałam do świątyni buddyjskiej ofiarę na modlitwy. Powiedziałam Suwo, żeby postarał się najlepiej jak potrafi, i posłałam wiadomość Kiku-san. Och, Omi-san, proszę cię, pozwól mi zostać.

Uśmiechnął się na to i wysłał ją w drogę, z makijażem rozmazanym przez łzy.

Smutno mu było bez żony, ale cieszył się, że wyjechała. Te krzyki sprawiłyby jej wielką przykrość.

Jego matka skrzywiła się na dźwięk przyniesionych przez wiatr jęków torturowanego i poruszyła się lekko, żeby zmniejszyć ból w ramionach. Bardzo bolały ją dzisiaj stawy. To ten zachodni morski wiatr, pomyślała. Ale i tak mimo wszystko lepiej tutaj niż w Edo. Tam jest za dużo bagien, za dużo komarów.

Widziała w ogrodzie niewyraźny zarys sylwetki Yabu. W duchu” nienawidziła go i życzyła mu śmierci. Po śmierci Yabu jej mąż Mizuno zostałby daimyō Izu i stanąłby na czele rodu. Byłoby to bardzo przyjemne, pomyślała. Wtedy wszyscy pozostali bracia, ich żony i dzieci byłyby podporządkowane jej, – no a Mizuno-san ustanowiłby po śmierci Yabu swoim następcą Omiego.

Kolejne ukłucie bólu w karku zmusiło ją do nieznacznego ruchu ciała.

–Wezwę Kiku-san – powiedział Omi, wymieniając imię kurtyzany, która w sąsiednim pokoju cierpliwie oczekiwała wraz z chłopcem na Yabu. – Jest bardzo, bardzo zręczna.

–Nic mi przecież nie jest, jestem tylko zmęczona, ne? Ale niech będzie. Może mnie wymasować.

Omi wszedł do pokoju obok. Poślanie było już przygotowane. Składało się ono z kołder, wierzchniej i spodniej, zwanych futonami, które leżały na matach podłogowych. Kiku ukloniła się, spróbowała uśmiechnąć i wymamrotała, że byłaby zachwycona, mogąc wykorzystać swoje skromne umiejętności do wymasowania najszlachetniejszej matki pana domu. Była jeszcze bledsza niż zazwyczaj i Omi poznał, że krzyki torturowanego także jej dały się we znaki. Chłopiec starał się nie okazywać po sobie lęku.

Kiedy rozpoczęły się te wrzaski, Omi musiał dobyć z siebie wszelkich umiejętności perswazji, żeby skłonić ją do pozostania.

–Och, Omi-san, nie mogę tego znieść... to, straszne – powiedziała. – Tak mi przykro, proszę cię, pozwól mi odejść... chcę zatkać sobie uszy, ale ten krzyk przenika mi przez dłonie. Biedak... to straszne.

–Proszę cię, Kiku-san, proszę, okaż cierpliwość. Nakazał to Yabu-sama, ne? Nic nie można poradzić. To się niedługo skończy.

Nienaruszalne prawo stanowiło, że za same pieniądze nie można było kupić usług dziewczyny, jeżeli ona lub jej opiekunka miała życzenie odmówić klientowi, bez względu na to, kim był. Kiku była kurtyzaną pierwszej rangi, najslawniejszą w Izu i chociaż Omi był przekonany, że nie może się ona równać z żadną nawet drugiej rangi kurtyzaną z Edo, Osaki czy Kioto, to tu była szczytem doskonałości, słusznie dumna z siebie i wyjątkowa. Więc chociaż umówił się z jej pracodawczynią, szanowną mamą-san Gyoko, że zapłaci pięć razy tyle co zwykle, to nadal nie miał pewności, czy Kiku zostanie.

A teraz przyglądał się jej zręcznym palcom poruszającym się po karku jego matki. Była piękna, filigranowa, a skórę miała niemal przezroczystą i taką miękką. Zwykle kipiała życiem. Ale jakże taka wesola istotka może być szczęśliwa, przymuszana do znoszenia takich wrzasków? – zastanawiał się. Cieszyło go przyglądanie się jej, cieszyło go, że zna jej ciało i jego ciepło...

Raptem krzyki urwały się.

Orni z na wpół otwartymi ustami wyteżał słuch, chcąc wyłowić najlżejszy dźwięk, i czekał. Spostrzegł, że palce Kiku zamarły, a jego matka nie skarży się i równie chciwie nasłuchuje. Spojrzał przez ażurowy parawan na Yabu. Daimyō nadal siedział jak posąg.

–Omi-san! – zawołał wreszcie.

Orni wstał, wyszedł na lśniąca od czystości werandę i uklonił się.

–Tak, panie – powiedział.

–Idź i zobacz, co się stało.

Omi uklonił się ponownie, przeszedł przez ogród i wyszedł na wzorowo wybrukowaną drogę, która zbiegała ze wzgórza do wioski i nad brzeg morza. Daleko w dole, obok jednego z nabrzeży widział ognisko, a przy nim ludzi. A na placu nad morzem przykryte klapą wejście do piwnicy i czterech strażników.

Idąc w stronę wioski zobaczył, że barbarzyński statek stoi bezpiecznie zacumowany, a na pokładach i gniazdowych łodziach palą się lampy olejne. Wieśniacy – mężczyźni, kobiety i dzieci – w dalszym ciągu rozładowywali go, a rybackie łodzie i łódki uwijały się tam i z powrotem niczym rój świetlików. Starannie ułożone stosy bel i skrzyń piętrzyły się na brzegu. Stało już tam siedem dział, a następne za pomocą lin wciągano z łodzi na przystań.

Mimo że wiatr nie był zimny, Omi zadrżał. Zwykle wieśniacy śpiewaliby przy pracy, zarówno z radości, jak i żeby pomóc sobie równo ciągnąć liny. Dziś wieczorem w wiosce było jednak nadzwyczaj cicho, choć w żadnym domu nie spano i wszystkim przydzielono pracę, nawet najbardziej chorym. Ludzie spieszyli tam i z powrotem, kłaniali się i pędzili dalej. Nawet psy siedziały dziś cicho.

Tak nie było tutaj jeszcze nigdy, pomyślał, niepotrzebnie zaciskając dłoń na mieczu. Ma się niemal wrażenie, jakby naszą wieś opuścił jej kami.

Od strony brzegu wyszedł mu na spotkanie Mura, otwierając przed nim furtkę do ogrodu.

–Dobry wieczór, Omi-sama – powiedział, kłaniając się. – Statek będzie rozładowany do południa.

–Czy ten barbarzyńca skonał?

–Nie wiem, Omi-sama. Zaraz tam pójde i sprawdzę.

–Możesz pójść ze mną.

Mura posłusznie podążył za Omim, pół kroku za jego plecami. Orni był niespodziewanie rad z jego towarzystwa.

–Powiadasz, że do południa? – spytał Orni, któremu nie podobała się panująca cisza.

–Tak. Wszystko idzie dobrze.

–A co z zamaskowaniem?

Mura wskazał na grupkę starszych kobiet i dzieci w pobliżu sieciarni, które w towarzystwie Suwo plotły grube maty.

–Możemy zdjąć działa z lawet i je owinąć. Do przeniesienia jednego potrzeba co najmniej dziesięciu chłopów. Igurashi-san posłał do sąsiedniej wioski po więcej tragarzy.

–Dobrze.

–Niepokoję się o zachowanie wszystkiego w tajemnicy, wielmożny panie...

–Igurashi-shan z pewnością wbije im do głów tę potrzebę, ne?

–Poświęcimy na to wszystkie nasze worki na ryż, Omi-sama, cały nasz sznurek, wszystkie nasze sieci, wszystkie słomiane maty.

–No i?

–Jak w takim razie będziemy łowić ryby, czym zwiążemy plony?

–Znajdziecie jakiś sposób - odparł nieco ostrzej Orni. – Wasza danina znowu wzrasta w tym roku o połowę. Taki rozkaz wydał Yabu-san dziś wieczorem...

–My już zapłaciliśmy tegoroczną i przyszłoroczną daninę.

–Taka jest rola chłopca, Mura. Łowić ryby, uprawiać ziemię, zbierać plony i płacić daninę. Czyż nie?

–Tak, Omi-sama – odparł chłodno Mura.

–Naczelnik, który nie potrafi utrzymać w karchach wsi, zda się psu na budę, ne?

–Tak, Omi-sama.

–Ten wieśniak nie dość, że mnie znieważył, ale na dodatek był głupcem. Jest więcej takich jak on?

–Nie ma, Omi-sama.

–Mam nadzieję. Brak wychowania jest niewybaczalny. Jego rodzina zapłaci za to grzywnę w wysokości jednego koku ryżu: w rybach, ryżu, zbożu, obojętnie czym. Mają zapłacić w ciągu trzech księżyców.

–Tak, Omi-sama.

Zarówno Mura, jak samuraj Orni dobrze wiedzieli, że suma ta całkowicie przekracza możliwości finansowe tej rodziny. Trzej – a w tej chwili dwaj – bracia Tamazaki wraz z żonami, czterema synami i trzema córkami oraz wdowa po Tamazakim z trójką dzieci mieli do spółki zaledwie jedną łódź rybacką i jedno półhektarowe pole ryżu. Koku ryżu było miarą zboża zbliżoną do ilości ryżu, jaka była potrzebna rodzinie do przeżycia przez rok, czyli około pięciu buszli. Mniej więcej trzysta pięćdziesiąt funtów. Wszystkie dochody w cesarstwie mierzono w koku ryżu. Podobnie jak wszystkie podatki.

–Co by się stało z naszą Krainą Bogów, gdybyśmy zapomnieli o dobrych manierach? – spytał Orni. – Zarówno w stosunku do wyżej, jak i niżej nas stojących.

–Tak, Omi-sama.

Mura zastanawiał się, skąd zdobyć dobra wartości koku ryżu, gdyż było oczywiste, że jeśli nie zapłaci go ta rodzina, to musi zapłacić wioska. A skąd zdobyć więcej worków, sznurka i sieci? Część można odzyskać po zakończeniu tej eskapady. Pieniądze można by pożyczyć. Naczelnik sąsiedniej wioski był mu winien rewanż za wyświadczoną przysługę. Aha! A czyż najstarsza, sześćioletnia córka Tamazakiego nie jest śliczna i czyż sześć lat to nie w sam raz wiek na sprzedanie dziewczyny? – pomyślał.

Czy dalsza kuzynka siostry mojej matki nie jest najlepszą pośredniczką w handlu dziećmi w całym Izu? Ta chciwa na pieniądze, przerażająca, obmierzła stara wiedźma! Nieważne, rzekł sobie. Może za to dziecko dostanę nawet dwa koku. Dziewczynka jest na pewno warta znacznie więcej.

–Przepraszam za złe zachowanie Tamazakiego i proszę o wybaczenie – powiedział.

–To on się źle zachował, a nie ty – odparł równie grzecznie Orni.

Obaj wiedzieli jednak, że odpowiedzialność za to spada na Murę i lepiej, żeby nie było więcej takich Tamazakich. Ale mimo to byli zadowoleni. Złożono przeprosiny, które zostały przyjęte, choć zarazem odrzucone. W ten sposób honor obu znalazł zadośćuczynienie.

Skręcili za róg nabrzeża i zatrzymali się. Orni zawahał się, a potem dał Murze znak, że może odejść. Naczelnik wioski uklonił się i z ulgą odszedł.

–Nie żyje, Zukimoto? – spytał Orni.

–Nie, nie, Omi-san. Znowu zemdłał.

Orni podszedł do wielkiego żelaznego kotła, w którym wieś wytapiała tran z wielorybów łowionych czasem w zimowych miesiącach daleko w morzu albo – co było wioskową specjalnością – robiła klej z ryb. Barbarzyńca był zanurzony po ramiona w parującej wodzie. Twarz miał fioletową, a wargi ściągnięte w tył i odsłaniające pokryte nalotem pleśni zęby.

O zachodzie słońca Omi przyglądał się, jak nadęty próżnością Zukimoto dogląda, żeby barbarzyńcę związano niczym kurczaka, z rękami obejmującymi kolana i dłońmi zwisającymi luźno do stóp, a potem włożono do zimnej wody. W trakcie tych przygotowań drobny rudowłosy barbarzyńca, od którego pragnął rozpocząć tortury Yabu, paplał, śmiał się i płakał, chrześcijański kapłan zaś na początku mamrotał przy

nim swoje przekłete modlitwy.

Później przystąpiono do rozpalania paleniska. Yabu nie było na wybrzeżu, ale jego rozkazy były ściśle określone i wypełniono je dokładnie. Barbarzyńca podniósł krzyk i począł się miotać opętańczo, potem zaś próbował rozbić sobie na miazgę głowę o brzeg kotła, ale go powstrzymano. A wtedy nastąpiły nowe modlitwy, łkania, omdlenia, powroty do przytomności i paniczne wrzaski, zanim nadszedł prawdziwy ból. Omi próbował patrzeć na to tak, jak się patrzy na dręczenie muchy, starając się nie dostrzegać człowieka. Ale nie potrafił, dlatego odszedł najszybciej jak mógł. Odkrył, że nie gustuje w torturach. Brak im godności, orzekł, ciesząc się, że miał możliwość poznania tej prawdy za pierwszym razem. Były one niegodne zarówno dla torturowanego, jak i dla jego kata. Odzierają śmierć z godności, a bez tej godności czymże jest ostateczny sens życia? – zadał sobie pytanie.

Zukimoto obojętnie szturchnął kijem podgotowane ciało na nogach barbarzyńcy, jak gdyby sprawdzał, czy gotowana na wolnym ogniu ryba już doszła.

–Niedługo znowu ożyje. To nadzwyczajne, jak długo wytrzymał.

Wątpię, czy oni są z tej samej gliny co my. Bardzo ciekawe, prawda? – spytał.

–Nie – odparł Omi, nienawidząc go z całego serca.

Zukimoto natychmiast stał się czujny i z powrotem przybrał obłudną pozę.

**–Nic takiego nie miałem na myśli, Omi-san – powiedział z niskim ukłonem. –
Zupełnie nic.**

–Oczywiście. Pan Yabu jest zadowolony, że tak dobrze się sprawiłeś. Trzeba ogromnej wprawy, żeby nie rozpaścić ognia za mocno, a w sam raz. Jesteś dla mnie zbyt łaskawy, Omi-san.

–Robiłeś to już kiedyś?

–Nie w ten sposób. Ale pan Yabu zaszczyca mnie swoją przychylnością. Ja zaś tylko staram się go zadowolić.:

–Chce wiedzieć, jak długo jeszcze ten człowiek będzie żył.

–Do świtu. Jeśli się postaramy.

Orni z namysłem uważnie przyjrzał się kotłowi. A potem ruszył biegiem w stronę placu wioskowego. Wszyscy samuraje wstali i ukłonili się mu.

–Tu jest całkiem spokojnie, Omi-san – powiedział jeden z nich ze śmiechem,

wskazując kciukiem klapę do piwnicy. – Z początku trochę gadali zagniewanymi głosami i słycać było ciosy. A potem dwóch, a może więcej, rozbeczało się jak przestraszone dzieci. Ale od dłuższego czasu jest cicho.

Omi nadstawił ucha. Usłyszał chlupotanie wody i odległe mamrotanie. Ktoś jeden raz jęknął.

–A Masijiro? – spytał, wymieniając imię samuraja, którego z jego rozkazu zostawili na dole.

–Nie wiemy, Omi-san. Na pewno nie wołał. Pewnie nie żyje.

Jak ten Masijiro śmiał być takim niedołągą, pomyślał Omi. Ulec nie uzbrojonym barbarzyńcom, z których większość choruje! Oburzające! Lepiej, że nie żyje.

–Jutro nie dacie im jeść i pić. Jeżeli ktoś umrze, to w południe usuńcie trupy, ne? I wydostańcie na górę przywódcę. Tylko jego.

–Tak, Omi-san.

Omi poszedł z powrotem do ogniska i zaczekał, aż barbarzyńca otworzy oczy. A potem wrócił do swojego ogrodu i przekazał, co powiedział mu Zukimoto, wiatr zaś znowu przywiał odgłosy katuszy.

–Zajrzałeś temu barbarzyńcy w oczy?

Tak, Yabu-sama. Omi klęczał dziesięć kroków za plecami wuja. Yabu ani drgnął. Światło księżyca rzucało cienie na jego kimono, a rękojeść miecza wyglądała jak fallus.

–I co... co zobaczyłeś?

–Obłąd. Najczystszy obłąd, takie oczy widziałem po raz pierwszy. A poza tym bezgraniczne przerażenie.

Miękko opadły trzy płatki kwiecia.

–Ułóż o nim wiersz.

Orni próbował zmusić umysł do wysiłku. A potem, żałując, że nie potrafi wyrazić tego lepiej, rzekł:

Jego oczy Były samym dnem Piekieł...

Czystą udręką, Jasno wypowiedzianą.

Krzyki unosiły się w powietrzu, słabsze już, ale odległość tym okrutniej podkreślała ciszę, kiedy milkły. Po chwili Yabu rzekł:

Jeżeli dopuścisz Ich zgrozę do siebie,

Staniesz się jak one W przepastnej, przepastnej otchłani,

Niewypowiedzianej.

Tej pięknej nocy Orni długo zastanawiał się nad tym wierszem.

5.

Kiedy zamilkły krzyki, Yabu w dalszym ciągu siedział w świetle księżyca jak posąg, aż wreszcie po upływie, zda się, następnej wieczności wstał. Kiku natychmiast przeszła do drugiego pokoju, a jej jedwabne kimono zaszeptało jak morze o północy. Przestraszony chłopiec starał się nie okazywać lęku i otarł łzy, które wycisnęły mu z oczu cierpienia barbarzyńcy. Uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco, zmuszając się do okazania spokoju, którego nie czuła.

I wtedy w drzwiach stanął Yabu. Był spocony, twarz miał napiętą, a oczy w półprzymknięte. Kiku pomogła mu zdjąć miecze, a potem wilgotne kimono i przepaskę na biodra. Wytarła go, dopomogła włożyć czyste, wysuszone na słońcu kimono i zawiązać jedwabny pas. Ledwie zaczęła go witać, zaraz ją uciszył przykładając palec do jej warg.

A potem podszedł do okna i jak w transie, lekko się chwiejąc na nogach, wyjrzał przez nie na księżyc, którego ubywało.

Stała nieruchomo, bez strachu, no bo czego mogła się w tej chwili bać? On był mężczyzną, a ona kobietą, wyszkoloną, żeby nią być, żeby sprawiać przyjemność na wszelkie możliwe sposoby. Lecz nie do zadawania ani przyjmowania bólu. W tej formie zmysłowości specjalizowały się inne kurtyzany. Tu i ówdzie siniak, niechby i ugryzienie, mieściły się w granicach przyjemności i bólu sprawianych sobie nawzajem przez partnerów, lecz zawsze usprawiedliwionych, gdyż w grę wchodził honor, ona zaś była pierwszej rangi damą Świata Wierzb, której nigdy nie traktowało się z lekceważeniem, lecz zawsze z szacunkiem. Do jej umiejętności należała wiedza, jak utrzymać mężczyznę w ryzach, do pewnych granic. Czasem mężczyzna nie dawał się jednak okiełznać i Dama przeżywała straszne chwile. Ponieważ była sama. I nie miała żadnych praw.

Fryzura Kiku była nieskazitelna, jeśli nie liczyć małych loczków, tak misternie opadających jej na uszy, żeby podsuwały myśli o erotycznym nieładzie, a przy tym podkreślały niewinność całości. Wierzchnie kimono w czerwono-czarną kratę obszyte było lamówką barwy najczystszej zieleni uwypuklającej bladość jej cery i obwiązane ściśle szerokim, sztywnym, opalizującym zielonym pasem obi. Słyszała w tej chwili przybrzeżne fale i lekki wiatr szeleszczący w ogrodzie.

Wreszcie Yabu odwrócił się i spojrzał na nią, a potem na chłopca.

Chłopiec miał piętnaście lat, był synem miejscowego rybaka i terminował w pobliskim klasztorze u buddyjskiego mnicha, artysty, malarza i ilustratora książek. Należał do tych, którym miło jest zarabiać pieniądze od mężczyzn lubiących to robić z chłopcami, a nie z kobietami.

Yabu przywołał go gestem. Chłopiec, już prawie wyzbyty strachu, posłusznie, z wyćwiczoną elegancją rozwiązał pas na kimonie. Nie nosił przepaski na biodra, ale kobiecą halkę, która sięgała do ziemi. Ciało miał gładkie, kształtne i prawie bezwłose.

Kiku zapamiętała ciszę panującą w pokoju, splatający ich troje, spokój i brak krzyków, jej czekanie wraz z chłopcem, aż Yabu wskaże, które z nich chce mieć, oraz lekko chwiejącego się daimyō, który stał pomiędzy nimi i przenosił wzrok z jednego na drugie.

Po dłuższym czasie dał znak jej. Z wdziękiem rozwiązała wstążkę swego obi, odwinęła pas delikatnie i położyła. Fałdy jej cieniutkich kimon rozchyliły się z szelestem, odsłaniając cienką jak mgiełka halkę, podkreślającą biodra. Yabu ułożył się na pościeli, a potem, na jego rozkaz, oni po jego bokach. Ułożył sobie ich ręce na ciele i przytrzymał. Szybko się podniecił, pokazując im, jak mają użyć paznokci w okolicach lędźwi, jego podniecenie wzrosło i zaczęło wzrastać coraz szybciej, mimo jego kamiennej twarzy, aż wreszcie wydał z siebie rozedrgany gwałtowny krzyk najdotkliwszego bólu. Przez chwilę leżał ciężko dysząc, z mocno zaciśniętymi powiekami, z unoszącą się ciężko pierśią, a potem odwrócił się i prawie natychmiast zasnął.

W ciszy tej wstrzymali oddechy, starając się ukryć swoje zaskoczenie. Wszystko skończyło się tak szybko.

Zdumiony chłopiec podniósł brwi.

–Czyżbyśmy nie zrobili tego jak należy, Kiku-san? – wyszeptał. – No bo wszystko odbyło się tak prędko.

–Zrobiliśmy wszystko, czego chciał – odparła.

–Na pewno dotarł do Chmur i Deszczu – rzekł chłopiec. – Myślałem już, że ten dom się zawali.

Kiku uśmiechnęła się.

–A, tak. Cieszę się. Z początku bardzo się bałem. Jak dobrze jest kogoś zaspokoić.

Razem delikatnie wytarli Yabu i przykryli go kołdrą. A potem chłopiec ułożył się w rozmarzeniu na wznak i podparty na łokciu stłumił ziewnięcie.

–A może i ty zaśniesz – powiedziała...

Chłopiec obciągnął kimono i zmienił pozycję, klękając naprzeciwko niej. Siedziała przy Yabu, prawą dłonią delikatnie gładząc rękę daimyō i łagodząc jego rozedrgany sen.

–Jeszcze nigdy nie byłem jednocześnie z mężczyzną i kobietą, Kiku-san – szepnął chłopiec.

–Ja również.

Chłopiec zmarszczył brwi.

–Nie byłem też nigdy z dziewczyną. To znaczy, z żadną nie poduszkowałem.

–Chciałbyś ze mną? – spytała grzecznie. – Jeżeli zaczekasz, to nasz pan na pewno się nie obudzi.

Chłopiec zmarszczył brwi.

–Tak, proszę – powiedział, a potem dodał: – To było bardzo dziwne, pani Kiku.

Uśmiechnęła się w duchu.

–A jak wolisz? – spytała.

Kiedy leżeli spokojnie trzymając się w objęciach, chłopiec długo myślał nad odpowiedzią.

–Taki sposób wymaga wiele wysiłku.

Ułożyła głowę na jego ramieniu i żeby ukryć uśmiech, pocałowała go w kark.

–Jesteś wspaniałym kochankiem,– szepnęła. – Po tak ciężkim wysiłku musisz się przespać.

Uśpiła go pieszczotami, a potem zostawiła samego i przeniosła się na drugie poślanie z kołder.

Było zimne. Nie chciała się przysuwać do ciepłego Yabu, żeby nie zakłócać mu snu. Wkrótce jej strona pośłania ogrzała się.

Cienie padające od shoji wyostrzyły się. Mężczyźni to takie duże dzieci, pomyślała. Tacy pełni niemądrej dumy. Całe te męczarnie dzisiejszej nocy za coś tak nietrwałego! Za namiętność, która przecież jest w swej istocie jedynie ułudą, ne?

Chłopiec poruszył się we śnie. Dlaczego mu to zaproponowałam? – zadała sobie pytanie. Dla jego przyjemności – dla niego, a nie dla mnie, choć mnie to ubawiło, zajęło mi czas, a jemu dało spokój, którego potrzebował. Czemu się trochę nie prześpię? Później. Prześpię się później, powiedziała sobie.

Kiedy nadeszła pora, wysliznęła się z „cieplej miękkości pośłania i wstała. Jej

kimona zaszeleściły przy rozdzielaniu, a na skórze poczuła zimne powietrze. Szybko ułożyła swoje szaty w idealne fałdy i zawiązała obi. A potem zręcznie, choć przy tym ostrożnie, poprawiła fryzurę. Oraz makijaż.

Z pokoju wyszła bezszelestnie.

Strażnik pilnujący wejścia na werandę uklonił się jej, na co od powiedziała mu ukłonem i wyszła na poranne słońce. Służąca już na nią czekała...

–Dzień dobry, Kiku-san – przywitała ją.

–Dzień dobry.

Dotyk słońca był bardzo przyjemny i zmył z niej przykre wrażenia tej nocy. Jakże piękne jest życie” pomyślała.

Blackthorne zanurzył tykwę w resztkach mętnej wody w beczce, starannie odmierzył pół jej zawartości i podał wodę Sonkowi. Sonk starał się pić powoli, żeby starczyło na dłużej, ale nie był w stanie, bo trzęsa mu się ręka. Połknął więc ciepławy płyn, żałując tego już w chwili, kiedy spłynął mu przez spieczone gardło, a potem wyczerpany po omacku odnalazł miejsce przy ścianie, depcząc po tych, na których przyszła kolej leżeć. Podłogę pokrywało w tej chwili głębokie błoto, a smród i muchy dokuczały potwornie. Przez szparę w klapie do piwnicy wpadało odrobinę słońca.

Następny w kolejce do wody był Vinck, który wziął swoją porcję i wpatrzył się w nią. Siedział w pobliżu beczki, a z jej drugiej strony zajmował miejsce Spillbergen.

–Dziękuję – wymamrotał głucho.

–Pośpiesz się! – ponaglił go Jan Roper, którego rozcięty policzek już się zaognił. Był ostatni w kolejce do wody, a ponieważ znajdował się tak blisko niej, gardło przyprawiało go o męki. – Pośpiesz się, Vinck, na rany Jezusa! Przepraszam. Weź, proszę – odparł Vinck podając mu tykwę, nieświadom, że obsiadły go muchy.

–Wypij, głupi! Nic więcej nie dostaniesz aż do zachodu słońca. Wypij!

Jan Roper wepchnął mu z powrotem naczynie do ręki. Vinck nie spojrzął na niego, ale przygnębiony posłuchał się go, a potem ponownie zstąpił do swojego osobistego piekła.

Jan Roper wziął swoją porcję wody od Blackthorne’a. Zamknął oczy i w milczeniu zmówił modlitwę. Był w tej chwili jednym ze stojących i bolały go mięśnie nóg: Zawartość naczynia wystarczyła mu zaledwie na dwa łyki.

Wtedy zaś, ponieważ wszyscy otrzymali już swoje porcje, Blackthorne sięgnął do

beczki i z przyjemnością się napił. Był pokryty brudem, potem i muchami. Usta i język miał podrażnione, piekące i suche. Klatkę piersiową i plecy mocno potłuczone.

Obserwował samuraja, którego zostawiono w piwnicy. Japończyk siedział skulony pod ścianą, pomiędzy Sonkiem a Croocciem, zajmując jak najmniej miejsca, i od wielu godzin się nie poruszył. Wpatrywał się martwym wzrokiem przed siebie, nagi, jeśli nie liczyć przepaski, z ciałem pokrytym wielkimi siniakami i z grubą pręgą dookoła szyi. Kiedy Blackthorne odzyskał przytomność, piwnica tonęła w całkowitych ciemnościach. Jamę wypełniały wrzaski, on zaś myślał, że umarł i znajduje się w duszących otchłaniach piekieł. Miał wrażenie, że został wessany w błoto, ponad miarę lepkie, zimne i pełne wijących się ciał, więc zaczął krzyczeć i w przerażeniu młócić rękami i nogami, nie mogąc oddychać, aż wreszcie, po upływie wieczności, usłyszał głos:

–Spokojnie, pilocie, nie umarłeś, spokojnie. Oprzytomniej, oprzytomniej, na miły Bóg, to nie piekło, ale tak właśnie mogłoby wyglądać.

O błogosławiony Panie Jezu, dopomóż nam wszystkim.

–Chryste, wydostań nas stąd! – wyjęczał któryś.

–Co oni robią temu biednemu Pieterzoonowi? Co oni mu robią? Boże, pomóż nam. Nie mogę wytrzymać tych krzyków!

–O Panie, ześlij na tego biedaka śmierć. Ześlij śmierć.

–Chryste Panie, przerwij te krzyki! Proszę cię, przerwij te krzyki!

Zamknięcie w tej piwnicy i krzyki Pieterzooona były ciężkim przeżyciem dla wszystkich, zmuszając ich do zajrzenia we własne dusze.

I żadnemu z nich nie spodobało się to, co tam zobaczył.

Ciemności jeszcze tylko wszystko pogarszają, pomyślał Blackthorne. Noc w piwnicy nie miała końca.

O brzasku krzyki ustały. Kiedy przesączyło się do nich światło ranka, zobaczyli zapomnianego samuraja.

–Co z nim zrobimy? – spytał van Nekk.

–Nie wiem. Jest tak bardzo wystraszony, jak my sami – odparł Blackthorne z mocno bijącym sercem.

–Lepiej, żeby z niczym nie wyskakiwał, na miły Bóg!

–O Panie Jezu, wydostań nas stąd... – Głos Croocqa zaczął nabierać siły. – Na pomoc!!!

Van Nekk, który siedział blisko niego, potrząsnął chłopakiem i powiedział łagodnym głosem:

–Wszystko w porządku, chłopcze. Jesteś w rękach Boga. On nas strzeże.

–Obejrzyj no moją rękę – wyjęczał Maetsukker, którego rana już zaczęła ropieć.

Blackthorne podniósł się chwiejnie.

–Za dzień, dwa wszyscy zwariujemy do reszty, jeżeli się stąd nie wydostaniemy – rzekł nie wiadomo do kogo.

–Już prawie nie ma wody – poskarżył się van Nekk.

–Rozdzielimy to, co zostało. Trochę teraz... trochę w południe. Przy szczęściu, starczy nam na trzy razy. Bodaj diabli te wszystkie muchy!

Blackthorne odszukał czerpak i rozdał porcje, w tej chwili zaś pił swoją, starając się, żeby starczyła jak najdłużej.

–A co z nim... co z tym Japończykiem? – spytał Spillbergen. Dowódca wyprawy lepiej zniósł tę noc od pozostałych, ponieważ zatkał sobie uszy przed krzykami błotem, a okupując miejsce przy beczce z wodą przezornie ugasił pragnienie. – Co z nim zrobimy?

–Powinien dostać wody – powiedział van Nekk.

–A bodaj cię franca – zaklął Sonk. – A ja mówię, że nie dostanie. Przegłosowali to i uchwalili, że Japończyk nie dostanie wody.

–Nie zgadzam się – powiedział Blackthorne.

–Ty się nie zgadzasz z niczym, co mówimy – rzekł Jan Roper. – A to przecież wróg. Pogański diabeł, który omal cię nie zabił.

–To ty mnie omal nie zabiłeś. Z pół tuzina razy. Gdyby twój muszkiet Wypalił w Santa Magdellana, to rozwalilibyś mi głowę.

–Nie celowałem w ciebie. Celowałem w te przeklęte sługi Szatana!

–To byli nie uzbrojeni księża. A poza tym miałeś mnóstwo czasu.

–Nie celowałem w ciebie.

–Bóg świadkiem, że tuzin razy o mało co nie zabiłeś mnie przez twój przeklęty gniew, przeklętą bigoterię i przeklętą głupotę.

–Błudnierstwo to grzech śmiertelny. Branie Jego imienia nadaremno to grzech. Jesteśmy w Jego rękach, a nie w twoich. Nie jesteś królem i nie jesteś na statku. Nie jesteś naszym stró...

–Ale zrobicie, co każę!

Jan Roper rozejrzał się po piwnicy, na próżno szukając poparcia.

–Rób, co chcesz:- oznajmił ponuro.

–Zrobię.

Samurajowi chciało się pić, ale na widok podsuniętego czerpaka potrząsnął głową. Blackthorne zawahał się, przystawił tykwę do spierzchniętych warg Japończyka, ale ten odtrącił ją rozlewając wodę i powiedział coś szorstkim tonem. Blackthorne przygotował się do odparowania ciosu, który nastąpi. Ale nie nastąpił. Japończyk nie poruszył się więcej i tylko wpatrywał się przed siebie.

–To wariat. Oni wszyscy to wariaci – powiedział Spillbergen.

–Więcej wody dla nas. No i dobrze – rzekł Jan Roper. – Niech idzie do piekła, na które zasłużył.

–Jak się nazywasz? Imię? – spytał Blackthorne. Powtórzył to na inne sposoby, ale samuraj zdawał się tego nie słyszeć.

Dali mu spokój. Ale obserwowali go, jakby mieli przed sobą skorpiona. On na nich nie patrzył. Blackthorne był przekonany, że człowiek ten dojrzewa do podjęcia jakiejś decyzji, ale nie wiedział jakiej.

Co zamierza, zadawał sobie pytanie. Dlaczego odmawia wody? Dlaczego go tu zostawili? Czy to niedopatrzenie Omiego? Niemożliwe. Celowo? Niemożliwe. Czy można go wykorzystać, żeby się stąd wydostać? Niemożliwe: Cały ten świat jest niemożliwy, z tym że, być może, pozostaniemy tutaj, aż oni nas stąd wypuszczą... jeżeli w ogóle wypuszczą. A jeżeli wypuszczą, to co dalej? Co zrobili z Pieterzoonem?

Wraz z dziennym upałem zaroilo się od much.

O Boże, żebym tak mógł się położyć, żebym tak mógł się zanurzyć w tej kąpieli, pomyślał. Nie musieliby mnie już tam zaciągać. Nie miałem pojęcia, jak wiele znaczy kąpiel. I ten niewidomy starzec ze swoimi stalowymi palcami! Chętnie skorzystałbym z jego umiejętności przez godzinę albo dwie.

Ileż strat! Wszystkie nasze statki, ich załogi i wysiłki poświęcone dla takiego końca. Pełna klęska. No, prawie. Niektórzy z nas jeszcze żyją.

–Pilocie! – odezwał się van Nekk, potrząsając nim. – Zasnąłeś.

Chodzi o niego... od minuty albo dłużej bije ci pokłony.

Wskazał na samuraja, który klęczał przed nim z pochyloną głową. Blackthorne przetarł oczy, żeby odegnać zmęczenie. Zdobył się na wysiłek i odkłonił.

–Hai? – spytał krótko, przypominając sobie japońskie słowo oznaczające „tak”.

Samuraj chwycił pas od swojego porwanego kimona i okręcił go sobie wokół szyi. Wciąż klęcząc, podał jeden jego koniec Blackthorne’owi, drugi Sonkowi, skłonił głowę i pokazał im, żeby mocno pociągnęli.

–Boi się, że go udusimy – domyślił się Sonk.

–Chryste, a ja myślę, że on właśnie tego od nas chce.

Blackthorne wypuścił pas i pokręcił przecząco głową.

–Kinjiru! – powiedział, myśląc o tym, jakże pożyteczne jest to słowo. Przekazuje komuś, kto nie zna twojego języka, iż morderstwo, zabicie nie uzbrojonego człowieka jest sprzeczne z zasadami, że nie jesteśmy katami i że samobójstwo jest potępione przez Boga.

Samuraj poprosił jeszcze raz, wyraźnie go błagając, ale Blackthorne ponownie pokręcił głową.

–Kinjiru – powtórzył.

Japończyk rozejrzał się gorączkowo. Nagle zerwał się na nogi i wsadził głowę głęboko do cebra z nieczystościami, próbując się w nim utopić. Jan Roper z Sonkiem natychmiast go wyciągnęli. Dławił się i wrywał.

–Puście go – rozkazał Blackthorne. Posłuchali go. Wskazał beczkę z nieczystościami. – Samuraju, jeżeli tego chcesz, to zrób to!

Japończyk wymiotował, ale zrozumiał go. Spojrzał na śmierdzący ceber i pojął, że nie starczy mu woli, aby utrzymać w nim głowę wystarczająco długo. W poczuciu sromotnej klęski wrócił na swoje miejsce pod ścianą.

–Chryste – mruknął któryś.

Blackthorne zaczerpnął z beczki pół naczynia wody, wstał, na zeszywniałych

nogach podszedł do Japończyka i podsunął mu tykwę z wodą. Samuraj nawet na nią nie spojrział.

–Ciekawe, jak długo wytrzyma – powiedział Blackthorne.

–Nieskończenie długo – rzekł Jan Roper. – To nie są ludzie. To zwierzęta.

–Na miłość boską, jak długo jeszcze będą nas tu trzymać? – spytał Ginsel., Jak długo im się spodoba.

–Musimy robić wszystko, czego zechcą – powiedział van Nekk. – Musimy, jeżeli chcemy przeżyć i wydostać się z tej piekielnej jamy. Prawda, pilocie?

–Tak. – Blackthorne z ulgą oszacował długość cieni. – Samo południe, zmiana wart.

Spillbergen, Maetsukker i Sonk zaczęli narzekać, ale przekleństwami zmusił ich do wstania i kiedy zamienili się miejscami, z przyjemnością się położył. Błoto cuchnęło, a muchy roiły się jak nigdy, jednakże rozkosz, jaką dawała możliwość wyciągnięcia się na całą długość ciała, była ogromna.

Co oni zrobili Pieterzoonowi? – zadawał sobie pytanie czując, że ogarnia go znużenie. – O Boże, pomóż nam stąd wyjść. Tak się boję.

Nad głową rozległy się kroki. Otworzono klapę. Stał tam zakonnik w towarzystwie samurajów.

–Pilocie. Masz wejść na górę. Masz wejść na górę sam – po wiedział.

6.

Oczy wszystkich w piwnicy zwróciły się na Blackthorne'a.

–Czego ode mnie chcą?

–Nie wiem – odparł grobowym głosem ojciec Sebastio. – Ale musisz wyjść natychmiast.

Blackthorne wiedział, że nie ma wyboru, ale nie opuścił osłaniającej go ściany, starając się zebrać więcej sił.

–Co się stało z Pieterzoonem?

Jezuita powiedział mu. Blackthorne przełożył to tym, którzy nie znali portugalskiego.

–Panie Boże, zlituj się nad nim – wyszeptał van Nekk w przeraźliwej ciszy. – Biedaczysko. Biedaczysko.

–Przykro mi. Nic nie mogłem zrobić – powiedział bardzo zasmucony ksiądz. – Wątpię, czy z chwilą włożenia go do wody rozpoznawał mnie albo kogokolwiek. Postradał zmysły. Udzieliłem mu rozgrzeszenia i odmówiłem modlitwę. Być może dzięki łasce boskiej... In nomine Patris et Filii at Spiritus Sancti. Amen. – Zrobił znak krzyża nad piwnicą. – Błagam was, żebyście wyrzekli się swoich herezji i nawrócili na wiarę Bożą. Pilocie, musisz wejść na górę.

–Na miłość boską, pilocie, nie zostawiaj nas! – zawołał Croocq. Vinck, potykając się, podszedł do drabiny i zaczął się po niej wspinać.

–Mogą wziąć mnie, nie pilota. Mnie, nie jego. Powiedz im...

Zamilkł bezradnie, stojąc obiema nogami na szczepkach. Długa włócznia zatrzymała się o cal od jego serca. Spróbował chwycić za jej drzewce, ale samuraj był na to przygotowany i gdyby Vinck nie odskoczył w tył, toby go przebiła.

Samuraj z włócznią wskazał na Blackthorne'a i gestem polecił mu wejść. Obcesowo, Ale Blackthorne mimo to się nie ruszył. Drugi samuraj wsunął do piwnicy jakiś długi haczykowy drąg i próbował nim zahaczyć Blackthorne'a.

Nikt się nie ruszył, żeby pomóc pilotowi, oprócz samuraja w piwnicy.

Pochwyił on szybko hak i powiedział coś ostrym tonem do tamtego na górze, ten zaś zawahał się, a potem spojrział na Blackthorne'a, wzruszył ramionami i coś odpowiedział.

–Co powiedział? – spytał Blackthorne.

–Japońską sentencję – odparł zakonnik. – „Człowieczy los jest człowieczym losem, a życie jedynie złudą”.

Blackthorne skinął głową samurajowi, nie oglądając się podszedł do drabiny i zaczął się po niej wspinać. Kiedy wyszedł na pełne słońce, zmrużył oczy przed jego rażącym blaskiem, kolana ugięły się pod nim i runął na piasek., Omi stał z boku. Zakonnik i Mura obok czterech samurajów. Kilku mieszkańców wioski przyglądało się im przez chwilę, a potem odwrócili się.

Nikt mu nie pomógł wstać.

O Boże, daj mi siłę, pomodlił się. Muszę wstać i udać, że jestem silny. Oni poważają tylko siłę. I nieokazywanie po sobie strachu. Pomóż mi, proszę.

Zacisnął zęby, odepchnął się od ziemi i lekko się chwiejąc wstał. – Co, do diabła, chcesz ze mną zrobić, ty mały francowaty sukinsynu? – zwrócił się bezpośrednio do Omiego, a potem rzekł do jezuitę: – Powiedz temu draniowi, że w moim kraju jestem daimyō, co więc ma znaczyć takie traktowanie? Powiedz mu, że nie żyjemy do niego pretensji. Powiedz mu, żeby nas wypuścił, bo w przeciwnym razie sobie zaszkodzi. Powiedz mu, że jestem daimyō, na miły Bóg. Jestem dziedzicem sir Williama Micklehavana, oby ten drań dawno temu skonał! Powiedz mu!

–Ten pirat mówi, że jest w swoim kraju udzielnym panem – powiedział po japońsku zakonnik i wysłuchał odpowiedzi Omiego. – Omi-san mówi, że nie dba o to, czy jesteś w swoim kraju choćby królem., Tu, ty i twoi ludzie, żyjecie dzięki łasce pana Yabu.

–Powiedz mu, że dla mnie jest łajnem.

–Radzę ci wystrzegać się ubliżania im.

Omi znowu coś powiedział.

–Omi-san mówi, że zostaniesz wykąpany. Dostaniesz jeść i pić.

A jeżeli będziesz zachowywał się jak trzeba, to nie wtrąca cię z powrotem do piwnicy.

–A co z moimi ludźmi? Jezuita spytał o to Omiego.

–Zostaną na dole...

–W takim razie każ mu iść do diabła.

Blackthorne ruszył do drabiny, chcąc zejść z powrotem. Ale dwóch samurajów udaremniło mu to i chociaż się wrywał, z łatwością dali mu radę.

Orni przemówił do jezuitę, a potem do swoich podwładnych. Wypuścili Blackthorne'a, który omal nie upadł.

–Omi-san ostrzega, że jeżeli nie będziesz się zachowywał właściwie, to wezmą na górę następnego z twojej załogi. Drew i wody mają pod dostatkiem.

Jeżeli się teraz zgodzę, to znajdą sposoby na wykorzystanie mnie i odtąd będą mnie już zawsze mieli w ręku, pomyślał Blackthorne. Ale czy to ważne, skoro mają mnie w ręku w tej chwili i w końcu będę musiał zrobić, co zechcą? Van Nekk miał rację. Będę musiał zrobić wszystko.

–Czego oh ode mnie chce? Co to znaczy „właściwie”?

–Omi-san mówi, że znaczy to być posłusznym. Robić, co ci każą. Jeśli trzeba, to zjeść łajno.

–Kaź mu iść do diabła. Powiedz, że szczam na niego, na cały jego kraj... i na jego daimyō.

–Radzę ci, żebyś zgodził się na to, co...

–Do diabła, przekaż mu, co ci powiedziałem, dosłownie!

–Dobrze... ale ostrzegłem cię, pilocie.

Orni wysłuchał zakonnika. Kostki jego zaciśniętej na mieczu dłoni zbieleły. Wszyscy jego podwładni poruszyli się niespokojnie, przewiercając Blackthorne'a spojrzeniami.

A potem Orni cicho wydał rozkaz.

Natychmiast dwóch samurajów zeszło do piwnicy i wyłonili się stamtąd z młodym Croocqiem. Zaciągnęli go do kotła, skrępowali, podczas gdy inni przynieśli w tym czasie drewno opałowe i wodę. Potem zaś wsadzili sparaliżowanego chłopaka do napelnionego kotła i zapalili palenisko.

Blackthorne widział, jak zdjęty skrajnym przerażeniem Croocq porusza bezgłośnie ustami. Pomyślał, że dla tych ludzi życie ludzkie nie przedstawia żadnej wartości. Bodaj ich piekło pochłonęło, zaklął, to, że ugotują Croocqę, jest tak pewne, jak to, że stoję na tej zakazanej, przeklętej przez Boga ziemi.

Nad piaszczystym brzegiem zaczęły się wznosić kłęby dymu. Ponad łodziami rybackimi krążyły rozkrzyczane mewy. Kawalek drewna wypadł z paleniska i jeden z

samurajów wrzucił go nogą z powrotem.

–Każ mu to przerwać – powiedział Blackthorne. – Poproś go, żeby to przerwał.

–Omi-san pyta, czy zgadzasz się zachowywać właściwie.

–Tak.

–Pyta, czy spełnisz wszystkie jego rozkazy.

–Tak, jeżeli tylko zdołam.

–Omi znowu coś powiedział. Ojciec Sebastio zadał mu pytanie, na które skinął głową. Chce, żebyś odpowiedział mu osobiście. „Tak” brzmi po japońsku „hai”. Pyta, czy będziesz posłuszny jego rozkazom.

–Hai, jeżeli tylko zdołam.

Ogień zaczął już ogrzewać wodę i z ust chłopaka wydobył się okropny jęk. Płomienie z palących się drew, które ułożono na ceglach pod żelaznym kotłem, lizały metal. Na stos dołożono nowych polani – Omi-san każe ci się położyć. Natychmiast.

Blackthorne wykonał rozkaz.

–Omi-san mówi, że cię nie obraził, ty zaś również nie miałeś powodu, by obrażać jego. Ponieważ jesteś barbarzyńcą i jeszcze nie wiesz, co robisz, nie zostaniesz zabity. Weźmiesz za to lekcję wychowania. Rozumiesz?”

–Tak.

–Chce, żebyś odpowiedział bezpośrednio jemu.

Chłopak zaczął płaczliwie zawodzić. Krzyczał i krzyczał, dopóki nie zemdłał: Jeden z samurajów przytrzymał mu głowę nad wodą.

Blackthorne podniósł wzrok na Omiego. Pamiętaj, przykazał sobie, pamiętaj, że los chłopca jest w twoich rękach, masz w rękach życie całej załogi. Owszem, podszeptała mu jednak druga, diabelska strona jego natury, ale jaką masz gwarancję” że ten drań dotrzyma słowa?

–Rozumiesz?

.– Hai.

Zobaczył, że Omi podnosi kimono i spod przepaski wyciąga członka. Spodziewał się, że nasika mu w twarz. Ale Omi nie zrobił tego. Nasikał mu na plecy. Klnę się na

Boga, poprzysiągł sobie Blackthorne, że zapamiętam sobie ten dzień i że gdzieś, kiedyś Omi mi za to jakoś zapłaci.

–Omi-san mówi, że niegrzecznie jest mówić, że się na kogoś szczy. Bardzo niegrzecznie. Bardzo niegrzecznie i bardzo głupio jest mówić komuś, że się na niego szczy, jeżeli nie ma – się broni. Bardzo niegrzecznie i tym bardziej głupio jest to komuś mówić, jeżeli nie ma się broni, sił i nie bierze pod uwagę tego, że przyjaciele, rodzina lub kto tam jeszcze zginą pierwsi.

Blackthorne nic nie odpowiedział. Nie spuszczał Omiego z oka.

–Wakarimasu ka? – spytał Orni.

–Pyta, czy rozumiesz.

–Hai.

–Okiro.

–Każe ci wstać.

Blackthorne wstał, w głowie boleśnie go łupało. Patrzył na Omiego, a Orni wpatrywał się w niego.

–Pójdiesz z Murą i będziesz mu posłuszny. Blackthorne nie odpowiedział.

–Wakarimasu ka? – spytał ostrym tonem Orni.

–Hai. – Blackthorne szacował, jak daleko stoi od Japończyka. Już czuł, jak jego palce wbijają się w twarz i szyję tego człowieka, i modlił się, żeby starczyło mu szybkości i siły na wyłupienie mu oczu, zanim go od niego oderwą. – A co z chłopcem? – spytał.

Jezuita, zacinając się, zapytał o to Omiego. Orni zerknął na kocioł. Woda była zaledwie letnia. Chłopak zemdłał, ale nic mu się nie stało.

–Zabierzcie go stąd. Jeśli trzeba, sprowadźcie lekarza.

Jego ludzie wykonali rozkaz. Ujrzał, że Blackthorne podchodzi do chłopca i osłuchuje mu serce., Omi dał znak jezuitcie.

–Powiedz przywódcy, że ten młodzik również może dzisiaj pozostać na górze. Jeżeli przywódca i młodzik będą się zachowywali właściwie, jutro z piwnicy może wyjść następny barbarzyńca. Potem jeszcze jeden.

Być może. Albo więcej niż jeden. Być może. Zależy to od zachowania tych na górze.

Ale ty... – spojrzął na Blackthorne’a – ty odpowiadasz za najmniejsze naruszenie którejkolwiek z zasad lub rozkazów. Rozumiesz?

Kiedy zakonnik przełożył te słowa, Orni usłyszał, jak barbarzyńca mówi „tak”, i zobaczył, że mrozący krew w żyłach gniew w jego oczach nieco słabnie. Niemniej nienawiść pozostała. Co za głupota, pomyślał, co za naiwność tak się nie kryć ze swoimi uczuciami. Ciekawe, co by zrobił, gdybym poigrał z nim mocniej – udał, że wycofuję się z obietnic poczynionych bardziej lub mniej otwarcie.

–Kapłanie, powtórz mi jego nazwisko. Powiedz je wolno.

Usłyszał, jak zakonnik powtarza je kilka razy, ale nadal brzmiało w jego uszach bełkotliwie.

–Potrafisz je powtórzyć? – spytał jednego z samurajów.

–Nie, Omi-san.

–Kapłanie, powiedz mu, że od tej pory będzie się nazywał Anjin, czyli pilot, ne? Kiedy sobie na to zasłuży, będą się do niego zwracać Anjin-san. Wyjaśnij mu, że w naszym języku brak jest dźwięków pozwalających nam wymówić jego prawdziwe nazwisko. Wbij mu do głowy – dodał z sarkazmem Orni – że robimy to nie dlatego, żeby go obrazić. A na razie żegnam, Anjin.

Wszyscy mu się ukłonili. Grzecznie pozdrowił ich w ten sam sposób i odszedł. Kiedy oddalił się od plaży na tyle, by mieć pewność, że nikt go nie widzi, pozwolił sobie na szeroki uśmiech. Jakże łatwo poskromił wodza barbarzyńców! Jakże szybko rozpoznał, jak zapanować nad nim i pozostałymi!

Zadziwiający są ci obcy, pomyślał liii, im prędzej Anjin zacznie mówić naszym językiem, tym lepiej. Bo wówczas dowiemy się, jak raz i na zawsze rozgromić chrześcijańskich barbarzyńców!

–Dlaczego nie narobiłeś mu na twarz? – spytał Yabu.

–Z początku miałem taki zamiar, panie. Ale ten pilot jest nadal nieposkromionym zwierzęciem, ogromnie niebezpiecznym. Narobić mu na twarz... cóż, dla nas dotknięcie czyjejs twarży jest najgorszą zniewagą, ne? Pomyślałem, że mogę go tym znieważyć tak bardzo, że przestanie nad sobą panować. Narobiłem mu więc na plecy, co, jak myślę, wystarczy.

Siedzieli na werandzie jego domu, na jedwabnych poduszkach. Matka Omiego serwowała im cha – herbatę – przestrzegając najlepiej jak potrafiła wszelkich zasad ceremonii, których dobrze wyuczono ją w młodości. Z ukłonem podała filiżankę Yabu. Yabu ukłonił się i uprzejmie podał ją Omiemu, który naturalnie odmówił przyjęcia jej,

kłaniając się jeszcze głębiej. A wtedy Yabu przyjął ją i całkowicie usatysfakcjonowany z przyjemnością zaczął pić.

–Zrobiłeś na mnie doskonałe wrażenie, Omi-san – powiedział. – Twoje rozumowanie jest nadzwyczajne. Wspanialeś zaplanował i przeprowadził tę sprawę.

–Jesteś dla mnie zbyt uprzejmy, panie. Mogłem się postarać znacznie lepiej, znacznie lepiej.

–Gdzieś poznał aż tak dobrze umysłowość barbarzyńców?

–Kiedy miałem czternaście lat, przez rok uczył mnie pewien mnich imieniem Jiro. W przeszłości był katolickim księdzem, a przynajmniej uczył się na księdza, jednak na szczęście przejrzał, że głupio pobłądził. Na zawsze zapamiętałem sobie jedno, co mi powiedział. Powiedział, że religia chrześcijańska jest bezbronna, ponieważ naucza, że główne bóstwo chrześcijan, Jezus, przykazał ludziom nawzajem się „miłować”, w ogóle nie uczył o honorze i obowiązku, a tylko o miłości. A ponadto, że życie jest świętością: „Nie będziesz zabijał”, ne? I tym podobne głupstwa. Ci nowi barbarzyńcy twierdzą, że również są chrześcijanami, nawet jeżeli ten kapłan temu przeczy, więc pomyślałem sobie, że być może stanowią oni jakąś inną sektę chrześcijańską i to jest powód ich wzajemnej Wrogości, podobnie jak nasze sekty buddyjskie nienawidzą jedna drugiej. Pomyślałem zatem, że skoro „kochają bliźniego swego”, to, być może, uda nam się zdobyć wpływ na ich przywódcę, uśmiercając albo tylko grożąc uśmierceniem któregoś z jego ludzi.

Ze względu na tamtą śmierć w męczarniach, śmierć skalaną, Orni miał świadomość, czym grozi ta rozmowa. Wyczuł nieme ostrzeżenie matki, która przeszła pomiędzy nimi.

–Napijesz się jeszcze cha, Yabu-sama? – spytała.

–Dziękuję – odrzekł Yabu. – Jest bardzo, bardzo dobra.

–Dziękuję, wielmożny panie. Ale czy ten barbarzyńca nie złamał się na dobre, Omi-san? – spytała matka, zmieniając temat rozmowy. – Może powinieneś powiedzieć naszemu panu, czy jego poskromienie uważasz za chwilowe czy też stałe.

Orni zastanowił się nad odpowiedzią.

–Chwilowe – odparł. – Jestem jednak zdania, że powinien jak najszybciej nauczyć się naszego języka. To dla ciebie bardzo ważne, panie. Będziesz prawdopodobnie musiał zabić jednego czy dwóch barbarzyńców, żeby utrzymać w ryzach jego i resztę, ale do tego czasu nauczy się zachowywać właściwie. Z chwilą gdy można będzie porozumiewać się z nim bezpośrednio, Yabu-sama, będziesz mógł wykorzystać jego wiedzę. Jeżeli kapłan powiedział prawdę o tym, że pilotował ten

statek przez dziesięć tysięcy mil, to z pewnością nie jest w ciemną bity.

–Ty sam nie jesteś w ciemną bity. – Yabu roześmiał się. – Powierzam ci te bydlęta. Szanowny Orni, pogromco ludzi!

Orni zaczął się śmiać wraz z nim.

–Postaram się, panie.

–Podwyższam ci dochód z pięciuset do trzech tysięcy koku. Będziesz sprawował władzę w promieniu dwudziestu ri. Ri było miarą odległości zbliżoną do mili.

–A na dalszy dowód mojej sympatii po powrocie do Edo wyślę ci dwadzieścia koni, dwadzieścia jedwabnych kimon, jedną pełną zbroję, dwa miecze i broń wystarczającą do uzbrojenia setki samurajów, których najmiesz. Kiedy wybuchnie wojna, natychmiast dołączysz do mojego osobistego sztabu jako hatamoto.

Yabu czuł się jak dobrodziej, gdyż hatamoto był specjalnym członkiem świty daimyō, mającym prawo dostępu do swojego feudalnego pana i noszenia w jego obecności mieczy. Yabu był zachwycony Omim, wypoczęty i czuł się jak nowo narodzony. Spał wyśmienicie. Kiedy się obudził, w pokoju nie znalazł nikogo, czego należało się spodziewać, ponieważ nie zażądał ani od dziewczyny, ani od chłopca, żeby pozostali. Napił się herbaty i zjadł trochę kleiku ryżowego. A potem były kąpiel i masaż Suwo.

Co za wspaniałe przeżycie, pomyślał. Jeszcze nigdy nie czułem się tak blisko natury, drzew, gór i ziemi, bezcennego smutku życia i jego przemijania. Krzyki torturowanego wszystko to jeszcze wydoskonaliły.

–Omi-san, w moim ogrodzie w Mishimie jest kamień i chciałbym, żebyś go przyjął dla upamiętnienia tego wydarzenia, tej cudownej nocy i przychylnego nam losu – rzekł. – Wyślę go z resztą rzeczy. Kamień ten pochodzi z Kiusiu. Nazwałem go „Kamieniem Oczekiwania”, bo kiedy go znalazłem, czekaliśmy, aż pan taikō wyda nam rozkaz do ataku. Było to, ach, piętnaście lat temu. Należałem do jego armii, która rozniosła buntowników i podbiła tę wyspę.

–Czynisz mi wielki zaszczyt, panie.

–Dlaczego nie ustawić go tutaj, w twoim ogrodzie, i przemianować? Czemu nie nazwać go „Kamieniem Milczenia Barbarzyńcy”, dla upamiętnienia tej nocy i nie kończącego się czekania, aż zamilknie?

–A może wolno mi będzie nazwać go „Kamieniem Szczęśliwości”, żeby przypominał mnie i moim potomkom zaszczyty, jakimi mnie obsypałeś, wuju?

Nie, lepiej nazwać go po prostu „Czekającym Barbarzyńcą”. Tak, to mi się podoba. Ściślej nas z sobą łączy, jego i mnie. On czekał, tak samo jak ja czekałem. Ja żyję, on umarł. – Yabu spojrział na ogród, zastanawiając się. – To dobre, „Czekający Barbarzyńca”! Podoba mi się. Po jednej stronie tego kamienia są dziwne cętki, które przypominają łzy, i niebieskie żyłki połączone z czerwonym kwarcem, które przypominają mi ciało – jego nietrwałość – Yabu westchnął, rozkoszując się własną melancholią. A potem dodał: – Dobrze jest umieścić czasem w ogrodzie kamień i go nazwać. Ten barbarzyńca długo konał, ne? Może odrodzi się jako Japończyk, w nagrodę za te cierpienia. Czyż nie byłoby to wspaniałe? A kiedyś jego potomkowie, być może, zobaczą ten kamień i będą radzi.

Orni wypowiedział potok serdecznych podziękowań i zastrzegł się, że nie zasłużył sobie na taką szczodrość. Yabu wiedział jednakże, że w pełni zasłużył on sobie na te dary. Z łatwością mógł mu dać więcej, pamiętał jednak stare powiedzenie, że lenno zawsze można powiększyć, ale jego zmniejszenie jest matką wrogości. I zdrady.

–Oku-san – zwrócił się do kobiety, tytułując ją Szanowną Matką – mój brat powinien mi wcześniej powiedzieć o wielkich zaletach swego najmłodszego syna. A wówczas Omi-san zaszedłby do tej pory znacznie wyżej. Mój brat jest zbyt skromny i za mało myśli o innych.

–Mój mąż za bardzo cię szanuje i dba o ciebie, panie, żeby ci się narzucać – odparła, świadoma kryjącej się za tymi słowami przygany. – Cieszę się, że mój syn otrzymał możliwość przysłużenia się tobie i że cię zadowolił. Wypełnił jedynie swój obowiązek, ne? Naszym obowiązkiem, szanownego Mizuno i nas wszystkich, jest służyć.

Na podjeździe zaklekotały końskie kopyta. A potem przez ogród przemaszerował Igurashi, dowódca świty Yabu.

–Wszystko gotowe, panie – zameldował. – Jeżeli chcesz szybko wrócić do Edo, powinniśmy wyruszyć zaraz.

–Dobrze. Omi-san, ty ze swoim oddziałem pojedziesz z konwojem i pomożesz szanownemu Igurashiemu w bezpiecznym dotarciu do mojego zamku. – Yabu spostrzegł, że twarz siostrzeńca na chwilę się zachmurzyła. – O co chodzi?

–Właśnie myślałem o tych barbarzyńcach.

–Zostaw do nich kilku strażników. W porównaniu z tym konwojem barbarzyńcy nie są ważni. Rób z nimi, co chcesz, wrzuć ich z powrotem do piwnicy, zrób, co ci się spodoba. Jeżeli uda ci się wyciągnąć z nich coś użytecznego, daj mi znać.

–Tak, panie – odrzekł Omi. – Zostawię dziesięciu samurajów, a Murze wydam szczegółowe polecenia. Przez pięć, sześć dni niczego nie nabroją. A co chcesz

zrobić z tym statkiem?

–Trzymaj go tutaj. Oczywiście odpowiadasz za niego. Zukimoto posłał handlarzowi z Nagasaki listy z propozycją sprzedania statku Portugalczykom. Portugalczycy przyłyną i zabiorą go.

–Orni wahał się przez chwilę...’, A może powinieneś zatrzymać ten statek, panie, i zmusić barbarzyńców do nauczenia naszych żeglarzy, jak nim pływać.

–A na co mi barbarzyńskie statki?

–Yabu zaśmiał się drwiąco. – Miałbym zostać jakimś parszywym kupcem?

–Oczywiście, że nie, panie – odparł prędko Orni. – Tylko pomyślałem sobie, że Zukimoto mógłby go jakoś wykorzystać.

–A na co mi statek handlowy?

–Ten kapłan powiedział, że to okręt wojenny, panie. Najwyraźniej się go obawia. Kiedy rozpocznie się wojna, okręt wojenny może...

–Nasza wojna będzie się toczyć na lądzie. Morze jest dla kupców, a są to sami parszywi, brudni lichwiarze, piraci lub rybacy.

Yabu wstał i ruszył po schodkach w stronę furty, przy której samuraj trzymał za uzdę jego konia. Zatrzymał się i popatrzył na morze. Kolana ugięły się pod nim.

Orni podążył oczami za jego spojrzeniem.

Przylądek opływał właśnie jakiś statek. Była to wielka galera z mnóstwem wiosł, najszybszy z japońskich przybrzeżnych okrętów, ponieważ niezależny tak od wiatru, jak od pływów Bandera na jego maszcie nosiła herb Toranagi.

7.

Toda Hiro-matsu, władca prowincji Sagami i Kozuke najbardziej zaufany generał i doradca Toranagi, głównodowodzący jego wszystkich wojsk, w pojedynkę zszedł po kładce na nabrzeże. Był wysokim, mierzącym blisko sześć stóp mężczyzną o posturze byka, wydatnych szczękach i mimo swoich sześćdziesięciu siedmiu lat cieszył się pełnią sił. Wojskowe kimono miał z brązowego jedwabiu i bez żadnych ozdób, oprócz pięciu małych herbów Toranagi – trzech połączonych pędów bambusa. Nosił też wypolerowany napierśnik i stalowe naramienniki. Przy pasie miał tylko krótki miecz. „Długi, do zabijania, niósł swobodnie w ręku. Był gotów natychmiast wydobyć go z pochwy i zabić w obronie swojego pana. Zwyczaj ten utrzymywał od piętnastego roku życia.

Nikt, nawet taikō, nie był w stanie tego zmienić.

Przed rokiem, kiedy taikō zmarł, Hiro-matsu został wasalem Tora-nagi. Toranaga oddał mu władzę w Sagami i Kozuke, dwóch spośród swoich ośmiu prowincji, przyznał pięćset tysięcy koku ryżu rocznie i również pozostawił w spokoju jego zwyczaj. Hiro-matsu był świetny w sztuce zabijania.

Na wybrzeże wylegli wszyscy mieszkańcy wioski – mężczyźni, kobiety i dzieci – klęcząc z nisko pochylonymi głowami. Przed nimi w równych, przepisowych rzędach stali samuraje. A na ich czele Yabu ze swoimi adiutantami.

Gdyby Yabu był kobietą lub słabym mężczyzną, to powinien by już, jak wiedział, walić się w piersi, zawodzić i wrywać sobie włosy z głowy. Było to trochę za wiele jak na zwykły zbieg okoliczności. Obecność tutaj właśnie dzisiaj słynnego Tody Hiro-matsu znaczyła bowiem, że Yabu został zdradzony – albo w Edo przez któregoś z Dōmowników, albo tutaj, w Anjiro, przez Omiego, któregoś z jego podwładnych lub któregoś z wieśniaków. Przyłapano go na nieposłuszeństwie. Jakiś wróg wykorzystał jego zainteresowanie tym statkiem.

Ukląkł, skłonił się, a wszyscy jego samuraje poszli za jego przykładem. Potem zaś przeklął statek i tych, którzy nim przy płynęli.

–A, Yabu-sama – usłyszał słowa Hiro-matsu i zobaczył, jak generał klęka na przygotowanej dla niego macie i odpowiada mu ukłonem. Ale nie był to ukłon tak głęboki jak należy, a poza tym Hiro-matsu nie zczekał na jego drugi ukłon, zorientował się – więc bez słów, że znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Ujrzał, że Toda siada na piętach. Za jego plecami nazywano go Żelazną Pięścią. Wyłącznie Toranaga lub jeden z trzech jego doradców miał przywilej wciągania na maszt jego rodowej bandery. Dlaczego wysłał tak ważnego generała, żeby mnie przyłapał poza Edo? – zadał sobie pytanie.

–Zaszczycasz mnie przyplływając do jednej z moich ubogich wiosek, Hiro-matsu-sama – rzekł.

–Nakazał mi przyplłynąć mój pan.

Hiro-matsu był znany ze swojej szczerości. Nie był podstępny ani przebiegły, a jedynie bezwzględnie wierny swojemu suzerenowi.

–Jestem zaszczycony i bardzo się cieszę – odrzekł Yabu. – Przybyłem tu w pośpiechu z powodu tego barbarzyńskiego statku.

–Pan Toranaga zaprosił wszystkich zaprzyjaźnionych daimyō do Edo, żeby tam czekali na jego powrót z Osaki.

–A jak się ma nasz pan? Mam nadzieję, że wszystko u niego dobrze.

–Im pręcej znajdzie się bezpiecznie w swoim zamku w Edo, tym lepiej. Im pręcej zetrzemy się z Ishido, rozstawimy w szyku nasze wojska, odetniemy drogę do zamku w Osace i spalimy go, tym lepiej]

Staremu generałowi poczerwieniały szczęki, bo jego obawy o losy Toranagi wzrosły, a nie cierpiał rozdzielać się z nim. Taikō wybudował zamek w Osace w taki sposób, żeby był nie do zdobycia. Był on największy w cesarstwie, zawierał w swoich murach cały system połączonych strażnic i fos, mniejszych zamków, wież i mostów i mógł pomieścić osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. A dookoła jego murów i w wielkim mieście rozmieszczone było więcej oddziałów wojska, równie zdyscyplinowanych, świetnie wyposażonych i fanatycznie oddanych Yaemonowi, spadkobiercy taikō.

–Mówiłem mu tuzin razy, że to szaleństwo oddawać się w ręce Ishido. Oblęd!

–Pan Toranaga musiał tam przecież pojechać, ne? Nie miał wyboru.

Taikō nakazał, żeby rządząca w imieniu Yaemona Rada Regencyjna przynajmniej dwa razy w roku zbierała się na dziesięć dni, zawsze w zamku w Osace, wprowadzając w jego mury nie więcej niż pięciuset ludzi ze swej świty. A ponadto inni daimyō mieli również taki sam obowiązek dwa razy do roku odwiedzać wraz z rodzinami zamek, żeby złożyć uszanowanie następcy. W ten sposób każdego roku wszyscy znajdowali się przez jego część pod nadzorem i wszyscy byli bezbronni.

–Przecież to spotkanie było z góry ustalone, ne? – ciągnął Yabu. – Gdyby nasz pan nie pojechał, byłaby to z jego strony zdrada, ne?

Zdrada kogo? – Hiro-matsu poczerwieniał jeszcze mocniej. – Ishido próbuje oddzielić naszego pana od reszty. Gdybym to ja miał w swoim ręku Ishido, tak jak on ma pana Toranagę, nie wahałbym się ani chwili, bez względu na rozmiary ryzyka.

Głowa Ishido spadłaby mu z ramion dawno temu, a jego dusza czekałaby na powtórne narodziny. – Generał mimowolnie ścisnął wysłużoną pochwę miecza, który trzymał w lewej ręce. Jego prawica, sękata i stwardniała, spoczywała w pogotowiu na kolanie. Przyglądał się z uwagą Erasmusowi. – A gdzie jego działa? – spytał.

–Przewiozłem je na brzeg. Dla bezpieczeństwa. Czy Toranaga-sama zawrze jeszcze jedną ugodę z Ishido?

–Kiedy wyjeżdżałem z Osaki, nic się nie działo. Rada miała się spotkać za trzy dni.

–Czy dojdzie do otwartego starcia?

–Chciałbym, żeby doszło. Ale czy mój pan? Jeżeli zechce ugody, to ją zawrze. – Hiro-matsu spojrzął na Yabu. – Rozkazał wszystkim sprzymierzonym daimyō czekać na siebie w Edo. Do jego powrotu. A tu nie jest Edo.

–Owszem. Ale uznałem, że ten statek jest na tyle ważny dla naszej sprawy, iż należy go natychmiast zbadać.

–Nie było żadnej potrzeby, Yabu-san. Powinieneś mieć więcej zaufania. Nic nie dzieje się bez Wiedzy naszego pana. Wysłałby kogoś, żeby go zbadał. Tak się składa, że wysłał mnie. Długo tu jesteś?

–Dzień i noc.

–A więc z Edo jechałeś tu dwa dni?

–Tak.

–Przyjechałeś bardzo szybko. Pogratulować.

Żeby zyskać na czasie, Yabu zaczął opowiadać o swojej forsownej podróży. Ale myślami był przy ważniejszych sprawach. Kim jest szpieg? W jaki sposób Toranaga dowiedział się o statku równie szybko, jak on sam? I kto doniósł Toranadze o jego wyjeździe? Jaki manewr teraz zastosować i jak dogadać się z Hiro-matsu?

Hiro-matsu wysłuchał go, a potem rzekł z naciskiem:

–Pan Toranaga skonfiskował, ten statek wraz z całą jego zawartością.

Na brzegu zapadła przeraźliwa cisza. To było Izu, lenno Yabu, i Toranaga nie miał tu żadnych praw. Tak samo jak Hiro-matsu nie miał tu żadnych praw, żeby wydawać rozkazy. Yabu zacisnął dłoń na mieczu.

Hiro-matsu czekał z wyćwiczonym spokojem. Wykonał dokładnie rozkaz Toranagi i nie miał już odwrotu. Pozostawało mu jedynie zabić albo zostać zabitym.

Yabu również wiedział, że musi postawić na jakąś kartę. Nie mógł – dłużej zwlekać. Gdyby odmówił oddania zdobyczy, musiałby zabić Hiro-matsu Żelazną Pięść, ponieważ Hiro-matsu Żelazna Pięść za nic nie odjechałby bez statku. Na galerze cumującej na, przystani znajdowało się może ze dwie setki doborowych samurajów. Ich również trzeba by było zabić. Mógł ich zaprosić na brzeg i zapewnić rozrywkę, w ciągu niewielu godzin zaś ściągnąć do Anjiro dość swoich żołnierzy, żeby ich wyróżnili, był bowiem mistrzem w organizowaniu zasadzek. To jednak zmusiłoby Toranagę do wysłania swoich wojsk przeciwko Izu. Zmiażdżyłby cię, powiedział sobie, chyba że Ishido przyszedłby ci w sukurs. A czemu miałyby to robić, skoro twój wróg, Ikawa Jikkyu, jest jego krewniakiem i chce mieć Izu dla siebie? Zabicie Hiro-matsu wywołałoby otwartą wrogość, ponieważ honor kazałby Toranadze ruszyć na ciebie, co zmusiłoby do działania stronników Ishido i w ten sposób Izu stałoby się pierwszym polem bitwy.

A co z moimi działami? Moimi świetnymi działami i moim świetnym planem? Jeżeli oddam je Toranadze, stracę niepowtarzalną okazję.

W ręce, która spoczywała na mieczu Murasamy, czuł przepływającą krew i odczuwał ślełą chęć, żeby go użyć. Od razu odrzucił możliwość zatajenia wiadomości o muszkietach. Jeżeli wygadano o przyplnięciu statku, to na pewno również o jego zawartości. Ale jakim sposobem Toranaga otrzymał te wieści tak prędko? Przez gołębia pocztowego! To jedyna odpowiedź. Z Edo czy stąd? Kto tu trzyma gołębie pocztowe? Dlaczego ja z nich nie korzystam? To wina Zukimoto, powinien być o tym pomyśleć, ne?

Rozważ; Wojna czy nie?

Yabu pomodlił się, aby niechęć Buddy, wszystkich kami, wszystkich bogów istniejących bądź jeszcze nie wymyślonych spadła na tego lub na tych, którzy go zdradzili, na ich rodziców i potomków aż do dziesięcioletniego pokolenia. A potem ustąpił.

–Pan Toranaga nie może skonfiskować tego statku, wcześniej bowiem otrzymał go w darze. Podyktowałem już list tej treści. Prawda, Zukimoto?

–Tak jest, wielmożny panie.

–Naturalnie, jeżeli pan Toranaga pragnie go uważać za skonfiskowany, to może. Ale w mojej intencji miał on być podarunkiem. – Yabu był zadowolony, że jego głos brzmi tak rzeczowo. – Ta zdobycz uszczęśliwi go.

–Dziękuję ci w imieniu mojego pana. – Hiro-matsu jeszcze raz zdumiał się trafnością ocen Toranagi. Toranaga przewidział, że tak będzie i że nie dojdzie do walki. – Pan Toranaga będzie zachwycony twoją szczodrobliwością.

Yabu przyglądał się mu z wielką uwagą.

–To nie jest statek portugalski – rzekł.

–Tak. Słyszeliśmy, o tym.

–A poza tym jest piracki. Zobaczył, że oczy generała zwężają się.

–Co takiego?

Kiedy Yabu zrelacjonował Hiro-matsu, co powiedział mu kapłan, pomyślał: „Skoro jest to dla ciebie taka nowina, jak była dla mnie, czyż nie znaczy to, że Toranaga otrzymał wiadomość z tego samego źródła co ja? Ale jeżeli znasz zawartość statku, to w takim razie szpiegiem jest Omi, któryś z jego samurajów albo chłop z tej wioski”.

–Jest tam mnóstwo tkanin. Prawdziwe skarby. Muszkiety, proch i kule – powiedział.

Hiro-matsu zawahał się, a po chwili spytał:

–Te tkaniny to chińskie jedwabie?

–Nie, Hiro-matsu-san – odparł Yabu, używając słowa „san”. Obaj byli panami feudalnymi. Ale ponieważ przed chwilą wspaniałomyślnie „podał” statek, czuł się na tyle bezpieczny, żeby użyć mniej szacownego zwrotu. Z zadowoleniem zobaczył, że nie uszło to uwagi starego generała. Jestem daimyō Izu, rzekł w duchu, na słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy! – To bardzo niezwykle grube sukno, dla nas zupełnie nieprzydatne. Wszystko, co było warte uratowania, przewiozłem na brzeg.

–To dobrze. Załaduj wszystko, proszę, na mój okręt.

–Słucham? – spytał Yabu, któremu omal nie pękły wnętrzności. – «Wszystko. Natychmiast.

–W tej chwili?

–Tak. Bardzo mi przykro, ale z pewnością rozumiesz, że chcę jak najszybciej powrócić do Osaki.

–Tak, ale... ale czy starczy na wszystko miejsca?

–Działa załaduj z powrotem na statek barbarzyńców i opieczętuj. W ciągu trzech dni przyplyną tu łodzie, żeby go zaholować do Edo. A co do muszkietów, prochu i kul, to... – Hiro-matsu urwał, unikając wpadnięcia w pułapkę, którą, jak nagle zdał sobie sprawę, na niego zastawiono.

„- Na galerze jest akurat miejsce na pięćset muszkietów – powiedział mu Toranaga. – A także na cały proch i dwadzieścia tysięcy srebrnych dublonów. Działa zostaw na pokładzie tego statku, a sukno w ładowniach. Niech Yabu mówi, ty zaś wydaj mu rozkazy tak, żeby nie miał czasu na zastanowienie. Ale nie okazuj mu gniewu ani zniecierpliwienia. Potrzebuję go, ale potrzebuję też tego statku i tych dział. Strzeż się, żeby podstępem nie próbował wyciągnąć z ciebie, że dokładnie znam ładunek, ponieważ nie może odkryć, kto jest naszym szpiegiem”.

Hiro-matsu przeklął się w duchu za to, że nie umie prowadzić tej niezbędnej gry.:

–Co zaś do potrzebnego miejsca – rzekł krótko – to może ty mi podpowiesz. I co dokładnie zawiera ten ładunek? Ile jest tych muszkietów, kul i tak dalej? Czy ten kruszec jest w sztabach czy monetach, czy to srebro czy złoto?

–Zukimoto!

–Tak, Yabu-sama.

–Przynies spis zawartości – polecił Yabu i pomyślał: „Tobą zajmę się później”.

Zukimoto odszedł pośpiesznie.

–Na pewno jesteś zmęczony, Hiro-matsu-san. Może napijesz się cha?
Przygotowaliśmy ci dostępne tu wygody. Łaźnia pozostawia wiele do życzenia, lecz być może kąpiel by cię odświeżyła.

–Dziękuję. To bardzo ładnie, żeś o tym pamiętał. Z wielką chęcią wykąpię się i napiję cha. Najpierw jednak opowiedz mi o wszystkim, co wydarzyło się od przyplłynięcia tu tego statku.

Yabu zapoznał go z faktami, pomijając epizod z kurtyzaną i chłopcem, ponieważ był nieistotny. Na jego polecenie Orni przedstawił swoją wersję, pominąwszy prywatne rozmowy z wujem. Mura zaś opowiedział swoją, opuszczając fragment o erekcji Anjina, który, jak miarkował, był wprawdzie ciekawy, ale mógł urazić Hiro-matsu, u którego, zważywszy jego wiek, erekcja mogła już być rzadkością.

Hiro-matsu spojrział na pióropusz dymu, który nadal wznosił się ze stosu drew.

–Ilu piratów pozostało? – spytał.

–Dziesięciu, panie, wliczając przywódcę – odparł Orni.

–A gdzie on teraz jest?

–W domu Mury.

–Co zrobił? Co zrobił najpierw po wyjściu z piwnicy?

–Poszedł prosto do łaźni, wielmożny panie – odparł prędko Mura. – A teraz śpi, wielmożny panie, śpi jak zabity.

–Nie musieliście go tym razem tam zaciągać?

–Nie, wielmożny panie.

–Widać szybko się uczy. – Hiro-matsu zerknął znowu na Omiego. – Myślisz, że można ich nauczyć manier?

–Nie. Nie jest to aż takie pewne, Hiro-matsu-sama.

–Czy usunąłbyś mocz wroga ze swoich pleców?

–Nie, panie.

–Ani ja. Nigdy. Barbarzyńcy są bardzo dziwni. – Hiro-matsu powrócił myślami do statku. – Kto będzie doglądał załadunku? – spytał.

–Mój bratanek, Omi-san.

–Dobrze. Chcę odpłynąć przed zmierzchem, Omi-san. Mój kapitan pomoże ci w szybkim uporaniu się z tym. W ciągu trzech trociczek.

–Tak, panie.

Miarą czasu był okres, w jakim spalała się trociczka, a więc w przybliżeniu około godziny.

–A może byś popłynął ze mną do Osaki, Yabu-san? – spytał Hiro-matsu takim tonem, jakby ta myśl dopiero co wpadła mu do głowy. – Pan Toranaga byłby zachwycony, gdyby otrzymał wszystkie te rzeczy z twoich rąk, osobiście... Zapraszam, miejsca wystarczy. – A kiedy Yabu zaczął się wymawiać, pozwolił mu na to przez jakiś czas zgodnie z poleceniem Toranagi, po czym, również z jego polecenia, rzekł: – Nalegam. Nalegam w imieniu pana Toranagi. Twoja szczodroliwość wymaga nagrody.

W postaci mojej głowy czy moich ziem? – zadał sobie gorzkie pytanie Yabu, świadom, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko wyrazić wdzięczność za to zaproszenie.

–Dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

–Świetnie. A więc dobrze, załatwione – rzekł z wyraźną ulgą Żelazna Pięść. – A teraz

pora na cha. I kąpiel.

Yabu uprzejmie poprowadził go na wzgórze do domu Omiego. Starego generała wykąpano, wyszorowano, a potem z przyjemnością położył się w gorącej parze. Później zaś odrodził się pod rękami Suwo. Po czym na osobności spożył skromny posiłek złożony z niewielkiej porcji ryżu, surowej ryby i marynowanych jarzyn. Następnie była cha, pita z doskonałej porcelany. A wreszcie krótka, pozbawiona snów drzemka.

Po wypaleniu się trzech trociczek odsunięto drzwi shoji. Osobisty strażnik generała był na tyle rozsądny, żeby nie wchodzić bez zaproszenia. Hiro-matsu już się obudził, a miecz miał do połowy wysunięty z pochwy i gotowy.

–Na zewnątrz czeka Yabu-sama, wielmożny panie – powiedział strażnik. – Mówi, że okręt jest załadowany.

–To wspaniale.

Hiro-matsu wyszedł na werandę i załatwił się do cebra.

–Masz bardzo sprawnych ludzi, Yabu-san – pochwalił.

Twoi ludzie mi pomogli, Hiro-matsu-san. Są więcej niż sprawnie Tak, i na słońce, lepiej dla nich, że są tacy, pomyślał Hiro-matsu, a potem rzekł wesoło:

–Nie ma to jak opróżnić pełny pęcherz, jeśli tylko strumień leci z dużą siłą, ne? Człowiek znowu czuje się młodo. A w moim wieku człowiek potrzebuje czuć się młodo.

–Dla wygody rozluźnił opaskę na biodrach, spodziewając się, że Yabu grzecznie przyzna mu rację, ale nie doczekał się tego. Zirytowało go to, ale się powstrzymał., Zabierzcie na mój okręt dowódcę piratów.

–Słucham?

–Byłeś na tyle szczodry, żeby podarować ten statek z całą zawartością. Jego załoga do niej się zalicza. Dlatego też zabieram przywódcę piratów do Osaki. Pan Toranaga chce go zobaczyć. Z pozostałymi możesz oczywiście zrobić, co chcesz. Ale bądź łaskaw dopilnować, żeby, kiedy cię tu nie będzie, twoi samuraje pamiętali o tym, że ci barbarzyńcy są własnością mojego pana i że lepiej, na wypadek gdyby zechciał ich obejrzeć, wszyscy byli cali i zdrowi.

Yabu pośpieszył na nabrzeże, gdzie powinien się znajdować Omi.

Wcześniej, kiedy opuścił Hiro-matsu, żeby generał się wykąpał, poszedł ścieżką,

która wiała się przez pogrzebowisko. Tam uklonił się krótko stosowi pogrzebowemu i ruszył dalej skrajem wznoszących się tarasowato pól ze zbożem i sadów, aż wreszcie wyszedł na mały płaskowyż, położony wysoko nad wsią. Tego sentymentalnego miejsca strzegła starannie utrzymana kapliczka kami. Stare drzewo zapewniało cień i błogi spokój. Przyszedł tu, żeby stłumić w sobie gniew i pomyśleć. Nie ośmielił się zbliżyć do statku, do Omiego ani jego podwładnych, wiedział bowiem, że jeżeli nie wszystkim, to większości nakazałby popełnić seppuku, co byłoby marnotrawstwem, i że wyrznąłby całą wieś, co byłoby głupotą – tylko chłopci bowiem łowili ryby i hodowali ryż, który zapewniał samurajom dobrobyt.

Kiedy siedział, piekląc się w samotności i próbując jasno myśleć, słońce schyliło się ku zachodowi i przegoniło morską mgłę. Chmury spowijające odległe góry na zachodzie rozstały się na chwilę i ujrzano piękno ich strzelistych ośnieżonych szczytów. Widok ten rozładował w nim napięcie i Yabu, odprężony się, zaczął myśleć i snuć plany.

Rozkaż swoim szpiegom odnaleźć szpicla Toranagi, powiedział sobie. Ze słów Hiro-matsu w ogóle nie wynika, czy zdrada wyszła stąd czy z Edo. W Osace mam potężnych przyjaciół, a wśród nich samego pana Ishido. Może któryś z nich wyniucha tego czorta. Ale prześlij natychmiast swojej żonie tajną wiadomość na wypadek, gdyby donosiciel był tam. A co z Omim? Obarczyć go zadaniem odszukania tego szpicla tutaj? A jeżeli to on nim jest? Nieprawdopodobne, ale możliwe. Zdrada najpewniej zrodziła się w Edo. Świadczy o tym czas. Gdyby Toranaga w Osace dostał wiadomość o statku zaraz po jego przyplłynięciu, to Hiro-matsu zjawiłby się tu pierwszy. Masz swoich informatorów w Edo. Niechże udowodnią, co są warci.

A co z barbarzyńcami? To w tej chwili twój jedyny zysk z tego statku. Jak ich wykorzystać? Zaraz, czyż Orni nie podsunął ci rozwiązania? Możesz wykorzystać ich znajomość morza i statków, żeby potargować się z Toranaga o działa. Ne?

Jeszcze jedna możliwość, to zostanie wasalem Toranagi. Zapoznasz go ze swoim planem. Poprosisz, żeby powierzył ci dowództwo pułku artylerii – na jego chwałę! Ale wasal nie powinien oczekiwać od swojego pana nagrody za dobrą służbę ani nawet uznania za nią – służba bowiem to obowiązek, obowiązek to samuraj, a samuraj to nieśmiertelność. Byłoby to najlepsze wyjście, najlepsze z możliwych. Jednak czy naprawdę mogę być jego wasalem? Albo wasalem Ishido?..

Nie, to nie do pomyślenia. Sojuznikiem tak, ale nie wasalem.

Dobrze, a więc barbarzyńcy są mimo wszystko coś dla mnie warci. Orni znowu miał rację.

To go jeszcze bardziej uspokoiło, a potem, kiedy nadszedł czas i posłaniec

przyniósł mu wiadomość, że statek załadowano, udał się do Hiro-matsu i dowiedział się, że utracił nawet barbarzyńców.

Kiedy dotarł do nabrzeża, w środku wszystko się w nim gotowało.

–Omi-san! – krzyknął.

–Tak, Yabu-sama?, Przyrowadź tu przywódcę barbarzyńców. Zabieram go do Osaki. Co do reszty, dopilnuj, żeby o nich dbano podczas mojej nieobecności. Chcę, żeby byli zdrowi i umieli się zachować. W razie czego skorzystaj z piwnicy.

Od chwili przybycia galery Orni miał w głowie zamęt i był pełen obaw o bezpieczeństwo Yabu.

–Pozwól mi jechać z tobą, panie. Może się na coś przydam – zaproponował.

–Nie. Chcę, żebyś dopilnował barbarzyńców.

–Proszę cię. Może w małym stopniu będę się mógł odplacić za dobroć, jaką mi okazałeś.

–Nie ma potrzeby – odparł Yabu uprzejmiej, niżby pragnął. Przypomniało mu się, że podniósł Omiemu dochody do trzech tysięcy koku i powiększył mu lenno ze względu na kruszec i działa, które właśnie przepadły. Zauważył jednakże troskę przepełniającą bratanka i mimo woli poczuł do niego sympatię. Z wasalami takimi jak on zdobędzie cesarstwo, obiecał sobie. Kiedy odbiorę moje działa, Orni poprowadzi któryś z moich oddziałów. – Kiedy wybuchnie wojna... cóż, powierzę ci bardzo ważne zadanie, Omi-san. A teraz idź po tego barbarzyńcę.

Orni Wziął ze sobą czterech strażników. I Murę, żeby tłumaczył.

Blackthorne'a wyrwano ze snu. Na rozbudzenie potrzebował dobrej chwili. Kiedy przejaśniło mu się w głowie, zobaczył, że stoi nad nim i wpatruje się w niego Omi.

Jeden z samurajów ściągnął z niego kołdrę, drugi rozbudził potrząśnięciem, dwóch pozostałych zaś trzymało w rękach niebezpiecznie wyglądające bambusowe kije, a Mura zwiniętą krótką linę.

Mura ukląkł i ukłonił się mu.

–Konnichi wa – powiedział, czyli „dzień dobry”.

–Konnichi wa. Blackthorne podźwignął się na kolana i mimo swojej nagości równie grzecznie mu się odkłonił.

To tylko zwykła uprzejmość, powiedział sobie. Mają taki zwyczaj, kłaniają się z

grzeczności, więc kłanianie się nie jest żadną ujmą. A na nagość nie zwracają uwagi i również jest to ich zwyczaj, więc nagości też nie trzeba się wstydzić.

–Anjin. Proszę ubrać się – powiedział Mura.

Anjin? Aha, pamiętam, przypomniał sobie Blackthorne. Jezuita powiedział, że oni nie potrafią wymówić mojego nazwiska, więc nazwali mnie „Anjin”, co znaczy „pilot”, i że nie ma w tym żadnej obrazy. Oraz że, kiedy na to zasłużę, będą mnie tytułować „Anjin-san” – „panem pilotem”.

Nie patrz na Omiego, ostrzegł się. Jeszcze nie teraz. Zapomnij o wioskowym placu, Omim, Croocqu i Pieterzoonie. Nie wszystko naraz. Tak sobie przysięgłeś przed Panem Bogiem: nie wszystko naraz. Na Boga Wszeczmogącego, moja zemsta go nie ominie.

Przekonał się, że jeszcze raz uprano mu ubranie, i pobłogosławił ręce, które tego dokonały. W łaźni zrzucił z siebie przydzwiek, jakby był pełen zarazków. Pozwolił Japonkom trzykrotnie wyszorować sobie plecy. Najbardziej szorstką gąbką i pumeksem. Ale nadal czuł na nich pieczenie moczu.

Zdjął wzrok z Mury i spojrzał na Omiego. Czerpał przewrotną przyjemność z faktu, że jego wróg żyje i jest blisko.

Uklonił się wzorem innych i pozostał w ukłonie.

–Konnichi wa, Omi-san – powiedział. Nie było ujmą mówić w ich języku, nie było ujmą powiedzieć „dzień dobry” bądź pierwszemu złożyć ukłon, jak to mieli w zwyczaju.

Orni odkłonił mu się.

Blackthorne zauważył, że nie jest to ukłon tak głęboki jak jego własny, w tej chwili jednak mu to wystarczyło.

–Konnichi wa, Anjin – powiedział Orni. Głos miał uprzejmy, ale nie uprzedzająco.

Anjin-san! – rzekł Blackthorne patrząc mu prosto w twarz. Wola jednego i wola drugiego starły się ze sobą i Orni stanął przed wyzwaniem, jakie pada przy grze w karty albo kości: Czy przestrzegasz reguł gry?

–Konnichi wa, Anjin-san – odparł wreszcie, krótko się uśmiechnąwszy.

Blackthorne szybko się ubrał.

Włożył luźne spodnie i moszenkę, skarpety, koszulę i kaftan. Długie włosy miał

starannie związane w ogon, a brodę przystrzyżoną nożyczkami, które pożyczył mu balwierz.

–Hai, Omi-san? – spytał, w ubraniu czując się lepiej, ale mając się mocno na baczności i żałując, że nie może się posłużyć większym zasobem słów.

–Proszę ręka – rzekł Mura.

–Blackthorne nie zrozumiał i pokazał to na migi. Mura wyciągnął swoje ręce i pokazał gestami, że je łączy.

–Proszę ręka.

–Nie – odparł Blackthorne zwracając się bezpośrednio do Omiego i potrząsając głową. – To niepotrzebne – dodał po angielsku – całkiem niepotrzebne. Dałem słowo – rzekł perswadującym, łagodnym tonem, a potem ostrzejszym, naśladując w tym Omiego, spytał: – Wakarimasu ka, Omi-san? Rozumiesz?

Omi zaśmiał się.

–Hai, Anjin-san. Wakarimasu – powiedział, odwrócił się i wy szedł.

Mura i pozostali zdumieni wpatrzyli się w jego plecy. Blackthorne wyszedł za Omim na słońce. Jego buty oczyszczono. Zanim zdążył wsunąć je na nogi, służąca „onna” już przy nim klęczała i pomogła mu je obuć.

–Dziękuję, Haku-san – powiedział, przypomniawszy sobie jej imię. Jak brzmi słowo „dziękuję”? – zastanawiał się.

Przeszedł przez furtkę, podążając za Omim.

Nie umkniesz mi, ty przeklęty psi... Zaraz, powstrzymał się. Czy pamiętasz, co sobie obiecałeś? Więc dlaczego obrzucasz go obelgami, choćby nawet tylko w duchu? On ciebie nie zelżył. Obelgi są dobre dla słabych albo durniów. Prawda?

Nie wszystko naraz. Wystarczy, że na niego dybiesz. Ty dobrze o tym wiesz i on dobrze o tym wie. Wie o tym bardzo dobrze, więc nie popełnij błędu.

Wciąż jeszcze nie widząc zasłoniętej zatoki, Blackthorne w asyście dwóch kroczących po jego bokach samurajów schodził ze wzgórza, dziesięć kroków za nim szedł dyskretnie Mura, a w przodzie Omi.

Nad pokrytymi gontem domami ukazały się sterczące maszty Erasmusa, więc serce zabiło mu mocniej. Ulica w przodzie skręcała zgodnie z profilem wzniesienia, zbiegała w dół do placu i kończyła się. Stał tam w słońcu palankin z zasłonami. Siedzieli przy

nim w kucki czterej tragarze w krótkich przepaskach na biodra i z roztargnieniem dłubali w zębach. Na widok Omiego natychmiast padli na kolana i zaczęli bić niskie pokłony.

Orni, przechodząc, ledwie im raczył skinąć głową, ale zaraz przy stanął, bo ze schludnej bramy wyłoniła się dziewczyna i skierowała się w stronę palankinu. Blackthorne wstrzymał oddech i również się zatrzymał.

Do dziewczyny podbiegła młoda służąca, żeby osłonić ją przed słońcem zieloną parasolką. Omi ukłonił się, dziewczyna odkłoniła, po czym zadowoleni wdali się w wesołą rozmowę i cała dumna wyniosłość Omiego znikła.

Japonka miała na sobie brzoskwiniowe kimono, szeroki złoty pas i pantofle ze złotymi paseczkami. Blackthorne pochwycił jej spojrzenie. Ona i Omi na pewno rozmawiali o nim. Nie wiedział, jak się zachować ani co zrobić, więc nie zrobił nic, a tylko cierpliwie czekał, napawając oczy jej widokiem, czystością i ciepłem, jakie z niej promieniowały. Zastanawiał się, czy ona i Omi są kochankami, a może jest to jego żona, i zadał sobie pytanie, czy dziewczyna nie jest przywidzeniem.

Omi spytał ją o coś, na co zachwycająco subtelna, śmiejąc się melodyjnie, odpowiedziała mu i zatrzepotała zielonym wachlarzem, który migotał i tańczył w słońcu. Omi też się uśmiechnął, a po chwili odwrócił się na pięcie i odszedł energicznym krokiem, na powrót stając się samurajem.

Blackthorne ruszył za nim. Dziewczyna patrzyła na niego, kiedy ją mijał, powiedział więc „Konnichi wa”.

–Konnichi wa, Anjin-san – odpowiedziała, ujmując go brzmieniem głosu. Miała zaledwie pięć stóp wzrostu i była skończoną pięknoscią. Kiedy mu się lekko ukłoniła, wiaterek zadarł jej połę jedwabnego kimona i odsłonił rąbek drugiego, czerwonego pod spodem, co go niespodziewanie podnieciło.

Skręcając za róg, nadal był spowity zapachem jej perfum. Zobaczył klapę do piwnicy i Erasmusa. A także galerę. Dziewczyna wyleciała mu z głowy.

Dlaczego nasze furty działowe są puste? Gdzie nasze działa? – zapytywał siebie. Co, na Chrystusa Pana, robi tu ta niewolnicza galera i co się stało w piwnicy?

Nie wszystko naraz.

Najpierw Erasmus... Kikut fokmasztu, który zabrała burza, sterczał ohydnie. Nieważne, pomyślał Blackthorne. Z łatwością wypłynęlibyśmy w morze. Wykradlibyśmy się z zatoki – nocne ruchy powietrza i prądy wyniosłyby nas z niej po cichu, a jutro moglibyśmy dokonać napraw po drugiej stronie tej zafajdanej wysepki. Pół dnia na ustawienie zapasowego masztu, a potem wszystkie żagle w górę i hajda

na głębinę. A może mądrzej byłoby nie rzucać kotwicy, tylko uciec na bezpieczniejsze wody? Tylko z jaką załogą? W pojedynkę nie da się nim odpłynąć.

Skąd pochodzi ten statek niewolniczy? I dlaczego tu jest?

Na nabrzeżu widział grupki samurajów i żeglarzy. Sześćdziesięcio-wiosłowy statek – po trzydzieści wiosel z każdej burty – był porządny i dobrze utrzymany, wiosła miał ustawione starannie i gotowe do natychmiastowego odpłynięcia. Blackthorne mimowolnie zadrżał. Ostatni raz widział galerę przed dwoma laty, przy Złotym Wybrzeżu, kiedy jego flotylla wychodziła w morze, a wszystkie pięć statków trzymało się razem. Była to bogata przybrzeżna, portugalska galera handlowa, która umykała przed nimi pod wiatr. Erasmus nie był w stanie jej dogonić, pochwycić ani zatopić.

Stanąwszy na nabrzeżu, Orni odwrócił się i zawołał do strażników przy kłapie do piwnicy. Blackthorne ujrzał, jak podnoszą ją i zaglądają do środka. Jeden z nich przywołał ręką wieśniaków, którzy przynieśli drabinę oraz pełną beczkę świeżej wody i znieśli ją na dół. Pustą wynieśli na górę. Tak samo ceber z, odchodami.

Widzisz? Jeżeli jesteś cierpliwy i grasz według ich zasad, to możesz dopomóc swojej załodze, pomyślał z zadowoleniem.

W pobliżu galery zgromadziły się grupki samurajów. Osobno stał tam wysoki starzec. Po szacunku okazywanym mu przez daimyō Yabu oraz tym, jak inni zrywali się na każde jego słowo, Blackthorne natychmiast zorientował się, że jest to ktoś ważny. Czy to ich król? – zastanawiał się.

Orni ukląkł przed nim uniżenie. Starzec uklonił mu się lekko i przeniósł wzrok na barbarzyńcę.

Blackthorne, z największą gracją, na jaką było go stać, również ukląkł, ułożył dłonie na piaszczystym nabrzeżu, tak jak to zrobił Orni, i tak jak on nisko się uklonił.

–Konnichi wa, sama – powiedział grzecznie.

Dostrzegł, że starzec ponownie lekko się kłania. A potem zaczyna debatować z Yabu i Omim. Yabu powiedział coś do Mury. Mura Wskazał na galerę.

–Anjin-san. Proszę tam – powiedział do Blackthorne'a.

–Dlaczego?

–Idź! Już. Idź!

–Dlaczego? – powtórzył Blackthorne, wpadając w popłoch.

–Isogi! – rozkazał Orni, gestem polecając mu wsiąść na galerę.

–Nie. Nie mam zamiaru...

Orni natychmiast wydał rozkaz i czterech samurajów rzuciło się na Blackthorne'a, unieruchamiając mu ręce. Mura wydobył linę i zaczął mu związywać ręce na plecach.

–Wy sukinsyny!?! – krzyknął Blackthorne. – Nie wsiądę na ten przeklęty statek niewolników!

–Matko Boską! Zostawcie go! Hej, wy tam, szczytnopijcy, małpoludy, wypuście tego skurczybyka! Kinjiru, ne? Jest pilotem. Anjin, ka?

Blackthorne ledwie wierzył własnym uszom. Ten hałaśliwy potok obelg w języku portugalskim dobiegł z pokładu galery. A potem ujrzał, jak po kładce schodzi z niej mężczyzna. Był jego wzrostu i mniej więcej w tym samym wieku, ale czarnowłosa i ciemnooki, niedbale odziany w strój żeglarski, za pasem miał pistolet, a u boku rapier. Na szyi wisiał mu krzyż wysadzany drogimi kamieniami. Na głowie nosił zawadiacki kapelusz, a twarz przecinał mu uśmiech.

–Jesteś pilotem? – spytał. – Pilotem tego holendra?

–Tak – usłyszał własną odpowiedź Blackthorne.

–To dobrze. To dobrze. Jestem Vasco Rodrigues, pilot tej galery!

Obrócił się w stronę starszego Japończyka i przemówił do niego mieszanią japońskich i portugalskich słów, tytułując go Małą-samą, a czasem Todą-samą, ale brzmiało to jak Toda-samica. Dwa razy wyciągał pistolet, wskazywał nim wymownie Blackthorne'a i zatykał z powrotem za pas, gęsto kraszając swoją japońszczyznę rynsztokowymi portugalskimi wulgarnościami, zrozumiałymi wyłącznie dla żeglarzy.

Hiro-matsu powiedział coś krótko i samuraje wypuścili Blackthorne, a Mura rozwiązał mu ręce.

–W To już coś. Posłuchaj, pilocie, ten człowiek jest jak król. Powiedziałem mu, że będę za ciebie odpowiadał i że prędeż rozwalę ci łeb, niż się z tobą napiję. – Rodrigues uklonił się Hiro-matsu, a potem promiennie uśmiechnął się do Blackthorne'a. – Ukłoń się temu Psia jego mać-samie.

Oszołomiony Blackthorne niczym w transie wykonał polecenie.

–Kłaniasz się jak Japus – powiedział z uśmiechem Rodrigues. – Naprawdę jesteś pilotem?

–Tak.

–To na jakiej szerokości leży Jaszczurka?

–Na czterdziestym dziewiątym stopniu i pięćdziesiątej szóstej minucie szerokości północnej – uważać na rafy, które sterczą z południa na południowy zachód.

–Jesteś pilotem, Bóg świadkiem. – Rodrigues serdecznie uścisnął dłoń Anglika. – Wejdź pod pokład. Jest tam żarcie, brandy, wino, grog, wszyscy bowiem piloci winni lubić wszystkich pilotów, którzy są solą ziemi. Amen! Racja?.

–Tak – odparł słabym głosem Blackthorne.

–Kiedym usłyszał, że będziemy wracali z pilotem, mówię: świetnie! Od lat nie miałem przyjemności pogadania sobie z prawdziwym pilotem. Wejdź na pokład. Jak ci się udało przedostać przez Malakkę? Jak zdołałeś uniknąć naszych patroli na Oceanie Indyjskim? Czyjaś rutę zwędził?

–Dokąd mnie zabieracie?

–Do Osaki. Chce cię widzieć sam Wielki Pan Najwyższy Oprawca.

–Kto taki? – spytał Blackthorne, od nowa wpadając w popłoch.

–Toranaga! Pan Ośmiu Prowincji, gdziekolwiek tam one, do diaska, leżą! Największy daimyō Japonii – a daimyō jest jak król albo feudalny książę, tylko lepszy od nich. Wszyscy oni są despotami.

–A po co mu ja?

–Nie wiem, ale po to właśnie tu jesteśmy, a jeżeli Toranaga chce cię zobaczyć, pilocie, to zobaczy cię. Powiadają, że władza milionem tych skośnookich fanatyków, którzy umrą dla zaszczytu wytarcia mu tyłka, jeśli tylko sprawi mu to przyjemność! „Toranaga chce, żebyś mu przywiózł pilota, Vasco – powiedział mi jego tłumacz. – Przywieź pilota i ładunek tego statku. Zabierz tam starego Todę Hiro-matsu, żeby zbadał statek i...” A owszem, pilocie, wszystko podlega konfiskacie, tak słyszałem, twój statek i wszystko, co na nim jest.

–Konfiskacie?

–To może być plotka. Bywa, że Japonce jedną ręką konfiskują rzeczy, a drugą oddają... albo też udają, że w ogóle nie wydali takiego rozkazu. Trudno zrozumieć tych francowatych małych drani!

Blackthorne poczuł na sobie przenikliwy wzrok starego Japończyka i próbował nie

okazać po sobie strachu. Rodrigues spojrział tam gdzie on.

–A tak, zaczynają się niecierpliwić. Na gadanie mamy mnóstwo czasu. Wsiadaj – rzekł i odwrócił się, ale Blackthorne go zatrzymał.

–A co z moimi znajomkami, z moją załogą?

–Hę?

Blackthorne powiedział mu krótko o piwnicy. Rodrigues łamaną japońszczyzną zapytał o to Omiego.

–Mówi, że nic im nie grozi. Posłuchaj ani ty, ani ja nic w tej chwili nie możemy zrobić. Trzeba czekać... z Japusami nigdy nic nie wiadomo.

Mają sześć twarzy i trzy serca. – Rodrigues uklonił się Hiro-matsu jak europejski” dworzanin. – Tak to robimy w Japonii. Jakbyśmy byli na dworze tego jebaki Filipa Drugiego, Boże, wpędź tego Hiszpana szybko do grobu.

Poprowadził gościa na pokład. Ku zdumieniu Blackthorne’a nie było tam ani łańcuchów, ani niewolników.

–Co się stało? Niedobrze ci? – spytał Rodrigues.

–Nie. Tylko myślałem, że to statek niewolniczy.

–W Japonii nie ma niewolników. Nawet w japońskich kopalniach. To wariacki pomysł, ale tak jest. Opłynąłem świat trzy razy, a takich wariatów jeszcze nie spotkałem. Wioślarzami są samuraje. To żołnierze, prywatna armia tego starego łotra; ale lepiej wiosłujących od nich niewolników i bitniejszych wojowników nigdzie nie znajdziesz. – Rodrigues zaśmiał się. – Przykładają się do wiosel jak wszyscy diabli, a ja jeszcze ich poganiam, żeby widzieć, jak na tych skurczybyków biją siódme poty. Są niestrudzeni. Przyłynęliśmy aż z Osaki, prawie trzysta mil morskich w czterdzieści godzin. Chodź pod pokład. Niedługo odbijamy. Na pewno dobrze się czujesz?

–Tak. Myślę, że tak. – Blackthorne patrzył na Erasmusa. Stał zacumowany sto jardów od nich. – Pilocie – zagadnął – czy nie dałoby się jakoś wejść na jego pokład? Nie pozwolą mi tam wrócić, a nie mam ubrania, bo oni opieczętowali statek, jak tylko przyłynęliśmy. Poradzisz coś, proszę?

Rodrigues przyjrzał się uważnie statkowi.

–Kiedy straciliście fokmaszt? – spytał. – Tuż przed wylądowaniem.

–Macie na statku zapasowy?

–Tak.

–A jaki jest wasz macierzysty port?

–Rotterdam.

–Tam go zbudowano?

–Tak.

–Byłem w Rotterdamie. Fatalne mieliśmy, ale zatoka sakramencko ładna. Twój statek ma ładną sylwetkę. Nowy... taki typ widzę pierwszy raz. O Matko, na pewno jest szybki, bardzo szybki. I bardzo trudny do prowadzenia. – Rodrigues spojrzał na Blackthorne'a. – Prędko zbierzesz manatki? – spytał.

Obrócił się w stronę szklanej półgodzinnej klepsydry, stojącej przy godzinnej. Obie były przymocowane do skrzynki z kompasem.

–Tak – odparł Blackthorne, starając się nie zdradzić miną swoich rosnących nadziei.

–Ale mam warunek, pilocie. Żadnej broni, w rękawie ani nigdzie. Daj mi słowo pilota. Powiedziałem tym małpom, że biorę za ciebie odpowiedzialność.

Zgoda... i Blackthorne przyglądał się piaskowi przesypującemu się przez szyjkę klepsydry.

–Ale tylko spróbuj mnie oszwabić, to chociaż jesteś pilotem, rozwalę ci łeb albo poderżnę gardło. Oczywiście, jeżeli przedtem się zgodzę.

–Mój Boże, przyrzekam ci, jak pilot pilotowi. Bodaj zaraza wybiła Hiszpanów!

Rodrigues uśmiechnął się i klepnął go serdecznie w plecy.

–Zaczynam cię lubić, Ingeles – rzekł.

–Skąd wiesz, że jestem Anglikiem? – spytał Blackthorne, wiedząc, że jego portugalszczyzna jest bezbłędna i że nie powiedział nic takiego, co wskazywałoby, że jest Holendrem.

–Jestem jasnowidzem. Czyż nie są nimi wszyscy piloci?

Rodrigues roześmiał się.

–Rozmawiałeś z tym zakonnikiem? Wiesz o tym od ojca Sebastio?

–Jeśli mogę, to unikam rozmów z księżmi. Jedna rozmowa na tydzień każdemu wystarczy w zupełności. – Rodrigues z wprawą splunął do splotnika i podszedł do furty burtowej od strony nabrzeża. – Toda-samica! – zawołał. – Ikimashi ka?

–Ikimasho, Rodrigu-san. Ima!

–Zrobi się ima. – Rodrigues spojrział w zamyśleniu na Blackthorne. – „Ima” znaczy „już”, „natychmiast”. Odpływamy natychmiast, Ingeles.

Piasek utworzył już na dnie klepsydry mały, zgrabny kopczyk.

–Zapytasz go, proszę? Zapytasz, czy mogę wejść na mój statek?

–Nie, Ingeles. Nie zapytam go, psiajuchę, o nic.

Z Blackthorne’a nagle uszła cała energia. Poczul się bardzo staro.

Patrzył, jak Rodrigues podchodzi do barierki na ruf owce i krzyczy do niskiego, wyróżniającego się spośród innych żeglarza, który stał na nadbudówce dziobowej...

–Hej, kapitan-san. Ikimasho? Weź samuraje na pokład, ima! Ima, wakarimasu ka?

Hai, Anjin-san., Rodrigues natychmiast sześciokrotnie uderzył w okrętowy dzwon, a kapitan-san zaczął wykrzykiwać rozkazy do marynarzy i samurajów na brzegu i na galerze. Marynarze wypadli spod pokładu, żeby przygotować się do odbicia i wśród zdyscyplinowanego, zorganizowanego zamętu Rodrigues spokojnie wziął Blackthorne’a za rękę i popchnął go do furty w prawej burcie, od strony morza.

–Na dole jest łódka, Ingeles – powiedział. – Nie rób żadnych szybkich ruchów, nie rozglądaj się i nie zwracaj uwagi na nikogo oprócz mnie. Jeżeli każe ci zawrócić, zrób to prędko.

Blackthorne przeszedł przez pokład, a potem po drabince zaczął schodzić do malutkiego japońskiego bąka. Za plecami usłyszał gniewne głosy i poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku, gdyż na galerze przebywało wielu samurajów, niektórzy uzbrojeni w łuki i strzały, a kilku w muszkiety.

–Nie musisz się o niego martwić, kapitan-san, ja odpowiadam. Ja, Rodrigu-san, ichi ban Anjin-san, na Dziewicę Maryję! Wakarimasu ka? – zawołał głos bardziej gromki od innych, które jednak z każdą chwilą stawały się coraz groźniejsze.

Blackthorne był już jedną nogą w bąku, kiedy spostrzegł, że nie ma w nim dulek. Nie potrafię tak jak oni płynąć na śrubówkę, powiedział sobie. Nie dam rady popłynąć tą

łodzią. Wpław jest za daleko. A może nie?

Zawahał się, szacując odległość. Gdyby był w pełni sił, nie czekałby ani chwili. Ale w tej sytuacji?

Na drabince za jego plecami zaszurały czyjeś nogi i walczył z chęcią, Żeby się obejrzeć.

–Siądź na rufie – usłyszał ponaglenie Rodriguesa. – Szybko!

Wykonał polecenie i z wielką wprawą odbił od galery.

Na szczycie drabinki stał mocno zaniepokojony samuraj, a tuż obok dwaj z łukami w pogotowiu. Kapitan wezwał ich, jednoznacznym gestem nakazując im wrócić.

W odległości kilku jardów od galery Rodrigues obejrzał się.

–Jadę tylko tam – krzyknął do niego, wskazując na Erasmusa. – Sprowadź na pokład samurajów! – Zdecydowanym ruchem odwrócił się plecami do galery i stojąc pośrodku łodzi pchnął po japońsku wiosło, płynąc dalej. – Gdyby włożyli do łuków strzały, to mi powiedz, Ingeles! Śledź ich uważnie! Co robią w tej chwili?

–Kapitan jest bardzo zły. Nie będziesz miał przez to kłopotów?

–Jeżeli nie wyruszymy z odpływem, stary Toda może mieć powód do narzekań. Co robią łucznicy?

–Nic. Słuchają kapitana. Chyba nie może się zdecydować. Nie. Jeden z nich wyciąga strzałę.

Rodrigues przygotował się do zatrzymania.

–Matko Boska, ci przekłęci za celnie strzelają, żeby ryzykować. Czy strzała jest już w łuku?

–Tak... ale czekaj! Kapitan... ktoś do niego podszedł, chyba jakiś marynarz. Zdaje się, że pyta go o coś, co dotyczy statku. Kapitan patrzy na nas. Coś powiedział do tego ze strzałą. Tamten odkłada ją. Marynarz pokazuje na coś na pokładzie.

Żeby się upewnić, Rodrigues ukradkiem zerknął przez ramię i ode tchnął.

–To jeden z oficerów pokładowych. Przygotowanie żeglarzy zajmie mu całe pół godziny.

Blackthorne czekał, odległość rosła.

–Kapitan znowu na nas patrzy. Nie, nic nam nie grozi. Odszedł. Ale jeden z samurajów obserwuje nas.

–A niech obserwuje. – Rodrigues uspokoił się, ale nie zwolnił tempa wiosłowania ani się nie obejrzał. – Nie lubię być odwrócony plecami do samurajów, a zwłaszcza kiedy Są uzbrojeni. Zresztą nigdy nie widziałem żadnego z tych sukinsynów bez broni. A samuraje to same sukinsyny!

–Dlaczego?

–Uwielbiają zabijać, Ingeles. Mają nawet w zwyczaju spać z mieczami. Kraj jest wspaniały, ale samuraje są niebezpieczni jak żmije i o całe niebo podlejsi.

–Dlaczego?

Nie wiem dlaczego, Ingeles, ale tacy są – odparł Rodrigues, zadowolony, że może rozmawiać z pokrewną duszą. – Oczywiście wszystkie Japusy różnią się od nas: nie czują bólu ani zimna tak jak my, ale samuraje są jeszcze gorsi. Niczego się nie boją, a już najmniej śmierci. Dlaczego? Bóg jeden wie, ale to prawda. Jeżeli ich zwierzchnicy każą im zabić, zabijają, powiedzą im „umrzyj”, to rzucają się na własne miecze albo rozcinają sobie brzuchy. Zabijają i umierają tak łatwo, jak my szczamy. Kobiety też należą do kasty samurajskiej, Ingeles. Zabijają w obronie swoich panów, bo tak nazywają tu one swoich mężów albo zabijają siebie, jeżeli dostaną taki rozkaz. Robią to podrzynając sobie gardła. Tutaj samuraj może rozkazać żonie, żeby się zabiła, i zgodnie z prawem ona musi to zrobić. Matko Boska, Jezusie Nazareński, tutejsze kobiety to wyjątkowe i niepowtarzalne zjawisko, Ingeles, podobnych do nich nie znajdziesz na całej ziemi, ale mężczyźni... Samuraje to gady i najbezpieczniej podchodzić do nich jak do jadowitych węży. Dobrze się już czujesz?

–Tak, dziękuję. Jestem trochę osłabiony, ale czuję się dobrze.

–Jaki mieliście rejs?

–Trudny. A oni, ci samuraje, jak się nimi stają? Zwyczajnie biorą te dwa miecze i odpowiednio się czeszą?

–Trzeba być rodowitym Japończykiem. Oczywiście samuraje są wszelakich rang, od daimyō na samym wierzchołku tej kupy gnoju aż po tych na samym spodzie, których my zwiemy piechotą. Podobnie jak u nas szlachectwo, tak i tu samurajskość jest dziedziczna. Powiedziano mi, że dawniej było tutaj tak, jak dzisiaj jest w Europie – chłopci mogli być żołnierzami, a żołnierze chłopami, wraz z dziedzicznym rycerstwem i szlachtą aż do królów włącznie. Niektórzy z tych chłopskich żołnierzy doszli do najwyższych szczebli władzy. Jednym z nich był taikō.

–Kim był?

–Wielkim Despotą, władcą całej Japonii, Największym Mordercą Wszeczasów... opowiem ci kiedyś o nim. Przed rokiem zmarł i teraz smaży się w piekle. – Rodrigues splunął za burtę. – W dzisiejszych czasach, żeby być samurajem, musisz się nim urodzić. Wszystko jest tu dziedziczne, Ingeles. Matko Boska, nie wyobrażasz sobie, jak wielkie znaczenie przywiązują oni do dziedziczenia, do rodziny, do stanu i tym podobnych. Sam widziałeś, jak Orni kłania się temu diablū Yabu i jak obaj płaszcą się przed tym starym Todą-samicą. Słowo „samuraj” pochodzi od japońskiego słowa „służyć”. Ale chociaż oni wszyscy kłaniają się i gną przed starszymi rangą od siebie, to w równym stopniu są samurajami i przysługują im wyjątkowe przywileje. Co się dzieje na galerze?

–Kapitan trajkocze coś do drugiego samuraja i pokazuje na nas. A co w nich jest takiego wyjątkowego?

–Tu wszystkim rządzą samuraje, wszystko do nich należy. Mają swój własny kodeks honorowy i zbiór zasad. Są wyniośli? Matko Boska, nie wyobrażasz sobie nawet jak bardzo! Najmarniejszy z nich może bezkarnie zabić każdego, kto nie jest samurajem, każdego mężczyznę, kobietę albo dziecko, z byle jakiego powodu albo w ogóle bez żadnego. Potrafią zabić, zgodnie z prawem, tylko po to, żeby wypróbować ostrość swoich sakramenckich mieczy. Widziałem już takie przypadki... A miecze mają najlepsze w świecie. Lepsze od tych z damasceńskiej stali. Co robi teraz ten skurczybyk?

–Tylko na nas patrzy. Łuk ma w tej chwili na plecach. – Blackthorne zadrżał. – Nienawidzę tych drani bardziej niż Hiszpanów.

Wiosłujący Rodrigues zaśmiał się.

–Gdyby znali o mnie prawdę, też by mi dali do wiwatu. Ale jeżeli człowiek pragnie prędko się wzbogacić, to musi z nimi współpracować, ponieważ do nich należy wszystko. Na pewno dobrze się czujesz?

–Tak. Dziękuję. Co powiedziałaś? Że d° samurajów należy wszystko?

–Tak. Cała ludność w tym kraju jest podzielona na kasty, jak w Indiach. Na górze są samuraje, a poniżej nich chłopci. – Rodrigues splunął za burtę. – Właścicielami ziemi mogą być tylko chłopci. Rozumiesz? Ale do samurajów należą wszystkie jej płody. Do nich należy cały ryż, który jest tu jedynym liczącym się zbożem, a jego część zwracają chłopcom. Broń wolno nosić tylko samurajom. Jeżeli ktoś inny niż samuraj zaatakuje samuraja, to jest to bunt karany natychmiastową śmiercią. Poza tym każdy, kto jest świadkiem takiego ataku i natychmiast o nim nie doniesie, jest również winny, podobnie jak jego żona, a nawet dzieci. Jeżeli się nie doniesie, to ginie cała rodzina. Matko Boża, samuraje to pomioty Szatana! Na własne oczy widziałem dzieci posiekane na kawałki! – Rodrigues odchrząknął i splunął – Niemniej

jeżeli wiesz o tym kraju to i owo, to jest on rajem na ziemi. – Zerknął za siebie na galerę, żeby rozproszyć swoje obawy, a potem uśmiechnął się szeroko. – No, Ingeles, nie ma to jak przejażdżka łodzią po zatoce, co?

Blackthorne zaśmiał się. Odmłodniał o całe lata, kiedy z rozkoszą poddał się znajomemu kołysaniu fal, woni morskiej soli, nawoływaniu i igraszkom mew nad głową, uczuciu wolności. Uczuciu, które powróciło do niego po tak długim czasie.

–Myślałem, że nie zechcesz mi pomóc w dostaniu się na Erasmusa! – powiedział.

–To wada wszystkich Ingelesów. Brak cierpliwości. Posłuchaj, tutaj nie pyta się Japońców o nic, samurajów ani nikogo. Wszyscy oni są z jednej gliny. Jeżeli się zapytasz, to się zawahają, a potem spytają przełożonego, co robić. W tym kraju musisz działać!!! Naturalnie – dodał Rodrigues zanosząc się serdecznym śmiechem, który potoczył się po falach – bywa, że jeżeli zrobisz niewłaściwy krok, to cię zabiją.

–Doskonale wiosłujesz na śrubę. Kiedy nadszedłeś, zastanawiałem się właśnie, jak tym wiosłować.

–Chyba nie sądzisz, że puściłbym cię samego? Jak się nazywasz?

–Blackthorne. John Blackthorne.

Byli już blisko Erasmusa. Z pokładu spoglądał na nich pytającym, wzrokiem samuraj.

Rodrigues wciągnął wiosło, łódka skręciła zgrabnie w stronę burty i Portugalczyk uwiesił się liny abordażowej.

–Wejdź na górę, ale mówienie zostaw mnie – powiedział.

Blackthorne zaczął się wspinać, Rodrigues zaś przywiązał tymczasem łódkę. Na pokładzie znalazł się jako pierwszy. Dwornie się uklonił.

–Konnichi wa wszystkim gównozernym samom! – rzekł.

Na pokładzie było czterech samurajów. W jednym z nich Blackthorne rozpoznał strażnika, który pilnował klapy do piwnicy. Zakłopotani Japończycy sztywno uklonili się Portugalczykowi. Blackthorne powtórzył za nim dworny ukłon, czując się nieswojo, bo wolałby uklonić się normalnie.

Rodrigues podszedł prosto do zejściówki. Drzwi były porządnie opieczętowane. Jeden z samurajów zastąpił mu drogę.

–Kinjiru, gomen nasai – powiedział, co znaczyło „Nie wolno, bardzo mi przykro”.

–Kinjiru, powiadasz? – spytał Portugalczyk, na którym najwyraźniej nie wywarło to wrażenia. – Jestem Rodrigu-san, anjin Toda Hiro-matsu-sama. To jest pieczęć – rzekł, wskazując czerwony odcisk stempla z dziwnymi hieroglifami – Tody Hiro-matsu-samy, ka?

–Iye – odparł samuraj, potrząsając przecząco głową. – Kasigi Yabu-sama!

Iye!!! – rzekł Rodrigues. – Kasigi Yabu-sama? Przybywam od Tody Hiro-matsu-samy, który jest większym panem niż ten twój sukinsyn, a Toda-samica przybywa od Toranagi-samy, który jest największym sukinsynem na świecie. Ne? – Zdarł pieczęć z drzwi i położył dłoń na jednym z pistoletów. Miecze samurajów były do połowy wyciągnięte z pochew, dlatego cicho ostrzegł Blackthorne'a: – Przygotuj się do opuszczenia statku. – A do samuraja odezwał się burkliwie: – Toranaga-sama! – Lewą ręką wskazał banderę, która łopotała na maszcie galery. – Wakarimasu ka?

Samuraje stali niezdecydowani, z mieczami w pogotowiu, Blackthorne przygotował się do skoku za burtę.

–Toranaga-sama! – Rodrigues uderzył stopą w drzwi, rygiel puścił i otworzyły się one z rozmachem. – Wakarimasu ka?!!!

–Wakarimasu, Anjin-san.

Samuraje szybko zdjęli dłonie z mieczy, ukłonili się, przeprosili, ukłonili się jeszcze raz, Rodrigues zaś mruknął: „O to chodziło”, i pierwszy zszedł na dół.

–Jezu Chryste, Rodrigues – powiedział Blackthorne, kiedy znaleźli się na dolnym pokładzie. – Czy zawsze tak robisz i uchodzi ci to płazem?

–Robię to bardzo rzadko – odparł Portugalczyk, ocierając spocone czoło – a i wtedy żałuję, że w ogóle się w to wdąłem.

Blackthorne oparł się o grodzie.

–Czuję się, jakby mnie kopnięto w żołądek – wyznał.

–To moja jedyna metoda. Musisz się zachowywać jak władca. Ale nawet wtedy z samurajami nigdy nic nie wiadomo. Są tak nieobliczalni jak jakiś wściekły klecha, który z lontem w tyłku siedzi na półpełnej baryłce prochu.

–Coś im powiedział?

–Toda Hiromatsu jest głównym doradcą Toranagi, większym daimyō od tego miejscowego. Właśnie dlatego ustąpili.

–A jaki on jest, ten Toranaga?

–Długo by mówić, Ingeles. – Rodrigues usiadł na stopniu, ściągnął długi but i podrapał się w kostkę. – O mało co nie przetrąciłem sobie stopy na twoich parszywych drzwiach.

–Nie były zamknięte na klucz. Mogłeś je zwyczajnie otworzyć.

–Wiem. Ale o ileż mniejszy byłby efekt. Na Błogosławioną Dziewicę, dużo się jeszcze musisz nauczyć!

–Nauczysz mnie? Rodrigues wciągnął but z powrotem.

To zależy – odrzekło – Od czego?

–Zobaczy się, no nie? Jak dotychczas, tylko ja gadałem, i słusznie – jestem zdrow, a ty nie. Niedługo przyjdzie twoja kolej. Która kabina jest twoja?

Blackthorne przyglądał mu się uważnie przez chwilę. Pod pokładem panował smrodliwy zaduch.

–Dziękuję ci za pomoc w dostaniu się na statek – powiedział.

Ruszył przodem w stronę rufy. Drzwi do jego kabiny nie były zamknięte na klucz. Złupiono ją i zabrano wszystko, co dało się wynieść. Nie było książek, ubrań, przyrządów ani gęsiich piór. Jego skrzynia żeglarska również stała otworem. I była pusta.

Poblady z gniewu, wszedł do kabiny kapitańskiej, Rodrigues zaś bacznie mu się przyglądał. Rabusie znaleźli nawet i opróżnili jego skrytkę.

–Zabrali wszystko – oznajmił. – Te syny zarażonych wszy!

–A czegoś się spodziewał?

–Boja wiem. Myślałem... że przy tych pieczęciach... – Blackthorne przeszedł do skarbca. Był ogołocony. Tak samo magazyn. W ładowniach pozostawiono jedynie bele wełnianego sukna. – Bóg skaż wszystkich Japończyków! – zaklął, wrócił do swojej kabiny i zatrzasnął wieko skrzyni.

–Gdzie je masz? – spytał Rodrigues.

–Co?

–Swoje ruty. Gdzie masz ruty?

Blackthorne obrzucił go bystrym spojrzeniem.

–Żaden pilot na świecie nie przejmowałby się ubraniem. Przypląnąłeś tu po ruty. Prawda?

–Tak.

–Coś taki zaskoczony, Ingeles? Jak myślisz, po co wszedłem na pokład? Żeby ci pomóc zabrać więcej łąchów? Prawdę powiedziawszy, twoje są znoszone i będziesz potrzebował innych. Mam ich dla ciebie mnóstwo. Ale gdzie są ruty?

–Przepadły. Trzymałem je w skrzyni.

–Nie mam zamiaru ich kraść, Ingeles. Po prostu chcę się z nimi zapoznać. I skopiować w razie potrzeby. Będę na nie chuchał jak na własne, więc nie musisz się bać... dlatego wydobądź je z łaski swojej – dodał Rodrigues bardziej stanowczym tonem. – Czasu mamy niewiele.

–Nie mogę tego zrobić. Przepadły. Trzymałem je w skrzyni.

–W skrzyni byś ich nie zostawił, nie w chwili wpływania do obcej zatoki. Nie zapomniałbyś pierwszego przykazania pilotów, które głosi, że ruty należy dobrze ukryć, a bez zabezpieczenia pozostawić tylko te fałszywe. Pośpiesz się!

–Ukradli mi je!

–Nie wierzę ci. Ale przyznaję, że świetnie je ukryłeś. Szukałem dwie godziny i nie wywahałem, psia jego mać, niczego.

–Co takiego?

–Coś taki zdziwiony, Ingeles? Czy głowę masz tam gdzie dupę?! Jasne, że przypląnąłem tutaj z Osaki, żeby się wywiedzieć o twoje ruchy!

–Więc ty już tutaj byłeś?

–Matko Święta! – rzekł zniecierpliwiony Rodrigues. – Jasne, że byłem, kilka godzin temu z Hiro-matsu, który chciał się tu rozejrzeć. Złamał pieczęcie, a potem, po naszym odpłynięciu, ten miejscowy daimyō znowu opieczętował statek. Pośpiesz się, na miły Bóg – dodał. – Piasek w klepsydrze i ucieka.

–Ukradli mi je! – powtórzył Blackthorne. Opowiedział mu, jak tu przypląnęli i jak się ocknął na brzegu. A potem kopniakiem posłał skrzynię przez kabinę, wściekły na tych, którzy złupili mu statek. – Ukradli mi je! Wszystkie moje mapy! Wszystkie ruty! Kopie niektórych mam w Anglii, ale ruta z trasą tej wyprawy przepadła i... – urwał.

–A ta ruta portugalska? Nie gadaj, Ingeles, przecież musiała być portugalska.

–Tak, i ta portugalska też przepadła.

Weź się w garść, powiedział sobie Blackthorne. Ruty przepadły i koniec. Kto je ma? Japończycy? A może przekazali je temu jezuitcie? Bez tych rut i map nie dopłyniesz z powrotem do kraju. Nigdy tam nie dopłyniesz... To nieprawda. Zdołasz dopłynąć do domu, jeżeli będziesz uważał i jeżeli będziesz miał ogromne szczęście... Nie bądź śmieszny! Jesteś na drugim końcu świata, we wrogim kraju, w rękach nieprzyjaciół i nie masz ani ruty, ani map.

–O Jezuu, daj mi siły!

Rodrigues przypatrywał mu się bacznie.

–Żał mi ciebie, Ingeles – powiedział wreszcie. – Wiem, co czujesz... kiedyś i mnie się to przydarzyło. Tamten złodziej był Anglikiem, tak jak ty, bodaj jego statek zatonął, a on sam po wiek wieków smażył się w piekle! Chodź, wracajmy na pokład.

Orni i pozostali czekali na nabrzeżu do chwili, gdy galera opłynęła przylądek i znikła. Na zachodzie na niebo zaczęły się nakładać pierwsze warstwy nocy. Na wschodzie natomiast, gdzie horyzont już zniknął, noc społa niebo z morzem.

–Mura, ile czasu zajmie przewiezienie wszystkich dział z powrotem na statek? – spytał Orni.

–Jeżeli będziemy pracowali całą noc, to jutro do południa, Omi-san. A jeżeli zaczniemy o świcie, to skończymy przed zachodem słońca. Praca w dzień byłaby bezpieczniejsza.

–Pracujcie w nocy. Natychmiast przyprowadź do piwnicy tego kapłana.

Omi spojrzał na Igurashiego, głównego adiutanta Yabu, który w dalszym ciągu wpatrywał się z napiętą twarzą w przylądek, a przecinająca jego pusty oczodół, wypełniona siną tkanką szrama tonęła w niesamowitym cieniu.

–Z przyjemnością udzielę ci gościny, Igurashi-san – powiedział. – Mój dom jest wprawdzie ubogi, ale być może zdołam sprawić, żebyś się czuł w nim wygodnie.

–Dziękuję – odparł mu starszy mężczyzna, zwracając się ponownie w jego stronę – ale nasz pan polecił mi natychmiast wracać do Edo, dlatego wyjadę natychmiast. – Zatrokał się jeszcze bardziej. – Szkoda, że nie ma nas na tej galerze.

–Tak.

–Bardzo nie podoba mi się to, że wielmożny pan Yabu ma ze sobą tylko dwóch żołnierzy. Bardzo mi się nie podoba.

–Tak. Igurashi wskazał Erasmusa.

–Nie ma co, to diabelski statek! Tyle bogactwa, a potem nic.

–Czy na pewno nic? Czy pan Toranaga nie ucieszy się, nie ucieszy się bardzo z daru pana Yabu?

–Ten zepsuty przez pieniądź grabieżca prowincji jest tak zarozumiały na punkcie swojej ważności, że nawet nie zauważy, ile złota ukradł naszemu panu. Gdzie masz rozum, panie?

Tuszę, że do wypowiedzenia podobnej uwagi przywiodła cię jedynie troska z powodu niebezpieczeństwa, na jakie może być narażony nasz pan.

–Masz rację, Omi-san. Nie chciałem cię obrażać. Postąpiłeś bardzo mądrze i bardzo się przydałeś naszemu panu. Być może masz też rację co do Toranagi – odparł Igurashi, myśląc jednak: „Ciesz się swoim nowo pozyskanym bogactwem, biedny głupcze. Znam naszego pana lepiej od ciebie i twoje powiększone lenno bynajmniej nie wyjdzie ci na dobre. Twój awans byłby sprawiedliwą nagrodą za statek, kruszec oraz uzbrojenie. Ale one przepadły. I z tego powodu nasz pan jest w niebezpieczeństwie. Wysłałeś wiadomość i skusiłeś go słowami: „Zobacz najpierw barbarzyńców”. A powinniśmy byli wyjechać wczoraj. Tak, do tego czasu mój pan byłby już w bezpiecznej odległości, z pieniędzmi i bronią. Czy jesteś zdrajcą? Działasz dla siebie, dla swojego głupiego ojca czy dla wroga? Może, na przykład, dla Toranagi? Nieważne. Możesz mi wierzyć, Omi-san, ty naiwny młody głupcze, że wraz ze swoją gałęzią rodu Kasigi nie pożyjesz długo na tym świecie. Powiedziałbym ci to w oczy, ale wówczas musiałbym cię zabić, naruszając w ten sposób zaufanie mojego pana. Do niego bowiem należy decyzja, kiedy to zrobić, a nie do mnie. – Dziękuję ci za gościnność, Omi-san – dodał. – Z przyjemnością wkrótce cię zobaczę, ale teraz ruszam w drogę.

–Czy możesz łaskawie coś dla mnie zrobić? Złóż, proszę, uszanowanie mojemu ojcu. Będę ci za to bardzo wdzięczny.

–Z przyjemnością. To wspaniały człowiek. Nie powinszowałem ci jeszcze z okazji twojego nowego lenna.

–Jesteś nadzwyczaj uprzejmy.

–Raz jeszcze ci dziękuję, Omi-san. – Igurashi uniósł rękę w przyjacielskim pozdrowieniu, dał znak swoim samurajom i na czele konnego zastępu wyjechał z wioski.

Omi poszedł do piwnicy. Zastał tam księdza. Spostrzegł, że Portugalczyk jest zagniewany, i miał nadzieję, że da temu upust publicznie, wtedy zaś będzie mógł go zabić.

–Kapłanie, powiedz barbarzyńcom, że mają wyjść, pojedynczo. Przekaż im, że pan Yabu powiedział, że mogą znowu żyć pośród ludzi. – Omi celowo używał prostych słów. – Ale przy najmniejszym naruszeniu zasad dwóch z nich powróci do piwnicy. Mają się zachowywać właściwie i wykonywać wszystkie rozkazy. Czy to jasne?

–Tak.

Orni, tak jak poprzednio, kazał jezuitcie wszystko powtórzyć, a kiedy upewnił się, że Portugalczyk go zrozumiał, kazał mu to powiedzieć uwięzionym w piwnicy.

Więźniowie jeden po drugim wyszli na górę. Wszyscy byli załęknieni. Niektórym trzeba było pomagać. Jeden z nich bardzo cierpiał i krzyczał, ilekroć ktoś dotknął jego ręki.

–Powinno być dziewięciu...

–Jeden nie żyje. Zwłoki są tam, w piwnicy – wyjaśnił zakonnik. Omi zastanawiał się przez chwilę.

–Mura – rzekł – spal te zwłoki, a popioły dorzuć do tych po tamtym barbarzyńcy. Pozostałych zakwateruj w tej samej chacie co poprzednio. Daj im dużo warzyw i ryb. A również polewki z jęczmienia i owoców. Trzeba ich wykąpać. Śmierdzą. Kapłanie, powiedz im, że jeżeli będą grzeczni i posłuszni, jedzenie będzie dostarczane dalej.

Uważnie przypatrywał się i słuchał. Zobaczył, że wszyscy reagują wdzięcznością, i pomyślał z pogardą, że to bardzo głupio z ich strony. Pozbawiam ich wszystkiego tylko na dwa dni, potem zwracam im zaledwie ochłapy, a oni są gotowi jeść łajno, naprawdę!

–Mura, każ im się uklonić jak należy i zabierz ich stąd – polecił, a potem zwrócił się do jezuitty. – Tak?

–Odjeżdżam. Jadę do domu. Opuszczam Anjiro.

–Najlepiej odjedź i więcej się tu nie pokazuj, ty i wszyscy podobni tobie kapłani. Następnym razem jeden z was pojawi się w moim lennie być może dlatego, że któryś z moich chrześcijańskich włościń lub poddanych umyśli zdradę – rzekł, używając zawołowanej groźby i klasycznego fortelu, który antychrześcijańsko nastawieni samuraje stosowali, żeby powstrzymać niepohamowane rozprzestrzenianie się obcej religii w swoich dobrach, bo chociaż zagraniczni księża byli pod ochroną, to ich japońscy neofici nie. Chrześcijanie dobrzy Japończycy. Zawsze. Tylko dobrzy

poddani. Nigdy złych myśli. Nie.

–Ciesz się tym. Pamiętaj, że moje lenno rozciąga się w promieniu dwudziestu ri stąd. Rozumiesz?

–Rozumiem. Tak. Rozumiem bardzo dobrze.

Patrzył, jak Portugalczyk kłania mu się sztywno – bo nawet barbarzyńskich kapłanów obowiązywało dobre wychowanie – i odchodzi.

–Omi-san? – zagadnął jeden z jego samurajów. Był młody i bardzo przystojny.

–Słucham?

–Wybacz mi, proszę, wiem, że nie zapomniałeś o tym, ale Masijiro-san wciąż siedzi w piwnicy.

Orni podszedł do otworu piwnicznego i spojrzał z góry na samuraja. Ten natychmiast uklęknął i ukłonił mu się z wielkim szacunkiem.

Dwa dni spędzone w piwnicy postarzyły go. Orni rozważył jego służbę w przeszłości i przydatność w przyszłości. A potem wydobyl z pochwy młodego samuraja krótki miecz i upuścił go do ziemi.

Kłęczący u stóp drabiny Masijiro wpatrzył się w nóż z niedowierzaniem. Po policzkach pociekły mu łzy.

–Nie zasługuję na taki zaszczyt, Omi-san – rzekł pokornie.

–Owszem.

–Dziękuję ci, panie.

Młody samuraj stojący przy Omim spytał:

–Czy mogę prosić, żeby wolno mi było popełnić seppuku tu, na brzegu?

–On zawiódł w piwnicy. A więc zostanie w piwnicy. Każ chłopom ją zasypać. Niech zetrą wszelkie ślady po niej. Barbarzyńcy skalali ją.

8.

–Jak myślisz, Ingeles?

–Myślę, że będzie burza.

–Kiedy?

–Przed zachodem słońca.

Zbliżało się południe, stali pod szarym zachmurzonym niebem na pokładzie rufowym galery. Byli na morzu drugi dzień.

–Gdyby to był twój statek, to co byś zrobił?

–Za ile dopłyniemy?’ - spytał Blackthorne.

–Po zachodzie słońca.

–Jak daleko jest do najbliższego lądu?

–Cztery do pięciu godzin, Ingeles. Ale wyszukanie schronienia kosztowałoby nas pół dnia, a na to nie mogę sobie pozwolić. Jak byś postąpił?

Blackthorne zastanawiał się chwilę. W czasie pierwszej nocy galera posuwała się prędko na południe wzdłuż wschodniego brzegu półwyspu Izu, w czym pomagał jej duży żagiel na maszcie śródkręcia. Kiedy znaleźli się na wprost najdalej na południe wysuniętego przylądka, przylądka Ito, Rodrigues wziął kurs na zachodnio-południowy zachód i opuścił zapewniający bezpieczeństwo brzeg, wychodząc na otwarte morze i zmierzając do wylądowania na przylądku Shintō, dwieście mil dalej.

–Zazwyczaj pływamy tymi galerami trzymając się brzegu, dla bezpieczeństwa – powiedział Rodrigues – ale zajęłoby to za wiele czasu, a czas się liczy. Toranaga kazał mi zawieźć Samicę Todę do Anjiro i odwieźć go z powrotem szybko. Jeżeli zrobię to bardzo szybko, czeka mnie nagroda. Na tak krótkiej trasie równie dobrze poradziłby sobie któryś z japońskich pilotów, ale biedny sukinsyn śmiertelnie by się bał wieść tak ważnego daimyō jak Samica Toda, a zwłaszcza nie widząc lądu. Japusy nie nadają się na ocean. To wspaniali piraci, wojownicy, żeglarze przybrzeżni. Ale głębia przeraża ich. Stary taikō ustanowił nawet prawo, żeby te kilka oceanicznych jednostek, które posiadają, zawsze miały na swoich pokładach portugalskich pilotów. Prawo to do tej pory obowiązuje w ich „kraju.

–Dlaczego to zrobił? Rodrigues wzruszył ramionami.

–Może ktoś mu podsunął taką myśl.

–Kto?

–A ta twoja ukradziona ruta, Ingeles, ta portugalska. Do kogo należała?

–Nie wiem. Nie było na niej nazwiska, nie była podpisana.

–Skąd ją masz?

–Od szefa kupców holenderskiej Spółki Wschodnioindyjskiej.

–A on skąd ją wziął?

Blackthorne wzruszył ramionami.

W śmiechu Rodriguesa nie było wesołości.

–No cóż, nie spodziewałem się, że mi powiesz... ale mam nadzieję, że kimkolwiek jest ten, kto ją ukradł i sprzedał, będzie się smażył w piekle po wiek wieków.

–Pracujesz dla tego Toranagi, Rodrigues?

–Nie. Właśnie odwiedziłem Osakę, ja i mój dowódca. To była zwyczajna przysługa wobec Toranagi. Mój dowódca zgłosił mnie z własnej woli. Jestem pilotem... – Rodrigues urwał. – Ciągle zapominam, że jesteś wrogiem, Ingeles.

–Portugalia i Anglia przez liczne wieki były sojuszniczkami.

–Ale w tej „chwili nie są. Zejdź pod pokład, Ingeles. Ty jesteś zmęczony i ja też, a ludzie zmęczeni popełniają błędy. Wyjdź na górę, kiedy wypoczniesz.

Tak więc Blackthorne zszedł na dół do kabiny pilota i położył się na koi. Ruta Rodriguesa z opisem trasy tego rejsu leżała na stoliku nawigacyjnym, który podobnie jak krzesło pilota na rufówce przytwierdzony był do ściany. Oprawiony w skórę dziennik okrętowy był mocno wysłużony, ale Blackthorne nie otworzył go. – Dlaczego leży tutaj? – zapytał uprzednio.

–Gdyby nie leżał, tobyś go szukał. Ale tutaj go nie ruszysz, a nawet na niego nie spojrzysz... bez zaproszenia. Jesteś przecież pilotem, a nie jakimś gamrackim plugawym kupcem, który kradnie, albo ciurą., Przeczytam go. Ty byś przeczytał.

–Ale nie bez zaproszenia, Ingeles. Żaden pilot by tego nie zrobił. Nawet ja!

Blackthorne przez chwilę patrzył na dziennik okrętowy, a potem zamknął oczy. Spał głęboko przez cały dzień i kawałek nocy. Obudził się tak jak zwykle tuż przed świtem. Trochę czasu potrzebował na przyzwyczajenie się do zrywnych ruchów galery i na oswojenie się z biciem w bęben, dzięki któremu wiosła poruszały się równo. Ułożył

się wygodnie na plecach w ciemnościach, z rękami pod głową. Pomyślał o swoim własnym statku i odsunął od siebie niepokój, co się stanie, kiedy dotrą do brzegu i Osaki. Nie wszystko naraz, rzekł sobie. Pomyśl o Felicity, o Tudorze i o kraju. Nie, nie w tej chwili. Pomyśl: jeżeli inni Portugalczycy są tacy jak Rodrigues, to masz spore szanse. Popłyniesz do kraju. Piloci nie są wrogami, a wszystko inne pał sześc! Jednak nie jest to wcale takie pewne, chłopcze. Jesteś Anglikiem, znienawidzonym heretykiem i antychrystem. Tym światem władają katolicy. Należy on do nich! A my i Holendrzy chcemy ich zniszczyć!

To wszystko nie ma najmniejszego sensu! Katolicyzm, protestantyzm, kalwinizm, luteranizm i wszelkie inne idiotyzmy. Powinieneś być urodzić się katolikiem. To tylko zrządzenie losu zawiodło twojego ojca do Holandii, gdzie poznał kobietę, Anneke van Droste, która została jego żoną, i gdzie po raz pierwszy zetknął się z hiszpańskimi katolikami, z hiszpańskimi księżmi i inkwizycją. Jak to dobrze, że otworzyły mu się oczy. Jak to dobrze, że ja mam je otwarte, pomyślał Blackthorne.

A potem wyszedł na pokład. Rodrigues siedział na krześle, oczy miał zaczerwienione z niewyspania, a przy sterze stało tak jak poprzednio dwóch japońskich żeglarzy.

–Mogę cię zastąpić na wachcie? – spytał.

–Jak się czujesz, Ingeles?

–Wypocząłem. Mogę cię „zastąpić na wachcie? – Blackthorne spostrzegł, że Rodrigues taksuje go wzrokiem. – Obudzę cię w razie zmiany wiatru... czegokolwiek.

–Dziękuję, Ingeles. Tak, prześpię się trochę. Utrzymuj ten kurs. Przy jego najbliższej zmianie skreć cztery stopnie na zachód, a przy następnej jeszcze sześć. Musisz pokazać sternikowi nowy kurs na kompasie. Wakarimasu ka?

–Hai! – Blackthorne zaśmiał się. – Jest cztery rumby na zachód. Zejdź pod pokład, pilocie, masz bardzo wygodną koję.

Ale Vasco Rodrigues nie zszedł pod pokład. Tylko ciaśniej otulił się marynarską kurtą i głębiej umeścił w krześle. Tuż przed porą odwrócenia klepsydry obudził się na chwilę, nie ruszając się z miejsca sprawdził kurs i natychmiast znowu zasnął. Raz, kiedy wiatr zmienił kierunek, ocknął się, a nabrawszy pewności, że nie ma niebezpieczeństwa, znowu zapadł w sen.

Hiro-matsu i Yabu wychodzili na pokład w ciągu tego ranka. Blackthorne zauważył, że zaskoczyło ich, iż to on prowadzi okręt, a Rodrigues śpi. Nie odezwali się do niego, tylko powrócili do rozmowy, a potem znów zeszli pod pokład.

Okolo południa Rodrigues wstał z krzesła, żeby przyjrzeć się horyzontowi na

północnym zachodzie, i wyęzając wszystkie zmysły wachał wiatr. Obaj przypatrywali się uważnie morzu, niebu i nadciągającym chmurom.

–Co byś zrobił, Ingeles, gdyby to był twój statek? – powtórzył pytanie Rodrigues.

–Uciekłbym do brzegu, gdybym wiedział, gdzie jest... najbliżej. Ta galera nie wytrzyma dużego naboru wody, a tam jest na pewno burza. Ze cztery godziny stąd.

–To nie może być tai-fun – mruknął Rodrigues.

–Co?

–Tai-fun. Tai-funy to wielkie wiatry, najgorsze burze, jakie znam. Ale to nie jest pora tai-funów.

–A kiedy ona wypada?

–Nie teraz, nieprzyjacielu. – Rodrigues zaśmiał się. – Nie, nie teraz. Ale ta burza może być na tyle paskudna, że posłucham twojej gównianej rady. Płyn na północ do zachodu.

Kiedy Blackthorne pokazał nowy kurs sternikowi i ten sprawnie obrócił galerę, Rodrigues podszedł do barierki i krzyknął do kapitana:

–Isogi! Kapitan-san. Wakarimasu ka?

–Isogi, hai!

–Co się stało? Szybciej?

Kącki oczu Rodriguesa zmarszczyły się w wyrazie rozbawienia.

–Nie zawadzi znać trochę mowę Japusów, co? Jasne, Ingeles, „isogi” znaczy „śpieszyć się”. Wystarczy znać około dziesięciu słów i jeżeli tylko przyjdzie ci ochota, to możesz zmusić tych sukinsynów, żeby się zesrali. Oczywiście, jeżeli są to właściwe słowa i jeżeli Japonce są w humorze. Zejdę pod pokład i coś zjem.

–To ty również sam sobie gotujesz?

–W Japlandii każdy cywilizowany człowiek musi sam sobie gotować albo osobiście wyuczyć gotowania którąś z tych małąp, bo inaczej skona z głodu. Oni jedzą tylko surowe ryby i surowe warzywa marynowane w słodkim occie. Ale życie może tu być kutaśne, jeżeli się wie co i jak.

–Kutaśne znaczy dobre czy złe?

–Przeważnie bardzo dobre, ale czasem strasznie złe. Wszystko zależy od samopoczucia, a poza tym zadajesz za dużo pytań.

Rodrigues zszedł pod pokład. Zaryglował drzwi kabiny i starannie, sprawdził zamek przy swojej żeglarskiej skrzyni. Włos, który umieścił tak misternie, był na swoim miejscu. A podobny włos, równie niewidoczny dla nikogo poza nim, który położył na oprawie ruty, również pozostał nietknięty.

Na tym świecie nigdy nie za wiele ostrożności, pomyślał. Czy zaszkodziłoby ci, gdyby Anglik wiedział, że jesteś pilotem Nao del Trato, wielkiej Czarnej Karaweli, która w tym roku przyplynie z Makau? Być może. Ponieważ wówczas musiałbyś wyjaśnić, że to olbrzym, jeden z najbogatszych, największych statków na świecie, mający ponad tysiąc sześćset ton wyporności. Może cię kusić opowiedzenie mu o ładunku, o handlu, o Makau i najrozmaitszych pouczających sprawach, które są bardzo, bardzo poufne i bardzo, bardzo tajne. Ale przecież toczymy wojnę przeciwko Anglikom i Holendrom.

Otworzył dobrze naoliwiony zamek i wyjął swoją prywatną rutę, żeby sprawdzić położenie najbliższej bezpiecznej przystani, a wówczas jego oczy spoczęły na zapieczętowanym pakiecie, który ksiądz ojciec Sebastio wręczył mu tuż przed wypłynięciem z Anjiro.

Czy zawiera ruty Anglika? – zadał sobie pytanie.

Zważył paczuszkę w ręku i spojrzął na pieczęcie jezuitów, odczuwając pokusę, żeby złamać je i samemu to sprawdzić. Blackthorne powiedział mu, że holenderska eskadra przepłynęła przez Cieśninę Magellana, i niewiele ponadto. Ten Anglik zadaje mnóstwo pytań i nic sam z siebie nie mówi, pomyślał. Jest bystry, przebiegły i niebezpieczny.

Czy to są jego ruty czy nie? A jeżeli tak, to jaki pożytek z nich będą mieli świątobliwi ojcowie?

Zadrzał na myśl o jezuitach, franciszkanach, dominikanach, wszystkich mnichach, księżach i inkwizycji. Są dobrzy księża i są źli księża, ale przeważnie źli, niemniej są księżmi. Kościół musi ich mieć i bez ich wstawiennictwa za nami jesteśmy zagubionymi owieczkami w świecie Szatana. O Matko Boska, zbaw nas od wszelkiego złego i złych księży!

Rodrigues siedział właśnie z Blackthorne'em w swojej kabynie w zatoce Anjiro, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł bez zaproszenia ojciec Sebastio. Jedli akurat i pili, a resztki ich posiłku leżały na drewnianych misach.

–Łamiesz się chlebem z heretykiem, panie? – spytał jezuita. – Jeść z nimi jest niebezpiecznie. Oni zarażają. Nie powiedział ci, że jest piratem?

–Okazywanie rycerskości wrogom to cecha prawdziwego chrześcijanina, ojcie. Kiedy wpadłem w ich ręce, traktowali mnie dobrze. Ja im tylko odpłacam się z dobrego serca za życzliwość. – Ukląkł i ucałował krzyż zakonnika. A potem wstał i częstując ojca Sebastio winem spytał: – Czym mogę służyć?

Ojciec Sebastio pragnął porozmawiać z nim na osobności, przeto odesłał Anglika na pokład, a potem, w zaciszu kabiny, wydobyl zapieczętowany pakunek.

–Chciałbym, żebyś dostarczył to ojcu wizytatorowi, panie – po wiedział.

–Nie wiem, czy po dopłynięciu zastanę jeszcze jego eminencję w Osace – odparł Rodrigues, nierad z roli kuriera przewożącego jezuickie tajemnice. – Możliwe, że będę musiał wrócić do Nagasaki: Gubernator mógł zostawić dla mnie rozkazy.

–Wobec tego oddaj to ojcu Alvito. Tylko na pewno przekaż mu przesyłkę do rąk własnych.

–Dobrze – przyrzekł.

Teraz zaś w kabinie odłożył pakunek z powrotem, wielce podkuszony. Dlaczego ojcu Alvito? Ojciec Martin Alvito był przez wiele lat głównym negocjatorem handlowym i osobistym tłumaczem taikō, stąd też i zażyłe stosunki z najbardziej wpływowymi daimyō. Ojciec Alvito kursował pomiędzy Nagasaki a Osaka i jako jedyny Europejczyk należał do garstki nielicznych, którzy mieli w każdej chwili dostęp do taikō – był człowiekiem nadzwyczaj mądrym, doskonale władał japońskim, a o Japończykach i zasadach ich życia wiedział więcej niż ktokolwiek w Azji. W tej chwili zaś był najbardziej wpływowym portugalskim pośrednikiem do kontaktów z Radą Regencyjną, a zwłaszcza z Ishido i Toranagą.

Tylko jezuitom mogło się powieść zapewnienie jednemu ze swoich tak ważnego stanowiska, pomyślał Rodrigues z podziwem. Oczywiście, gdyby nie Towarzystwo Jezusowe, nic nie powstrzymałoby zalewu herezji, Portugalczycy i Hiszpanie mogliby przejść na protestantyzm i na zawsze postradalibyśmy nasze nieśmiertelne dusze. Matko Boska!

–Dlaczego ty bez przerwy myślisz o księżach? – zadał sobie na głos pytanie. – Wiesz, że to cię denerwuje!

Tak. A jednak dlaczego właśnie ojcu Alvito? Jeżeli w tym pakiecie są ruty, to czy jest on przeznaczony dla kogoś z chrześcijańskich daimyō, dla Ishido albo Toranagi, czy też po prostu dla jego eminencji samego ojca wizytatora? A może dla mojego generała-gubernatora? Niewykluczone również, że ruty te zostaną wysłane do Rzymu, Hiszpanom. Dlaczego ojcu Alvito? Ojciec Sebastio mógł zwyczajnie powiedzieć, żebym oddał to jakiemuś innemu jezuitcie.

I po co Toranadze ten Anglik?

W głębi duszy wiem, że powinienem zabić Blackthorne'a. To wróg, to heretyk. Ale jest jeszcze coś. Mam przeczucie, że ten Anglik zagraża nam wszystkim. Na jakiej podstawie tak uważam? Jest pilotem, i to doskonałym. Jest silny. Inteligentny. Porządny chłop. Nie ma się czego obawiać. Więc dlaczego się go boję? Czy jest zły? Bardzo go lubię, a coś mi mówi, że powinienem go szybko zabić, im prędzej, tym lepiej. Nie w gniewie. Po prostu po to, żeby nas ochronić. Dlaczego?

Obawiam się go.

Co robić? Zostawić to w ręku Pana Boga? Nadciąga burza, a będzie paskudna.

–Bodaj diabli mnie i mój brak konceptu! Czemu żadne pomysły nie wpadają mi łatwo do głowy?

Burza przyszła przed zachodem słońca i złapała ich na morzu. Do lądu mieli dziesięć mil. Zatoka, do której pędzili, zapewniała im w miarę bezpieczne schronienie i leżała na wprost nich, kiedy przekraczali linię horyzontu, co pozwalało na dostrzeżenie ich przez kogoś z brzegu. Pomiędzy nimi a bezpieczną zatoką nie było żadnych mielizn ani raf do ominięcia, ale dziesięć mil to zawsze dziesięć mil, fale zaś szybko rosły, pogoniane deszczystym wiatrem.

Wichura dęła z północnego wschodu, uderzając w tylną część prawej burty, i co chwila zmieniała kierunek, gdy podmuchy skręcały bezładnie na wschód albo północ, a morze się srożyło. Płynęli kursem na północny zachód, a więc przeważnie zwróceni pełną burtą do spiętrzającej się wody, zataczając się straszliwie, raz zapadając się w dolinę fali, to znowu wyjeżdżając przerażająco wysoko na jej grzbiecie. Galera miała płytkie zanurzenie i zbudowano ją do szybkiego pływania po spokojnych wodach, tak więc mimo chęci i zdyscyplinowania wiosłarzy, trudno im było utrzymać wiosła zanurzone i popychać je czysto.

–Powinieneś wciągnąć wiosła i sztormować rufą! – krzyknął Blackthorne.

–Możliwe, ale jeszcze nie teraz! Gdzie twoje cojones, Ingeles?

–Tam gdzie powinny być, na miły Bóg, i gdzie pragnąłbym je mieć zawsze!

Obaj wiedzieli, że gdyby obrócili się pod wiatr, za nic nie zdołaliby przedostać się przez burzę – prądy i wichura odepchnęłyby ich bowiem od bezpiecznego schronienia w morze. Gdyby zaś ustawili się rufą do wiatru, to wiatr i prądy tak samo odepchnęłyby ich od bezpiecznej zatoki, tylko prędzej. Na południe była Wielka Głębia. W kierunku południowym na przestrzeni tysiąca mil żadnego lądu, a jeśli ktoś nie miał szczęścia, to na przestrzeni trzech tysięcy mil.

Obwiązani ratowniczymi linami sztormowymi umocowanymi do podstawy kompasu, cieszyli się, że je mają, bo pokład wznosił się – i kołysał. Płynęli, przytrzymując się nadburci.

Jak dotąd woda nie dostała się na pokład. Galera była mocno obciążona i tak głęboko zanurzona, że nie podobało się to żadnemu z nich. W godzinach oczekiwania na sztorm Rodrigues odpowiednio się doń przygotował. Wszystko uszczelniono, a załogę uprzedzono o niebezpieczeństwach. Hiro-matsu i Yabu zapowiedzieli, że zostaną jakiś czas pod pokładem i że wyjdą na górę potem. Rodrigues wzruszył ramionami i ostrzegł ich wyraźnie, że będzie to niebezpieczne. Był pewien, że go zrozumieli.

–Co zrobią? – spytał Blackthorne.

Kto wie, Ingeles. Ale bądź pewien, że nie rozplaczą się ze strachu. W niecce głównego pokładu wiosłarze wiosłowali z całych sił. Zwykle przy każdym z wiosł stałoby ich dwóch, ale dla zwiększenia mocy, bezpieczeństwa i prędkości Rodrigues nakazał wiosłować trzem. Reszta czekała pod pokładami, żeby zlizować tamtych na rozkaz Portugalczyka. Dowódca wiosłarzy na pokładzie dziobowym był bardzo doświadczony i bił w bęben wolno, równo z napływającymi falami. Galera wciąż posuwała się naprzód, chociaż wydawało się, że z każdą chwilą huśta się coraz mocniej i że wolniej odzyskuje równowagę. Potem zaś uderzenia szkwału utraciły regularność, stały się nieobliczalne i dowódca wiosłarzy stracił rytm.

–Pilnuj dziobu! – wykrzyknęli niemal jednym tchem Rodrigues i Blackthorne.

Galera zakołysała się przerażająco, dwadzieścia wiosł zagarnęło zamiast wody powietrze i na pokładzie powstał chaos. W prawą burtę uderzył pierwszy grzywacz i przelała się przez nią woda. Brodzili w niej.

–Idź na dziób! – polecił Rodrigues. – Niech wciągną połowę wiosł z każdej burty! Matko Boska, prędzej, prędzej!

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że bez liny ratunkowej w każdej chwili grozi mu zmycie do morza. Ale wiosła trzeba było wciągnąć, bo w przeciwnym razie byliby zgubieni.

Rozwiązał węzeł i po śliskim, kołyszącym się pokładzie, a potem po schodni przedostał się na pokład główny. Nagle galera odchyliła się w bok, on zaś poleciał w przód, podcięty przez zbitych z nóg wiosłarzy, którzy również odwiązali swoje liny ratunkowe, żeby zapanować nad wiosłami. Nadburcie zalała woda i ktoś wpadł do morza. Blackthorne poczuł, że i jego unosi fala. Ręką chwycił się nadburcia, ścięgnął napięły mu się, ale nie puścił, a potem drugą ręką sięgnął do okrężnicy i dławiąc się wodą podciągnął się w górę. Nogą wymacał pokład, otrząsnął się i dziękując Bogu za

ocalenie pomyślał, że oto stracił siódme życie. Alban Caradoc stale powtarzał, że dobry pilot musi być jak kot, z tym że pilot powinien mieć dziesięć żyć, podczas gdy kotu wystarcza dziewięć.

U jego stóp znalazł się jakiś człowiek, więc wyrwał go morzu z pazurów, przytrzymał, aż niebezpieczeństwo minęło, a potem dopomógł wrócić na miejsce. Obejrzał się na rufówkę, przeklinając Rodriguesa za to, że wypuścił ster z ręki. Rodrigues machnął w jego stronę, pokazał na coś i krzyknął, ale jego okrzyk zginął w ryku nawałnicy. Blackthorne spostrzegł, że zmienili kurs. W tej chwili szli prawie pod wiatr, po czym poznał, że nagły skręt był zaplanowany. Mądrze, pomyślał. Da nam to chwilę wytchnienia na przygotowanie się, ale ten drań mógł mnie uprzedzić. Nie lubię tracić kolejnych żyć bez potrzeby.

Odpowiedział mu machnięciem ręki i energicznie przystąpił do uporządkowania na nowo wiosłarzy. Wiosłowanie przerwano, nie licząc dwóch pracujących wiosł z, samego przodu, które utrzymywały galerę na kursie pod wiatr. Gestami i krzykami Blackthorne wymusił wciągnięcie wiosł, podwoił obsady tych, którymi wiosłowano, a potem wrócił na rufę. Japończycy zachowywali stoicki spokój i chociaż niektórzy wymiotowali, to tkwili na swoich miejscach i czekali na następny rozkaz.

Zatoka była coraz bliżej, ale i tak zdawała się o milion mil od nich. Na północnym wschodzie niebo było ciemne. Deszcz chłostał, a porywy wiatru nabierały gwałtowności. Gdyby płynął w tej chwili na Erasmusie, byłby spokojny. Bez trudu wpłynęliby do zatoki albo bez żadnych problemów wrócili na właściwy kurs, zdążając do wyznaczonego miejsca lądowania. Jego statek zbudowano i otaklowano na tak złą pogodę. Ale tej galery nie.

–Co myślisz, Ingeles?

–Cokolwiek myślę, i tak zrobisz, co zechcesz – odparł Blackthorne przekrzykując wiatr. – Ale ta galera nie wytrzyma już wiele więcej wody i pójdziemy na dno jak kamień, a poza tym, kiedy znowu wybiorę się na dziób, to daj znać, że ustawiasz ją pod wiatr. A najlepiej zrób to wtedy, kiedy będę przywiązany liną, w ten sposób obaj dopłyniemy na miejsce.

–To była wola boska, Ingeles. Fala rąbnęła nas w zad i obróciła.

–O mało co nie wypadłem za burtę.

–Widziałem.

„Blackthorne oszacował znos statku.

–Trzymając się tego kursu nie dotrzemy do zatoki – powie dział. – Zniesie nas o milę albo więcej od tego cypla.

–Chcę utrzymać kurs pod wiatr. A potem, w najstosowniejszej chwili, spróbujemy dotrzeć do brzegu. Umiesz pływać?

–Tak.

–To dobrze. Ja się nie nauczyłem. To zbyt niebezpieczne. Jeżeli tonać, to raz-dwa, a nie powoli, no nie? – Rodrigues mimo woli zadrżał. – Błogosławiona Dziewico Maryjo, nie daj mi spocząć w mokrym grobie! Ta świńska, gamracka galera wpłynie do zatoki! Musi. Czuję przez skórę, że jeżeli się obrócimy i, posztormujemy rufą, zatoniemy. Jesteśmy za bardzo obciążeni.

–To odciąż ją. Wyrzuć ładunek za rufę.

–Samica Toda nigdy by się na to nie zgodził. Musi dopłynąć albo z tym ładunkiem, albo wcale.

–Zażądaj tego od niego.

–Matko Jedyna, głuchy jesteś? Przecież ci powiedziałem. Wiem, że się na to nie zgodzi!

Rodrigues zbliżył się do sternika i upewnił, czy Japończycy dobrze zrozumieli, że mają nadal płynąć pod wiatr.

–Pilnuj ich, Ingeles! Kierujesz galerą – rzekł.

Odwiązał linę ratunkową i pewnie zszedł po schodni. Wioślarze obserwowali go bacznie, kiedy kroczył w stronę nadbudówki dziobowej do kapitana, żeby gestami i słowami oznajmić mu swoje plany. Na pokład wyszli Hiro-matsu i Yabu. Kapitan galery wyłożył im plan. Obaj byli bladzi, ale zachowywali niewzruszoną postawę i żaden nie wymiotował. Poprzez deszcz spojrzeli w stronę brzegu, wzruszyli ramionami i ponownie zeszli pod pokład.

Blackthorne wpatrzył się w zatokę po lewej burcie. Wiedział, że plan Rodriguesa jest niebezpieczny. Musieli poczekać prawie do ostatniej chwili i tuż przed dopłynięciem do cypla nagle odpaść od wiatru, obrócić się ponownie na północny zachód i wiosłując z całych sił ratować życie. Żagiel był nieprzydatny. Mogli liczyć wyłącznie na siebie. Południowa strona zatoki była najeżona skałami i pełna raf. Gdyby źle wybrali moment, to zostaliby zniesieni w tamtą stronę i by się rozbili.

–Chodź na rufę, Ingeles! Portugalczyk przyzwał Blackthorne’a gestem. Blackthorne poszedł za nim.

–A co powiesz na żagiel? – krzyknął Rodrigues.

–Nie, nie. Bardziej by nam zawadzał, niż pomógł.

–No, to zostań tutaj. Gdyby kapitan stracił rytm albo zginął, zastąp go. Dobrze?

–Ja jeszcze nie pływałem na czymś takim... nie znam zasad wiosłowania. Ale spróbuję.

Rodrigues spojrzął w stronę brzegu. Cypel wyłaniał się i znikał w zacinającym deszczu. Już niedługo trzeba będzie podjąć próbę dotarcia tam. Fale nieustannie rosły i z ich grzbietów zaczęły już pierzchać baranki. Przesmyk pomiędzy cyplami wyglądał groźnie. Będzie bardzo trudno, pomyślał. A potem splunął i podjął decyzję.

–Idź na rufę, Ingeles – powiedział. – Weź ster. Na mój znak skieruj galerę na zachodnio-północny zachód, gdzie ten cypel. Widzisz go?

–Tak.

–Nie zwlekaj z tym i trzymaj kurs. Miej na mnie baczenie. Ten znak oznacza „lewo na burtę”, ten „prawo na burtę”, a ten „tak trzymać”.

–Dobrze.

–Na Świętą Dziewicę, zaczekasz na moje rozkazy i wypełnisz je?

–Chcesz, żebym przejął ster czy nie?

Rodrigues wiedział, że nie ma wyjścia.

–Muszę ci ufać, Ingeles, a robię to bardzo niechętnie. Idź na rufę – powiedział. Spostrzegł, że Blackthorne odgadł jego myśli. Po chwili zmienił więc zamiary i zawołał za odchodzącym Anglikiem: – Ej, ty zarozumiały piracie! Szczęść Boże!

Blackthorne odwrócił się, wdzięczny mu za to)

–I tobie też, Hiszpanie! Sram na wszystkich Hiszpanów, niech żyje Portugalia!

–Tak trzymać!

Wpłynęli do zatoki, ale bez Rodriguesa. Zmyło go za burtę, kiedy pękła jego lina ratunkowa.

Galera była już niemal całkiem bezpieczna, kiedy z północy nadpłynęła ogromna fala i chociaż już nabrali mnóstwo wody – utraciwszy wcześniej japońskiego kapitana – to znowu zalała ich i zniosła w stronę najeżonego skałami brzegu.

Blackthorne widział, jak Rodrigues zostaje zmyty, i patrzył, jak z trudem chwyta

powietrze i miota się w kipieli. Prąd i burza zepchnęły ich mocno w kierunku południowego wybrzeża zatoki, tak że znaleźli się bardzo blisko skał, i wszyscy na pokładzie zdawali sobie sprawę, że galera jest stracona.

Kiedy Rodriguesa zmyło za burtę,” Blackthorne rzucił mu drewniane koło ratunkowe. Portugalczyk, rozpaczliwie młóćąc wodę, chciał je chwycić, ale morze porwało koło poza zasięg jego rąk. Chciał też złapać wiosło, które w niego uderzyło, Blackthorne dojrzał jeszcze przez siekący deszcz jego oraz złamane wiosło, a na wprost przybrzeżne fale wściekle, bijące w udręczony brzeg. Mógłby zanurkować za burtę, podpłynąć do Rodriguesa i być może uratować go, być może nie było na to za późno, jednakże jego pierwszym i ostatnim obowiązkiem była opieka nad statkiem, a statek znajdował się w niebezpieczeństwie.

Tak więc przestał zważać na Rodriguesa.

Fala zabrała ze sobą kilku wioślarzy, inni zaś starali się ze wszystkich sił ich zastąpić. Jeden z oficerów pokładowych odważnie odwiązał swoją linę ratunkową, skoczył na pokład dziobowy, zabezpieczył się i od nowa zaczął wystukiwać rytm na bębnie. Zapiewało znowu podjął zaśpiew, a wioślarze próbowali opanować chaos i przywrócić porządek.

–Isogiiiiii! – krzyknął Blackthorne, przypominając sobie to słowo. Naparł całym ciężarem ciała na ster, żeby ustawić galerę dziobem bliżej wiatru, a potem podszedł do balustrady i powtarzając „raz-dwa, raz-dwa” starał się zmobilizować załogę.

–No dalej, dranie, raaaz!!!

Galera trafiła na skały, a przynajmniej widać je było tuż za rufą i po lewej burcie. Wiosła zanurzyły się, pchnęły wodę, ale statek i tak ani drgnął, a wiatr i prąd brały nad nim górę, dostrzegalnie spychając go w tył.

–Dalej, wiosłujcie, dranie! – krzyknął znowu Blackthorne, ręką odmierzając rytm.

Wioślarzy natchnęła siła jego woli.

Zrazu mocowali się z morzem jak równy z równym. A później pokonali je.

Statek odsunął się od skał. Blackthorne skierował się ku zawietrznemu brzegowi zatoki. Wkrótce wpłynęli na spokojniejsze wody. Wichura hulała nadal, ale górzę. W dalszym ciągu szalała burza, ale dalej, na pełnym morzu.

–Rzucić prawą kotwicę!

Nikt nie zrozumiał jego słów, ale wszyscy żeglarze zorientowali się, czego żąda. Pośpieszyli wypełnić rozkaz. Kotwica z pluskiem wpadła do wody przy burcie. Chcąc

wybadać twardość dna, Blackthorne pozwolił galerze odpaść nieco od wiatru, a oficer pokładowy i wiosłarze pojęli ten manewr.

–Rzucić lewą kotwicę!

Kiedy galera była już bezpieczna, Blackthorne spojrzął za burtę.

Przez ulewę ledwo było widać dzikie wybrzeże. Ocenił morze i rozważył możliwości.

Ruta Portugalczyka jest pod pokładem, pomyślał wyczerpany. Mogę dopłynąć tą galerą do Osaki. Mogę nią dopłynąć z powrotem do Anjiro. Czy jednak miałem prawo złamać jego rozkazy? Nie złamałem rozkazów Rodriguesa. Przecież byłem na rufówce. Sam.

–Kierunek południe! – krzyknął mu Rodrigues, kiedy wiatr i prąd zniosły ich niebezpiecznie blisko skał. – Zawróć i sztormuj rufą!

–Nie! – odkrzyknął na to wierząc, że ich jedyną szansą jest wpłynąć do zatoki i że na otwartym morzu utoną. – Dopłyniemy!

–Zabijesz nas wszystkich, skaż cię Bóg!

Ale nie zabiłem nikogo, pomyślał Blackthorne. Wiedzieliśmy obaj, Rodrigues, ty i ja, że decyzja należy do mnie... gdyby zaszła konieczność jej podjęcia. Miałem rację. Statek jest bezpieczny. I tylko to się liczy.

Przywołał gestem oficera, który pośpieszył doń z pokładu dziobowego. Obaj sternicy opadli z sił, bo o mało nie wyrwało im rąk i nóg ze stawów. Wiosłarze przypominali umarłych, wisząc bezwładnie na wiosłach. Pozostali wywlekli się spod pokładu, żeby pomóc. Mocno poturbowanym Hiro-matsu i Yabu dopomóżono wejść na górę, ale natychmiast po znalezieniu się na pokładzie obaj daimyō stanęli wyprostowani.

–Hai, Anjin-san? – spytał oficer pokładowy. Był w średnim wieku, twarz miał szeroką, ogorzałą i mocne, białe zęby. Na policzku siniak od uderzenia w burtę, na którą cisnęło go morze.

–Doskonale się spisałeś – pochwalił go Blackthorne, nie przejmując się tym, że tamten go nie rozumie. Wiedział bowiem, że ton jego głosu i uśmiech mówią same za siebie. – Tak jest, doskonale. Odtąd jesteś kapitan-san. Wakarimasu? Ty! Kapitan-san!

Japończyk wpatrzył się w niego z otwartymi ustami, a potem, pragnąc ukryć zaskoczenie i zadowolenie, uklonił się. – Wakarimasu, Anjin-san. Hai. Arigato goziemashita.

–Posłuchaj, kapitan-san – rzekł Blackthorne. – Daj swoim ludziom jeść i pić. Gorącego. Przenocujemy tutaj.

Na migi pomógł mu zrozumieć, co powiedział.

Świeżo mianowany kapitan natychmiast odwrócił się i z nowo pozyskaną władczością wydał komendę. Wioślarze od razu pobiegli wypełnić jego rozkaz. Nowy kapitan z dumą obejrzał się na rufówkę. Szkoda, że nie znam twojej barbarzyńskiej mowy, pomyślał uszczęśliwiony. Bo wtedy mógłbym podziękować ci za uratowanie statku, Anjin-san, a wraz z nim życia naszego pana Hiro-matsu. Twoje magiczne moce tchnęły w nas nowe siły. Bez twoich czarów utonęlibyśmy. Możesz sobie być piratem, ale jesteś wspaniałym żeglarzem i dopóki będziesz pilotem, będę ci posłuszny na śmierć i życie. Nie jestem godny być kapitanem, ale postaram się zasłużyć na twoje zaufanie.

–Co mam zrobić teraz? – spytał.

Blackthorne patrzył za burtę. Dna nie było widać. Ocenił pozycję statku, a kiedy upewnił się, że kotwice się zaryły, morze zaś nie jest groźne, polecił:

–Spuście łódkę. Z dobrym wioślarzem.

Znowu gestami i słowami udało mu się z nimi porozumieć.

Natychmiast spuszczone na wodę łódź wraz z wioślarzem.

Blackthorne podszedł do nadburcia i zamierzał zejść, kiedy powstrzymał go szorstki głos. Obejrzał się. Zobaczył Hiro-matsu, a obok niego Yabu.

Starzec miał mocno posiniaczone ramiona i okolicę szyi, ale nadal trzymał w ręku swój miecz. Yabu krwawił z nosa, twarz miał poobijaną, kimono poplamione i starał się zatamować krew skrawkiem materiału. Obaj stali niezwruszenie, najwyraźniej niepomni obrażeń i lodowatego wiatru.

Blackthorne uklonił się im grzecznie.

–Hai, Toda-sama? – spytał.

Znowu usłyszał szorstkie słowa, a potem starzec wskazał mieczem łódkę i pokręcił głową.

–Tam jest Rodrigu-san! – Blackthorne wskazał w odpowiedzi na południowy brzeg zatoki. – Popłynę i poszukam go!

–Iye! – Hiro-matsu jeszcze raz potrząsnął głową i po chwili znowu się odezwał,

wyraźnie zabraniając mu płynąć ze względu na niebezpieczeństwo.

–Jestem Anjin-san tej gamrackiej galery i jeżeli zechcę popłynąć na brzeg, to popłynę. – Blackthorne mówił to bardzo uprzejmym, ale stanowczym tonem i nie ulegało wątpliwości, co zamierza. – Wiem, że ta łódka nie wytrzyma na takim morzu. Hai! Ale popłynę na brzeg tam... koło tego cypla. Widzisz ten cypel, Hiro-matsu-sama? Przy tej niskiej skale? Chcę opłynąć ten cypel. Nie spieszno mi do śmierci i nie mam dokąd uciec. Chcę odzyskać ciało Rodrigu-sana.

Przerzucił nogę przez nadburcie. Ponieważ miecz Japończyka wysunął się odrobinę z pochwy, Blackthorne znieruchomiał. Ale patrzył prosto, a minę miał zdecydowaną.

Hiro-matsu był w kłopotcie. Rozumiał, że pirat pragnie odnaleźć ciało Rodrigu, ale dotarcie w tamto miejsce wiązało się z niebezpieczeństwem, a pan Toranaga rozkazał przywieźć barbarzyńcę całego i zdrowego, tak więc musiał być dostarczony cały i zdrow. Nie ulegało zaś najmniejszej wątpliwości, że ten człowiek zamierza popłynąć.

Widział, jak podczas nawałnicy niczym morski kami, nieustraszenie, będąc w swoim żywiole i należąc do tej burzy, stoi na kołyszącym się pokładzie, i pomyślał wówczas posępnie, że najlepiej sprowadzić jego i resztę podobnych mu barbarzyńców na ląd, gdzie można sobie z nimi poradzić. Na morzu bowiem człowiek jest w ich mocy.

Zauważył zniecierpliwienie pirata. Jacy oni skorzy do obrazy, pomyślał. Mimo to winien ci jestem podziękowanie. Wszyscy mówią, że tylko dzięki tobie statek wpłynął do zatoki, że anjin Rodrigu stracił zimną krew i chciał odpłynąć od lądu, ale tyś utrzymał kurs. Tak. Gdybyśmy wydostali się na morze, niechybnie utonęlibyśmy, a wówczas zawiódłbym mojego pana. O Buddo” uchron mnie od tego!

Bolały go wszystkie stawy, a hemoroidy piekły. Był zmęczony trudami zachowywania stoickiej postawy wobec swoich samurajów, Yabu, załogi statku, a nawet tego barbarzyńcy. O Buddo, jestem taki znużony, pomyślał. Z przyjemnością poleżałbym sobie w wannie, mocząc się i mocząc, i przez jeden dzień odpoczął od bólu. Tylko jeden dzień. Dość tych głupich babskich myśli! Znosisz ból od blisko sześćdziesięciu lat. Cóż znaczy ból dla mężczyzny? To zaszczyt. Miarą człowieka jest ukrywanie cierpień. Dziękuj Buddzie, że nadal żyjesz i że możesz chronić swojego pana, podczas gdy już ze sto razy powinienesz być stracić życie. Naprawdę, Buddzie wielkie za to dzięki.

Ale ja nienawidzę morza. Nienawidzę zimna. Nienawidzę bólu.

–Zostań, Anjin-san – rozkazał, dla jasności wskazując na pochwę miecza, ponuro ubawiony lodowatymi błyskami w oczach tego człowieka. Upewniwszy się, że barbarzyńca go zrozumiał, spojrział na oficera pokładowego. – Gdzie jesteście? – spytał. – Czyje to lenno?

–Nie wiemy, wielmożny panie. Jesteśmy chyba gdzieś w prowincji Ise. Możemy posłać kogoś na brzeg do najbliższej wioski.

–Potrafisz dopłynąć do Osaki?.

–Jeśli tylko będziemy się trzymać brzegu, wielmożny panie, a po nadto płynąć bardzo wolno i ostrożnie. Nie znam tych wód i żadną miarą nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa. Brakuje mi wiedzy, a na pokładzie nie ma nikogo, kto by ją posiadał, z wyjątkiem tego pilota. Gdyby to ode mnie zależało, doradzałbym ci jazdę lądem. Moglibyśmy zdobyć dla ciebie konie albo palankiny.

Hiro-matsu gniewnie potrząsnął głową. Podróż lądem nie wchodziła w rachubę. Trwałaby za długo – trasa wiodła przez góry, a dróg było niewiele – w dodatku musieliby przejechać przez liczne ziemie, którymi władali sprzymierzeńcy Ishido, jego wroga. Do tych niebezpieczeństw dochodziło też mnóstwo band zbójceckich, które trapiły te szlaki. To zaś oznaczało, że byłby zmuszony wziąć ze sobą wszystkich ludzi. Na pewno musieliby przebijać sobie drogę, walcząc z bandytami, ale nie zdołaliby tego dokonać, gdyby Ishido lub jego sprzymierzeńcy postanowili ich powstrzymać. To wszystko spowodowałoby jeszcze większe opóźnienie, a miał rozkaz dostarczyć ładunek statku, barbarzyńcę oraz Yabu szybko i bez szwanku.

–Gdybyśmy popłynęli przy brzegu, to ile by to nam zajęło czasu? – spytał.

–Nie wiem, wielmożny panie. Cztery dni, pięć, a może więcej. Ja sam czułbym się bardzo niepewnie... bardzo mi przykro, ale nie jestem kapitanem.

–Znaczy to, że muszę pozyskać tego barbarzyńcę do współpracy, pomyślał Hiro-matsu. Żeby zapobiec jego popłynięciu na brzeg, mu siałbym go związać. A kto wie, czy związany zechce ze mną współ działać., Jak długo będziemy musieli tu zostać?

–Pilot powiedział, że przez tę noc.

–Czy do tego czasu burza minie?

–Powinna, wielmożny panie, ale tego nigdy nie wiadomo.

Hiro-matsu uważnie przyjrzał się górzystemu brzegowi, a potem pilotowi, nie mogąc się zdecydować.

–Czy mogę coś zaproponować, Hiro-matsu-sama? – odezwał się Yabu.

–Tak, tak, oczywiście – odparł mu z rozdrażnieniem.

–Skoro, jak z tego wynika, potrzebujemy współpracy tego pirata w dopłynięciu do Osaki, czemu nie puścić go na brzeg, ale pod okiem samurajów, i nakazać im powrót

przed zmrokiem. Co do jazdy lądem, zgadzam się, że byłaby zbyt niebezpieczna. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby ci się coś przytrafiło. Kiedy tylko burza przejdzie, bezpieczniejszy będziesz na statku i o wiele szybciej znajdziesz się w Osace, ne? Z pewnością jutro przed zachodem słońca.

Hiro-matsu z ociąganiem skinął głową.

–Dobrze – rzekł i przywołał ręką samuraja. – Takatashi-san! Weźmiesz sześciu ludzi i popłyniecie z pilotem. Jeżeli znajdziecie ciało Portugalczyka, przywieziecie je. Ale jeśli temu barbarzyńcy spadnie z głowy choć jeden włos, ty i twoi ludzie natychmiast popełnicie seppuku.

–Tak, panie.

–Za, twoim pozwoleniem, Hiro-matsu-san, ja poprowadzę ten oddział na brzeg – zaproponował Yabu. – Gdybyśmy zjawili się w Osace bez tego pirata, byłoby mi tak bardzo wstyd, że tak czy owak czułbym się w obowiązku odebrać sobie życie. Niech będę miał zaszczyt wypełnić twoje rozkazy...

Hiro-matsu skinął głową, zaskoczony, że Yabu tak się naraża. Zszedł pod pokład.

Kiedy Blackthorne zrozumiał, że Yabu płynie z nim na brzeg, puls mu przyspieszył. Nie zapomniałem o Pieterzoonie, mojej załodze i o tej piwnicy, ani o krzykach, ani o Omim, ani o niczym. Strzeż się mnie, podlec! – rzekł w duchu.

9.

Na łądzie znaleźli się szybko. Blackthorne miał zamiar iść na czele, ale Yabu przywłaszczył sobie tę pozycję i narzucił wartkie tempo, tak że Anglik z trudem dotrzymywał mu kroku. Sześciu pozostałych samurajów obserwowało go czujnym wzrokiem. Nie mam dokąd uciec, głupcy, myślał, nie rozumiejąc ich zainteresowania, gdy oczami odruchowo przeszukiwał zatokę, wypatrując podwodnych skał bądź ukrytych raf, oceniając jej położenie i rejestrując w myślach szczegóły do utrwalenia w przyszłości.

Z początku szli kamienistym brzegiem, potem zaś, po krótkiej wspinaczce po wygładzonych przez morze skałach, dostali się na ścieżkę biegnącą skrajem urwiska, która pięła się niebezpiecznie wokół cypla w kierunku południowym. Deszcz wprawdzie ustał, ale nie wichura. Im bliżej byli wysuniętego w morze języka łądu, tym wyższe były bryzgi przybrzeżnych fal, rozbijających się o skały w dole. Wkrótce przemokli.

Chociaż Blackthorne'owi było strasznie zimno, na Yabu i pozostałych Japończykach, którzy swoje cienkie kimona zatknęli niedbale za pasy, wilgoć i ziąb najwyraźniej nie robiły wrażenia. Rodrigues z pewnością nie kłamał, pomyślał, czując nawrót lęku. Japończycy są z innej gliny niż my. Nie czują chłodu, głodu, niedostatku ani ran tak jak my. Są bliżsi zwierząt, a nerwy mają w porównaniu z naszymi stępione.

Ponad ich głowami piętrzyła się dwustustopowa skała. Brzeg był pięćdziesiąt stóp pod nimi. Za ich plecami i wszędzie dookoła wznosiły się góry, a nad całą zatoką nie było choćby jednego domu czy chaty. To jednak nie dziwiło, gdyż brakowało tu miejsca na pola, kamieniste wybrzeże bardzo prędko przechodziło w skaliste podwodzie, to zaś w granitową górę z drzewami porastającymi wyższe partie jej zboczy.

Ścieżka opadała i wznosiła się, biegnąc wzdłuż skalnego urwiska, bardzo niebezpieczna, o niepewnym podłożu. Posuwając się z trudem pod wiatr, pochylony Blackthorne zauważył, że Yabu ma silne, muskularne nogi. Poślizgnij się, ty kurewski bękarcie, życzył mu w myślach. Poślizgnij się, roztrzaskaj się w drobny mak na tych skałach. Krzyczałbyś? Co by cię zmusiło do krzyku?

Z trudem oderwał wzrok od Yabu i znów zaczął lustrować podwodzie. Każdą szczelinę, rozpadlinę, rynnę. Wiatr, który spieniał wodę, wiał gwałtownie, porywając mu z twarzy łzy. Morze napływało i odpływało, wirujące i skłębione. Wiedział, że nadzieje na odnalezienie Rodriguesa są bardzo niewielkie, że za dużo tu grot i ukrytych miejsc, których nie uda się zbadać. Ale przyplynał na brzeg, żeby spróbować. Winien to był Rodriguesowi. Wszyscy piloci modlili się bezradnie o

śmierć na brzegu i pogrzeb na brzegu. Wszyscy oni oglądali zbyt wiele wzdętych morską wodą zwłok, zwłok nadjeżdżonych, okaleczonych przez kraby.

Obeszli cypel i z przyjemnością zatrzymali się po jego zawietrznej stronie. Iść dalej nie było po co. Jeżeli ciało Portugalczyka nie znajdowało się po nawietrznej stronie góry, to albo leżało gdzieś w ukryciu, albo wchłonęła je woda, albo zostało uniesione w morze, na głębinię.

Pół mili od nich, na pokrytym białą pianą brzegu przycupnęła rybacka wioska. Yabu dał znak dwóm samurajom. Natychmiast się uklonili i susami pobiegli w jej stronę. Yabu otarł twarz z deszczu, spojrział na Blackthorne'a i dał znak do odwrotu. Blackthorne skinął głową i ruszyli, ponownie z Yabu na czele. Widząc, że pozostali samuraje nie spuszczają go z oka, Blackthorne znowu pomyślał, że są bardzo głupi.

A potem nagle, kiedy znajdowali się w połowie powrotnej drogi, dostrzegli Rodriguesa.

Jego ciało utkwilo w szczelinie pomiędzy dwiema wielkimi skałami, powyżej poziomu przyływu, choć częściowo omywane przez fale. Jedną rękę miał odrzuconą bezwładnie, w przód. Drugą nadal zaciskał na ułamanym wiosle, które poruszało się lekko w rytm przyływającej i cofającej się, wody. Właśnie ów ruch przyciągnął uwagę Blackthorne'a, kiedy pochylony z trudem szedł pod wiatr za Yabu.

Jedyna droga na dół wiodła po niewysokim urwisku. Trzeba było zejść zaledwie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp, ale ściana opadała stromo i prawie nie było – gdzie postawić nogi.

No a co z prądami wody? – zadał sobie pytanie Blackthorne. Jest przyływ, a nie odpływ. Odpływ uniósłby Rodriguesa z powrotem w morze. Chryste, tam na dole marnie to wygląda. Co robić?

Kiedy zbliżył się do krawędzi urwiska, Yabu natychmiast ruszył do niego kręcąc głową, a pozostali samuraje otoczyli go.

–Boże Świąty, chcę się tylko lepiej przyjrzeć – zaprotestował. – Nie próbuję uciec! Dokąd miałbym uciec, do diaska!

Cofnął się kawałek i spojrział w dół. Podążyli oczami za jego wzrokiem i zaczęli rozmawiać, a mówił przeważnie Yabu.

Nie ma szans, orzekł. To zbyt niebezpieczne. Rano wrócimy z linami. Jeżeli tu zostanie, to zostanie i pochowam go na brzegu. Niechętnie odwrócił się i w tej samej chwili zaczął się obsuwać, bo ukruszyła się pod nim krawędź skały. Yabu i samuraje natychmiast chwycili go, wciągnęli i od razu zrozumieli, że obchodzi ich wyłącznie jego bezpieczeństwo.

Oni tylko próbują mnie ochronić! – pomyślał. Dlaczego zależy im na moim bezpieczeństwie? Z powodu Tora... jakże on się nazywa? Toranagi? Z jego powodu? Tak, a być może także dlatego, że na pokładzie tej galery nie ma nikogo, kto by nią pokierował. Czy to dlatego pozwolili mi zejść na brzeg? Dlatego mi ustąpili? Tak, na pewno. A więc teraz mam władzę nad tym statkiem, nad tym starym daimyō i nad tym łotrem. Jak ją wykorzystać?

Uspokoił się, podziękował im i spuścił wzrok w dół.

–Musimy go zabrać, Yabu-san – powiedział. – Hai! Można tam zejść tylko tędy. Po tej skale. Wniosę go na górę, ja, Anjin-san! – Znowu zrobił ruch, jakby chciał zejść na dół, i znowu go powstrzymali, na co rzekł z udanym zatroskaniem: – Musimy zabrać Rodrigu-san. Popatrzcie! Nie ma wiele czasu. Ściemnia się.

–Iye, Anjin-san – odparł Yabu.

Blackthorne przerastał go o głowę.

–Jeżeli nie pozwolisz mi zejść, Yabu-san, to wyślij któregoś ze swoich ludzi. Albo zejdź sam. Ty!

Wiatr hulał, zawodząc na ścianie urwiska. Blackthorne zobaczył, że Yabu spogląda w dół, ocenia możliwość zejścia oraz zapadający zmierzch, i zorientował się, że tamten chwycił przynętę. Wpadłeś, draniu, wpadłeś przez własną próżność. Jeżeli zaczniesz schodzić, to się poranisz. Ale nie zabij się, proszę, tylko połam sobie nogi albo kostki. A potem się utop.

Jeden z samurajów zaczął schodzić w dół, ale Yabu nakazał mu zawrócić.

–Wracaj na statek. Natychmiast przywieź liny – rozkazał.

Samuraj oddalił się biegiem., Yabu zrzucił z nóg rzemienne pantofle, wyciągnął zza pasa miecze i ułożył je bezpiecznie pod osłoną skały.

–Pilnujcie ich i barbarzyńcy – powiedział. – Jeżeli cokolwiek przydarzy się im albo jemu, to posadzę was na waszych własnych mieczach.

–Proszę, pozwól mi zejść, Yabu-sama – rzekł Takatashi. – Jeżeli się poranisz albo zginiesz, to...

–Myślisz, że tobie uda się to, co mnie się nie uda?

–Nie, wielmożny panie, skądże znowu.

–To dobrze.

–Proszę więc, żebyś zaczekał na liny. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby ci się coś przytrafiło.

Takatashi był niski, krępy i miał gęstą brodę.

A może jednak poczekać na liny, pomyślał Yabu. Tak, to byłoby rozsądne. Ale nie byłoby mądre. Spojrzał na barbarzyńcę i krótko skinął mu głową. Wiedział, że rzucono mu wyzwanie. Spodziewał się go. Liczył na nie. Właśnie dlatego się zgłosiłem, Anjin-san, pomyślał rozbawiony. Doprawdy jesteś bardzo nieskomplikowany. Orni miał rację.

Zdjął przemoczone kimono, w samej opasce na biodrach podszedł do krawędzi skały i wypróbował ją stopami w bawełnianych tabi – skarpetobutach. Lepiej ich nie zdejmować, Orzekł, a jego wola i ciało, zaprawione przez trwające całe życie i obowiązujące wszystkich samurajów ćwiczenia, przewyciężyły dojmujący ziąb. Tabi zapewnią lepszą przyczepność... na jakiś czas. Żeby zejść na dół żywy, musisz zdobyć wszystkich sił i umiejętności, powiedział sobie. Czy warto?

W czasie burzy i próby wpłynięcia do zatoki wyszedł na pokład i nie zauważony przez Blackthorne'a stanął przy wiosłach. Rad wspomógł swoimi siłami wiosłarzy, nie mogąc znieść wyciewów pod pokładem i mdłości, jakie w nim wywoływały. Uznał, że lepiej zginąć na powietrzu niż udusić się na dole.

Kiedy w przenikliwym chłodzie trzymał się wspólnie z innymi, zaczął się przyglądać pilotom. Przekonał się doskonale, że na morzu statek i wszystko na nim podlega władzy tych dwóch ludzi. Piloci byli tu w swoim żywiole, zachowując się na rozkołysanym pokładzie tak swobodnie, jak on jechał na galopującym koniu. Nie dorównywał im żaden Japończyk. Tak umiejętnościami, jak odwagą i znajomością rzeczy. A świadomość tego rozrosła się w jego głowie do wspaniałego pomysłu: wizji nowoczesnych barbarzyńskich statków obsadzonych, pilotowanych, dowodzonych i kierowanych przez samurajów! Jego samurajów!

Gdybym na początek miał trzy barbarzyńskie statki, to z łatwością mógłbym zawiadywać morskimi szlakami pomiędzy Edo i Osaka. Z mojej stolicy w Izu mógłbym zdławić wszelki handel morski albo nań zezwolić. A także miałbym w ręku niemal cały handel ryżem i jedwabiami. Czyż nie rozstrzygałbym o losach Ishido i Toranagi? A przynajmniej, w najgorszym przypadku, był języczkiem u wagi?

Jeszcze żaden daimyō nie zainteresował się władzą na morzu.

Żaden daimyō nie ma statków ani pilotów.

Oprócz mnie.

Ja mam statek – miałem statek – a teraz mogę go odzyskać, jeżeli wykażę się

sprytem. Mam pilota, a więc nauczyciela pilotów, jeżeli wydobanę go od Toranagi. I jeżeli go sobie podporządkuję.

Kiedy tylko stanie się wasalem poddanym mojej woli, będzie szkolił mi ludzi. I zbuduje statki.

Ale jak zrobić z niego prawdziwego wasala? Ta piwnica nie złamała jego ducha.

Najpierw trzeba go oddzielić od innych i trzymać w odosobnieniu – czyż nie tak radził Orni? Później zaś można go nakłonić do grzeczności i nauczyć japońskiego. Tak. Omi jest bardzo mądry. Może aż za bardzo... Omim zajmę się potem. Skupmy się na pilocie. Jak podporządkować sobie barbarzyńcę, tego chrześcijańskiego zjadacza świństw?

Jak to powiedział Omi? „Oni cenią życie. Ich główne bóstwo, Jezus Chrystus, uczy ich kochać się nawzajem i cenić życie”. Czy mógłbym zwrócić mu życie? Ocalić, tak, to byłoby dobre. Czym go sobie zjednać?

Yabu tak dał się ponieść podniecającym myślom, że ledwo zauważał ruchy statku i fal. Przewaliła się nad nim fala. Ujrzał, że zalewa pilota. Ale nie okazał on najmniejszego lęku. To go zdumiało. Jakże ktoś, kto tak potulnie pozwala wrogowi sikać na swoje plecy, żeby tylko uratować życie marnemu poddanemu, jak ktoś taki ma siłę zapomnieć o tej wieczystej zniewadze i, stanąwszy na pokładzie, niczym jakiś legendarny bohater wyzwać do walki bogów morza, żeby uratować tychże wrogów? A potem, kiedy tamta wielka fala porwała Portugalczyka i tonęli, Anjin-san w nadprzyrodzony sposób zaśmiał się śmierci w twarz i wlał w nich siłę, która pozwoliła im odpłynąć od skał.

Nigdy nie pojmem barbarzyńców, pomyślał.

Stojąc na skraju urwiska, obejrzał się po raz ostatni. O Anjin-san, rzekł w duchu, wiem, że według ciebie idę na śmierć, żeś schwytał mnie w pułapkę. Wiem, że ty byś nie zszedł. Przyglądałem ci się uważnie. Ale ja wychowałem się w górach, a u nas, w Japonii, wspinamy się dla zaspokojenia ambicji i dla przyjemności. Dlatego przyjmuję walkę na swoich warunkach, nie na twoich. Podejmuję wyzwanie, a jeżeli zginę, nie szkodzi. Jeżeli jednak to mi się uda, wówczas ty, jako mężczyzna, przekonasz się, że jestem od ciebie lepszy, na postawionych przez ciebie warunkach. A ponadto, jeżeli odzyskasz zwłoki tamtego pilota, staniesz się moim dłużnikiem.

Będziesz moim wasalem, Anjin-san!

Z wielką wprawą zaczął schodzić po ścianie urwiska. W połowie drogi poślizgnął się. Lewą ręką przytrzymał się skalnego występu. Dzięki temu nie spadł i zawisł dyndając pomiędzy życiem a śmiercią. Palcami wczepił się głęboko w skałę czując, jak słabną, więc palce stóp wcisnął w jakąś szparę, ze wszystkich sił starając się zdobyć jeszcze

jeden punkt zaczepienia. Kiedy jego ręka oderwała się od skały, palcami stóp wymacał inną szczelinę, wczepił się w nią, rozpaczliwie przypadając do ściany, i nadal pozbawiony równowagi przywarł do skały, szukając, czego by się chwycić. Ale wówczas oparcie usunęło mu się spod stóp. I chociaż zdołał złapać się innego występu, dziesięć stóp niżej, wisząc na nim przez chwilę, to i on również odpadł pod jego ciężarem. Yabu spadł z wysokości dwudziestu stóp, jakie pozostały do podnóża skały.

Przygotował się do tego najlepiej jak mógł, wylądował na nogach niczym kot, dla osłabienia wstrząsu przekoziołkował po skalistym zboczach i znieruchomiał zdyszany i zwinięty w kłęb. Pokieroszowanymi rękami osłaniał głowę, żeby ją ochronić przed lawiną kamieni, która mogła spaść. Ale nie spadł żaden. Yabu, chcąc otrzeźwieć, potrząsnął głową i wstał. Skręcił sobie kostkę. Ostry ból przeszył mu nogę, dotarł do trzewi i wywołał poty.

Palce nóg i rąk mu krwawiły, ale było to do przewidzenia.

Bólu nie ma, powiedział sobie. Nie będzie cię bolało. Wyprostuj się.

Barbarzyńca patrzy...

Słup wodnego pyłu, który na niego spadł, ulżył jego cierpieniom. Yabu ostrożnie prześlizgnął się po pokrytych wodorostami otoczakach, przecisnął się przez szczelinę pomiędzy skałami i znalazł się przy ciele.

Nagle spostrzegł, że Portugalczyk żyje. Upewnił się co do tego, a potem przysiadł na chwilę obok skały. Czy chcę, żeby żył czy umarł? – zadał sobie pytanie. Jak będzie najlepiej? Spod skały zemknął krab i plusnął do wody. Yabu poczuł, jak morze wżera mu się w rany. Jak lepiej: żywy czy martwy?

Wstał niepewnie i krzyknął:

–Takatashi-san! Ten pilot jeszcze żyje! Jedź na statek i sprowadź nosze i lekarza, jeśli jakiś tam jest!

–Tak, wielmożny panie – dobiegła go zagłuszona przez wiatr odpowiedź Takatashiego, a następnie polecenie, które wydał podwładnym odbiegając: – Pilnujcie barbarzyńcy, niech mu się nic nie stanie!

Yabu spojrział na galerę stojącą bezpiecznie na kotwicach. Samuraj, którego wysłał po liny, był już przy łódkach. Patrzył, jak wskakuje do jednej z nich i jak łódka spływa na wodę. Uśmiechnął się do siebie i zerknął w tył. Blackthorne podszedł do skraju urwiska i wykrzykiwał jakieś ponaglenia.

Co on próbuje mi powiedzieć? – zadał sobie pytanie. Pilot pokazywał na morze, ale

nic mu to nie powiedziało. Było wzburzone i gwałtowne, ale wyglądało tak samo jak przedtem.

W końcu zrezygnował z prób zrozumienia, o co chodzi barbarzyńcy, i skupił się na Rodriguesie. Z trudem wciągnął go na skały, poza zasięg fal. Portugalczyk oddychał nierówno, ale serce biło mu mocno. Był silnie poturbowany. Przez skórę lewej łydki sterczała mu rozłupana kość.

Prawe ramię miał chyba zwichnięte. Yabu poszukał wzrokiem krwi z ran, ale nie ciekła. Pomyślał, że jeżeli Portugalczyk nie ma obrażeń wewnętrznych, to być może przeżyje...

Był ranny zbyt wiele razy i widział zbyt wielu konających i rannych, żeby nabyć pewnego doświadczenia w stawianiu diagnoz. Oceniał, że jeżeli Rodrigues będzie trzymany w cieple, da mu się sake i mocnych ziół, a ponadto zaaplikuje dużo gorących kąpiel, to przeżyje. Może nie będzie chodził, ale przeżyje. Tak, zdecydował, chcę, żeby ten człowiek żył. Nieważne, jeżeli nie będzie chodził. Może to i lepiej. Będę miał zapasowego pilota. Z pewnością jest mi winien ocalenie życia. Jeżeli pirat nie będzie ze mną współdziałał, to być może wykorzystam tego Portugalczyka. Czy opłacałoby mi się udać, że przechodzę na chrześcijaństwo? Czy przekonałbym ich tym do siebie?

Co zrobiłby Orni?

Mądry jest ten Omi. Za mądry. Dostrzega za wiele i za prędko. A skoro sięga wyobraźnią tak daleko, to na pewno zdaje sobie sprawę, że gdyby mnie zabrakło, wtedy na czele naszego rodu stanąłby jego ojciec – mój syn jest bowiem za mało doświadczony, by się ostał – a po nim sam Omi. Ne?

Co z nim zrobić?

A gdyby go tak podarować temu barbarzyńcy? Dla zabawy.

Co by było?

Nad jego głową rozległy się zaniepokojone okrzyki. I wówczas dotarło do niego, co mu pokazywał barbarzyńca. Przyptyw! Szybko nadchodził przyptyw. Już dotykał skały. Yabu zerwał się i skrzywił, bo zakłuło go w kostce. Drogę ucieczki wzdłuż brzegu odcinało morze. Zobaczył, że ślad na skale wskazujący poziom wód przyptywu jest powyżej wzrostu człowieka.

Spojrzał na łódkę. Była już blisko galery. Biegający na podwodziu Takatashi nadal utrzymywał dobre tempo. Yabu orzekł, że liny nie dotrą na czas.

Wzrokiem pilnie badał okolicę. Nie było jak wdrapać się na urwisko. Żadna skała nie

zapewniała schronienia. Żadna grotka. Z morza sterczały skały, ale nie było sposobu do nich dotrzeć. Pływać nie umiał, a w pobliżu nic nie nadawało się na tratwę.

Samuraje na górze przyglądali się mu. Barbarzyńca wskazał skały wystające z morza i na migi pokazał mu, żeby tam podpłynął, ale Yabu w odpowiedzi pokręcił głową. Jeszcze raz starannie zbadał okolicę. Nie znalazł niczego.'

– Nie ma ratunku, pomyślał. Czeka cię śmierć. Przygotuj się do niej.

To karma, rzekł w duchu i odwrócił się do nich, sadowiac wygodniej, rad z ogromnej jasności myśli, jaką uzyskał. Ostatni dzień, ostatnia fala, ostatnie światło, ostatnia radość, ostatnie wszystko. Jakże piękne jest morze, niebo, zimno, sól. Zaczął myśleć o ostatniej wierszowanej inkantacji, którą wedle zwyczaju powinien był ułożyć. Czuł się wybrańcem losu. Miał przecież czas jasno pomyśleć.

– Słuchaj, ty nieprawo synu dziewczki! – krzyknął do niego Blackthorne. – Znajdź jakąś półkę... tam musi być jakaś półka!

Samuraje zastępowali mu drogę, spoglądając na niego jak na wariata. Dla nich było oczywiste, że nie ma ratunku i że Yabu najzwyczajniej w świecie sposobi się do błogiej śmierci, podobnie jak zrobiliby to oni, będąc na jego miejscu. Dlatego mieli za złe Blackthorne'owi jego szaleńcze miotanie się, gdyż tak samo, jak wiedzieli, miałby mu to za złe Yabu.

– Patrzcie tam, wszyscy. Może tam jest jakaś półka!

Jeden z samurajów podszedł do brzegu urwiska, spojrzął w dół, wzruszył ramionami i powiedział coś do towarzyszy, którzy również wzruszyli ramionami. Ilekroć Blackthorne próbował podejść do przepaści, żeby poszukać ratunku, powstrzymywali go. Z łatwością mógłby któregoś odepchnąć i zabić, kusiło go zresztą, by to zrobić. Ale rozumiał ich i ich obawy. Wymyśl coś, jak pomóc temu łotrowi, powiedział sobie. Musisz go ocalić, żeby uratować Rodriguesa.

– Hej, ty parszywy, diabła warty, sakramencki japoński zasrańcu!

Hej, Kasigi Yabu! Gdzie twoje cojones?! Nie poddawaj się! Poddają się tylko tchórze! Jesteś mężczyzną czy owcą?!

Ale Yabu nie zwracał na niego uwagi. W dalszym ciągu tkwił nieruchomy jak skała, na której siedział.

Blackthorne wziął kamień i rzucił nim w niego. Kamień nie zauważony wpadł do wody, a jeden z samurajów gniewnie krzyknął na Anglika. Blackthorne pomyślał, że lada moment rzucą się na niego i go zwiążą. Nie mieli liny... Lina! Zdobyć linę! Da się ją z czegoś zrobić?

Jego wzrok padł na kimono Yabu. Zaczął je drzeć na pasy, próbując ich wytrzymałość. Jedwab był bardzo mocny.

–Na co czekacie?! – rzekł do samurajów, zdejmując z siebie koszulę. – Zróbmy linę. Hai? Zrozumieli. Prędko rozwiązali pasy, zdjęli kimona i poszli w jego ślady. Zaczęli związywać kawałki kimon i pasy.

Po związaniu liny Blackthorne ostrożnie położył się na ziemi i cał po calu przysunął do krawędzi skały, dla bezpieczeństwa poleciwszy dwóm samurajom, żeby go trzymali za kostki nóg. Nie potrzebował pomocy, chciał ich jednak uspokoić.

Wystawił głowę najdalej, jak się ośmielił, świadom ich obaw. A potem zaczął przeszukiwać oczami okolicę, tak jak się przeszukuje morze. Kawałek po kawałku. Wykorzystując wszelkie możliwości wzroku, ale przede wszystkim postrzeganie kątem oka.

Pełny łuk.

Jeszcze jeden...

Nic.

I jeszcze raz.

A to co? Tuż nad linią wód przyływu. Czy to szczelina w skale?

A może cień?', Blackthorne zmienił ułożenie ciała, aż nazbyt dobrze świadom, że morze już prawie zatopiło półkę, na której siedział Yabu, a także Większość skał pomiędzy nią a podnóżem urwiska. Teraz widział już wszystko dokładniej, więc wskazał ręką.

–Tam! Co to jest?

Jeden z samurajów opadł na czworaki i podążył wzrokiem w, kierunku, w którym wskazywał wyciągnięty palec Blackthorne'a, ale nie dostrzegł nic.

–Tam! Gzy to nie półka?

Ze swoich rąk Blackthorne utworzył półkę, z dwóch palców człowieka, postawił go na tej półce, trzeci palec niczym podłużny toból zarzucił mu na ramię, tak że człowiek ów stał na półce – tamtej skalnej półce! – z drugim człowiekiem na ramieniu.

–Prędko! Isogi! Wytłumaczcie to mu, Kasigi Yabu-samie! Wakarimasu ka?

Samuraj zerwał się na nogi, przemówił prędko do pozostałych i oni również spojrzeli. Teraz już wszyscy dostrzegli półkę. I zaczęli krzyczeć. Ale Yabu się nie

poruszył. Przypominał kamień. Krzyczeli dalej. Również Blackthorne wspomógł ich okrzykami, ale efekt był taki, jakby w ogóle się nie odzywali.

Któryś powiedział parę słów do reszty, na co skinęli głowami, ukłonili się mówiącemu, a on się im odklonił. A potem wrzasnąwszy raptownie. „Bansaiiiii!”, rzucił się ze skały i spadł, ginąc na miejscu. Yabu raptownie otrząsnął się z transu, obrócił się i wstał.

Drugi samuraj krzyknął i wskazał ręką, ale Blackthorne nie usłyszał nic i nie zobaczył niczego oprócz roztrzaskanego ciała, które leżało na dole, już zabierane przez morze. Co z nich za ludzie? – pomyślał bezradnie. Czy był to akt odwagi, czy też najzwyczajniejsze szaleństwo? Ten Japończyk zabił się z rozmysłem, mając niewielką nadzieję, że zwróci na siebie uwagę drugiego Japończyka, który zrezygnował z życia. To nie ma sensu! Oni zachowują się bez sensu.

Ujrzał, że Yabu chwieje się na nogach. Oczekiwał, że poszuka ratunku i zostawi Rodriguesa. Ja bym tak postąpił, pomyślał. Ale czy na pewno? Nie wiem. Na przemian czołgając się i sunąc Yabu ciągnął nieprzytomnego człowieka przez zalewane falami płycizny u podnóża skały. A potem odnalazł półkę. Z ogromnym trudem wepchnął na nią Rodriguesa, omal go przy tym nie wypuszczając, a potem wciągnął się na nią sam.

Lina z kawałków była o dwadzieścia stóp za krótka. Samuraje szybko i odwiązali swoje przepaski na biodra. Na stojąco Yabu mógł teraz dosięgnąć końca liny.

Krzyknęli mu słowa zachęty i zaczęli czekać.

Pomimo nienawiści, jaką czuł do Yabu, Blackthorne musiał podziwiać jego męstwo. Z pół tuzina razy zalewały go fale. Rodriguesa dwa razy zmywało z półki, ale Yabu wytrwale wciągał go z powrotem i utrzymywał mu głowę ponad wodą. Blackthorne przyznał się sobie w duchu, że on sam dawno by dał za wygraną. Skąd czerpiesz swoje męstwo, Yabu? – zadawał sobie pytanie. A może po prostu splodził cię diabeł? Czy to on splodził was wszystkich?

Po pierwsze, męstwa wymagało zejście w dół. Początkowo Blackthorne sądził, że Japończyk robi to z czystej brawury. Wkrótce jednak przekonał się, że człowiek ten sprawdza na tej skale swoje umiejętności i że prawie wszystko mu się udało. Potem zaś zamortyzował swój upadek ze zręcznością akrobaty. A poddał się z godnością.

Chryste Panie, podziwiam tego drania i nienawidzę go.

Przez blisko godzinę Yabu zmagał się z morzem i ze swoim słabnącym ciałem, aż wreszcie o zmierzchu powrócił z linami Takatashi.

Zawiązawszy węzeł ratowniczy, samuraje zsunęli się w dół z wprawą, jakiej

Blackthorne nie oglądał jeszcze u nikogo na lądzie.

Rodriguesa szybko wciągnięto na górę. Blackthorne chętnie przyszedłby mu z pomocą, ale klęczał już przy nim jakiś krótko ostrzyżony Japończyk. Patrzył, jak ów człowiek, niewątpliwie lekarz, bada złamaną nogę. Potem zaś jeden z samurajów przytrzymał Portugalczyka za ramiona, lekarz całym swoim ciężarem naparł na jego stopę i kość wsunęła się z powrotem w ciało. Palcami obmacał złamaną nogę, przesunął ją, nastawił, a potem wsadził w łubki. Następnie zaczął okładać zaognioną ranę jakimiś zgubnie wyglądającymi ziołami i wówczas wciągnięto Yabu.

Daimyō odmówił wszelkiej pomocy. Gestem nakazał lekarzowi powrócić do Rodriguesa, usiadł i czekał.

Blackthorne spojrzał na niego. Yabu wyczuł jego wzrok. Wpatrzyli się w siebie.

–Dziękuję – powiedział wreszcie Blackthorne, wskazując na Rodriguesa. – Dziękuję za uratowanie mu życia. Dziękuję, Yabu-san.

Z rozmysłem uklonił mu się. To za twoje męstwo, ty czarnooki synu obesranej dziewczki, rzekł w duchu.

Yabu odkłonił mu się sztywno. Ale w duszy się uśmiechnął.

KSIĘGADRUGA

10.

Podróż do Osaki minęła spokojnie. Ruty Rodriguesa były całkowicie czytelne i bardzo dokładne. W czasie pierwszej nocy Portugalczyk odzyskał przytomność. Z początku myślał, że nie żyje, ale wkrótce ból dał mu poznać, że tak nie jest.

–Zestawili ci nogę i opatrzyli – wyjaśnił Blackthorne. – A ramię masz przewiązane. Było zwichnięte. Nie puścili ci krwi, chociaż bardzo starałem się ich do tego nakłonić.

–Kiedy dopłyniemy do Osaki, zrobią to jezuici – odparł Rodrigues, przewiercając go udręczonym spojrzeniem. – Jak się tu zna lażłem, Ingeles? Pamiętam, że wypadłem za burtę, ale nic więcej.

Blackthorne opowiedział mu.

–A Więc teraz zawdzięczam ci życie. Bodaj cię diabli.

–Z rufówki wyglądało na to, że uda nam się wpłynąć do zatoki. Twój punkt widzenia na dziobie mógł się różnić od mojego o kilka stopni. Ta fala przyniosła ci pecha.

–Nie to mnie martwi, Ingeles. Ty stałeś na rufówce, ty rządziłeś statkiem. Obaj to wiemy. Nie, ja cię posyłam do diabła, ponieważ zawdzięczam ci życie... Matko Boska, moja noga!

Ból wycisnął mu z oczu łzy, więc Blackthorne dał mu kubek grogu, a w nocy, pośród słabnącej burzy, czuwał przy nim. Japoński lekarz zachodził kilka razy i zmuszał Rodriguesa do wypicia gorącego lekarstwa, okładał mu czoło gorącymi ręcznikami i otwierał bulaje. Kiedy wychodził, Blackthorne za każdym razem je zamykał, bo przecież powszechnie wiadomo było, że chorobę przynosi powietrze i że gdy ktoś jest tak chory, jak Rodrigues, im szczelniej zamknięta kabina, tym bezpieczniej i zdrowiej...

Po jakimś czasie lekarz skrzyczał go za to i postawił przy bulajach samuraja, tak więc pozostały otwarte.

O świcie Blackthorne wyszedł na pokład. Zastał tam Hiro-matsu i Yabu. Ukłonił się im dwornie.

–Konnichi wa Osaka? – spytał. Odkłonili mu się.

–Osaka. Hai, Anjin-san – odparł Hiro-matsu.

–Hai! Isogi. Hiro-matsu-sama. Kapitan-san! Podnieść, kotwicę!

–Hai, Anjin-san!

Blackthorne mimowolnie uśmiechnął się do Yabu. Yabu odpowiedział mu uśmiechem, a potem utykając odszedł i Blackthorne pomyślał, że jest wspaniały, choć to przy tym diabeł i morderca. A czy ty sam nie jesteś mordercą? – zadał sobie pytanie. Owszem... ale nie w tym sensie.

Doprowadził galerę do Osaki bez najmniejszego trudu. Żegluga zajęła mu ten dzień oraz noc, a nazajutrz tuż po świcie zbliżyli się do redy w Osace. Na pokład przypląnął japoński pilot, żeby wprowadzić statek do portu, tak więc Blackthorne, uwolniony od obowiązków, rad zszedł pod pokład, żeby się przespać.

Później kapitan obudził go potrzęsając, uklonił mu się i pokazał na migi, że ma się przygotować i zaraz po wejściu do portu iść z Hiro-matsu.

–Wakarimasu ka, Anjin-san?

–Hai.

Japoński żeglarz wyszedł. Blackthorne rozprostował obolałe plecy i zauważył, że przygląda mu się Rodrigues.

–Jak się czujesz? – spytał.

–Dobrze, Ingeles. Zważywszy, że noga mnie pali, łeb pęka, chce mi się szczać, a w gębie mam taki smak jak na widok beczki ze świńską gnojowicą.

Blackthorne podał mu nocnik, a potem opróżnił go przez bulaj. Napelnił kufel grogiem...

–Marny z ciebie pielęgniarz, Ingeles. To dlatego, że masz czarną duszę. – Rodrigues roześmiał się i miło znów było usłyszeć jego śmiech. Spojrzał na rutę rozłożoną na biurku i na skrzynię żeglarską. Zobaczył, że nie jest zamknięta na klucz. – Czy ja dałem ci klucz do skrzyni? – spytał.

–Nie. Obszukałem cię. Musiałem mieć prawdziwą rutę. Powiedziałem ci o tym, kiedyś ocknął się tej pierwszej nocy.

To w porządku. Nie pamiętam tego, ale dobrze. Posłuchaj, Ingeles, możesz spytać byle jakiego jezuitę o Vasco Rodriguesa, a wskaże ci do mnie drogę. Odwiedź mnie, a wtedy, jeśli zechcesz, będziesz mógł skopiować moją rutę.

–Dziękuję. Z jedną już to zrobiłem. A przynajmniej przekopiowałem, co mogłem, a

resztę dokładnie przeczytałem.

–Psia twoja mać! – zaklął po hiszpańsku Rodrigues.

–I nawzajem.

Rodrigues znów przeszedł na portugalski.

–Od mówienia po hiszpańsku chce mi się rzygać, chociaż klnie się w tym języku lepiej niż w jakimkolwiek innym na świecie. W moim kufrze jest paczuszka. Podaj mi ją z łaski swojej.

–Ta z pieczęciami jezuitów?

–Tak.

Blackthorne podaj mu ją. Rodrigues przyjrzał się pakunkowi, obmacując palcem nie ruszone pieczęcie, a potem chyba zmienił zamiar, bo odłożył pakiecik na szorstki koc, pod którym leżał, i złożył głowę na posłaniu.

–Ach, Ingeles, życie jest takie dziwne.

–Dlaczego?

–Jeżeli żyję, to dzięki łasce bożej, uratowany przez Japusa i heretyka. Przyślij no tego gównojada pod pokład, żebym mu podziękował, co?

–W tej chwili?

–Później.

–Dobrze.

–A ta twoja flotylla, ta, która jak utrzymujesz, atakuje Manilę, ta, o której wspominałeś temu jezucie... jak to wygląda naprawdę, Ingeles?

–Flotylla naszych okrętów wojennych zniszczy wasze imperium w Azji, mam rację?

–A jest taka?

–Oczywiście.

–Ile jednostek liczy?

–Pięć. Reszta jest na morzu. O jakiś tydzień żeglugi. Ja przypląnąłem przed nimi, żeby zbadać Japonię, i chwyciła mnie burza.

–Znowu łziesz, Ingeles. Ale nie szkodzi... tym, co by mnie schwytali, opowiedziałbym tyle samo. Oprócz twojego nie ma żadnych innych statków ani flotylli.

–Zaczekaj i przekonaj się.

–Zaczekam.

Rodrigues napił się obficie.

Blackthorne przeciągnął się, podszedł do bulaja, chcąc zakończyć rozmowę, i wyrzwał na brzeg i miasto.

–Myślałem, że Londyn to największe miasto na świecie, ale w porównaniu z Osaka jest małym miasteczkiem.

–Tu jest tuzin takich miast jak to – odrzekł Rodrigues, także rad z zakończenia tej zabawy w kota i mysz, w której nigdy nie ma zysków bez równoczesnych strat. – Miyako, stolica Japonii, albo Kioto, jak ją czasem nazywają, jest największym miastem w cesarstwie, podobno dwa razy większym od Osaki. Potem idzie Edo, stolica Toranagi. Nigdy tam nie byłem, tak samo jak żaden ksiądz ani Portugalczyk, bo Toranaga nikogo z nas tam nie wpuszcza, wstęp mamy wzbroniony. A mimo to – dodał Rodrigues z twarzą ściągniętą bólem, kładąc się na koi i zamykając oczy – nie różni się ono ód innych. Oficjalnie w ogóle nie wolno nam przebywać w Japonii, z wyjątkiem portów Nagasaki i Hirado. Nasi księża słusznie nie za bardzo jednak przejmują się zakazami i jeżdżą, gdzie im się podoba. Ale my, żeglarze i kupcy, nie możemy, chyba że za specjalną przepustką od regentów albo od jakiegoś wielkiego daimyō w rodzaju Toranagi. Poza terytorium Nagasaki i Hirado każdy daimyō może skonfiskować nam statek, tak jak Toranaga zrobił z twoim. Takie tu mają prawo.

–Chcesz teraz odpocząć?

–Nie, Ingeles. Lepsza jest rozmowa. Rozmowa pomaga odegnąć ból. Matko Boska, jak mnie boli głowa! Nie mogę jasno myśleć. Rozmawiajmy, dopóki nie zejdziesz na brzeg. Odwiedź mnie, chcę cię spytać o wiele rzeczy. Daj mi jeszcze grogu. Dziękuję, dziękuję ci, Ingeles.

–Dlaczego nie możecie się poruszać wedle woli?

Co? A, tutaj, w Japonii. To przez taikō, to przez niego powstała cała ta bieda. Od chwili kiedy się tu zjawiliśmy w roku 1542, żeby zacząć dzieło boże i ucywilizować ich, my i nasi księża mogliśmy się poruszać swobodnie, ale po zdobyciu przez taikō pełnej władzy zaczęły się ograniczenia. Wielu było przekonanych... czy mógłbyś przesunąć mi nogę, zdejmij mi ten koc ze stopy, piecze mnie... tak... och, Matko Jedyna, uważaj... dobrze, dziękuję ci, Ingeles. Tak, na czym to skończyłem? Aha... wielu było przekonanych, że taikō to penis Szatana. Przed dziesięcioma laty wydał

dekrety przeciwko świętobliwym ojcom i wszystkim, którzy chcieli szerzyć Słowo Boże. No i wygnał wszystkich, z wyjątkiem kupców, jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu. Stało się to, zanim przypląnąłem na te wody, a jestem tu, z przerwami, od siedmiu lat. Świętobliwi ojcowie utrzymują, że to sprawka tych pogańskich kapłanów – buddystów – tych śmierdzących, zazdrosnych bałwochwalców, tych pogan, że to oni nastawili taikō przeciw świętobliwym ojcom, nafaszerowali mu uszy kłamstwami, gdy ojcowie byli już bliscy nawrócenia go. A tak, ten Wielki Morderca był bliski zbawienia swojej duszy. Ale stracił tę okazję. Tak jest. W każdym razie nakazał wszystkim naszym księżom opuścić Japonię... Czy mówiłem ci już, że stało się to mniej więcej dziesięć lat temu?

Blackthorne skinął głową, rad, że Rodrigues rozpuścił język, i rad słuchać, ogromnie spragniony wiedzy.

–Taikō zebrał wszystkich księży w Nagasaki, gotów odesłać ich statkiem do Makau z pisemnym zakazem powrotu pod groźbą śmierci. A potem równie nagle zostawił ich w spokoju i nie zrobił nic więcej. Mówiłem ci już, że te Japonce mają wszystko postawione na głowie. Taikō dał jezuitom spokój i wkrótce było jak dawniej, z tym że większość z nich pozostała na Kiusiu, gdzie wolno nam przebywać. Czy wspominałem ci, że Japonia składa się z trzech wielkich wysp: Kiusiu, Sikoku i Honsiu? I z tysiąca małych. Dalej na północ jest jeszcze jedna wyspa – niektórzy mówią, że to ląd – o nazwie Hokkaido, ale żyją tam tylko kosmaci tubylcy... Japonia to świat na opak, Ingeles. Ojciec Alvito powiedział mi, że wszystko wróciło do poprzedniego stanu, jakby nigdy nic nie zaszło. Taikō zrobił się znowu tak samo przychylny jak przedtem, chociaż nigdy się nie nawrócił. Nie zamknął chyba ani jednego kościoła i nigdy nie wprowadził w życie dekretów o wydaleniu. A potem, trzy lata temu, znów się wściekł i zamęczył dwudziestu sześciu duchownych. Ukrzyżował ich w Nagasaki. Bez najmniejszego powodu. Był wariatem, Ingeles. Ale po zabiciu tych dwudziestu sześciu nie zrobił już nic więcej. Wkrótce potem zmarł. Była to ręka boska, Ingeles. Boże przekleństwo ciążyło na nim i ciąży na jego potomstwie. Jestem tego pewien.

–Dużo macie tutaj nawróconych?

Ale pogrążony w półświadomości Rodrigues chyba nie dosłyszał tego pytania.

–Te Japusy to zwierzęta. Wspominałem ci o ojcu Alvito? Jest tłumaczem, nazywają go Tsukku-sanem, panem Tłumaczem. Tłumaczył dla taikō, a w tej chwili jest urzędowym tłumaczem Rady Regencyjnej, mówi po japońsku lepiej od większości Japończyków i wie o nich więcej niż ktokolwiek. Powiedział mi, że w Miyako, ich stolicy, Ingeles, jest kopiec ziemny wysokości pięćdziesięciu stóp. Taikō zgromadził tam i zakopał nosy i uszy wszystkich Koreańczyków zabitych podczas wojny... Korea stanowi część lądu, który leży na zachód od Kiusiu. To najszczersza prawda! Na Błogosławioną Dziewicę Maryję, takiego mordercy jeszcze ziemia nie nosiła, a oni

wszyscy są równie źli jak on. Rodrigues oczy miał zamknięte, a czoło rozognione.

–Dużo macie nawróconych? – spytał jeszcze raz ostrożnie Blackthorne, ogromnie pragnąc dowiedzieć się, ilu ma tutaj wrogów.

–Setki tysięcy – odparł ku jego przerażeniu Rodrigues – i przybywa ich z każdym rokiem. Od śmierci taikō mamy ich więcej niż kiedykolwiek, a ci, którzy dotychczas wyznawali chrześcijaństwo skrycie, teraz otwarcie chodzą do kościoła. Katolicka jest większa część wyspy Kiusiu. Większość daimyō na Kiusiu to, nawróceni. Nagasaki jest miastem katolickim, a władają nim, rządzą i zawiadują całym handlem jezuitów. Wszystkie handel przechodzi przez Nagasaki. Mamy tu katedrę, tuzin kościołów i następne tuziny rozsiane po całym Kiusiu, ale na głównej wyspie, Honsiu, jak dotąd zaledwie kilka i... – Pod wpływem bólu zamilkł, a po chwili mówił dalej: – Tylko na samej wyspie Kiusiu żyją trzy, cztery miliony ludzi i wszyscy oni zostaną niedługo katolikami. Na innych wyspach mieszka jeszcze ze dwadzieścia milionów Japońców i niedługo...

–To niemożliwe! – zaprotestował Blackthorne, w tej samej chwili przeklinając się w duchu, że przerwał ten strumień informacji.

–A po co miałbym ci kłamać? Dziesięć lat temu odbył się tu spis ludności. Ojciec Alvito mówi, że zarządził go taikō, a on wie, co mówi, bo tu był. – Rodrigues miał rozgorączkowane oczy i stracił kontrolę nad językiem. – To więcej niż ludność całej Portugalii, całej Hiszpanii, całej Francji, hiszpańskich Niderlandów i Anglii razem wziętych, a żeby dorównać Japończykom, musiałbyś dorzucić jeszcze prawie całe Święte Cesarstwo Rzymskie.

O Jezu, pomyślał Blackthorne, cała Anglia liczy najwyżej trzy miliony ludzi. Włącznie z Walijczykami. Jeżeli Japończyków jest aż tylu, to jak sobie z nimi poradzimy? Jeżeli jest ich dwadzieścia milionów, oznacza to, że są w stanie wystawić armię liczniejszą niż nasz cały naród. Jeżeli zaś wszyscy są tacy okrutni jak ci, których widziałem – a czemu miałyby być inaczej – to, na rany Chrystusa, nie można ich pokonać. A jeśli część z nich jest katolikami i jest tu dużo jezuitów, to liczba katolików będzie rosła, nie ma zaś zagorzalszego fanatyka niż fanatyk nawrócony. Więc jakie szanse my i Holandia mamy w Azji?...

Żadnych.,',.

–Jeżeli myślisz, że to wszystko – mówił właśnie Rodrigues – to zaczekaj, aż popłyniesz do Chin. Mieszkają tam sami źóci, czarnowłosi i czarnoocy. Ach, Ingeles, wierzaj mi, bardzo wiele musisz się jeszcze nauczyć. W zeszłym roku byłem w Kantonie na targach jedwabiu. Kanton to otoczone murami miasto na południu Chin, leżące nad rzeką Perłową, na północ od naszego Miasta Imienia Bożego w Makau. Tylko wewnątrz jego murów mieszka milion tych pogańskich psiożerców. Chiny mają

więcej ludności niż cała reszta świata razem wzięta. Na pewno. Pomyśl tylko! – Rodrigues podskoczył z bólu i zdrową ręką przycisnął żołądek.: - Czy może krwawiłem? – spytał. – Z jakiegokolwiek rany?

–Nie. Upewniłem się. Ucierpiały tylko twoja noga i ramię. Nie masz obrażeń wewnętrznych, Rodrigues... a przynajmniej na moje rozeznanie.

–Jak źle jest z moją nogą?

–Morze obmyło ci ją i oczyściło. Kiedy cię znaleźliśmy, złamanie i skóra nie paprały się.

–Polaleś ją brandy i przypaliłeś?

–Nie. Nie pozwoliliby na to, kazali mi odejść. Ale ten lekarz chyba zna się na rzeczy. Czy twoi krajanie szybko wejdą na pokład?

–Tak. Jak tylko dobijemy. Najpewniej.

–To dobrze. O czym to mówiłeś? O Chinach i Kantonie?

–Być może mówiłem za dużo. Jest dość czasu, żeby o nich porozmawiać.

Blackthorne patrzył, jak Rodrigues obraca w zdrowej ręce zalakowany pakiecik, i zastanawiał się jeszcze raz, co to znaczy.

–Noga ci się wygoi. Przekonasz się o tym w ciągu tygodnia.

–Tak, Ingeles.

–Nie sądzę, żeby zgniła, nie ropieje, a myślisz jasno, więc głowę masz całą. Wyzdrowiejesz, Rodrigues.

–Tak czy owak zawdzięczam ci życie. – Ciałem Portugalczyka wstrząsnął dreszcz. – Kiedy tonąłem, myślałem wyłącznie o krabach wchodzących mi w oczy. Czułem, jak kotłują się we mnie, w środku, Ingeles. Za burtą znalazłem się trzeci raz i za każdym razem jest coraz gorzej.

–Ja tonąłem na morzu cztery razy. Trzykrotnie z powodu Hiszpanów.

Drzwi kabiny otworzyły się, japoński kapitan złożył ukłon Blackthorne'owi i dał mu znak, żeby wyszedł na pokład.

–Hai! – Blackthorne wstał. – Nic mi nie jesteś winien, Rodrigues – powiedział życzliwie. – Tchnąłeś we mnie ducha, pomogłeś mi w chwili rozpacz i za to ci dziękuję. Jesteśmy kwita.

–Być może, ale posłuchaj, Ingeles, częściowo odpłacę ci się za to pewną radą: zawsze pamiętaj, że Japonec mają po sześć twarzy i trzy serca. Powiadają, że jedno serce, fałszywe, do pokazywania światu, ma człowiek w ustach, drugie w piersi, które okazuje starannie dobranym przyjaciółom i rodzinie, oraz trzecie, prawdziwe, rzeczywiste, tajemne serce, które zna tylko on sam, ukryte Bóg wie gdzie. Japończycy są niewiarygodnie zdrażliwi, niewybaczalnie perfidni.

–Dlaczego Toranaga chce mnie widzieć?

–Nie wiem. Na Błogosławioną Dziewicę Maryję, nie wiem! Jeżeli będziesz mógł, to mnie odwiedź.

–Dobrze. Powodzenia, Hiszpanie!’

–Ty czarcie nasienie! Ale mimo wszystko, Bóg z tobą.

Rozbrojony Blackthorne odpowiedział mu uśmiechem, a kiedy znalazł się na pokładzie, zakręciło mu się w głowie na widok Osaki, jej ogromu, zespolonych działań ludzkiego mrowia i olbrzymiego zamku, który górował nad miastem. Gdzieś ze środka tej przepastnej budowli strzelał w górę piękny stołb – główna warowna wieża – wysoki na siedem, osiem pięter, z wystającymi zagiętymi daszkami na każdym, ze złotymi dachówkami i niebieskimi ścianami.

Pomyślał, że tam będzie Toranaga, i nagle poczuł w trzewiach lodowate ukłucie.

W zamkniętym palankinie zaniecono go do dużego budynku. Tani go wykąpano, po czym zjadł, jakżeby inaczej, zupę rybną, surową i gotowaną rybę, trochę marynato w z warzyw oraz wypił gorącą ziołową wodę. Zamiast zbożowego kleiku w domu tym podano mu miskę ryżu. Widział już raz ryż w Neapolu. Był biały, zdrowy, ale dla niego bez smaku. Jego żołądek domagał się mięsa i chleba, świeżego chrupiącego chleba grubo posmarowanego masłem, łaknął wołowego combra, pierogów, kurczaków, piwa i jajek.

Następnego dnia przyszła po niego służąca. Ubranie, które podarował mu Rodrigues, wyprano. Przyglądała się, jak je wkłada, potem zaś pomogła mu włożyć na nogi nowe skarpetobuty – tabi. Na zewnątrz czekała na niego nowa para rzemiennych trepów. Jego buty zniknęły.

Służąca pokręciła głową, wskazała na trepy, a potem na zasłonięty palankin. Otaczał go oddział samurajów. Ich przywódca dał Blackthorne’owi znak, żeby się pośpieszył i wsiadł.

Ruszyli natychmiast. Zasłony szczelnie zasłonięto. Nim palankin się zatrzymał, minęły wieki.

–Nie będziesz się bał – rzekł do siebie głośno Blackthorne i wysiadł...

Stanął przed ogromną kamienną zamkową bramą. Była osadzona w wysokim na trzydzieści stóp murze z wbudowanymi weń bastionami, strzelnicami i fortami. Wrota były potężne, okute żelazem i otwarte, a krata z kutego żelaza podniesiona. Po drugiej stronie drewnianego mostu, liczącego dwieście kroków i szerokiego na dwadzieścia, który był przerzucony nad fosą i kończył się olbrzymim mostem zwodzonym, znajdowały się drugie wrota osadzone w drugim murze, równie potężnym.

Wszędzie stały setki samurajów. Wszyscy w jednakowych, ciemno szarych uniformach – przepasanych kimonach z pięcioma małymi okrągłymi znakami: po jednym na każdym rękawie, dwóch na piersi i jednym pośrodku pleców. Znaki te były niebieskie i przedstawiały jakiś kwiat bądź kwiaty.

–Anjin-san!

W otwartym palankinie, który nieśli Czterej tragarze w liberiach, siedział statecznie Hiro-matsu. Nosił, podobnie jak pięćdziesięciu otaczających go samurajów, brązowe sztywne kimono i czarny pas. Oni również mieli na kimonach po pięć znaków, ale czerwonych, takich samych jak na banderze łopoczącej na maszcie galery i będących godłem Toranagi. Nieśli oni długie lśniące włócznie z proporczykami na końcach.

Pod wrażeniem majestatu Hiro-matsu Blackthorne odruchowo uklonił mu się. Starzec odkłonił się sztywno, swobodnie trzymając na kolanach długi miecz, i dał znak, żeby szedł za nim.

Od bramy wyszedł im naprzeciw oficer. Po ceremonialnym odczytaniu dokumentu, który przedstawił mu Hiro-matsu, po wielu ukłonach i spojrzeniach w kierunku Blackthorne'a, przebyli most eskortowani przez nie odstępujących ich na krok Szarych.

Głęboka na pięćdziesiąt stóp fosa biegła prosto ze trzysta kroków w obie strony, dalej zaś podążała wzdłuż skracających na północ murów. Boże Święty, pomyślał Blackthorne, za żadne skarby nie chciałbym szturmować tej twierdzy. Jej obrońcy mogą sobie pozwolić na zagładę oddziałów broniących muru zewnętrznego oraz na spalenie mostu, a i tak nic im nie grozi wewnątrz zamku. Chryste, jej zewnętrzny mur na pewno opasuje blisko miłą kwadratową powierzchnię, do tego ma, aż dziwne, dwadzieścia, trzydzieści stóp grubości, no a ten wewnętrzny również. I jest zbudowany z wielkich kamiennych bloków. Każdy z nich ma z pewnością dziesięć stóp na dziesięć! Lekko licząc! Są idealnie ociosane i dopasowane bez zaprawy murarskiej. Ważą na pewno po pięćdziesiąt ton. My tego nie potrafimy. Działa oblężnicze? Owszem, mogłyby ostrzelać mury zewnętrzne, ale działa obrońców nie

pozostałyby im dłużne. Trudno byłoby je dowieźć aż tutaj, a nie ma tu żadnego wzniesienia, skąd można by wstrzelić za mury zamku kule zapalające.

Gdyby został zdobyty zewnętrzny mur, to obrońcy i tak wybiliby napastników ze strzelnic. Ale nawet gdyby udało się tutaj wciągnąć oblężnicze działa, wymierzyć je i ostrzelać mur, to i tak nie zrobiłyby mu one krzywdy. Mogłyby uszkodzić tamtą drugą bramę, ale co by to dało?

Jak przebyć fosę? Jest za wielka, żeby wystarczyły tu zwykłe metody.

Zamek – odpowiednio obsadzony żołnierzami – jest z pewnością nie do zdobycia. Ile jest w nim wojska? Ilu mieszkańców znalazłoby tu schronienie?, Londyński zamek Tower jest przy nim niczym chlew. A cały pałac Hampton zmieściłby się w jednym jego kącie.

Przy następnej bramie odbyła się kolejna ceremonia sprawdzania dokumentów, potem zaś droga natychmiast skręciła w lewo w rozległą ulicę z silnie obwarowanymi domami, otoczonymi ułatwiającymi obronę wyższymi i niższymi murami, która na końcu rozwidlała się, przechodząc w płataninę schodów i uliczek. Dalej były jeszcze jedna brama i kontrola, jeszcze jedna podnoszona krata i głęboka fosa, nowe skręty i zakręty, aż wreszcie Blackthorne, bystry, obdarzony nadzwyczajną pamięcią i poczuciem kierunku obserwator, zagubił się w tym przemyślnym labiryncie. Przez cały ten czas zaś Szarzy przyglądali się im ze skarp” wałów obronnych, strzelnic, parapetów i bastionów. A jeszcze więcej było pieszych mundurowych, maszerujących, ćwiczących lub oporzędzających konie w otwartych stajniach. Wszędzie żołnierze, tysiące żołnierzy. Wszyscy dobrze uzbrojeni i w pełnym rynsztunku.

Przeklął się w duchu, że nie był na tyle mądry, aby wyciągnąć więcej z Rodriguesa. Pomijając informacje o taikō i nawróconych, które same w sobie były dużym wstrząsem, Rodrigues okazał się tak powściągliwy, jak powinien, unikając udzielania odpowiedzi na jego pytania:

Skup się. Szukaj wskazówek, nakazał sobie. Co wyróżnia ten zamek? To, że jest największy. Nie, coś innego. Co?

Czy Szarzy są wrogo nastawieni do Brązowych? Nie umiem powiedzieć, oni wszyscy są tacy poważni.

Blackthorne przyjrzał się uważnie Japończykom i skupił się na szczegółach. Na lewo był starannie utrzymany, wielobarwny ogród z małymi mostkami i strumyczkiem. Mury stały tu bliżej siebie, ulice były węższe. Zbliżali się do stołbu. Wewnątrz twierdzy nie było mieszkańców miasta, tylko setki służących i... Tu nie ma dział! – pomyślał. Tym się on różni!

Nie widziałeś żadnego działa. Ani jednego.

Boże w niebiesiech, żadnego działa... a zatem i dział oblężniczych!

Gdybyś miał nowoczesną broń, a obrońcy żadnej, to dałbyś radę obalić te mury, te bramy, zasypać zamek kulami zapalającymi, podpalić go i zdobyć?

Nie zdołałbyś sforsować pierwszej fosy.

Mając działa oblężnicze dałbyś się we znaki obrońcom, ale mogliby się oni bronić w nieskończoność – przy zdecydowaniu żołnierzy, odpowiedniej ich liczbie oraz odpowiedniej ilości broni i amunicji.

Jak sforsować te fosy? Na łodziach? Tratwach zaopatrzonych w wieże?

Kiedy próbował wymyślić jakiś plan, palankin zatrzymał się. Hiro-matsu wysiadł. Znajdowali się w wąskim zaułku. Potężna, wzmocniona żelazem brama była wpuszczona w dwudziestostopowy mur, który stapiał się z fortyfikacjami umocnionej strażnicy w górze, stojącej daleko od prawie niewidocznego stąd stołbu. W przeciwieństwie do innych bram tej strzegli Brązowi, jedyni, jakich Blackthorne dostrzegł w zamku. Było jasne, że bardzo ich ucieszył widok Hiro-matsu.

Szarzy odwrócili się i odeszli. Blackthorne zauważył wrogie spojrzenia, jakimi obrzucili ich Brązowi.

A więc byli wrogami!

Brama rozwarła się i Blackthorne podążył za starym Japończykiem do środka. Reszta samurajów pozostała na zewnątrz.

Podwórca, podobnie jak ogrodu znajdującego się za nim, strzegli inni Brązowi. Blackthorne i Japończyk przeszli przez ogród i weszli do fortu. Hiro-matsu zdjął z nóg sandały, a Blackthorne zrobił to samo.

Korytarz w środku był wyłożony matami, identycznymi trzciniowymi matami, czystymi i miłymi w dotyku, którymi wykładano podłogi wszędzie, z wyjątkiem najbiedniejszych domów. Blackthorne już wcześniej spostrzegł, że wszystkie mają jednakowe rozmiary, sześć stóp na trzy. Właściwie to nie przypominał sobie, żeby widział kiedyś maty uplecione i przykrojone wedle jednego szablonu. A poza tym nie spotkał tutaj izby odmiennego kształtu. Czyż wszystkie nie były idealnie kwadratowe albo prostokątne? Oczywiście. A to oznaczało, że wszystkie domy – albo pomieszczenia – były zbudowane tak, by pomieścić określoną liczbę mat. Tak więc wszystkie były typowe! Jakie to dziwne!

Wspięli się po krętych, łatwych do obrony schodach i poszli następnymi

korytarzami i schodami. Spotkali wielu strażników, samych Brązowych. Wpadające przez otwory strzelnicze promienie słońca tworzyły misterne wzory. Blackthorne zobaczył, że znajdują się wysoko ponad trzema głównymi murami opasującymi twierdzę. Miasto i zatoka rozpościerały się w dole niczym wzorzysta koidra.

Korytarz ostro zakręcił i po pięćdziesięciu krokach skończył się.

Blackthorne poczuł w ustach goryczkę. Nie denerwuj się, powiedział sobie, już postanowiłeś, co zrobisz. Nie masz odwrotu.

Ostatnich drzwi strzegła gromada samurajów z młodym dowódcą na czele. Nieruchomi i gotowi, wpatrywali się w dwóch nadchodzących, trzymając prawe dłonie na rękojeści mieczy, lewe na pochwach.

Hiro-matsu ucieszyła ich gotowość. Dobra! tych strażników osobiście. Nienawidził tego zamku i jeszcze raz pomyślał o niebezpieczeństwie, na jakie naraził się Toranaga, oddając się w ręce swojego wroga. Wczoraj, zaraz po wylądowaniu, pośpieszył do niego, żeby zdać mu sprawę, co się stało, i dowiedzieć się, czy podczas jego nieobecności wydarzyło się coś niedobrego. Jednakże nadal panował spokój, choć szpiedzy donosili im o niepokojących przygotowaniach wroga na północy i wschodzie, a ponadto, że ich główni sojusznicy, regenci Onoshi i Kiyama, najpotężniejsi z chrześcijańskich daimyō, zamierzają przejść na stronę Ishido. Zmienił strażę, hasło i jeszcze raz błagał Toranagę, żeby wyjechał.

Dziesięć kroków przed oficerem zatrzymał się.

Yoshi Naga, dowódca warty, był groźnym, niebezpiecznym siedemnastolatkiem.

–Dzień dobry, wielmożny panie – rzekł. – Witaj po powrocie.

–Dziękuję ci. Pan Toranaga oczekuje mnie.

–Tak jest.

Naga wpuściłby Hiro-matsu nawet wówczas, gdyby ten zjawił się bez zapowiedzi. Toda Hiro-matsu był jedną z trzech osób na świecie, które dopuszczano przed oblicze Toranagi o każdej porze dnia i nocy.

–Obszukać barbarzyńcę – polecił Naga. Był piątym synem Tora nagi, splodzonym z jedną z jego konkubin, i czcił ojca.

Blackthorne spokojnie poddał się rewizji, zdając sobie sprawę w czym rzecz. Dwóch samurajów robiło to bardzo fachowo. Nie pominęli niczego.

Naga dał znak pozostałym samurajom. Rozstąpili się. Sam otworzył grube drzwi.

Hiro-matsu wszedł do ogromnej sali posłuchań. Tuż za progiem klęknął, położył miecze przed sobą na podłodze i nisko się pokłonił, czekając w tej uniżonej pozycji.

Nieodmiennie czujny Naga gestem nakazał Blackthorne'owi, żeby zrobił to samo.

Blackthorne wszedł do środka. Sala miała czterdzieści kroków kwadratowych i dziesięć kroków wysokości, a nieskazitelnie uplecione, grube na cztery palce tatami były najwyższej jakości. W ścianie na drugim końcu było dwóje drzwi. W pobliżu podium, w płytkiej wnęce, stała mała gliniana waza z pojedynczą gałązką kwitnącej wiśni, wypełniając pomieszczenie swą barwą i wonią.

Obie pary drzwi były strzeżone. Dziesięć kroków od podestu siedziało wokół niego ze skrzyżowanymi nogami i twarzami do sali dwudziestu samurajów.

Toranaga siedział na poduszce leżącej na podium. Naprawiał złamane pióro ze skrzydła sokoła w kapturze tak delikatnie, jakby rzeźbił w kości słoniowej.

Ani on, ani nikt z obecnych nie odpowiedział na ukłon Hiro-matsu i nie zwrócił uwagi na Blackthorne'a, kiedy ten wszedł i zatrzymał się przy starym generale. W przeciwieństwie do Hiro-matsu ukłonił się jednak tak, jak mu pokazał Rodrigues, a potem, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, usiadł po turecku i wpatrzył się w Toranagę.

Spojrzenia wszystkich w jednej chwili spoczęły na nim.

Stojący w progu Naga trzymał dłoń na mieczu. Hiro-matsu wprawdzie wciąż jeszcze pochylał głowę, ale zdążył już chwycić swój.

Blackthorne czuł się bezbronny, ale nie było dla niego odwrotu, więc pozostawało mu jedynie czekać. „Wobec Japońców musisz się zachowywać jak król” – pouczył go Rodrigues i chociaż nie zachował się po królewsku, wystarczyło to w zupełności.

Toranaga wolno podniósł wzrok.

Po skroni Blackthorne'a spłynął strumyczek potu, gdyż wszystko, co Rodrigues opowiadał mu o samurajach, zdawało się ogniskować w tym człowieku. Czuł, jak pot ścieka mu po policzku na brodę. Zmusił się do trzymania niebieskich oczu prosto, bez zmrużenia powiek, i zachowania spokojnej miny.

Wzrok Toranagi był równie nieruchomy.

Blackthorne miał niemal wrażenie, że dosięga go nieodparta siła tego człowieka. Zmusił się, żeby wolno policzyć do sześciu, a potem skłonił głowę, ukłonił się jeszcze raz i rozciągnął usta w nieznacznym, spokojnym uśmiechu...

Toranaga przyglądał mu się krótko z kamienną twarzą, a potem opuścił wzrok i skupił na powrót na swoim zajęciu. Napięcie w sali opadło.

Sokół był sokołem wędrownym i znajdował się w świetnej formie. Sokolnik, sękaty stary samuraj, klęczał przed Toranaga i trzymał ptaka, jakby ten był ze szkła. Toranaga przeciął złamaną lotkę, zanurzył cienki bambusowy łącznik w kleju, wsadził go w dulkę, a potem delikatnie nasunął świeżo przycięte pióro na jego drugi koniec. Ustawił idealnie kąt jego nachylenia i obwiązał je jedwabną nicią. Dzwoneczki przy nogach sokoła zadzwoniły, więc uspokoił ptaka.

Yoshi Toranaga, pan Kantō – Ośmiu Prowincji – głowa rodu Yoshi, naczelny dowódca Armii Wschodu, przewodniczący Rady Regencyjnej, był niskim mężczyzną z wydatnym brzuchem i dużym nosem. Brwi miał gęste i czarne, a wąsy i brodę poprzetykane siwizną i rzadkie. W jego twarzy dominowały oczy. Miał pięćdziesiąt osiem lat i był silny jak na swój wiek. Nosił skromne, zwykłe mundurowe kimono Brązowych, obwiązane bawełnianym pasem. Ale jego miecze nie miały sobie równych na świecie.

–Proszę bardzo, ślicznotko – rzekł czule jak kochanek. – Teraz znowu jesteś sobą. – Popieścił piórem zakapturzonego ptaka, który siedział na obciążonej rękawicą dłoni sokolnika. Sokolica zadrżała i zadowolona musnęła pióra dziobem. – Puścimy ją w tym tygodniu.

Sokolnik uklonił się i wyszedł.

Toranaga przeniósł wzrok na dwóch mężczyzn przy drzwiach.

–Witaj, Żelazna Pięści, miło cię widzieć – rzekł. – A więc to jest twój Słynny barbarzyńca.

–Tak, panie.

Hiro-matsu podszedł bliżej, zgodnie ze zwyczajem pozostawiając miecze przy drzwiach, ale Toranaga nalegał, żeby je wziął ze sobą.

–Czułbym się nieswojo, gdybyś ich nie miał w ręku – powiedział.

Hiro-matsu podziękował mu. Mimo to usiadł pięć kroków od niego. Wedle zwyczaju nikt uzbrojony nie mógł bezpiecznie podejść bliżej Toranagi. W pierwszym szeregu strzegących go samurajów siedział Usagi, ulubiony przez Hiro-matsu mąż jego wnuczki, więc stary generał skinął mu głową. Młodzieniec, zadowolony i zaszczycony tym, że go dostrzeżono, złożył mu głęboki ukłon. Może powinienem go formalnie usynowić, zastanawiał się Hiro-matsu, ciepło myśląc o swojej ulubionej wnuczce i pierwszym prawnuku, którym obdarzyli go w zeszłym roku.

–Jak tam twoje plecy? – spytał troskliwie Toranaga.

–W porządku, dziękuję, panie. Ale przyznaję, że rad zsiadłem z tego statku na ląd.

–Słyszałem, że masz tu nowe bawidełko, na które tracisz całe godziny, ne?

Starzec parsknął śmiechem.

–Powiem ci tylko tyle, panie, że nie były to godziny stracone. Od lat nie doświadczyłem takiej twardości.

Toranaga zaśmiał się wraz z nim.

–Wobec tego należy się jej nagroda. Twoje zdrowie jest dla mnie ważne. Czy mogę jej przesłać wyrazy podziękowania?

–Ach, Toranaga-sama, jesteś taki dobry. – Hiro-matsu spoważniał. – Mógłbyś nagrodzić nas wszystkich, wielmożny panie, natychmiast opuszczając to gniazdo szerszeni i wracając do swojego zamku w Edo, gdzie obroniliby cię twoi poddani. Ishido w każdej chwili może...

–Zrobię to zaraz po zakończeniu Rady Regencyjnej. – Toranaga odwrócił się i dał znak Portugalczykowi o szczupłej twarzy, który siedział cierpliwie w jego cieniu. – Potłumaczysz dla mnie, przyjacielu? – spytał.

–Oczywiście, wielmożny panie.

Ksiądz z tonsurą wystąpił naprzód i z wyćwiczoną gracją ukląkł po japońsku blisko podestu. Ciało miał równie szczupłe co twarz, oczy ciemne błyszczące, tchnął spokojem i był skoncentrowany. Nosił skarpetki tabi i fałdzone kimono, które pasowało do niego. U pasa wisiały mu różaniec i rzeźbiony złoty krzyż. Przywitał się z Hiro-matsu jak z kimś równym, a potem spojrzał wesoło na Blackthorne'a.

–Nazywam się Martin Alvito, jestem z Towarzystwa Jezusowego, naczelnym pilocie. Pan Toranaga poprosił mnie, żebym dla niego tłumaczył.

–Najpierw powiedz mu, panie, że jesteśmy wrogami i że...

–Wszystko w swoim czasie – przerwał mu łagodnie Alvito, a potem dodał: – Możemy rozmawiać po portugalsku, hiszpańsku albo naturalnie po łacinie... jak wolisz.

Blackthorne spostrzegł księdza dopiero wówczas, kiedy ten wyszedł z cienia. Zasłaniał go podest i samuraje. Ostrzeżony przez Rodriguesa wprawdzie spodziewał się go tu zastać, lecz nie spodobało mu się to, co zobaczył: swobodną elegancję i bijącą od niego siłę i naturalną moc jezuitów. Sądząc po jego wpływowej pozycji i po tym, jak się o nim wyrażał Rodrigues, Blackthorne spodziewał się ujrzeć kogoś znacznie starszego. Ale obaj, on i ten jezuita, byli właściwie rówieśnikami. Ksiądz był, być może, o parę lat starszy.

–Po portugalsku – odparł, uczepiwszy się nadziei, że da mu to lekką przewagę. – Ksiądz jest Portugalczykiem?, – Mam ten zaszczyt.

–Ksiądz jest młodszy, niż przypuszczałem.

–Senhor Rodrigues jest bardzo uprzejmy. Przypisuje mi więcej, niż na to zasługuję. Świetnie cię opisał, panie. Także twoją dzielność.

Blackthorne zobaczył, że Alvito odwraca się i grzecznym tonem płynnie mówi przez jakiś czas do Toranagi, co go jeszcze bardziej zaniepokoiło. Spośród obecnych tylko Hiro-matsu przysłuchiwał się i przyglądał temu z uwagą. Pozostali wpatrywali się kamiennym wzrokiem w przestrzeń.

–A teraz, naczelnym pilocie, zaczniemy. Zechciej, proszę, wysłuchać wszystkiego, co mówi pan Toranaga, bez przerywania mu – zaczął mówić ojciec Alvito. – „Odpowiesz dopiero potem. Od tej chwili będę tłumaczył prawie jednocześnie twoje słowa, proszę cię więc o bardzo staranne wypowiedzi.

–O co chodzi? Ja księdzu nie ufam!

Alvito natychmiast przełożył jego słowa Toranadze, który wyraźnie się zasepił.

Bądź ostrożny, ostrzegł się Blackthorne, on się z tobą bawi jak kot z myszą! Trzy złote gwinee przeciwko złamanemu farthingowi, że cię dopadnie, kiedy tylko zechce. Bez względu na to, czy tłumaczy wiernie czy nie, musisz wyrzucić odpowiednie wrażenie na Toranadze. Taka okazja może ci się już nie powtórzyć.

–Uwierz mi, że będę przekładał twoje słowa najwierniej, jak umiem. – Głos jezuita był łagodny i całkowicie opanowany. – To jest dwór pana Toranagi. A ja jestem urzędowym tłumaczem Rady Regencyjnej, wielmożnego generała Toranagi i pana generała Ishido. Pan Toranaga od wielu lat darzy mnie swoim zaufaniem. Radzę ci, panie, żebyś odpowiadał zgodnie z prawdą, bądź pewien, że jest to nadzwyczaj spostrzegawczy człowiek. Chciałbym też podkreślić, że ja to nie ojciec Sebastio, który jest być może zbyt gorliwy, nie mówi, niestety, dobrze po japońsku i nie za bardzo zna Japonię. Przez twoje nagłe pojawienie się tutaj utracił łaskę boską i, co przykre, dopuścił do tego, aby jego osobista przeszłość przeważała – jego rodziców, braci i siostry zmasakrowały potwornie wasze... wojska księcia Orańskiego. Racz mu wybaczyć i zrozumieć go. – Alvito uśmiechnął się życzliwie. – Po japońsku „wróg” to „teki”. Możesz użyć tego słowa, kiedy chcesz. Jeżeli wskażesz na mnie i je wypowiesz, pan Toranaga świetnie zrozumie, co masz na myśli. Tak, jestem twoim wrogiem, naczelny pilocie Johnie Blackthorne.

Całą duszą. Ale nie twoim zabójcą. To już załatwisz ty sam.

Blackthorne zobaczył, jak wyjaśnia Toranadze, co powiedział, usłyszał, jak z jego ust pada kilką razy słowo „teki”, i zastanawiał się, czy naprawdę znaczy ono „wróg”. Oczywiście, że tak, zapewnił się w duchu. Ten jezuita nie przypomina tamtego.

–Proszę, byś zapomniał na chwilę o moim istnieniu – rzekł ojciec Alvito. – Służę po prostu za narzędzie do zapoznania pana Toranagi z twoimi odpowiedziami tak wiernie, jak jego pytania przekazuję tobie.

Jezuita usadowił się wygodnie, obrócił w stronę Toranagi i grzecznie się uklonił.

Toranaga mówił krótko. Ksiądz zaczął tłumaczyć niemal równocześnie, po mniej więcej kilku słowach, nadzwyczaj wiernie oddając modulację głosu i głębszy sens wypowiedzi. – Dlaczego jesteś wrogiem pana Tsukku, mojego przyjaciela i tłu macza, który nie jest wrogiem nikogo? – przełożył Alvito i wyjaśnił: – Tsukku-san to mój przydomek ponieważ Japończycy nie potrafią wymówić także mojego imienia i nazwiska. W ich języku brak dźwięków „l” i „th”. Tsukku to kalambur od japońskiego słowa „tsuyaku” – „tłumaczyć”. Odpowiedz, proszę, na pytanie.

–Jesteśmy wrogami, ponieważ nasze kraje toczą ze sobą wojnę.

–Tak? A jaki jest twój kraj?’

–Anglia.

–Gdzie on leży?

–To królestwo na wyspie, tysiąc mil na północ od Portugalii.

Portugalia zajmuje część półwyspu w Europie.

–Od kiedy toczycie wojnę z Portugalią?

–Odkąd Portugalia stała się wasalnym krajem Hiszpanii. Go stało się dwadzieścia lat temu, w roku 1580. Hiszpania podbiła Portugalię. W rzeczywistości walczymy z Hiszpanią. Toczmy z nią wojnę od blisko trzydziestu lat.

Blackthorne spostrzegł zdziwienie Toranagi i pytające spojrzenie, jakie rzucił ojcu Alvito z niezmaconym spokojem patrzącemu się gdzieś przed siebie.

–Mówisz, że Portugalia jest częścią Hiszpanii?

–Tak, panie Toranaga. Państwem wasalnym. Hiszpania podbiła Portugalię i obecnie stanowią właściwie jeden kraj, mając wspólnego króla. Ale Portugalczycy są podporządkowani Hiszpanom prawie wszędzie w świecie, a ich przywódcy niewiele znaczą w imperium hiszpańskim.

Nastąpiło dłuższe milczenie. A potem Toranaga zwrócił się wprost do jezuitę, który uśmiechnął się i udzielił szczegółowej odpowiedzi.

–Co powiedział? – zapytał ostrym tonem Blackthorne.

Ojciec Alvito mu nie odpowiedział, ale tak jak poprzednio zaczął tłumaczyć słowa Toranagi niemal równocześnie, naśladując modulację jego głosu i kontynuując mistrzowski pokaz tłumaczenia.

Toranaga odpowiedział bezpośrednio Blackthorne'owi, głos miał bezlitosny i twardy jak kamień.

–Co powiedziałem, to nie twoja sprawa. Jeżeli zechcę, abys o czymś wiedział, to ci powiem.

–Przepraszam, panie Toranaga, nie chciałem być niegrzeczny. Czy wolno mi cię zapewnić, że przybywamy w pokojowych...

–W tej chwili nie wolno ci mówić nic. Milcz, dopóki nie zażądam odpowiedzi. Zrozumiałeś?

–Tak.

Pierwszy błąd. Pilnuj się. Nie możesz popełniać błędów, ostrzegł się Blackthorne.'

Dlaczego walczyacie z Hiszpanią? I z Portugalią?

–Po części dlatego, że Hiszpania jest zdecydowana podbić świat, a my, Anglicy, i nasi sprzymierzeńcy Holendrzy nie chcemy być podbici, po części zaś z powodu naszych religii.

–Aha! Wojna religijna? A jaka jest wasza religia?

–Jestem chrześcijaninem. Nasz kościół...

–Chrześcijanami są Portugalczycy i Hiszpanie! Powiedziałeś, że wasza religia jest inna. Jaka jest wasza religia?

–Chrześcijańska. Trudno to wyjaśnić szybko i prosto, panie Toranagą. Oba wyznania...

–Nie ma powodu do pośpiechu, panie pilocie, chodzi o dokładność. Mam mnóstwo czasu. Jestem bardzo cierpliwy. Jesteś człowiekiem kulturalnym, na pewno nie chłopem, możesz więc opowiadać prosto lub skomplikowanie, jak chcesz, tak długo, dopóki wszystkiego nie wyjaśnisz. Jeżeli odbiegiesz od tematu, to cię do niego z powrotem przywiodę. Co mówiłeś?

–Że moja religia jest chrześcijańska. Są dwa główne wyznania chrześcijańskie: protestantyzm i katolicyzm. Większość Anglików jest protestantami.

–Wierzycie w tego samego Boga, Matkę Boską i Dzieciątko Jezus?

–Tak, wielmożny panie. Ale nie tak jak katolicy.

Czego on chce się dowiedzieć? – głowił się Blackthorne. Czy jest katolikiem? Czy powinienem mu powiedzieć to, co jak sądzę, pragnie wiedzieć, czy też to, co uważam za prawdę? Jest nastawiony przeciw chrześcijanom? Nazwał tego jezuitę „przyjacielem”. Czy sympatyzuje z katolikami lub czy zamierza przejść na katolicyzm?

–Wierzysz, że Jezus jest Bogiem?

–Wierzę w Boga – odparł ostrożnie.

–Nie uchylaj się od bezpośrednich odpowiedzi na pytania. Wierzysz, że Jezus jest Bogiem? Tak czy nie?

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że na każdym katolickim dworze dawno by już go wyklęto za herezję. A także na większości, jeżeli nie wszystkich, dworów protestanckich. Już samo zwlekanie z odpowiedzią na takie pytanie było

przyznaniem się do wątpliwości. A wątpliwości stanowiły herezję.

–Nie można odpowiedzieć na pytanie dotyczące Boga prostym „tak” lub „nie”. O Bogu nie wie się nic na pewno aż do śmierci.

Tak, wierzę, że Jezus jest Bogiem, ale upewnię się o tym dopiero po śmierci.

–Dlaczego zaraz po przyjeździe do Japonii zniszczyłeś krzyż tego księdza?

–Ja... chciałem w ten sposób pokazać panu Yabu, że ten jezuita, ojciec Sebastio – jedyny tłumacz dostępny w tej wiosce – że jest on moim wrogiem i że nie należy mu ufać, a przynajmniej moim zdaniem. Bo przecież nie byłem pewien, czy przełoży moje słowa dokładnie, tak jak w tej chwili robi to ojciec Alvito. Oskarżył nas na przykład o to, że jesteśmy piratami. Nie jesteśmy piratami, przybывamy w pokojowych zamiarach.

–A, tak! Piraci! Do sprawy piractwa powrócę za chwilę. Powiadasz, że obie wasze sekty są chrześcijańskie, obie czczą Jezusa Chrystusa? Czy sens jego nauk nie sprowadza się do hasła „kochaj bliźniego swego”?

–Tak... – Jakże więc możecie być wrogami?

–Ich wiara... ich wersja chrześcijaństwa jest fałszywym odczytaniem Pisma...

Aha! Nareszcie do „czegoś dochodzimy. A więc toczycie wojnę z powodu różnicy zdań co do tego, czym jest albo czym nie jest Bóg?

–Tak.

–To bardzo głupi powód do wojny.

–Zgadza się – odparł Blackthorne i spojrzał na jezuitę. – Zgadza się całym sercem.

–Z ilu statków składa się twoja flotylla?

–Z pięciu.

–Byłeś jej – głównym pilotem?

–Tak.

–A gdzie są te pozostałe statki?

–Na morzu – odparł ostrożnie Blackthorne, kłamiąc dalej, bo przypuszczał, że niektóre z pytań podsunął Toranadze Alvito. – W czasie burzy rozłączyliśmy się i

rozproszyliśmy. Gdzie dokładnie, tego nie wiem, wielmożny panie.

–Twoje statki były angielskie?

–Nie, wielmożny panie. Niderlandzkie. Z Holandii. – A dlaczego to Anglik dowodzi niderlandzkimi statkami?

–Nic w tym nadzwyczajnego, wielmożny panie. Jesteśmy sprzymierzeńcami, portugalscy piloci też niekiedy prowadzą hiszpańskie statki i flotylle. O ile wiem, portugalscy piloci mają prawo dowodzić twoimi statkami oceanicznymi, panie.

–Nie ma holenderskich pilotów?

–Jest ich wielu, wielmożny panie. Ale w tak długich wyprawach Anglicy mają większe doświadczenie.

–Ale dlaczego właśnie ty? Dlaczego chcieli, żebyś to ty prowadził ich statki?

–Pewnie dlatego, że moja matka była Holenderką, dlatego, że płynnie mówię ich językiem i mam doświadczenie. Chętnie skorzystałem z takiej okazji.

–Dlaczego?

–Pierwszy raz nadarzyła mi się sposobność pożeglowania na te wody. Żadne angielskie statki nie miały w planach zapuszczać się tak daleko. Była to okazja rejsu dookoła świata.

–Sam, z własnej woli, nająłeś się, pilocie, do tej flotylli ze względu na swą wiarę i po to, by wojować z wrogimi ci Hiszpanami i Portugalczykami?

–Przede wszystkim jestem pilotem, wielmożny panie. Żaden Anglik ani Holender nie był dotąd na tych morzach. Zasadniczo jesteśmy flotyllą handlową, chociaż posiadamy listy kaperskie zezwalające nam na atakowanie wrogów w Nowym Świecie. Do Japonii przy płynęliśmy handlować.

–Co to są listy kaperskie?

–Legalne upoważnienia, wydane przez panującego władcę albo rząd, zezwalające na walkę z wrogiem.

–Aha, a twoi wrogowie są tutaj. Masz zamiar z nimi tu wojować?

–Kiedy tu przybyliśmy, nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać, wielmożny panie. Przy płynęliśmy wyłącznie w celach handlowych. Twój kraj jest prawie nieznan, jest legendą. Portugalczycy i Hiszpanie nic nie mówią o tych stronach świata.

–Odpowiedz na pytanie: Twoi wrogowie są tutaj. Czy masz zamiar z nimi wojować?

–Jeżeli będą wojować ze mną, to tak.

Toranaga poruszył się rozdrażniony.

–To, co robicie na morzu albo w swoich krajach, jest waszą sprawą.

Ale tutaj wszystkich obowiązuje jedno prawo i cudzoziemcy przebywają tu tylko dlatego, że im pozwolono. Każda publiczna szkoda lub utarczka jest bezzwłocznie karana śmiercią. Nasze prawa są jasne i trzeba ich przestrzegać. Zrozumiałeś?

–Tak, wielmożny panie. Ale my przybyliśmy tu w pokojowych zamiarach.

Przybyliśmy tu handlować. Czy możemy omówić sprawę handlu, wielmożny panie? Muszę przechylić statek na bok i dokonać napraw, za wszystko zapłacimy. Poza tym jest spra...

–Kiedy zechcę omówić sprawę handlu bądź jakąkolwiek inną, powiem ci o tym. Na razie zechciej ograniczyć się do odpowiadania na moje pytania. A więc przyłączyłeś się do tej wyprawy, żeby handlować dla zysku, a nie z poczucia obowiązku czy lojalności? Dla pieniędzy?

–Tak. Taki mamy zwyczaj, wielmożny panie. Otrzymać zapłatę i mieć udział we wszystkich zdobyciach... w handlu i we wszystkich przejętych dobrach wroga.

–A więc – jesteś najemnikiem?

–Wynajęto mnie jako naczelnego pilota do poprowadzenia wyprawy. Tak.

Blackthorne czuł wrogość Toranagi, ale nie był w stanie jej pojąć. A cóż ja takiego powiedziałem? – zapytywał siebie. Czy ten ksiądz nie oznajmił mi, że sam się zabiję?

–To u nas normalny zwyczaj, Toranaga-sama – dodał.

Toranaga zaczął rozmawiać z Hiro-matsu i najwyraźniej zgadzając się ze sobą wymienili zdania. Blackthorne miał wrażenie, że dostrzega w ich twarzach odrazę. Dlaczego? Pomyślał, że z pewnością ma to jakiś związek z „najemnictwem”. Ale cóż w tym złego? Każdemu przecież się płaci. Jak inaczej człowiek zarobiłby dość pieniędzy na życie? Nawet jeśli odziedziczył ziemię, to mimo wszystko...

–Powiedziałeś uprzednio, że przybyliście tu handlować pokojowo – rzekł Toranaga. – Dlaczego więc wieziecie ze sobą aż tyle dział, tyle prochu, muszkietów i kul?

–Nasi hiszpańscy i portugalscy wrogowie są bardzo potężni i silni, panie Toranaga. Musimy się bronić i...

–Twierdzisz, że wasze uzbrojenie służy wam po prostu do obrony?

–Nie. Używamy go nie tylko, by się bronić, ale i do atakowania naszych wrogów. Poza tym wytwarzamy je w znacznych ilościach, żeby nim handlować, a jest to najlepsza broń na świecie. Może moglibyśmy sprzedać ją wam, albo też inne towary, które przywieźliśmy.

–Kto to jest pirat?

To człowiek wyjęty spod prawa. Taki, który gwałci, zabija i rabuje dla osobistej korzyści.– A czy to nie to samo co najemnik? Czy ty sam nim nie jesteś? Piratem i przywódcą piratów?

–Nie. Prawda wygląda tak, że wszystkie moje statki mają listy kaperskie od legalnych władców Holandii, zezwalające nam wojowie na wszystkich morzach i we wszystkich zakątkach świata, które opanowali nasi wrogowie. A także do znalezienia rynków zbytu na nasze towary. Dla Hiszpanów i dla większości Portugalczyków, owszem, jesteśmy piratami i religijnymi heretykami, ale powtarzam, w rzeczywistości nimi nie jesteśmy.

„Ojciec Alvito skończył tłumaczenie, a potem spokojnie i z przekonaniem zwrócił się wprost do Toranagi.

Blackthorne bardzo żałował, że nie może rozmawiać bezpośrednio. Zauważył, że Toranaga spojrział na Hiro-matsu, po czym starzec zadał kilka pytań jezuitce, ten zaś odpowiedział na nie wyczerpująco. A wtedy Toranaga znów zajął się Blackthorne'em, a jego głos stał się jeszcze surowszy.

–Tsukku-san powiada, że owe „Holandy” – Niderlandy były jeszcze kilka lat temu wasalne wobec króla hiszpańskiego. Czy to prawda?

–Tak.

–A więc Niderlandy, wasi sprzymierzeńcy, są w stanie buntu przeciwko swojemu prawowitemu królowi?

–Owszem, walczą z tym Hiszpanem. Ale...

–Czy to bunt? Tak czy nie?

–Tak, ale istnieją okoliczności łagodzące. Poważnie łago...

–Jeżeli chodzi o bunt przeciwko władcy, to nie ma żadnych „okoliczności łagodzących”.

–Chyba że się zwycięży.

Toranaga wpatrzył się w niego uważnie. A potem ryknął śmiechem. Wśród śmiechu powiedział coś do Hiro-matsu, na co ten skinął głową.

–Tak, panie cudzoziemcze o nazwisku nie do wymówienia, tak. Wymieniłeś jedyną okoliczność łagodzącą. – Znowu się zaśmiał, a potem jego dobry humor zniknął tak nagle, jak się pojawił. – Zwyciężycie?

–Hai.

Toranaga znowu coś powiedział, ale jezuita nie przełożył jego słów od razu. Uśmiechał się dziwnie, wpatrując się w Blackthorne'a, westchnął i spytał:

–Jesteś o tym mocno przekonany?

–To są słowa jego czy księdza?

–To są słowa pana Toranagi. Ja... jego słowa.

–Tak. Powiedz mu, księżę, że tak, jestem o tym mocno przekonany. Czy mogę wyjaśnić dlaczego?

Ojciec Al vi to mówił do Toranagi znacznie dłużej, niż zajęło mu przełożenie tego prostego pytania.

Czy jesteś tak spokojny, jak udajesz? – chciał go zapytać Blackthorne. Jak cię rozgryźć? Jak zniszczyć?

Toranaga powiedział coś i wyjął z rękawa wachlarz.

Ojciec Alvito znów zaczął tłumaczyć tym samym napawającym lękiem, mocno ironicznym, nieprzyjaznym tonem.

–Tak, pilocie, możesz mi powiedzieć, dlaczego myślisz, że wygracie tę wojnę.

Blackthorne starał się zachować pewność siebie, świadom, że jezuita ma nad nim przewagę.

–Obecnie panujemy na morzach Europy... na większości europejskich mórz – poprawił się. Nie przesadz. Mów prawdę. Nagnij ją odrobinę, tak jak z pewnością robi to ten jezuita, ale mów prawdę, przykazał sobie. – My, Anglicy, rozbiliśmy dwie wielkie hiszpańskie i portugalskie armady wojenne, dwie floty inwazyjne, i niepodobną, żeby nasi wrogowie zdołali zorganizować następne. Nasza mała wyspa jest fortecą i w tej chwili jesteśmy bezpieczni. Nasza marynarka panuje na morzu. Nasze okręty są szybsze, nowocześniejsze i lepiej uzbrojone. Mimo ponad

pięćdziesięciu lat terroru, inkwizycji i rozlewu krwi Hiszpanie nie zdołali ujarzmić Holendrów. Nasi sprzymierzeńcy są bezpieczni i silni, co więcej śmiertelnie wykrwawiają imperium hiszpańskie. Zwyciężymy, ponieważ władamy na morzach i ponieważ król hiszpański, powodowany próżną butą, nie zwróci obcym narodom wolności.

–Władacie na morzach? Także naszych morzach? Tych wokół naszych wybrzeży?

–Nie, oczywiście, że nie, Toranaga-sama. Nie chciałem wyjść na pyszałka. Mówiłem naturalnie o europejskich mordach, chociaż...

–To dobrze, cieszę się, że jest to oczywiste. Co chciałeś powiedzieć? „Chociaż...”?

–Chociaż już wkrótce na wszystkich otwartych morzach zmieciemy naszych wrogów – oświadczył dobitnie Blackthorne.

–Powiedziałaś „wrogów”. A może i my jesteśmy waszymi wrogami? Co wtedy? Spróbujecie zatopić nasze statki i spustoszyć nasze wybrzeża?

–Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli być wrogami.

–A ja tak, z łatwością. I co wtedy?

–Gdybyście zwrócili się przeciwko mojemu krajowi, to zaatakowałbym was i spróbował pobić – odparł Blackthorne.

–A gdyby twój władca rozkazał ci zaatakować nas tutaj?

–Tobym mu to odradził. Stanowczo. Nasza królowa wysłuchałaby mnie. Ona...

–To wami rządzi królowa, a nie król?

–Tak, panie Toranaga. Nasza królowa jest mądra. Nie wydałaby tak niemądrego rozkazu.

— A gdyby go jednak wydała? Albo gdyby wydał go wasz prawowity władca? Wtedy poleciłbym swoją duszę Bogu, bo z pewnością bym zginął. Tak czy inaczej.

–Tak. Zginąłbyś. Ty i wszystkie wasze legie. – Toranaga zamilkł na chwilę, po czym spytał: – Ile czasu zajęło ci dotarcie tutaj?

–Prawie dwa lata. Dokładnie rok, jedenaście miesięcy i dwa dni. W przybliżeniu jest to dystans czterech tysięcy lig, z których każda liczy trzy mile.

Ojciec Alvito przełożył jego odpowiedź, a potem krótko ją skomentował. Toranaga i Hiro-matsu zadali mu pytanie, na które odpowiedział kiwając głową. Toranaga

wachlował się w zamyśleniu.

–Przeliczyłem czas i odległość na ich miary, naczelny pilocie Blackthorne – wyjaśnił uprzejmie książd.

–Dziękuję.

–Jak tu dopłynąłeś? – zwrócił się wprost do niego Toranaga.

Jaką trasą?

–Przez Cieśninę Magellana. Gdybym miał swoje mapy i ruty, pokazałbym ci to jak na dłoni, ale mi je ukradziono, zabrano wraz z listami kaperskimi i wszystkimi dokumentami. Gdybyś...

Blackthorne urwał, ponieważ Toranaga przemówił szorstko do Hiro-matsu, który był wzburzony tak jak i on.

–Twierdzisz, że zabrano ci wszystkie dokumenty... ukradziono?

–Tak.

–To straszne, jeśli mówisz prawdę. W Nipponie – Japonii – brzydzimy się złodziejstwem. Kradzież karana jest śmiercią. Natychmiast to zbadamy. Niepodobna, żeby to zrobił Japończyk, choć zdarzają się tu i tam podli bandyci i piraci.

–Może je przeniesiono – powiedział Blackthorne. – I gdzieś je ukryto. Ale one są cenne, panie Toranaga. Bez moich morskich map stanę się jak ślepiec w labiryncie. Mam ci opisać moją trasę?

–Tak, ale później. Najpierw powiedz mi, dlaczego naprawdę przepłynąłeś taki kawał świata.

–Przybyliśmy, żeby handlować, pokojowo – powtórzył Blackthorne, powściągając zniecierpliwienie. – Żeby handlować i odpłynąć z powrotem do ojczyzny. Wzbogacić was i nas. A poza tym spróbować...

–Wzbogacić was i nas? A co jest ważniejsze?

–Obaj partnerzy muszą na tym oczywiście zyskać, a handel musi być uczciwy. Poszukujemy możliwości takiej wymiany handlowej, która potrwałaby dłużej, proponujemy wam warunki lepsze od tych, które dają wam Portugalczycy i Hiszpanie, a ponadto lepszy transport. Nasi kupcy...

Blackthorne urwał na dźwięk podniesionych głosów za drzwiami sali. Hiro-matsu wraz z połową strażników natychmiast znalazł się przy nich, a pozostali zbili się w

ciasną gromadę, osłaniając podest. Samuraje przy drzwiach wewnętrznych również stanęli w pogotowiu.

Toranaga nie poruszył się. Powiedział coś do ojca Alvito.

–Masz podejść tutaj, kapitanie Blackthorne, dalej od tamtych drzwi – powiedział jezuita ze starannie stuszowanym ponagleniem w głosie. – Jeżeli ci życie miłe, to nie rób gwałtownych ruchów ani się nie odzywaj.

Podszedł wolno do lewych wewnętrznych drzwi i usiadł w ich pobliżu.

Zaniepokojony Blackthorne uklonił się Toranadze, który nie zareagował na jego ukłon, i ostrożnie zbliżył się do księdza, głęboko świadom, że z punktu widzenia jezuity posłuchanie wypadło katastrofalnie.

–Co się dzieje? – wyszeptał, kiedy usiadł.

Strażnicy w pobliżu zamarli w groźnych pozach, na co Alvito powiedział coś do nich szybko, żeby rozwiać ich obawy.

–Jeżeli jeszcze raz się odezwiesz, stracisz życie – ostrzegł Blackthorne i pomyślał, że im wcześniej to się stanie, tym lepiej. Z za mierzoną powolnością wyjął z rękawa chusteczkę i wytarł spocone dłonie. Musiał wykorzystać całą swoją praktykę i siłę ducha, żeby zachować spokój i dobrotliwość w czasie wypytywania tego heretyka, który okazał się nawet gorszy, niż spodziewali się tego on i ojciec wizytator.

Drzwi na drugim końcu sali rozwarły się z dygotem.

–Wielmożny panie, chce się z tobą widzieć pan Ishido – obwieścił Naga. – Jest... jest tu, w korytarzu, i chce się z tobą widzieć. Mówi, że natychmiast.

–Wszyscy na miejsca – polecił Toranaga swoim samurajom.

Bezzwłocznie wypełnili jego rozkaz. Ale wszyscy, z Hiro-matsu ha czele, usiedli frontem do drzwi, a miecze wysunęli z pochew.

–Naga-san. Powiedz panu Ishido, że zawsze jest mile widziany. Poproś go do środka.

Do sali wkroczył wysoki Japończyk. A za nim dziesięciu jego samurajów – Szarych – pozostali oni jednak przy drzwiach i na jego znak usiedli ze skrzyżowanymi nogami.

Toranaga uklonił się z etykietalną pedanterią, otrzymując w zamian równie nienaganny ukłon.

Ojciec Alvito pobłogosławił swoje szczęście, że się tu – znalazł w takiej chwili.

Wiszące w powietrzu starcie dwóch rywalizujących ze sobą przywódców mogło całkowicie odmienić bieg wydarzeń w cesarstwie i losy Kościoła, dlatego każda wskazówka albo bezpośrednia informacja, która mogła pomóc jezuitom w podjęciu decyzji, kogo poprzeć, była niesłychanie ważna. Ishido praktykował buddyzm i był, fanatycznie antychrześcijański. Toranaga zaś praktykował buddyzm zen i otwarcie sympatyzował z chrześcijanami. Ale większość chrześcijańskich daimyō popierała Ishido, obawiając się – Alvito sądził, że nie bez podstaw – dominacji Toranagi. Chrześcijańscy daimyō przeczuwali, że jeżeli Toranaga wyeliminuje wpływy Ishido w Radzie Regencyjnej, to przywłaszczy sobie całą władzę. Sądził też, że kiedy już ją zdobędzie, to wprowadzi w życie Dekrety o Wydaleniu wydane przez taikō i zniszczy Prawdziwą Wiarę. Gdyby jednak Toranaga został usunięty z drogi, to musiałby go ktoś zastąpić, ktoś słaby, a wówczas Kościół by kwitł.

Podobnie jak z chwiejną lojalnością chrześcijańskich daimyō miały się sprawy z pozostałymi feudałami w Japonii, a równowaga sił pomiędzy dwoma głównymi przywódcami ciągle się zmieniała, tak więc nikt nie miał pewności, która strona jest rzeczywiście silniejsza. Nawet on, Alvito, najlepiej poinformowany Europejczyk w cesarstwie, nie potrafił określić na pewno, za kim właściwie opowiedzą się chrześcijańscy daimyō, kiedy dojdzie do otwartego starcia, ani też która frakcja zwycięży.

Patrzył, jak Toranaga schodzi z podestu, pośród kordonu ubezpieczających go ze wszystkich stron samurajów.

– Witam, panie Ishido. Zechciej usiąść. – Toranaga wskazał jedyną poduszkę na podeście. – Chcę, żeby ci było wygodnie.

– Dziękuję, ale nie skorzystam, panie Toranaga.

O rok młodszy od Toranagi Ishido Kazunari był szczupły, smagły i bardzo twardego charakteru. Od dawna odnosili się do siebie wrogo. Pod swoją komendą w Osace i okolicach miał osiemdziesiąt tysięcy samurajów, gdyż był komendantem garnizonu, a tym samym również dowódcą straży następcy taikō, naczelnym wodzem Armii Zachodu, zdobywcą Korei, członkiem Rady Regencyjnej i z urzędu generalnym inspektorem wszystkich wojsk zmarłego taikō, a więc z mocy prawa wszystkich oddziałów wszystkich daimyō w całym cesarstwie.

– Dziękuję, ale nie skorzystam – powtórzył. – Byłbym skrepowany, gdybym sam siedział wygodnie, a ty nie, ne? Kiedyś usiądę na twojej poduszce, ale nie dziś.

Na tę zawołaną groźbę Ishido przez szeregi Brązowych przeszła fala gniewu, ale Toranaga odpowiedział mu miłym tonem:

– Zjawiasz się w najodpowiedniejszej chwili. Właśnie kończyłem przesłuchiwać tego

nowego barbarzyńcę. Tsukku-san, powiedz mu, proszę, żeby wstał.

Jezuita wypełnił polecenie. Z drugiego końca sali wyczuwał wrogość bijącą od Ishido. Ishido był nie tylko przeciwnikiem chrześcijaństwa, ale zaciekle potępiał wszystkich Europejczyków i chciał całkowicie zamknąć przed nimi cesarstwo.

Na Blackthorne'a spojrzał z wyraźną odrazą.

–Słyszałem, że jest brzydki, ale nie miałem pojęcia jak bardzo.

Powiadają, że to pirat. Jest piratem?

–Masz wątpliwości? A ponadto łże.

–A więc zanim go ukrzyżujesz, daj mi go, proszę, na pół dnia. Być może następca ucieszy się, jeżeli ujrzy go najpierw z głową na karku. – Ishido zaśmiał się nieprzyjemnie. – A może należy go nauczyć tańczyć jak niedźwiedzia, a wówczas można by go było obwozić po cesarstwie i pokazywać jako „Potwora ze Wschodu”.

Chociaż prawdą było, że Blackthorne przybył wyjątkowo ze wschodnich mórz – a nie jak Portugalczycy, którzy zawsze przypliwali z południa i dlatego nazywano ich Południowymi Barbarzyńcami – Ishido natrętnie dawał do zrozumienia, że tak naprawdę to potworem jest Toranaga, panujący nad wschodnimi prowincjami.

Ale Toranaga tylko się na to uśmiechnął, jakby nic nie zrozumiał.

–Masz ogromne poczucie Rumoru, panie Ishido – rzekł. – Ale zgadzam się z tobą, że im szybciej ten barbarzyńca zniknie, tym lepiej. Jest gadatliwy, zarozumiały, hałaśliwy, owszem, także niezwykły, ale niewiele wart, a poza tym zupełnie nie wychowany. Naga-san, przyślij tu kilku ludzi i wsadźcie go do zwykłych przestępców. Tsukku-san, każ mu z nimi iść.

–Naczelnny pilocie, masz iść z tymi ludźmi.

–Dokąd?

Alvito zawahał się. Cieszył się, że zwyciężył, ale jego przeciwnik był dzielny i miał nieśmiertelną duszę, która jeszcze mogła być zbawiona. – Zostaniesz uwięziony – rzekł. – Na jak długo?

–Nie wiem, synu. Aż pan Toranaga podejmie co do ciebie decyzję.

Przyglądając się wychodzącemu z sali barbarzyńcy, Toranaga z żalem odłożył na później myśli o jego rewelacjach i zajął się rozwiązaniem pilniejszych problemów z Ishido.

Postanowił nie odsyłać księdza wiedząc, że to jeszcze bardziej rozwścieczy Ishido, chociaż był przy tym równie mocno świadom, że dalsza obecność tutaj jezuita może się okazać w tej samej mierze niebezpieczna. Im mniej wiedzą cudzoziemcy, tym lepiej. Im mniej wiedzą wszyscy, tym lepiej, pomyślał. Czy wpływ Tsukku-sana na chrześcijańskich daimyō przyniesie mi korzyść, czy też obróci przeciw mnie? Aż do dzisiaj wierzyłem mu bez zastrzeżeń. Ale w rozmowie z barbarzyńcą zdarzyło się kilka dziwnych momentów, których jeszcze nie rozumiem.

Ishido umyślnie nie dopełnił zwyczajowych uprzejmości, tylko od razu przeszedł do rzeczy.

–Jeszcze raz muszę cię zapytać, panie, jaka jest twoja odpowiedź Radzie Regencyjnej – rzekł.

–Odpowiadam jeszcze raz: jako przewodniczący Rady wszelkie odpowiedzi uważam za zbędne. Zaaranżowałem kilka drugorzędnych związków rodowych, bez istotnego znaczenia. Nie wymaga to żadnej odpowiedzi.

–Zaręczyłeś swojego syna, pana Nagę, z córką pana Masamune, jedną ze swoich wnuczek wydałeś za syna i następcę pana Zatakiego, a inną wnuczkę za syna pana Kiyamy. Wszystkie te małżeństwa zostały zawarte z feudałami albo ich bliskimi krewnymi, dlatego też bynajmniej nie są bez znaczenia, a ponadto są całkowicie sprzeczne z rozkazami naszego pana.

–Nasz zmarły pan, taikō, nie żyje od roku. Niestety. Tak. Żałuję, że mój szwagier umarł, wolałbym, żeby żył i nadal kierował losami cesarstwa – rzekł uprzejmie Toranaga i dodał, by rozjątrzyć nie gojącą się ranę: – Gdyby mój szwagier żył, na pewno poparłby te rodzinne związki. Jego zalecenia dotyczyły małżeństw, które zagrażałyby sukcesji jego potomka. Ja nie zagrażam panowaniu rodu taikō ani też następcy, mojemu siostrzeńcowi Yaemonowi. Wystarcza mi, że jestem księciem Kantō. Nie zabiegam o nowe ziemie. Żyję w pokoju z sąsiadami i chcę utrzymać pokój, jaki ustanowił nasz pan. I nie ja, na pana Buddę, ten pokój zburzę.

Przez sześć wieków cesarstwo wyniszczały nieustanne wojny Dōmowe. Trzydzieści pięć lat temu mało znaczący daimyō Goroda zajął Kioto, głównie za namową Toranagi. W ciągu dwóch następnych dziesięcioleci wojownikowi temu jakimś cudem udało się podbić pół Japonii, usypał górę z czaszek i ogłosił się dyktatorem, ale nie był wciąż jeszcze na tyle potężny, żeby wystąpić do władającego cesarza o

przyznanie mu tytułu shōguna, choć łączyły go pewne niejasne koligacje z gałęzią rodu Fujimoto. A potem, przed szesnastoma laty, Gorodę zabił jeden z jego generałów, władza zaś przeszła w ręce jego czołowego wasala i najznamienitszego generała, chłopca Nakamury.

W ciągu czterech krótkich lat generał Nakamura, wspomagany przez Toranagę, Ishido oraz innych wytępił potomków Gorody, poddał całą Japonię swojej absolutnej, wyłącznej władzy i w ten sposób po raz pierwszy w historii jeden człowiek podporządkował sobie całe cesarstwo. Triumfalnie udał się do Kioto, żeby pokłonić się Go-Nijo, Synowi Niebios. Tam, ponieważ z urodzenia był chłopem, musiał się zadowolić skromniejszym tytułem kampaku, naczelnego dowódcy, którego później rzekł się na korzyść swojego syna, a sam obrał sobie tytuł taikō. Pokłony bili mu jednak wszyscy daimyō, nawet Toranaga. Nie do wiary, ale przez dwanaście lat panował całkowity spokój. A zeszłego roku taikō zmarł.

–Na pana Buddę – powtórzył Toranaga. – To nie ja zburzę ten pokój.

–Ale na wojnę wyruszysz?

–Mądry człowiek jest przygotowany na zdradę, ne? W każdej prowincji są źli ludzie. Niektórzy na wysokich stanowiskach. Obaj wiemy, jak bezgraniczne są rozmiary zdrady w ludzkich sercach. – Toranaga przybrał surową pozę. – Podczas gdy taikō pozostawił nam w dziedzictwie jedność, my dzielimy ją na mój Wschód i twój Zachód. Rada Regencyjna jest podzielona. Daimyō poróżnieni. Rada nie jest w stanie rządzić zarobaczoną wioską, a cóż dopiero cesarstwem. Im prędzej syn taikō dorośnie, tym lepiej. Im szybciej nastanie nowy kampaku, tym lepiej.

–A może shōgun? – spytał znacząco Ishido.

–Kampaku, shōgun czy taikō władza jest ta sama – odparł Toranaga. – Co znaczą tytuły? Liczy się tylko władza! Goroda nie został shōgunem. Nakamurze w zupełności wystarczał tytuł kampaku, a później tytuł taikō. Władał i tylko to się liczyło. Czy to ważne, że mój szwagier był kiedyś chłopem? Czy to ważne, że mój ród jest starożytny? Czy to ważne, że ty jesteś nisko urodzony? Jesteś generałem, feudalnym panem, a nawet wchodzisz w skład Rady Regencyjnej.

To jest bardzo ważne, pomyślał Ishido. I ty o tym wiesz. Wie o tym każdy daimyō. Wiedział o tym nawet taikō.

–Yaemon ma siedem lat – odparł. – Za siedem zostanie kampaku. A do tego czasu...

–Za osiem lat, generale Ishido. Tak stanowi historyczne prawo. Kiedy mój siostrzeniec skończy piętnaście lat, stanie się dorosły i wszystko odziedziczy. A do tego czasu my, pięciu regentów, rządymy w jego imieniu. Tak życzył sobie nasz zmarły pan. Tak. I przykazał też, żeby regenci nie brali nawzajem żadnych

zakładników. A pani Ochiba, matka następcy, jest zakładniczką w twoim zamku w Edo, żeby zapewnić ci tu bezpieczeństwo, to zaś jest pogwałceniem woli taikō. Tak jak wszyscy regenci, również i ty zobowiązałeś się do przestrzegania umów. Podpisałeś nawet te dokumenty własną krwią.

Toranaga westchnął.

–Pani Ochiba przebywa z wizytą w Edo u swojej jedynej, rodzącej siostry. Jej siostra jest żoną mojego syna i dziedzica. Kiedy ja jestem tutaj, miejsce mojego syna jest w Edo. Czy może być coś zwykłego od odwiedzin siostry przez siostrę w takim czasie? Czyż nie jest otoczona szacunkiem? Być może urodzi mi się pierwszy wnuk, ne?

–Matka następcy jest najważniejszą damą w cesarstwie. Nie powinna być w... – Ishido chciał powiedzieć „w rękach wroga”, ale się rozmyślił – w jakimś obcym mieście. – Zamilkł, a potem obcesowo dodał: – Rada chce, żebyś dziś rozkazał jej powrócić do domu.

Toranaga uniknął zastawionej pułapki.

–Powtarzam, że pani Ochiba nie jest zakładniczką, dlatego nie jest na moje rozkazy i nigdy nie była.

–Pozwól zatem, że wyrażę to inaczej. Rada życzy sobie, żeby natychmiast zjawiała się w Osace.

–Kto sobie tego życzy?

–Ja. Pan Sugiyama, Pan Onoshi i pan Kiyama. A ponadto ustaliliśmy wspólnie, że zaczekamy tutaj aż do jej powrotu do Osaki. Oto ich podpisy.

Toranaga wściekł się. Do tej pory manipulował Radą tak, że jej głosy były podzielone w stosunku dwa do trzech. Nigdy nie udało mu się wygrać z Ishido cztery do jednego, ale również Ishido wygrać z nim. Cztery głosy przeciwko jednemu oznaczały izolację i klęskę. Dlaczego opuścił go Onoshi? Dlaczego zrobił to Kiyama? Nawet przed przyjęciem tej nowej obcej religii byli przecież zawziętymi wrogami. I jaką władzę miał w tej chwili nad nimi Ishido?

Ishido wiedział, że zdruzgotał przeciwnika. Ale do pełnego zwycięstwa pozostało mu jeszcze jedno posunięcie. Tak więc zrealizował plan, który ustalili z Onoshim.

–My, regenci, wszyscy jesteśmy zdania, że nadszedł czas rozprawienia się z tymi, którzy chcą przywłaszczyć sobie władzę naszego pana i zabić następcę. Zdrajców nie ominie kara. Wystawieni zostaną wraz ze wszystkimi członkami rodu na widok publiczny jak pospoliccy przestępcy, a potem wraz z nimi jak pospoliccy przestępcy

straceni. Nieważne, kto to będzie, Fujimoto, Takashima, nisko czy wysoko urodzony, bez różnicy! Nawet Minowara!

Wszyscy samuraje Toranagi aż sapanęli z gniewu, bo takie świętokradcze słowa skierowane przeciwko półkrólewskim rodom były czymś niesłychanym. A potem młody samuraj Usagi, mąż wnuczki Hiro-matsu, zerwał się na nogi, pokraśniały z gniewu. Wyciągnął swój zabójczy miecz i skoczył z obnażoną, gotową do zadania oburącz cięcia klingą ku Ishido.

Ishido był przygotowany na zabójczy cios i nie zrobił najmniejszego ruchu w swojej obronie. Tak to zamyślił, na to liczył, jego samuraje zaś mieli rozkaz nie robić nic, dopóki nie zginie. Gdyby został zabity tu, w tej chwili przez samuraja Toranagi, cały garnizon w Osace miałby usprawiedliwiony powód, żeby zaatakować Toranagę i zabić go, nie bacząc na zakładniczkę. Wówczas pani Ochiba zostałaby w odwecie stracona przez synów Toranagi, a pozostali regenci wystąpili razem przeciwko rodowi Yoshi, który, odosobniony, zostałby wycięty w pień. Tylko wtedy dziedzictwo następcy byłoby zagwarantowane, a on, Ishido, wypełniłby swój obowiązek wobec taikō.

Ale cios nie nastąpił. W ostatniej chwili Usagi opamiętał się i drżącą ręką schował miecz do pochwy.

–Błagam o wybaczenie, panie Toranaga – powiedział, klękając w uniżonej pozie. – Wysłuchiwanie takich... takich haniebnych obelg jest nie do zniesienia. Pozwól, proszę... przepraszam i... pozwól mi natychmiast popełnić seppuku, bo nie mogę dłużej żyć z takim wstydem.

Chociaż Toranaga nie poruszył się, był przygotowany, żeby odbić cios młodzieńca, a ponadto wiedział, że jest do tego przygotowany Hiro-matsu, jak i pozostali, tak więc Ishido zostałaby najpewniej jedynie ranny. Rozumiał też powody tak obraźliwego i prowokacyjnego za chowania się rywala. Odplacę ci za to z olbrzymim procentem, przyrzekł mu w duchu.«

Skupił uwagę na klęczącym młodym samuraju.

–Jak śmiesz sugerować, że którekolwiek ze słów pana Ishido mogło mnie w jakikolwiek sposób obrazić – rzekł. – Pan Ishido nigdy by sobie nie pozwolił na taką niegrzeczność. Jak śmiesz przysłuchiwać się rozmowie, która ciebie nie dotyczy. Nie, nie pozwolę ci popełnić seppuku. Bo seppuku to zaszczyt. A tobie brak honoru i dyscypliny wewnętrznej. Zostaniesz dziś ukrzyżowany jak pospolity przestępca. Twoje miecze zostaną złamane i zakopane w wiosce eta. Twój syn będzie pochowany w wiosce eta. Twoja głowa zostanie zatknięta na pikę, żeby wszyscy mogli się śmiać z napisu na niej: „Ten człowiek przez pomyłkę urodził się samurajem. Jego imię przestaje istnieć!”

Usagi z najwyższym trudem opanował oddech, ale zalewał go pot i dręczył wstyd. Ukłonił się Toranadze i, na pozór spokojny, przyjął swój los.

Hiro-matsu podszedł do męża swojej wnuczki i wyszarpnął mu zza pasa miecze.

–Panie Toranaga – rzekł posępnie – za twoim pozwoleniem osobiście dopilnuję wykonania tych rozkazów.

Toranaga skinął głową.

Młodzieniec ukłonił się po raz ostatni i już zaczął się podnosić, ale Hiro-matsu pchnięciem z góry przycisnął go do podłogi, – Chodzą samuraje – rzekł. – Tak samo mężczyźni. Ale ty nie jesteś ani jednym, ani drugim. Ty poczołgasz się ku swojej śmierci.

Usagi bez słowa wypełnił polecenie.

I wszystkich w sali zbudowała siła dyscypliny wewnętrznej młodzieńca oraz rozmiary jego odwagi. Odrodzi się samurajem, powiedzieli sobie w duchu zadowoleni.

13.

Tej nocy Toranaga nie mógł zasnąć. Zdarzało mu się to rzadko, ponieważ zwykle mógł odłożyć najpilniejsze problemy na następny dzień wiedząc, że jeżeli do niego dożyje, to rozwiąże je najlepiej, jak potrafi. Dawno temu odkrył, że niezakłócony sen może dostarczyć odpowiedzi na wiele zagadek, a jeżeli nie dostarczał, czyż było to aż takie ważne? Czyż życie nie było tylko kroplą rosy w kropli rosy?

Ale dzisiejszego wieczora zebrano się za dużo zawitych kwestii do rozważenia.

Co zrobić z Ishido?

Dlaczego Onoshi przeszedł na stronę wroga?

Jak postąpić z Radą Regencyjną?

Czy chrześcijańscy księża znowu maczali w tym palce?

Skąd nadejdzie następna próba zamachu na jego życie?

Kiedy należy zająć się Yabu?

I co trzeba zrobić z barbarzyńcą?

Czy mówił prawdę?

To dziwne, że ten barbarzyńca przypląnął ze wschodnich mórz właśnie teraz. Czy to jakiś omen? Czy to jego karma okaże się iskrą, która podpali tę baryłkę prochu?

Karma była hinduskim słowem przyswojonym przez Japończyków, elementem filozofii buddyjskiej odnoszącym się do losu jednostki w tym życiu, jej losu nieodwracalnie ustalonego przez uczynki dokonane w życiu poprzednim – uczynki dobre dawały lepsze miejsce w tej warstwie istnienia, a złe przeciwnie. Podobnie jak uczynki w życiu obecnym miały bezwzględny wpływ na ponowne narodziny. Pojedynczy człowiek odradzał się wciąż od nowa na tym padole płaczu, aż wreszcie po trudach, cierpieniach i naukach w ciągu wielu, wielu żywotów osiągał doskonałość, przechodząc do nirwany, Miejsca Doskonałego Spokoju, nigdy więcej nie cierpiąc ponownych narodzin.

To dziwne, że Budda albo jakiś inny bóg, a może po prostu karma przywiodła tego Anglika do lenu Yabu. To dziwne, że wylądował w tej właśnie wiosce, gdzie Mura, tajny przywódca szpiegowskiej siatki na Izu, został umieszczony tyle lat temu pod samym nosem taikō i tego zżartego przez syfilis ojca Yabu. To dziwne, że Tsukkus-san był akurat tu, w Osace, żeby dla mnie tłumaczyć, a nie, tak jak zwykle, w

Nagasaki. Na dodatek jest w Osace główny kapłan chrześcijan, a także portugalski generał-gubernator. To dziwne, że ten pilot, Rodrigues, również był pod ręką, żeby zawieźć Hiro-matsu do Anjiro w samą porę, by pojmał barbarzyńcę żywego i zajął działa. No i jeszcze Kasigi Omi, syn człowieka, który wręczy mi głowę Yabu na jedno moje skinienie palcem.

Jakie piękne jest życie i jakie smutne! Jak ulotne, bez przeszłości i przyszłości, obecne w bezgranicznym teraz!

Toranaga westchnął. Jedno było pewne: że barbarzyńca nigdy nie opuści Japonii. Ani żywy, ani umarły. Że na zawsze jest własnością cesarstwa.

Jego uszy wyłowiły prawie niedosłyszalny odgłos zbliżających się kroków i przygotował miecz. Co noc zmieniał sypialnie i strażników, a nieregularnie hasło, zabezpieczając się przed napaścią nieustannie czyhających nań zabójców. Kroki zatrzymały się za shoji. A potem usłyszał głos Hiro-matsu i pierwszą część hasła:

–Jeżeli Prawda jest już odsłonięta, po co medytować?

–A jeżeli Prawda jest ukryta? – odparł Toranaga.

–Jest odsłonięta – rzekł, tak jak należało, Hiro-matsu. Cytat ów pochodził ze starożytnego tantrystycznego buddyjskiego nauczyciela Sarahy.

–Wejdz.

Dopiero kiedy Toranaga zobaczył, że jest to rzeczywiście jego doradca, odłożył miecz.

–Usiądź!

–Usłyszałem, że nie śpisz. Pomyślałem, że może ci czegoś potrzeba.

–Nie, dziękuję. – Toranaga spostrzegł, że zmarszczki wokół oczu starca pogłębiły się. – Cieszę się, żeś przyszedł, stary druhu – powiedział.

–Na pewno dobrze się czujesz?

–O, tak.

–Wobec tego pójdę. Przepraszam, że ci przeszkodziłem, panie. – Nie, proszę, wejdz, cieszę się, żeś przyszedł. Siadaj. Starzec usiadł wyprostowany przy drzwiach.

–Podwoiłem strażę – powiedział.

–To dobrze.)

–A co do tego szaleńca – odezwał się Hiro-matsu po chwili – to dokładnie wypełniłem twoje rozkazy. Wszystkie.

–Dziękuję.

–Jego żona, moja wnuczka, jak tylko usłyszała o twoim wyroku, poprosiła, żebym pozwolił jej się zabić, tak aby mogła towarzyszyć mężowi i synowi w Wielkiej Pustce. Odmówiłem i nakazałem jej czekać na twoje pozwolenie.

Hiro-matsu cierpiał w duszy. Jakże okrutne było życie.

–Słusznieś postąpił.

–Oficjalnie proszę cię, byś pozwolił mi zakończyć życie. On cię wystawił na śmiertelne niebezpieczeństwo, ale to moja wina. Powinienem był dostrzec jego wady. Zawiodłem cię.

–Nie wolno ci popełnić seppuku.

–Proszę! Oficjalnie proszę cię o pozwolenie.

–Nie. Jesteś mi potrzebny żywy.

–Będę ci posłuszny. Ale zechciej przyjąć moje przeprosiny.

–Przyjmuję twoje przeprosiny – rzekł Toranaga i po chwili spytał: – A co z barbarzyńcą?

–Bardzo wiele, panie. Po pierwsze: gdybyś dziś na niego nie czekał, to od świtu polowałbyś z sokołem i Ishido nie wciągnąłby cię w pułapkę, jaką było to oburzające spotkanie. W tej chwili nie pozostaje ci nic innego jak wydać mu wojnę, jeżeli tylko zdołasz wydostać się z tego zamku i wrócić do lido.

–A po drugie?

I po trzecie, po czterdzieste trzecie i sto czterdzieste trzecie. Nie jestem ani trochę tak mądry jak ty, panie, ale nawet ja dostrzegam, że wszystko, co wmawiano nam o Południowych Barbarzyńcach, nie jest prawdą. – Hiro-matsu był rad, że mówi. Pomagało mu to łagodzić ból. – A jeżeli istnieją dwie chrześcijańskie religie, które się nienawidzą, jeżeli Portugalczycy są częścią większego narodu hiszpańskiego i jeżeli ten nowy barbarzyński kraj, jakkolwiek brzmi jego nazwa, walczy z nimi oboma i zwycięża je, a ponadto jeśli tenże kraj jest narodem wyspiarskim jak my i – największe „jeśli” ze wszystkich – jeśli ten barbarzyńca nie kłamie, a ksiądz wiernie tłumaczy jego słowa... No, to można „te wszystkie „jeśli” zebrać razem, wyciągnąć z nich wnioski i ułożyć plan. Bardzo mi przykro, ale ja nie potrafię tego zrobić. Wiem

tylko to, co zobaczyłem w Anjiro i na tym statku. To mianowicie, że ten Anjin – fizycznie w tej chwili słaby, co zapewne jest skutkiem długiej podróży – ma głowę nie od parady i że panuje nad morzem. Dla mnie jest niepojęty. Jak można mieć aż tyle zalet, a przy tym pozwolić na to, żeby ktoś narobił ci na plecy? Dlaczego ocalił życie Yabu po tym, co ten człowiek mu zrobił, a także życie swojemu zdeklarowanemu wrogowi, Portugalczykowi Rodrigu? Od tej masy pytań w głowie mi się kręci, jakbym się opił sake. – Hiro-matsu zamilkł. Był bardzo zmęczony. – Jestem jednak zdania” że powinniśmy trzymać na łodzi jego i wszystkich mu podobnych, jeżeli tacy zjawiają się tu po nim, a poza tym, że wszystkich ich trzeba bardzo szybko zabić.

–A co z Yabu?

–Kaź mu dziś wieczorem popełnić seppuku.

–Dlaczego?

–Jest niewychowany. Przewidziałeś, co zrobi po przyjeździe do Anjiro. Chciał ukraść twoją własność. A poza tym kłamie. Nie zwracaj sobie głowy spotykaniem się z nim, jak planowałeś. Zamiast tego pozwól, że przekażę mu twój rozkaz. Prędeż czy później będziesz go musiał zabić. Lepiej teraz, kiedy masz go pod ręką i nie otaczają go jego wasale. Radzę ci nie zwlekać.

Ktoś cicho zapukał do wewnętrznych drzwi.

–Tora-chan?

Toranaga tak jak zawsze uśmiechnął się na dźwięk tego wyjątkowego głosu, który wyjątkowo zdrabniał jego imię.

–Tak, Kiri-san?– odpowiedział.

–Pozwoliłam sobie, panie, przynieść tobie i twojemu gościowi cha. Czy mogę Wejść?

–Tak.

Obaj mężczyźni odkłonili się jej. Kiri zamknęła drzwi i zajęła się nalewaniem. Miała pięćdziesiąt trzy lata i była wpływową Pierwszą Damą pośród dam dworu Toranagi, najstarszą z nich. Nazywała się Kiritsubo-no-Toshiko, a zwracano się do niej Kiri. Włosy miała przyprószone siwizną, kibić grubą, a jej twarz wiecznie promieniowała radością.

–O tej porze powinienes spać, Tora-chan! Wkrótce zaświta, a ty, jak przypuszczam, pojedziesz wtedy w góry ze swoimi sokołami, ne? Potrzebujesz snu!

–Tak, Kiri-chan!

Toranaga poklepał ją czule po dużych pośladkach.

–Tylko bez żadnych „Kiri-chan”, proszę! – Kiri zaśmiała się. – Jestem starą kobietą i wymagam dużo szacunku. Twoje inne damy i tak już mi się dają we znaki. Zechciej zwracać się do mnie z łaski swojej Kiritsubo-Toshiko-san, mój panie Yoshi Toranaga-no-Chikitada!

–Sam więc widzisz, Hiro-matsu. Minęło dwadzieścia lat, a ona dalej próbuje mną rządzić.

Bardzo przepraszam, ale ponad trzydzieści lat, Tora-sama – odparła z dumą. – A cały czas byłeś mi, panie, tak powolny jak w tej chwili!

Kiedy Toranaga miał dwadzieścia kilka lat, był zakładnikiem despotycznego Ikawy Tadazakiego, władcy prowincji Suruga i Totomi, ojca obecnego daimyō Ikawy Jikkyu, który był wrogiem Yabu. Odpowiedzialny za właściwe zachowanie się Toranagi samuraj poślubił właśnie Kiritsubo, jako swoją drugą żonę. Miała wówczas siedemnaście lat. Samuraj ów wraz z Kiri traktował Toranagę z szacunkiem, służąc mu dobrą radą, a później, kiedy Toranaga zbuntował się przeciwko Tadazakiemu i przeszedł na stronę Gorody, podążył za nim z wieloma wojownikami i walczył dzielnie u jego boku. Potem, w walkach o stolicę, mąż Kiri zginął. Toranaga spytał ją, czy zostanie jedną z jego żon, na co chętnie przystała. W tamtych czasach nie była gruba, niemniej równie opiekuńcza i równie mądra. Szło jej wtedy na dziewiętnasty rok, a jemu na dwudziesty czwarty, i od tej pory była już bez przerwy duszą jego domu. Kiri była ogromnie bystra i bardzo uzdolniona. Od wielu lat prowadziła mu dom i chroniła od zmartwień.

Pomyślał, że chroni jego dom od zmartwień tak, jak żadna inna kobieta.

–Tyjesz – powiedział, nic sobie nie robiąc z jej otyłości.

Panie Toranaga! Takie słowa w obecności pana Tody?! Och, tak mi przykro, ale będę musiała popełnić seppuku, w najlepszym razie zaś ogolić głowę i zostać mniszką, a myślałam, że jestem taka młoda i szczupła! – Wybuchnęła śmiechem. – Prawdę powiedziawszy, to przyznaję, że mam gruby zadek, ale cóż na to poradzić. Po prostu lubię jeść, a to już kłopot Buddy i moje przeznaczenie, nie? – Podawała herbatę. – Proszę. A teraz odchodzę. Czy mam przysłać panią Sazuko?

–Nie, moja troskliwa Kiri-san, nie, dziękuję ci. Trochę porozmawiamy, a potem się prześpię.

–Dobranoc, Tora-sama. Śpij miło bez snów. Ukłoniwszy się jemu i Hiro-matsu, Kiri wyszła.

Z uznaniem pili herbatę.

–Wciąż żałuję, że nie mieliśmy szczęścia, Kiri i ja – powiedział Toranaga. – Kiedyś zaszła w ciążę, ale poroniła. Stało się to w czasie bitwy pod Nagakude.

–Ach, tej.

–Tak...

Fakt ten miał miejsce tuż po zabójstwie dyktatora Gorody, kiedy generał Nakamura, przyszły taikō, starał się skupić w swoich rękach całą władzę. Nie było to wówczas przesądzone, gdyż Toranaga popierał jednego z synów Gorody, jego prawowitego dziedzica. Nie opodal małej wioski Nagakude Nakamura wystąpił przeciwko Toranadze, jego wojska zostały rozbite, poszły w rozsypkę i przegrał tę bitwę. Toranaga rozsądnie się wycofał, ścigany przez inną, nową armię Nakamury, którą dowodził Hiro-matsu. Uniknąwszy wpadnięcia w pułapkę, Toranaga uciekł, nie ponosząc większych strat, do rodzinnych prowincji z całą swoją armią, gotów do następnej bitwy.– Pod Nagakude zginęło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a tylko garstka z nich należała do wojsk Toranagi. W swojej mądrości przyszły taikō wycofał się z wojny Dómwowej przeciwko Toranadze, choć byłby ją wygrał. Bitwa pod Nagakude była jedyną, jaką przegrał, a Toranaga jedynym generałem, który go pokonał.

–Cieszę się, że nigdy nie stoczyliśmy ze sobą bitwy, wielmożny panie – rzekł Hiro-matsu.

–Tak.

–Wygrałbyś ją.

–Nie. Taikō był największym wodzem i najmądrzejszym, najzdolniejszym człowiekiem, jakiego znałem.

Hiro-matsu uśmiechnął się.

–Owszem. Z wyjątkiem ciebie – odparł.

–Nie. Mylisz się. Właśnie dlatego zostałem jego wasalem.

–Szkoda, że nie żyje.

–Tak.

–+ No a Goroda... też był wspaniałym człowiekiem, ne? Tak wielu świetnych ludzi nie żyje. – Hiro-matsu bezwiednie obrócił się i przekręcił wysłużoną pochwę miecza.

– Musisz wystąpić przeciwko Ishido. Zmusi to wszystkich daimyō do stanięcia po jednej ze stron, raz na zawsze. W końcu wygramy tę wojnę. A potem możesz rozwiązać Radę i zostać shōgunem.

–Nie zabiegam o ten zaszczyt – ostro zaprotestował Toranaga. – Ile razy mam ci to powtarzać?

–Wybacz, wielmożny panie, wiem o tym. Ale uważam, że tak byłoby najlepiej dla Japonii.

–To zdrada.

–Wobec kogo, panie? Wobec taikō? On nie żyje. Zdrada wobec jego ostatniej woli? Toż to świstek papieru. Wobec tego chłopca Yaemona? Yaemon jest synem chłopca, który przywłaszczył sobie władzę i spuściznę generała, którego potomków wytępił. Byliśmy sprzymierzeńcami Gorody, a potem taikō. Tak jest. Ale obaj dawno nie żyją.

–Doradzałbyś to, gdybyś był jednym z regentów?

–Nie. Ale przecież nie jestem regentem i bardzo z tego rad. Jestem jedynie wasalem. Przed rokiem dokonałem wyboru. Zrobiłem to dobrowolnie.

–Dlaczego?

Toranaga nigdy dotąd go o to nie pytał.

–Ponieważ jesteś prawdziwym mężem, panie, ponieważ jesteś z rodu Minowara i ponieważ postąpisz mądrze. Słusznie powiedziałeś Ishido, że naszym narodem nie może rządzić rada. Nam potrzeba przywódcy. Komu z pięciu regentów miałem zaofiarować swoją służbę? Panu Onoshiemu? Tak, to bardzo mądry człowiek i dobry dowódca. Ale jest chrześcijaninem, kaleką, a ciało ma tak zżarte trądem, że cuchnie od niego na pięćdziesiąt kroków. Panu Sugiyamie? Jest najbogatszym daimyō w kraju, jego ród jest równie starożytny, jak twój. Ale to przeniewierca bez charakteru i obaj znamy go na wylot. Panu Kiyamie? To mądry, dzielny, wspaniały dowódca i stary towarzysz. Ale również chrześcijanin, a ja uważam, że w tej Krainie Bogów dość mamy własnych bóstw, żeby w takim zadufaniu czcić tylko jednego. Ishido? Jak tylko sięgam pamięcią, nienawidziłem tego zdradliwego chłopskiego padalca, a nie zabiłem go tylko dlatego, że wysługiwał się taikō. – Czerstwe oblicze Hiro-matsu przeciął uśmiech. – Sam więc widzisz, panie Yoshi Toranaga-no-Minowara, że nie dałeś mi wyboru.

–A jeżeli nie posłucham twojej rady? Jeżeli zacznę manipulować Radą Regencyjną, a nawet Ishido, i wydzwignę Yaemona do władzy?

–Cokolwiek robisz, robisz mądrze. Ale wszyscy regenci życzą ci śmierci. Taka jest

prawda. Doradzam ci więc natychmiastową wojnę. Natychmiastową! Zanim pozostawią cię samego. Albo, co bardziej prawdopodobne, zabiją.

Toranaga pomyślał o swoich wrogach. Byli potężni i liczni.

Powrót do Edo gościńcem Tokaidō, głównym traktem nadmorskim, który łączył Edo z Osaka, zajęłby im całe trzy tygodnie. Żegluga statkiem była niebezpieczna, być może nawet zajęłaby więcej czasu, chyba żeby popłynął galera, która może poruszać się pod wiatr i prądy.

Toranaga znów przebiegł w myślach plan, na który się zdecydował. Nie znalazł w nim słabych punktów.

–Wczoraj dowiedziałem się poufnie, że matka Ishido odwiedza w Nagoi swojego wnuka – rzekł i Hiro-matsu natychmiast zaczął pilnie słuchać. Nagoja była dużym miastem-księstwem, które jak dotąd nie opowiedziało się po żadnej ze stron. – Dama ta powinna zostać „zaproszona” przez przeora świątyni Johji do odwiedzenia jej. Żeby zobaczyć kwitnące wiśnie.

–Natychmiast – powiedział Hiro-matsu – wyślemy gołębia pocztowego.

Świątynia Johji słynęła z trzech rzeczy: swojej alei drzew wiśniowych, wojowniczości jej mnichów zen oraz jawnej i nie gasnącej wierności Toranadze, który przed laty dał pieniądze na jej budowę i od tamtej pory łożył na jej utrzymanie.

–Kwiaty będą już przekwitłe, ale ona stawi się tam jutro. Nie wątpię, że ta czcigodna dama zechce się zatrzymać na kilka dni, to tak uspokaja. Powinna tam przybyć wraz z wnukiem, ne?

–Nie... tylko ona. W przeciwnym razie „zaproszenie” przeora byłoby zbyt wymowne. Po wtóre: wyślij potajemnie szyfrowaną wiadomość do mojego syna Sudary: „Wyjeżdżam z Osaki, jak tylko skończy się spotkanie Rady Regencyjnej – za cztery dni”. Zrób to przez posłańca, a jutro potwierdź, wysyłając gołębia pocztowego.

Hiro-matsu wyraźnie nie pochwalał tej decyzji.

–A czy wobec tego mogę natychmiast zawezwąć dziesięć tysięcy ludzi? Do Osaki?

–Nie. Ci tutaj mi wystarczą. Teraz chyba się prześpię.

Hiro-matsu wstał i rozprostował ramiona. A potem, kiedy znalazł się w drzwiach, spytał:

–Czy mogę pozwolić swojej wnuczce Fujiko, żeby się zabiła?

–Nie. Ale Fujiko jest samurajką, panie, a sam wiesz, jak matki traktują swoich synów. To był jej pierworodny.

–Fujiko może mieć wiele dzieci. Ile ma lat? Osiemnaście... ledwo dziewiętnaście? Znajdę jej innego męża.

Hiro-matsu potrząsnął głową.

–Nie zgodzi się na nikogo. Za dobrze ją znam. Jej najgłębszym życzeniem jest zakończyć życie. Pozwolisz, panie?

–Powiedz swojej wnuczce, że nie pochwalam śmierci bez potrzeby. Odmawiam pozwolenia.

Po dłuższej chwili Hiro-matsu uklonił mu się i chciał wyjść, kiedy Toranaga spytał:

–Ile czasu barbarzyńca wytrzyma w tym więzieniu? Hiro-matsu nie odwrócił się.

–To zależy, jak zaciekle potrafi walczyć.

–Dziękuję ci. Dobranoc, Hiro-matsu – powiedział Toranaga, a kiedy upewnił się, że jest sam, rzekł cicho: – Kiri-san?

Wewnętrzne drzwi pokoju otworzyły się, kobieta weszła i uklękła.

–Prześlij natychmiast wiadomość Sudarze: „Wszystko w porządku”. Wyślij ją gołębiami pocztowymi. Wypuść o świcie trzy jednocześnie. W południe zrób to samo.

–Tak, panie – powiedziała i wyszła.

Jeden doleci, pomyślał. Co najmniej cztery padną łupem strzał, szpiegów lub jastrzębi. Ale jeżeli Ishido nie złamał naszego szyfru, to ta wiadomość i tak mu nic nie powie.

Szyfr ten był bardzo tajny. Znały go cztery osoby. Jego najstarszy syn Naboru, jego drugi syn i następca – Sudara, Kiri oraz on sam. Rozszyfrowana wiadomość znaczyła: „Nie zważaj na wszelkie inne wiadomości. Wprowadź Plan Piąty”. Przygotowany zawczasu Plan Piąty zawierał rozkazy zebrania wszystkich przywódców klanu Yoshi wraz z ich najbardziej zaufanymi tajnymi doradcami w jego stolicy Edo i przygotowania się do wojny. Zasyfrowane słowa oznaczające wojnę brzmiały „Szkarłatne Niebo”. Jego zabójstwo albo uwięzienie nieuchronnie uruchamiało Szkarłatne Niebo i rozpoczynało wojnę – natychmiastowy zaciekły atak wszystkich oddziałów na Kioto, pod wodzą jego następcy Sudary, przejęcie władzy w mieście i nad marionetkowym cesarzem Japonii. Towarzyszyłyby mu przygotowane w tajemnicy, skrupulatnie zaplanowane bunty w pięćdziesięciu prowincjach, które od

lat szykowano na taką okoliczność. Wszystkie cele ataku, szlaki, miasta, zamki, mosty, zostały wybrane dawno temu. Było dość broni, żołnierzy i środków do przeprowadzenia tego wszystkiego.

To dobry plan, pomyślał Toranaga. Ale zawiedzie, jeżeli nie przeprowadzę go ja. Sudarze się to nie uda. Nie dlatego, że nie dołoży starań, zabraknie mu odwagi bądź inteligencji, ale z powodu zdrady. Po prostu Sudarze brak jeszcze odpowiedniej wiedzy i doświadczenia, żeby pociągnąć za sobą daimyō nie zaangażowanych dotąd po żadnej ze stron. A ponadto na drodze stoją mu niezłomnie zamek w Osace i następca taikō, Yaemon, stanowiąc soczewkę, w której skupia się cała wrogość i zazdrość nagromadzona przeciwko mnie w ciągu tej trwającej pięćdziesiąt dwa lata wojny.

Dla Toranagi wojna rozpoczęła się, kiedy miał sześć lat i kazano mu być zakładnikiem w obozie wroga, potem zwolniono go, a następnie schwytany przez innych wrogów znów był trzymany w zastaw i wykupiony w wieku lat dwunastu. Kiedy miał dwanaście lat, poprowadził swój pierwszy zwiad i wygrał pierwszą potyczkę.

Tyle bitew. Ani jednej przegranej. Ale także tylu wrogów. Którzy w tej chwili łączą siły.

Sudarze się nie uda, powtórzył sobie. Tylko ty możesz wygrać za pomocą Szkarłatnego Nieba, być może. Taikō wygrałby na pewno. Lepiej jednak byłoby nie wprowadzać Szkarłatnego Nieba w czyn.

Dla Blackthorne'a ten świt był straszny. Starł się w walce na śmierć i życie z innym więźniem. Poszło o miskę owsianki. Obaj byli nadzy. Kiedy więźnia wtrącano do tego ogromnego, parterowego, drewnianego baraku, odbierano mu ubranie. W ubraniu człowiek zajmował więcej miejsca i mógł w nim ukryć broń.

Mroczne i duszne pomieszczenie miało pięćdziesiąt kroków na dziesięć i wypełniali je nadzy, spoceni Japończycy. Przez belki i deski, z których zbudowano ściany i nisko zawieszony, sufit, przesączało się bardzo niewiele światła.

Blackthorne z trudem mógł stać wyprostowany. Ciało miał brudne, podrapane połamanymi paznokciami przeciwnika i poobcierane o drewniane ściany. Wreszcie udało mu się trzasnąć Japończyka bykiem w twarz, chwycił go za gardło i zaczął walić jego głową o belki, aż tamten stracił przytomność. Potem zaś odrzucił nieprzytomnego w bok, przez kłębowisko spoconych ciał utorował sobie drogę do kąta, który dla siebie zajął, i przygotował się na następny atak.

O świcie karmiono więźniów i strażnicy przez mały otwór zaczęli im podawać miski z owsianką i wodą. Odkąd wczoraj o zmierzchu wrzucono go tutaj, był to pierwszy posiłek i napój. Kolejka po jedzenie i wodę zachowywała się nadzwyczaj spokojnie. Bez tej dyscypliny nikt by nie zjadł. I właśnie wówczas ten podobny do małpy Japończyk – nie ogolony, brudny i zawoszony – rąbnął go w nerki i zabrał mu porcję, podczas gdy inni czekali, co z tego wyniknie. Ale Blackthorne brał udział w zbyt wielu marynarskich bójkach, żeby złamał go jeden podstępny cios, tak więc najpierw udał bezradnego, a potem kopnął przeciwnika, bez pardonu i rozgorzała walka. W tej chwili zaś, siedząc w kącie, ku swojemu zdumieniu ujrzał, że jakiś więzień podaje mu miskę z papką i wodę, które uznał za stracone. Przyjął je i podziękował Ofiarodawcy.

Kąty więzienia były miejscami luksusowymi. Wzdłuż glinianej polepy przez całą jego długość biegła belka, dzieląca pomieszczenie na połowy. Każda mieściła po trzy rzędy więźniów, z których dwa siedziały do siebie twarzami, a plecami do ściany lub belki, trzeci, zaś pomiędzy nimi. Środkowy rząd był przeznaczony wyłącznie dla słabych i chorych. Kiedy silniejsi z zewnętrznych rzędów chcieli rozprostować nogi, to musieli je kłaść na tych w środku.

W jednym ze środkowych rzędów Blackthorne zauważył dwa trupy, obrzmiałe i opaskudzone przez muchy. Ale słabi i dogorywający więźniowie w pobliżu nie zwracali na nie uwagi.

W rozgrzanym półmroku nie widział daleko. Słońce już zaczęło prażyć drewniane ściany. Stały tu cebry na nieczystości, smród jednak był potworny, ponieważ chorzy zanieczyszczali siebie i miejsca, w których siedzieli skurczeni.

Niekiedy strażnicy otwierali żelazne drzwi i wywoływali nazwiska. Więźniowie kłaniali się towarzyszom i wychodzili, lecz niektórych wkrótce wprowadzano z powrotem i znów zajmowali miejsce. Wszyscy uwięzieni najwyraźniej godzili się ze swą dolą i starali się, jak tylko mogli, nie okazywać egoizmu i żyć w pokoju z najbliższymi sąsiadami.

Ktoś przy ścianie zaczął wymiotować. Szybko zepchnięto go do środkowego rzędu, gdzie na wpół uduszony zwałił się pod ciężarem nóg współwięźniów.

Blackthorne musiał zamknąć oczy i wyteńczyć wolę, by powstrzymać strach i uczucie klaustrofobii. Przeklęty Toranago! – pomyślał. Modłę się, żebym miał kiedyś możliwość wtrącenia cię tutaj choć na jeden dzień!

Przekłęci strażnicy! Zeszłego wieczoru, kiedy kazali mu się rozebrać, z poczuciem gorzkiej daremności opierał się im wiedząc, że przegrał, a walczył jedynie dlatego, że nie chciał się poddać biernie. Wepchnęli go więc przez te drzwi siłą. Baraków więziennych było cztery. Stały na skraju miasta, pośrodku brukowanego placu otoczonego wysokim kamiennym murem. Za murem tym, nie opodal rzeki, rozciągał się ubity, ogrodzony grunt. Wzniesiono tam pięć krzyży. Do ich belek przywiązano za nadgarstki i kostki nóg nagich mężczyzn i kobietę, a kiedy Blackthorne tamtędy przechodził, podążając za prowadzącymi go samurajami wzdłuż ogrodzenia, zobaczył katów z długimi pikami, którymi rozcinali ofiarom na krzyż piersi pośród wiwatującego tłumu. A potem piątkę tę odcięto i wyniesiono na krzyże następną, wówczas zaś wystąpili naprzód samuraje i długimi mieczami, cały czas się śmiejąc, posiekali trupy na kawałki.

Krwiożercze podłe rzeźniki! – pomyślał.

Więzień, z którym walczył, niepostrzeżenie odzyskał przytomność. Leżał w środkowym rzędzie. Część twarzy z jednej strony miał pokrytą zakrzepłą krwią, a nos rozbity. Znienacka, nie zważając na siedzących mu na drodze ludzi, rzucił się na Blackthorne'a.

Blackthorne dojrzał go w ostatniej chwili, zaciekle odparował atak i kopnął napastnika w biodro. Więźniowie, na których Japończyk upadł, przeklęli go, a jeden z nich, przysadzisty, zbudowany jak buldog, trzasnął go bez pardonu kantem dłoni w kark. Rozległ się suchy chrzęst i głowa napastnika zwiśla.

Buldogowaty więzień uniósł jego na wpół ogoloną głowę za cienki, zawieszony węzeł na jej szczycie, a potem wypuścił. Spojrzał na Blackthorne, powiedział coś gardłowo? odstłonił w uśmiechu nagie, bezzębne dziąsła i wzruszył ramionami.

–Dziękuję – powiedział Blackthorne ciężko dysząc, wdzięczny losowi, że jego napastnik w walce bez broni nie miał umiejętności Mury. – Nazywam się Anjin-san –

rzekł pokazując na siebie. – A ty?

–Ah, so desu! Anjin-san! – Buldog wskazał na siebie i wciągnął powietrze. – Minikui.

–Minikui-san?

–Hai – odparł tamten i wyrzucił z siebie potok japońskich słów.

–Wakarimasen – Nie rozumiem – odparł z rezygnacją Blackthorne.

–Ah, so desu!

Buldog przez chwilę trajkotał z sąsiadami. Jeszcze raz wzruszył ramionami, a potem z pomocą współtowarzyszy przeniósł trupa i ułożył go obok innych zwłok. Wrócili w kąt celi, gdzie nikt nie zajął ich miejsc.

Więźniowie przeważnie spali lub starali się na chwilę przysnąć.

Blackthorne czuł się okropnie, brudny i bliski śmierci. Bez obawy, powiedział sobie, jeszcze wiele musisz przejść, żeby umrzeć... Nie, nie pożyję długo w tej piekielnej norze. Za dużo tu ludzi. O Boże, wyciągnij mnie stąd! Dlaczego to więzienie tak faluje i czy to Rodrigues wypływa z głębin z poruszającymi się szczypcami w miejscu oczu? Duszę się, duszę się. Muszę się stąd wydostać, proszę, proszę, nie dokładajcie już drewna do ogniska... Co ty tu robisz, Croocq, chłopaku, myślałem, że cię wypuścili, myślałem, że wróciliście do wioski, ale my przecież jesteśmy teraz w wiosce, więc jak się tam znalazłem... Jest tak chłodno, a na przystani jest ta dziewczyna, taka śliczna, ale czemu nadzy samurajowie odciągają ją, a Orni się śmieje? Dlaczego na piasku, na piasku są ślady krwi, wszyscy nadzy, ja nagi, wiedzmy, wieśniacy, dzieci, jest też kocioł, a my w nim, nie, wystarczy drewna, wystarczy drewna, tonę w płynnych nieczystościach, o Boże, Boże, Boże, umieram, umieram, umieram. „In nomine Patris et Filii at Spiritus Sancti”. To ostatni sakrament, jesteś katolikiem, wszyscy są katolikami i płoniesz albo toniesz w szczybach, płoniesz w ogniu, w ogniu, w ogniu...

Otrząsnął się z sennego koszmaru, a uszy rozsądzała mu spokojna, druzgocąca nieodwołalność słów ostatniego sakramentu. Przez chwilę nie wiedział, czy jest przytomny, czy śpi, ponieważ jego nie dające wiary uszy usłyszały jeszcze raz łacińskie błogosławieństwa, a nie dowierzające oczy ujrzały pomarszczone oblicze starego stracha na wróble, Europejczyka, który piętnaście kroków od niego stał pochylony w środkowym rzędzie. Ów bezzębny starzec z długimi brudnymi włosami, skołunioną brodą i połamanymi paznokciami miał na sobie cuchnący, wytarty chałat. Uniósł w górę przypominającą sępie szpony dłoń i zatrzymał ją z drewnianym krzyżem nad na wpół widocznymi zwłokami. Na krótką chwilę oświetlił go nikły promyczek słońca. Zamknął umarłemu oczy, wymamrotał modlitwę i podniósł wzrok. Spozstrzegł wpatrującego się weń Blackthorne'a.

–Matko Boża, czyś ty jest naprawdę? – zaskrzeczał szorstkim, prostackim głosem hiszpańskiego wieśniaka, żegnając się.

–Tak” – odparł po hiszpańsku Blackthorne. – A tyś kto?

Starzec po omacku utorował sobie drogę, mamrocząc do siebie.

Więżniowie pozwolili mu przestąpić przez swoje ciała lub po nich bez jednego słowa. Spojrzał kaprawymi oczami na Blackthorne’a, twarz pokrytą miał kurzajkami.

–Och, Błogosławiona Dziewico, tyś, señor, jest naprawdę. Ktoś ty?

Ja... jam jest brat... brat Domingo... Domingo z Najświętszego... z Najświętszego Zakonu Świętego Franciszka... Zakonu... – Na jakiś czas jego mowa zamieniła się w mieszanię japońskiego, łaciny i hiszpańskiego. Głowa drgała mu spazmatycznie, otarł ślinę, która bez przerwy ściekała mu z ust na podłogę. – Tyś, señor, jest naprawdę?

–Tak, jestem naprawdę.

Blackthorne odsunął się trochę.

Mnich wymamrotał jeszcze jedną zdrowaśkę, po policzkach ciekły mu łzy. Raz po raz całował krzyż i gdyby było miejsce, to padłby na kolana. Buldogowaty Japończyk potrząsnął sąsiadem, budząc go. Obaj przykucnęli i zrobili franciszkaninowi dość miejsca, by mógł usiąść.

–Na błogosławionego świętego Franciszka, moje modlitwy zostały wysłuchane. Ty, ty, ty, myślałem, że widzę jeszcze jedną zjawę, señor, ducha. Tak jest, złego ducha. Widziałem ich tak wiele, tak wiele... długoś tu, señor, jest? Trudno człękowi widzieć w takiej ćmie, a moje oczy nie widzą już tak dobrze... Jak długo?

–Od wczoraj. A ty?

–Nie wiem, señor. Długo. Wtręcili mnie tu we wrześniu... roku pańskiego 1598.

–A teraz mamy maj tysiąc sześćsetnego.

–Tysiąc sześćsetnego?

Czyjś jęk odwrócił uwagę mnicha. Wstał i niczym pajak przedostał się przez ciała leżących, tu kogoś dotykając, ówdzie pokrzepiając w płynnej japońszczyźnie. Nie znalazł konającego, więc wyklepał w tamtej części baraku modlitwę za zmarłych i pobłogosławił wszystkich, czego nikt nie wziął mu za złe.

–Chodź ze mną, synu – rzekł.

Nie czekając, mnich odszedł kuśtykając w mrok przez więzienie pośród ludzkiej masy. Blackthorne zawahał się, bo nie chciał stracić swojego miejsca. W końcu jednak wstał i poszedł za nim. Zrobiwszy dziesięć kroków, obejrzał się. Jego miejsce zniknęło. Wydawało się niemożliwe, żeby w ogóle kiedyś je zajmował.

Ruszył dalej przez barak. Na jego drugim końcu było, nie do wiary, trochę wolnej przestrzeni. Dość miejsca, by mógł się położyć ktoś drobny. Stało tam kilka misek, garnuszków i leżała stara słomiana mata.

Ojciec Domingo dostał się na to wolne miejsce, przestępując przez Japończyków, i przywołał Blackthorne'a ręką. Otaczający go więźniowie przepuścili Anglika, przyglądając się mu w milczeniu.

–To moja trzódka, seńor. Wszyscy oni są moimi synami w Błogo sławionym Jezusie Chrystusie. Tak wielu tutaj nawróciłem – to jest Jan, a to Marek i Matuzalem... – Mnich urwał, żeby zaczerpnąć tchu. – Taki jestem zmęczony. Taki zmęczony. Muszę... muszę...

Nie dokończył zdania, zasnął...

O zmierzchu znowu przyniesiono jedzenie. Jeden z Japończyków dał Blackthorne'owi znak, żeby został, i przyniósł mu pełną miskę. Inny obudził delikatnym klepinięciem franciszkanina i podał mu jedzenie.

–Iye – odparł z uśmiechem na twarzy starzec potrząsając głową i wepchnął Japończykowi miskę z powrotem do rąk.

–Iye, Farddah-sama...

Duchowny pozwolił się przekonać i zjadł trochę, po czym wstał, strzelając stawami, i wręczył miseczkę jednemu z siedzących w środkowym rzędzie. Człowiek ów przyłożył rękę mnicha do swojego czoła i otrzymał od niego błogosławieństwo.

–Tak się cieszę, że widzę kogoś ze swoich – rzekł franciszkanin szorstkim, schrypłym wieśniaczym głosem, siadając znów przy Blackthornie. Słabowitym gestem wskazał na drugi koniec więzienia. – Jeden z mojej trzódki twierdzi, żeś użył, seńor, słowa „pilot” – „anjin”. Jesteś, seńor, pilotem!

–Tak.

–Są tu inni z załogi seńor?

–Nie, tylko ja. Dlaczego tu siedzisz, ojcze? Skoroś sam, seńor... czyś przyплыnął z Manili?

Nie. Nigdy przedtem nie byłem w Azji – odparł ostrożnie Blackthorne w nieskazitelnej hiszpańszczyźnie. – To był mój pierwszy rejs jako pilota. Była to... była to podróż docelowa. Dlaczego tu siedzisz?

–Przez jezuitów, synu, jezuitów i ich wredne kłamstwa. Płynąłeś docelowo, señor? Nie jesteś Hiszpanem, nie... ani Portugalczykiem... – Mnich wpatrzył się w niego podejrzliwie i Blackthorne’a spowił jego cuchnący oddech, – Czy twój statek był portugalski? Mów prawdę, jak ci Bóg miły!

–Nie, ojcze. Nie był portugalski. Jak mi Bóg miły!

–Och, Błogosławiona Dziewico, dzięki Ci! Proszę, wybacz mi, señor. Bałem się, jestem stary, głupi i schorowany. Twój hiszpański statek pochodził skąd? Tak się cieszę... skądęś, señor, właściwie jest? Z hiszpańskiej Flandrii? A może z Brandenburgii? Z któregoś z naszych dominiów w Niemczech? Och, jak dobrze jest pogadać sobie znowu w błogosławionej ojczystej mowie! Rozbiłeś się, señor, tak jak my? A potem haniebnie wtrąciły cię do tego więzienia i fałszywie oskarżyły te jezuickie diabły? Niech ich Pan Bóg skarże i wykaże im, jakim grzechem jest ich zdradliwość! – Oczy franciszkanina zapłonęły. – Powiadasz, señor, żeś nie był dotąd w Azji?

–Nie byłem.

Jeśliś, señor, nigdy dotąd nie był w Azji, toś jest niczym dziecko na puszczy. Tak, tyle jest do powiedzenia! Czy wiesz, señor, że jezuici to zwyczajni handlarze, przemytnicy dział i lichwiarze? Że trzymają w swoich łapach cały tutejszy handel jedwabiem, cały handel z Chinami? Że co roku Czarna Karawela przewozi towary warte milion w złocie? Że zmusili Jego Świątobliwość, papieża, do przyznania im całkowitej władzy w Azji, im i ich sługusom Portugalczykom? Że wszystkie inne zakony są tu zakazane? Że jezuici obracają złotem, sprzedając i kupując dla zysku – dla siebie i dla tych pogan – wbrew wyraźnym zakazom Ojca Świętego, papieża Klemensa, króla Filipa i wbrew prawom tego kraju? Że potajemnie przemycili działa dla tutejszych chrześcijańskich władców, podburzając ich do buntu? Że wtrącają się do polityki, stręczą dla miejscowych królów, łżą, oszukują i składają fałszywe świadectwa przeciwko nam?! Że ich ojciec przełożony potajemnie przesłał wiadomość naszemu hiszpańskiemu wicekrólowi na Luzonie, prosząc go o przysłanie konkwistadorów na podbój tej ziemi? Że błagali o hiszpańską inwazję, aby ukryć więcej portugalskich błędów? Wszelkie nasze nieszczęścia to ich zasługa, señor. To jezuici kłamią, oszukują i rozsiewają zatrute wieści przeciwko Hiszpanii i naszemu ukochanemu królowi Filipowi! To ich kłamstwa mnie tu wtrąciły i przyczyniły się do męczeńskiej śmierci dwudziestu sześciu świątobliwych ojców! Myślą, że skoro kiedyś byłem chłopem, to nie rozumiem... Ale ja umiem pisać i czytać, señor, ja umiem pisać i czytać! Byłem jednym z sekretarzy jego ekscelencji, wicekróla. Myślą, że my, franciszkanie, nie rozumiemy...

W tym momencie starzec znowu zaczął prawić po łacinie przemieszanej z hiszpańskim.

Blackthorne'a, bardzo podnieconego i zaniepokojonego tym, co po wiedział mu mnich, podniosło to na duchu. Jakie działa? Jakie złoto? Jaki handel? Jaka Czarna Karawela? Jaki milion? Jaka inwazja? Jacy chrześcijańscy królowie?.

Czy nie oszukujesz tego biednego starca? – zadał sobie pytanie. On uważa cię za przyjaciela, a nie wroga.

Nie skłamałem mu.

Ale czyś nie dał do zrozumienia, że jesteś przyjacielem?

Odpowiedziałem mu na pytanie wprost.

Ale niczego nie wyjawiałem dobrowolnie. Nie.

Czy to uczciwe?

Pierwsza zasada przeżycia na wodach wroga brzmi: nie wyjawiać dobrowolnie niczego.

Gniew mnicha szybko wzrastał... Siedzący w pobliżu Japończycy poprawili się niespokojnie. Jeden wstał, delikatnie potrząsnął go za ramię i do niego przemówił. Ojciec Domingo powoli ochłonął z wściekłości, a wzrok mu oprzytomniał. Spojrzał na Blackthorne'a, rozpoznając go, odpowiedział Japończykowi i uspokoił pozostałych.

–Bardzo przepraszam, seńor – rzekł bez tchu. – Oni... oni myśleli, że gniewam się na... na seniora. Boże, wybacz mi mój niemądry gniew! Ja tylko... que va, jezuici są z piekła rodem, tak jak heretycy i poganie. Mogę ci o nich wiele opowiedzieć. – Starł z brody ślinę i starał się uspokoić. Przycisnął rękę do klatki piersiowej, żeby zmniejszyć ból w środku. – O co to pytałem, seńor? O twój statek, czy go wyrzuciło na brzeg?

–Tak. Poniekąd. Utknęliśmy na mieliźnie – odparł Blackthorne. Ostrożnie rozprostował nogi. Przyglądający się i przysłuchujący się im Japończycy zrobili mu więcej miejsca. Jeden wstał i pokazał mu, żeby się wyciągnął. – Dziękuję – odparł natychmiast. – Aha, jak się mówi „dziękuję”, ojczcze?

–Dómo. Czasem mówi się „arigato”. Kobiety muszą być bardzo grzeczne, seńor. Mówią „arigato goziemashita”.

–Dziękuję. Jak on się nazywa?

Blackthorne wskazał na Japończyka, który przedtem wstał.

–To Gonzales.

–Ale jak się nazywa po japońsku?

–Aha. To Akabo. Ale znaczy to po prostu „tragarz”, seńor. Oni nie mają nazwisk. Nazwiska noszą tylko samuraje.

–Co takiego?

–Tylko samuraje mają nazwiska, imiona i nazwiska. To ich prawo, seńor. Pozostali muszą się zadowolić określeniami zawodów, jakie wykonują, nazywają się więc Tragarz, Rybak, Kucharz, Kat, Rolnik i tak dalej. Synowie i córki nazywane są Pierwszą Córką, Drugą Córką, Pierwszym Synem et cetera. Czasem nazywają kogoś „Rybakiem, który mieszka niedaleko więzu” albo „Rybakiem ze słabym wzrokiem”. – Mnich wzruszył ramionami i powstrzymał ziewnięcie. – Zwykłym Japończykom nie wolno nosić nazwisk. Ladacznice obierają sobie takie imiona jak Karp, Księżyc, Płatek, Węgorz albo Gwiazda. Dziwne to, seńor, ale takie tu mają prawo. My dajemy im imiona chrześcijańskie, prawdziwe imiona, gdy ich chrzczimy, przynosząc im zbawienie i Słowo Boże...

Starzec zamilkł i usnął.

–Dómo, Akabo-san – powiedział Blackthorne do tragarza.

Japończyk uśmiechnął się nieśmiało, uklonił się i wciągnął do ust powietrze.

Obudzwszy się mnich zmówił krótką modlitwę i się podrapał.

–Powiadasz, seńor, żeś jest tu dopiero od wczoraj? – spytał. – Żeś przybył tu zaledwie wczoraj? Co ci się przydarzyło, seńor?

–Po wylądowaniu na brzegu zastaliśmy jezuitów – odparł Blackthorne. – Ale ty, ojczy, czy nie powiedziałaś, że cię oskarżyli? Co się przydarzyło tobie i waszemu statkowi?

Naszemu statkowi? Pytasz, seńor, o nasz statek? Przyłynąłeś, seńor, z Manili, tak jak my? Czy może... ach, ale ze mnie głupiec! Teraz przypominam sobie, żeś, seńor, wypłynął w docelowy rejs i że nigdyś dotąd nie był w Azji. Na Błogosławione Ciało Jezusa Chrystusa, jak to dobrze jest rozmawiać znów z cywilizowanym człowiekiem w mojej błogosławionej ojczystej mowie! Que va, to tyle czasu. Boli mnie, bardzo boli mnie głowa, seńor. Nasz statek? Nareszcie wracaliśmy do ojczyzny. Do ojczyzny z Manili do Acapulco, w ziemi Corteza, w Meksyku, a dalej lądem do Veracruz. Stamtąd zaś jeszcze jednym statkiem przez Atlantyk, nareszcie, nareszcie do ojczyzny! Moja

wioska leży pod Madrytem, señor, w górach. Nazywa się Santa Veronica. Przebywałem poza krajem czterdzieści lat, señor. W Nowym Świecie, w Meksyku i na Filipinach. Zawsze z naszymi wspaniałymi konkwistadorami, niech ich Święta Dziewica ma w swojej opiece! Byłem na Luzonie, kiedyś zabili tamtejszego pogańskiego króla Lumalona, podbili Luzon i w ten sposób wprowadzili Słowo Boże na Filipiny. Już nawet wtedy walczyło tam razem z nami wielu naszych japońskich neofitów señor. Cóż to za wojownicy! Było to w roku 1575. Macierzysty Kościół jest na Luzonie dobrze zakorzeniony, synu, i nie uświadczysz tam żadnych plugawych jezuitów ani Portugalczyków. Przybyłem do Japonii na prawie dwa lata, a potem, po zdradzie jezuitów, musiałem wyjechać znowu do Manili.

Franciszkanin zamilkł, zamknął oczy i przysnął. Po jakimś czasie znów się ocknął i jak to bywa ze starszymi ludźmi, ciągnął przerwany wątek, jakby w ogóle nie drzemał.

–Mój statek był wielkim galeonem San Felipe. Wieźliśmy ładunek złożony z przypraw, złota, srebra i monet wartości półtora miliona srebrnych peso. Jeden z tych wielkich sztormów porwał nas i wyrzucił na brzegi Sikoku. Na trzeci dzień nasz statek rozpękał się na piaszczystym progu morskim, a do tego czasu cały kruszec i większość ładunku zdążyliśmy przewieźć na brzeg. A potem nadeszła wieść, że wszystko zostaje skonfiskowane przez samego taikō, my zaś jesteśmy piratami i...

Nagle zamilkł.

Pchnięte żelazne drzwi do więzienia rozwarły się.

Strażnicy zaczęli wywoływać z listy nazwiska. Wśród wywołanych znalazł się buldogowaty Japończyk, który zaprzyjaźnił się z Blackthorne'em. Wyszedł, nie obojętny się. Wybrany też został jeden z gromadki katolików – Akabo. Akabo ukląkł przed franciszkaninem, a ten pobłogosławił go, zrobił nad nim znak krzyża i szybko udzielił ostatniego sakramentu. Japończyk ucałował krzyż i odszedł.

–Drzwi zamknięto., Czy go stracą? – spytał Blackthorne...

–Tak, jego kalwaria jest za tymi drzwiami. Oby Święta Dziewica szybko wzięła jego duszę i obdarzyła wieczystą nagrodą.

–A co on takiego zrobił?

Złamał prawo, señor... ich prawo. Japończycy to prości ludzie. I bardzo surowi. Właściwie znają tylko jedną karę – karę śmierci. Przez ukrzyżowanie, uduszenie albo ścięcie głowy. Za podpalenie karą jest spalenie żywcem. Innych kar się prawie nie spotyka – czasem kogoś wygnają, czasem jakiejś kobiecie obetną włosy. Ale – tu starzec westchnął – ale najczęściej jest to śmierć.

–Zapomniałeś o uwięzieniu.

Mnich w roztargnieniu podrapał paznokciami strupy na ręce.

–Oni nie uważają tego za karę, synu. Dla nich więzienie to jedynie miejsce, w którym trzyma się człowieka do wydania na niego wyroku. Trafiają tu wyłącznie winni. Na bardzo krótko.

–Bzdury. A co z tobą? Siedzisz tu rok, prawie dwa lata.

–Któregoś dnia przyjdą po mnie, tak jak po pozostałych. To jedynie popas pomiędzy piekłem na ziemi a chwałą Wiekuistego Żywota.

–Nie wierzę ci.

–Nie lękaj się, synu. Tak chce Bóg. Jestem tu, mogę wysłuchać twojej spowiedzi, seńor, dać ci rozgrzeszenie i oczyścić, chwała Wiekuistego Żywota jest zaledwie o sto kroków i kilka chwil od tych drzwi. Chcesz, seńor, żebym teraz wysłuchał twojej spowiedzi?

–Nie... nie, dziękuję. Nie teraz. – Blackthorne spojrział na żelazne drzwi. – Czy ktoś próbował kiedyś stąd uciec?

–A po co miałby to robić? Nie ma dokąd uciec... nie ma gdzie się ukryć. Władze są bardzo surowe. Każdy, kto pomaga zbiegłemu więźniowi, a nawet temu, kto popełnia przestępstwo... – Wskazał w stronę drzwi. – Gonzales, Akabo, ten, który... który nas opuścił, to kaga. Powiedział mi...

–Kto to jest kaga?

–Ach, kaga to tragarze, seńor, ludzie noszący palankiny i takie mniejsze... rodzaj hamaków, służących do transportu osób, które niesie dwóch. Powiedział mi, że jego współnik, biedaczyna, ukradł klientowi jedwabny szal, a ponieważ Akabo nie doniósł o tej kradzieży, również i on traci życie. Wierz mi, seńor, ten, kto spróbowałby uciec albo dopomógłby w ucieczce komuś, sam straciłby życie, a w dodatku cała jego rodzina. Japończycy są bardzo surowi, seńor.

–A więc wszyscy idą tu do kata jak barany?

–Nie mają wyboru. To wola boska.

–Nie wpadaj w gniew ani popłoch, ostrzegł się Blackthorne. Bądź cierpliwy. Coś wymyślisz. Nie wszystko, co mówi ten mnich, jest prawdą. On stracił rozum. No, bo któżby nie stracił po takim czasie?

–Te więzienia to u nich nowość, seńor – ciągnął franciszkanin.– Powiadają, że ustanowił je kilka lat temu taikō. Przed nim w ogóle ich nie było. Przedtem, kiedy

schwymano człowieka, to przyznawał się do przestępstwa i go zgładzali.

–A jeżeli się nie przyznał?

–Wszyscy się przyznają... im prędzej, tym lepiej dla nich, seńor. W naszym świecie jest tak samo, jeżeli już kogoś schwytają.

Mnich zdrzemnął się na krótko, drapiąc się w czasie snu i mamrocząc. Kiedy się obudził, Blackthorne zagadnął go:

–Powiedz mi, proszę, ojczcie, jakże ci przeklęci jezuiti mogą wtrącić bożego człowieka do tej zatraczonej nory.

–Niewiele jest tu do powiedzenia, i tyle. Po przybyciu ludzi taikō i zabranii nam całego kruszcu i towarów nasz dowódca wyprawy domagał się, żeby jechać do stolicy z protestem. Nie było podstaw do tej konfiskaty. Czyż nie byliśmy poddanymi Najwyższego Majestatu, Jego Katolickiej Wysokości króla Hiszpanii Filipa, władcy największego i najbogatszego imperium na świecie? Najpotężniejszego monarchy na świecie? Czyż nie byliśmy zaprzyjaźnieni? Czy taikō nie prosił hiszpańskiej Manili o bezpośredni handel z Japonią, aby przełamać haniebnny monopol Portugalczyków? Ta konfiskata była całkowitą pomyłką. Na pewno.

Pojechałem z dowódcą naszej wyprawy, ponieważ mówię trochę po japońsku, choć podówczas znałem go niewiele. San Felipe utknął i osiadł na brzegu w październiku 1597 roku. Jezuiti – jeden z nich nazywał się Martin Alvito – mieli czelność zaproponować nam tam, w Kioto, swoje pośrednictwo. Bezczelni! Nasz franciszkański przeor, brat Braganza, mieszkał w tej okolicy i był ambasadorem, prawdziwym ambasadorem hiszpańskim na dworze taikō! Błogosławiony brat Braganza przebywał w ich stolicy, w Kioto, od pięciu lat, seńor. Taikō osobiście poprosił naszego wicekróla w Manili o przysłanie do Japonii franciszkanów i ambasadora. Tak więc błogosławiony brat Braganza przybył tu. My zaś, seńor, my, z San Felipe, wiedzieliśmy, że jemu, w przeciwieństwie do jezuitów, możemy ufać.

Po wielu, wielu dniach doczekaliśmy się posłuchania u taikō – był to niepozorny, brzydki, niski mężczyzna, seńor – i poprosiliśmy o zwrot naszych dóbr oraz inny statek albo przewiezienie nim, za co nasz dowódca wyprawy obiecał dobrze zapłacić. Posłuchanie przebiegło pomyślnie, jak sądziliśmy, i taikō pożegnał nas. Pojechaliśmy do naszego klasztoru w Kioto i czekaliśmy, a czekając na jego decyzję przez następne miesiące, wciąż głosiliśmy Słowo Boże wśród tych pogan. Nabożeństwa odprawialiśmy otwarcie, a nie pod osłoną nocy jak złodzieje, co robią jezuiti.

W głosie brata Domingo Odezwała się pogarda.

–Chodziliśmy w swoich habitach i ornatach, a nie przebrani tak jak oni, jak miejscowi kapłani. Szerzyliśmy Słowo Boże między ludźmi, chromymi, chorymi i

ubogimi, a nie jak jezuici, którzy przestają wyłącznie z księżętami. Liczba naszych wiernych rosła. Mieliśmy własny szpital dla trędowatych, własny kościół, a naszej trzódce dobrze się wiodło, señor. Doskonale. Byliśmy bliscy nawrócenia wielu ich władców i wówczas pewnego dnia zostaliśmy zdradzeni.

Pewnego styczniowego dnia nas, franciszkanów, sprowadzono wszystkich przed urząd miasta i za osobistą zgodą taikō, señor, oskarżono o pogwałcenie ich praw, zakłócenie spokoju i skazano na śmierć przez ukrzyżowanie. Było nas czterdziestu trzech. Nasze kościoły w tym kraju miały być zniszczone, wszystkie nasze parafie rozpędzone – franciszkańskie, nie jezuickie, señor. Tylko nasze! Zostaliśmy fałszywie oskarżeni. Jezuici wsączyli do ucha taikō trucicielskie wieści, że jesteśmy konkwistadorami, że chcieliśmy dokonać inwazji na te ziemie, a przecież to jezuici błagali jego ekscelencję, naszego wicekróla, żeby wysłał tu wojsko z Manili. Widziałem ten list na własne oczy! List od ich przełożonego! To diabły, co udają, że służą Kościołowi i Chrystusowi, ale służą wyłącznie sobie. Pożądają władzy, władzy za wszelką cenę. Chowają się za parawanem ubóstwa i pobożności, ale po kryjomu jedzą jak królowie i gromadzą fortuny. Que va, señor, prawda przedstawia się tak, że zazdrościli nam wiernych, zazdrościli nam kościołów, zazdrościli nam naszej prawdy i naszego sposobu życia. Daimyō Hizen, dom Francisco, który po japońsku nazywa się Harima Tadao, ale na chrzcie otrzymał imię Francisco, wstawił się za nami. Jest jak król, wszyscy daimyō są jak królowie, on zaś, jako franciszkanin, wstawił się za nami, ale nadaremno.

W końcu dwudziestu sześciu z nas zginęło męczeńską śmiercią. Sześciu Hiszpanów, siedemnastu naszych japońskich nawróconych oraz jeszcze trzech. Był wśród nich błogosławiony Bracia, trzech zaś z tych nawróconych było zaledwie chłopcami. Ach, señor, tego dnia było tam tysiące wiernych. Pięćdziesiąt, sto tysięcy ludzi przyglądało się Błogosławionemu Męczeństwu w Nagasaki, tak mi mówiono. Był to przejmująco srogi, zimny lutowy dzień i przejmująco srogi rok. Rok trzęsień ziemi, tai-funów, powodzi, burz i pożarów, kiedy Ręka Boska ciężko pokarała tego Wielkiego Mordercę, a nawet rozwaliła jego wielki zamek, Fushimi, kiedy Pan wstrząsnął ziemią. Strasznie, ale i cudownie było widzieć, jak Palec Boży karze tych pogan i grzeszników... Tak więc zamęczono ich, señor, sześciu pocziwych Hiszpanów. Naszą trzodę i kościół spustoszone, a szpital zamknięto. Twarz starca była jak martwa.

–Ja... ja znalazłem się pośród przeznaczonych na męczeńską śmierć, ale... ale ominął mnie ten zaszczyt. Popędzili nas pieszo z Kioto, a po przybyciu do Osaki część z nas zamknęli w tutejszej franciszkańskiej misji, reszcie zaś... reszcie odcięli po jednym uchu i popędzili w pochodzie przez ulice niczym pospolitych przestępców. A potem nakazali iść Błogosławionym Braciom na zachód. Przez miesiąc. Ich błogosławiona wędrówka skończyła się na wzgórzu zwanym Nishizaki, z którego rozciąga się widok na zatokę Nagasaki. Błagałem samuraja, żeby pozwolił mi pójść z braćmi, ale rozkazał mi wrócić do tutejszej misji, w Osace. Bez najmniejszego

powodu. No a potem, po kilku miesiącach, wtrącili nas do tego więzienia. Było nas trzech...: chyba trzech, ale tylko ja byłem Hiszpanem. Pozostali to nawróceni Japończycy, nasi braciszkwowie zakonni. Po kilku dniach strażnicy wywołali ich nazwiska. Ale mojego nigdy. Może to wola boska, señor, a może ci podli jezuici zostawili mnie przy życiu, żeby mnie dręczyć, ci, którzy odebrali mi okazję męczeńskiej śmierci pośród swoich. Trudno zachować cierpliwość, señor. Jakże trudno...

Stary mnich zamknął oczy, pomodlił się, zapłakał, aż wreszcie zmorzył go sen., Mimo że Blackthorne bardzo pragnął spać, to nie mógł zasnąć, choć zapadła noc. Ciało miał pogryzione przez wszy. W głowie kłębiły mu się przerażające myśli.

Ze straszliwą jasnością zrozumiał, że stąd nie ma ucieczki. Przytłoczyło go poczucie bezradności i” pojął, że znalazł się na krawędzi śmierci. W najciemniejszą nocną porę dopadł go paniczny strach i po raz pierwszy w życiu uległ mu i płakał.

–Tak, mój synu? – zamruczał mnich. – Co ci jest?

–Nic, nic – odparł z dudniącym sercem. – Śpij, ojcze.

–Nie trzeba się lękać. Wszyscyśmy w ręku Boga – odrzekł franciszkanin i ponownie zasnął.

Wielki strach opuścił Blackthorne’a. Jego miejsce zaś zajął taki, z którym da się żyć. Jakoś się stąd wydostanę, powiedział sobie Blackthorne, próbując uwierzyć w to kłamstwo.

O świcie przyniesiono jedzenie i wodę. Blackthorne nabrał już nieco sił. To głupio tak się zachowywać, skarcił się. To głupie, świadczy o słabości woli i jest groźne. Nie rób tego więcej, bo załamiesz się, zwariujesz i na pewno umrzesz. Umieszczą cię w tym trzecim rzędzie i po tobie. Bądź ostrożny, cierpliwy i pilnuj się.

–Jak się dziś czujesz, señor?

–Dziękuję, ojcze, dobrze. A ty?

–Dziękuję ci, nieźle.

–Jak to powiedzieć po japońsku?

–Dómo, genki desu.

–Dómo, genki desu. Mówiłeś wczoraj, ojcze, o portugalskich Czarnych Karawelach... jak one wyglądają? Widziałeś jakąś?

–O, tak, señor. To największe statki na świecie, po prawie dwa tysiące ton każdy. Do żeglugi takim potrzeba z dwustu marynarzy i chłopców okrętowych, señor, a licząc załogę i pasażerów, mogą przewieźć tysiąc dusz. Podobno te karaki płyną dobrze z wiatrem, ale chodzą ciężko, kiedy wieje z boku.

–Ile dział mają na pokładzie?

–Czasem dwadzieścia albo trzydzieści na trzech pokładach.

Ojciec Domingo chętnie odpowiadał na pytania, mówił i udzielał rad, a Blackthorne równie chętnie go słuchał i czerpał wiadomości. Nie uporządkowana wiedza mnicha była bezcenna i doniosła.

–Nie, señor – mówił właśnie. – „Dómo” to „dziękuję”, a „dózo” „proszę”. Woda to „mizu”. Zawsze pamiętaj, że Japończycy bardzo sobie cenią dobre maniery i uprzejmość. Jednego razu, kiedy byłem w Nagasaki... Ach, gdyby tak mieć inkaust, gęsie pióro i papier! Och, wiem... proszę, zapisz sobie te słowa na ziemi, to ci dopomoże je zapamiętać...

–Dómo – powiedział Blackthorne. A kiedy zapamiętał jeszcze kilka słów, spytał: – Od kiedy są tu Portugalczycy?

–Och, ten kraj odkryto w roku 1542, señor, w roku mojego urodzenia. Odkrywców było trzech: da Mota, Peixoto i... nie pamiętam nazwiska trzeciego. Wszyscy byli portugalskimi kupcami i handlowali na wybrzeżach Chin w chińskiej dżonce pochodzącej z portu w Syjamie. Byłeś, señor, w Syjamie?

–Nie.

–Och, w Azji jest wiele do zobaczenia. Ci trzej handlowali, ale pochwyciła ich wielka burza, tai-fun, która zniosła ich z kursu szczęśliwie do lądu koło Tanegashimy na Kiusiu. Po raz pierwszy Europejczyk postawił nogę na japońskiej ziemi i od razu rozpoczął się handel. W kilka lat potem przybył tu Francis Xavier, jeden z założycieli zakonu jezuitów.

Było to w roku 1549... złym roku dla Japonii, señor. Któryś z naszych braciszków powinien być zjawić się tutaj pierwszy, a wówczas nam, a nie Portugalczykom, przypadłby ten kraj. Francis Xavier umarł w trzy lata potem w Chinach, samotny i opuszczony... Czy mówiłem ci, señor, że jezuita są już na dworze chińskiego cesarza, w mieście zwanym Pekin?...

Och, powinieneś zobaczyć Manilę, señor, i Filipiny! Mamy tam cztery katedry, blisko trzy tysiące konkwistadorów, prawie sześć tysięcy japońskich żołnierzy rozsiansych po tamtejszych wyspach i trzystu braciszków...

Blackthorne miał głowę pełną faktów, japońskich słów i zwrotów. Zapytał o życie w Japonii, o daimyō i samurajów, o handel i Nagasaki, o wojnę i pokój. O jezuitów i franciszkanów, o Portugalczyków w Azji i hiszpańską Manilę, a także znowu i wciąż od nowa pytał o Czarną Karawelę, co roku regularnie kursującą z Makau. Przez trzy dni i trzy noce siedział z ojcem Domingo, wypytywał go, słuchał, uczył się, gnębiły go straszne sny i budził się, by zadawać więcej pytań i zdobywać więcej wiedzy.

I wówczas, czwartego dnia wywołano go.

–Anjin-san!

W zupełnej ciszy Blackthorne wstał.

–A twoją spowiedź, synu? Wyspowiadaj się szybko.

–Ja... ja nie sędzę... ja... – Otępiały Blackthorne uświadomił sobie, że mówi po angielsku, więc zacisnął usta i ruszył.

Mnich zerwał się na nogi, biorąc jego słowa za holenderskie lub niemieckie, chwycił go za przegub ręki i pokuśtykał wraz z nim.

–Szybko, synu. Dam ci rozgrzeszenie. Przez wzgląd na twoją nieśmiertelną duszę pośpiesz się, powiedz tylko szybko, seńor, że wyznajesz przed Bogiem wszystkie grzechy przeszłe i obecne...

Zbliźali się do żelaznych drzwi, a franciszkanin trzymał się Blackthorne z zadziwiającą siłą.

–Powiedz to natychmiast! Błogosławiona Dziewica będzie cię mieć w swojej pieczy!

Blackthorne wyrwał rękę i powiedział chrapliwie po hiszpańsku:

–Bóg z tobą, ojciec.

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Dzień był niewiarygodnie chłodny i świeży, a lekki wiatr z południowego wschodu poganiał błakające się chmury.

Blackthorne zaczerpnął głęboko w płuca kilka łyków czystego, wspaniałego powietrza i krew popłynęła mu żwawiej w żyłach. Owładnęła nim radość życia.

Na więziennym podwórzu stało kilku nagich więźniów, jakiś urzędnik, dozorczy więzienni z włóczniami, ludzie eta i grupa samurajów. Urzędnik miał na sobie ciemne kimono, kaftan ze sztywnymi, przypominającymi skrzydła ramionami i nosił mały czarny kapelusz. Stał przed pierwszym więźniem i czytał na głos delikatny zwój pergaminu, a kiedy skończył, wszyscy więźniowie, ciężko stąpając, ruszyli za swoimi dozorcami w stronę wielkiej żelaznej bramy. Blackthorne był ostatni. W przeciwieństwie do tamtych otrzymał przepaskę na biodra, bawełniane kimono, a na nogi rzemienne trepy. Ponadto zaś pilnowali go samuraje.

Postanowił, że ucieknie natychmiast po przekroczeniu bramy, ale kiedy zbliżył się do niej, samuraje otoczyli go szczelnie i odcięli drogę. Do bramy doszli razem. Na zewnątrz stał wielki tłum porządnie ubranych widzów ze szkarłatnymi, żółtymi i

złotymi parasolkami. Ku niebu właśnie podnoszono krzyż, do którego był przywiązany więzień. Przy wszystkich krzyżach czekało po dwóch ludzi eta, a ich długie piki błyszcząły w słońcu.

Blackthorne zwolnił kroku. Ale samuraje zwarli szyki, ponaglając go. Pomyślał w otępieniu, że lepiej byłoby zginąć już teraz, szybko, więc zatrzymał rękę w powietrzu, chcąc chwycić za miecz najbliższego. Ale nie miał po temu okazji, ponieważ samurajowie skręcili w bok od areny i poszli w stronę ogrodzenia, ku ulicom, które wiodły do miasta, i do zamku.

Blackthorne zaczekał, wstrzymując oddech, żeby się upewnić. Przeszli przez tłum gapiów, ustępujących im z drogi i kłaniających się, a potem znaleźli się na ulicy, tak więc nie mogło być mowy o pomyłce.

Blackthorne poczuł się jak nowo narodzony.

Kiedy odzyskał mowę, spytał „Dokąd idziemy?“, nie dbając o to, że nie będzie zrozumiany, ani o to, że odzywa się po angielsku. Wirowało mu w głowie. Stopami ledwie dotykał ziemi, nie przeszkadzały mu rzemienie trepów, a kłopotliwy dotyk kimona nie był mu niemiły. Właściwie czuję się W nim całkiem dobrze, pomyślał. Może jest nieco zbyt przewiewne, ale w taki piękny dzień jak dziś jest to w sam raz ubranie na rufówkę!

–Boże, jak cudownie jest znów mówić po angielsku – powiedział do samurajów. – Jezu Chryste, a już myślałem, że po mnie. Że już po moim ósmym życiu. Wiecie o tym, przyjaciele? Teraz zostało mi już tylko jedno. Ale co tam! Alban Caradoc powiadał, że piloci mają dziesięć żyć, co najmniej. Samurajów wyraźnie coraz bardziej drażniła jego niezrozumiała paplanina.

Weź się w garść, powiedział sobie. Nie denerwuj ich jeszcze bardziej.

Zauważył, że samuraje ci to sami Szarzy. Ludzie Ishido. Spytał ojca Alvito o nazwisko rywala Toranagi. „Ishido” – odpowiedział Alvito, Miało to miejsce tuż przed tym, kiedy polecono mu wstać i go zabrano.

Czy wszyscy Szarzy to ludzie Ishido? A wszyscy Brązowi do ludzie Toranagi?

–Dokąd idziemy? Tam? – Blackthorne pokazał na zamek, który górował nad miastem. – Tam, hai?

–Hai - potwierdził siwobrody dowódca samurajów i skinął głową okrągłą jak kula armatnia.

Czego chce ode mnie Ishido? – zadawał sobie pytanie Blackthorne.

Dowodzący samuraj skręcił w następną ulicę. Cały czas oddalali się od zatoki. I wtedy Blackthorne dostrzegł go – mały portugalski bryg z błękitno-białą banderą powiewającą na wietrze. Na głównym pokładzie miał dziesięć dział, a na dziobie i rufie dwudziestofuntówki. Erasmus łatwo by się z nim uporał, orzekł w duchu. A co z moją załogą? Co porabiają tam w wiosce? Na rany Chrystusa, chciałbym ich zobaczyć. Tak się cieszyłem, że ich zostawiam i wracam do swojego domu, gdzie była onna – Haku, do domu... jak się nazywał ten wieśniak? Ach, tak, Mura-san. A co z tą dziewczyną, tą w moim posłaniu na podłodze, i z tą drugą, anielskiej urody, z którą rozmawiał tamtego dnia Orni?

Szli właśnie szeroką, krętą ulicą. Nie było tu sklepów, a tylko stykające się ze sobą domy, każdy na swojej parceli za wysokim ogrodzeniem. Domy te zaś, ogrodzenie i sama ulica oszałamiały czystością.

Dla Blackthorne'a ich schludność była niewiarygodna, ponieważ w Londynie, w angielskich miastach i miasteczkach, w Europie urynę, nocne nieczystości i odpadki wyrzucano na ulice. Wprawdzie miano je stamtąd usuwać, czasem jednak piętrzyły się tak, że przechodnie, powozy i konie nie mogły się przedostać. Dopiero to było w stanie zmusić mieszkańców do porządków. Londyn uprzętały wielkie stada świń, które pędzono co noc przez jego główne ulice. Oczyszczały go zaś szczury, gromady dziczytałych psów, kotów oraz pożary. A ponadto muchy.

Ale Osaka była taka inna. Jak oni to robią? – zastanawiał się. Nie ma tu wybojów, stert końskiego łajna, żadnych kolein od kół wozów, śladu nieczystości czy odpadków. Drewniane ogrodzenia i drewniane domy są schludne i lśnią czystością. A gdzie hałasty żebraków i kalek, będących zmorą wszystkich chrześcijańskich miast? Gdzie bandy rabusiów i rozbestwionej młodzi, nieuchronnie czatujących w mroku?

Mijani przez nich ludzie kłaniali im się grzecznie, niektórzy klękali. Wyprzedzali ich śpieszący się tragarze z palankinami i jednoosobowymi kagami. Po ulicach przechadzały się grupki samurajów, wyłącznie Szarych, ani jednego Brązowego.

Szli właśnie ulicą, przy której ciągnęły się sklepy, kiedy nagle pod Blackthorne'em ugięły się nogi. Upadł ciężko, lądując na dłoniach i kolanach.

Samuraje pomogli mu wstać, ale na chwilę stracił siły i nie był w stanie iść dalej.

–Gomen nasai, dōzo ga matsu (Przepraszam, zechciejcie, proszę, poczekać) – rzekł, bo złapały go skurcze w nogach. Rozmasował stwardniałe mięśnie łydek i pobłogosławił brata Domingo za bezcenne nauki, których ten mu udzielił.

Dowódca samurajów przyjrzał mu się z góry i po dłuższej chwili cos powiedział.

–Gomen nasai, nihon go ga hanase-masen (Przykro mi, nie mówię po japońsku) – odparł wolno, lecz wyraźnie Blackthorne. – Dōzo, ga matsu.

–Ah! So desu, Anjin-san. Wakarimasu – powiedział samuraj, zrozumiawszy go. Ostrem głosem wydał krótką komendę i jeden z samurajów pośpiesznie odszedł.

Po pewnym czasie Blackthorne wstał i chciał iść kuśtykając, ale dowódca powiedział „Iye” i gestem powstrzymał go.

Wysłany samuraj powrócił niebawem z czterema półnagimi tragarzami kaga. Samuraje pokazali Blackthorne’owi, jak się ułożyć w kadzę i przytrzymać uchwyty, który zwisał z głównego drąga.

Oddział znowu ruszył w drogę. Wkrótce Blackthorne odzyskał siły i wolałby iść pieszo, ale zdawał sobie sprawę, że nadal jest osłabiony. Muszę trochę odpocząć, zdecydował. Brakuje mi energii. Muszę się wykapać i coś zjeść. Zjeść coś porządnego.

Właśnie wspinali się po szerokich schodach, które łączyły tę ulicę z następną, a potem weszli do innej, zamożnej mieszkalnej dzielnicy miasta na skraju sporego lasu z wysokimi drzewami i przecinającą go drogą. Blackthorne ogromnie się ucieszył, że opuścili ulicę, że pod stopami mają dobrze utrzymaną miękką murawę, a droga wiedzie pośród drzew.

Kiedy na dobre zagłębili się w las, zza zakrętu przed nimi wyłonił się jeszcze jeden, liczący około trzydziestu ludzi oddział Szarych. Zrównawszy się z nimi, przybysze zatrzymali się i po zwyczajowym ceremonialnym przywitaniu się dowódców wszyscy zaczęli się przyglądać Blackthorne’owi. Kiedy po gradzie pytań i odpowiedzi napotkani samuraje zaczęli zbierać się do odejścia, ich dowódca z zimną krwią wy dobył miecz i przebił nim Japończyka dowodzącego eskortą Blackthorne’a. Jednocześnie świeżo przybyła grupa rzuciła się na samurajów pilnujących Anglika. Zasadzka była tak niespodziewana, tak dobrze zaplanowana, że wszystkich dziesięciu Szarych zginęło niemal w jednej chwili. Żaden nie miał nawet czasu na wydobycie miecza.

Tragarze klęczeli, w przerażeniu przyciskając czoła do trawy. Dowódca napastników, mocno zbudowany samuraj z dużym brzuchem, wysłał w obie strony drogi strażę. Reszta pozbierała miecze zabitych. W trakcie tego wszystkiego nie zwracali uwagi na Blackthorne’a, dopóki nie zaczął się wycofywać. A wtedy dowódca wysyczał jakieś polecenie, oznaczające najwyraźniej, aby nie ruszał się z miejsca.

Na kolejną komendę wszyscy nowo przybyli Szarzy zdjęli mundurowe kimona. Mieli pod nimi najrozmaitsze łachmany i stare kimona. Wszyscy nałożyli maski, zawczasu zawieszane na szyjach. Jeden z nich zabrał szare samurajskie uniformy i zniknął z nimi w lesie.

To na pewno bandyci, pomyślał Blackthorne. No bo po co im te maski? Czego ode

mnie chcą?

Bandyci trajkotali ściszonymi głosami i przypatrując się mu wycierali miecze o ubrania zabitych samurajów., – Anjin-san? Hai? – spytał dowódca. Jego widoczne nad maską oczy były okrągłe, czarne jak węgiel i świdrujące.

–Hai – odparł Blackthorne, a po skórze przeszły mu ciarki. Japończyk wskazał na ziemię, najwyraźniej przykazując mu, żeby się nie ruszał.

–Wakarimasu ka?

–Hai.

Obejrzeni go sobie od stóp do głów. Jeden z wystawionych na czatach strażników – już bez szarego kimona, ale zamaskowany tak jak reszta – wyszedł na chwilę z krzaków o sto kroków dalej. Dał ręką znak i ponownie zniknął.

Japończycy w jednej chwili otoczyli Blackthorne'a, szykując się do odejścia. Spojrzenie herszta bandytów spoczęło na tragarzach, którzy zadrżeli jak psy przed okrutnym panem i wcisnęli głębiej głowy w trawę...

Dowódca bandytów rzucił rozkaz. A wtedy cała czwórka z niedowierzaniem uniosła głowy. Jeszcze raz padła ta sama komenda, po której ukłonili się, padli plackiem i wycofali na czworakach. Potem zaś jak jeden mąż wzięli nogi za pas i przepadli w leśnych zaroślach.

Bandyta uśmiechnął się pogardliwie i dał Blackthorne'owi znak, by zawrócił do miasta.

Nie mając wyboru, poszedł z nimi. Nie było dokąd uciec.

Tuż przed skrajem lasu zatrzymali się. Z przodu dobiegły ich głosy i zza zakrętu wyłoniła się jeszcze jedna grupa złożona z trzydziestu samurajów, Brązowych i Szarych – Brązowi podążali na czele, ich przywódca w palankinie, a za nim kilka jucznych koni. Natychmiast się zatrzymali. Obie grupy stanęły w szyku bojowym w odległości siedemdziesięciu kroków od siebie, mierząc się wrogimi spojrzeniami. Dowódca bandytów, poruszając się zamasyście, wystąpił na wolną przestrzeń i krzyknął coś gniewnie do przybyszów, wskazując na Blackthorne'a i za swoje plecy, tam gdzie urządził zasadzkę. Wyszarpnął miecz z pochwy. Groźnie uniósł go w górę, najwyraźniej żądając od przybyłych, żeby zeszli z drogi.

Miecze jego kompanów zasyczały dobywane z pochew. Na rozkaz bandyci ustawili się plecami do Blackthorne'a, a ich herszt, z mieczem uniesionym i gotowym do ciosu, znów przemówił do przeciwników.

Przez chwilę nie działo się nic, a potem Blackthorne zobaczył, że pasażer palankinu wysiada, i natychmiast go rozpoznał. Był to Kasigi Yabu. Yabu krzyknął coś w odpowiedzi przywódcy bandytów, ten jednakże potrząsnął tylko na to wściekle mieczem, nakazując mu zejść z drogi. Swą tyradę zakończył nie znoszącym sprzeciwu tonem. A wówczas Yabu wydał krótki rozkaz i lekko utykając, z uniesionym mieczem i okrzykiem bitewnym na ustach rzucił się naprzód, a wraz z nim popędzili jego samuraje, w niewielkim odstępie za nimi zaś Szarzy.

Blackthorne upadł, by uniknąć ciosu miecza, który przeciąłby go na pół, ale cios spadł nie w porę, więc dowódca bandytów odwrócił się i uciekł w leśne zarośla, a za nim jego ludzie.

Brązowi i Szarzy szybko znaleźli się przy Blackthornie, który podźwignął się na nogi. Część samurajów puściła się za bandytami w krzaki, inni pobiegli w górę drogi, a reszta rozsypała się w szyku obronnym. Yabu zatrzymał się na skraju gąszczy, władczy głośnie wykrzykując rozkazy, potem zaś wrócił wolno, utykając wyraźniej niż poprzednio.

–So desu, Anjin-san – powiedział, dysząc z wysiłku.

–So desu, Kasigi Yabu-san – odparł Blackthorne, używając tego samego wyrażenia, które z grubsza znaczyło tyle co „no tak”, „doprawdy”, „coś podobnego”. Wskazał w kierunku, w którym uciekli bandyci. – Dōmo. – Ukłonił się uprzejmie, jak równy równemu, i jeszcze raz pobłogosławił brata Domingo. – Gomen nasai, nihon go ga hanase-masen – rzekł, przepraszając, że nie mówi po japońsku.

–Hai – odparł Yabu, dosyć zaskoczony, i dodał coś, czego Blackthorne nie zrozumiał.

–Tsuyaku go imasu ka? – odpowiedział mu pytając, czy ma tłumacza.

–Iye, Anjin-san. Gomen nasai.

Blackthorne poczuł się nieco raźniej. Mógł się już porozumiewać bezpośrednio. Wprawdzie posiadał skromny zasób słów, ale był to dopiero początek.

Jaka szkoda, że nie mam tłumacza, myślał Yabu. O Buddo! Chciałbym wiedzieć, co się stało, gdy poznałeś Toranagę, Anjin-san, o co cię pytał i co mu odpowiedziałeś, co mu powiedziałaś o wiosce, działach, ładunku, statku, galerze i o Rodrigu. Chciałbym wiedzieć o wszystkim, o czym była mowa, jak to zostało powiedziane, gdzie się podziewałeś i dlaczego jesteś tutaj. Wtedy miałbym pojęcie, co zamyśla Toranaga, w jaki sposób rozumuje. Mógłbym wówczas zaplanować, co mu dzisiaj powiem. Ale w tej sytuacji jestem bezradny.

Dlaczego to właśnie z tobą spotkał się Toranaga zaraz po naszym przybyciu, a nie

ze mną? Dlaczego od naszego przyjazdu aż do dzisiaj nie otrzymałem od niego żadnych wieści ani rozkazów poza zdawkowym, grzecznym powitaniem i słowami: „Z przyjemnością wkrótce się z tobą zobaczę”? Dlaczego posłał po mnie dzisiaj? Dlaczego dwa razy odkładał nasze spotkanie? Czy z powodu czegoś, co powiedziałem? Może to sprawka Hiro-matsu? A może po prostu zwłoka spowodowana jego innymi licznymi kłopotami?

O, tak, Toranago, masz mnóstwo kłopotów nie do rozwiązania. Wpływy Ishido rozprzestrzeniają się niczym pożar. A czy już wiesz o zdradzie pana Onoshiego? Czy wiesz, że Ishido zaproponował mi głowę Ikawy Jikkyu i jego prowincję, jeżeli teraz potajemnie go wesprę?

Dlaczego to dzisiejszy dzień wybrałeś, żeby posłać po mnie? Jakiż dobry kami skierował mnie tutaj, żebyśmy ocalili życie Anjinowi, jak na urągowisko, bo nie mogę rozmawiać z nim wprost ani też za czyimś pośrednictwem, by znaleźć dzięki temu klucz do twojego tajemnego zamka? Dlaczego wtrąciłeś go do więzienia na zatracenie? Dlaczego Ishido chciał go stamtąd wyciągnąć? Dlaczego ci bandyci próbowali go schwytać dla okupu? Okupu od kogo? I dlaczego Anjin jeszcze żyje? Ten bandyta z łatwością powinien był go przeciąć na pół.

Yabu zauważył głębokie bruzdy, których nie było na twarzy Blackthorne'a, kiedy widział go za pierwszym razem. Wygląda na wygłodzonego, pomyślał. Jest jak zdziczały pies. Ale nie jeden ze stada, tylko jego przywódca, ne?

O, tak, pilocie, z miejsca dałbym w tej chwili tysiąc koku za tłumacza, na którym można polegać.

Zostanę twoim panem. Zbudujesz mi statki i wyuczysz ludzi. Muszę jakoś podejść Toranagę. Jeżeli mi się to nie uda, trudno. W następnym życiu będę lepiej przygotowany.

–Dobry pies! – powiedział na głos do Blackthorne'a i lekko się uśmiechnął. – Potrzebujesz tylko silnej ręki, trochę kości i trochę batów. Najpierw dostarczę cię panu Toranadze... kiedy się wykąpiesz. Śmierdzisz, panie pilocie!

Blackthorne nie zrozumiał tych słów, ale wyczuł w nich przyjacielski ton i zobaczył uśmiech Yabu. Odpowiedział mu uśmiechem.

–Wakarimasen (Nie rozumiem) – odparł.

–Hai, Anjin-san.

Daimyō odwrócił się i poszukał wzrokiem bandytów. Otoczył usta dłońmi i krzyknął. Wszyscy Brązowi natychmiast powrócili. Naczelny samuraj Szarych, który stał na środku drogi, również odwołał pościg. Nie schwytano żadnego bandyty.

Dowódca Szarych podszedł do Yabu i zaczęli się spierać, pokazując na miasto i zamek i wyraźnie nie mogąc dojść do porozumienia.

Wreszcie Yabu, trzymając dłoń na mieczu, wziął górę w sporze i dał Blackthorne'owi znak, żeby wszedł do palankinu... – Iye – sprzeciwił się dowódca Szarych.

Dwaj mężczyźni przybrali wojownicze pozy, a Szarzy i Brązowi niespokojnie, zmienili pozycje.

–Anjin-san desu shunjin Toranaga-sama...

Blackthorne rozumiał piąte przez dziesiąte. „Watakushi” znaczyło „ja”, a z dodatkiem „hitachi” „my”, „shunjin” zaś oznaczało więźnia. I wówczas przypomniał sobie, co powiedział mu Rodrigues, więc pokręcił głową i zaprotestował ostrym tonem:

–Shunjin, iye! Watakushi wa Anjin-san!

Obaj wpatrzyli się w niego.

Blackthorne przerwał milczenie i dodał w kulawej japońszczyźnie, zdając sobie sprawę z niegramatyczności swojego wysławiania się i z tego, że mówi jak dziecko, miał jednakże nadzieję, że zostanie zrozumiany.

–Ja przyjaciel. Nie więzień. Zrozumieć proszę. Przyjaciel. Bardzo przykro, przyjaciel chce kąpiel. Kąpiel, rozumieć? Zmęczony. Głodny. Kąpiel. – Wskazał na zamkową basztę. – Iść tam! Już, proszę. Pan Toranaga raz, pan Ishido dwa. Iść już!

Potem zaś, wypowiadając na koniec z dodatkową władczością słowo „ima”, niezgrabnie wgramolił się i ułożył na poduszkach w palankinie, z którego wystawały mu nogi.

Na ten widok Yabu roześmiał się, a inni zaczęli się śmiać wraz z nim.

–Ah so, Anjin-sama! – powiedział Yabu z kpiarskim ukłonem.

–Iye, Yabu-sama. Anjin-san – sprostował z zadowoleniem Blackthorne. Tak, ty draniu, pomyślał. Teraz już co nieco wiem. Ale nie zapomniałem o tobie. I wkrótce będę deptał po twoim grobie.

–Być może lepiej byłoby poradzić się mnie przed zabraniem więźnia podlegającego mojej jurysdykcji, panie Ishido – rzekł Toranaga.

–Ten barbarzyńca siedział w zwykłym więzieniu ze zwykłymi przestępcami. Myślałem naturalnie, że przestał cię interesować, bo przecież w innym przypadku nie zabrałbym go stamtąd. Nie miałem najmniejszego zamiaru wtrącać się w twoje sprawy, panie.

Na zewnątrz Ishido demonstrował spokój i szacunek, ale w środku gotował się. Wiedział, że dał się przyłapać na nierozważnym postępku. Prawdą było, że należało wpierw spytać o to Toranagę. Wymagała tego zwykła grzeczność. Ale nie miałyby to najmniejszego znaczenia, gdyby barbarzyńca był teraz w jego rękach. Po prostu zwróciłby go w stosownej chwili, gdyby tylko Toranaga się o niego upomniał. Ale ponieważ garstkę jego ludzi przechwycono i sromotnie wycięto, a potem, mimo obecności innego oddziału jego samurajów, Yabu z garstką ludzi Toranagi przywłaszczył sobie barbarzyńcę, sytuacja zmieniła się diametralnie. Sam utracił twarz, podczas gdy jego strategia, zmierzająca do całkowitego zniszczenia Toranagi, miała postawić w takiej sytuacji przeciwnika.

–Jeszcze raz przepraszam – dodał.

Toranaga spojrział na Hiro-matsu, przeprosiny te były muzyką dla jego uszu. Obaj wiedzieli, jak boleśnie odczuł to Ishido. Siedzieli w wielkiej sali posłuchań. Na mocy wcześniejszych ustaleń dwóm rywalom towarzyszyło jedynie po pięciu członków straży przybocznej, ludzi bezwzględnie zaufanych. Pozostali czekali za drzwiami. Za drzwiami czekał również Yabu. Barbarzyńcę zaś wykąpano. To dobrze, pomyślał Toranaga, bardzo z siebie rad. Przez chwilę skierował myśli na Yabu i postanowił, że mimo wszystko nie przyjmie go dziś, ale dalej będzie się nim bawił jak kot z myszą. Tak więc poprosił Hiro-matsu, żeby go odesłał, i ponownie zwrócił się do Ishido.

–Oczywiście przyjmuję twoje przeprosiny. Na szczęście nic złego się nie stało.

–Czy więc mogę zabrać barbarzyńcę do następcy... jak tylko będzie się nadawał do pokazania?

–Prześlę ci go, jak tylko z nim skończę.

Czy wolno spytać kiedy? Następca spodziewał się go dziś rano.

–Ty i ja nie powinniśmy się tym zbyt przejmować, ne? Yaemon ma dopiero siedem lat. Jestem przekonany, że siedmioletni chłopiec potrafi zdobyć się na cierpliwość. Ne? Cierpliwość to rodzaj dyscypliny i wymaga ćwiczeń. Czyż nie?

Osobiście wytłumaczę mu to nieporozumienie. Dziś rano mam z nim kolejną lekcję pływania.

–Tak?

–Tak. Ty też powinieneś nauczyć się pływać, panie Ishido. To wspaniałe ćwiczenie i może się bardzo przydać podczas wojny. Wszyscy moi samuraje umieją pływać. Domagam się, żeby wszyscy opanowali tę sztukę.

–Moi spędzają czas, ćwicząc się w strzelaniu, z łuku, fechtunku, jeździe konnej i strzelaniu z broni palnej.

–A moi ponadto w poezji, sztuce pisania, układaniu bukietów, ceremonii cha-no-yu. Jeśli samuraje chcą być dobrzy w sztukach wojennych, powinni być także biegli w sztukach pokojowych.

–Większość moich samurajów opanowała te sztuki aż za dobrze – odparł Ishido świadom, że kiepsko posługuje się pędzelkiem do pisania, a jego wykształcenie jest ograniczone. – Samuraje rodzą się do walki. Na walce znam się doskonale. I w tej chwili to mi wystarcza. To i posłuszeństwo wobec woli naszego pana.

–Lekcję pływania ma Yaemon o godzinie Konia. – Zarówno, dzień, jak noc były podzielone na sześć równych części. Dzień zaczynał się o godzinie Zająca, która trwała od piątej do siódmej rano, potem była godzina Smoka, trwająca od siódmej do dziewiątej. Dalej szły godziny Węża, Konia, Kozła, Małpy, Koguta, Psa, Dzika, Szczura i Wołu, a cały cykl kończyła godzina Tygrysa, przypadająca między trzecią a piątą rano. – Chciałbyś wziąć w niej udział?

–Dziękuję, nie. Jestem za stary na zmienianie przyzwyczajzeń – odparł piskliwie Ishido.

–Słyszałem, że dowódca twoich samurajów ma rozkaz popełnić seppuku.

–Oczywiście. Ci bandyci powinni zostać schwytani. A przynajmniej choćby jeden z nich. Bo wówczas poznalibyśmy pozostałych.

–Zdumiewające, że takie ścierwa mogą grasować tak blisko zamku.

–Rzeczywiście. Może potrafi ich opisać ten barbarzyńca.

A co on może wiedzieć? – Toranaga roześmiał się. – A skoro już mówimy o tych bandytach, to byli roninowie, prawda? Wśród twoich ludzi jest mnóstwo roninów. Przeprowadzenie śledztwa pośród nich mogłoby przynieść owoce. Ne?.

–Rozpoczęto intensywne śledztwo. W wielu kierunkach.

Ishido puścił mimo uszu podszytą szyderstwem wzmiankę o roninach, bezpańskich, stojących niemal poza nawiasem społeczeństwa samurajach, których tysiące zgromadziło się pod sztandarem następcy, kiedy Ishido rozpuścił pogłoskę, że on sam, w imieniu Yaemona i jego matki, mógłby przyjąć ich przysięgę na wierność, wybaczyłby i zapomniał – nie do wiary – ich błędne postęпки bądź przeszłość, a z czasem wynagrodził ich za wierność tak szczerze jak taikō. Dobrze wiedział, że jest to wymienite posunięcie. Dostarczyło mu ono masę wyćwiczonych samurajów do zaciągu, zapewniło ich lojalność, gdyż roninowie zdawali sobie sprawę, że już nigdy nie otrzymają takiej szansy, ściągnęło do jego obozu wszystkich niezadowolonych, z których wielu zostało roninami wskutek podbojów Toranagi i jego sojuszników, wreszcie zmniejszało zagrożenie, jakim był dla kraju wzrost liczby bandytów, gdyż samuraj pechowy na tyle, że stawał się roninem, mógł przeżyć jedynie jako mnich lub zbój.

–Wielu okoliczności tej zasadzki nie pojmuję - oznajmił Ishido tonem zaprawionym jadem. – A tak. Czemu, na przykład, ci bandyci chcieli schwytać barbarzyńcę dla okupu? W tym mieście jest mnóstwo innych, o wiele ważniejszych osób. Czy nie to oświadczył ten bandyta? Chciał okupu. Okupu od kogo? Jaką wartość przedstawia ten barbarzyńca? Żadną. I skąd wiedzieli, gdzie go znajdą? Przecież dopiero wczoraj kazałem go sprowadzić do następcy sądząc, że to zabawi chłopca. Bardzo dziwne.

–Bardzo – przyznał Toranaga.

–A do tego jeszcze ten zbieg okoliczności, że pan Yabu znalazł się właśnie w tamtej okolicy wraz z grupą twoich i moich ludzi akurat w tamtym czasie. Bardzo dziwne.

–Bardzo. Oczywiście znalazł się tam dlatego, że po niego posłałem, a twoi ludzie byli tam dlatego, że uznaliśmy, dzięki twojej sugestii, iż w celu poprawienia naszych stosunków będzie dobrze i słusznie, żeby podczas mojej oficjalnej wizyty twoi ludzie towarzyszyli moim wszędzie, dokądkolwiek idą.

–Dziwne jest też to, że ci bandyci, na tyle dzielni i dobrze zorganizowani, żeby bez walki wyrznąć tych pierwszych dziesięciu, z chwilą nadejścia naszych samurajów zachowali się jak Koreańczycy.

Czemu więc nie walczyli ani nie zabrali barbarzyńcy od razu w góry, tylko pozostali jak głupcy na głównej drodze do zaniku? Bardzo dziwne.

–Bardzo. Na jutrzejsze polowanie z sokołami zabiorę ze sobą na pewno podwójne straże. Na wszelki wypadek. Niepokoi mnie, że ci bandyci grasują tak blisko zamku. Tak. A może i ty chciałbyś zapolować? Wypuścić któregoś ze swoich sokołów do zawodów z moim? Będę polował na tych wzgórzach na północy.

–Dziękuję, ale nie. Jutro jestem zajęty. Może pojutrze? Rozkazałem dwudziestu

tysiącom ludzi, przeczesać te bory, lasy i polany wokół Osaki. Za dziesięć dni W promieniu dwudziestu ri nie uświadczysz ani jednego bandyty. To ci obiecuję.

Toranaga wiedział, że bandyci są dla Ishido pretekstem, by usprawiedliwić zwiększenie liczby jego wojsk w okolicy. Że jeśli mówi o dwudziestu tysiącach, to ma na myśli pięćdziesiąt. Pułapka się zamyka, pomyślał. Dlaczego tak szybko? Kto znowu zdradził? Dlaczego Ishido jest taki pewny siebie?

–Dobrze – powiedział. – A więc pojutrze, panie Ishido. Utrzymasz swoich ludzi z daleka od moich terenów łowieckich? Nie chciałbym, by mi zakłócano polowanie – dodał cicho.

–Oczywiście. A co z barbarzyńcą?

–Jest i zawsze był moją własnością. Tak samo jego statek. Ale możesz go mieć, kiedy ja z nim skończę. A po wszystkim, jeżeli chcesz możesz go odesłać na miejsce straceń.

–Dziękuję. Tak, tak zrobię. – Ishido złożył wachlarz i schował go do rękawa. – On jest nieważny. Ważne jest, i to właśnie w tej sprawie przychodzę... Aha, przy okazji, słyszałem, że moja pani matka składa wizytę w klasztorze Johji.

–Tak? Sądziłem, że jest trochę za późno na podziwianie kwitnących wiśni. Do tej pory chyba już mocno przekwitły?

–Racja. Ale w końcu, jeżeli życzy sobie je obejrzeć, to czemu nie. Ze starszymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo, mają własny rozum i inaczej wszystko widzą, ne? Ale z jej zdrowiem jest nie najlepiej. Martwię się o nią. Musi bardzo uważać... bardzo łatwo się przeziębą.

–To tak samo jak moja matka. Trzeba chronić zdrowie tej staruszki.

Toranaga zanotował sobie w pamięci, żeby natychmiast przesłać wiadomość przypominającą przeorowi klasztoru, żeby bardzo pieczołowicie dbał o zdrowie staruszki. Gdyby umarła w klasztorze, miałyby to straszne następstwa. Okryłyby się wstydem na całe cesarstwo. Wszyscy daimyō dowiedzieliby się, że w tej partii szachów, której stawką była władza, użył bezbronnej kobiety, matki swojego wroga, jako pionka i nie dopełnił obowiązków wobec niej. Branie zakładników było, prawdę mówiąc, niebezpieczną zagrywką.

Kiedy Ishido dowiedział się, że jego czcigodna matka znajduje się w warowni Toranagi, Nagoi, wściekłość niemal zaślepiła go. Posypały się głowy. Natychmiast uruchomił plan zniszczenia Toranagi i uroczyście poprzysiągł, że po wszczęciu kroków wojennych obiegnie Nagoję i zabije daimyō Kamazakiego, który rzekomo opiekował się staruszką. W ostatniej przesłanej przez posłańców poufnej wiadomości

ostrzegał przeora, że jeżeli matka nie wyjdzie z klasztoru cała i zdrowa w ciągu doby, to Naga, jedyny będący w jego zasięgu syn Toranagi – a także każda z jego kobiet, którą zdoła schwytać – obudzi się – na swoje nieszczęście w wiosce trędowatych, karmiony przez nich i pojony, jak również wygodzony przez którąś z ich ladacznic. Ishido wiedział, że dopóki jego matką jest w rękach Toranagi, on sam musi postępować ostrożnie. Niemniej musiał wyraźnie uprzedzić wroga, że jeśli nie zostanie wypuszczona, to on podpali cesarstwo.

–Jak się ma twoja pani matka, panie Toranaga? – spytał uprzejmym tonem.

–Bardzo dobrze, dziękuję. – Toranaga pozwolił sobie na okazanie zadowolenia, tak ze względu na myśl o matce, jak z uwagi na bezsilną wściekłość Ishido. – Jak na swoje siedemdziesiąt cztery lata, cieszy się zdumiewającym zdrowiem. Mam tylko nadzieję, że w jej wieku będę równie silny.

Masz pięćdziesiąt osiem lat, Toranaga, ale nie dożyjesz pięćdziesięciu dziewięciu, przyrzekł sobie Ishido., – Zechciej przekazać jej moje najlepsze życzenia dalszego szczęśliwego życia. Dziękuję ci jeszcze raz i przepraszam za kłopoty. – Ponownie złożył nader grzeczny ukłon, po czym, z trudem powstrzymując wzrastającą radość, rzekł: – Aha, tym ważnym powodem, dla którego chciałem się z tobą zobaczyć, jest to, że ostatnie oficjalne spotkanie Rady zostało odłożone. Nie spotkamy się dzisiaj o zachodzie słońca.

Toranaga zachował na twarzy uśmiech, ale wiadomość ta wstrząsnęła nim.

–Tak? A dlaczego?

–Pan Kiyama zachorował. Pan Sugiyama i pan Onoshi przystali na tę zwłokę. Ja również. Kilka dni nie robi różnicy w tak ważnych sprawach, prawda?

–Możemy się spotkać bez pana Kiyamy.

–Wspólnie uznaliśmy, że nie powinniśmy spotykać się bez niego – odparł Ishido, spoglądając szyderczo.

–Oficjalnie?

–Oto nasze cztery pieczęcie.

Toranaga wrzał. Każda zwłoka niezmiernie zwiększała jego zagrożenie. Czy powinien uwolnić matkę Ishido w zamian za natychmiastowe spotkanie regentów? Nie, ponieważ wędrownka tam i z powrotem poleceń trwałaby za długo i oddałby swoją wielką przewagę za darmo.

–Kiedy odbędzie się spotkanie? – spytał.

–O ile wiem, to pan Kiyama powinien do jutra ozdrowieć, albo do pojutrze.

–To dobrze. Poślę mu swojego osobistego lekarza, żeby go zbadał.

–Na pewno to doceni. Ale jego własny lekarz zabronił mu przyjmowania wizyt. Jego choroba może być zaraźliwa, ne?

–Jaka choroba?

–Nie wiem, panie. Tak mi powiedziano.

–Czy ten lekarz to barbarzyńca?

–Tak. Podobno to główny lekarz chrześcijan. Chrześcijański lekarz-ksiądz dla chrześcijańskiego daimyō. Dla... dla tak możnego daimyō nasi nie są dostatecznie dobrzy – rzekł szydyczko Ishido.

Toranaga zatroskał się jeszcze bardziej. Gdyby ten lekarz był Japończykiem, to dałoby się zrobić bardzo wiele. Ale jeżeli był to lekarz chrześcijański – ani chybi jezuita – to wystąpienie przeciwko niemu, a nawet zwykłe wtrącenie się do jego spraw, mogłoby źle nastawić wszystkich chrześcijańskich daimyō, na takie ryzyko zaś nie mógł sobie pozwolić. Wiedział, że jego przyjazne stosunki z Tsukku-sanem nie pomogą mu w starciu z chrześcijańskimi feudałami, Onoshim i Kiyamą. W interesie chrześcijan leżało utrzymywanie wspólnego frontu. Wiedział też, że wkrótce będzie się musiał zbliżyć z tymi barbarzyńskimi kapłanami, zawrzeć z nimi układ, poznać cenę ich współpracy. Jeżeli Ishido rzeczywiście przeciągnął na swoją stronę Onoshiego i Kiyamę, a do tych dwóch, jeśli zaczną działać wspólnie, dołączy reszta chrześcijańskich daimyō, to jestem sam, pomyślał. A w takim wypadku pozostaje mi już tylko Szkarłatne Niebo.

–Odwiedzę pana Kiyamę pojutrze – powiedział, wyznaczając ostateczny termin.

–A co z groźbą zarażenia się? Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby przydarzyło ci się coś tutaj, w Osace, panie. Jesteś naszym gościem, znajdujesz się pod moją opieką. Stanowczo nalegam, byś go nie odwiedzał.

–Możesz być całkiem spokojny, panie Ishido, jeszcze nie wykluła się taka zaraza, która by mnie powaliła, ne? Zapominasz o przepowiedni wróżbiarza.

Kiedy sześć lat temu przybyło do taikō chińskie poselstwo, żeby postarać się o zakończenie japońsko-koreańsko-chińskiej wojny, w jego skład wchodził słynny astrolog. Chińczyk ten przewidział wiele rzeczy, które się potem sprawdziły. Podczas jednej z niewiarygodnie wystawnych kolacji u taikō poprosił on chińskiego wróżbiarza o przepowiednie dotyczące śmierci niektórych swoich doradców. Astrolog przewidział, że Toranaga zginie od miecza będąc w kwiecie wieku, a Ishido,

słynny zdobywca Korei – lub inaczej Chosen, jak nazywali ten kraj Chińczycy – umrze nie chorując, pewnie stąpając po ziemi, jako najslynniejszy człowiek swoich czasów. Sam taikō zaś miał dożyć starości i umrzeć na posłaniu, szanowany i czczony, pozostawiając zdrowego syna, który go zastąpi. Przepowiednia ta tak bardzo ucieszyła taikō, który nadal nie miał potomka, iż zdecydował się, że pozwoli posłom na powrót do Chin i nie zabije ich, jak planował, za ich uprzednie zuchwalstwa. Zamiast bowiem negocjować w sprawie pokoju, jak oczekiwał, cesarz chiński za pośrednictwem swoich posłów obiecał mu jedynie, że „mianuje go królem kraju Wa”, jak Chińczycy nazywali Japonię. Tak więc odesłał ich do ojczyzny nie w przygotowanych dla nich małych pudełeczkach, ale żywych, i od nowa zaczął wojować z Koreą i Chinami.

–Nie, panie Toranaga, nie zapominam – odparł Ishido, doskonale ją pamiętając. – Ale zarażenie się może być przykre. A po cóż komu przykrości? Mógłbyś się nabawić przymiotu, tak jak twój, co za szkoda, syn Naboru, albo stać się trędowatym, tak jak pan Onoshi. Jest jeszcze młody, ale cierpi. Och, jak cierpi.

Toranagę wyprowadziło to na chwilę z równowagi. Aż za dobrze znał pustoszące skutki obu chorób. Najstarszy z jego żyjących synów, Naboru, nabawił się chińskiego przymiotu przed dziesięcioma laty, jako siedemnastolatek, i wszelkie kuracje japońskich, chińskich, koreańskich i chrześcijańskich lekarzy nie zdołały zaleczyć choroby, która choć go nie zabiła, to zdążyła oszpecić. Jeżeli zdołam zdobyć pełną władzę, to być może uda mi się zniszczyć tę chorobę, przyrzekł sobie. Czy naprawdę jej źródłem są kobiety? Jak kobiety się nią zarażają? Jak ją wyleczyć? Biedny Naboru. Gdyby nie ten przymiot, byłbyś moim dziedzicem, ponieważ wspaniały z ciebie żołnierz, lepszy zarządca od Sudary, a ponadto odznaczasz się wielką przebiegłością. W poprzednim wcieleniu musiałeś wyrządzić wiele zła, żeby w tym znosić tyle brzemion losu.

–Na Buddę, nikomu nie życzyłbym tych chorób – powiedział.

–Słusznie – rzekł Ishido, przekonany, że Toranaga, gdyby mógł, to życzyłby mu jednego i drugiego. Ukłonił się jeszcze raz i wyszedł.

–I co ty na to? – przerwał milczenie Toranaga.

–Czy wyjedziesz teraz, czy zostaniesz, wychodzi na jedno – odparł Hiro-matsu. – To katastrofa, ponieważ zdradzono cię i zostałeś sam, wielmożny panie. Jeżeli zaczekasz na spotkanie, a nie zbierzesz się przez tydzień, Ishido zgromadzi swoje oddziały dookoła Osaki i za nic nie zdołasz uciec, bez względu na los pani Ochiby w Edo, a Ishido umyślił ją poświęcić, byleby tylko dopaść ciebie. To jasne, że cię zdradzono i że czterej regenci podejmą decyzję przeciwko tobie. Cztery głosy przeciwko jednemu w Radzie to wyrok na ciebie. Jeżeli wyjedziesz, to i tak wydadzą rozkazy, jakich zażyczy sobie Ishido. Będziesz musiał być posłuszny ich decyzji

podjętej czterema głosami przeciwko jednemu. Przysiągłeś, że się do niej zastosujesz. Nie możesz nie dotrzymać solennej przysięgi, którąś złożył, panie, jako regent.

–Racja.

Zamilkli na dłużej.

Hiro-matsu czekał z rosnącym niepokojem.

–Co masz zamiar zrobić, panie? – spytał.

–Najpierw popływam – odparł z zadziwiającą pogodą ducha Toranaga. – A potem spotkam się z barbarzyńcą.

Przez prywatny ogród Toranagi w zamku przeszła cicho do małej, ślicznie wkomponowanej pomiędzy klonami, krytej strzechą chatki jakaś kobieta. Jej jedwabne kimono i obi były najprostsze z możliwych, ale i najelegantsze, a potrafili je szyć jedynie najsłynniejsi chińscy mistrze. Włosy miała czesane wedle najnowszej mody w Kioto, spiętrzone wysoko i spięte długimi srebrnymi szpilkami. Kolorowa parasolka osłaniała jej bardzo bladą skórę. Była niska, gdyż miała zaledwie pięć stóp wzrostu, za to idealne proporcje ciała. Na jej szyi wisiał cienki złoty łańcuszek, a na nim mały złoty krzyżyk.

Na werandzie chatki czekała Kiri. Siedziała głęboko w cieniu, pośladki wystawały jej poza poduszkę, i przyglądała się kobiecie zbliżającej się po służących do przejścia kamieniach, które tak misternie osadzono w mchu, że zdawały się z niego wyrastać.

–Jeszcze nigdy nie byłaś taka piękna i taka młoda, Toda Mariko-san – powiedziała Kiri bez zazdrości, odpowiadając ukłonem na jej ukłon.

–Chciałabym, żeby to była prawda, Kiritsubo-san – odparła z uśmiechem Mariko. Uklękła na poduszcze, odruchowo układając kimono w subtelne fałdy.

–To jest prawda. Kiedy widziałyśmy się poprzednio? Dwa... trzy lata temu? Przez dwadzieścia lat nie zmieniłaś się ani o włos. Poznałyśmy się bez mała dwadzieścia lat temu. Pamiętasz? Na ucztę wydanej przez pana Gorodę. Miałaś wtedy czternaście wiosen, byłaś świeżo po ślubie i bardzo niezwykła.

–I przerażona.

–Przerażona? Ty? Nie.

To było szesnaście lat temu, Kiritsubo-san, nie dwadzieścia, Tak, pamiętam bardzo dobrze., Aż za dobrze, pomyślała z rozpaczą w sercu. Tego dnia mój brat szepnął mi

na ucho, że podejrzewa naszego czcigodnego ojca o zamiar zemsty na naszym suzerenie, dyktatorze Gorodzie, że chce go zabić. Swojego feudalnego pana!

O, tak, Kiri-san, pamiętam ten dzień, rok i godzinę. To właśnie wtedy zaczął się ten koszmar. Zanim to się stało, nie przyznałam się nikomu, że wiem, co nastąpi. Nie ostrzegłam ani swojego męża, ani Hiro-matsu, jego ojca, obu wiernych wasali dyktatora, o zdradzie, którą gotuje jeden z jego największych generałów. A co gorsza, nie ostrzegłam Gorody, mojego pana, nie dopełniając tym samym swoich obowiązków wobec niego, wobec mojego męża i wobec mojej rodziny, jedynej, jaka dzięki temu małżeństwu mi została. O Madonno, wybac mi mój grzech, pomóż mi go zmazać. Milczałam, żeby ochronić mojego ukochanego ojca, który skalał tysiącletni honor. O mój Boże, o Jezusie Nazareński, ocal tego grzesznika od wiecznego potępienia...

–To było szesnaście lat temu – powtórzyła łagodnie.

–Tego roku nosiłam w łonie dziecko pana Toranagi – rzekła Kiri i pomyślała: „Gdyby pan Goroda nie został podstępnie zdradzony i za mordowany przez twojego ojca, to pan Toranaga nie musiałby stoczyć bitwy pod Nagakude, a ja wcale bym się nie przeziębila i nie poroniła dziecka. Być może – dodała. – A być może nie. To po prostu karma, moja karma, cokolwiek się zdarzyło, ne?” – Ach, Mariko-san – posiedziała bez najmniejszej urazy. – To tak dawno temu, że wydaje się, jakby wydarzyło się w innym życiu. Ale ty jesteś wiecznie młoda. Czemu nie mam twojej figury i pięknych włosów i czemu nie poruszam się tak zgrabnie? – Kiri roześmiała się. – Odpowiedź jest prosta: bo za dużo jem!

–A czy to ważne? Optywasz w łaski pana Toranagi, ne? Niczego ci nie brakuje. Jesteś mądra, życzliwa, zdrowa i zadowolona z życia.

–Wolałabym być szczupłą, a przy tym móc dużo jeść i optywać w łaski – odparła Kiri. – Ale ty? Nie jesteś zadowolona z życia?

–Jestem jedynie narzędziem, z którego korzysta mój pan Buntaro. Kiedy on, mój mąż, jest szczęśliwy, to ja oczywiście też. Jego przyjemność jest moją przyjemnością. Tak samo jak w twoim przypadku – powiedziała Mariko.

–Owszem. Ale nie tak samo. – Kiri poruszyła wachlarzem, a w złotym jedwabiu zabłyszczało popołudniowe słońce. Tak się cieszę, że nie jestem tobą, Mariko, pomyślała, pomimo całej twej urody, świetności, odwagi i wykształcenia. O nie! Nie zniosłabym małżeństwa z nienawistnym, szpetnym, wyniosłym i gwałtownym mężczyzną nawet jednego dnia, nie mówiąc już o siedemnastu latach. Jest takim przeciwieństwem swojego ojca, pana Hiro-matsu. Bo to wspaniały człowiek! Ale Buntaro? Jak tacy ojcowie mogą mieć tak okropnych synów? Żeby to ja miała syna, och, jak bardzo chciałabym go mieć! Ale ty, Mariko, jak zdołałaś znieść aż tyle

lat podlego traktowania? Jak wytrzymałaś tragedie, które cię spotkały? To niewiarygodne, że nie widać ich śladów ani na twojej twarzy, ani w duszy. – Jesteś niezwykłą kobietą Toda Buntaro Mariko-san – powiedziała.

–Dziękuję ci, Kiritsubo Toshiko-san. Och, Kiri-san, jak dobrze jest cię znowu widzieć.

–I ciebie też. Jak tam twój syn?

–Jest piękny... piękny, piękny. Saruji ma już piętnaście lat, pomyśl tylko. Jest wysoki, silny i całkiem jak jego ojciec, a pan Hiro-matsu dał mu lenno i... czy wiesz, że chce się żenić?

–Nie, a z kim?

–Z wnuczką pana Kiyamy. Pan Toranaga tak dobrze wszystko zaaranżował. To bardzo dobra partia dla naszej rodziny. Żeby tak tylko ta dziewczyna była... bardziej dbała o mojego syna. Była poczciwsza. Czy wiesz, że ona... – Mariko zaśmiała się, nieco wstydliwie. – Ko proszę, wyrażani się, jak wszystkie teściowe na świecie. Ale przyznasz mi chyba rację, że ona nie jest jeszcze tak naprawdę ułożona.

–Masz czas, żeby to nadrobić.

–Liczę na to. Tak. To szczęście, że nie mam teściowej. Nie wiem, co bym zrobiła.

–Musisz ją oczarować i ułożyć, tak jak ułożyłaś całą służbę Dōmową, ne?

–Iiiii, chciałabym, żeby to też była prawda... – Mariko trzymała ręce nieruchomo na podołku. Przyglądała się ważce, jak siada, po czym odlatuje jak strzała. – Mój mąż kazał mi tu przyjść. Czy pan Toranaga chce się ze mną widzieć?

–Tak. Pragnie, żebyś dla niego tłumaczyła.

–„Rozmowę z kim? – spytała z przestrawieniem Mariko.

–Z tym nowym barbarzyńcą.

–Ach! A co z szanownym ojcem Tsukku? Jest chory?

–Nie. – Kiri trzepotała wachlarzem. – Zdaje się, że mamy o czym myśleć, dlatego to pan Toranaga pragnie, żebyś to była ty, a nie jak przy pierwszym posłuchaniu ten kapłan. Dlaczego tak jest, że to właśnie my, Mariko-san, musimy zajmować się pieniędzmi, płacić wszystkie rachunki, szkolić służbę, kupować jedzenie i rzeczy do domu, a nawet najczęściej ubrania naszym mężom, oni zaś tak na dobrą sprawę nigdy nam o niczym nie mówią, prawda?

–Być może właśnie po to jest potrzebna nam nasza intuicja.

–Prawdopodobnie. – Kiri patrzyła jej w oczy prosto i przyjaźnie. – Ale jak sądzę, jest to ściśle tajna sprawa. Więc na pewno będziesz musiała przysiąc na swojego chrześcijańskiego Boga, że nie piśniesz słówka o tym spotkaniu. Nikomu.

Zrobiło się jakby chłodniej.– Oczywiście – odparła zaniepokojona Mariko. Bardzo dobrze rozumiała, że Kiri ma na myśli to, iż nie powie ona nic swojemu mężowi, jego ojcu ani spowiednikowi. A ponieważ jej mąż kazał jej tu przybyć, bez wątpienia na żądanie pana Toranagi, wobec kogo zatem miała większe obowiązki – swojego suzerena czy też swego spowiednika? Czy mogła mu nic nie mówić? I dlaczego to ona miała tłumaczyć, a nie ojciec Tsukku-san? Zdawała sobie sprawę, że po raz kolejny wbrew swojej woli została wplątana w jakąś polityczną intrygę, która burzyła jej życie, i pożałowała jeszcze raz, że pochodzi z takiego starożytnego rodu i że sama należy do klanu Fujimoto, że urodziła się z talentem do języków, który pozwolił jej wyuczyć się prawie niezrozumiałej łaciny i portugalskiego, i że w ogóle przyszła na świat. Ale z drugiej strony, pomyślała, nigdy nie ujrzałabym swojego syna, nigdy nie dowiedziałabym się o dzieciątku Jezus i Jego Prawdzie ani o Życiu Wiecznym.

–To twoja karma, Mariko, powiedziała sobie ze smutkiem, po prostu karma,’,’, Dobrze, Kiri-san – odparła i dodała tonem przepowiedni: – Na Pana, mojego Boga, przysięgam, że nie zdradzę nic, co zostanie dzisiaj powiedziane, i że będę tłumaczyła dla mojego pana, kiedy tylko trzeba.

–Uważam również, że powinnaś odłożyć na bok część własnych uczuć po to, żeby tłumaczyć wiernie wszystko, co zostanie powiedziane. Ten nowy barbarzyńca jest dziwny i mówi osobliwe rzeczy. Jestem pewna, że po rozważeniu wszystkich kandydatów mój pan specjalnie wybrał ciebie.

–Zrobię wszystko, czego życzy sobie pan Toranaga. Nie musi się obawiać o moją wierność.

–Nigdy w nią nie wątpiliśmy, pani. Nie chciałam cię urazić.

Spadł wiosenny deszcz, pokropił płatki, mchy i liście i przeszedł, pozostawiając po sobie jeszcze piękniejszy widok.

–Chciałabym cię o coś prosić, Mariko-san. Czy mogłabyś schować ten krzyż pod kimono?

Mariko natychmiast schwyciła go w palce obronnym gestem.

–Dlaczego? Pan Toranaga nigdy nie miał nic przeciwko mojemu nawróceniu ani pan Hiro-matsu, głowa mojego klanu. Mój mąż... mój mąż pozwala mi go trzymać i nosić.

–Owszem. Ale krzyże rozwścieczają tego barbarzyńcę, a mój pan Toranaga nie chce go rozwścieczać, chce, żeby był spokojny.

Blackthorne jeszcze nigdy nie widział tak filigranowej osoby.

–Konnichi wa – powiedział. – Konnichi, Toranaga-sama.

Uklonił się dwornie, skinął głową chłopcu, który z szeroko rozwartymi oczami siedział obok Toranagi, i grubej kobiecie, która siedziała za nim. Zajmowali miejsca na werandzie otaczającej mały domek. Składał się on z pojedynczej izby z prostymi parawanami, grubo ciosanymi belkami i miał dach kryty strzechą, z tyłu zaś pomieszczenie kuchenne. Domek stał na drewnianych palach mniej więcej stopę ponad podłożem z czystego białego piasku. Była to obrzędowa herbaciarnia przeznaczona do ceremonii cha-no-yu i zbudowana wielkim kosztem do tego jedyne go celu z rzadkich materiałów, chociaż niekiedy domków takich, ponieważ stały samotnie na leśnych polanach, używano jako miejsc spotkań i poufnych rozmów.

Blackthorne zebrał kimono i usiadł na poduszce, którą umieszczono na piasku na wprost Japończyków.

–Gomen nasai, Toranaga-sama, nihon go ga hanase-masen. Tsuya-ku go imasu ka?
– spytał.

–Ja jestem twoją tłumaczką, senhor – odezwała się natychmiast Mariko w prawie nieskazitelnej portugalszczyźnie. – Ale czyżbyś ty mówił po japońsku?

–Nie, senhorita, znam tylko kilka słów i zwrotów – odparł zdumiony Blackthorne. Oczekiwał, że tłumaczem będzie ojciec Alvito, a Toranadze będą towarzyszyć samuraje i, być może, daimyō Yabu. Ale w pobliżu ich nie było, choć wielu stało wokół ogrodu.

–Mój pan Toranaga pyta, gdzie... a może najpierw powinnam była spytać, czy wolisz, panie, mówić po łacinie?

–W jakimkolwiek języku sobie życzysz, senhorita.

Jak wszyscy wykształceni ludzie, Blackthorne umiał czytać, pisać i mówić po łacinie, ponieważ łacina była jedynym językiem, którego nauczano w całym cywilizowanym świecie.

Kim jest ta kobieta? Gdzie tak świetnie nauczyła się po portugalsku? I po łacinie? Skądże indziej, jak nie od jezuitów, pomyślał. W którejś z ich szkół. Och, tacy są przemyślni! Na samym początku budują szkoły.

Zaledwie przed siedemdziesięcioma laty Ignacy Loyola założył Towarzystwo Jezusowe, a w tej chwili jezuickie szkoły, najlepsze w całym chrześcijaństwie, rozprzestrzeniły się po całym świecie, a wpływy jezuitów podtrzymywały bądź niszczyły królów. Mieli posłuch u papieża. Powstrzymali wielką falę reformacji, a w tej chwili zdobywali nowe wielkie terytoria dla swojego Kościoła.

–Wobec tego będziemy mówić po portugalsku – zdecydowała. – Mój pan chce wiedzieć, gdzie nauczył się tych kilku słów i zwrotów.

–W więzieniu był mnich, senhorita, franciszkański mnich i on mnie nauczył. Takich wyrazów jak „jedzenie”, „przyjaciół”, „kąpiel”, „iść”, „przyjść”, „prawda”, „nieprawda”, „tutaj”, „tam”, „ja”, „ty”, „proszę”, „dziękuję”, „chcę”, „nie chcę”, „więzień”, „tak”, „nie” i innych. Czy mogłabyś przekazać panu Toranadze, że jestem już lepiej przygotowany, żeby odpowiadać na jego pytania, żeby pomóc, i że bardzo się cieszę, że wyszedłem z więzienia. Za co mu dziękuję.

Blackthorne przyglądał się, jak Japonka odwraca się i mówi do Toranagi. Zdawał sobie sprawę, że musi używać prostego języka, najlepiej krótkich zdań, i pilnować się, gdyż w przeciwieństwie do jezuitę, który tłumaczył równolegle, ta kobieta czekała, aż skończy mówić, i dopiero wtedy streszczała bądź przedstawiała swoją wersję tego, co powiedział. Problem ten dotyczył wszystkich tłumaczy, z wyjątkiem najlepszych, choć nawet oni, jak w przypadku tego jezuitę, dopuszczali, umyślnie albo nieumyślnie, wpływ własnej osobowości na przebieg rozmowy. Kąpiel, masaż, posiłek i dwie godziny snu niezwykle go odświeżyły. Łazienki, same kobiety, duże i mocne, wyklepały mu ciało i umyły włosy, splatając je w zgrabny warkocz, a balwierz przyszytył mu brodę. Dano mu czystą opaskę na biodra, kimono, pas, tabi i sandały. Futony, czyli kołdry, na których spał były tak czyste, jak sam pokój. Miał wrażenie, że to sen, i kiedy obudził się z drzemki, przez chwilę zastanawiał się, co mu się śniło – to czy może więzienie.

Czekał cierpliwie, mając nadzieję, że go zaprowadzą znowu do Toranagi, planował, co mu powie, co ujawni, i zastanawiał się, jak by tu przechytryć ojca Alvito, jak zdobyć nad nim przewagę. I przewagę nad Toranagą. Na podstawie tego, co usłyszał od brata Domingo o Portugalczykach, japońskiej polityce i handlu, doszedł do wniosku, że na pewno będzie teraz w stanie pomóc Toranadze, który w zamian może mu z łatwością zapewnić bogactwo, którego pożądał.

A poza tym, nie mając tym razem za przeciwnika jezuitę, poczuł się jeszcze pewniej. Potrzebny był mu tylko łut szczęścia i cierpliwość.

Toranagą przysłuchiwał się uważnie przypominającej lalkę tłumaczce.

Mógłbym ją podnieść jedną ręką, a gdybym otoczył ją dłońmi w pasie, to zetknęłyby mi się palce, pomyślał Blackthorne. Ile ona ma lat? Jest nieskazitelna! Zamężna? Nie

ma małżeńskiej obrączki. Ach, to ciekawe. W ogóle nie nosi biżuterii. Oprócz tych srebrnych szpil we włosach. Ta druga, ta gruba, też nie.

Poszperał w pamięci. Tamte dwie kobiety w wiosce także nie nosiły biżuterii i nie widział jej też wcale w Dómostwie Mury. Dlaczego?

I kim jest ta gruba? Żoną Toranagi? A może piastunką tego chłopca? Czy ten chłopiec to jego syn? A może wnuk? Brat Domingo powiedział, że Japończycy mają tylko jedną żonę naraz, ale tyle konkubin – legalnych nałożnic – ile zapragną.

Czy ta tłumaczka jest konkubiną Toranagi?

Jak by to było, gdybym miał taką kobietę w swoim łóżku? Bałbym się ją zgnieść. Nie, nie zgniótlbym jej. W Anglii też spotyka się niemal równie drobne kobiety. Ale nie takie jak ona.

Chłopiec był niski, poważny, miał okrągłe oczy, gęste czarne włosy związane w krótki warkocz, a szczyt głowy nie ogolony. Zdradzał ogromne zainteresowanie.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Blackthorne mrugnął. Chłopiec podskoczył, a potem zaśmiał się, przerwał Mariko, wskazał ręką i przemówił, oni zaś słuchali go pobłażliwie i nikt go nie uciszył. Kiedy skończył, Toranaga powiedział coś krótko do Blackthorne'a.

–Pan Toranaga pyta, czemu to zrobiłeś, senhor?

–Och, wyłącznie po to, żeby rozbawić tego chłopca. To przecież tylko dzieciak, a w moim kraju dzieci zwykle śmieją się, kiedy ktoś to robi. Mój syn jest teraz pewnie mniej więcej w jego wieku. Ma siedem lat.

–Następca ma siedem lat – powiedziała po chwili Mariko, a potem przełożyła jego słowa.

–Następca? Czy to znaczy, że ten chłopiec jest jedynym synem pana Toranagi? – spytał Blackthorne.

–Pan Toranaga kazał mi powiedzieć, abys z łaski swojej ograniczył się w tej chwili wyłącznie do odpowiedzi na jego pytania – odparła, po czym dodała: – Jestem pewna, że jeżeli okażesz cierpliwość, naczelnny pilocie Bhackthon, to później będziesz miał sposobność zapytać, o co tylko zechcesz.

–Doskonale.

–Ponieważ twoje nazwisko jest bardzo trudne do wymówienia, senhor, jako że nie mamy dźwięków, by je wypowiedzieć... czy wolno mi dla potrzeb pana Toranagi

używać twojego japońskiego nazwiska „Anjin-san”?

–Oczywiście.

Blackthorne chciał zadać pytanie, ale przypomniał sobie, co powiedziała i że musi zachować cierpliwość.

–Dziękuję. Mój pan pyta, czy masz jeszcze inne dzieci?

Córkę. Urodziła się przed moim wyjazdem z domu w Anglii. Tak więc ma teraz około dwóch lat.;- Masz jedną czy wiele żon?

–Jedną. To nasz zwyczaj. Podobnie jak Portugalczyków i Hiszpanów. Nie mamy konkubin... oficjalnych konkubin.

–Czy to twoja pierwsza żona, senhor?

–Tak.

–A ile masz lat, proszę?...

–Trzydzieści sześć.

–Gdzie mieszkasz w Anglii?

–Na przedmieściu Chatham. To mały port blisko Londynu.

–Londyn to wasze główne miasto?

–Tak.

–Pan pyta, jakimi językami władasz.

–Angielskim, portugalskim, hiszpańskim, holenderskim, i oczywiście łaciną.

–Co to jest „holenderski”?

–To język, którym mówi się w Europie, w Niderlandach. Jest bardzo podobny do niemieckiego.

Japonka zmarszczyła brwi.

–Holenderski to język pogański? Niemiecki też?

–Oboma mówi się w krajach niekatolickich – odparł, mając się na baczności.

–Przepraszam, czy to to samo co pogańskich?

–Nie, senhorita. Chrześcijaństwo dzieli się – na dwie odrębne i mocno się różniące wyznania. Katolicyzm i protestantyzm. Są to dwie wersje chrześcijaństwa. Sekta w Japonii jest katolicka. W tej chwili obie sekty są do siebie bardzo wrogo nastawione. – Spozregł jej zaskoczenie i zobaczył rosnące zniecierpliwienie Toranagi, bo wyłączono go z rozmowy. Bądź ostrożny, ostrzegł się. Ona jest na pewno katoliczką. Mów rzeczowo. I prosto. – Być może pan Toranaga nie życzy sobie rozmawiać o religii, senhorita, jako że częściowo omówiliśmy ten temat podczas pierwszego spotkania.

–Jesteś chrześcijańskim protestantem?

–Tak.

–I chrześcijanie katolicy to twoi wrogowie?

–Tak, większość uznałaby mnie za wroga i heretyka.

Zawahała się, obróciła w stronę Toranagi i przez dłuższy czas mówiła.

Wokół ogrodu stało wielu strażników. Sami Brązowi, wszyscy w znacznej odległości. Blackthorne spostrzegł, że w cieniu, ze wzrokiem utkwionym w chłopcu, siedzi w zwartej grupie dziesięciu Szarych. Zastanawiał się, co to znaczy.

Toranaga wypytał dokładnie Mariko, a potem zwrócił się wprost do Blackthorne'a.

–Mój pan chce się dowiedzieć o tobie i twojej rodzinie – zaczęła Mariko. – O twoim kraju, jego królowej, poprzednich władcach, zwyczajach, kulturze i historii. A przy tym o wszystkich innych krajach, zwłaszcza o Portugalii i Hiszpanii. Wszystkiego o świecie, w którym żyjesz. O waszych statkach, broni, jedzeniu, handlu, o waszych wojnach, bitwach, o żegludze morskiej, o tym, jak prowadziłeś swój statek i co się wydarzyło w trakcie tej podróży. Pragnie zrozumieć... Przepraszam, dlaczego się śmiejesz?

–Tylko dlatego, senhorita, że chodzi tu chyba o całą moją wiedzę.

–Dokładnie tego życzy sobie mój pan. Czy „dokładnie” to właściwe słowo?

–Tak, senhorita. Czy wolno mi pochwalić ciebie i twój portugalski, który jest bez skazy?

–Dziękuję, senhor, mój pan chce znać prawdę o wszystkim: co jest faktem, a co twoją opinią.

–Chętnie mu powiem. Ale może to zająć trochę czasu.

–Mój pan mówi, że ma czas.

Blackthorne spojrział na Toranagę.

Wakarimasu – powiedział., – Wybacz, senhor, ale mój pan każe ci zwrócić uwagę, że trochę źle to akcentujesz. – Mariko zademonstrowała mu, jak wymawiać to słowo, on zaś powtórzył je i podziękował. – Jestem senhora Mariko Buntaro, nie senhorita.

–Tak, senhora. – Blackthorne zerknął na Toranagę. – Chce, żeby od czego zacząć?

Spytała o to Toranagę. Przez jego męską twarz przemknął uśmiech.

–Mówi, że od początku.

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że jest to jeszcze jedna próba. Od czego zacząć, spośród tylu nieograniczonych możliwości? Do kogo się zwracać? Do Toranagi, chłopca czy do tej kobiety? Gdyby tu byli obecni wyłącznie mężczyźni, z pewnością do Toranagi. Ale w tej sytuacji? Dlaczego są tu te kobiety i chłopiec? To musi coś znaczyć.

–Ja... no cóż... – I wtedy nagle spłynęło na niego natchnienie. Może najlepiej będzie, jeżeli narysuję mapę świata, senhora, takiego, jaki znamy – rzekł pośpiesznie. – Mam to zrobić?

Kiedy to przełożyła, dostrzegł błysk zaciekawienia u Toranagi, ale żadnej reakcji u chłopca i kobiet. Jak ich zainteresować?

–Mój pan mówi, że tak. Poślę po papier...

–Dziękuję. Ale na razie obędę się bez niego. Później, jeżeli dostanę coś do pisania, mogę narysować dokładną mapę.

Blackthorne podniósł się z poduszki i klęknął. Palcem zaczął kreślić na piasku prymitywną mapę do góry nogami, tak żeby tamci mogli ją lepiej widzieć.

–Ziemia jest okrągła jak pomarańcza, ale mapa jest jak jej skórka, bez owalnych części na północy i południu, rozplaszczona i trochę rozciągniętą na górze i na dole. Dokładnie dwadzieścia lat temu wpadł na ten pomysł Holender Merkator. Jest to pierwsza dokładna mapa świata. Możemy nawet z nią żeglować... albo z globusem. – Śmiało wyrysował kontynenty. – To jest północ, to południe, to wschód, a to zachód. Japonia jest tutaj, a mój kraj po drugiej stronie świata... tu. To wszystko zaś jest nie odkryte i nie zbadane. – Ręką oddzielił wszystkie tereny w Ameryce Północnej na północ od granicy Meksyku aż po Nową Fundlandię, wszystkie w Ameryce Południowej z wyjątkiem Peru i wąskiego pasa nadbrzeżnego wokół tego kontynentu, potem zaś wszystkie na północ i wschód od Norwegii, wszystkie na wschód od Rusi,

całą Azję, całe wnętrze Afryki, wszystkie na południe od Jawy i koniuszka Ameryki Południowej. – Znamy wybrzeża, ale niewiele więcej. Wnętrza Afryki, Ameryk i Azji są dla nas prawie całkowitą tajemnicą...

Zamilkł, żeby mogła nadgonić przekładanie. Tłumaczyła już znacznie swobodniej i czuł, że zainteresowanie Japończyków wzrasta. Chłopiec poruszył się i przysunął bliżej.

–Następca chce wiedzieć, gdzie jesteśmy na tej mapie my.

–Tutaj. To jest Kataj, Chiny, jak sędzę. Nie wiem, jak daleko jesteśmy od ich brzegów. Żegluga stąd dotąd zajęła mi dwa lata.

Toranaga i gruba kobieta wyciągnęli szyje, żeby lepiej widzieć.

–Następca pyta, dlaczego na twojej mapie Japonia jest taka mała.

–To kwestia skali, senhora. Ten kontynent, tu, od Nowej Fundlandii do Meksyku, tutaj, ma prawie tysiąc lig, z których każda liczy trzy mile. Stąd do Edo jest około stu lig.

Zapadło milczenie, a potem Japończycy zaczęli rozmawiać między sobą.

–Pan Toranaga chce, żebyś mu pokazał na tej mapie, którą dopłynąłeś do Japonii.

–Tędy. To jest Przesmyk, lub inaczej Cieśnina Magellana, tutaj, na tym końcu Ameryki Południowej. Została tak nazwana na cześć portugalskiego żeglarza, który odkrył ją osiemdziesiąt lat temu. Od tamtego czasu Portugalczycy i Hiszpanie utrzymywali ten szlak w tajemnicy, do swojego wyłącznego użytku. Jesteśmy pierwszymi obcokrajowcami, którzy nim przeplłynęli. Miałem jedną z ich tajnych rut – ruta to rodzaj mapy – ale mimo to musiałem czekać sześć miesięcy na przebycie tej cieśniny, ze względu na nieprzychylne wiatry.

Japonka przełożyła to, co powiedział. Toranaga spojrział z niedowierzaniem.

–Mój pan mówi, że się mylisz. Wszyscy bar... wszyscy Portugalczycy przyplývają z południa. To jest ich trasa, jedyna trasa.

–Tak. To prawda, że Portugalczycy wolą tę drogę, koło Przylądka Dobrej Nadziei, jak go nazywamy, ponieważ wzdłuż wszystkich tamtejszych wybrzeży mają tuziny fortów – w Afryce, Indiach, na Wyspach Korzennych – gdzie zaopatrują się i gdzie zimują. A ich wojenne galeony patrolują i całkowicie panują nad szlakami morskimi. Z Cieśniny Magellana korzystają wszakże, żeby dopłynąć do swoich amerykańskich kolonii na wybrzeżach Pacyfiku i na Filipiny, a ponadto dostają się tam przez

międzymorze w Panamie, dla uniknięcia kilkumiesięcznego rejsu podróżując lądem. Nam bezpieczniej było płynąć przez Cieśninę Magellana, zamiast narażać się na żeglugę pod ostrzałem tych wszystkich portugalskich fortów. Zechciej przekazać panu Toranadze, że znam położenie wielu z nich. Przy okazji, w większości z nich służą japońskie oddziały – dodał z naciskiem. – Brat zakonny, który mi o tym powiedział w więzieniu, jest Hiszpanem wrogo nastawionym do Portugalczyków i wszystkich jezuitów.

Blackthorne spostrzegł natychmiastową zmianę na twarzy tłumaczki, a kiedy przełożyła jego słowa, zmianę na twarzy Toranagi. Daj jej czas i mów dalej prosto, przestrzegł się.

–Japońskie oddziały? To znaczy, samurajów?

–Można ich chyba nazwać roninami.

–Powiedziałaś o „tajnej” mapie? Mój pan chce wiedzieć, jak wszedłeś w jej posiadanie.

–Pewien człowiek, Holender, który nazywał się Pieter Suyderhof, był osobistym sekretarzem prymasa Goi – prymas to tytuł głównego katolickiego księdza, a Goa to stolica Indii Portugalskich. Naturalnie orientujesz się, panie, że Portugalczycy próbują zdobyć ten kontynent siłą. Przez ręce Suyderhofa, jako osobistego sekretarza owego arcybiskupa, będącego podówczas także portugalskim wicekrólem, przechodziły rozmaite dokumenty. Po wielu latach zdobył część portugalskich rut – map – i je skopiował. Odśloniły one tajemnicę szlaku przez Cieśninę Magellana, a także, jak należy opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei oraz mielizny i rafy na trasie z Goi przez Makau do Japonii. Moja ruta zawierała trasę przez Cieśninę Magellana. Znajdowała się pośród dokumentów, które zginęły z mojego statku. Dla mnie są one niezbędne, a dla pana Toranagi mogą mieć nieoszacowaną wartość.

–Mój pan mówi, że wysłał już rozkazy, aby je odszukano. Mów dalej, proszę.

–Kiedy Suyderhof wrócił do Holandii, sprzedał je Kupieckiej Spółce Wschodnioindyjskiej, która uzyskała wyłączność na poszukiwania na Dalekim Wschodzie.

–Czy ten człowiek był płatnym szpiegiem? – spytała Mariko, mierząc go chłodnym wzrokiem.

–Tak, zapłacono mu za mapy. Taki tam mają zwyczaj, w taki sposób wynagradzają ludzi. Nie tytułem ani ziemią, ale pieniędzmi. Holandia jest republiką. Oczywiście, senhora, mój kraj i nasi sprzymierzeńcy Holendrzy toczą z Hiszpanią i Portugalią wojnę, która trwa od lat: Rozumiesz, senhora, że w czasie wojny najważniejsze jest

poznać tajemnice wrogów.

Mariko odwróciła się od niego i mówiła przez dłuższy czas.

–Mój pan pyta, w jakim celu ten arcybiskup miałby zatrudniać wroga.

–Wedle słów Pietera Suyderhofa ów arcybiskup, który był jezuitą, interesował się wyłącznie handlem. Suyderhof podwoił jego dochody, tak więc był przezeń „hołubiony”. Był nadzwyczaj zręcznym kupcem – Holendrzy są na ogół lepsi pod tym względem od Portugalczyków – więc nie sprawdzano dokładnie jego referencji. A poza tym wielu jasnowłosych i niebieskookich, Niemców i innych Europejczyków, to katolicy. – Blackthorne czekał, aż zostanie to przetłumaczone, a potem dodał ostrożnie: – Był głównym szpiegiem holenderskim w Azji, żołnierzem służącym swojej ojczyźnie i umieścił trochę swoich ludzi na portugalskich statkach. Zechciej przekazać panu Toranadze, że bez handlu z Japonią Indie Portugalskie długo nie pociągną.

Kiedy Mariko mówiła, Toranaga nie odrywał wzroku od narysowanej mapy. W ogóle nie zareagował na jej słowa. Blackthorne zastanawiał się, czy przełożyła mu wszystko.

I wtedy usłyszał:’,-.”...’

–Mój pan pragnie mieć szczegółową mapę świata na papierze, jak najszybciej, z zaznaczonymi wszystkimi bazami Portugalczyków i liczbą roninów w każdej z nich. Prosi, żebyś mówił dalej.

Blackthorne wiedział, że zrobił wielki krok do przodu. Ale chłopiec ziewnął, dlatego postanowił zmienić kurs, zmierzając, wszakże do tego samego portu.

–Nasz świat nie zawsze jest taki, na jaki wygląda. Na przykład, na południe od tej linii, którą nazywamy równikiem, pory roku układają się w odwrotnej kolejności. Kiedy u nas jest lato, to u nich zima, kiedy my mamy lato, oni marzną.

–Dlaczego tak jest?

–Nie wiem, ale to prawda. Wracając do rzeczy: droga do Japonii wiedzie przez obie te cieśniny na południu. My, Anglicy, staramy się znaleźć trasę północną albo północno-wschodnią nad Syberią, albo północno-zachodnią nad Amerykami. Na północy dotarłem aż dotąd. Cała ziemia jest tam stale skuta lodem i pokryta śniegiem, a przez większą część roku jest tak zimno, że bez futrzanych rękawic człowiek po kilku chwilach odmroziłby sobie palce. Żyjący tam ludzie zwą się Lapończykami. Ubrania mają uszyte ze skór. Mężczyźni polują, a kobiety robią wszystko w gospodarstwie. Do ich prac należy szycie ubrań. W tym celu przeważnie żują skóry, żeby je zmiękczyć przed zszyciem.

Mariko roześmiała się w głos.

Blackthorne Uśmiechnął się do niej, już pewniejszy siebie.

–To prawda, senhora. Honto.

–Sorewa honto desu ka? – spytał niecierpliwie Toranaga, chcąc wiedzieć, co takiego jest prawdą.

Znów się śmiejąc, powiedziała mu, o czym mowa. Pozostali również zaczęli się śmiać.

–Żyłem pośród nich blisko rok. Pochwyciły nas lody i musieliśmy czekać, aż puszczą. Żywią się tam rybami, fokami, niekiedy niedźwiedziami polarnymi i wielorybami, które jedzą na surowo. Ich największym przysmakiem jest surowy tran wielorybi.

–Och, nie opowiadaj, Anjin-san!

–To prawda. A mieszkają w małych okrągłych domkach wykonanych w całości ze śniegu i nigdy się nie kąpią.

–Jak to nigdy?! – wykrzyknęła.

Potrząsnął przecząco głową i postanowił nie wyjawiać jej, że w Anglii ludzie również kąpią się rzadko, rzadziej nawet niż w Portugalii i Hiszpanii, które są ciepłymi krajami.

Przełożyła to. Toranaga z niedowierzaniem pokręcił głową.

–Mój pan mówi, że za bardzo przesadziłeś. Nikt nie może się obejść bez kąpieli. Nawet ludzie niecywilizowani.

–Ale to prawda, honto – odparł spokojnie Blackthorne i podniósł rękę. – Przysięgam na Jezusa Nazareńskiego i na moją duszę, przysięgam, że to prawda.

Mariko przyglądała się mu bez słowa. – Wszystko?

–Tak. Pan Toranaga chciał znać prawdę. Czemu miałbym mu kłamać? Moje życie jest w jego rękach. Tę prawdę łatwo jest udowodnić... chociaż nie, właściwie bardzo trudno byłoby mi udowodnić własne słowa, musielibyście bowiem sami tam pojechać i zobaczyć to na własne oczy. Naturalnie Portugalczycy i Hiszpanie, którzy są moimi wrogami, nie potwierdzą tego. Ale pan Toranaga zażądał prawdy. I może ufać, że mu ją powiem.

Mariko zastanawiała się przez moment. Potem skrupulatnie przełożyła jego słowa, a po dłuższej chwili powiedziała:

–Pan Toranaga mówi, że to nie do wiary, żeby ktokolwiek mógł żyć bez kąpeli.

–Tak. Ale to są zimne kraje. Zwyczaje ich mieszkańców różnią się od waszych oraz moich. Na przykład w moim kraju wierzy się powszechnie, że kąpiele są niebezpieczne dla zdrowia. Moja babka, babunia Jacoba, powiadała: „Kąpiel raz, gdy się rodzisz, a drugi raz, kiedy układają cię w trumnie, żebyś spojrzął na Perłowe Wrota”.

–Bardzo trudno w to uwierzyć.

–W niektóre wasze zwyczaje też bardzo trudno uwierzyć. Ale prawdą jest, że w ciągu krótkiego pobytu w waszym kraju kąpałem się więcej razy, niż w ciągu wielu poprzednich lat. Chętnie przyznaję, że po kąpielach czuję się lepiej. – Blackthorne uśmiechnął się. – Już nie wierzę, że są niebezpieczne. A więc przybywając tutaj, skorzystałem, prawda?

–Tak – odparła Mariko po chwili i przełożyła, co powiedział.

–Jest niesłychany... niesłychany, ne? – odezwała się Kiri.

–Jak go oceniasz, Mariko-san? – spytał Toranaga.

Jestem przekonana, że mówi prawdę i że wierzy w to, co mówi. Niewątpliwie wszystko wskazuje na to, że miałbyś z niego wielką korzyść, panie. Tak mało wiemy o zewnętrznym świecie. Czybyś to mógł wykorzystać? Sama nie wiem. Ale ma się niemal wrażenie, jakby on przybył tu z gwiazd albo wyłonił z morza. Jeśli jest wrogiem Portugalczyków i Hiszpanów, to jego wiedza, jeśli jest godna zaufania, może się okazać bardzo ważna dla twoich interesów, ne?

–Zgadza się – powiedziała Kiri.

–A co ty o tym myślisz, wielmożny Yaemonie?

–Ja, wuju? Och, myślę, że jest brzydki, nie podobają mi się jego złote włosy i kocie oczy, on w ogóle nie przypomina człowieka – odparł jednym tchem chłopiec. – Cieszę się, że nie urodziłem się barbarzyńcą tak jak on, ale samurajem jak mój ojciec. Czy moglibyśmy pójść jeszcze raz popływać?

–Jutro, Yaemonie – odparł Toranaga zirytowany tym, że nie może rozmawiać z pilotem bezpośrednio.

W trakcie ich rozmowy Blackthorne uznał, że nadeszła właściwa chwila. Wreszcie Mariko zwróciła się znowu do niego.

–Mój pan pyta, po co byłeś na północy.

–Pilotowałem statek. Staraliśmy się znaleźć północno-wschodnią trasę, senhora. Wiele z tego, o czym mogę opowiedzieć, uznacie za śmiechu godne, wiem – zaczął. – Na przykład siedemdziesiąt lat temu władcy Hiszpanii i Portugalii podpisali uroczysty traktat, w którym podzielili pomiędzy siebie prawa własności w Nowym Świecie, nie odkrytym świecie. Ponieważ wasz kraj znajduje się w części portugalskiej, oficjalnie należy do Portugalii, pan Toranaga, ty, pani, wszyscy, ten zamek i wszystko, co w nim jest, dostało się Portugalii...

–Och, przestań, proszę, Anjin-san. Racz wybaczyć, przecież to są bzdury!

–Zgadzam się, że są niewiarygodnie bezczelni. Ale to prawda.

Natychmiast przełożyła jego słowa i Toranaga roześmiał się drwiąco.

–Pan Toranaga mówi, że z podobnym skutkiem mógłby podzielić niebo pomiędzy siebie i cesarza Chin, ne?

Zechciej więc przekazać panu Toranadze, że przykro mi, ale to nie to samo – odparł Blackthorne świadom, że wkracza na niebezpieczny grunt. – Jest to zapisane w prawomocnych dokumentach, gwarantujących każdemu z królów prawo do wszelkich niekatolickich krajów odkrytych przez jego poddanych, prawo do usunięcia istniejących tam rządów i zastąpienia ich władzą katolicką. – Blackthorne przesunął po mapie palcem, kreśląc z północy na południe linię dzielącą Brazylię. Wszystko na wschód od tej linii należy do Portugalczyków, wszystko na zachód od niej do Hiszpanii. Brazylię odkrył w roku tysiąc pięćsetnym Pedro Cabral, tak więc w tej chwili Brazylia jest portugalska. Zniszczył tam miejscową kulturę i prawowitych władców, a sam stał się bogaczem dzięki złotu i srebru z brazylijskich kopalń i zrabowanym z tamtejszych świątyń. Cała reszta ziem odkrytych do tej pory w Amerykach należy teraz do Hiszpanii: Meksyk, Peru, prawie cały południowy kontynent. Hiszpanie wytracili narody Inków, zniszczyli ich kulturę, a setki tysięcy zamienili w niewolników. Konkwistadorzy mają nowoczesne działa, tubylcy żadnych. Z konkwistadorami przybywają księża. Wkrótce paru miejscowych księży zmienia wiarę, po czym zaczyna się wygrywać ich wzajemną wrogość. Potem zaś księżę zwraca się przeciwko księciu-i królestwo rozpada się. W tej chwili Hiszpanie są najbogatszym narodem na świecie dzięki inkaskiemu i meksykańskiemu złotu i srebru, które zrabowali i odesłali do kraju.

Mariko spoważniała. Szybko zrozumiała, co oznacza ten wykład Blackthorne'a. Podobnie Toranaga.

–Mój pan mówi, że to czcza gadanina. Jak mogli przyznać sobie takie prawa?

–Nie przyznali – odparł ponuro Blackthorne. – Te prawa nadał im papież. Sam Namiestnik Chrystusa na Ziemi. W zamian za szerzenie Słowa Bożego.

–Nie wierzę! – zawołała.

–Proszę przełożyć moje słowa, senhora. To jest honto.

Spełniła jego żądanie i najwyraźniej zaniepokojona mówiła dłuższy czas. A potem rzekła:

–Mój pan... mój pan mówi, że ty... starasz się go zrazić do swoich wrogów. Jaka jest prawda? Przysięgnij na swoje życie, senhor.

Pierwszą linię podziału ustanowił w roku 1493 papież Aleksander Szósty – zaczął Blackthorne, błogosławiąc Albana Caradoca za to, że w młodości wbił mu do głowy tyle faktów, a ojca Domingo za pouczenie go o dumie Japończyków i za wskazówki na temat tego, jak myśla. – W roku 1506 papież Juliusz Drugi zatwierdził zmiany w umowie z Tordesillas podpisanej przez Hiszpanię i Portugalię w roku 1494, które korygowały nieco ową linię. Papież Klemens Siódmy zatwierdził traktat z Saragossy w roku 1529, zaledwie siedemdziesiąt lat temu, wytyczając drugą linię podziału tutaj... – Blackthorne przejechał palcem po piasku wzdłuż południka, który przecinał południowy kraniec Japonii. Daje to Portugalii wyłączne prawo do twojego kraju, panie, do wszystkich tych krajów – od Japonii i Chin po Afrykę – na zasadach takich, jak wspomniałem. Uprawniających do czerpania wyłącznych korzyści, przy użyciu wszelkich środków, w zamian za szerzenie katolicyzmu.

Znów zaczekał, a Japonka zawahała” się, zmieszana. Wyczuł, że rozdrażnienie Toranagi z powodu tego, że musi czekać na przekład, wzrasta.

Mariko zmusiła usta do mówienia i powtórzyła, co jej powiedział Blackthorne. A potem znów słuchała, nie cierpiąc tego, co słyszy. Czy to naprawdę możliwe? – zapytywała się w duchu. Jakże Ojciec Święty może mówić takie rzeczy? Oddawać nasz kraj Portugalczykom? To na pewno kłamstwo. Ale przecież pilot przysięgł na Jezusa Chrystusa.

–Pilot mówi, panie – zaczęła – że... że w czasach, kiedy Jego Świątobliwość papież podejmował te decyzje, cały ich świat, nawet kraj Anjin-sana, był katolicki. Schizma nie... jeszcze nie nastąpiła. Tak więc, tak więc te... te papieskie decyzje obowiązywały wszystkie kraje. Pilot dodaje, że Portugalczycy otrzymali wyłączność na eksploatację Japonii, ze względu na wielkie rozmiary naszej wymiany handlowej z Chinami, Hiszpania i Portugalia bez przerwy kłócą się na temat tej własności.

–Co o tym myślisz, Kiri-san? – spytał Toranaga, poruszony tym tak jak pozostali.

Jedynie chłopiec bawił się bez zainteresowania wachlarzem.

–On wierzy, że mówi prawdę – orzekła Kiri. – Tak, tak uważam. Ale jak to udowodnić...a przynajmniej częściowo?

–Jak byś zdobyła na to dowody, Mariko-san? – spytał Toranaga, wzburzony jej reakcją na to, co usłyszała, ale i bardzo zadowolony, że zgodził się, by mu tłumaczyła.

–Spytałabym o to szanownego ojca Tsukku – odparła. – A poza tym wysłałabym kogoś, zaufanego wasalą, w świat, żeby to zobaczył. Być może z Anjin-sanem.

–Jeżeli ten ksiądz nie potwierdzi rewelacji Anjin-sana, niekoniecznie musi to oznaczać, że pilot kłamie, ne? – odezwała się Kiri.

Była rada, że podsunęła Toranadze myśl o skorzystaniu z Mariko jako tłumaczki, kiedy szukał kogoś na miejsce jezuitę. Wiedziała, że Mariko można zaufać i że jeżeli raz przysięgnie na obcego Boga, to wzięta na ostre spytki przez obojętnie którego księdza, nic nie powie. Im mniej wiedzą te diabły, tym lepiej, pomyślała. Jakąż skarbnicą wiedzy jest ten barbarzyńca! Spostrzegła, że chłopiec znowu ziewnął, i ucieszyło ją to. Powiedziała sobie w duchu, że im mniej ten dzieciak rozumie, tym lepiej. A potem zaproponowała:

–A może by tak posłać po przywódcę chrześcijańskich księży i wypytać go o te fakty? Zobaczyć, co powie? Twarze księży na ogół zdradzają ich myśli i niemal zupełnie brak im subtelności.

Toranaga skinął głową, patrząc na Mariko.

–Z tego, co wiesz o Południowych Barbarzyńcach, Mariko-san, sądzisz, że byliby posłuszni rozkazom papieża?

–Niewątpliwie.

–Czy jego rozkazy można uważać za głos chrześcijańskiego Boga?

–Tak.

–Czy wszyscy chrześcijanie katolicy są posłuszni jego rozkazom?

–Tak...

–Nawet nasi tutaj?

–Myślę, że tak.

–Nawet ty?

–Tak, wielmożny panie. Gdyby sam Ojciec Święty wydał mi bezpośredni rozkaz, zrobiłabym to dla zbawienia mojej duszy. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Ale do tego czasu nie będę słuchała nikogo oprócz mojego pana, ani głowy mojego rodu, ani

mojego męża. Owszem, jestem Japonką, jestem chrześcijanką, ale nade wszystko samurajką.

–Uważam więc, że dobrze byłoby, gdyby Ojciec Święty trzymał się z daleka od naszych brzegów. – Toranaga zamyślił się na chwilę.

A potem podjął decyzję, co zrobi z barbarzyńcą” z Anjin-sanem. – Powiedz mu...

Urwał. Oczy wszystkich powędrowały ku ścieżce i starej kobiecie, która nią nadeszła. Miała na sobie habit z kapturem, jaki nosiły buddyjskie mniszki. Towarzyszyło jej czterech Szarych. Szarzy zatrzymali się i dalej poszła sama.

Wszyscy pokłonili jej się nisko. Toranaga spostrzegł, że barbarzyńca skopiował jego zachowanie i nie wstał ani też nie spojrzął, co robili zazwyczaj wszyscy barbarzyńcy z wyjątkiem Tsukku-sana. Pojętny jest ten pilot, orzekł, z głową wciąż rozgorączkowaną od wieści, które usłyszał. Kłębilo się w niej od dziesięciu tysięcy pytań, lecz podporządkowawszy się samodyscyplinie, odsunął je od siebie na jakiś czas, żeby skupić się na nowym zagrożeniu.

Kiri pośpieszyła do staruszki ze swoją poduszką, pomogła jej na niej usiąść i uklękła nieruchomo za jej plecami, gotowa do posług.

–Dziękuję ci, Kritsubo-san – powiedziała kobieta, odwzajemniając jej ukłon. Nazywała się Yodoko. Była wdową po taikó, a od jego śmierci buddyjską mniszką. – Przepraszam, że przybywam bez zaproszenia i że ci przeszkadzam, panie Toranaga.

–Zawsze jesteś mile widziana i nie potrzebujesz zaproszenia, Yodoko-sama.

–Dziękuję ci, tak, dziękuję. – Yodoko spojrzała na Blackthorne'a i zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. – Sądzę jednak, że ci przeszkodziłam. Nie widzę, kto... czy to barbarzyńca? Mam coraz słabszy wzrok. To nie Tsukku-san, prawda?...

–Nie, to ten nowy barbarzyńca – odrzekł Toranaga.

–A, on! – Yodoko przyjrzała się Blackthorne'owi dokładnie. – Zechciej powiedzieć mu, że nie widzę za dobrze, stąd moja nieuprzejmość.

Mariko powtórzyła jej słowa.

–Mówi, że w jego kraju wielu ludzi ma krótki wzrok, Yodoko-sama, ale noszą okulary – przełożyła. – Pyta, czy je mamy. Odpowiedziałam, że tak, niektórzy, od Południowych Barbarzyńców. Że ty ich używałaś, ale że już nie nosisz.

–Tak. Wolę już mgłę, która mnie otacza. Tak, nie podoba mi się bardzo wiele z tego, co obecnie widzę. – Yodoko odwróciła się i spojrzała na chłopca udając, że dopiero teraz go spostrzegła. – Och! Synu! A więc tutaj jesteś! Szukałam ciebie. Jak dobrze jest widzieć kampaku!

Ukloniła się z całym szacunkiem.

–Dziękuję, Pierwsza Matko – odparł rozpromieniony Yaemon i jej się odkłonił. – Och, powinnaś była posłuchać tego barbarzyńcy.

Wrysował nam mapę świata i opowiadał dziwne historie o ludziach, którzy w ogóle

się nie kąpią. Nigdy, w ciągu całego życia, mieszkają w domach ze śniegu i ubierają się w skóry jak złe kami. Staruszka prychnęła z pogardą.

–Myślę, synu, że im rzadziej tutaj przyplývają, tym lepiej. Nie pojmem ich przenigdy, a zawsze okropnie cuchną. Nie pojmem przenigdy, jak pan taikō, twój ojciec, mógł znieść ich obecność. Ale w końcu był mężczyzną, którym i ty jesteś, a więc macie więcej cierpliwości od marnej kobiety. Masz dobrego nauczyciela, wielmożny Yaemonie. – Spojrzenie jej starczych oczu przeskoczyło na Toranagę. – Pan Toranaga jest najcierpliwszym człowiekiem w cesarstwie.

–Cierpliwość to ważna cecha u mężczyzny, a u przywódcy niezbędna – powiedział Toranaga. – Żądza wiedzy jest również dobrą cechą, co, wielmożny Yaemonie? Wiedzę zaś czerpie się z osobliwych źródeł.

–Tak, wuju, o tak – odrzekł Yaemon. – Ma rację, prawda, Pierwsza Matko?

–Tak, tak, zgadzam się. Ale cieszę się, że jestem kobietą i nie muszę się martwić o takie rzeczy, ne? – Yodoko przytuliła chłopca, który przysiadł się do niej. – Tak, mój synu. Po co tu przyszedłam? Żeby sprowadzić kampaku. Dlaczego? Ponieważ kampaku spóźnił się na posiłek i lekcje pisania.

–Nie znoszę lekcji pisania i idę popływać.

–Kiedy miałem tyle lat co ty, też nie znosiłem lekcji pisania – odezwał się z udawaną powagą Toranaga. – Ale później, kiedy miałem lat dwadzieścia, musiałem skończyć z wojaczką i powrócić do szkoły. A tego nie znosiłem jeszcze bardziej.

–Wróciłeś do szkoły, wuju? Po tym, jak opuściłeś ją na zawsze? Och, to straszne

–Przywódcą musi dobrze pisać, wielmożny Yaemonie. Nie tylko jasno, ale i pięknie, a kampaku lepiej od wszystkich. Jak inaczej mógłby pisać do Jego Cesarskiej Wysokości albo do wielkich daimyō? Przywódca musi być we wszystkim lepszy od wasali, pod każdym względem. Przywódca musi robić wiele trudnych rzeczy.

–Tak, wuju. Bardzo trudno jest być kampaku. – Yaemon z wielką powagą zmarszczył czoło. – Myślę, że nauki zaliczę teraz, a nie kiedy będę miał dwadzieścia lat, ponieważ wówczas będę miał na głowie ważne sprawy państwowe.

Wszyscy byli z niego bardzo dumni.

–Jesteś bardzo mądry, synu – pochwaliła go Yodoko.

–Tak, Pierwsza Matko. Tak jak powiada moja matka, jestem mądry jak mój ojciec. Kiedy ona wróci do domu?

Yodoko spojrzała na Toranagę.

–Niedługo – powiedziała.

–Mam nadzieję, że bardzo niedługo – rzekł Toranaga. Wiedział, że to Ishido przysłał Yodoko po chłopca. Strażników i Yaemona przyprowadził do tego ogrodu, żeby jeszcze bardziej rozżłościć swojego wroga. A także po to, by pokazać następcy dziwnego pilota i w ten sposób pozbawić Ishido przyjemności dostarczenia mu tego przeżycia.

–Odpowiedzialność za mojego syna jest bardzo męcząca – mówiła właśnie Yodoko. – Bardzo dobrze byłoby, gdyby pani Ochiba znalazła się tutaj, w Osace, znowu w domu, wtedy mogłabym powrócić do klasztoru, ne? Jak się ona czuje i jak się ma pani Genjiko?

–Obie cieszą się doskonałym zdrowiem – odparł Toranaga, zaśmiewając się w duchu.

Dziesięć lat temu w niezwykłym geście przyjaźni taikō osobiście zachęcił go do poślubienia pani Genjiko, młodszej siostry pani Ochiby, która była jego ulubioną konkubiną.

–Wtedy nasze rody raz na zawsze się połączą, ne? – powiedział mu wówczas.

–Tak, wielmożny panie. Będę ci posłuszny, choć nie zasługuję na ten zaszczyt – odparł mu z głębokim szacunkiem, pragnąc koligacji z taikō. Wiedział jednak, że choć żona taikō Yodoko może go zaaprobować, to nienawidząca go konkubina użyje swojego wpływu, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa. A ponadto mądrzej byłoby uniknąć ożenku z siostrą Ochiby, gdyż dałoby to jej ogromną władzę nad nim, w której wcale niepoślednią rolę odgrywały klucze do jego skarbcza. Gdyby jednak wybranka poślubiła jego syna Sudarę, wówczas jako głowa rodziny zachowałby pełnię władzy. Zaaranżowanie małżeństwa Sudary z Genjiko wymagało od niego zaangażowania wszystkich umiejętności, ale dopiął swego i w tej chwili Genjiko zapewniała mu bezcenną ochronę przed Ochibą, ponieważ Ochiba uwielbiała swoją siostrę.

–Moja synowa jeszcze nie powiła, spodziewaliśmy się, że zacznie rodzić wczoraj, ale jeżeli pani Ochiba wyjedzie zaraz, chyba nic złego się nie stanie.

–Czas, żeby po trzech dziewczynkach Genjiko dała ci wnuka, ne?

Pomodlę się za jego narodziny.

–Dziękuję – powiedział Toranaga, jak zwykle czując do niej sympatię, gdyż wiedział, że jest szczerą, nawet jeśli on stanowi dla jej rodu wyłącznie zagrożenie.

–Słyszałam, że pani Sazuko jest podobno w ciąży?

–Tak. Mam dużo szczęścia. – Toranaga pomyślał z rozkoszą o swojej najnowszej konkubinie, o jej młodości, sile i serdeczności. Liczę, że będziemy mieli syna, rzekł w duchu. Tak, to byłoby wspaniale. Siedemnaście lat to w sam raz wiek na pierwsze dziecko, jeśli ma się tak doskonale zdrowie jak ona. – Tak, mam dużo szczęścia.

–Budda ci pobłogosławił.

Yodoko poczuła ukłucie zazdrości. Jakże niesprawiedliwe wydawało się to, że Toranaga ma pięciu żyjących synów, cztery córki i już pięć wnuczek, w dodatku wkrótce miało mu się urodzić dziecko z Sazuko, a ponieważ miał przed sobą wiele lat krzepkiego życia, w domu zaś dużo konkubin, to mógł splodzić znacznie więcej synów. Natomiast wszystkie jej nadzieje skupiły się na tym siedmiolatku, dziecku w tym samym stopniu jej, co Ochiby. Tak, on jest w równej mierze moim synem, pomyślała. Jakże z początku nienawidziłam Ochiby...

Spostrzegła z zaskoczeniem, że wszyscy na nią patrzą.

–Tak? – spytała.

Yaemon zmarszczył brwi.

–Spytałem, czy pójdziemy przerobić lekcje, Pierwsza Matko. Pytałem o to dwa razy.

–Przepraszam, synu, zamyśliłam się. Tak bywa ze starszymi ludźmi. Tak, a więc chodźmy.

Kiri pomogła jej wstać. Yaemon pobiegł przodem. Szarzy również wstali, a jeden pochwyił chłopca i trzymając go w objęciach, czule nim zakołysał. Czterej samuraje, którzy towarzyszyli Yodoko, czekali z boku.

–Zechcesz się ze mną przejść kawałek, panie Toranaga? – spytała Yodoko. – Potrzebuję czyjegoś silnego ramienia, żeby się na nim wesprzeć.

Toranaga podniósł się zaskakująco zwinnie. Wzięła go za rękę, ale nie skorzystała z jej krzepkości.

–Tak. Potrzebuję czyjegoś silnego ramienia. Tak jak Yaemon. Tak jak całe cesarstwo.

–Zawsze gotów ci jestem służyć – powiedział Toranaga.

Kiedy odeszli od pozostałych, powiedziała cicho:

–Zostań jedynym regentem. Przejmij władzę i rządz sam. Dopóki Yaemon nie

dorośnie.

–Testament taikō zabrania tego... nawet gdybym chciał to zrobić, a przecież nie chcę. Obwarowania, jakich dokonał, wykluczają przejęcie władzy przez jednego regenta. Nie dążę do wyłącznej władzy. Nigdy nie dążyłem.

–Tora-chan – powiedziała, używając zdrobnienia, którym tak dawno określił go taikō – ty i ja mamy kilka wspólnych tajemnic. Mógłbyś to zrobić, gdybyś tylko chciał. Ręczę ci za panią Ochibę. Przejmij władzę do końca swoich dni. Zostań shōgunem i spraw...

–Pani, ty mówisz o zdradzie. Ja nie dążę do zostania shōgunem.

–Oczywiście, ale zechciej mnie wysłuchać po raz ostatni. Zostań shōgunem, zrób Yaemona swoim jedynym następcą... twoim jedynym następcą! Może być shōgunem po tobie. Czyż nie jest z rodu Fujimoto, czyż poprzez panią Ochibę i jej dziadka Gorodę nie jest spokrewniony ze starożytnymi? Fujimoto!

Toranaga wpatrzył się w nią.

–Myślisz, pani, że daimyō zgodziliby się na takie roszczenia, albo że Jego Wysokość, Syn Niebios, zatwierdziłby wybór na to stanowisko?

–Nie. Nie samego Yaemona. Ale gdybyś to ty pierwszy został shōgunem, a jego usynowił, tobyś ich mógł przekonać, wszystkich. My ciebie poprzemy, pani Ochiba i ja.

–Ona się na to zgodziła? – spytał ze zdumieniem Toranaga.

–Nie. Nie rozmawialiśmy o tym. To mój pomysł. Ale ona się zgodzi. Ręczę za nią. Z góry., Ta rozmowa nie ma sensu, pani.

–Możesz dać radę Ishido i im wszystkim. W każdej chwili. Boję się tego, co słyszę, Tora-chan, pogłosek o wojnie, podziałów na strony i powrotu Ciemnych Wieków. Kiedy wybuchnie wojna, to będzie trwała bez końca i zniszczy Yaemona.

–Tak. Też tak myślę. Tak, jeżeli wybuchnie, będzie trwała bez końca.

–A więc przejmij władzę! Zrób, co chcesz zrobić, komu chcesz i jak chcesz. Yaemon to wartościowy chłopiec. Wiem, że go lubisz. Ma rozum swojego ojca, a pod twoim kierunkiem wszyscy na tym skorzystamy. Powinien odziedziczyć to, co mu się należy.

–Ja nie nastaję na niego ani jego dziedzictwo. Ile razy mam to powtarzać?

–Następca zostanie zniszczony, jeżeli go czynnie nie poprzysz.

–Przecież ja go popieram! – odparł Toranaga. – Pod każdym względem. Tak się umówiłem z taikō, twoim zmarłym mężem, i Yodoko westchnęła i szczerzej otuliła się habitem.

–Chłód siedzi w moich starych kościach. Tyle tajemnic, bitew, zdrad, śmierci i zwycięstw, Tora-chan. Jestem tylko kobietą, i to bardzo samotną. Cieszę się, że poświęciłam się Buddzie i że większość moich myśli skierowanych jest ku Niemu i następnemu wcieleniu. Ale w tym życiu muszę ochraniać mojego syna i mówić o tym wszystkim tobie. Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę zuchwałość.

–Zawsze szukam twojej rady i ją sobie cenię.

–Dziękuję. – Staruszka wyprostowała się odrobinę. – Posłuchaj, dopóki żyję, ani następca, ani pani Ochiba nie zwrócą się przeciwko tobie.

–Tak.

–Rozważysz moją propozycję?

–Mój pan zabrania tego w testamencie. Nie mogę postąpić wbrew jego woli, złamać swoją świętą przysięgę regenta.

Szli w milczeniu. Yodoko westchnęła.

–Dlaczego się z nią nie ożenisz? – spytała. Toranaga zatrzymał się jak wryty.

–Z Ochibą?

–A czemu nie? Z politycznego punktu widzenia jest nieoceniona. To idealna wybranka dla ciebie. Piękna, młoda, silna, z nieskazitelnym rodowodem, po części z rodu Fujimoto, po części z Minowara, pełna blasku i bezgranicznej radości życia. W tej chwili nie masz oficjalnej żony... więc czemu nie? Rozwiązałoby to problem dziedziczenia i zapobiegło rozpadowi cesarstwa. Miałbyś z nią na pewno innych synów. Mógłbyś zostać shōgunem. Zdobyłbyś władzę w cesarstwie i władzę ojcowską, a więc mógłbyś wyszkolić Yaemona podług własnej woli. Mógłbyś go formalnie usynowić, tak że stałby się jak każdy z twoich synów. Czemu nie poślubisz pani Ochiby?

Bo to dzika kotka, zdradliwa tygrysyca! Z twarzą i ciałem bogini, która myśli, że jest cesarzową i tak też się zachowuje, rzekł w duchu Toranaga. Nigdy nie byłbyś jej pewien w łóżku. Równie prawdopodobne jak to, że by cię pieściła, jest to, że podczas snu wykląłaby ci igłą oczy. O nie, tylko nie ona! Nie ona, nawet gdybyś zawarł z nią małżeństwo tylko z nazwy, na co by się nigdy nie zgodziła. Nie ma mowy! I to z

wszelkich możliwych powodów, z których wcale nie najmniej ważny jest ten, że nienawidziła mnie i spiskowała, chcąc doprowadzić do mojego upadku, odkąd tylko jedenaście lat temu urodziła pierwsze dziecko.

Już wtedy, mając zaledwie siedemnaście lat, zaczęła działać na moją zgubę. Och, na zewnątrz była taka mięciutka, jak wczesna dojrziała brzoskwinia i tak jak ona wonna. Ale w środku twarda jak stal miecza, z umysłem, który szedł z tym w parze, i rozsiewająca swoje uroki z takim skutkiem, że wkrótce taikō oszalał na jej punkcie i odsunął od siebie wszystkie inne żony. Trzymała go w garści od piętnastego roku jej życia, kiedy to po raz pierwszy ją wziął. Tak, a trzeba pamiętać, że nawet wtedy to właściwie ona spała z nim, a nie on z nią, niezależnie od tego, co sam o tym myślał. Tak, już nawet mając piętnaście lat, Ochiba wiedziała, czego chce i jak to osiągnąć. A potem zdarzył się Cud, a to właśnie ona jedyna spośród wszystkich kobiet, jakie tylko miał w życiu, dała mu wreszcie syna. Z iloma damami spał? Co najmniej z setką, on, gronostaj, który spryskał Sokiem Szczęśliwości więcej Niebiańskich Komnat niż dziesięciu zwykłych śmiertelników! Tak. A były to kobiety w różnym wieku i wszelkich kast, przypadkowe bądź konkubiny, od księżniczki Fujimoto po kurtyzany czwartej rangi. Ale żadna z nich nawet nie zaszła w ciążę, choć później wiele z tych, które taikō odprawił, z którymi się rozszedł albo rozwiązał małżeństwa, miało z innymi mężczyznami dzieci. Żadna, oprócz pani Ochiby.

Ale ona urodziła mu pierwszego syna, gdy taikō miał lat pięćdziesiąt trzy, malutkie biedactwo, które chorowało i tak szybko umarło. Taikō zaś rwał na sobie szaty, niemal oszalały z rozpacz, winiąc za to siebie, a nie ją. W cztery lata później, kiedy Ochiba miała dwadzieścia jeden lat, cudem urodziła jeszcze raz, cudem jeszcze jednego syna, cudem tym razem zdrowego. Taikō nazwał ją Ochiba „Niezrównaną.

Był taikō ojcem Yaemona, czy nie? liiii, wiele dałbym, żeby znać prawdę, pomyślał Toranaga. Czy kiedyś ją poznamy? Prawdopodobnie nie, ale co ja bym dał za dowód na to, taki czy inny.

Dziwne, że taikō, tak przebiegły we wszystkich innych sprawach, w stosunku do Ochiby nie był mądry, aż do granic szaleństwa nie widząc świata poza nią i Yaemonem. Dziwne, że spośród wszystkich kobiet, to właśnie ona została matką następcy, ona, której ojciec, ojczym i matka zginęli z powodu taikō.

Czy byłaby na tyle przebiegła, żeby spać z innym mężczyzną, przyjmując w siebie jego nasienie, a potem, żeby się zabezpieczyć, zgładzić go? I zrobić to nie raz, ale dwa razy?

Czy byłaby zdolna do takiej perfidii? O, tak. Poślubić Ochibę? Nigdy.

–Sprawiasz mi zaszczyt swoją propozycją – odparł.

–Jesteś prawdziwym mężczyzną, Tora-chan. Z łatwością poradziłbyś sobie z taką kobietą. Ty jeden w całym cesarstwie byś to potrafił, ne? Cudownie byście do siebie pasowali. Spójrz tylko, jak w tej chwili walczy, by ochronić interesy swojego syna, a jest tylko bezbronną kobietą. Byłaby dla ciebie godną żoną.

–Wątpię, czy w ogóle rozważałaby taką możliwość.

–A jeśli tak?

–Chciałbym się o tym dowiedzieć. Poufnie... Tak, byłby to dla mnie wielki zaszczyt.

–Wielu uważa, że tylko ty stoisz pomiędzy Yaemonem a sukcesją po taikō.

–Wielu ludzi to głupcy.

–Tak. Ale nie ty, Toranaga-sama. Ani pani Ochiba.

Ani ty, moja pani, pomyślał.

W najciemniejszą godzinę nocy przez mur przedostał się do ogrodu zabójca. Był prawie niedostrzegalny. Nosił obcisły czarny strój, czarne tabi, a głowę skrywały mu czarny kaptur i maska. Był drobny. Bezszelestnie podbiegł do muru kamiennej wewnętrznej fortecy i stanął tuż przed wysoką ścianą. Pięćdziesiąt metrów dalej strzegło głównego wejścia dwóch Brązowych, Zręcznie rzucił obszyty materiałem hak z przyczepioną do niego cienką jedwabną linką. Hak zaczepił się o kamienny występ strzelnicy. Mężczyzna wspiął się po lince, przecisnął przez otwór w murze i zniknął w środku budowli.

W cichym korytarzu paliły się świece. Bezszelestnie pośpieszył nim, otworzył drzwi na zewnątrz i wyszedł na blanki. Jeszcze jeden zręczny rzut, krótka wspinaczka i znalazł się w korytarzu piętro wyżej. Strażnicy rozstawieni na rogach blanków nie usłyszeli go, ale byli czujni.

Mężczyzna przywarł do kamiennego muru we wnęce, bo minęli go inni Brązowi, robiący obchód. Kiedy przeszli, przemknął korytarzem do końca. Na rogu przystanął i po cichu zza niego wyjrzał. Drzwi na drugim końcu strzegł samuraj. Światła świec tańczyły w ciszy. Siedzący ze skrzyżowanymi nogami strażnik ziewnął, oparł się plecami o ścianę i rozprostował nogi. Na chwilę przymknął oczy. Zabójca natychmiast popędził korytarzem. Bezgłośnie. Z jedwabnej, linki, którą trzymał w dłoniach, zrobił pętlę, zarzucił ją strażnikowi na szyję i zadzierzgnął ją szarpnięciem. Strażnik próbował palcami zerwać garotę, ale już się dusił. Krótkie, chirurgiczne precyzyjne pchnięcie nożem w stos pacierzowy i strażnik znieruchomiał.

Przybysz ostrożnie odemknął drzwi. Sala audiencyjna była pusta, drzwi w środku nie strzeżone. Wciągnął zwłoki do środka i zamknął drzwi. Bez wahania przeszedł przez pustą salę i wybrał lewe wewnętrzne drzwi. Były z drewna, silnie uzbrojone. Do prawej ręki zabójca wsunął zakrzywiony nóż. Cicho zapukał.

–Za czasów cesarza Shirakawy... – rzekł, podając pierwszy człon hasła.

Spoza drzwi dobiegł go szmer stalowej klingi wysuwanej z pochwy i odpowiedź:;

–...żył mędrzec imieniem Enraku-ji...

–...który napisał trzydzieści jeden sutr. Mam pilne listy do pana Toranagi.

Drzwi otworzyły się na oścież i zabójca wpadł przez nie do środka. Nóż śmignął w górę, trafiając pierwszego samuraja w gardło tuż pod brodą i równie szybko wyciągnięty wbił się w ciało drugiego samuraja. Lekki skręt i znów znalazł się na wierzchu. Obaj strażnicy skonali na stojąco. Chwycił jednego i pozwolił ciału opaść miękko na podłogę. Drugi upadł, ale bezgłośnie. Krew zabitych zalała podłogę, a ich

ciała zadygotały w śmiertelnych drgawkach.

Mężczyzna pobiegł wewnętrznym korytarzem, który był słabo oświetlony. Nagle otworzyły się jakieś drzwi. Zamarł i wolno rozejrzał się dookoła.

Z odległości dziesięciu kroków wpatrywała się w niego kobieta. W rękach trzymała tacę.

Zobaczył, że dwie filiżanki na tacy są czyste, a jedzenie nietknięte. Z czajnika smużyła się para, a obok płonęła z trzaskiem świeca. A potem taca upadła, Kiri sięgnęła ręką pod obi i wyjęła ją stamtąd uzbrojoną w sztylet. Poruszała ustami, ale bezdźwięcznie. Zabójca skoczył w kąt. Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się i wyjrzał przez nie zaskoczony, zaspany samuraj.

Zabójca rzucił się w jego stronę i szarpnięciem otworzył shoji po prawej, których szukał. Kiri już krzyczała i podniesiono alarm. Poruszając się pewnie w ciemności, napastnik przebiegł przez przedpokój po śpiących kobietach, ich służących, a potem wpadł do najgłębiej usytuowanego korytarza na drugim końcu.

Było tu kompletnie ciemno, ale z rosnącą determinacją bezbłędnie wymacał drogę i odnalazł właściwe drzwi. Odsunął je i skoczył do postaci, która leżała na futonie. Ktoś jednak chwycił go za prawą rękę z nożem, która uwięzła jak w imadle, po czym zaczął z nim walczyć na podłodze. Bił się zręcznie, oswobodził rękę i jeszcze raz sieknął nożem, ale zaplątany w kołdrę chybił. Zrzucił ją z siebie i skoczył na leżącego, z nożem przygotowanym do zadania śmiertelnego ciosu. Zaatakowany jednak obrócił się z nieoczekiwaną zwinnością i stwardniałą stopą kopnął go w krocze. Poczuł straszliwy ból, a jego ofiara umknęła, chroniąc się.

I wtedy w drzwiach zaroilo się od samurajów, z których część miała latarnie, a ubrany tylko w przepaskę na biodra, rozczochrany Naga wskoczył pomiędzy niego a Blackthorne'a z uniesionym mieczem.

–Poddaj się!

Zabójca przybrał bojową postawę, krzyknął: „Namu Amida But-su...” – „W imię Buddy Amidy”, trzymany oburącz nóż skierował ku sobie i aż po nasadę wbił go pod brodę. Naga ciął, jego miecz zatoczył wirujący łuk i odcięta głowa zabójcy potoczyła się po podłodze.

Naga podniósł ją w ciszy i zdarł z niej maskę. Twarz mordercy była pospolita, oczy w niej jeszcze drgały. Naga trzymał głowę za samurajski czub na jej szczycie.

–Czy ktoś go zna?

Nikt nie odpowiedział. Naga napluł zabitemu w twarz, gniewnie rzucił głowę jednemu

z podkomendnych, rozciął ubranie trupa, podniósł jego prawą rękę i znalazł, czego szukał. Wytrawiony pod jego pachą niewielki tatuaż – chiński hieroglif oznaczający Amidę, szczególnego Buddę.

–Kto jest dowódcą tej warty?

–Ja, panie – odparł samuraj, blady z przerażenia.

Naga przyskoczył do niego, a pozostali rozpierzchli się na boki. Dowódca warty nie zrobił nic, żeby uniknąć straszliwego ciosu, który odrąbał mu głowę, kawałek barku i rękę.

–Hayabusa-san, każ wszystkim samurajom z tej warty zejść na dziedziniec – rozkazał Naga oficerowi. – Na nowej warcie podwój strażę. Zabierzcie stąd ciało. A pozostali...

Urwał, bo do progu podeszła Kiri, nadal trzymając sztylet. Spojrzała na trupa, a potem na Blackthorne'a.

–Anjin-san nie jest ranny? – spytała.

Naga, z trudem łapiąc oddech, rzucił okiem na przerastającego go o głowę barbarzyńcę. Nie zobaczył żadnych ran ani krwi. Jedynie rozspanego mężczyznę, który o mało co nie zginął. Pilot twarz miał pobladłą, ale nie zdradzał żadnych oznak trwogi.

–Jesteś ranny, pilocie? – spytał.

–Nie rozumiem.

Naga podszedł do pilota i ściągnął „z niego nocne kimono, żeby sprawdzić, czy jest ranny.

–A, teraz rozumiem. Nie. Nie ranny – usłyszał głos tego olbrzyma i zobaczył, że potrząsa przecząco głową.

–To dobrze – powiedział. – Chyba nie jest ranny, Kiritsubo-san.

Ujrzał, że Anjin wskazuje na zwłoki i coś mówi.

–Nie rozumiem cię – rzekł Naga. – Anjin-san, zostaniesz tutaj – dodał i polecił jednemu ze swoich ludzi: – Jeżeli zechce, to przynieście mu jeść i pić.

–Ten zabójca miał tatuaż Amidy, ne? – spytała Kiri.

–Tak, pani Kiritsubo.

–Diabły... diabły.

–Tak.

Naga uklonił się jej, a potem przeniósł wzrok na jednego ze swoich zatrwożonych samurajów.

–Pójdiesz ze mną. Weź głowę! – rozkazał. Odszedł energicznym krokiem, rozważając, jak o tym powiedzieć ojcu. Och, Buddo, dzięki ci za to, że go chronisz, pomyślał.

–To był ronin – skwitował krótko Toranaga. – Nigdy nie dojdziemy, kto go przysłał, Hiro-matsu-san.

–Tak. Ale odpowiedzialność za to spada na Ishido. Trzeba nie mieć krzty honoru, żeby zrobić coś takiego”, ne? Ani trochę. Żeby użyć tych ścierv, zabójców! Proszę cię, błagam, pozwól mi wezwać nasze oddziały, panie. Skończę z tym raz na zawsze.

–Nie. – Toranaga popatrzył na Nagę. – Jesteś pewien, że Anjin-san nie jest ranny?

–Nie jest, wielmożny panie.

–Hiro-matsu-san. Zdegradujesz wszystkich strażników z tej warty za niedopełnienie obowiązków. Nie wolno im popełnić seppuku. Mają żyć z piętnem tej sromoty na oczach wszystkich moich samurajów jako żołnierze najniższej kategorii. Zabitych strażników przeciągnijcie uwiązanych za stopy przez zamek i miasto na pole straceń. Niech pożywią się nimi psy.

Toranaga spojrział na swojego syna Nagę. Wcześniej tego wieczoru z klasztoru Johji w Nagoi nadeszła pilna wiadomość o groźbie Ishido wobec Nagi. Toranaga natychmiast rozkazał synowi nigdzie nie wychodzić i otoczył go strażą, a reszta członków rodziny w Osace – Kiri i pani Sazuko – była równie dobrze strzeżona. W swoim liście przeor dodawał, iż po namyśle uważa, że mądrze byłoby natychmiast zwolnić matkę Ishido i odesłać ją do miasta wraz z pokojówkami. „Nie odważyłbym się nierozsądnie narażać życia któregoś z twoich znakomitych synów – pisał. – Co gorsza, z jej zdrowiem nie jest najlepiej. Przeziębła się. Najlepiej, gdyby umarła u siebie w domu, a nie tutaj”.

–Naga-san, w równej mierze jesteś odpowiedzialny za wtargnięcie tu tego zabójcy – rzekł chłodno i surowo Toranaga. – Odpowiedzialny jest za to każdy samuraj, obojętnie, czy pełni akurat wartę, śpi czy czuwa. Każę cię za to utratą połowy twoich rocznych dochodów.

–Tak, panie – odparł młodzieniec, zaskoczony, że pozwolono mu zachować cokolwiek, w tym głowę. – Proszę cię, żebyś również mnie zdegradował – powiedział.

– Nie potrafię żyć z takim wstydem, panie. Zasługuję wyłącznie na pogardę za sprawienie ci zawodu.

–Gdybym cię chciał zdegradować, tobym tak zrobił. Masz natychmiast pojechać do Edo. Wyruszysz dziś wieczorem z dwudziestoma ludźmi i stawisz się u swojego brata. Dotrzesz tam szybko jak nikt! Odejdź!’

Naga uklonił się i odszedł z pobladłą twarzą.

–Wzmocnij poczwórnice straże – zwrócił się równie szorstko do Hiro-matsu. – Odwołaj moje polowanie dziś i jutro. W dzień po zebraniu regentów wyjeżdżam z Osaki. Przygotuj wszystko do podróży, a do tego czasu pozostanę tutaj. Nie przyjmę nikogo bez zaproszenia. Nikogo.

Odprawił wszystkich gniewnym gestem.

–Odejdźcie wszyscy. Ty, Hiro-matsu, zostań.

Pokój opustoszał. Hiro-matsu był rad, że poniżenie spotka go bez świadków, bo spośród wszystkich to on, jako dowódca straży przybocznej, ponosił największą odpowiedzialność.

–Nie mam dla siebie usprawiedliwienia, panie. Żadnego – po wiedział.

–Toranaga zamyślił się głęboko. Nie widać było po nim gniewu., Gdybyś chciał potajemnie skorzystać z usług tajnego Bractwa Amidy, to jak byś ich odnalazł? – spytał. – Jak byś nawiązał z nimi kontakt?

–Nie wiem, panie.

–A kto wiedziałby, jak to zrobić?

Kasigi Yabu. Toranaga wyjrzał przez strzelnicę. Mrok na wschodzie przetykały już nici świtu.

–Sprowadź go tu o brzasku – powiedział.

–Myślisz, że to jego sprawka, panie? Toranaga nie odpowiedział, znowu się zamyślił.

Po pewnym czasie stary żołnierz nie mógł dłużej znieść jego milczenia.

–Proszę cię, panie, pozwól mi zejść ci z oczu. Tak mi wstyd, że zawiedliśmy...

–Takie zamachy są prawie nie do uniknięcia – odparł Toranaga.

–Tak. Ale powinniśmy go schwytać na zewnątrz, w żadnym zaś wypadku blisko ciebie.

–Słusznie. Ale nie winię cię za to.

Aleja winię za to siebie. Muszę ci coś powiedzieć, panie, ponieważ aż do twojego powrotu do Edo to ja jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Zamachów na twoje życie będzie więcej, a wszyscy nasi szpiedzy donoszą o wzmożonym ruchu wojsk. Ishido mobilizuje siły. – Tak – przyznał zdawkowo Toranaga. – Po spotkaniu z Yabu chcę zobaczyć księdza Tsukku, a potem Mariko. Podwój liczbę pilnujących Anjina.

–Dziś wieczorem nadeszły wieści, że sto tysięcy ludzi pana Onoshiego umacnia fortyfikacje na Kiusiu – dodał Hiro-matsu, dręczony troską o bezpieczeństwo Toranagi.

–Zagadnę go o to, kiedy się spotkamy.

Hiro-matsu nie wytrzymał.

–Zupełnie cię nie rozumiem, panie. Muszę ci powiedzieć, że niemądrze się narażasz. Tak jest, niemądrze. Nie dbam o to, czy pozbawisz mnie głowy za te słowa, ale to prawda. Jeżeli Kiyama i Onoshi poprą swoimi głosami Ishido, to zostaniesz oskarżony o zdradę! I koniec z tobą! Zaryzykowałeś wszystko przyjeżdżając tutaj i przegrywasz! Uciekaj, póki jeszcze możesz. Przynajmniej ocalisz głowę!

–Na razie nic mi nie grozi.

–A czy ta napaść dzisiejszej nocy nic ci nie mówi? Gdybyś znowu nie zmienił pokoju, to już byś nie żył.

–Tak, być może, ale prawdopodobnie jednak bym żył – odparł Toranaga. – Dzisiejszej, a także poprzedniej nocy pod moimi drzwiami stały wzmocnione straże. A poza tym czuwałeś również ty. Żaden zabójca by się do mnie nie zbliżył. Nawet ten tak doskonale przygotowany. Znał przecież drogę, a nawet hasło, ne? Kiri-san mówi, że słyszała, jak go użył. Myślę więc, że wiedział, w którym pokoju jestem. To nie ja byłem jego ofiarą. To Anjin-san.

–Barbarzyńca?

–Tak.

Toranaga przewidywał, że po nadzwyczajnych rewelacjach tego ranka pilotowi grożą kolejne niebezpieczeństwa. Niewątpliwie za bardzo komuś zagrażał, aby mógł pozostać przy życiu. Ale Toranaga nie przewidział, że atak nastąpi w jego własnych

apartamentach i że aż tak szybko. Kto mnie zdradza? – zastanawiał się. Rozważył, czy źródłem przecieku informacji mogły być Kiri albo Mariko. W zamkach i ogrodach są jednak zawsze miejsca do podsłuchiwania, pomyślał. Jestem w samym środku warowni wroga, tak więc tam, gdzie ja mam jednego szpiega, Ishido – i pozostali – będą ich mieć dwudziestu. Być może był to najzwyczajniejszy szpieg.

–Podwój strażę przy Anjin-sanie – powtórzył. – Jest dla mnie wart tysiąc żołnierzy.

Po odejściu dziś rano pani Yodoko wrócił do ogrodu herbaciarni i od razu spostrzegł fizyczne osłabienie barbarzyńcy, jego nazbyt błyszczące oczy i to, że pada z nóg. Opanował więc podniecenie oraz prawie nieodpartą chęć, żeby go wypytać gruntowniej, i odesłał go zapowiadając, że jutro będą kontynuować rozmowę. Pilota powierzono opiece Kiri z poleceniem, aby sprowadzić do niego lekarza, zregenerować jego siły, nakarmić barbarzyńskim jadłem, jeżeli sobie tego zażyczy, a nawet udostępnić mu sypialnię, z której Toranaga korzystał przez większość nocy.

–Daj mu, co tylko uznasz za stosowne, Kiri-san – rzekł jej na osobności. – Szybko muszę go mieć zdrowego, na duszy i na ciele.

A wtedy Anjin-san poprosił, żeby uwolniono z więzienia tego mnicha, bo to stary i chory człowiek. Odrzekł, że to rozważy i odesłał dziękującego mu barbarzyńcę nie mówiąc mu nic, że od razu nakazał samurajowi pójść do więzienia i sprowadzić owego mnicha, który był zapewne równie cenny, tak dla niego, jak dla Ishido.

Toranaga od dawna wiedział o tym duchownym, że jest Hiszpanem wrogo nastawionym do Portugalczyków. Ale człowiek ten znalazł się w więzieniu z rozkazu taikō, przez co był jego więźniem, Toranaga zaś nie miał żadnej władzy w Osace. Rozmyślnie posłał pilota do tego więzienia, nie tylko po to, aby udać przed Ishido, iż obcy nie przedstawia żadnej wartości, ale także w nadziei, że ten imponujący barbarzyńca zdoła wyciągnąć z tego mnicha wiadomości.

Pierwszy nieudany zamach na życie pilota w baraku więziennym został udaremniiony i natychmiast roztoczono wokół niego ochronny parawan. Toranaga nagrodił swojego szpiega, kagę Minikuiego, szczęśliwie wydobywając go z więzienia, obdarowując czterema osobistymi tragarzami oraz dziedzicznym prawem do korzystania z gościńca Tokaidō – wielkiego głównego traktu łączącego Edo z Osaka – na odcinku od Drugiego do Trzeciego, który biegł przez jego dobra w pobliżu Edo, i zaraz pierwszego dnia wyprawił go potajemnie z Osaki. W ciągu następnych dni jego szpiedzy donieśli mu, że dwaj Europejczycy zaprzyjaźnili się ze sobą, że mnich mówi, a pilot zadaje pytania i słucha. To, że Ishido najprawdopodobniej miał również w więzieniu swoich szpiegów, nie martwiło go. Pilot był strzeżony i bezpieczny. I wtedy Ishido podjął próbę porwania go i poddania obcym wpływom.

Toranaga przypomniał sobie, jak wraz z Hiro-matsu świetnie się bawili, układając plan naglej „zasadki” – „bandyci-roninowie” byli jedną z niewielkich, samodzielnych grup jego doborowych samurajów, którzy potajemnie przebywali w Osace i jej okolicach – i czas zjawienia się Yabu, który niczego nie podejrzewając przyszedł „w sukurs”. Uśmieli się wiedząc, że wykorzystali go ponownie niczym marionetkę, żeby utylić nos Ishido w jego własnym łajnie.

Wszystko udawało się doskonale. Aż do dzisiaj.

Samuraj, którego wysłał po mnicha, wrócił z niczym.

–Ten kapłan umarł – zameldował mu. – Kiedy wywołali jego nazwisko, nie wyszedł, panie Toranaga. Wszedłem do środka, żeby go wyciągnąć, ale nie żył. Otaczający go przestępcy powiedzieli, że kiedy strażnicy wywołali jego nazwisko, po prostu stracił przytomność. Kiedy go odwróciłem, już nie żył. Wybacz mi, proszę, panie, posłałeś mnie po niego, a ja nie zdołałem wypełnić twojego rozkazu. Nie wiedziałem, czy chcesz mieć jego głowę, czy ciało wraz z głową, bo to barbarzyńca, dlatego przywiozłem go w całości. Część otaczających go przestępców twierdziła, że ich nawrócił. Chcieli zatrzymać jego ciało i próbowali to zrobić, więc kilku musiałem zabić i przywiozłem zwłoki. Cuchną i roją się od robactwa, ale są na dziedzińcu, wielmożny panie.

Dlaczego ten mnich umarł? – jeszcze raz zadał sobie pytanie Toranaga. I wtedy zauważył pytający wzrok Hiro-matsu.

–Słucham? – spytał.

–Pytałem tylko, komu zależałoby na śmierci pilota.

–Chrześcijanom.

Kasigi Yabu szedł korytarzem za Hiro-matsu, czując się o świcie wybornie. Wietrzyk pachniał przyjemnie solą, co przypominało mu Mishimę, jego rodzinne miasto. Był rad, że nareszcie zobaczy Toranagę i że czekanie się skończyło. Wykąpał się i starannie ubrał. Napisał ostatnie listy do żony i matki, na wypadek zaś, gdyby posłuchanie wypadło dla niego niepomyślnie, opieczętował swój testament. W zasłużonej w bitwach pochwie miecza miał dziś z sobą klingę Murasamy.

Skręcili za jeszcze jeden róg, a potem Hiro-matsu nieoczekiwanie otworzył wzmocnione, okute żelazem drzwi i po kamiennych schodach wprowadził go do wewnętrznej wieży, głównej w tej części fortyfikacji. Na warcie stało tu wielu strażników i Yabu wyczuł zagrożenie.

Wijące się w górę schody kończyły się łatwą do obrony redutą. Strażnicy otworzyli żelazne drzwi. Wyszedł na blanki. Bez lęku zadawał sobie pytanie, czy Hiro-matsu

dostał rozkaz zrzućenia go z nich, czy też rozkaże mu skoczyć samemu.

Ku swojemu zaskoczeniu zastał tam Toranagę, który, aż trudno uwierzyć, podniósł się, żeby go powitać życzliwie i z szacunkiem, czego nie miał prawa oczekiwać. W końcu Toranaga był panem Ośmiu Prowincji, podczas gdy on jedynie władcą Izu. Poduszki leżały starannie rozmieszczone. Czajniczek spowijała koszulka z jedwabiu. Bogato ubrana, mało urodziwa dziewczyna z kwadratową twarzą złożyła mu niski ukłon. Nazywała się Sazuko i była siódmą oficjalną konkubinią Toranagi, najmłodszą, w bardzo zaawansowanej ciąży.

–Jakże cieszy mnie twój widok, Kasigi Yabu-san. Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać.

Upewniło to Yabu, że Toranaga tak czy owak postanowił skrócić go o głowę, gdyż w myśl powszechnie przyjętego zwyczaju wróg był wobec ciebie najbardziej uprzejmy wówczas, kiedy zamyślał bądź już zaplanował twoją zgubę. Yabu wyjął zza pasa oba miecze i pieczołowicie ułożył je na kamiennych płytach, pozwalając odprowadzić się od nich i posadzić na honorowym miejscu.

–Pomyślałem, że ciekawie będzie obejrzeć świt, Yabu-san. Uważam, że widok stąd jest rozkoszny, piękniejszy nawet niż z baszty następcy. Ne?

–Tak, jest piękny – zgodził się bez zastrzeżeń Yabu, pierwszy raz będąc w zamku tak wysoko. Pewien był już, że wzmianka Toranagi o następcy jest sygnałem, iż wie on o jego tajnych pertraktacjach. – To zaszczyt dla mnie móc go dzielić z tobą.

Pod nimi rozpościerało się uśpione miasto, zatoka i wyspy, na zachodzie Awaji, na wschodzie opadająca linia brzegu, a na niebie po wschodniej stronie coraz mocniejsze światło nakrapiało chmury cętkami czerwieni.

–To jest moja pani Sazuko. Sazuko, przedstawiam ci mojego sprzymierzeńca, słynnego pana Kasigi Yabu z Izu, daimyō, który dostarczył nam tego barbarzyńcę i statek ze skarbami.

Sazuko ukloniła się Yabu, skomplementowała go, na co jej się odklonił, ona zaś złożyła mu jeszcze jeden ukłon. Pierwszą filiżankę herbaty podała jemu, ale grzecznie odmówił takiego zaszczytu, inicjując rytuał, i poprosił ją, aby dała ją panu Toranadze, który naturalnie też odmówił i nalegał na niego, by ją jednak przyjął. Wreszcie, tak jak nakazywał rytuał, dał się w końcu, jako honorowy gość, przekonać. Hiro-matsu przyjął drugą filiżankę, z trudem utrzymując porcelanę w sękatych palcach, drugą dłonią zaś oplatając rękojeść miecza, który spoczywał mu na kolanach. Toranaga przyjął trzecią filiżankę i napił się cha, a potem wspólnie oddali się kontemplowaniu przyrody i obserwowaniu wschodu słońca. Pod milczącym niebem.

Zakwiliły mewy. Odezwało się miasto. Wstał dzień.

Pani Sazuko westchnęła, oczy miała mokre od łez.

–Znajdując się tak wysoko i widząc tyle piękna, czuję się jak bogini, ne? – powiedziała. – Jakie to smutne, że przeminęło bezpowrotnie, wielmożny panie. Jak bardzo smutne, ne?

–Tak – odparł Toranaga.

Kiedy słońce wyłoniło się do połowy spoza horyzontu, ukłoniła się i odeszła. Ku zaskoczeniu Yabu odeszli również strażnicy. Zostało więc tylko ich trzech.

–Z radością przyjąłem twój dar, Yabu-san – powiedział Toranaga. – Był to nadzwyczaj wspaniałomyślny gest, cały ten statek i wszystko, co zawierał.

–Wszystko, co mam, jest twoje – odparł Yabu, wciąż pod wielkim wrażeniem świtu. Szkoda, że nie mam więcej czasu, pomyślał. Jakże elegancko zachował się wobec mnie Toranaga! Obdarował mnie na sam koniec tak sownie. – Dziękuję ci za ten świt.(

–Tak – rzekł Toranaga. – Należy się dzielić najlepszym. Cieszę się, że mój dar podobał ci się tak, jak mnie twój.

Zapadła cisza.

–Yabu-san, co ci wiadomo o Bractwie Amidy?

–Tylko to, co wiadomo ogólnie: że jest to tajne stowarzyszenie, podzielone na dziesiątki – dziesięcioosobowe grupy złożone z kobiet i mężczyzn, z przywódcy i dziewięciu akolitów w jednym konkretnym rejonie. Składają oni najświętsze i najtajniejsze śluby panu Buddzie Amidzie, Dawcy Wieczystej Miłości, na wierność, czystość i gotowość na śmierć. Całe życie poświęcają treningowi po to, żeby stać się idealną zabójczą bronią, która uśmierca tylko raz i jedynie na rozkaz dowódcy, a jeżeli nie uda im się zabić wskazanej osoby, obojętnie, mężczyzny, kobiety czy dziecka, natychmiast odbierają sobie życie. To religijni fanatycy, którzy są przekonani, że po tym życiu osiągną Od razu stan Buddy. Jeszcze żadnego nie schwytano żywcem.

Yabu wiedział o zamachu na życie Toranagi. Wiedziała już o tym cała Osaka, a także o tym, że pan Kantō, Ośmiu Prowincji, zamknął się bezpiecznie wewnątrz żelaznych pierścieni fortyfikacji.

–Zabijają rzadko, a ich tajność jest całkowita. Nie ma szans, żeby się na nich zemścić, bo nikt nie wie, kim są, gdzie mieszkają ani gdzie ćwiczą.

–Gdybyś chciał ich wynająć, to jak byś się do tego zabrał?

–Szeptałbym o tym w trzech miejscach – w klasztorze Heinan, u wrót świątyni Amidy i w klasztorze Johji. Jeżeli uznają kogoś za pożądanego zleceniodawcę, to przed upływem dziesięciu dni skontaktują się z nim przez pośredników. Wszystko to jest takie tajne i pokrętne, że nawet gdybyś chciał ich zdradzić albo pochwycić, to nie będzie to możliwe. Dziesiątego dnia zażądają pewnej sumy w srebrze, a Wysokość zapłaty zależy od osoby, która ma być zabita. Nie ma targów, płacisz z góry, ile zażądają. Gwarantują tylko tyle, że jeden z członków bractwa w ciągu dziesięciu dni podejmie próbę zabójstwa. Legenda głosi, że jeżeli zabójstwo się nie uda, morderca wraca do świątyni, po czym bardzo uroczyście popełnia samobójstwo rytualne.

–A więc sądzisz, że nigdy nie zdołamy się dowiedzieć, kto zapłacił za zamach dzisiejszej nocy?

–Nie.

–Myślisz, że będą następne?

–Może tak. A może nie. Umowa dotyczy za każdym razem jednego zabójstwa, nie? Ale mądrze byłoby wzmocnić środki bezpieczeństwa – w szeregach twoich samurajów i pośród twoich kobiet. Powiadają, że wyznawczynie Amidy są szkolone zarówno w posługiwaniu się trucizną, jak sztyletem i garotą.

–Czy wynajmowałeś już ich kiedyś?

–Nie...

–Ale twój ojciec tak?

–Nie wiem, nie jestem pewien. Podobno taikō, prosił go kiedyś, żeby się z nimi skontaktował.

–Czy ów zamach się powiódł?

–Taikō udawało się wszystko. W taki czy inny sposób.

Yabu wyczuł za plecami czyjąś obecność i doszedł do wniosku, że to wrócił cichcem któryś strażnik. Oceniał, jak daleko ma do swoich mieczów. Czy spróbuję zabić Toranagę? – zadał sobie jeszcze raz pytanie. Już o tym postanowiłem, ale teraz sam nie wiem. Coś się we mnie zmieniło. Dlaczego?

–Ile musiałbyś im zapłacić za moją głowę? – spytał Toranaga.

–W całej Azji jest za mało srebra, żeby skłonić mnie do wynajęcia ich w takim celu.

–A ile musiałby zapłacić ktoś inny?

–Dwadzieścia tysięcy koku, pięćdziesiąt tysięcy, sto... może więcej, nie wiem.

–Czy zapłaciłbyś sto tysięcy koku, żeby zostać shōgunem? Twoja genealogia wywodzi się z Takashimów, ne?

–Nie zapłaciłbym nic – odparł dumnie Yabu. – Pieniądze to plugastwo, zabawka dla kobiet albo dobre, dla tych zafajdanych kupców. Ale gdyby to było możliwe, choć nie jest, to oddałbym swoje życie, życie – żony, matki i całego mojego rodu, z wyjątkiem syna, a ponadto życie wszystkich moich samurajów z Izu, wszystkich kobiet i dzieci za to, żeby kiedyś zostać shōgunem. A ile byś dał za Osiem Prowincji?

–Wszystko, co wymieniłem, z wyjątkiem życia mojej żony, matki i syna.

–A za prowincję Suruga?

–Nic – odparł z pogardą Yabu. – Ikawa Jikkyu nie jest nic wart. Jeżeli w tym życiu nie pozbawię głów jego i jego całego rodu, to zrobię to w następnym. Szczam na niego i jego potomstwo przez dziesięć tysięcy wcieleń.

–A gdybym ci go podarował? I całą Surugę... a do tego być może także sąsiednią prowincję, Totomi?

Yabu nagle zniechęciła ta gra w kota i mysz i rozmowy o Bractwie Amidy.

–Jeśliś postanowił, panie, pozbawić mnie głowy, proszę bardzo.

Jestem gotów. Podziękowałem ci za ten świt. Ale nie chcę psuć takiego wykwintu dalszą rozmową, więc zakończmy sprawę.

–Ależ ja wcale nie mam zamiaru pozbawiać cię głowy, Yabu-san – odparł Toranaga. – Co ci podsunęło taką myśl? Może Ishido? Czyż nie jesteś moim ulubionym sprzymierzeńcem? Sądzisz, że przyjmowałbym cię tutaj bez strażników, gdybym cię uważał za wroga?

Yabu odwrócił się powoli. Spodziewał się, że ujrzy za plecami samuraja z uniesionym mieczem. Ale nie było tam nikogo. Spojrzał ponownie na Toranagę.

–Nie rozumiem.

–Sprowadziłem cię tu, żebyśmy mogli porozmawiać bez świadków. I obejrzeć świt. Czy chciałbyś władać prowincjami Suruga, Izu i Totomi... jeżeli nie przegram tej wojny?

–Tak. Bardzo – odparł Yabu, a jego nadzieje gwałtownie wzrosły.

–Zostałbyś moim wasalem? Uznał mnie za swojego suzerena?

Yabu zawahał się.

–Nigdy. – Odparł. – Za sojusznika, tak. Za swojego przywódcę, tak. Za mniejszego od ciebie, tak. Zaangażowałbym po twojej stronie swoje życie i wszystko, co mam, tak. Ale Izu jest moja. Jestem daimyō Izu i władzy nad nią nie oddam nikomu. Taką przysięgę złożyłem mojemu ojcu, taikō zaś zatwierdził Izu jako nasze rodowe lenno, wprawo ojcu, a potem mnie. Zatwierdził Izu dla mnie i moich dziedziców na wieki. Był on naszym panem i przysięgłem, że innego pana nie będę miał dopóty, dopóki jego następca nie dorośnie.

Hiro-matsu nieznacznie obrócił w rękę swój miecz. Dlaczego Tora-naga nie pozwoli mi skończyć z tym raz na zawsze? – pomyślał. – Po co ta cała męcząca rozmowa? Chętnie opróżniłbym pęcherz, boli mnie, a poza tym muszę się położyć, Toranaga podrapał się w pachwinie.

–Co ci zaproponował Ishido?

–Głowę Jikkyu... kiedy tylko spadnie twoja. I jego prowincję.

–W zamian za co?

–Za poparcie, kiedy wybuchnie wojna. Za atak na twoje południowe skrzydło.

–Zgodziłeś się?

–Przecież na tyle mnie znasz, panie.

Szpiedzy z otoczenia Ishido donieśli Toranadze, że zawarto umowę i że należało do niej zobowiązanie się do zabicia trzech jego synów – Naboru, Sudary i Nagi.

–Za nic więcej? Tylko za poparcie?

–Przy użyciu wszelkich dostępnych mi środków – odparł jakby nigdy nic Yabu.

–Z zabójstwem włącznie?

–W razie wybuchu wojny, mam zamiar prowadzić ją przy użyciu wszystkich sił. Po stronie sprzymierzeńca. Używając wszystkiego, co może mu przynieść wygraną. Na czas niepełnoletności Yaemona potrzebujemy wyłącznie jednego regenta. Wojna pomiędzy tobą a Ishido jest nieunikniona. Nie ma innego rozwiązania.

Yabu starał się odgadnąć myśli Toranagi. Gardził jego niezdecydowaniem, pewien, że jest lepszy od niego, że Toranaga potrzebuje jego poparcia i że kiedyś w końcu zwycięży go. Ale co robić tymczasem? – zapytywał siebie, żałując, że nie ma tu jego

żony, Yuriko, która by mu doradziła. Ona wiedziałaby, jak postąpić najmądrzej.

–Mogę ci się bardzo przydać. Mogę pomóc ci zostać jedynym regentem – dodał, postanawiając zaryzykować.

–A dlaczego to miałbym pragnąć zostać jedynym regentem?

–Kiedy Ishido zaatakuje, pomogę ci go pokonać: Kiedy złamie pokój – odparł Yabu.

–W jaki sposób?

Yabu opowiedział mu o swoim planie z działami.

–Pułk dział złożony z pięciuset samurajów?! – wybuchnął Hiro-matsu.

–Tak. Pomyśl tylko o sile Ognia. O tych wszystkich doborowych żołnierzach wyszkolonych do działania jak jeden mąż. O dwudziestu działach, które strzelają jednocześnie.

–To zły plan. Odrażający – oświadczył Hiro-matsu. – Nie da się go utrzymać w tajemnicy. Jeżeli zaczniemy my, to samo zrobi nasz wróg. I nie będzie już końca tej potworności. To niehonorowe i bez przyszłości.

–Czyż nie mamy na względzie tylko tej nadciągającej wojny, panie Hiro-matsu? – odparł Yabu. – Czyż nie chodzi nam wyłącznie o bezpieczeństwo pana Toranagi? Czyż nie jest to obowiązkiem jego sprzymierzeńców i wasali?’

–Tak.

–Wystarczy, że pan Toranaga wygra jedną wielką bitwę. Zapewni mu to głowy jego wszystkich wrogów oraz władzę! Uważam, że ta strategia przyniesie mu zwycięstwo.

–A ja uważam, że nie. To odrażający plan i całkowicie niehonorowy.

Yabu obrócił się do Toranagi.

–Nowa epoka wymaga trzeźwego podejścia do kwestii honoru – rzekł.

W górę nad ich głowami wzbija się z krzykiem mewa.

–Co powiedział na twój plan Ishido? – spytał Toranaga.

–Nie omawiałem go z nim.

–Dlaczego? Jeżeli uważasz swój plan za cenny dla mnie, to byłby on równie cenny dla niego. A może nawet bardziej.

–Tyś podarował mi świt. Nie jesteś kmiociem jak Ishido. Jesteś najmądrzejszym i najbardziej doświadczonym przywódcą w cesarstwie.

Jaki ty masz prawdziwy powód? – zadawał sobie pytanie Toranaga. – A może powiedziałeś o tym również Ishido?

–Gdybyśmy zastosowali twój plan, to połowę tych żołnierzy byłoby twoich, a połowę moich? – spytał.

–Owszem. Ja bym nimi dowodził.

–Wyznaczony przeze mnie człowiek byłby twoim zastępcą?

–Owszem. Potrzebny byłby mi ten barbarzyńca, żeby wyszkolił mi ludzi na strzelców, na kanonierów.

–Czy gdyby był cały czas moją własnością, to dbałbyś o niego tak, jak dbasz o następcę? Wziąłbyś na siebie pełną odpowiedzialność i postępował z nim dokładnie tak, jak ci powiem?

–Owszem.

Toranaga przyglądał się przez chwilę szkarłatnym chmurom. Te plany nie mają zupełnie sensu, pomyślał. Sam musiałbym ogłosić Szkarłatne Niebo i uderzyć na Kioto na czele moich legionów. Ze stu tysiącami żołnierzy przeciwko dziesięciokrotnie liczniejszemu przeciwnikom.

–A kto byłby tłumaczem? Nie mogę zlecić tego na stałe pani Toda.

–A na kilka tygodni, wielmożny panie? Dopilnowałbym, żeby barbarzyńca wyuczył się naszej mowy.

–To zajęłoby lata. Z barbarzyńców opanowali ją tylko chrześcijańscy kapłani, ne? Zajęło im to” lata. Tsukku-san jest tu od lat trzydziestu, ne? Pilot nie nauczy się jej dostatecznie szybko, nie szybciej niż my nauczylibyśmy się ich wstrętnych języków.

–Tak. Ale przyrzekam ci, że ten pilot nauczy się japońskiego bardzo szybko...

Yabu przedstawił im podsunięty mu przez Omiego plan w taki sposób, jakby to był jego pomysł.

–To może być zbyt niebezpieczne.

–Ale dzięki temu nauczyłby się szybko, ne? A wówczas byśmy go poskromili.

–W jaki sposób utrzymałbyś to szkolenie w tajemnicy? – spytał po chwili milczenia

Toranaga.

–Izu jest półwyspem, znakomicie zabezpieczonym. Bazę utworzyłbym koło Anjiro, dla bezpieczeństwa w słusznej odległości na południe, z dala od Mishimy i granicy prowincji.

–Dobrze. Natychmiast ustanowimy łączność pomiędzy Anjiro a Osaka i Edo za pośrednictwem gołębi pocztowych.

–Wspaniale. Potrzebuję zaledwie pięciu, sześciu miesięcy i...

–Dobrze będzie, jeśli będziemy mieli sześć dni! – parsknął Hiro-matsu. – Chcesz przez to powiedzieć, że twoja słynna siatka szpiegowska została zniszczona, Yabu-san? Przecież na pewno otrzymujesz doniesienia. Czyż Ishido nie mobilizuje wojsk? Czyż nie mobilizuje ich Onoshi? Czyż nie jesteśmy tutaj zamknięci?

Yabu nie odpowiedział.

–No więc? – spytał Toranaga...

Doniesienia wskazują, że to wszystko ma miejsce, a nawet więcej – odparł Yabu. – Jeżeli będzie to sześć dni, to będzie, taka jest karma! Ale uważam, że jesteś za mądry, żeby wpaść w pułapkę. Albo dać się wciągnąć do przedwczesnej wojny.

–Gdybym się zgodził na twój plan, to uznałbyś mnie za swojego dowódcę?

–Tak, ale po twoim zwycięstwie byłbym zaszczycony przyjmując Surugę i Totomi jako części mego wieczystego lenna.

–Totomi to kwestia powodzenia twojego planu.

–Owszem.

–Przyrzekasz mi posłuszeństwo? Ręczysz za nie całym swoim honorem?..’

–Tak. Na bushido, na pana Buddę, na życie mojej matki, żony i potomków.

–Dobrze – powiedział Toranaga. – A więc oblejemy ten układ.

Podszedł do krawędzi blanków. Wyszedł na półkę strzelnicy, a potem na sam jej parapet – Siedemdziesiąt stóp niżej był wewnętrzny ogród. Zdumiony brawurą swojego pana, Hiro-matsu wstrzymał oddech. Zobaczył, jak Toranaga odwraca się i skinieniem przywołuje Yabu, żeby stanął obok. Yabu posłuchał. Za najłżejszym dotknięciem spadłoby w dół na pewną śmierć.

Toranaga odgarnął kimono i odsunął w bok opaskę na biodra, a Yabu zrobił to

samo. Razem odsikalili się, łącząc w powietrzu dwa strumienie moczu i przyglądając się, jak zraszają ogród w dole.

–Ostatni raz przypieczętowałem w ten sposób układ z taikō – rzekł Toranaga, któremu opróżnienie pęcherza przyniosło ogromną ulgę. – Właśnie wtedy postanowił dać mi Kantō; Osiem Prowincji, jako lenno. Oczywiście należały one jeszcze wówczas do naszego wroga Hojo, tak więc najpierw musiałem je zdobyć. Był to nasz ostatni przeciwnik, który stawiał opór. Naturalnie w zamian za ten zaszczyt byłem zmuszony z miejsca oddać moje dziedziczne lenna: Imagawę, Owari i Ise. Ale mimo to zgodziłem się na to i moczem oblaliśmy ten układ.,– Swobodnie stanął na parapecie, poprawiając wygodniej opaskę na biodra, tak jakby stał w samym ogrodzie, a nie wysoko w górze niczym orzeł na perci. – Układ ten był dobry dla nas obu. Pobiliśmy Hojo w ciągu roku i zdobyliśmy pięć tysięcy głów. Zgładziliśmy jego i cały jego ród. Być może masz rację, Kasigi Yabu-san. Być może potrafisz mi pomóc, tak jak ja dopomogłem taikō.

–Pomogę ci zostać jedynym regentem, Toranaga-sama. Ale nie shōgunem...

–Oczywiście. Tego jednego zaszczytu nie szukam, bez względu na to, jak często mówią o tym moi wrogowie. – Toranaga zeskoczył na bezpieczne kamienne płyty. Obejrzał się na Yabu, który nadal stał na wąskim parapecie, poprawiając pas. Srodze kusiło go, żeby błyskawicznym ruchem zepchnąć go za jego zuchwałość. Ale nie zrobił tego, usiadł i głośno puścił wiatr. – Ulżyłem sobie. A jak twój pęcherz, Żelazna Pięści? – spytał.

–Dokucza mi, panie, bardzo dokucza.

Starzec odszedł na stronę i też wypróżnił się z ulgą poza blanki, ale nie stanął tam, gdzie stali przedtem Toranaga z Yabu. Był też bardzo zadowolony, że nie musi przypieczętowywać z Yabu żadnego układu. Takiego układu nigdy bym nie uszanował, rzekł w duchu. Nigdy.

–Yabu-san. Wszystko to musi pozostać w tajemnicy. Myślę, że powinieneś wyjechać stąd za jakieś dwa, trzy dni – rzekł Toranaga.

–Tak. Z muszkietami i barbarzyńcą, Toranaga-sama?

–Tak. Popłyniesz statkiem. – Toranaga spojrział na Hiro-matsu. – Przygotuj galerę.

–Statek jest gotów. Muszkiety i proch są nadal w ładowniach – odparł Hiro-matsu z miną świadczącą o dezaprobachie.

–To dobrze.

Udało ci się, chciał wykrzyknąć Yabu. Masz działa, pilota, wszystko. Masz swoje

sześć miesięcy. Toranaga za nic nie ruszy szybko na wojnę. Nawet gdyby Ishido zabił go w ciągu najbliższych miesięcy, to i tak zachowujesz wszystko. O Buddo, ochraniaj Toranagę do chwili, aż wypłynę w morze.

–Dziękuję ci – rzekł z nie skrywaną ogromną szczerością. – Nie znajdziesz wierniejszego sprzymierzeńca ode mnie.

Kiedy odszedł, Hiro-matsu obrócił się w stronę Toranagi.

–To było niedobre posunięcie. Wstyd mi za ten układ. Wstyd mi, że moje rady tak mało dla ciebie ważą. Nie jestem już ci przydatny, panie, a w dodatku jestem bardzo zmęczony. Ten mały zasraniec daimyō wie, jak manipulować tobą niczym marionetką. Och, posunął się w swojej bezczelności aż do tego, żeby w twojej obecności nosić miecz Murasamy.

–Zauważyłem – odparł Toranaga.

–Myślę, że bogowie rzucili na ciebie urok, panie. Otwarcie puszczasz płazem zniewagi i pozwalasz, żeby w twojej obecności bezczelnie pał tu sobie oczy. Otwarcie pozwalasz Ishido, żeby cię zawstydział przy nas wszystkich. Nie pozwalasz mnie i nam wszystkim ciebie bronić.

Odmawiasz mojej wnuczce, damie z samurajskiego rodu, honorowej i spokojnej śmierci. Utraciłeś kontrolę nad Radą, twój wróg cię przechytrzył, a teraz jeszcze uroczyście oblewasz układ, który jest najohydniejszym planem, jaki znam, i zawierasz go z człowiekiem, który posługuje się podłością, trucizną i zdradą, tak jak przed nim jego ojciec. Hiro-matsu trząsał się z gniewu. Toranaga milczał i tylko wpatrywał się w niego spokojnie, jak gdyby starzec niczego nie powiedział.

–Na wszystkie kami, żyjące i martwe, rzucono na ciebie czar! – , wybuchnął stary generał. – Ja sprzeciwiam się tobie, krzyczę na ciebie, znieważam cię, a ty tylko na mnie patrzysz! Alboś ty oszalał, albo ja. Proszę cię, pozwól mi popełnić seppuku, a jeżeli nie zgodzisz się, bym zapewnił sobie taki spokój, to pozwól mi ogolić głowę i zostać mnichem, pozwól na cokolwiek, cokolwiek, ale niechże zniknę stąd.

–Nic takiego nie zrobisz. Ale pošlesz po tego barbarzyńskiego kapłana, Tsukku-sana.

To powiedziawszy, Toranaga roześmiał się.

Ojciec Alvito zjeżdżał ze wzgórza zamkowego na czele gromady konnych jezuitów. Wszyscy mieli na sobie szaty buddyjskich kapłanów, z tą różnicą, że przy pasach nosili różańce i krzyże. Jeźdźców było czterdziestu, samych Japończyków z dobrych rodzin, synów chrześcijańskich samurajów, uczniów seminarium duchownego w Nagasaki, którzy towarzyszyli mu w drodze do Osaki. Wszyscy mieli dobrą uprzęż, pewnie siedzieli w siodłach i byli zdyscyplinowani niczym orszak jakiegoś daimyō.

Nie zważając na ciepłe promienie słońca, Alvito jechał żwawym truchtem, przez zagajniki i ulice miasta do misji jezuitów, dużego kamiennego budynku w stylu europejskim, który stał nie opodal nabrzeży i wznosił się ponad gromadą oficyn, skarbców i magazynów, w których wymieniano i płacono za wszystkie jedwabie w Osace.

Orszak ze stukiem przejechał przez żelazne wrota osadzone w wysokim kamiennym murze, wjechał na brukowany dziedziniec główny i zatrzymał się przy wejściu. Na ojca Alvito czekali tam już służący, żeby pomóc mu zsiąść z konia. Alvito zsunął się z siodła i rzucił im wodze. Dzwoniąc ostrogami o kamienie, energicznie pomaszerował chodnikiem przy głównym budynku, skręcił za róg, minął małą kaplicę i przeszedłszy pod kilkoma arkadami, – wkroczył na wewnętrzny podwórzec z fontanną i zacisznym ogrodem. Drzwi do westybulu były otwarte. Zrzucił z siebie niepokój i, przybrawszy odpowiednią minę, wszedł do środka.

–Czy jest sam? – spytał.

–Nie, nie, nie sam, Martinie – odparł ojciec Soldi. Był niskim, dobrotliwym, ospowatym Neapolitańczykiem, który od prawie trzydziestu lat sekretarzował ojcu wizytatorowi, z czego dwadzieścia pięć w Azji – Jego eminencja przyjmuje generała-gubernatora Ferrierę. A tak, jest u niego ten paw. Ale jego eminencja powiedział, że masz tam od razu wejść. Co się stało, Martinie?

–Nic.

Soldi chrząknął i powrócił do ostrzenia gęsiego pióra.

–Mądry ojciec powiada „nic”. Cóż, wkrótce się tego dowiemy – rzekł.

–Tak – powiedział Alvito, czując sympatię do staruszka. Poszedł do drzwi na drugim końcu westybulu. Na palenisku płonęły drwa, oświetlając piękne ciężkie, poczerńiałe od wieku meble o soczystym odcieniu, który zawdzięczały polerowaniu i pielęgnacji. Nad kominkiem wisiał mały obraz Madonny z Dzieciątkiem pędzla Tintoretta, który ojciec wizytator przywiózł ze sobą z Rzymu.

–Znowu widziałeś tego Anglika? – zawołał za nim ojciec Soldi. Alvito nie odpowiedział. Zapukał do drzwi.

–Proszę.

Carlo dell’Aqua, ojciec wizytator Azji, osobisty delegat generała zakonu jezuitów, najstarszy z zakonu, a przeto najmożniejszy człowiek na Wschodzie, był również najwyższy. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu i odpowiednią do niego posturę. Był siwowłosym Neapolitańczykiem, nosił tonsurę i miał sześćdziesiąt jeden lat.

–O, Martin, wejdz, wejdz. Może wina? – spytał po portugalsku z tą cudowną włoską śpiewnością. – Widziałeś tego Anglika?

–Nie, eminencjo. Tylko Toranagę.

–Jest niedobrze?

–Tak.

–Może wina?

–Dziękuję.

–Jak bardzo niedobrze? - spytał Ferriera. Fidaglio ów, w tym roku dowódca Nao del Trato, Czarnej Karaweli, siedział dumnie niczym sokół, i równie jak on barwny, przy kominku w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Był w wieku pomiędzy trzydziestką a czterdziestką, szczupły, drobnej budowy ciała i budził postrach.

–Myślę, że bardzo niedobrze, generale-gubernatorze. Na przykład Toranaga powiedział, że sprawa tegorocznego handlu może zaczekać.

–Ależ to oczywiste, że handel nie może czekać... ani ja – rzekł Ferriera. – Wyruszam z odplywem.

–Nie załatwiłeś jeszcze, panie, formalności w porcie. Obawiam się, że będziesz musiał zaczekać.

–Myślałem, że wszystko zostało załatwione wiele miesięcy temu. – Ferriera jeszcze raz przeklął japońskie przepisy, które wymagały, żeby wszystkie towary, nawet ich własne, miały pozwolenia na wwóz i wywóz. – Nie powinniśmy się krępować głupimi przepisami tubylców. Powiedziałeś, eminencjo, że to spotkanie jest zwykłą formalnością, że chodzi o zwykłe odebranie dokumentów.

–Tak być powinno, ale byłem w błędzie. Może lepiej wyjaśnię...

–Muszę natychmiast powrócić do Makau, żeby przygotować Czarną Karawelę. W

lutym na targach w Kantonie zakupiliśmy najlepsze jedwabie wartości miliona dukatów, a będziemy też wieźli co najmniej sto tysięcy Uncji chińskiego złota. Sądziłem, że jest jasne, iż każdy grosik w gotówce w Makau, Malakce i Goi, każdy grosz kupców i ojców miasta Makau został zainwestowany w tegoroczne interesy. A także każdy wasz grosz.

–Wiemy, jakie to ważne, równie dobrze jak ty, panie – odparł uszczypliwie dell’Aqua.

–Przykro mi, generale-gubernatorze, ale Toranaga przewodniczy Radzie Regencyjnej i zwyczaj nakazuje iść do niego – wyjaśnił Alvito. – Z nim nie rozmawia się o tegorocznym handlu ani o twoich zezwoleniach w porcie. Na początek zaznaczył, że nie pochwała zabójstwa.

–A kto je pochwała, ojcze? – spytał Ferriera.

–O czym mówił Toranaga, Martinie? – spytał dell’Aqua. – Czy to jakiś podstęp? Zabójstwo? A co my z tym mamy wspólnego?

–Spytał: „Z jakiego to powodu wy, chrześcijanie, chcielibyście zabić mojego więźnia, pilota?”

–Co takiego?

–Toranaga uważa, że ten zamach zeszłej nocy był wymierzony w Anglika, a nie w niego. Twierdzi, że pierwszą taką próbę podjęto w więzieniu – rzekł Alvito z oczami utkwionymi w wojskowym.

–O co ty mnie oskarżasz, ojcze? – spytał Ferriera. – O próbę zabójstwa? Mnie? W zamku w Osace? Ja pierwszy raz jestem w Japonii!

–Więc zaprzeczasz, że cokolwiek ci o tym wiadomo?

–Nie przeczę, że im prędzej ten heretyk zginie, tym lepiej – odparł chłodno Ferriera. – Jeżeli Holendrzy i Anglicy zaczną szerzyć swoje plugawe poglądy w Azji, to wpadniemy w kłopoty. Wszyscy.

–Już je mamy – rzekł Alvito. – Toranaga zaczął od stwierdzenia, iż dowiedział się od Anglika, że portugalski monopol na handel z Chinami przynosi krociowe zyski, że Portugalczycy przesadnie zawyżają ceny jedwabów, które tylko oni mogą kupować w Chinach, płacąc za nie jedynym towarem, jaki przyjmują Chińczycy – japońskim srebrem, za które Portugalczycy również płacą nędznie mało. Toranaga powiedział: „Ponieważ pomiędzy Chinami a Japonią panuje wrogość i bezpośredni handel pomiędzy nimi jest wzbroniony, Portugalczycy zaś mają na ten handel wyłączność, przeto na oskarżenie ich przez pilota o „lichwę” powinni dać oficjalną odpowiedź – na piśmie. Toranaga „zachęca” cię, eminencjo, byś dostarczył

regentom sprawozdanie na temat rozmiarów wymiany: srebra na jedwabie, jedwabiu na złoto, złota na srebro. Dodał, że oczywiście nie ma nic przeciwko naszym dużym zyskom, jeśli tylko osiągamy je na Chińczykach.

–A ty, ojciec, naturalnie odmówiłeś spełnienia tak zuchwałych żądań – rzekł Ferriera.

–Bardzo trudno jest tego odmówić.

–Wobec tego dostarczcie mu sfalszowane sprawozdanie.

–Narazilibyśmy tym naszą pozycję tutaj, która opiera się na zaufaniu – odparł dell’Aqua.

–A czy Japusom można ufać? Oczywiście, że nie można. Nasze zyski muszą pozostać tajemnicą. Przeklęty heretyk!

–Z przykrością muszę ci, panie, powiedzieć, że ten Blackthorne jest, na to wygląda, wyjątkowo dobrze poinformowany.

Alvito spojrzał mimowolnie na dell’Aque, na chwilę się odkrywając.

.Ojciec wizytator nic na to nie powiedział.

–Co jeszcze mówił ten Japus? – spytał Ferriera udając, że nie zauważył wymiany spojrzeń pomiędzy jezuitami, i żałując, że nie wie tego wszystkiego, co wiedzą oni.

Toranaga prosi mnie, abym mu jutro do południa dostarczył mapę świata z zaznaczonymi liniami jego podziału pomiędzy Hiszpanię i Portugalię, i podał imiona papieży, którzy zatwierdzili te traktaty, wraz z ich datami. „Życzy sobie”, żeby w ciągu trzech dni dostarczył mu na piśmie wyjaśnienie w sprawie „podbojów” w Nowym Świecie, dla zaspokojenia „mojej czysto osobistej ciekawości”, jak się dokładnie wyraził, oraz ilości złota i srebra pozyskanego – właściwie użył wyrażenia Blackthorne’a – „zrabowanego” przez Portugalię i Hiszpanię w Nowym Świecie. Zażyczył sobie również jeszcze jednej mapy, pokazującej zasięg imperiów Hiszpanii i Portugalii sto lat temu, pół wieku temu oraz dzisiaj, wraz z dokładnym rozmieszczeniem naszych baz od Malakki do Goi – nawiasem mówiąc, wszystkie wiernie wymienił, miał je wypisane na papierze – oraz podania liczby japońskich najemników, których zatrudniamy w każdej z tych baz. Dell’Aqua i Ferriera byli przerażeni.

–Należy kategorycznie odmówić! – zagrzmiął wojskowy.

–Panu Toranadze się nie odmawia – odparł dell’Aqua.

Myślę, że eminencja przecenia jego ważność – oświadczył Ferriera. – A mnie się

wydaje, że ten Toranaga to jeszcze jeden despotyczny władca, jakich wielu, po prostu jeszcze jeden krwiożerczy poganin, którego na pewno nie trzeba się obawiać. Odmówcie mu. Bez naszej Czarnej Karaweli ich cała gospodarka załamie się. Oni przecież błagają nas o chińskie jedwabie. Bez jedwabów nie będzie kimon. Muszą z nami dalej handlować. Dlatego mówię: pal sześć Toranagę. Możemy handlować z ich chrześcijańskimi książętami... jak się tam oni zwa? Z Onoshim i Kiyamą... oraz z innymi chrześcijańskimi władcami Kiusiu. W końcu siedzibę mamy w Nagasaki, jest nas tam dużo i tam odbywa się cały handel.

–Nie możemy odmówić, generale-gubernatorze – odparł dell’Aqua. – Jesteś, panie, pierwszy raz w Japonii, więc nie zdajesz sobie sprawy, jakie tu mamy kłopoty. Owszem, oni nas potrzebują, ale my ich jeszcze bardziej. Bez przychylności Toranagi – i Ishido – stracimy wpływ na tych chrześcijańskich władców. Stracimy Nagasaki i wszystko, co zbudowaliśmy tu przez ponad pięćdziesiąt lat. Czy to ty pochopnie zorganizowałaś zamach na życie tego heretyckiego pilota?, – Od początku otwarcie mówiłem Rodriguesowi i każdemu, kto słuchał, że ten Anglik to niebezpieczny pirat, który zarazi każdego, z kim się zetknie, i dlatego powinno się go za wszelką cenę usunąć. Wasza eminencja powiedział to samo, używając innych słów. Także ty, ojciec Alvito. Czyż nie poruszaliśmy tej sprawy dwa dni temu podczas naszej narady z Onoshim i Kiyamą? Czyż nie powiedziałeś, że ten pirat jest niebezpieczny?

–Tak. Ale...

–Wybacz mi, ojciec, ale czasem żołnierze muszą wypełniać dzieło Boże najlepiej jak potrafią. Przyznaję, że byłem wściekły na Rodriguesa, że nie zaaranżował wypadku podczas tej burzy. Przecież właśnie on jeden powinien mieć dość oleju w głowie! Na Ciało Chrystusa, spójrzcie, co ten angielski diabeł zdażył zrobić z Rodriguesem. Biedny głupiec jest mu wdzięczny za uratowanie życia, podczas gdy chodzi o najprostszą sztuczkę na świecie, której celem było zdobycie jego zaufania. Czyż Rodrigues nie zbłądził się, pozwalając heretyckiemu pilotowi na przejęcie rufówki, przez co z – pewnością omal nie postradał życia? A co do tej próby zabójstwa w zamku, to kto wie, co tam naprawdę zaszło. Zlecił ją ktoś miejscowy, to japońska sztuczka. Nie martwi mnie, że go próbowali zabić, ale oburza to, że im się nie udało. Kiedy to ja załatwię jego usunięcie, bądźcie pewni, że zostanie usunięty.

Alvito napił się wina.

–Toranaga powiedział, że wysłał Blackthorne’a na Izu – rzekł. – Ten półwysep na wschodzie? – spytał Ferriera.

–Tak.

–Łądem czy statkiem?

–Statkiem.

–To dobrze. W takim razie z ubolewaniem oznajmiam ojcom, że na morzu podczas bardzo nieprzyjemnej burzy może zginąć cała załoga.

–A ja z ubolewaniem oznajmiam ci, panie, że Toranaga powiedział:- przekazuję wiernie jego słowa – „Ten pilot jest pod moją osobistą opieką, Tsukku-san, więc jeżeli coś mu się przydarzy, to zbadam to, używając całej swojej władzy i władzy regentów, jeśli zaś przypadkiem okaże się, że winnym jest ktoś z chrześcijan lub też nawet tylko słabo z nimi powiązany, nie wykluczam zrewidowania Dekretów o Wygnaniu i natychmiastowego zamknięcia wszystkich chrześcijańskich świątyń, szkół i miejsc spoczynku”.

–Boże, uchwaj, żeby tak się stało – powiedział dell’Aqua.

–Blaguje! – orzekł szyderczym tonem Ferriera.

–Nie, jesteś w błędzie, panie, Toranaga jest przebiegły jak Machiavelli i bezwzględny jak Hun Attyla. – Alvito spojrzał znowu na dell’Aque. – Gdyby cokolwiek stało się Anglikowi, łatwo byłoby nas za to obciążyć.

–Tak.

–A może powinniście zająć się źródłem swoich kłopotów – rzekł bez ogródek Ferriera. – I usunąć tego Toranagę.

–Nie czas na krotchwile – odparł ojciec wizytator.

–To, co wspaniale udawało się w Indiach, na Malajach, w Brazylii, Peru, Meksyku, Afryce, na północnym wybrzeżu Ameryki Południowej i gdzie indziej, uda się też tutaj. Sam robiłem to w Malakce i Goi tuzin razy z pomocą japońskich najemników, a gdzież mi tam do waszych wpływów i wiedzy! Wykorzystamy chrześcijańskich ksiąząt. Dopomożemy jednemu z nich w usunięciu Toranagi, jeżeli stoi na przeszkodzie. Kilka setek konkwistadorów wystarczy. Dzielmy i rządźmy. Jeżeli zechcesz tłumaczyć, ojcie Alwito, to porozumiem się z Kiyamą...

–Japończyków nie wolno porównywać z Indianami ani z niepiśmiennymi dzikusami w rodzaju Inków. Tu nie można dzielić i rządzić. Japończycy nie przypominają innych narodów. Wcale – powiedział ze znużeniem dell’Aqua. – Muszę cię oficjalnie prosić, panie, byś nie „wtrącał się do wewnętrznych spraw tego kraju.

–Zgoda. Racz zapomnieć o tym, co mówiłem. Taka szczerłość byłaby niestosowna i naiwna. Na szczęście burze są o tej porze roku normalne.

–Jeżeli zdarzy się burza, to tylko z woli Boga. Ale ty nie zaatakujesz pilota... – Nie?

–Nie. Ani nikomu tego nie zlecisz.

–Mój król zobowiązał mnie, bym niszczył jego wrogów. Anglik jest wrogiem mojego narodu. Pasożytem, piratem, heretykiem. Jeżeli zechcę go usunąć, to moja sprawa. Dowodzę tegorocznym rejsiem Czarnej Karaweli, dlatego też jestem w tym roku gubernatorem Makau, mam na tych morzach władzę wicekróla i jeżeli zapragnę usunąć tego Anglika, Toranagę albo kogokolwiek, to zrobię to., Jeżeli zrobisz to wbrew moim bezpośrednim poleceniom, z miejsca narazisz się na ekskomunikę.

–Nie posiadasz takiej władzy, eminencjo. To sprawa świecka, nie duchowa.

–Pozycja Kościoła tutaj jest, niestety, tak ściśle powiązana z polityką i handlem jedwabiem, że wszystko wiąże się z jego bezpieczeństwem.

(I na nadzieję zbawienia, dopóki żyję, nie pozwolę narazić nikomu przyszłości naszego Macierzystego Kościoła w Japonii!

–Dziękuję za tak jasne postawienie sprawy, eminencjo. Wezmę sobie za cel, żeby lepiej poznać sprawy japońskie.

–Doradzam ci to, panie, dla dobra nas wszystkich. Chrześcijaństwo jest tu tolerowane wyłącznie dlatego, że wszyscy daimyō święcie wierzą, że jeżeli nas stąd wypędzą i wytępią naszą wiarę, to Czarne Karawele już tu nie wrócą. My, jezuiti, jesteśmy tutaj potrzebni, a pewne wpływy mamy tu tylko dlatego, że jedynie my mówimy po japońsku i portugalsku, możemy więc tłumaczyć i pośredniczyć im w sprawach handlu. Niestety, to, w co oni wierzą, nie jest prawdą. Jestem przekonany, że handel będzie trwał bez względu na pozycję Kościoła i naszą, ponieważ portugalscy kupcy bardziej dbają o własne egoistyczne interesy niż o służbę naszemu Panu.

–A może równie oczywiste są interesy duchownych, którzy pragną zmusić nas, posuwając się aż do proszenia Jego Świątobliwości papieża o uprawnienia, abyśmy zawijali do portu, który wskażą, i handlowali z daimyō, którego wolą, niezależnie od ryzyka!

–Pan się zapomina, generale-gubernatorze!

–Przeciwnie. Nie zapominam, że w zeszłym roku Czarna Karawela zaginęła pomiędzy Japonią a Malakką z całą załogą, wioząc dwieście ton złota i srebro wartości pięciuset tysięcy crusados, bo została zatrzymana, na waszą osobistą prośbę, aż do złej pogody. Ani o tym, że katastrofa ta omal nie zrujnowała wszystkich stąd do Goi.

–Było to konieczne ze względu na śmierć taikō i politykę wewnętrzną w sprawach dotyczących dziedziczenia władzy...

–Nie zapominam, że trzy lata temu poprosiliście wicekróla Goi o odwołanie rejsu Czarnej Karaweli i wysłanie jej tylko na wasze polecenie do portu, który wskażecie, i nie zapominam też, że wicekról odrzucił to żądanie jako zuchwałe wtrącanie się w cudze sprawy.

–Chodziło o pohamowanie taikō, o wywołanie gospodarczych trudności w trakcie głupiej wojny z Koreą i Chinami, w odwecie za zarządzane przez niego męczeństwo w Nagasaki, za obłąkańczy atak na Kościół i za ogłoszone właśnie dekrety o wydaleniu, wyrzucające nas wszystkich z Japonii. Jeżeli będziecie z nami współdziałać, słuchać naszych rad, to w ciągu życia jednego pokolenia cała Japonia stanie się chrześcijańska! Co jest ważniejsze: handel czy zbawienie dusz?

–Odpowiem, że zbawienie dusz. Ale skoroście mnie już oświecili w sprawach japońskich, pozwólcie, że sprowadzę je do odpowiednich proporcji. Samo japońskie srebro otwiera nam dostęp do chińskich jedwabów i chińskiego złota. Ogromne zyski, jakie osiągamy, i eksport do Malakki i Goi, a stamtąd do Lizbony, utrzymują całe nasze imperium w Azji, wszystkie forty, wszystkie misje, wszystkie wyprawy, wszystkich misjonarzy, wszystkie odkrycia, a do tego pokrywają, jeśli nie całość, to większość zobowiązań finansowych uniemożliwiają heretykom podporządkowanie nas sobie i nie dopuszczają ich do Azji, co dałoby im bogactwa potrzebne do zniszczenia nas i naszej wiary w Europie. Co jest ważniejsze, ojcze: hiszpańskie, portugalskie i włoskie chrześcijaństwo czy chrześcijaństwo japońskie?

Dell'Aqua spiorunował żołnierza wzrokiem.

–Powtarzam ci raz na zawsze, panie, nie wmieszasz się w politykę wewnętrzną tego kraju!!!

Z paleniska wypadł węgiel i zatrzeszczał na dywanie. Najbliżej siedzący Ferriera kopnął go w bezpieczne miejsce.

–A jeżeli ja się... ja się powstrzymam, to co proponujecie zrobić z tym heretykiem? Lub z Toranagą?

Dell'Aqua usiadł przekonany, że zwyciężył.

–W tej chwili nie wiem. Ale już sama myśl o usunięciu Toranagi jest niedorzeczna. On nam bardzo sprzyja i bardzo też sprzyja rozwojowi handlu – dell'Aqua ściszył głos jeszcze bardziej – a więc także wzrostowi pańskich dochodów.

–I waszych – odparł Ferriera, jeszcze raz stając okoniem.

–Nasze zyski służą dziełu Naszego Pana. Jak dobrze ci wiadomo. – Dell'Aqua zmęczonym ruchem nalał sobie wina i poczęstował nim wojskowego, żeby go ułagodzić. – Zostawmy to, Ferriera, nie kłóćmy się tak. Jeśli chodzi o tę sprawę z

heretykiem, owszem, jest fatalna. Ale z kłótni nie ma żadnego pożytku. Potrzebujemy twojej rady, twojego pomysłu i twojej siły. Uwierz, że Toranagą jest nam niezbędny. Gdyby nie utrzymywał w ryzach pozostałych regentów, to cały ten kraj pograżyłby się na powrót w anarchii.

–Tak, to prawda, generale-gubernatorze – rzekł Alvito. – Nie pojmuję jednak, dlaczego jeszcze siedzi w zamku i zgodził się na odłożenie spotkania Rady. Aż trudno w to uwierzyć, ale wygląda na to, że go przechytrono. Przecież na pewno zdawał sobie sprawę, że Osaka jest zamknięta szczelniej niż pas cnoty żony zazdrosnego krzyżowca. Powinien był wyjechać wiele dni temu.

–Skoro jest taki niezbędny, to po co popierać Onoshiego i Kiyamę? – spytał Ferriera. – Czy ci dwaj nie zwrócili się przeciwko niemu, stając po stronie Ishido? Dlaczego im tego nie odradziliście? Rozmawialiśmy o tym zaledwie przed dwoma dniami.

–Powiadomili nas jedynie o swojej decyzji. Nie dyskutowaliśmy o tym. No, to może powinniście, eminencjo. Skoro to takie ważne, czemu nie kazać im, żeby ją zmienili? Pod groźbą ekskomuniki.

Dell'Aqua westchnął.

–Chciałbym, żeby to było takie proste – rzekł. – W Japonii tego się nie robi. Japończycy nie znoszą wtrącania się w ich sprawy wewnętrzne. Nawet propozycje musimy tu wysuwać nadzwyczaj ostro żnie.

Ferriera opróżnił srebrny kielich, dolał sobie wina i opanował się wiedząc, że musi mieć jezuitów po swojej stronie, gdyż bez ich pośrednictwa jako tłumaczy jest bezradny. Ta wyprawa musi ci się powieść, rzekł w duchu. Przez jedenaście lat wojowałeś i trudziłeś się w służbie króla, by uczciwie – ponad dwadzieścia razy – zasłużyć sobie na najwyższą z jego nagród – roczne dowództwo Czarnej Karaweli i przynależną temu szczytowi dziesiątą część całego złota, srebra, jedwabów i zysków z każdej transakcji. Wzbogacisz się na całe życie, na trzydzieści żyć, gdybyś je miał, dzięki temu jednemu rejsowi. Jeśli doprowadzisz rzecz do końca.

Jego dłoń powędrowała do rękojeści rapiera, do srebrnego krzyża, stanowiącego część srebrnego filigranu.

–Na rany Chrystusa, moja Czarna Karawela dopłyne na czas z Makau do Nagasaki, a potem ten statek, który będzie wiozł największe bogactwa w historii, wraz z październikowym monsunem skieruje się na południe do Goi, a stamtąd do kraju! Bóg świadkiem, że tak się stanie! – oznajmił i dodał w duchu: „Nawet gdyby wymagało to spalenia całej Japonii, całego Makau i całych Chin, na Niepokalaną Dziewicę!”

–Modlimy się za ciebie, panie, oczywiście, że modlimy – odparł ze szczerym przekonaniem dell’Aqua...- Wiemy, jak ważny jest twój rejs.

–Co w takim razie proponujecie? Bez załatwienia formalności portowych i swobody w handlu mam związane ręce. Czy nie można pominąć tych regentów? Może jest jakiś inny sposób?

Dell’Aqua potrząsnął przecząco głową.

–Martinie? Ty jesteś znawcą spraw handlowych.

–Przykro mi, ale nie jest to możliwe – odparł Alvito. Przysłuchiwał się ich ożywionej wymianie zdań, kipiąc z oburzenia. Co za niewychowany, zarozumiały krety, pomyślał i natychmiast dodał: „O Boże, daj mi cierpliwość, bo bez tego człowieka i jemu podobnych Kościół tutaj zginie”. – Jestem pewien, generale-gubernatorze, że za dzień, dwa wszystko załatwimy. Najdalej za tydzień. Toranaga ma w tej chwili całkiem wyjątkowe kłopoty. Jestem przekonany, że wszystko dobrze się skończy.

–Tydzień zaczekam. Ale nie dłużej. – Podszyty groźbą ton głosu Ferriery napawał łąkiem. – Chciałbym dostać tego heretyka w swoje ręce. Torturami wydarłbym z niego prawdę. Czy Toranaga wspomniał o jakiejś domniemanej flocie? Wrogiej flocie?

–Nie.

–Chciałbym wiedzieć, jak wygląda prawda, ponieważ w drodze powrotnej moja karawela będzie się kolebała niczym-gruba świnia, a jej ładownie wybrzuszały się od takiej ilości jedwabiu, jakiej jeszcze nie wieziono. Nasz statek jest jednym z największych na świecie, ale nie mam eskorty, więc jeżeli na morzu dopadnie nas nieprzyjacielska fregata albo ten holenderski gamrat Erasmus, to będziemy zdani na jej łaskę. Bez najmniejszych kłopotów zmusiłaby mnie do opuszczenia naszej królewskiej bandery. Lepiej, żeby ten Anglik nie wypłynął w morze swoim statkiem z kanonierami, działami i kulami na pokładzie.

–E vero, e solamente vero – mruknął dell’Aqua. Ferriera dopił wina.

–Kiedy Blackthorne ma być odesłany na lzu? – spytał.

–Toranaga nie powiedział – odparł Alvito. – Mam wrażenie, że niedługo.

–Dzisiaj?

–Nie wiem. Regenci mają się spotkać za cztery dni. Przypuszczam więc, że nastąpi to przedtem.

–Blackthorne’a ruszać nie wolno. Ani jego, ani Toranagi – rzekł z mocą dell’Aqua.

Ferriera wstał.

–Wracam na statek. Zjecie z nami kolację? Obaj? O zmierzchu? Mamy smacznego kapłona, pieczoną wołowinę, wino z Madery, a nawet świeży chleb.

–Dziękuję, jesteś bardzo uprzejmy, panie. – Dell’Aqua nieco się rozchmurzył. – Tak, wspaniale byłoby zjeść coś smacznego. Jesteś bardzo uprzejmy.

–Jak tylko nadejdą wieści od Toranagi, prześlemy wiadomość, generale-gubernatorze, – rzekł Alvito.

–Dziękuję.

Po wyjściu Ferriery, zdobywszy pewność, że nikt nie podsłucha jego i Alvita, ojciec wizytator spytał z niepokojem:

–Martinie, co ci jeszcze powiedział Toranaga?

–Chce wyjaśnienia na piśmie w sprawie tego przemytu broni i wezwania tu konkwistadorów.

–Mamma mia... Toranaga zachowywał się uprzejmie, a nawet przyjacielsko, ale... cóż, jeszcze go takiego nie widziałem.

–Co dokładnie powiedział?

–„Słyszałem, Tsukku-san, że poprzednia głowa twojego zakonu chrześcijan, ojciec da Cunha, napisał do gubernatorów w Makau, Goi i do hiszpańskiego wicekróla w Manili, don Sisco y Vivery, w lipcu 1588 roku, według waszego kalendarza, domagając się inwazji setek hiszpańskich żołnierzy z muszkietami, aby wsparli paru chrześcijańskich daimyō w buncie przeciwko ich prawowitemu władcy, mojemu zmarłemu panu, taikō. Jak się nazywali ci daimyō? Czy to prawda, że żołnierzy wprawdzie nie przysłano wcale, ale za waszą wiedzą przemycono do Nagasaki ogromne ilości broni palnej? Czy to prawda, że wasz Ojciec Olbrzym potajemnie skonfiskował ową broń, kiedy w marcu albo kwietniu 1590 roku, według waszego kalendarza, po raz drugi przybył z Goi do Japonii jako ambasador i w sekrecie przemycił ją z Nagasaki na portugalski statek Santa Cruz, odsyłając ją z powrotem do Makau?”

Alvito wytarł spoczone ręce.

–Czy powiedział coś jeszcze?

–Nic ważnego, eminencjo. Nie miałem okazji, żeby to wyjaśnić... natychmiast mnie odprawił. Odprawił uprzejmie, niemniej jednak odprawił.

–Od kogo ten przeklęty Anglik czerpie informacje?

–Sam chciałbym wiedzieć.

–Te daty i nazwiska. Nie mylisz się? Wymienił je tak dokładnie?

–Nie, eminencjo. Miał je zapisane na kawałku papieru. Pokazał mi go.

–Było to pismo Blackthorne'a?

–Nie. Zapisano je fonetycznie po japońsku, w hiraganie.

–Musimy się dowiedzieć, kim jest tłumacz Toranagi. Jest zdumiewająco dobry. To na pewno nikt z naszych? Może brat Manuel, co? – spytał z goryczą, używając chrześcijańskiego imienia Masamanu Jiro.

Jiro był synem chrześcijańskiego samuraja, kształconym przez jezuitów od dziecka, inteligentnym i pobożnym, wybranym do seminarium, aby wykształcił się na księdza i złożył cztery śluby zakonne, będąc pierwszym takim Japończykiem. Jiro spędził w Towarzystwie Jezusowym dwadzieścia lat i nagle porzucił je, nie do wiary, przed samym wyświęceniem, w tej chwili zaś był zaciekle przeciwnikiem Kościoła.

–Nie. Manuel jest nadal na Kiusiu, oby się wiecznie smażył w piekle. W dalszym ciągu jest zaciekle wrogiem Toranagi, on by mu za nic nie pomógł. Na szczęście, nigdy nie powierzano mu żadnych politycznych tajemnic. Tłumaczką była pani Maria – oznajmił Alvito, używając chrześcijańskiego imienia Mariko Tody.

–Wiesz – o tym od Toranagi?

–Nie, eminencjo. Ale przypadkiem wiem, że gościła w zamku i że widziano ją z tym Anglikiem.

–Czy to pewne?

–Nasza wiadomość jest ścisła.

–Dobrze – rzekł dell'Aqua. – Być może Bóg pomaga nam na swój nieodgadniony sposób. Natychmiast poślij po nią.

–Już się z nią widziałem. Zadbalem o to, żeby spotkać ją przypadkiem. Była jak zwykle przeurocza, pełna szacunku, jak zwykle pobożna, ale wyraźnie oświadczyła mi, zanim miałem sposobność ją zapytać: „Cesarstwo jest naturalnie krajem bardzo skrytym, ojczy, i pewne sprawy muszą zwyczajowo pozostać ściśle tajne. Czy tak

samo jest w Portugalii i w Towarzystwie Jezusowym?”

–Jesteś jej spowiednikiem.

–Tak. Ale ona nic mi nie powie.

–Dlaczego?

–Z pewnością przestrzeżono ją i zabroniono rozmów o tym, co zaszło i co zostało powiedziane. Za dobrze ich znam. Pod tym względem wpływy Toranagi są silniejsze od naszych.

–Czy jej wiara jest taka słaba? Czy nasze nauki spełzły na niczym? Na pewno nie. Ona jest chrześcijanką pobożniejszą i lepszą od wszystkich znanych mi kobiet. Kiedyś zostanie zakonnicą... być może nawet pierwszą japońską przeoryszą.

–Owszem. Ale w tej chwili nic nie powie.

–Kościół jest zagrożony. To ważna sprawa, być może aż za bardzo – powiedział dell’Aqua. – Ona to zrozumie. Jest za inteligentna, żeby tego nie zrozumiała.

–Błagam, eminencjo, abys w tej sprawie nie wystawiał jej wiary na próbę. Możemy przegrać. Ostrzegła mnie. Powiedziała mi to tak wyraźnie, jakby napisała., Być może należałoby wystawić ją na próbę. Dla zbawienia jej duszy.

–Do ciebie należy kazać albo nie. Obawiam się jednak, że musi być powolna wobec Toranagi, a nie nas.

–Zastanowię się co do Marii. Tak – powiedział dell’Aqua.

Powędrował wzrokiem do kominka, przytłoczony brzemieniem urzędu, który sprawował. Biedna Maria. Przeklęty heretyk! Jak uniknąć tej pułapki? – zastanawiał się. Jak ukryć prawdę o tych muszkietach? Jak ojciec przełożony i wiceprowincjał taki jak da Cunha, tak dobrze wykształcony, doświadczony i mający za sobą siedmioletnią praktykę w Makau i Japonii, mógł popełnić tak szkaradny błąd? Jak? – zapytał płomieni.

Mogę dać na to odpowiedź, rzekł w duchu. Jest zbyt łatwa. Wpadasz w popłoch, zapominasz o chwale Bożej, wbijasz się w pychę, stajesz się zarozumiały albo paraliżuje cię strach. Kto wie, czy można się zachować inaczej w podobnych okolicznościach. Najpierw być przyjętym życzliwie przez taikō o zachodzie słońca, z pełną pompą i ceremonialnie na triumfalnym spotkaniu, co dla taikō, bliskiego nawrócenia na chrześcijaństwo, jest nieomal aktem skruchy, a potem zostać obudzonym w środku tej samej nocy i dowiedzieć się o dekretach o wydaleniu, nakazujących wszystkim zakonom religijnym opuścić w ciągu dwudziestu dni

Japonię pod karą śmierci, nigdy nie wracać, a co gorsza, żądających od wszystkich nawróconych w całym kraju natychmiastowego wyparcia się wiary, gdyż w przeciwnym razie zostaną wypędzeni lub zabici.

Doprowadzony do rozpaczycy ojciec przełożony gorąco doradzał chrześcijańskim daimyō z Kiusiu – wśród nich Onoshiemu, Misakiemu, Kiyamie i Harimie z Nagasaki – aby dla ratowania Kościoła wszczęli bunt, i w zapamiętaniu zażądał w liście przysłania konkwistadorów, żeby ów bunt wspomogli.

Ogień trząsał i tańczył na żelaznym ruszcie. Tak, to wszystko prawda, pomyślał dell'Aqua. Gdybymż o tym wiedział, gdybyż tylko da Cunha zasięgnął wpierw mojej rady. Ale jakże mógł to zrobić? List do Goi wędruje sześć miesięcy, odpowiedź z powrotem zapewne drugie sześć, więc chociaż da Cunha napisał od razu, to jako przełożony jezuitów był zdany na siebie i musiał natychmiast stawić czoło katastrofie.

Mimo że dell'Aqua wypłynął zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, w pośpiechu załatwiwszy listy uwierzytelniające od wicekróla Goi, to do Makau dotarł po paru miesiącach, by dowiedzieć się tam, że da Cunha zmarł, jemu zaś i reszcie ojców nie wolno pod karą śmierci wjeżdżać do Japonii.

Muszkiety jednak przepadły.

W dziesięć tygodni potem nadeszły wieści, że nie wyrugowano Kościoła z Japonii i że taikō nie wprowadził swoich nowych praw w życie. Spalono jedynie pół setki świątyń. I zniszczono tylko Takayamę. Przedostała się też wiadomość, że dekrety taikō będą nadal oficjalnie obowiązywały, niemniej gotów jest on pozostawić wszystko, tak jak było, z tym że ojcowie będą nawracali znacznie dyskretniej, nawróceni zachowywali powściągliwiej i stosowniej i położy się kres krzykliwemu, publicznemu uprawianiu kultu, demonstracjom i paleniu buddyjskich świątyń przez religijnych zagorzalców.

I wówczas, gdy zdawało się, że ta ciężka próba dobiega końca, a opieczętowane przez da Cunchę muszkiety wypłynęły, o ile było wiadomo ojcu wizytatorowi z Japonii, wyszło na jaw, iż nadal spoczywają w składach jezuitów w Nagasaki.

Po kolejnych tygodniach śmiertelnych udręk broń przeszmurowano potajemnie z powrotem do Makau, tym razem opieczętowaną przeze mnie, przypomniał sobie ojciec wizytator, mając nadzieję, że pogrzebał tę tajemnicę na zawsze. Ale tajemnice te nigdy nie dadzą ci spokoju, choćbyś nie wiem jak tego pragnął lub się o to modlił.

Ile wie ten heretyk?

Przez ponad godzinę jego eminencja siedział nieruchomo w skórzanym fotelu z wysokim oparciem i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ogień. Alvito czekał

cierpliwie przy szafie bibliotecznej, siedząc z dłońmi ułożonymi na kolanach. Słoneczne promienie tańczyły po srebrnym krzyżu na ścianie za plecami ojca wizytatora. Na ścianie bocznej wisiał mały obraz olejny weneckiego malarza Tycjana, który dell'Aqua kupił w młodości w Padwie, dokąd ojciec wysłał go na studia prawnicze. Przeciwległą ścianę zajmowały liczne egzemplarze Biblii i książki po łacinie, portugalsku, włosku i hiszpańsku. A ponadto dwie półki książek i broszur wydrukowanych po japońsku w Nagasaki na własnej, przywiezionej takim kosztem przed dziesięcioma laty z Goi, przenośnej prasie Towarzystwa, dzieł dewocjonalnych i katechizmów, z takim trudem przełożonych na japoński przez jezuitów, a także z japońskiego na łacinę, żeby dopomóc nawróconym w nauce tego języka, wreszcie dwie małe bezcenne książeczki: gramatyka portugalsko-japońska, dzieło życia ojca Sancho Alvareza, wydrukowana sześć lat temu, oraz jej drugi tom – niewiarygodny słownik portugalsko-łacińsko-japoński, wydrukowany w zeszłym roku, zarówno w alfabecie łacińskim, jak i piśmie hiragana. Zaczęto go sporządzać na jego polecenie przed dwudziestoma laty – pierwszy w historii zebrany w słownik zbiór japońskich wyrazów.

Ojciec Alvito wziął słownik i pogładził go czule. Wiedział, że jest to wybitne dzieło sztuki. Przez osiemnaście lat sam tworzył podobne i wciąż jeszcze daleko było do ukończenia. Ale w jego słowniku miały być podane objaśnienia i miał on być znacznie bardziej szczegółowy – stanowiąc nieomal wprowadzenie do wiedzy o Japonii i Japończykach, stąd też bez zbytej próżności wiedział, że jeżeli zdoła go ukończyć, będzie to dzieło sztuki porównywalne z pracą ojca Alvareza, jego nazwisko zaś będzie pamiętane dzięki tej książce oraz ojcu wizytatorowi, jedynemu ojcu, jakiego znał w życiu.

–Chcesz wyjechać z Portugalii, synu, i poświęcić się służbie Bogu? – spytał go ten olbrzymi jezuita w dniu, kiedy się poznali.

–O tak, proszę, ojcze – odpowiedział pożerany rozpaczliwym pragnieniem, zadzierając głowę.

–Ile masz lat, synu?

–Nie wiem, ojcze, może dziesięć, może jedenaście, ale umiem czytać i pisać, nauczyłem mnie tego ten ksiądz, a jestem sam na świecie, nie mam nikogo, jestem niczyj...

Dell'Aqua zabrał go do Goi, a stamtąd do Nagasaki, gdzie jako najmłodszy Europejczyk w Azji wstąpił do seminarium Towarzystwa Jezusowego, nareszcie gdzieś przynależąc. A potem przyszedł cud w postaci daru do języków i zaufanych stanowisk tłumacza oraz doradcy handlowego, najpierw u Harimy Tadao, daimyō lenna Hizen na Kiusiu, gdzie leżało Nagasaki, a po pewnym czasie doradcy samego taikō. Został wyświęcony na księdza, a później otrzymał nawet przywilej złożenia czwartego ślubu zakonnego. Było to specjalne ślubowanie, składane oprócz ślubów

ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, do którego dopuszczano jedynie jezuicką elitę – ślubowanie posłuszeństwa samemu papieżowi – że będzie się jego osobistym narzędziem w Dziele Bożym, że pojedzie się wszędzie, gdzie papież rozkaże, że zrobi się wszystko, czego osobiście zażąda, i że wzorem założyciela Towarzystwa, baskijskiego żołnierza Loyoli, stanie się jednym z Regimini Militantis Ecclesiae, jednym z zaprzysiężonych, osobistych zawodowych żołnierzy Pana, służących Jego wybranemu przywódcy na Ziemi, Namiestnikowi Chrystusa.

Miałem ogromne szczęście, pomyślał Alvito. O Boże, spraw, abym mógł pomagać.

Wreszcie dell’Aqua wstał, rozprostował ramiona i podszedł do okna. Słońce skrzyło się w połączonych dachówkach strzelistej głównej wieży zamku, której elegancja przeczyła jej potędze. Wieża zła, pomyślał. Jak długo jeszcze będzie tutaj stała, żeby przypominać nam wszystkim o przeszłości? Zaledwie piętnaście... nie, siedemnaście lat temu taikō zaprzął do budowy i wykopów czterysta tysięcy ludzi, za cenę wzniesienia sobie pomnika wycisnął kraj jak cytrynę i po upływie dwóch krótkich lat zamek w Osace został ukończony. Niesamowity człowiek! Niesamowity naród! Tak. No i zamek stoi, niezniszczalny. Chyba że dotknie go palec boży. Pan może go powalić w jednej chwili, jeśli zechce. O Boże, dopomóż mi w wypełnieniu Twojej woli.

–Cóż, Martinie. Zdaje się, że czeka nas praca. – Dell’Aqua zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, a głos znów miał tak pewny, jak kroki. – Co do angielskiego pilota... jeżeli go nie ochronimy, to go zabiją, przez co narazimy się na niełaskę Toranagi. Jeżeli go ochronimy, wkrótce sam ukręci sobie sznur na szyję. Ale czy ośmielimy się czekać? Jego obecność jest dla nas groźna, a trudno przewidzieć, ile złego nam jeszcze wyrządzi, zanim to szczęśliwie nastąpi. A może dopomóc Toranadze w pozbyciu się go? Czy też wreszcie go nawrócić?

Alvito zamrugnął oczami.

–Słucham?

Jest inteligentny, świetnie zna katolicyzm. Czyż większość Anglików nie jest tak naprawdę z duszy katolicka? Jeżeli ich król bądź królowa są katolikami, to owszem, a nie, kiedy ona lub on są protestantami. Anglicy nie przejmują się religią. W tej chwili zagorzale nas zwalczają, ale czy nie z powodu Armady? Może Blackthorne’a uda się nawrócić. Byłoby to idealne rozwiązanie, na chwałę Naszego Pana, i uratowałoby jego heretycką duszę od potępienia, do którego niechybnie zmierza... Po wtóre, Toranaga. Damy mu mapy, których żąda. Wytłumaczymy „strefy wpływu”. Czy nie po to właśnie wyznaczono te linie podziału, żeby oddzielić wpływy Portugalczyków i naszych hiszpańskich przyjaciół? Si, e vero! Przekaż mu, że w pozostałych ważnych kwestiach będę miał osobisty zaszczyt opracować je dla niego i dostarczyć najszybciej, jak zdołam. Ponieważ muszę sprawdzić w Makau fakty, czy zgodzi się z łaski swojej na uzasadnioną zwłokę? I jednym tchem dodaj, że z radością

zawiadamiasz go, iż Czarna Karawela wypłynie trzy tygodnie wcześniej, z największym do tej pory ładunkiem jedwabów i złota, że nasza część i wszystkie nasze towary oraz... – zastanawiał się chwilę – oraz przynajmniej trzydzieści procent tego ładunku zostanie sprzedane przez pośrednika, którego sam wyznaczy.

–Eminencjo, generałowi-gubernatorowi nie spodoba się pomysł wypłynięcia wcześniej, nie spodoba się...

–Sprawę załatwienia u Toranagi zezwolenia na natychmiastowe odpłynięcie Ferriery pozostawiam tobie. Idź zaraz do niego z moją odpowiedzią. Zaimponuj mu naszą sprawnością w działaniu, czyż nie należy ona do tych rzeczy, które podziwia? Jeżeli Ferriera dostanie pozwolenie na natychmiastowe odpłynięcie, to ustąpi w drugorzędnej kwestii przybycia tutaj o tej porze roku, co zaś do pośrednika, to jaką różnicę generałowi-gubernatorowi robi taki tubylec czy inny? I tak dostanie swój procent.

–Ale panowie Onoshi, Kiyama i Harima zwykle dzielą się pośrednictwem w sprzedaży towarów pomiędzy sobą. Nie wiem, czy się na to zgodzą.

–No, to rozwiąż ten problem. Toranaga zgodzi się zjechać w zamian za ustępstwa. A jedyne ustępstwa, na których mu zależy, dotyczą władzy, wpływów i pieniędzy. Co możemy mu dać? Nie możemy mu dostarczyć chrześcijańskich daimyō. My...

–Jeszcze nie – przyznał Alvito.

–Nawet gdybyśmy mogli, to nie jestem przekonany, czy powinniśmy to zrobić, czybyśmy to zrobili. Onoshi i Kiyama są zawziętymi wrogami, ale połączyli się przeciwko Toranadze, ponieważ uważają, że jeśli uzyska władzę nad Radą, zniszczy Kościół, a także ich.

–Toranaga poprze Kościół. Naszym prawdziwym wrogiem jest Ishido.

–Nie podzielam twojej pewności, Martinie. Nie wolno nam zapominać, że ponieważ Onoshi i Kiyama są chrześcijanami, to są nimi również dziesiątki tysięcy ich popleczników. Nie możemy ich sobie zrażać. Jedynym ustępstwem, na jakie nam wolno” pójść względem Toranagi, jest ustępstwo w handlu. On gorąco popiera handel, ale nie zdobył się na to, żeby zająć się nim osobiście. Tak więc ustępstwo, które proponuję, może go skłonić do wyrażenia zgody na tę zwłokę, którą być może uda nam się odwlec w nieskończoność. Wiesz przecież, jak Japończycy lubią takie rozwiązania... Wielki kij wisi w powietrzu, a obie strony udają, że go wcale nie ma, prawda?

–Moim zdaniem, zwrócenie się panów Onoshiego i Kiyamy przeciwko Toranadze właśnie teraz jest krokiem politycznie nierozważnym. Powinni mieć na względzie stare powiedzenie, które każe pozostawiać sobie otwartą furtkę, prawda? Mogę im

poradzić, żeby zaproponowali panu Toranadze dwadzieścia pięć procent, tak że każdemu przypadłoby równo, co byłoby niewielką ceną za osłabienie ciosu, jakim było dla niego „czasowe” opowieszenie się przez nich po stronie Ishido.

–Ale wówczas Ishido przestanie im ufać, a nas, na wieść o tym, znienawidzi jeszcze bardziej.

–Ishido i tak już nas bezgranicznie nienawidzi. Ufa im w takim samym stopniu, jak oni jemu, a przecież nie wiemy jeszcze, dlaczego przeszli na jego stronę. Mając zgodę Onoshiego i Kiyamy, oficjalnie wystąpilibyśmy z tą propozycją w taki sposób, jakby naszym wyłącznym zamiarem było zachowanie bezstronności w sporze pomiędzy Ishido a Toranaga. Poufnie możemy zawiadomić Toranagę o ich wielkodusznym geście.

Dell'Aqua rozważył zalety i wady tego planu.

–Doskonale – rzekł po chwili. – Załatw to. A teraz, co do tego heretyka... Wręcz dziś panu Toranadze jego ruty. Wróć do niego natychmiast. Powiedz mu, że te ruty przesłano nam potajemnie.

–Jak wyjaśnię zwłokę w przekazaniu ich?

Nie wyjaśnisz. Po prostu powiesz prawdę: że przywiózł je Rodrigues, ale że nikt z nas nie miał pojęcia, że w zapieczętowanym pakiecie są te zaginione ruty. I rzeczywiście, nie otwieraliśmy go przez dwa dni. Prawdę mówiąc, nie pamiętaliśmy o nich, bo byliśmy przejęci tym heretykiem. Ruty te są dowodem, że Blackthorne jest piratem, złodziejem i zdrajcą. Jego „własne słowa pogrążą go na dobre, co jest niewątpliwym znakiem sprawiedliwości Bożej. Powiedz Toranadze prawdę: że Mura, zgodnie z rzeczywistością, przekazał je ojcu Sebastio, który wysłał je nam w przekonaniu, że będziemy wiedzieli, co z nimi zrobić. To oczyszcza Murę, ojca Sebastio, wszystkich. Powinniśmy zawiadomić Murę przez gołębia pocztowego, co zaszło. Jestem pewien, że Toranaga zrozumie, iż przedłożyliśmy jego interesy nad interesy Yabu. Czy on wie, że Yabu zawarł układ z Ishido?

–Moim zdaniem, wie na pewno, eminencjo. Ale krąży plotka, że Yabu i Toranaga zaprzyjaźnili się ze sobą.

–Ja nie ufałbym temu pomiotowi szatana.

–Toranaga z pewnością mu nie ufa. Tylko na tyle, na ile Yabu rzeczywiście zaangażował się po jego stronie.

Rozmowę zakłóciła im nagła sprzeczka za drzwiami. Otworzyły się one i do pokoju wtargnął bosy mnich w kapturze, odtrącając ojca Soldiego.

–Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wychrypiał złowrogim głosem. – Może odpuści wam wasze grzechy.

–Brat Perez... Co brat tutaj robi?! – wybuchnął dell’Aqua.

–Wróciłem do tego chlewu, żeby znów głosić poganom Słowo Boże.

–Ale bratu na mocy Dekretu za podżeganie do buntu nie wolno pod karą śmierci wracać tutaj. Cudem uniknął brat męczeństwa w Nagasaki i nakazano mu...

–Tak chciał Pan Bóg, a parszywe pogańskie dekryty jakiegoś zmarłego wariata mnie nie dotyczą – odparł mnich, niski, chudy Hiszpan ze zmierzwioną brodą. – Jestem tu, żeby kontynuować Dzieło Boże. – Zerknął na ojca Alvito. – Jak tam handel, ojcze?

–Na szczęście dla Hiszpanii, doskonale – odparł lodowatym tonem Al vi to.

–Ja nie spędzam czasu w kantorach, ojcze. Ja go spędzam z moją trzodą.

–To chwalebne – rzekł ostro dell’Aqua. – Ale niechże brat spędza go tam, gdzie nakazał Ojciec Święty – nie w Japonii. Ta prowincja należy wyłącznie do nas. A poza tym jest terytorium portugalskim, nie hiszpańskim. Czy mam bratu przypominać, że trzej Ojcowie Święci nakazali wszystkim zakonom oprócz naszego opuścić Japonię? A król Filip nakazał to samo.

–Szkoda każdego słowa, eminencjo, Dzieło Boże jest ważniejsze od ziemskich nakazów. Wróciłem, otworzę drzwi świątyń i będę błagał tłumy, żeby powstały przeciwko bezbożnikom!

–Ile razy trzeba brata ostrzegać? Nie może brat traktować Japonii jak protektoratu Inków zamieszkanego przez dzikusów z dżungli, którzy nie mają zarówno historii, jak kultury. Zabraniam bratu wygłaszania kazań i nalegam, by wypełniał brat polecenia Ojca Świętego.

–Nawrócimy tych pogan. Posłuchaj, eminencjo, w Manili czeka na statki płynące tutaj jeszcze stu moich braci, samych porządnych Hiszpanów, a także mnóstwo naszych wspaniałych konkwistadorów, żeby nas bronili, gdy zajdzie potrzeba. Będziemy publicznie wygłaszać kazania i publicznie chodzić w naszych habitach, nie zaś przemykać ukradkiem w bałwochwalczych jedwabnych koszulach tak jak jezuici!

–Nie wolno prowokować tutejszych władz, bo inaczej unicestwicie nasz Kościół Macierzysty!

–A ja mówię eminencji w oczy, że wracamy do Japonii i w niej pozostaniemy. Będziemy głosić Słowo Boże na przekór wam... na przekór wszelkim prałatom, biskupom, królom, a nawet papieżom, na chwałę Pana!

Mnich zatrzasnął za sobą drzwi.

Spłoszowały z gniewu dell'Aqua nalał sobie kieliszek madery. Trochę wina rozlało się po wypolerowanej powierzchni biurka.

–Ci Hiszpanie wszystkich nas zniszczą. – Dell'Aqua pił wolno, starając się opanować. Po dłuższej chwili rzekł: – Martinie, poślij paru naszych, żeby mieli na niego oko. I lepiej natychmiast ostrzeż Kiyamę i Onoshiego. Nie wiadomo, co się może stać, jeżeli ten głupiec zacznie się popisywać publicznie.

–Tak, eminencjo – odparł Alvito. Przy drzwiach zatrzymał się, niezdecydowany. – Najpierw Blackthorne, a teraz Perez. To za dużo jak na przypadek. Może Hiszpanie w Manili wiedzieli o Blackthornie i pozwolili mu przyplłynąć tu tylko po to, żeby nam dokuczyć?

–Możliwe, ale najpewniej nie. – Dell'Aqua dopił wino i starannie odstawił kielich. – W każdym razie z pomocą Bożą i dzięki naszej pilności żadnemu z nich nie pozwolimy skrzywdzić naszego Świętego Kościoła... bez względu na cenę.

–Bodajbym był przeklętym Hiszpanem, jeżeli to nie jest życie! Rozanielony Blackthorne z głową wspartą na rękach spoczywał na brzuchu na grubych futonach, częściowo okryty bawełnianym kimonem. Dziewczyna przesuwiała dłońmi po jego plecach, niekiedy wnikając dotykiem w mięśnie, przynosząc ulgę skórze i duchowi i wzbudzając w nim nieomal chęć do mruczenia z rozkoszy. Inna dziewczyna zajmowała się nalewaniem sake do malutkiej czaruki. Trzecia czekała w odwodzie z tacą z laki, bambusowym koszykiem pełnym dobrze wysmażonych po portugalsku ryb, jeszcze jedną flaszką sake oraz pałeczkami.

–Nan desu ka, Anjin-san? (O co chodzi, szanowny pilocie – co powiedziałeś?)

–Nie potrafię tego powiedzieć w Nihon-go, Rako-san. – Blackthorne uśmiechnął się do Japonki, która podała mu sake. Zamiast odpowiedzieć, wskazał czarukę. – Jak się to nazywa? Namae ka?

–Sabazuki. – Wypowiedziała to słowo trzykrotnie, a on je powtórzył, potem zaś druga dziewczyna, Asa, poczęstowała go rybą, na co pokręcił głową. – Iye, Dōmo.

Nie wiedział, jak powiedzieć „Już się najadłem”, więc zamiast tego użył wyrażenia „już niegłodny”.

–Ah! Ima hara hette wa oranu – wyjaśniła Asa, poprawiając go.

Powtórzył to zdanie kilka razy, rozśmieszając wszystkie swoją wymową, ale w końcu wypowiedział je poprawnie.

Nigdy nie opanuję tego języka, pomyślał. Jego dźwięki nie mają odpowiedników w angielskim, ani nawet w łacinie czy portugalskim.

–Anjin-san! – powiedziała Asa, znowu wysuwając w jego stronę tacę.

Potrząsnął przecząco głową i z powagą dotknął dłonią żołądka. Ale sake przyjął i wypił. Masująca mu plecy Sono przestała to robić, więc wziął jej rękę, położył ją sobie na karku i wydał z siebie pomruk rozkoszy. Natychmiast zrozumiała i zaczęła go masować.

Ilekroć dopijał małą czarukę, zaraz mu ją napełniano. Lepiej uważaj, ostrzegł się, to już trzecia flaszką, a palce u nóg już ci się rozgrzały.

Trójka dziewcząt, Asa, Sono i Rako, zjawiała się o świcie, przynosząc cha, którą Chińczycy, jak powiedział mu brat Domingo, nazywali niekiedy t'i, a była ona narodowym napojem Japonii i Chin. Po potyczce z zabójcą spał niespokojnie, ale

gorący napój o pikantnym smaku zaczął go odświeżać. Japonki przyniosły mu małe, zwinięte, gorące, lekko naperfumowane ręczniki. Ponieważ nie zorientował się, do czego służą, zarządzająca dziewczętami Rako pokazała mu, jak ich użyć do twarzy i rąk.

A potem pod strażą czterech samurajów zaprowadziły go do parującej łaźni na drugim końcu tej części zamku i przekazały łaźiebny. Czterech strażników pocilo się ze stoickim spokojem, podczas gdy jego kąpano, strzyżono mu brodę, myto włosy i masowano.

Po tych wszystkich zabiegach poczuł się cudownie odświeżony. Dano mu nowe, sięgające kolan kimono, parę nowych tabi, dziewczęta zaś znów na niego czekały. Zaprowadziły go do innego pokoju, w którym zastał Kiri i Mariko. Mariko oznajmiła, że pan Toranaga postanowił wysłać za kilka dni Anjin-sana do jednej ze swoich prowincji, żeby doszedł do sil, że jest z niego bardzo zadowolony i że Anjin-san nie musi się już o nic troskać, gdyż bierze go pod swoją osobistą opiekę. Spytała też, czy Blackthorne mógłby przystąpić do sporządzania map za pomocą przyborów i materiałów, które mu dostarczy. Wkrótce nastąpią dalsze spotkania z jej panem, pan zaś przyrzekł, że niedługo będzie mogła odpowiedzieć na wszystkie pytania pilota. Panu Toranadze bardzo zależałoby, żeby Blackthorne poznał Japończyków, on sam zaś bardzo pragnąłby posłuchać o świecie zewnętrznym, o żegludze i o tajemnicach morza. A potem Blackthorne'a zaprowadzono do lekarza. W przeciwieństwie do samurajów lekarze nosili włosy krótko ostrzyżone, bez warkocza.

Blackthorne nie znosił lekarzy i bał się ich. Ale ten lekarz był inny. Delikatny i niewiarygodnie czysty. W Europie lekarzami byli przeważnie balwierze i nieokrzeszańcy, równie zawszeni i brudni jak wszyscy. Ten lekarz zaś dotykał go ostrożnie, oględzin dokonał uprzejmie, przytrzymał mu rękę badając puls, zajrzał w oczy, do ust i do uszu, lekko ostukał mu plecy, kolana i podeszwy stóp, a jego dotyk i sposób zachowania uspokajały. Europejski lekarz chciał tylko obejrzeć twój język, pytał „gdzie boli?”, puszczał krew, żeby usunąć z niej nieczystości, i dawał pacjentowi środek na silne wymioty, żeby oczyścić mu kiszki.

Blackthorne nienawidził puszczenia krwi i przeczyszczania kiszki, za każdym razem coraz bardziej. Ale ten lekarz nie miał skalpeli, miednicy do puszczenia krwi i nie cuchnął chemikaliami, których zapach zazwyczaj spowijał medyków, tak więc serce zaczęło mu bić wolniej i trochę się uspokoił.

Palce lekarza dotykały badawczo szram na jego udzie. Blackthorne wydał głos naśladujący strzał, ponieważ wiele lat temu ciało przeszła mu w tym miejscu kula z muszkietu.

–Ah so desu – rzekł na to lekarz i skinął głową.

Jeszcze trochę badawczego, głęboko penetrującego ciało, lecz bezbolesnego obmacywania łędźwi i żołądka, a potem, po dłuższej chwili, Japończyk przemówił do Rako, ta zaś skinęła głową, ukłoniła mu się i podziękowała.

–Ichi ban? – spytał Blackthorne, chcąc wiedzieć, czy wszystko jest w porządku.

–Hai, Anjin-san.

–Honto ka?

–Honto.

Co za przydatne słowo to „honto” – „czy to prawda?” Tak, prawda, pomyślał.

–Dómo, doktor-san – powiedział.

–Do itashimashite (Proszę bardzo, nie ma za co) – odparł z ukłonem lekarz.

Blackthorne odklonił mu się. Dziewczęta odprowadziły go i dopiero kiedy rozwiąawszy kimono ułożył się na futonach, a Sono zaczęła mu delikatnie masować plecy, zdał sobie sprawę, że przy lekarzu siedział nagi w obecności Japonki oraz samurajów i że nie myślał o tym ani się tego nie wstydził.

–Nan desu ka, Anjin-san? (O co chodzi, szanowny pilocie? Czemu się śmiejesz?) – spytała Rako. Jej białe zęby błyszcząły, a w miejscu brwi miała wymalowaną półkolistą kreskę. Czarne włosy nosiła upięte wysoko, a jej różowe kwieciste kimono było przewiązane szarozielonym obi.

–Bo jestem szczęśliwy, Rako-san. Ale jak ci to powiedzieć? Jak mam ci powiedzieć, że się śmiałem, bo jestem szczęśliwy i po raz pierwszy, odkąd wyjechałem z kraju, uwolniłem się od trosk. Bo moje plecy czują się cudownie, bo cały czuję się cudownie. Bo mam posłuchanie u Toranagi-samy, oddałem trzy potężne burtowe salwy w tych przeklętych jezuitów i jeszcze sześć w tych zapowietrzonych Portugalczyków! – odparł, a potem skoczył na równe nogi, ściśle zawiązał kimono i puścił się w beztroskie skoczne tany, śpiewając sobie do taktu marynarską szantę.

Rako i inne dziewczyny zamarły w oczekiwaniu. W tej samej chwili odsunęły się drzwi shoji i pojawili się w nich samuraje, również wytrzeszczając oczy. Blackthorne tańczył i śpiewał pełnym głosem, aż wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, parsknął śmiechem i upadł na podłogę. Japonki klaskały, a Rako próbowała naśladować go, lecz bez najmniejszego powodzenia, bo powłóczyście kimono krępowało jej ruchy. Pozostałe Japonki wstały i namówiły go, żeby im pokazał, jak to robi, więc spróbował, a dziewczyny z podkasanymi kimonami stały w szeregu, przyglądając się jego stopom. Ale nie potrafiły zatańczyć, tak więc wkrótce zaczęły szczebiotać pomiędzy sobą, chichotać i wachlować się.

Nagle strażnicy spowaźniali i nisko się pokłonili. W drzwiach stanął Toranaga z Mariko i Kiri u boku oraz z nie odstępującymi go samurajami ze straży. Dziewczyny uklęły, kładąc dłonie płasko na podłodze, i złożyły pokłon, ale z ich twarzy nie zniknął śmiech i nie było na nich śladu strachu. Blackthorne również grzecznie się uklonił, ale nie tak nisko jak kobiety.

–Konnichi wa, Toranaga-sama – powiedział.

–Konnichi wa, Anjin-san – odparł Toranaga i zadał jakieś pytanie.

–Mój pan pyta, co robiłeś, senhor – przełożyła Mariko.

–Po prostu tańczyłem, Mariko-san – rzekł Blackthorne, czując się głupio. – Taniec hornpipe. To taniec marynarski, przy którym jednocześnie śpiewamy szanty – piosenki. Poczujęm się szczęśliwy... być może dzięki sake. Przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkodziłem wielmożnemu panu Toranadze.

Mariko przełożyła jego odpowiedź.

–Mój pan mówi, że chciałby zobaczyć ten taniec i usłyszeć tę piosenkę.

–Teraz?

–Oczywiście, że teraz.

Toranaga natychmiast usiadł ze skrzyżowanymi nogami, a jego mała świta zajęła różne miejsca w pokoju i wszyscy z wyczekiwaniem patrzyli na Anglika.›

No i widzisz, głupcze, skarcił się w duchu Blackthorne. Oto do czego doprowadzasz, kiedy przestajesz się pilnować. Teraz musisz przed nimi wystąpić, a wiesz przecież, że głos ci wysiadł i że tańczysz niezdarnie.

Mimo to mocniej zawiązał kimono i z werwą puścił się w tany, obracając się, wyrzucając nogi w górę, wirując, podskakując i śpiewając gromkim głosem.

Zapadła cisza.

–Mój pan mówi, że czegoś takiego jeszcze nie oglądał.

–Arigato goziemashita! – odparł Blackthorne, spocony trochę z wysiłku, a trochę z zakłopotania.

I wówczas Toranaga odłożył swoje miecze, zatknął kimono wysoko za pas i stanął przy Blackthornie.

–Pan Toranaga zatańczy twój taniec – oznajmiła Mariko.

–Słucham?

–Prosi, żebyś go nauczył.

Tak więc Blackthorne zabrał się do dzieła. Zademonstrował pod stawowy krok, po czym powtórzył go raz i drugi. Toranaga szybko go opanował. Na Blackthornie spore wrażenie zrobiła zwinność tego starszego mężczyzny z pękatym brzuchem i dużymi pośladkami.

Puścił się w tany i zaśpiewał, Toranaga zaś przyłączył się do niego, z początku niepewnie, zachęcany okrzykami patrzących. A potem daimyō zrzucił kimono, skrzyżował ręce na piersi i z werwą równą werwie Anglika zaczął tańczyć przy jego boku. Blackthorne również zrzucił kimono” a potem śpiewając jeszcze głośniej wzmacnił tempo, niemal przytłoczony groteskowością tego, co robią, ale i porwany humorem sytuacji.” Wreszcie wykonał skomplikowany pług i zatrzymał się. Klasnął w dłonie, uklonił się Toranadze, a potem wszyscy zaczęli klaskać swojemu bardzo uszczęśliwionemu panu.

Toranaga usiadł pośrodku pokoju, oddychając swobodnie. Rako natychmiast pośpieszyła ku niemu z wachlarzem, a inne służące po jego kimono. Ale Toranaga pchnął swoje kimono w kierunku Blackthorne’a i zamiast niego wziął proste bawełniane kimono Anglika.

–Mój pan mówi, że sprawiłoby mu przyjemność, gdybyś przyjął je w darze – przełożyła Mariko i dodała: – W Japonii otrzymanie od swojego feudalnego pana nawet bardzo starego kimona jest poczytywane za ogromny zaszczyt.

Arigato goziemashita, Toranaga-sama. – Blackthorne uklonił się nisko, a potem zwrócił się do Mariko: – Tak, rozumiem, jaki zaszczyt mi czyni, Mariko-san. Podziękuj, proszę, panu Toranadze w odpowiednich słowach, czego ja jeszcze, niestety, zrobić nie umiem, i powiedz mu, że ogromnie to sobie cenię, a w jeszcze większym nawet stopniu zaszczyt, jaki wyświadczył mi tańcząc ze mną taniec.

Toranaga ucieszył się jeszcze bardziej.

Kiri i służące z szacunkiem ubrały Blackthorne’a w kimono ich pana i pokazały mu, jak zawiązać pas. Kimono było z brązowego jedwabiu z pięcioma czerwonymi godłami, a pas z, białego.

–Pan Toranaga mówi, że ubawił się twoim tańcem. Kiedyś być może pokaże ci kilka naszych. Chciałby, żebyś jak najszybciej nauczył się mówić po japońsku.

–Ja również – odparł Blackthorne. A jeszcze bardziej, pomyślał, założyć własne ubranie, jeść własną strawę, we własnej kabinie na moim statku z nabitymi działami, za pasem mieć pistolety, a pod stopami pokład rufowy pochylony pod naporem

pełnych żagli. – Czy możesz spytać pana Toranagę, kiedy odzyskam swój statek?

–Słucham, senhor?

–Mój statek, senhora. Proszę, spytaj go, kiedy odzyskam mój statek. I moją załogę. Zabrano z niego cały ładunek, w skarbcu było sto sześćdziesiąt tysięcy monet. Z pewnością zrozumie, że jesteśmy kupcami, i chociaż doceniamy jego gościnność, to chcielibyśmy sprzedać towary, które przywieźliśmy, i odpłynąć do kraju. Podróż do ojczyzny zajmie nam blisko osiemnaście miesięcy.

–Mój pan mówi, że nie musisz się o to martwić. Wszystko będzie załatwione najszybciej jak można. Najpierw musisz wrócić do sił i zdrowia. Wyjeżdżasz o zachodzie słońca.

–Słucham, senhora?

–Pan Toranaga powiedział, że wyjeżdżasz o zachodzie słońca, senhor. Czy źle to powiedziałam?

–Nie, nie, wcale nie, Mariko-san. Ale mniej więcej godzinę temu powiedziałaś, że wyjadę za kilka dni.

–Tak, ale teraz pan Toranaga mówi, że wyjeżdżasz dziś wieczorem.

Przełożyła tę wymianę zdań Toranadze, który znowu odpowiedział.

–Mój pan mówi, że lepiej i dogodniej będzie, jeśli wyjedziesz dziś. Nie musisz się o nic martwić, Anjin-san, jesteś pod jego osobistą pieczęcią. Posyła panią Kiritsubo do Edo, żeby przygotowała wszystko na jego powrót. Pojedziesz z nią.

–Prószę, podziękuj, mu ode mnie. Czy to możliwe... wolno mi spytać, czy możliwe będzie uwolnienie brata Domingo? Ten człowiek ma ogromną wiedzę.

Mariko przełożyła jego słowa. – Mój pan mówi, że to bardzo przykre, ale ten człowiek zmarł. Po słał po niego natychmiast, kiedy wczoraj o to poprosiłeś, ale już nie żył.

Blackthorne stropił się. – Jak umarł? – spytał.

–Mój pan mówi, że umarł, kiedy wywołano jego imię.

–Ach! Biedaczysko.

–Mój pan mówi, że śmierć i życie to to samo. Dusza tego księdza zaczeka aż do czterdziestego dnia, a potem znowu się odrodzi. Po co się smucić? To niezmienné prawo przyrody. – Zaczęła jakieś zdanie, ale rozmyśliła się i dodała tylko: – Buddyści

wierzą, że rodzimy się bądź odradzamy wiele razy, Anjin-san. Aż w końcu stajemy się doskonali i osiągamy nirwanę – niebo.

Blackthorne odłożył na bok smutek, skupiając się na Toranadze i terażniejszości.'

–A wolno mi spytać, czy moja załoga... – Urwał, bo Toranaga odwrócił wzrok.

Do pokoju wszedł spieszenie młody samuraj, pokłonił się Toranadze i zaczął.

–Nan ja? – spytał Toranaga.

Blackthorne nie zrozumiał z wymiany zdań pomiędzy nimi nic oprócz, jak mu się zdawało, przydomka ojca Alvito „Tsukku”. Zobaczył, że Toranaga obrzuca go spojrzeniem, spostrzegł jego słabutki uśmiezek i zadał sobie pytanie, czy daimyō posłał po jezuitę z powodu tego, co od niego usłyszał. Liczę na to, pomyślał, liczę również, że Alvito pograżył się po sam nos. Pograżył się czy nie? Postanowił nie pytać o to Toranagi, choć ogromnie go kusilo.

–Karę ni matsu yoni – rzekł krótko Toranaga.

–Gyoi – odparł samuraj, pokłonił mu się i spieszenie wyszedł.

–Nan ja, Anjin-san? – spytał Toranaga, ponownie zwracając się do niego.

–O czym to mówiłeś, kapitanie? – spytała Mariko. – O twojej załodze?

–Tak. Czy Toranaga-sama może otoczyć swoją opieką także ich? Dopilnować, żeby o nich dobrze dbano? Czy oni również zostaną wysłani do Edo?

Zapytała o to Toranagę, Daimyō zatknął miecze za pas, którym obwiązane miał krótkie kimono.

–Mój pan mówi, że oczywiście, że już się tym zajęto. Nie musisz się wcale o nich martwić. Ani o swój statek.

–Zajęto się moim statkiem?

–Tak. Mówi, że ten statek jest już w Edo.

Toranaga wstał. Wszyscy zaczęli się kłaniać, ale Blackthorne nieoczekiwanie wtrącił:

–Jeszcze jedno...-Urwał i przeklął się w duchu, gdyż zrozumiał, że zachował się niegrzecznie.

Toranaga najwyraźniej zakończył wizytę i kłaniający się, skonfundowani

odezwaniem się Blackthorne'a, nie wiedzieli, czy dokończyć ukłonów, zaczekać czy może zabrać się do ich składania od nowa.

–Nan ja, Anjin-san? – spytał chłodno, nieprzyjaznym tonem Toranaga, bo na chwilę wyprowadziło go to z równowagi.

–Gomen nasai, przepraszam, Toranaga-sama. Nie chciałem być niegrzeczny. Chciałem tylko zapytać, czy pani Mariko wolno będzie porozmawiać ze mną kilka chwil, nim wyjadę. To by mi pomogło.

Spytana o to Toranagę.

Toranaga władczo wymruczał pozwolenie i wyszedł, a za nim Kiri i jego straż przyboczna.

Przewrażliwione dranie, wszyscy bez wyjątku, orzekł w duchu Blackthorne. Jezu Chryste, jak tu się trzeba pilnować. Otarł rękawem czoło i spostrzegł nagle strapioną minę Mariko. Rako pośpiesznie podała mu jedną z tych malutkich chusteczek, które Japonki zawsze trzymały w pogotowiu, mając ich najwyraźniej niewyczerpane zapasy, wetknięte dyskretnie gdzieś z tyłu ich obi. I wówczas uświadomił sobie, że nosi „pańskie” kimono i że ociera spocone czoło „pańskim” bez wątpienia rękawem, tak więc, Boże mój, popełnił kolejne bluźnierstwo! Nigdy się nie nauczę, nigdy – pomyślał. – Jezu w niebiesiech, nigdy!

–Anjin-san? – odezwała się Rako, częstując go sake.

Podziękował jej i wypił wino. Natychmiast napełniła mu czarkę ponownie. Spostrzegł, że czoła wszystkich Japoniek błyszczą od potu.

–Gomen nasai – zwrócił się do wszystkich, przepraszając, wziął czarkę i zadowolony podał ją Mariko. – Nie wiem, grzecznie to czy niegrzecznie, ale czy napijesz się sake? Wolno ci? Czy też mam walić głową o podłogę?

Zaśmiała się.

–O, tak. Bardzo grzecznie, a poza tym proszę, żebyś nie rozbijał sobie głowy. Mnie nie trzeba przepraszać, kapitanie. Mężczyźni nie przepraszają kobiet. Wszystko, co robią, jest właściwe. A przynajmniej tak sądzą kobiety. – Wyjaśniła, co powiedziała, dziewczętom, te zaś z powagą skinęły głowami, ale oczy miały roześmiane. – Nie mogłeś o tym wiedzieć, Anjin-san – dodała Mariko, potem zaś pociągnęła mały łycalek sake i zwróciła mu czarkę. – Dziękuję, ale nie, nie wypiję więcej, dziękuję ci. Sake uderza mi prosto do głowy i kolan. Szybko się uczysz... co musi być dla ciebie bardzo trudne. Nie martw się, Anjin-san, pan Toranaga uważa cię za wyjątkowo zdolnego. Nigdy by ci nie podarował kimona, gdyby nie był z ciebie wyjątkowo zadowolony.

–Czy posłał po Tsukku-sana?

–Po ojca Alvito?

–Tak.

–Powinieneś być go o to spytać, kapitanie. Nie powiedział mi. W tym względzie wykazuje wielki rozsądek, bo kobiety nie znają się i nie są mądre w sprawach polityki.

–Ah, so desu ka? Chciałbym, żeby wszystkie nasze kobiety były równie... mądre.

Kłęcząca wygodnie na podwiniętych nogach Mariko poruszyła wachlarzem.

–Twój taniec był wspaniały, Anjin-san. Czy wasze kobiety też tak tańczą?

–Nie. Tylko mężczyźni. To był męski taniec, taniec marynarski.

–Ponieważ chcesz mnie wypytywać, czy mogę spytać o coś pierwsza?

–Oczywiście.

–Jaka jest twoja pani, twoja żona?

–Ma dwadzieścia dziewięć lat. W porównaniu z tobą jest wysoka. Według naszych miar ma pięć stóp osiem cali, a ty około pięciu stóp wzrostu, a więc na pewno wyższa jest od ciebie o głowę i odpowiednio większa... równie proporcjonalnie zbudowana. Włosy ma barwy... – Wskazał na czyste wypolerowane cedrowe belki na suficie. Spojrzenia wszystkich powędrowały w górę, po czym znowu spoczęły na nim. – Mniej więcej takiej. Jasne z rudawym odcieniem. Długie i przeważnie rozpuszczone. A oczy niebieskie, znacznie bardziej niebieskie niż moje, niebieskozielone.

Mariko przełożyła to innym. Wszystkie wciągnęły powietrze, spojrzały na cedrowe belki i jeszcze raz na niego. Samuraje ze straży również uważnie się przysłuchiwali. Rako zadała pytanie.

–Rako-san pyta, czy jej ciało jest takie samo jak nasze ciała.

–Tak. Ale biodra ma większe i okrągłejsze, kibić zaznaczoną wyraźniej... a ponadto nasze kobiety, cóż, mają na ogół pełniejsze kształty i znacznie większe piersi.

Czy wszystkie wasze kobiety... i mężczyźni – są aż o tyle wyżsi od nas?

–Przeważnie tak. Ale niektórzy są tak niscy jak wy. Dla mnie wasza małość jest czarująca. Miła dla oka.

Asa spytała o coś i zainteresowanie wszystkich szybko wzrosło.

–Asa pyta, jak w sprawach poduszkowych nasze kobiety mają się do waszych.

–Przepraszam, ale nie rozumiem. Ach, wybacz mi, proszę. W sprawach poduszkowych... w sprawach intymnych. Mówiąc „poduszkowe” mamy na myśli fizyczny związek kobiety z mężczyzną. To brzmi grzeczniej niż „chędożenie”, ne?

Blackthorne opanował zakłopotanie i odparł:

–Ja, hmm, miałem tutaj tylko jedno doświadczenie „poduszko we”... a było to, hmm, w wiosce i nie pamiętam go zbyt dobrze, bo byłem, hmm, tak wyczerpany podróżą, że przeżywałem to pół na jawie, pół we śnie. Ale mam wrażenie, że, hmm, że było mi bardzo dobrze.

Mariko zmarszczyła brwi.

–A więc zaledwie raz poduszkowałeś od przyjazdu do Japonii?

–Tak.

–A więc na pewno jesteś bardzo napięty, ne? Jedna z tych dam bardzo chętnie z tobą popoduszkuje, Anjin-san. Albo i wszystkie, jeśli chcesz.

–Słucham?

–Oczywiście. Jeżeli nie chcesz żadnej z nich, nie szkodzi, na pewno się nie obrażą. Powiedz mi tylko, jaką damę chciałbyś mieć, a wszystko załatwimy.

–Dziękuję – odparł Blackthorne. – Ale nie teraz.

–Jesteś pewien? Wybacz, proszę, ale Kiritsubo-san wydała mi wyraźne polecenie, żeby chronić i polepszać twoje zdrowie. Jak możesz być zdrów bez poduszkowania? To bardzo ważne dla mężczyzny, ne? O tak, bardzo ważne.

–Dziękuję ci, ale... może później.

Masz mnóstwo czasu. Rada wróćę później. Będzie wiele czasu na rozmowy, jeżeli sobie zażyczysz. Masz przed sobą co najmniej cztery trociczki – poinformowała uczynnie. – Musisz wyjechać dopiero o zachodzie słońca.

–Dziękuję. Ale nie teraz – powtórzył Blackthorne, zdeprymowany aż taką szczerością i niedelikatnością propozycji.

–One naprawdę chciałyby ci wygodnie, Anjin-san. Ach! A może... może wolałbyś chłopca?

–Co takiego?!

–Chłopca. Jeżeli tego sobie życzysz, to i z tym nie ma trudności. Uśmiech miała szczery, mówiła rzeczowo.

–Co się stało? – spytała.

–Poważnie proponujesz mi chłopca, pani?

–O, tak, Anjin-san. O co chodzi? Ja tylko powiedziałam, że gdybyś sobie życzył, to pošlemy po chłopca.

Nie życzę sobie! – Blackthorne poczuł, że do twarzy napływa mu krew. – Czyż ja wyglądam na jakiegoś przeklętego sodomitę?!

Jego słowa zabrzmiały ostro. Wszyscy w pokoju utkwili w nim wzrok. Mariko złożyła mu uniżony ukłon, głowę trzymając nisko przy podłodze.

–Wybacz mi, proszę, panie, popełniłam straszną pomyłkę – powiedziała...- Obraziłam cię, a starałam tylko zadowolić. Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z... z innym obcym poza świątobliwymi ojcami, a więc nie miałam skąd poznać waszych... waszych intymnych zwyczajów. Nie uczono mnie o nich, Anjin-san... ojcowie o nich nie mówili. Tutaj mężczyźni chcą niekiedy mieć chłopców... z chłopców korzystają od czasu do czasu kapłani, nasi i niektórzy z waszych, z czego niemądrze wyciągnęłam wniosek, że wasze zwyczaje są takie jak nasze.

–Nie jestem kapłanem, a ten zwyczaj nie jest u nas powszechnie przyjęty.

Dowódca samurajów, Kazu Oan, przyglądał się im gniewnie. Powierzono mu odpowiedzialność za bezpieczeństwo tego barbarzyńcy i jego zdrowie, na własne oczy widział, jak niewiarygodny zaszczyt wyświadczył temu Anjinowi pan Toranaga, a teraz Anjin wściekał się. Co mu jest? – zachodził w głowę, bo ta głupia kobieta na pewno powiedziała coś, co uraziło jego bardzo ważnego więźnia.

Mariko wyjaśniła, o czym mowa i co odpowiedział jej Anjin-san.

–Doprawdy nie rozumiem, co go tak rozdrażniło, Oan-san – powiedziała.

Oan z niedowierzaniem podrapał się w głowę.

–Wściekł się tylko dlatego, że zaproponowałaś mu chłopca, pani?

–Tak.

–Wybacz mi pytanie, ale czy byłaś wobec niego grzeczna? Może użyłaś niewłaściwego słowa?

–Och, nie, Oan-san, na pewno nie. Czuję się okropnie. Niewątpliwie ja tu zawiniłam.

–Z pewnością chodzi o coś innego. O co?

–Nie, Oan-san. Właśnie o to.

–Nigdy nie zrozumieję tych barbarzyńców – rzekł rozdrażniony Oan. – Dla naszego Wspólnego dobra uspokój go, proszę, Mariko-san. To na pewno z powodu tego, że tak długo nie poduszkowałam!. Ty – rozkazał Sono – przynieś więcej sake i gorących ręczników! A ty, Rako, pomasuj temu diabłu kark.

Służące rzuciły się wypełnić polecenia.

–Zastanawiam się, czy to nie dlatego, że jest impotentem – dodał, tknięty nagłym przypuszczeniem. – Ta jego historia z poduszkowaniem w wiosce jest jakaś mętna, ne? Może biedak wścieka się, bo w ogóle nie może poduszkować, a tyś poruszyła ten temat?

–Przykro mi, ale wątpię. Lekarz powiedział, że on jest bardzo dobrze wyposażony przez naturę.

–Gdyby był impotentem, wszystko byłoby jasne, ne? Ja też bym z tego powodu wrzeszczał. Tak jest! Spytaj go.

Mariko natychmiast wypełniła polecenie, a Oan przestraszył się, bo do twarzy barbarzyńcy znowu napłynęła krew i pokój zalał potok wstrętnej barbarzyńskiej mowy.

–On... on powiedział „nie” – wyszeptała Mariko.

–To wszystko znaczy „nie”?

–Oni... oni w zdenerwowaniu używają wielu opisowych przekleństw.

–Oan zaczął się pocić z niepokoju, bo to on tu odpowiadał za wszystko... – Uspokój go! – polecił.

–Oan-san, a może on jest z tych, co lubią psy, ne? – wtrącił się, chcąc pomóc, jeden z samurajów, starszy żołnierz. – W Korei słyszeliśmy dziwne historie o Czosnkojadach. Tak, oni lubią psy i... Tak jest, teraz sobie przypominam, lubią psy i kaczki. Może ci złotogłowi są jak Czosnkojady, bo cuchną jak oni, ne? Może on chce kawkę?

–Spytaj go, Mariko-san! – polecił Oan. – Chociaż nie, może lepiej nie. Tylko go uspokój... – Urwał.

Przez drzwi w drugim końcu pokoju wszedł Hiro-matsu.

–Witaj, wielmożny panie – rzekł zwięźle Oan, starając się, by mu nie drżał głos, ponieważ Żelazna Pięść, łagodnie mówiąc” zwolennik dyscypliny, chodził przez cały zeszły tydzień jak tygrys z czyrakami na zadzie, a dzisiaj był nawet jeszcze groźniejszy. Dziesięciu samurajów zostało zdegradowanych za niechlujny wygląd, wszyscy z nocnej warty przemaszerowali w hańbiącym pochodzie przez zamek, dwóm nakazał popełnić seppuku za spóźnienie się na służbę, a czterech zbieraczy nieczystości poleciało z blanków za to, że część zawartości pojemnika rozlali do ogrodu zamkowego.

–Czy dobrze się sprawuje, Mariko-san? – dotarły do Oana gniewne słowa Żelaznej Pięści.

Był przekonany, że ta głupia kobieta, która napytała tej całej biedy, wygada prawdę, przez co z karków na pewno spadną im – i słusznie – głowy. Ku swojej uldze usłyszał jednak, jak mówi:

–Tak, panie. Wszystko w porządku, dziękuję.

–Masz rozkaz wyjechać razem z Kiritsubo-san.

–Tak, panie.

Kiedy Żelazna Pięść znikł za drzwiami, Oan podniósł głowę i wszyscy odetchnęli. Korytarzem nadbiegła Asa z sake, a tuż po niej Sono z gorącymi ręcznikami.

Przypatrywały się uważnie barbarzyńcy, któremu usługiwały. Zauważyły jego napiętą, zastygłą twarz i to, jak bez przyjemności bierze sake i chłodno dziękuje za gorące ręczniki.

–Oan-san, a może posłać którąś z nich po kaczkę? – podsunął szeptem stary samuraj. – Po prostu wpuścić ją tu. Zechce ją, to dobrze, a jak nie, to uda, że jej nie widzi.

Mariko pokręciła głową.

–Może jednak nie powinniśmy ryzykować. Zdaje się, Oan-san, że ten barbarzyńca nie ma chęci rozmawiać o poduszkowaniu, ne? Takiego jak on jeszcze tu nie było, więc musimy postępować ostrożnie.

–Słusznie – rzekł Oan. – Dopóki nie było o tym mowy, barbarzyńca zachowywał się całkiem łagodnie.

Spojrzał groźnie na Asę...

–Przepraszam, Oan-san. Masz całkowitą rację, to wyłącznie moja wina – powiedziała natychmiast Asa, skłaniając przed nim głowę prawie do samej podłogi.

–Tak. Powiem o tym Kiritsubo-san.

–Powiesz?!

–Doprawdy uważam, że jeśli chodzi o rozmowy z tym człowiekiem o poduszkowaniu, to trzeba naszej pani zlecić ostrożność – powiedziała dyplomatycznie Mariko. – Jesteś bardzo mądry, Oan-san. Być może jednak Asa odegrała poniekąd pożyteczną rolę, oszczędzając pani Kiritsubo, a nawet panu Toranadze, straszego zakłopotania! Pomyśl tylko, panie, co by się stało, gdyby Kiritsubo-san sama zadała mu to pytanie wczoraj w obecności pana Toranagi! Gdyby barbarzyńca zachował się tak w jego obecności...

Oan skrzywił się.

–Polałaby się krew! Masz całkowitą rację, Mariko-san. Asie powinno się podziękować. Wyjaśnię Kiritsubo-san, że miała szczęście.

Mariko zaproponowała Blackthorne'owi jeszcze sake.

–Nie, dziękuję – odparł.

–Jeszcze raz przepraszam za moją głupotę. Chciałeś mnie o coś spytać?

Blackthorne przyglądał się rozmawiającym Japończykom, zmartwiony, że ich nie rozumie, i wściekły, że nie może ich skłąć na czym świat stoi za ich obelgi ani też zderzyć ich ze sobą głowami.

–Tak – odparł. – Powiedziałaś, że sodomia jest tu czymś normalnym?

–Ach, wybacz mi, czy nie moglibyśmy porozmawiać o czym innym?

–Naturalnie, senhora. Ale najpierw, po to, żebym mógł was zrozumieć, skończmy ten temat. Powiedziałaś, że sodomia jest tutaj czymś normalnym?

–Wszystko, co się wiąże z poduszkowaniem, jest normalne – odparła wyzywająco, podrażniona jego brakiem manier i oczywistą głupotą, pamiętając, że Toranaga przykazał jej wyjaśniać wszystko, co nie dotyczy polityki, ale później zrelacjonować mu szczegółowo pytania Anglika. A ponadto, żeby nie pozwoliła Anjinowi na żadne głupstwa, bo przecież jest on barbarzyńcą, prawdopodobnie piratem i ciąży na nim wyrok śmierci, zawieszony w tej chwili z jego osobistej woli – poduszkowanie jest czymś całkiem normalnym. A jeżeli mężczyzna kładzie się z innym mężczyzną albo z chłopcami, to kogóż więcej to dotyczy oprócz nich? Co szkodzi to im albo innym –

tobie, panie, czy mnie? Nic!

Czymże jestem, pomyślała, analfaberką i wyrzutkiem bez krzty rozumu? Głupim kupcem, dającym się zastraszyć byle barbarzyńcy? Nie. Jestem samurajką? Tak, jesteś nią, Mariko, ale jesteś też bardzo niemądra! Jesteś kobietą i jeżeli chcesz nad nim panować, to musisz go traktować jak innych mężczyzn. Kadzić mu, zgadzać się z nim i schlebiać. Zapominasz o swojej broni. Dlaczego zachowujesz się przy nim jak dwunastoletnia dziewczynka? Rozmyślnie złądziła ton.

–Ale jeżeli myślisz... Sodoma to grzech haniebny, zło, ohyda wyklęta przez Boga, a uprawiające ją bydła to najgorsze szumowiny na świecie!

Wprawdzie Blackthorne wziął górę nad Mariko, ale wciąż boleśnie odczuwał zniewagę, że w ogóle śmiała go wziąć za jednego z takich. Jak mogła to zrobić, na rany Jezusa! Opanuj się, rzekł sobie. Gadasz jak jakiś zarażony franca fanatyczny purytański kalwin! No, a czemu to jesteś tak fanatycznie nastawiony przeciwko nim? Czy nie dlatego, że na morzu sodomici są stale obecni, że próbowała tych rzeczy większość marynarzy, bo jakże inaczej mogliby zachować zdrowe zmysły tyle miesięcy spędzając na morzu? Czy nie dlatego, że i ciebie to kusilo i że nienawidziłeś siebie za to? Czy nie dlatego, że za młodu musiałeś walczyć we własnej obronie i zabiłeś jednego z tych bydlaków, wbiłeś mu nóż w gardło, ty, dwunastolatek, a zabity był pierwszy na długiej liście tych, których uśmierciłeś?

–To grzech wyklęty przez Boga... i całkowicie sprzeczny z prawem ludzkim i boskim!

–Ależ te chrześcijańskie określenia dotycząc pewnością innych rzeczy – zaprotestowała uszczypliwie, wbrew własnym chęciom do żywego dotknięcia jego całkowitym nieokrzesaniem. – Grzech? A gdzie tu grzech?

–Powinnaś to wiedzieć. Jesteś katoliczką, prawda? Wychowali cię jezuici, czy tak?

–Świątobliwy ojciec nauczył mnie mówić i pisać po łacinie i portugalsku. Nie pojmuję znaczenia, jakie przypisujesz katolicyzmowi, panie, ale jestem chrześcijanką już od blisko dziesięciu lat, a poza tym jezuici nie mówili z nami o poduszkowaniu. Nie czytałam waszych księzek poduszkowych, same religijne. Poduszkowanie grzechem? Jak to możliwe? Jak cokolwiek, co sprawia człowiekowi przyjemność, może być grzechem?

–Spytaj ojca Alvito.

Chciałabym, pomyślała zagubiona. Ale nie wolno mi mówić o niczym, co zostało powiedziane, z nikim oprócz Kiri i pana Toranagi. Prosiłam Boga i Matkę Boską o pomoc, ale nie odezwali się do mnie. Wiem tylko, że odkąd przybyłeś, są same kłopoty. Ja mam same kłopoty...

–Jeżeli to grzech, jak twierdzisz, to dlaczego tyłu naszych kapłanów to robi i zawsze robiło? Niektóre sekty buddyjskie wręcz zalecają to jako formę kultu. Czy chwila Chmur i Deszczu nie jest doznaniem najbliższym Nieba, jakie jest dostępne śmiertelnikom? Kapłani nie są źli, a przynajmniej nie wszyscy. O niektórych świątobliwych ojcach wiadomo zaś, że też lubili poduszki w taki sposób. Czy są źli? Pewnie, że nie. Dlaczego mieliby się pozbawiać zwykłej przyjemności, jeżeli zakazuje się im kobiet? To niedorzeczne twierdzić, że cokolwiek związane z poduszkiowaniem jest grzechem i jest wyklęte przez Boga!

–Sodomia to ohyda, sprzeczna z wszelkim prawem! Spytaj o to swojego spowiednika!

To ty sam jesteś ohydny, ty sam, główny pilocie! – chciała wykrzyknąć Mariko. Jak śmiesz być takim prostakiem i jak możesz być takim głupcem! Sprzeczna z Bogiem, powiadasz? To niedorzeczne. Może sprzeczna z twoim złym bogiem. Twierdzisz, że jesteś chrześcijaninem, ale z pewnością nim nie jesteś, za to na pewno jesteś kłamcą i oszustem. Możliwe, że posiadasz nadzwyczajną wiedzę i że przebywałeś w wielu dziwnych krajach, ale nie jesteś chrześcijaninem tylko bluźniercą! Czy przysłał cię Szatan? Grzech? Co za dziwaczny pomysł!

Piekłisz się o zwyczajne sprawy i zachowujesz jak szaleniec. Zakłóciłeś spokój świątobliwym ojcom, zakłóciłeś spokój panu Toranadze, posiałeś niezgodę pomiędzy nami, zachwiałeś naszymi przekonaniem i udręczyłeś przypuszczeniami, co jest, a co nie jest prawdą... wiedząc, że nie możemy udowodnić jej od razu.

Chcę ci powiedzieć, że pogardzam tobą i wszystkimi barbarzyńcami. O tak, otaczali mnie przez całe życie. Czyż nie darzyli nienawiścią mojego ojca, ponieważ im nie ufał i otwarcie błagał dyktatora Gorodę, by wyrzucił ich wszystkich z naszego kraju? Czy barbarzyńcy nie zatruli myśli dyktatora, tak że zaczął nienawidzić mego ojca, najbardziej oddanego mu generała, człowieka, który zrobił dla niego nawet więcej niż generał Nakamura czy pan Toranaga? Czyż to nie przez nich dyktator obraził mojego ojca, doprowadzając go do obłędu i zmuszając go do zrobienia rzeczy niewyobrażalnej, czym przyczynił się do wszystkich moich cierpień?

Tak, zrobili to, a nawet więcej. Ale przynieśli też ze sobą nie mające sobie równych Słowo Boże, kiedy byłem w największej potrzebie, powróciwszy z okropnego wygnania do jeszcze bardziej okropnego życia, a ojciec wizytator wskazał mi Ścieżkę Pana, otworzył mi oczy, duszę i ochrzcił mnie, A Ścieżka ta dała mi siłę wytrwania, wypełniła mi serce bezgranicznym spokojem, uwolniła od nieustannych cierpień i pobłogosławiła obietnicą Wiekuistego Zbawienia.

Cokolwiek więc się zdarzy, jestem w ręku Boga. O Matko Boska, udziel mi swego spokoju i dopomóż biednej grzesznicy zwyciężyć Twojego wroga.

–Przepraszam za moją niegrzeczność – powiedziała. – Masz prawo gniewać się, panie. Jestem tylko niemądrą kobietą. Zechciej mi okazać cierpliwość i wybaczyć głupotę.

Gniew Blackthorne’a w jednej chwili przygasł. Jak mężczyzna może długo gniewać się na kobietę, która otwarcie przyznaje, że się myliła, a on miał rację?

–Ja również cię przepraszam, Mariko-san – rzekł nieco udobruchany – ale u nas zarzucić komuś grzech sodomski jest największą obrazą.

A więc wszyscy jesteście dziecinni i głupi, jak również nikczemni, nieokrzesani i niewychowani, czegoż jednak można się spodziewać po barbarzyńcach, pomyślała i na pozór skruszona odparła:

–Oczywiście, że masz rację. Nie miałam na myśli niczego złego.

Wcale nie chciałam cię obrazić, Anjin-sama, zechciej więc przyjąć moje przeprosiny. O, tak – dodała z westchnieniem, głosem tak subtelnie przymilnym, że ułagodziłaby nawet swojego męża w jednym z jego najpodlejszych humorów. – O tak, to była wyłącznie moja wina. Bardzo przepraszam.

Słońce dotknęło horyzontu, a ojciec Alvito wciąż czekał w sali posłuchań z rutami, które ciążyły mu w rękach. A bodaj diabli Blackthorne’a, pomyślał.

–Nan ja, Tsukku-san?

Przez chwilę nie skojarzył japońskich słów, które usłyszał.

W drzwiach stał Toranaga w asyście strażników.

Spocony na plecach i twarzy Alvito ukłonił mu się i opanował.

–Przepraszam za przybycie bez zaproszenia. Ja... właśnie marzyłem na jawie. Myślałem o tym, że miałem wiele szczęścia, będąc świadkiem aż tylu wydarzeń w Japonii. Wydaje mi się, jakbym spędził całe życie tutaj i nigdzie indziej. Tylko na tym skorzystaliśmy, Tsukku-san.

Toranaga zmęczonym krokiem podszedł do podium i usiadł na zwykłej poduszce. Strażnicy bez jednego słowa otoczyli go żywym parawanem.

–Przybyłeś tu w trzecim roku Tenshō, prawda?

–Nie, wielmożny panie, w czwartym. W roku Szczura – odparł, używając japońskiego kalendarza, którego zrozumienie zabrało mu miesiące. Lata liczone tu od konkretnego roku, wybranego przez panującego cesarza. Katastrofa bądź szczęśliwe

wydarzenie mogły zakończyć lub zapoczątkować epokę według jego zachcianki. Uczeni dostawali polecenie, by wybrali nazwę dla nowej ery, szczególnie pomyslnego znaku ze starożytnych chińskich ksiąg, ery, która mogła trwać rok albo pięćdziesiąt lat. Tenshō znaczyło „Niebiańską Sprawiedliwość”. Poprzedni rok był rokiem ogromnej morskiej fali, kiedy to życie straciło dwieście tysięcy ludzi. Każdy zaś rok numerowano i nazywano w tym samym porządku jak kolejne godziny dnia, a więc rokiem Zająca, Smoka, Węża, Konia, Kozła, Małpy, Koguta, Psa, Świni, Szczura, Wołu i Tygrysa. Pierwszy rok ery Tenshō wypadł w roku Koguta, stąd też rok 1576 był rokiem Szczura w czwartym roku ery Tenshō.

–Wiele wydarzyło się w ciągu tych dwudziestu czterech lat, ne, stary przyjacielu?

–Tak, wielmożny panie.

–Tak. Dojście Gorody do władzy i jego śmierć. Dojście taikō do władzy i jego śmierć. A teraz?

Słowa te odbiły się echem od ścian.

–Leży to w rękach Nieskończonego – odparł Alvito, Używając określenia, które mogło oznaczać Boga, ale również i Buddę.

–Zarówno pan Goroda, jak pan taikō nie wierzyli w żadnych bogów ani w Nieskończonego.

–Czy pan Budda nie powiedział, że jest wiele ścieżek do nirwany, Wielmożny panie?

–O, Tsukku-san, mądry z ciebie człowiek. Jak ktoś tak młody może być tak mądry?

–Szczerze chciałbym, żeby to była prawda, wielmożny panie. Wówczas mógłbym być bardziej przydatny.

–Chciałeś się ze mną widzieć?

–Tak. Uznałem, że ta sprawa jest na tyle ważna, żeby przyjść bez zaproszenia.

Alvito wyjął ruty Blackthorne’a, umieścił je przed sobą i złożył wyjaśnienia, które zaproponował dell’Aqua. Zobaczył, że Toranadze poważnieje twarz, i to go ucieszyło.

–Dowód, że jest piratem?

–Tak, wielmożny panie. Te ruty zawierają dosłowne rozkazy, a wśród nich takie: „Jeżeli zajdzie potrzeba, wylądować w dużej liczbie i zająć terytoria, do których się dopłynie lub które się odkryje”. Jeżeli sobie życzysz, panie, to przełożę ci dokładnie wszystkie stosowne fragmenty.

–Przełóż wszystko. Szybko – odparł Toranaga.

–Ojciec wizytator uznał, że powinieneś wiedzieć jeszcze jedno.

Alvito, tak jak uzgodnili, opowiedział Toranadze wszystko o mapach, raportach, Czarnej Karaweli i ucieszył się z wrażenia, jakie tym wywołał.

–Doskonale – powiedział Toranaga. – Jesteś pewien, że Czarna Karawela przyplynie wcześniej? Całkowicie pewien?

–Tak – odparł z przekonaniem Alvito i pomyślał: „O Boże, niechże spełnią się nasze nadzieje”.

–Dobrze. Powiedz swojemu suzerenowi, że niecierpliwie czekam na jego raporty. Tak. Zebranie właściwych faktów zajmie mu, jak przypuszczam, kilka miesięcy?

–Obiecał sporządzić te raporty jak najszybciej. Prześlemy ci, panie, te mapy, tak jak chciałeś. Czy nasz generał-gubernator może liczyć, że niedługo otrzyma twoje pozwolenia? Jeżeli Czarna Karawela ma tu przyplłynąć wcześniej, to bardzo by to pomogło, panie Toranaga.

–Gwarantujesz, że ten statek przyplynie wcześniej?

–Jeśli chodzi o wiatr, burzę i morze nie można zagwarantować niczego. Ale ten statek wypłynie z Makau wcześniej.

–Otrzymasz te pozwolenia przed zachodem słońca. Masz do mnie coś jeszcze? Przez trzy dni, aż do zakończenia narady regentów, nie będę dostępny.

–Nie mam, wielmożny panie. Dziękuję. Modlę się do Nieskończonego, żeby zawsze miał cię w swej opiece.

Alvito uklonił się i czekał, aż zostanie odprawiony, lecz zamiast tego Toranaga odprawił strażników.

Alvito po raz pierwszy widział jakiegoś daimyō bez straży przybocznej.

–Chodź i usiądź tutaj, Tsukku-san – rzekł Toranaga, wskazując miejsce obok siebie na podeście.

Alvito jeszcze nigdy nie był zaproszony na podest. Oznaczało to dowód zaufania czy też wyrok śmierci?

–Zbliża się wojna – powiedział Toranaga.

–Tak – odrzekł Alvito i pomyślał, że ta wojna będzie trwać bez końca.

–Chrześcijańscy panowie feudalni Onoshi i Kiyama zdecydowanie przeciwstawiają się moim pragnieniom.

–Nie odpowiadam za żadnego z daimyō, wielmożny panie.

–Krażą niedobre pogłoski, ne? O nich i o innych chrześcijańskich daimyō.

–Mądrym ludziom leży na sercu zawsze tylko interes cesarstwa.

–Tak. Tymczasem jednak, na przekór mej woli, cesarstwo dzieli się na dwa obozy – Ishido i mój. Tak więc wszystkie interesy w cesarstwie mieszczą się po jednej lub po drugiej stronie. Nie ma drogi pośredniej. Gdzie ulokowane są interesy chrześcijan?

–Po stronie pokoju. Chrześcijaństwo jest religią, wielmożny panie, a nie ideologią polityczną.

–Wasz Ojciec Olbrzym jest tu głową waszego Kościoła. Słyszałem, że przemawiacie... że możecie przemawiać w imieniu papieża.

–Nam nie wolno się mieszać do waszej polityki, wielmożny panie.

–Myślisz, że Ishido okaże się dla was łaskawy? – spytał Toranaga ostrzejszym tonem. – On jest całkowicie przeciwny waszej religii. To ja zawsze byłem wam łaskawy. Pragnieniem Ishido jest natychmiast wprowadzić dekrety o wydaleniu i całkowicie zamknąć wstęp do kraju wszystkim barbarzyńcom. Ja chcę rozwinąć handel.

–Nie mamy władzy nad żadnym chrześcijańskim daimyō.

–Jak wobec tego mogę na nich wpłynąć?

–Za mało wiem, aby się pokusić o doradzanie tobie.

–Wiesz dostatecznie dużo, stary przyjacielu, by zrozumieć, że jeżeli Kiyama i Onoshi wystąpią przeciwko mnie u boku Ishido z resztą tej hałastry, to wkrótce dołączą do nich wszyscy pozostali chrześcijańscy daimyō, a wówczas na mojego jednego samuraja przypadnie dwudziestu nieprzyjaciół.

–Kiedy nadejdzie wojna, będę się modlił o twoje zwycięstwo.

–Jeżeli naprzeciwko każdego mojego żołnierza stanie dwudziestu, to same modlitwy mi nie wystarczą.

–Czy nie można jakoś uniknąć wojny? Kiedy raz wybuchnie, nigdy się nie skończy.

Ja też tak myślę. A wówczas stracą wszyscy – my, barbarzyńca, Kościół

Chrześcijański. Ale gdyby wszyscy chrześcijańscy daimyō stanęli otwarcie po mojej stronie, wojny by nie było. Ukróciłoby to ambicje Ishido. Nawet gdyby wzniecił bunt, to regenci zgnetliby go niczym ryżowego wołka, Alvito poczuł, jak na szyi zaciska mu się pętla.

–Jesteśmy wyłącznie po to, żeby szerzyć Słowo Boże – odparł. – A nie wtrącać się do waszej polityki, wielmożny panie.

–Wasz poprzedni wódz zaofiarował usługi chrześcijańskich daimyō z Kiusiu taikō, zanim podbiliśmy tę część cesarstwa.

–Popełnił błąd. Ani Kościół, ani owi daimyō nie upoważnili go do tego.

–Zaproponował taikō, że statki, portugalskie statki przewiozą nasze oddziały na Kiusiu, zaproponował, że portugalscy żołnierze z muszkietami pomogą nam. Nawet w walce przeciwko Korei i przeciwko Chinom.

–I popełnił kolejny błąd, wielmożny panie, nikt go do tego nie upoważnił.

–Niedługo wszyscy będą musieli stanąć po którejś stronie, Tsukku-san. Tak. Już bardzo niedługo.

Alvito fizycznie odczuł tę groźbę Toranagi.

–Jestem zawsze na twoje usługi, panie – odparł.

–Jeżeli przegram, czy umrzesz wraz ze mną? Czy popełnisz jenshi, pójdziesz w moje ślady, albo czy podążysz ze mną na śmierć jako wierny członek mojej świąty?

–Moje życie jest w rękach Boga. Tak samo jak moja śmierć.

–A, tak! Wasz chrześcijański Bóg! – Toranaga nieznacznie poruszył mieczami. A potem nachylił się do przodu. – Przed upływem czterdziestu dni Onoshi i Kiyama zwiążą się ze mną, a Rada Regencyjna odwoła dekrety taikō.

Jak daleko ośmielę się posunąć? – zapytywał się w duchu bezradnie Alvito. Jak daleko?

–Nie mamy na nich aż tak dużego wpływu, jak sądzisz, panie – rzekł.

–A może wasz przywódca powinien im to nakazać. Nakazać! Ishido zdradzi was i ich. Dobrze wiem, jaki on jest. Podobnie jak pani Ochiba. Czyż nie nastawia Yaemona przeciwko wam?

Tak! – chciał zawołać Alvito. Ale Onoshi i Kiyama w tajemnicy uzyskali od Ishido złożone pod przysięgą zobowiązanie na piśmie, dające im prawo wyznaczania

wszystkich nauczycieli Yaemona, z których jeden będzie chrześcijaninem. Ponadto Onoshi i Kiyama przysięgli na wszystkie świętości, że ich zdaniem, kiedy już usuniesz Ishido, zdradzisz Kościół.

–Ojciec wizytator nie może im rozkazywać, panie. Byłoby to niewybaczalne wtrącanie się do waszej „polityki”. Onoshi i Kiyama przed upływem czterdziestu dni, dekrety – taikō unieważnione... i już nigdy więcej nieprawych zakonników. Regenci zakazą im wjazdu do Japonii.

–Słucham?

–Zostaniecie tylko wy i wasi kapłani. Żadnych innych, cuchnących i żebrzących Czarnych Sukien – żadnych bosonogich prostaków! Tych, którzy wykrzykują głupie groźby i wywołują jedynie zamieszanie publiczne. Ich. Jeżeli chcecie, to możecie otrzymać głowy ich wszystkich... tych, którzy tu są.

Cała dusza Alvito wzywała go do ostrożności. Toranaga jeszcze nie pozwolił sobie wobec niego na taką szczerość. Jeden błąd, a urazisz go i na zawsze uczynisz zeń wroga Kościoła, przestrzegł się.

Pomyśl tylko, co on proponuje! Wyłączność w całym cesarstwie! Jedyną rzecz gwarantującą Kościołowi na czas jego krzepnięcia czystość i bezpieczeństwo. Rzecz bezcenną. Rzecz, której nie zapewniłby nam nikt, nawet papież! Nikt oprócz Toranagi. Otwarcie popierany przez Onoshiego i Kiyamę Toranaga mógłby zgnieść i zdominować Radę.

Alvito nie spodziewał się, że Toranaga złoży mu wprost podobną propozycję. Ani że zaproponuje tak wiele. Czy Onoshiego i Kiyamę da się skłonić do zmiany stron? Ci dwaj nienawidzą się. Z sobie tylko wiadomych powodów połączyli się przeciwko Toranadze. Dlaczego? Czym ich skłonić do zdradzenia Ishido?

–Nie jestem władny, by ci na to odpowiedzieć, wielmożny panie, ani żeby omawiać z tobą takie sprawy, ne? Mogę ci rzec tylko to, że naszym celem jest zbawienie dusz – odparł.

–Podobno mój syn Naga interesuje się waszą chrześcijańską wiarą.

Czy Toranaga grozi, czy składa propozycję? – zadał sobie pytanie Alvito. Składa propozycję, że pozwoli Nadze przyjąć naszą wiarę, co byłoby mistrzowskim posunięciem, czy też ostrzega: „Jeżeli nie będziecie współdziałać, to rozkażę mu skończyć z tym”?

–Wielmożny panie, twój syn jest jednym z wielu szlachetnie urodzonych, których umysły są otwarte na sprawy religii.

Alvito nagle zdał sobie sprawę z ogromnego dylematu, przed którym stanął Toranaga. Jest w potrzasku, musi się z nami ułożyć, pomyślał triumfalnie. Musi o to zabiegać! Musi nam dać, co zechcemy... jeśli w ogóle zechcemy zawrzeć z nim układ! Nareszcie przyznaje otwarcie, że chrześcijańscy daimyō decydują o tym, kto ma władzę! Co tylko zechcemy! Czy potrzeba nam czegoś więcej? Nie. Z wyjątkiem...

Umyślnie opuścił wzrok na leżące przed Toranagą ruty. Ujrzał, że daimyō bierze je i chowa do rękawa kimona.

–Aha, Tsukku-san – rzekł Toranagą dziwnym, zmęczonym głosem. – Jest jeszcze kwestia tego nowego barbarzyńcy, pirata. Wroga twojego kraju. Wkrótce zaczną tu oni licznie przybywać, ne? Można ich do tego zniechęcić... albo zachęcić. Tak jak tego pirata. Ne?

Ojciec Alvito pojął, że w tej chwili zdobyli wszystko. Czy dla przypieczętowania tego układu powinien poprosić o głowę Blackthorne'a na srebrnej tacy niczym o głowę Jana Chrzciciela? Czy powinien poprosić o pozwolenie na budowę katedry w Edo albo wewnątrz zamku w Osace? Po raz pierwszy w życiu poczuł, że ma zamęt w głowie, że nie wie, w którą stronę wyciągnąć rękę po władzę.

Nie chcemy więcej, niż nam proponują! Szkoda, że nie mogę zawrzeć układu już teraz! – pomyślał. Gdyby to zależało tylko ode mnie, tobym zaryzykował. Postawiłbym na Toranagę, ponieważ go znam. Zgodziłbym się podjąć starania i przysięgłbym na Pana Naszego. Tak, żeby zdobyć ustępstwa na rzecz naszego Kościoła, gotów byłbym wykląć Onoshiego i Kiyamę, gdyby nam odmówili. Cóż znaczą dwie stracone dusze wobec dziesiątek tysięcy, setek tysięcy, milionów. Powiedziałbym, że byłoby to usprawiedliwione! Tak, tak, tak, na chwałę Wszechmogącego. Ale jak sam dobrze wiem, nie mogę zawrzeć takiego układu. Jestem wyłącznie posłańcem, a do moich obowiązków należy...

–Potrzebuję pomocy, Tsukku-san. Potrzebuję jej w tej chwili.

–Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Toranaga-sama. Przrzekam ci to.

–Zaczekam czterdzieści dni – oświadczył nieodwołalnie Toranagą. – Tak. Czterdzieści dni.

Alvito uklonił się. Spostrzegł, że daimyō odpowiedział mu ukłonem głębszym i bardziej ceremonialnym niż kiedykolwiek przedtem, prawie takim, jakby się kłaniał samemu taikō. Wstał niepewnie. A potem znalazł się na zewnątrz i podążył korytarzem. Przyśpieszył kroku. Zaczął pędzić.

Toranagą przyglądał się jezucie ze strzelnicy, jak śmiga przez ogród nisko w dole. Strażnicy ponownie odsunęli shoji, ale przegonił ich przekleństwem i nakazał, żeby pod groźbą śmierci nie wazyli się mu przeszkadzać. Pilnie śledził wzrokiem Alvita

przechodzącego przez warowną bramę, wylaniającego się na dziedzińcu przed nią, a wreszcie znikającego w labiryncie umocnień wewnątrz zamku.

Wtedy zaś, samotny w panującej ciszy, Toranaga uśmiechnął się. Podkasał kimono i zaczął tańczyć. A tańczył taniec hornpipe.

Tuż po zmroku Kiri, kołysząc się w biodrach, zeszła nerwowo po schodach w towarzystwie dwóch służących. Podążyła do swojej zasłoniętej lektyki, która stała przy domku w ogrodzie. Jej podróżne kimono spowijał obszerny płaszcz, przez co wydawała się jeszcze grubsza niż była, a pod brodą miała zawiązane tasiemki kapelusza z szerokim rondem.

Na werandzie czekały na nią cierpliwie pani Sazuko w mocno zaawansowanej ciąży i Mariko. Blackthorne stał oparty o ścianę w pobliżu warownej bramy. Miał na sobie przewiązane pasem kimono Brązowych, skarpety tabi i wojskowe trepy. Na zewnętrznym podwórku za bramą stała w równych szeregach eskorta złożona z sześćdziesięciu samurajów, z których co trzeci trzymał pochodnię. U czoła tego oddziału Yabu rozmawiał z niskim, krępy, niemal pozbawionym szyi mężem Mariko, Buntaro. Obaj nosili kolczugi, na ramionach łuki i kołczany ze strzałami, a Buntaro miał ponadto na głowie stalowy rogaty hełm. Tragarze i lektykarze kaga przycupnęli cierpliwie w karnym posłusznym milczeniu obok mnóstwa bagaży.

Lekki wiaterek przyniósł zapowiedź lata, ale nie zauważył tego nikt oprócz Blackthorne'a, jednakże nawet on wyczuwał wszechobecną atmosferę napięcia. Podobnie jak był dotkliwie świadom, że jedynie on jest tutaj nie uzbrojony.

Do werandy podeszła ciężkim krokiem Kiri.

–Nie powinnaś czekać na tym zimnie, Sazuko-san – powiedziała. – Przeziębisz się. Musisz teraz pamiętać o dziecku. Te wiosenne noce są jeszcze bardzo wilgotne.

–Nie jest mi zimno, Kiri-san. Noc jest śliczna i jest mi przyjemnie.

–Czy wszystko w porządku?

–O, tak, doskonale.

–Wolałabym nie jechać. Tak. Nienawidzę tej podróży.

–Nie masz powodu do zmartwień – pocieszyła ją Mariko, podchodząc do nich. Ona również nosiła kapelusz z szerokim rondem, ale jasny, podczas gdy kapelusz Kiri był ciemny. – Ucieszysz się z powrotu do Edo. Nasz pan wyjedzie stąd kilka dni po nas.

–Kto wie, co przyniesie jutro, Mariko-san.

–Jutro jest w ręku Boga.

–Jutro będzie śliczny dzień, a jeśli nie, to nie! – powiedziała Sazuko. – Kto by się

przejmował jutrem? Liczy się dziś. Jesteś piękna i wszystkim nam będzie ciebie brak, Kiri-san, i ciebie, Mariko-san!

Spojrzała na wrota, bo jej uwagę odciągnął gniewny wrzask Buntaro karzącego samuraja, który upuścił pochodnię.

Nominalnie dowódcą tego oddziału był stojący wyżej w hierarchii od Buntaro Yabu. Zauważył nadejście Kiri i dumnym krokiem zawrócił, przechodząc przez bramę, a Buntaro podążył za nim.

–Och, pan Yabu... pan Buntaro – powiedziała Kiri, kłaniając się im zmieszana. – Bardzo przepraszam, że kazałam na siebie czekać. Pan Toranaga chciał zejść na dół, ale ostatecznie postanowił nie schodzić. Powiedział, że macie zaraz wyruszyć. Zechciejcie przyjąć moje przeprosiny.

–Żadnych nam nie trzeba. – Yabu pragnął jak najszybciej opuścić zamek, opuścić Osakę i wrócić do Izu. Wciąż trudno było mu uwierzyć, że wyjeżdża zachowawszy głowę, barbarzyńcę, muszkiety, wszystko. Za pośrednictwem gołębi przesłał pilne wieści swojej żonie w Edo, chcąc mieć pewność, że w Mishimie, jego stolicy, wszystko jest gotowe, a także Omiemu w wiosce Anjiro.

–Jesteście gotowe? – spytał.

W oczach Kiri zabłyśły łzy.

–Zaraz wsiądę do lektyki, niech tylko trochę odsapnę. Och, jakże chętnie w ogóle bym nie wyjeżdżała. – Rozejrzała się, szukając wzrokiem Blackthorne'a, aż wreszcie dojrzała go w cieniu. – Kto odpowiada za Anjin-sana? Aż do wejścia na statek?

–Nakazałem mu iść przy lektyce mojej żony – odparł z rozdrażnieniem Buntaro. – Jeżeli ona nie utrzyma go na wodzy, to zrobię to ja.

–Panie Yabu, może odprowadziłbyś panią Sazuko...

–Strażnicy!!!

Ostrzeżenie to dobiegło z podwórca przed bramą. Buntaro i Yabu pośpieszyli przez warowne wrota, za nimi ich straż przyboczna, a jeszcze więcej samurajów wysypało się z wewnętrznych fortów.

Aleją pomiędzy zamkowymi murami zbliżał się na czele dwustu Szarych Ishido. Zatrzymał się na dziedzińcu przed bramą, a wszyscy, mimo że nikt po obu stronach nie okazywał wrogości, nikt nie trzymał dłoni na mieczu a strzały w łuku, byli gotowi.

Ishido złożył wyszukany ukłon.

–Piękny wieczór, panie Yabu – powiedział.

–O, tak. Rzeczywiście.

Ishido skinął niedbale głową Buntaro, ten zaś odplacił mu równą bezceremonialnością, zdobywając się w odpowiedzi na minimum wymaganej grzeczności. Obaj byli ulubionymi dowódcami taikō. Buntaro dowodził jednym z jego pułków w Korei, podczas gdy Ishido był tam naczelnym wodzem. Obaj oskarżali się nawzajem o zdradę. Rozlewowi krwi pomiędzy nimi i aktom zemsty zapobiegły jedynie osobista interwencja i bezpośredni rozkaz taikō.

Ishido uważnie przyglądał się Brązowym. A potem jego wzrok odnalazł Blackthorne'a. Zobaczył, że barbarzyńca składa mu półukłon, więc skinął mu głową. Przez bramę widział trzy kobiety i drugą lektykę. Jego oczy ponownie spoczęły na Yabu.

–Można by pomyśleć, że nie jesteście zwykłą dworską eskortą pani Kiritsubo, ale wybieracie się do boju, Yabu-san.

–Z powodu tego mordercy z sekty Amidy pan Hiro-matsu wydał rozkazy...

Yabu zamilkł, bo Buntaro wystąpił wojowniczo naprzód i stanął zdecydowanie pośrodku wrót.

–My zawsze jesteśmy gotowi do boju, z bronią czy bez broni – oświadczył. – Jeden nasz samuraj wystarczy na dziesięciu waszych i pięćdziesięciu Czosnkojadów. Nigdy nie odwracamy się plecami i nie zmykamy jak śmierzące tchórze, pozostawiając towarzyszy na sromotną klęskę!

–Czyżby? – spytał Ishido zaczepnym tonem, uśmiechając się bardzo pogardliwie. – Być może już niedługo nadarzy ci się okazja zmierzyć się z prawdziwymi mężczyznami zamiast Czosnkojadów!

–Jak prędko? A dlaczego nie dziś? Dlaczego nie tutaj?

Yabu wkroczył ostrożnie pomiędzy nich. On również był w Korei, wiedział więc, że jeden i drugi mają rację oraz że żadnemu z nich nie można ufać. Buntaro w jeszcze mniejszym stopniu niż Ishido.

–Dlatego nie dziś, bo jesteśmy wśród przyjaciół, Buntaro-san – rzekł pojednawczo, za wszelką cenę pragnąc nie dopuścić do starcia, które na dobre odcięłoby im drogę z zamku. – Jesteśmy wśród przyjaciół, Buntaro-san.

–Jakich przyjaciół? Wiem, co to przyjaciele... i co to wrogowie! – Buntaro obrócił się gwałtownym ruchem w stronę Ishido. – A gdzie jest ten mężczyzna, ten

prawdziwy mąż, o którym wspomniałeś, Ishido-san? Co? Albo ci mężczyźni? Daj mu... daj im wszystkim wypełznąć z dziur i stanąć przeciwko mnie, Todzie Buntaro, władcy Sakury, jeżeli którykolwiek z nich ma dość ikry!

Wszyscy przygotowali się.

Ishido wpatrzył się w niego złowrogo.

–To nie jest odpowiednia chwila, Buntaro-san – powiedział Yabu. – Przyjaciele czy wrogo...

–Przyjaciele? Gdzie? W tej kupie gnoju?

Buntaro splunął na ziemię... Ręce jednego z Szarych śmignęły do miecza. Dziesięciu Brązowych poszło w jego ślady, w ułamku sekundy to samo zrobiło pięćdziesięciu Szarych i wszyscy czekali teraz, aż obnażona klinga da sygnał do ataku.

W tym momencie z ogrodowych cieni wyłonił się Hiro-matsu i przeszedł przez wrota na podwórzec, trzymając w ręku swój na wpół obnażony zabójczy miecz.

–Czasem i w gnoju można znaleźć przyjaciół, synu – rzekł spokojnie. Zaciśnięte na rękojeściach mieczów dłonie samurajów rozluźniły się. Samuraje stojący na przeciwległych blankach – Brązowi i Szarzy – rozluźnili napięte cięciwy uzbrojonych w strzały łuków. – Mamy przyjaciół w całym zamku. W całej Osace. Tak. Nasz pan Toranaga bez przerwy nam to powtarza. – Stał niczym głaz przed swoim jedynym żyjącym synem, widząc w jego oczach żądzę krwi. W chwili dostrzeżenia nadchodzącego Ishido przez strażę Hiro-matsu obejmował akurat posterunek przy bramie. A kiedy minęło pierwsze niebezpieczeństwo, pod osłoną cienia nadszedł cicho jak kot. Wpatrzył się w oczy Buntaro. – Czy nie tak, mój synu?

Zdobywszy się na ogromny wysiłek, Buntaro skinął głową i cofnął się o krok. Lecz w dalszym ciągu zagradzał wejście do ogrodu.

–Hiro-matsu skupił uwagę na Ishido., Nie spodziewaliśmy się dziś ciebie, Ishido-san – powiedział.

–Przybyłem złożyć uszanowanie pani Kiritsubo. Dopiero kilka chwil temu dowiedziałem się, że nas opuszcza.

–Czyżby mój syn miał rację? Powinniśmy martwić się, że nie przebywamy wśród przyjaciół? Czy jesteśmy zakładnikami, którzy powinni dopraszać się względów?

–Nie. Ale pan Toranaga i ja ustaliliśmy zasady obowiązujące w czasie tej wizyty. O wszystkich przyjazdach i wyjazdach wysokich osobistości miałem być powiadamiany

dzień wcześniej po to, żebym mógł im złożyć odpowiednie uszanowanie.

–Pan Toranaga zdecydował o tym nagle. Nie uznał sprawy wysłania jednej ze swoich pań do Edo za na tyle ważną, by ci przeszkadzać – odparł Hiro-matsu. – Tak, pan Toranaga przygotowuje się po prostu do swojego wyjazdu.

–Czy już postanowił kiedy?

–Tak. W dniu zakończenia narady regentów. Zostaniesz o tym powiadomiony w stosownym czasie, zgodnie z protokołem.

–Dobrze. Oczywiście narada może zostać znowu odłożona. Panu Kiyamie pogorszyło się.

–A więc narada jest odłożona? Czy nie jest?

–Ja tylko mówię o takiej możliwości. Liczymy, że jeszcze długo będziemy mieć przyjemność obcowania z panem Toranaga, ne? Czy wybierze się jutro ze mną na polowanie?

–Poprosiłem go, żeby aż do narady odwołał wszystkie polowania. Moim zdaniem, nie są bezpieczne. Uważam, że ta okolica przestała być bezpieczna. Skoro jacyś parszywi zabójcy tak łatwo omijają twoje strażę, to o ileż łatwiej o zdradę poza murami tego zamku.

Ishido puścił mimo uszu tę zniewagę. Wiedział, że ten i inne afronty jeszcze bardziej rozjątrząją jego samurajów, jednakże w jego interesie nie leżało zapalenie lontu już w tej chwili. Rad był z wkroczenia Hiro-matsu, bo niewiele brakowało, a przestałby nad sobą panować. Pochłonęła go myśl o głowie Buntaro, odciętej i szczękającej zębami.

–Wszyscy dowódcy pełniący tej nocy wartę dostali, jak wiesz, rozkazy odejścia w Wielką Pustkę. Niestety, ci czciciele Amidy rządzą się własnymi prawami. Ale już niedługo zostaną wytępieni. Od regentów zażąda się, żeby załatwili się z nimi raz na zawsze. A teraz, czy wolno mi będzie złożyć uszanowanie Kiritsubo-san?

Ishido ruszył. A z nim Szarzy z; jego straży przybocznej. Nagle wszyscy stanęli jak wryci. Buntaro trzymał w łuku strzałę i chociaż skierowana była w ziemię, to łuk był napięty do granic możliwości.

–Wam nie wolno przekraczać tej bramy – oświadczył. – Uzgodniono to protokolarnie.

–Jestem komendantem zamku w Osace i dowódcą straży przybocznej następcy! Mam prawo wchodzić wszędzie!

Hiro-matsu jeszcze raz opanował sytuację.

–To prawda, że jesteś dowódcą straży przybocznej następcy i masz prawo wchodzić wszędzie. Ale przekroczyć tę bramę wraz z tobą może tylko pięciu ludzi. Czy nie takie zasady uzgodniłeś z moim panem na czas jego pobytu tutaj?«

–Pięciu czy pięćdziesięciu, co za różnica! Ta zniewaga jest nie do...

–Zniewaga? Mój syn ani myślał cię znieważać. Wypełnia jedynie rozkazy, które ty uzgodniłeś z jego suzerenem. Pięciu ludzi. Pięciu! – Słowo to było rozkazem. Hiro-matsu odwrócił się od Ishido i spojrzał na syna. – Pan Ishido wyświadcza nam zaszczyt, pragnąc złożyć uszanowanie pani Kiritsubo.

Miecz „starca wystawał na pięć cali z pochwy i nikt nie miał pewności, czy po to, żeby ciąć Ishido, gdyby doszło do walki, czy też po to, żeby odciąć głowę synowi, gdyby ten wystrzelił z łuku. Wszyscy wiedzieli, że syn i ojciec nie darzą się sympatią, a tylko podziwiają nawzajem swą waleczność.

–No więc, synu, co masz do powiedzenia dowódcy straży przybocznej następcy?

Po twarzy Buntaro splotywał pot. Po chwili ustąpił z drogi i zwolnił napiętą cięciwę łuku. Ale strzały z niej nie zdjął.

Na zawodach łuczniczych Ishido wiele razy oglądał Buntaro, jak strzelając z dwustu kroków wypuszcza sześć strzał, nim jeszcze pierwsza doleci do celu, wszystkie zaś trafiają równie celnie. Z radością wydałby rozkaz zaatakowania i zabicia tych dwóch, ojca i syna, oraz reszty. Wiedział jednak, że zaczynać od nich, a nie od Toranagi, byłoby głupotą, a poza tym w razie wybuchu prawdziwej wojny być może zdołałby namówić Hiro-matsu do porzucenia Toranagi i walki przeciwko niemu. Pani Ochiba obiecała, że w stosownej chwili zwróci się z tym do Żelaznej Pięści. Przysięgała, że Żelazna Pięść za nic nie porzuci następcy, ona zaś przeciągnie go na swoją stronę, a być może nawet zdoła go nakłonić do zabicia Toranagi, dzięki czemu zapobiegnie wszelkim konfliktom. Jakie wpływy, jaka tajemnica, jakie informacje dają jej nad nim przewagę? – zadawał sobie od nowa pytanie. Poleciał pani Ochibie wymknąć się po cichu z Edo, gdyby jej się udało, to przed spotkaniem regentów. Z chwilą postawienia oskarżeń Toranadze, na co zgodzili się wszyscy regenci, jej życie stawało się warte mniej od ziarenka ryżu. Po oskarżeniu go mieli mu rozkazać natychmiast popełnić seppuku, a w razie konieczności do tego zmusić. Gdyby Ochiba uciekła, byłoby dobrze. A gdyby nie, to nie szkodzi. Za osiem lat następcą miał objąć władzę.

Ishido przekroczył bramę i wszedł do ogrodu w towarzystwie Hiro-matsu i Yabu. Podążało za nimi pięciu strażników. Ukłonił się uprzejmie i życzył Kiritsubo udanej podróży. A potem, zadowolony, że wszystko jest jak należy, odwrócił się i odszedł ze wszystkimi swoimi samurajami.

Hiro-matsu odetchnął głęboko i podrapał swoje hemoroidy.

–Lepiej ruszajcie, Yabu-san – powiedział. – Ta ryżowa larwa nie będzie was już niepokoiła.

–Tak jest. Natychmiast.

Kiri otarła spocone czoło.

–To diabelski kami! Boję się o naszego pana.– Z oczu pociekły jej łzy. – Nie chcę wyjeżdżać!

–Przyrzekam ci, pani, że pana Toranagi nic złego nie spotka – rzekł Hiro-matsu. – Musisz jechać. Już!

Kiri próbowała stłumić łkanie i rozchyliła gruby welon, który zwisał jej z szerokiego ronda kapelusza.

–Och, Yabu-sama, czy wprowadzisz panią Sazuko do środka? Proszę cię – powiedziała.

–Oczywiście.

Pani Sazuko ukloniła się i pośpiesznie odeszła, a za nią Yabu. Wbiegła na schody, a kiedy znalazła się prawie u ich szczytu, poślizgnęła się i upadła.

–Dziecko! – krzyknęła Kiri. – Czy nic sobie nie zrobiła?

Spojrzenia wszystkich przeskoczyły na rozciągniętą jak długa dziewczynę. Mariko pobiegła do niej, ale Yabu znalazł się przy niej pierwszy. Podniósł ją. Sazuko była nie tyle ranna, co przestraszona.

–Nic mi nie jest – zapewniła, lekko zadyszana. – Nie martwcie się, nic mi się nie stało. Ależ ja jestem głupia.

Upewniwszy się co do tego, Yabu wrócił na podwórzec przed bramą, sposobiąc się do natychmiastowego odjazdu.

Mariko z wielką ulgą wróciła do bramy. Blackthorne gapił się na ogród.

–Co się stało? – spytała.

–Nic – odparł po chwili. – Co krzyczała pani Kiritsubo?

–„Dziecko! Czy nic sobie nie zrobiła?” Pani Sazuko jest przy nadziei – wyjaśniła Mariko. – Wszyscy się bali, że przez ten upadek coś może sobie zrobić.

–To dziecko pana Toranagi?

–Tak – odparła Mariko, oglądając się na lektykę.

Kiri siedziała już w środku za zasuniętymi półprzezroczystymi zasłonami i z rozwiązany welonem. Biedna kobieta, pomyślała Mariko wiedząc, że Kiri-san pragnie jedynie ukryć swoje łyzy. Na jej miejscu mnie również byłoby straszno opuszczać mojego pana.

Przeniosła wzrok na Sazuko, która pomachała jej jeszcze raz ręką ze szczytu schodów i weszła do środka. Żelazne drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Zabrzmiało to jak dzwon dla umarłych, pomyślała Mariko. Czy jeszcze ich zobaczymy?

–Czego chciał Ishido? – spytał Blackthorne.

–On... nie znam właściwego słowa. On sprawdzał... przeprowadzał inspekcję bez ostrzeżenia.

–Dlaczego?

Jest komendantem zamku – odparła, nie chcąc zdradzać prawdziwego powodu. Na przodzie kolumny Yabu wydał rozkazy i ruszył. Mariko wsiadła do lektyki, zasłony pozostawiając rozchylone. Buntaro dał Blackthorne'owi znak, żeby szedł obok niej. Blackthorne wypełnił polecenie.

Odczekali, aż wyprzedzi ich lektyka Kiri. Blackthorne wpatrzył się w na wpół widoczną postać i usłyszał stłumione łkanie. Dwie wystraszone służące, Asa i Sono, szły przy lektyce. Blackthorne obejrzał się po raz ostatni. Przed altanką stał wsparty na mieczu Hiro-matsu. A potem samuraje zamknęli wrota i stracił ogród z oczu. Wielka drewniana krata opadła na swoje miejsce. Na podwórzu przed nią nie było strażników. Wszyscy znajdowali się na blankach.

–Co się dzieje? – spytał.

–Słucham, Anjin-san?

–Przypomina to oblężenie. Tak jakby Szarzy oblegali Brązowych. Spodziewają się kłopotów? Nowych kłopotów?

–Och, przepraszam. Zamykanie tych wrót na noc to rzecz normalna – odpowiedziała Mariko.

Kiedy jej lektyka ruszyła, zaczął iść obok niej, a pozycje za nimi zajęli Buntaro i reszta straży tylnej. Blackthorne przyglądał się lektyce w przodzie, chwiejnie idącym

lektykarzom i niewyraźnej postaci za zasłonami. Był ogromnie zaniepokojony, chociaż starał się to ukryć. Kiedy Kiritsubo tak nagle krzyknęła, natychmiast na nią spojrzał. Pozostali patrzyli na leżącą na schodach dziewczynę. Odruchowo również chciał tam spojrzeć, lecz zobaczył, że Kiritsubo rzuca się w stronę małej altanki i znika w niej z zadziwiającą chyżością. Przez chwilę sądził, że oczy płatają mu figla, – ponieważ w mroku jej ciemny płaszcz, ciemne kimono, ciemny kapelusz i ciemny welon czyniły ją prawie niewidzialną. Jej postać zniknęła na chwilę, znów się pojawiła, skoczyła do lektyki i zamaszystym ruchem zasunęła zasłony. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. To był Toranaga.

Mały orszak otaczający dwie lektyki posuwał się wolno przez zamkowy labirynt i wciąż nowe punkty kontrolne. Za każdym razem wymieniano ceremonialne ukłony, od nowa sprawdzano dokumenty, zmieniała się eskorta Szarych wraz z dowódcą, po czym jadących przepuszczano. Przy każdym punkcie kontrolnym Blackthorne z rosnącymi obawami obserwował, jak kolejni dowódcy straży podchodzą do lektyki Kiritsubo, żeby sprawdzić zaciągnięte zasłony. Wszyscy kłaniali się uprzejmie na wpół widocznej postaci, słysząc jej stłumione łkanie, a po pewnym czasie skinieniem ręki pozwalali ruszyć dalej.

Kto jeszcze o tym wie? – zadawał sobie rozpaczliwe pytanie. Muszą wiedzieć służące, to wyjaśniłoby ich załęknięcie. Na pewno wiedział Hiro-matsu i pani Sazuko, która z całą pewnością odwróciła uwagę wszystkich. Mariko? Wątpię. Yabu? Czy Toranaga by mu zaufał? A temu raptusowi bez szyi, Buntaro? Prawdopodobnie nie.

Jest to bez wątpienia ściśle tajna próba ucieczki. Ale dlaczego Toranaga narażałby życie poza murami zamku? Czy w środku nie jest bezpieczniej? Po co ta tajemniczość? Komu ucieka? Ishido? Tym mordercom? Prawdopodobnie wszystkim, orzekł pragnąc, żeby szczęśliwie znaleźli się na galerze i wypłynęli w morze. W razie odkrycia Toranagi rozpęta się piekło, wybuchnie śmiertelna walka i nikt nie poprosi o darowanie życia ani nikomu go nie darują. Jestem nie uzbrojony, a nawet gdybym miał parę pistoletów albo dwudziestofuntówkę czy też ze stu zabijaków, to Szarzy i tak by nas zgnetli. Nie ma gdzie uciec ani gdzie się schronić. Czy go z przodu, czy z tyłu, sytuacja jest jednakowo zasrana!

–Nie jesteś zmęczony, Anjin-san? – zagadnęła go delikatnie Mariko. – Jeżeli chcesz, to ja pójdę, a ciebie poniosą.

–Dziękuję – odparł cierpko, czując się nieswojo w rzemiennych trepach i tęskniąc za swoimi butami. – Nogi mnie nie bolą. Mam tylko życzenie, żebyśmy bezpiecznie wypłynęli w morze.

–A czy morze w ogóle jest kiedykolwiek bezpieczne?

–Czasem, senhora. Nieczęsto.

Blackthorne zaledwie jej słuchał. Jezu Chryste, myślał, mam nadzieję, że nie zdradzę czymś Toranagi. To byłoby straszne! O ileż łatwiej byłoby mi, gdybym go nie spostrzegł. To był pech, jeden z tych przypadków, które burzą świetnie zaplanowany i przeprowadzony koncept. Staruszka Kiritsubo jest doskonałą aktorką, a ta młoda również. Nie dałem się złapać na ten fortel jedynie dlatego, że nie zrozumiałem, co krzyknęła. To najzwyczajniejszy pech, że zobaczyłem Toranagę tak wyraźnie – umalowanego, w peruce, w kimonie, płaszczu, tak jak Kiritsubo, ale jednak Toranagę.

Przy następnym punkcie kontrolnym kolejny dowódca Szarych podszedł bliżej niż inni, a zasmucone służące ukloniły mu się i zastąpiły mu drogę tak, aby nie wyglądało na to, że ją zastępują. Dowódca straży spojrzał badawczo na Blackthorne'a i odszedł. Po nieufnej, dokładnej kontroli odezwał się do Mariko, która pokręciła przecząco głową i coś mu odpowiedziała. Japończyk mruknął, powrócił do Yabu, zwrócił mu dokumenty i dał ręką znak, że orszak może przejechać.

–Co powiedział? – spytał Blackthorne.

–Ciekaw był, skąd jesteś... gdzie leży twój kraj.

–Ale ty pokręciłaś głową, pani? Na co więc mu odpowiedziałaś?

–Ach, bardzo przepraszam, powiedział... ciekaw był, czy dawni przodkowie twojego ludu są spokrewnieni z kami, z duchem, który zamieszkuje na północy, na krańcach Chin. Aż do niedawna sądziliśmy, że Chiny to jedyny cywilizowany kraj na świecie, oprócz Japonii, nie? Chiny są tak ogromne, że prawie jak cały świat – powiedziała, zamykając temat.

Właściwie to dowódca straży zapytał ją, czy ten barbarzyńca pochodzi od Harimwakairi, kami, który opiekuje się kotami, dodając, że ten z pewnością cuchnie jak tchórz podczas rui, tak jak podobno cuchnie ten kami.

Odpowiedziała, że wątpi w to, wstydząc się w duchu jego grubiaństwa, bo pilot z pewnością nie cuchnął tak jak Tsukku-san, ojciec wizytator czy zwykli barbarzyńcy. Jego zapach był już prawie niewyczuwalny.

Minęli jeszcze jeden punkt kontrolny i skręcili za róg. Przed nimi była ostatnia spuszczana krata, ostatnia brama wjazdowa właściwej twierdzy, a za nią ostatni zwodzony most i ostatnia fosa. Po jej drugiej stronie znajdował się najdalej wysunięty fort. Mnóstwo pochodni czyniło z nocy szkarłatny dzień.

I wtedy z mroku wyłonił się Ishido.

Brązowi dostrzegli go niemal natychmiast. Najeżyli się, smagnięci wrogością. Buntaro niemal z szybkością błyskawicy wyminął Blackthorne'a, chcąc znaleźć się bliżej czoła kolumny.

–Ten drań rwie się do walki – powiedział Blackthorne.

–Tak, senhor? Przepraszam, senhor, co powiedziałaś?

–Tylko to... powiedziałem, że twój mąż zdaje się... zdaje się, że Ishido potrafi bardzo szybko i bardzo mocno rozgniewać twojego męża.

Nie odpowiedziała.

Yabu zatrzymał się. Spokojnie wręczył przepustkę dowódcy przy bramie i podszedł do Ishido.

–Nie spodziewałem się, że zobaczę cię jeszcze raz. Masz bardzo, dobrych strażników – powiedział.(

–Dziękuję – odparł Ishido, przyglądając się Buntaro i zasłoniętej lektyce za jego plecami.

–Jedna kontrola naszego przejazdu powinna wystarczyć – powiedział Buntaro, złowieszczo pobrzękując mieczami. – Najwyżej dwie. Kimże jesteśmy? Oddziałem wojskowym? To zniewaga.

–Nie miałem zamiaru was znieważać, Buntaro-san. Ale z powodu tego mordercy zarządziłem ostrzejsze środki bezpieczeństwa.

Ishido krótko przyjrzał się Blackthorne'owi i jeszcze raz rozważył w myślach: puścić go czy zatrzymać, jak tego chcieli Onoshi i Kiyama. A potem przeniósł wzrok z powrotem na Buntaro. Ty ścierwo, pomyślał. Już niedługo twoja głowa zawiśnie na ćwieku. Jak taka piękność jak Mariko mogła poślubić taką małą jak ty?

Nowy dowódca straży starannie sprawdził wszystkich, upewniając się, że wszystko jest zgodne z listą.

–Wszystko w porządku, Yabu-sama – oznajmił, powróciwszy na czoło kolumny. – Przepustka nie będzie ci już potrzebna, panie. Zatrzymamy ją tutaj.

–Dobrze. – Yabu zwrócił się w stronę Ishido. – Niedługo się zobaczymy.

Ishido wyjął z rękawa zwój pergaminu.

–Chciałem zapytać panią Kiritsubo, czy nie zabrałaby tego z sobą do Edo. Dla mojej siostrzenicy. Przez jakiś czas nie będę mógł wybrać się tam w odwiedziny.

–Naturalnie – powiedział Yabu wyciągając rękę.

–Nie fatyguj się, Yabu-san. Sam ją o to poproszę.

Ishido podszedł do lektyki.

Służące uniżenie wyszły mu naprzeciw. Asa wyciągnęła rękę.

–Może ja wezmę przesyłkę, wielmożny panie. Moja pa...

–Nie.

Ku zaskoczeniu Ishido i wszystkich w pobliżu służące nie zeszły mu z drogi.

–Ale moja pa...

Z drogi! – warknął Ishido, Obie służące cofnęły się pokornie i uniżenie, przestraszone.

Ishido ukłonił się w stronę zasłony.

–Kiritsubo-san, czy byłabyś tak uprzejma i zawiozła ode mnie list do Edo? Do mojej siostrzenicy.

Łkanie jakby ścichło na krótką chwilę, a potem postać w lektyce stanęła głową na znak zgody.

–Dziękuję.

Ishido podsunął cienki zwój pergaminu na cal od zasłon.

Łkanie ustało. Blackthorne zdał sobie sprawę, że Toranaga znalazł się w pułapce. Grzeczność nakazywała, ażeby wziął podany zwój, lecz wówczas zdradziłaby go dłoń.

Wszyscy czekali na jej pojawienie się.

–Kiritsubo-san? Nadal najmniejszego ruchu. I wówczas Ishido zrobił szybki krok. Jednym ruchem rozsunął zasłony, Blackthorne zaś w tej samej chwili wrzasnął i zaczął tańczyć jak szalenciec. Osłupiały Ishido i pozostali zwrócili się natychmiast w jego stronę.

Przez moment za plecami Ishido widać było dokładnie Toranagę. Blackthorne uznał, że z odległości dwudziestu kroków być może można by go wziąć za Kiritsubo, ale w żadnym razie z pięciu, nawet w welonie na twarzy. We wlokącej się wieki sekundzie, nim Toranaga zasunął z powrotem zasłony, Blackthorne spostrzegł, że rozpoznał go Yabu, na pewno rozpoznała Mariko, prawdopodobnie Buntaro, a być może niektórzy z samurajów. Skoczył naprzód, Wyrwał Ishido pergamin, wrzucił go w szczelinę w zasłonach i odwrócił się paplając:

–W moim kraju przynosi pecha, kiedy księżę przekazuje list niczym prosty cham... przynosi pecha...

Wszystko to zdarzyło się tak nieoczekiwanie i tak szybko, że Ishido nie zdążył jeszcze wydobyć miecza, a Blackthorne już giął się przed nim w pokłonach i

podskakiwał niczym szalony diablik z pudełka, ale wyćwiczony odruch Japończyka zatriumfował i jego tnący miecz powędrował ku szyi Anglika.

Rozpaczliwe spojrzenie Blackthorne'a odnalazło Mariko.

–Na miłość boską, pomóż... to pech... pech!!!

Krzyknęła. Ostrze miecza zatrzymało się o włos od szyi Blackthorne. Z ust Mariko posypały się wyjaśnienia tego, co powiedział. Ishido opuścił miecz, przez chwilę słuchał, zakrzyczał ją gwałtownymi słowami, a potem ze wzrastającą furią krzyknął i wierzchem dłoni uderzył Blackthorne'a w twarz.

Blackthorne wpadł w szal. Zacisnął wielkie dłonie w pięści i rzucił się na Ishido...

Gdyby Yabu spóźnił się z zatrzymaniem ręki Ishido z mieczem, głowa Anglika potoczyłaby się po ziemi. W ułamek sekundy później Buntaro chwycił Blackthorne'a, który już zaciskał dłonie na gardle wroga. Od Ishido musiało go odciągnąć czterech Brązowych, a Buntaro ogłuszył go mocnym ciosem w kark. Szarzy skoczyli bronić swojego pana. Ale Brązowi otoczyli Blackthorne'a oraz lektyki i przez chwilę wszyscy zamarli wyczekując. Mariko i służące rozmyślnie zaczęły płakać i zawodzić, powiększając przez to rozgardiasz i odwracając uwagę.

Yabu przystąpił do ułagodzenia Ishido, Mariko wciąż od nowa z wymuszoną histerią powtarzała, że ten szalony barbarzyńca był przekonany, że w ten sposób ratuje Ishido, Wielkiego Wodza, którego uważa za księcia, przed złym kami.

–A poza tym dotykanie czyjejś twarzy jest dla nich najgorszą zniewagą, tak jak u nas, dlatego właśnie wpadł w chwilowy szal – wyjaśniała. – To wprawdzie tylko nierozumny barbarzyńca, ale w swoim kraju jest daimyō i jedynie starał się ci pomóc, panie!

Ishido zareagował gwałtownym potokiem słów i kopnął Blackthorne'a, któremu właśnie wracała przytomność. Blackthorne z wielkim spokojem przysłuchiwał się wrzawie. Odzyskał ostrość wzroku. Szarych z obnażonymi mieczami, którzy go otaczali, było dwadzieścia razy więcej niż Brązowych, ale jak dotąd nikogo nie zabito i wszyscy karnie czekali.

Blackthorne spostrzegł, że wszyscy skupili uwagę na nim. Tym razem jednak wiedział już, że ma sprzymierzeńców.

Ishido ponownie obrócił się ku niemu i zbliżył krzycząc. Blackthorne wyczuł, że ręce trzymających go Brązowych zaciskają się mocniej i uświadomił sobie, że nadchodzi cios, tym razem jednak nie próbował się oswobodzić, jak tego oczekiwali, lecz zaczął osuwać się na ziemię, a potem raptownie się wyprostował się, wyrwał im z obłąkańczym śmiechem i puścił się miotając i wierzgając w marynarski taniec. Brat

Domingo powiedział mu, że w Japonii panuje powszechna wiara, iż szaleństwo ludzi to sprawa kami, dlatego wariaci, podobnie jak wszystkie dzieci i wiekowi starcy, nie odpowiadają za swoje czyny i niekiedy cieszą się specjalnymi przywilejami. Tak więc płaszał szaleńczo, śpiewając przy tym do Mariko: „Pomóż mi... potrzebuję pomocy, na miłość boską... Długo już tak nie wytrzymam... pomóż...” – i odgrywając wariata, gdyż wiedział, że tylko to może ich uratować.

–To szaleniec... obłąkany! – zawołała Mariko, w lot pojmując jego fortel.

–Tak – poparł ją Yabu, wciąż jeszcze nie mogąc dojść do siebie po wstrząsie, jakim był dla niego widok Toranagi, nie całkiem też pewien, czy pilot udaje, czy rzeczywiście zwariował.

Mariko straciła głowę. Nie wiedziała, co robić. Anjin-san uratował pana Toranagę, ale skąd o nim wiedział? – nedorzecznie zadawała sobie raz po raz pytanie.

Jeśli nie liczyć czerwonych pręg po uderzeniach, twarz Blackthorne’a była blada. Tańczył i tańczył zapamiętale, czekając na pomoc, ale nie nadeszła. Wówczas zaś, wymyślając Yabu i Buntaro od psich synów i tchórzy, a Mariko, że jest głupią jędzą, nagle przestał tańczyć, uklonił się Ishido jak niespójna w ruchach marionetka i ni to idąc, ni to tańcząc ruszył w stronę bramy.

–Za mną, za mną! – zawołał, niemal dławiąc się własnym głosem i próbując przewodzić reszcie niczym szczurołap z Hamelin.

Szarzy zastąpili mu drogę. Ryknął w udanym gniewie i władczym gestem nakazał im się usunąć, zaraz potem zanosząc się histerycznym śmiechem.

Ishido chwycił łuk i strzałę. Szarzy rozpierzchli się. Blackthorne był już prawie za bramą. Osaczony, odwrócił się wiedząc, że nie ma sensu uciekać. A potem bezradnie znów zaczął szaleńczy taniec.

–On się wściekł, to wściekły pies! A wściekłe psy trzeba tępić! – oznajmił srogim głosem Ishido. Włożył strzałę do łuku i wycelował.

Mariko w tej samej chwili porzuciła obronną pozycję przy lektyce i ruszyła w stronę Blackthorne’a.

–Bez obawy, panie Ishido! – zawołała. – Nie trzeba się go bać, to chwilowe szaleństwo. Czy wolno mi... – Zbliżywszy się, dostrzegła wyczerpanie pilota, jego zastygły maniakałny uśmiech, i mimo woli przelęknęła się. – Teraz ci mogę pomóc, Anjin-san – powiedziała pośpiesznie. – Musimy postarać się... odejść. Pójdę za tobą. Nie bój się, nie zastrzeli nas. Proszę, przestań tańczyć.

Blackthorne natychmiast przerwał taniec, odwrócił się i bez słowa wszedł na most.

Podążyła o krok za nim, tak jak nakazywał zwyczaj, spodziewając się strzał, słysząc je.

Tysiąc oczu przyglądało się szalonemu olbrzymowi i drobnej kobiecie, jak odchodzą po moście.

Yabu ocknął się z odrętwienia.

–Jeżeli chcesz jego śmierci, pozwól, że cię w tym wyręcę, Ishido-san – powiedział.
– Nie uchodzi, żebyś sam go zabijał. Generałowie nie zabijają własnoręcznie. Powinni to robić za nich inni. – Podeszedł bardzo blisko do Ishido i zniżył głos. – Zostaw go przy życiu. Oszalał po twoim uderzeniu. W swoim kraju jest daimyō i to uderzenie... jest tak, jak mówi Mariko, ne? Wierz mi, on ma dla nas wartość żywy.

–Co?

–Jest więcej wart żywy. Wierz mi. Zabić możesz go w każdej chwili. Potrzebujemy go żywego.

Ishido wyczytał w twarzy Yabu desperację i prawdę. Opuścił łuk.

–Dobrze. Ale kiedyś chcę go dostać żywego. Powieszę go za pięty nad dołem.

Yabu przełknął ślinę i złożył mu półukłon. Nerwowym machnięciem ręki nakazał orszakowi ruszyć, obawiając się, że Ishido przypomni sobie o lektyce i o „Kiritsubo”.

Buntaro, udając szacunek” przejął inicjatywę w swoje ręce i odprawił Brązowych w drogę. Nie dociekał, w jaki sposób Toranaga pojawił się wśród nich czarodziejsko niczym kami, przejęty jedynie tym, że jego pan jest prawie bezbronny i w niebezpieczeństwie. Wprawdzie spostrzegł, że Ishido nie odrywa spojrzenia od Mariko i pilota, lecz mimo to ukłonił mu się uprzejmie, a potem zajął miejsce za lektyką Toranagi, żeby w razie wywiązania się walki chronić swojego pana od strzał.

Pochód zbliżał się do bramy. Yabu ponownie zajął w pojedynkę miejsce na końcu kolumny, jako jej straż tylna. W każdej chwili spodziewał się zatrzymania orszaku. Pomyślał, że część Szarych Z pewnością zobaczyła Toranagę. Jak prędko powiedzą o tym Ishido? – zastanawiał się. Czy Ishido nie przyjdzie do głowy, że i ja przyłożyłem ręki do tej próby ucieczki? Czy nie zniszczy mnie to na zawsze?

W połowie mostu Mariko obejrzała się na chwilę.

–Idą za nami, Anjin-san. Obie lektyki już minęły bramę i są na moście. Blackthorne nie odpowiedział ani się nie odwrócił. Resztkę woli pochłaniał mu wysiłek, by się trzymać prosto. Zgubił sandały, twarz paliła go od uderzenia, a w głowie boleśnie łupało. Ostatni strażnicy przepuścili go przez zwodzony most i dalej. Pozwolili

również przejść bez zatrzymywania Mariko. A potem lektykom.

Blackthorne jako pierwszy zszedł z łagodnego wzniesienia, idąc przez otwartą przestrzeń, a potem przez dalej położony most. Dopiero kiedy znalazł się w zalesionej okolicy, będąc całkowicie niewidoczny z zamku, zważył się z nóg.

–Anjin-san... Anjin-san!

Na wpół przytomny pozwolił, żeby Mariko pomogła mu napić się sake. Eskortowana z przodu i z tyłu przez Szarych kolumna zatrzymała się, a Brązowi otoczyli zasłoniętą lektykę. Buntaro krzyknął coś do jednej ze służących, na co ta natychmiast wydobyła z pakunków któregoś z tragarzy flaszkę. Potem kazał straży przybocznej usunąć wszystkich od lektyki „Kiritsubo-san” i energicznym krokiem podszedł do Mariko.

–Czy pilotowi nic się nie stało? – spytał.

–Nie, nie, myślę, że nie – odparła.

Podszedł do nich Yabu. – Możemy jechać, kapitanie – rzekł swobodnie, chcąc się pozbyć dowódcy Szarych. – Zostawimy paru ludzi Mariko-san. A kiedy barbarzyńca dojdzie do siebie, ona i nasi żołnierze ruszą za nami.

–Z całym szacunkiem, Yabu-san, ale zostaniemy. Polecono mi doprowadzić was wszystkich bezpiecznie do statku. W jednej grupie – odparł dowódca Szarych.

Wszyscy spojrzeli na Blackthorne’a, bo zakrztusił się lekko winem.

–Dziękuję – wycharczał. – Nic już nam nie grozi? Kto jeszcze wie...

–Nic już nam nie grozi! – przerwała mu z rozmysłem Mariko. Odwrócona plecami do kapitana, ostrzegła Blackthorne’a wzrokiem. – Nic ci już nie grozi, Anjin-san, i nie musisz się już niczego obawiać. Rozumiesz? Miałeś jakiś atak. Rozejrzyj się... nic już ci nie grozi!

Blackthorne zrobił, jak mu powiedziała. Zobaczył kapitana Szarych i zrozumiał. Dzięki winu szybko odzyskiwał siły.

–Wybacz, senhora. Zdaje się, że wpadłem w popłoch. Z pewnością się starzeję. Często wpadam w szal, a potem nigdy nie pamiętam, co się działo. Mówienie po portugalsku wyczerpuje, prawda? – spytał, i przeszedł na łacinę. – Rozumiesz, pani?

–Niezawodnie.

–Czy ten język jest „dogodniejszy”?

–Zapewne – odparła z ulgą, iż zrozumiał, że należy zachować ostrożność, nawet rozmawiając po łacinie, która dla Japończyków, oprócz garstki osób w cesarstwie, bez wyjątku wyuczonych przez jezuitów i ściśle związanych ze stanem kapłańskim, była językiem niepojętym i nie do nauczenia. – Oba języki są trudne, każdy niesie

niebezpieczeństwa.

–Komuż jeszcze wiadomo o tych „niebezpieczeństwach”?

–Mojemu mężowi i temu, który nami dowodzi.

–Jesteś pewna, pani?

–Widać to po obu.

Dowódca Szarych poruszył się niespokojnie i powiedział coś do Mariko.

–Pyta, panie, czyś jest nadal niebezpieczny, czy należy ci skrępować ręce i nogi. Odpowiedziałam mu, że twe porażenie już minęło.

–Tak – odparł Blackthorne, powracając do portugalskiego. – Często miewam ataki. Jeżeli ktoś uderzy mnie w twarz, wpadam w szal; Przepraszam. Nigdy nie pamiętam, co się dzieje w ich trakcie. Wola boska.

Zobaczył, że kapitan wpatruje się uważnie w jego usta, i pomyślał: „Mam cię, draniu, założę się, że rozumiesz portugalski”.

Służąca Sono nachyliła głowę, trzymając ją przy zasłonkach.

–Bardzo przepraszam, Mariko-sama – powiedziała – ale pani pyta, czy temu szaleńcowi poprawiło się na tyle, żeby jechać dalej. Pyta, czy mogłabyś mu udostępnić swoją lektykę, bo jest zdania, że aby zdążyć na odpływ, musimy się pośpieszyć. Kłopoty, jakie nam sprawił ten wariat, tylko jeszcze bardziej ją przygnębiły. Ale ponieważ dobrze wie, że tylko bogowie zsyłają na ludzi szaleństwo, pomodli się za jego wyzdrowienie i kiedy tylko znajdziemy się na statku, sama da mu środki, żeby się z tego wyleczył.

Mariko przełożyła te słowa.

–Tak – rzekł Blackthorne. – Czuję się już dobrze. Wstał i zachwiał się. Yabu rzucił komendę.

–Yabu-san mówi, że pojedziesz w lektyce, Anjin-san – oznajmiła Mariko, a kiedy zaczął protestować, uśmiechnęła się. – Ja naprawdę jestem bardzo silna i nie musisz się mną przejmować. Będę szła przy tobie, tak żebyś mógł ze mną rozmawiać, jeśli zechcesz.

Pozwolił, żeby mu pomogli wsiąść do lektyki. Od razu ruszyli w drogę. Kołyszący się chód lektykarzy uspokajał, więc Blackthorne, wyczerpany, ułożył się na wznak. Zaczekał, aż dowódca Szarych pójdzie na czoło kolumny, a potem szeptem ostrzegł

Mariko po łacinie: – Ten centurion rozumie tamten język.

–Tak. Sądzę, że po łacinie trochę też – odparła równie cichym szeptem. Przez chwilę szła w milczeniu. – Z powagą mówię, żeś jest dzielny, panie. Dziękuję ci za uratowanie go.

–Tyś, pani, jest dzielniejsza.

–Nie, to Pan Bóg postawił stopy me na twojej drodze i pozwolił mi być użyteczną. Jeszcze raz ci dziękuję – powiedziała.

–Jesteś dzielna i piękna.

Przez chwilę szła w milczeniu. Nikt dotąd nie nazwał mnie piękną... nikt, pomyślała.

–Nie jestem dzielna i nie jestem piękna. Piękne są miecze, piękny jest honor.

–Piękna jest odwaga, a ty masz jej pod dostatkiem...

Mariko nie odpowiedziała. Przypomniała sobie dzisiejszy ranek, wszystkie niedobre słowa i niedobre myśli. Jak ktoś może być taki dzielny i taki głupi, taki delikatny i taki okrutny, taki serdeczny i taki obmierzły – i to jednocześnie? Anjin-san wykazał nieskończoną dzielność, odciągając uwagę Ishido od lektyki, wcieloną przebiegłość, udając szaleństwo i w ten sposób wybawiając pana Toranagę z pułapki. Jakże mądrze postąpił pan Toranaga organizując taką ucieczkę! Ale bądź ostrożna, Mariko, ostrzegła się. Myśl o swoim panu, a nie o tym cudzoziemcu. Pamiętaj, jakim jest złem, i powstrzymaj tę wilgotną gorącość w swoich łądzwiach, której nigdy dotąd nie czułaś, gorącość, o której mówią kurtyzany i opisują w opowieściach i książkach poduszkowych.

–Tak – przyznała. – Odwaga jest piękna, i to ty masz jej pod dostatkiem. Łacina – dodała, przechodząc z powrotem na portugalski – to taki męczący język.

–Nauczyłaś się jej w szkole?

–Nie, Anjin-san, później. Po ślubie przez dłuższy czas mieszkałam daleko na północy. Jeśli nie liczyć służby i chłopów, to żyłam samotnie, a jedynymi książkami, jakie tam miałam, były portugalskie i łacińskie – trochę gramatycznych i religijnych, no i Pismo Święte. Dzięki nauce języków bardzo szybko mijał mi czas, a ponadto było o czym myśleć. Miałam dużo szczęścia.

–A gdzie był twój mąż?

–Na wojnie.

–Jak długo byłaś sama?

–Mamy takie powiedzenie, że czasu nie mierzy się jedną miarą, że czas może być jak mróz albo jak błyskawica, jak łąza, jak oblężenie, burza, zachód słońca, a nawet jak kamień.

–To mądre powiedzenie – rzekł i po chwili dodał: – Świetnie mówisz po portugalsku, senhora. A po łacinie lepiej ode mnie.

–Schlebiasz mi, Anjin-san!

–Mówię honto!

Honto to dobre słowo. Honto jest, że kiedyś do tej wioski przybył chrześcijański ksiądz. Byliśmy jak dwie zagubione dusze. Pozostał na cztery lata i ogromnie mi pomógł. Cieszę się, że umiem dobrze mówić powiedziała bez zarożumiałości. – Mój ojciec pragnął, żebym się uczyła języków.

–Dlaczego?

–Uważał, że powinniśmy znać diabła, z którym mamy do czynienia.

–Był mądrym człowiekiem.

–Nie, nie mądrym...

–Dlaczego?

–Kiedyś opowiem ci tę historię. Jest smutna.

–Dlaczego byłaś sama aż tak długo?

–Czemu nie odpoczniesz? Przed nami długa droga.

–Chcesz jechać? – spytał i ponownie zaczął się podnosić, ale pokręciła przecząco głową.

–Nie, dziękuję. Zostań, gdzie jesteś, proszę. Spacer jest przyjemny.

–No dobrze. Więc nie masz chęci rozmawiać?

–Jeżeli sprawi ci to przyjemność, możemy rozmawiać. Co chcesz wiedzieć?

–Dlaczego byłaś aż tak długo sama?

–Mój mąż odesłał mnie. Raziła go moja obecność. Miał całkowite prawo tak

postąpić. Sprawił mi zaszczyt, że się ze mną nie rozwiódł. A potem jeszcze większy zaszczyt tym, że przyjął mnie i naszego syna z powrotem. – Mariko spojrzała na Blackthorne’a. – Mój syn ma już piętnaście lat. Jestem doprawdy wiekowa.

–Nie wierzę ci, senhora.

–Honto., A ile miałaś lat wychodząc za męża?

–Jestem wiekowa, Anjin-san. Bardzo wiekowa.

Mamy powiedzenie: „Wiek jest jak mróz, jak obłędzenie albo zachód słońca a czasem nawet jak kamień” – powiedział. Roześmiała się. Wszystko w niej jest takie pełne wdzięku, pomyślał, zauroczony jej powabem.

–Z wiekowością tą, czcigodna pani, jest ci bardzo do twarzy, Żadnej kobiecie nie jest z *mą* do twarzy.

–Jesteś pani równie mądrą, jak piękna.

Nie miał najmniejszych kłopotów z wypowiedzeniem tych łacińskich słów i choć zabraniały one bardziej ceremonialnie i władczo, to przy tym również zażyłej. Uważaj, ostrzegł się.

Nikt jeszcze nigdy nie nazwał mnie piękną, powtórzyła sobie w duchu Mariko. Chciałabym, żeby to była prawda.

–W Japonii nie jest mądrze zwracać uwagę na żonę innego mężczyzny – powiedziała. – Nasze zwyczaje są bardzo surowe. Na przykład, jeżeli mężatka znajdzie się sam na sam z mężczyzną w pokoju za zamkniętymi drzwiami, po prostu gdy są sami i rozmawiają na osobności, to jej mężowi, bratu męża albo jego ojcu przysługuje prawo natychmiastowego uśmiercenia jej. Jeśli dziewczyna jest niezamężna, to jej ojciec zawsze może zrobić z nią, co chce.

–To nie jest prawo sprawiedliwe ani cywilizowane – odparł Blackthorne i natychmiast pożałował tego błędu.

–Uważamy się za w pełni cywilizowanych, Anjin-san. – Mariko była rada, że znów ją uraził, gdyż popsuło to nastrój ich rozmowy i przekreślało jej zażyłość. – Mamy bardzo mądre prawa. Jest o wiele za dużo wolnych i nie związanych z nikim kobiet, żeby mężczyzna zabierał tę, która należy do innego. Na dobrą sprawę prawo to chroni kobiety. Kobieta ma obowiązki wyłącznie względem męża. Okaż cierpliwość, panie, a przekonasz się, jak cywilizowani i światli jesteśmy. Mają swoje miejsce kobiety, mają swoje miejsce mężczyźni. Mężczyźni wolno mieć tylko jedną oficjalną żonę – za to, naturalnie, wiele konkubin – lecz z tego, co mi wiadomo, nasze kobiety cieszą się znacznie większą wolnością niż Hiszpanki i Portugalki. Możemy chodzić

swobodnie, dokąd nam się podoba i kiedy nam się podoba. Jeżeli chcemy, to możemy opuścić swoich mężów, rozwieść się z nimi. Jeżeli chcemy, to od razu możemy odmówić poślubienia kogoś. Do nas należy nasz majątek i dobytek, nasze ciała i dusze. Jeżeli zechcemy, możemy mieć w ręku ogromną władzę. Kto troszczy się o cały twój majątek, o pieniądze, o twój dom?

–Ja, oczywiście.

–A tu o wszystko troszczy się żona. Pieniądze dla samuraja są niczym. Dla prawdziwego mężczyzny są niewarte splunięcia. Ja prowadzę wszystkie sprawy mojego męża. On podejmuje wszystkie decyzje. Ja natomiast spełniam jego życzenia i płacę rachunki. Dzięki temu może swobodnie wypełniać obowiązki wobec swojego pana, poza którymi nie ma żadnych innych. O tak, Anjin-san, musisz wykazać cierpliwość, zanim zaczniesz krytykować.

Nie miałem zamiaru krytykować was, senhora. Cała rzecz w tym, że my wierzymy w świętość ludzkiego życia, w to, że nikt nie może być lekką ręką uśmiercony bez postanowienia sądu. Królewskiego sądu.

Nie pozwoliła się udobruchać.

–Mówisz o wielu sprawach, których nie rozumiem, senhor. Ale czy nie powiedziałaś o prawie „niesprawiedliwym i niecywilizowanym”?

–Tak.

–A to przecież jest krytykowanie, ne? Pan Toranaga polecił zwrócić ci uwagę, że nie uchodzi krytykować bez znajomości rzeczy. Musisz pamiętać, że nasza cywilizacja, nasza kultura liczą tysiące lat. Trzy tysiące z nich są udokumentowane. O tak, jesteśmy starożytnym ludem. Tak starożytnym jak Chińczycy. Ile lat liczy sobie wasza kultura?

–Niewiele, senhora.

–Nasz cesarz, Go-Nijo, jest sto siódmym cesarzem ze swojej nieprzerwanej dynastii, wywodzącej się w prostej linii od Jimmu-tenno, pierwszego mieszkańca Ziemi, który wywodzi się z pięciu pokoleń ziemskich duchów, a te z siedmiu pokoleń duchów niebiańskich pochodzących od Kuni-toko-tachi-no-Mikoto, pierwszego ducha, który pojawił się, kiedy Ziemia oddzieliła się od Nieba. Nawet Chiny nie mogą się pochwalić taką historią. Od ilu pokoleń wasi królowie władają waszym krajem?

–Nasza królowa jest trzecia z linii Tudorów, senhora. Ale jest już stara i bezdzietna, a więc ostatnia z rodu.

–Sto siedem pokoleń, Anjin-san, sięgających aż do bogów – powtórzyła z dumą.

Skoro w to wierzysz, senhora, jak możesz uważać siebie za katoliczkę?, Zobaczył jej zachnięcie, a potem wzruszenie ramionami.

–Chrześcijką jestem od dziesięciu lat, a zatem nowicjuską, więc chociaż wierzę w chrześcijańskiego Boga, w Boga Ojca, Syna i Świętego Ducha całym sercem, to nasz cesarz wywodzi się w prostej linii Od bogów albo Boga. Jest wiele rzeczy, których nie umiem wyjaśnić ani pojąć. Ale boskość naszego cesarza jest niepodważalna. Tak, jestem chrześcijką, ale przede wszystkim jestem Japonką.

Czy to jest klucz do was wszystkich? Że przede wszystkim jesteście Japończykami? – zastanawiał się Blackthorne. Przyglądał się jej zdumiony tym, co usłyszał. Ich zwyczaje są nedorzeczne! – pomyślał. Dla prawdziwego mężczyzny pieniądze nie znaczą nic? To wyjaśnia, dlaczego podczas pierwszego spotkania Toranaga tak pogardliwie zareagował, gdy o nich wspomniałem. Sto siedem pokoleń? Niemożliwe! Natychmiastowa śmierć za całkiem niewinne przebywanie w zamkniętym pokoju z kobietą? To barbarzyństwo, jawna zachęta do morderstwa. Oni zalecają i popierają mordy! Czyż nie tak powiedział Rodrigues? To właśnie zrobił Omi. Czyż po prostu nie zamordował tego wieśniaka? Rany boskie, od wielu dni nie myślałem, o Omim. Ani o tamtej wiosce. A także o piwnicy i o klęczeniu przed nim. Zostaw go, słuchaj jej, bądź cierpliwy, tak jak ci radzi, wypytuj ją, bo to ona dostarczy ci środków, dzięki którym przekonasz Toranagę do swojego planu. Toranaga niewątpliwie stał się teraz twoim dłużnikiem. Ocaliłeś go. On wie o tym, wszyscy wiedzą. Czyż Mariko nie podziękowała ci? Nie za uratowanie siebie, tylko jego.

Kolumna podążała przez miasto, kierując się w stronę morza. Zobaczył, że Yabu utrzymuje tempo marszu, i na chwilę w głowie znów rozbrzmiały mu wrzaski Pieterzoona.

–Nie wszystko naraz – mruknął pod nosem.

–Tak – mówiła właśnie Mariko. – Na pewno jest ci bardzo trudno. Nasz świat jest taki inny od waszego. Taki inny, ale tak mądrze urządzone. – W lektyce przed nimi dojrzała niewyraźną postać Tora-nagi i jeszcze raz podziękowała Bogu za jego ucieczkę. Jak wyjaśnić barbarzyńcy, kim jesteśmy, i jak pochwalić go za męstwo? Toranaga polecił udzielać mu wyjaśnień, ale jak? – Pozwól, że opowiem ci pewną historię, Anjin-san – powiedziała. – Kiedy byłam młoda, mój ojciec służył jako generał u daimyō Gorody. W owych czasach pan Goroda nie był jeszcze Wielkim Dyktatorem, ale daimyō, feudałem walczącym o władzę. Mój ojciec zaprosił Gorodę i jego najmożniejszych wasali na ucztę. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że nie ma pieniędzy na zakup całego jadła, sake, naczyń z laki i tatami, jakich zwyczajowo wymaga taka wizyta. Nie myśl tylko, że moja matka źle zarządzała domem, bo-tak nie było. Każdy najmniejszy pieniążek z dochodów ojca szedł na jego podwładnych samurajów i chociaż wystarczało to na utrzymanie czterech tysięcy wojowników, to matka skąpiąc, oszczędzając i umiejętnie obracając pieniędzmi dokazywała tego, że

ojciec mógł prowadzić do bitwy na chwałę naszego pana pięć tysięcy trzystu żołnierzy. Nam, rodzinie – matce, konkubinom ojca, moim braciom i siostram – ledwie starczało na jedzenie. Ale czy to się liczyło? Ojciec i jego żołnierze mieli najlepszą broń, najlepsze konie i nie szczydzili sił dla swojego pana... Tak, brakło pieniędzy na tę ucztę, dlatego moja matka wybrała się do perukarzy w Kioto i sprzedała im swoje włosy. Pamiętam, że były jak ciemna rzeka i sięgały jej aż do początku pleców. Alę sprzedała je. Perukarze obcięli je tego samego dnia i dali matce tanią perukę, ona zaś kupiła wszystko co trzeba i ocaliła honor mojego ojca. Jej obowiązkiem było zapłacić rachunki, więc je zapłaciła. Wypełniła swój obowiązek. Dla nas obowiązek jest najważniejszy.

–Co on powiedział, co powiedział twój ojciec, kiedy się o tym dowiedział?

–A co mógł innego powiedzieć, jak tylko podziękować jej? Miała obowiązek zdobyć pieniądze. Ocalić jego honor.

–Z pewnością bardzo go kochała.

–Miłość to słowo chrześcijańskie, Anjin-san. Miłość to pojęcie chrześcijańskie, chrześcijański ideał. My nie znamy słowa „miłość” w takim znaczeniu, jakie nadajecie mu wy. Obowiązek, lojalność, honor, szacunek, pożądanie – oto jakie słowa i pojęcia mamy i żadnych więcej nam nie potrzeba.

–Spojrzała na niego i znów wbrew woli przeżyła chwilę, kiedy pilot uratował pana Toranagę, a tym samym jej męża. Pamiętaj zawsze, powiedziała sobie, że obaj byli w pułapce i gdyby nie ten człowiek, to już by nie żyli., Upewniła się, że nikogo nie ma w pobliżu, Dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś? – zapytała.

–Nie wiem. Może dlatego... – Blackthorne urwał. Tak wiele mógłby jej powiedzieć: „Może dlatego, że Toranaga był bezradny, a ja nie chciałem zostać posiekany na kawałki... Dlatego, że gdyby go odkryto, wszyscy byśmy wpadli... Ponieważ byłem świadom, że wiem o tym tylko ja i sam podjąłem ryzyko... Dlatego że nie chciałem umierać... za dużo jest do zrobienia, żeby marnować życie, a tylko jeden Toranaga może mi zwrócić statek i wolność”. Zamiast tego jednak odparł po łacinie: – Dlatego, że Pan Bóg przykazał oddać cesarzowi co cesarskie.

Zbliżyli się już do morza i mieli do niego pół mili. Blackthorne widział różne statki i portugalską fregatę z zapalonymi światłami kotwicznymi. Niezła zdobycz, pomyślał. Mając dwudziestu zawadiaków wziąłbym ją. Odwrócił się jeszcze raz w stronę Mariko. Dziwna kobieta z dziwnej rodziny. Dlaczego zraziła do siebie Buntaro, tego pawiana? Jak mogła kogoś takiego poślubić, z kimś takim spać? Co to za „smutna historia”?

–Senhora – odezwał się, zachowując delikatny ton – twoja matka była z pewnością

niezwykłą kobietą, skoro się na coś takiego zdobyła.

–Tak. Ale dzięki temu, co zrobiła, będzie żyć wiecznie. Przeszła do legendy. Była samurajką... podobnie jak mój ojciec był samurajem.

–Myślałem, że samurajami są tylko mężczyźni.

–G, nie, Anjin-san. Mężczyźni i kobiety są na równi samurajami, wojownikami i mają obowiązki wobec swoich panów. Moja matka była prawdziwą samurajką, a jej poczucie obowiązku wobec męża prześcignęło wszystko.

–Czy mieszka z tobą?

–Nie. Ani ona, ani mój ojciec, ani bracia, ani siostry, ani nikt z rodziny. Jestem ostatnia z mojego rodu.

–Wydarzyła się jakaś katastrofa? – Mariko nagle ogarnęło zniechęcenie. – Dość mam mówienia po łacinie i tym wstrętnie brzmiącym portugalskim, dość mam roli nauczycielki, powiedziała w duchu. Nie jestem nią. Jestem wyłącznie kobietą, która zna swoje obowiązki i chce je spokojnie wypełniać. Nie chcę więcej podobnej zażyłości i dotrzymywania towarzystwa mężczyźnie, który tak bardzo wytrąca mnie z równowagi. W ogóle nie chcę mieć z nim do czynienia.

–W pewnym sensie to była katastrofa, Anjin-san – odparła. – Kiedyś ci o tym opowiem.

Trochę przyśpieszyła kroku i odeszła, zbliżając się do drugiej lektyki. Dwie służące uśmiechnęły się do niej nerwowo.

–Daleko jeszcze, Mariko-san? – spytała Sono.

–Mam nadzieję, że już niedaleko – pocieszyła ją.

Nagle z mroku po drugiej stronie lektyki wyłonił się dowódca Szarych. Zastanawiała się, ile podsłuchał z jej rozmowy z pilotem.

–Dać ci kagę, Mariko-san? Nie zmęczyłaś się? – spytał.

–Nie, nie, dziękuję. – Celowo zwolniła kroku, odciągając go od lektyki Toranagi. – Wcale się nie zmęczyłam.

–Czy ten barbarzyńca zachowuje się właściwie? Nie sprawia ci kłopotu?

–Och, nie. Już chyba całkiem ochłonął.

–O czym rozmawialiście?

O rozmaitych rzeczach. Próbowałam objaśnić mu niektóre z naszych praw i obyczajów. – Pokazała ręką za siebie, na zamkową wieżę, rysującą się wyraźnie na tle nieba. – Pan Toranaga prosił mnie, żebym postarała się trochę go oświecić...

–Ach tak, pan Toranaga. – Dowódca obrzucił wzrokiem zamek, a potem jeszcze raz Blackthorne'a. – Dlaczego pan Toranaga tak się nim interesuje;, pani?

–Nie wiem. Przypuszczam, że z powodu jego niezwykłości.

Skręcili za róg w następną ulicę z domami w ogrodach otoczonych murami. Ludzi było tu niewielu. Dalej rozciągały się nabrzeża i morze. Ponad zabudowaniami wyrastały maszty, a powietrze było przesycone wonią wodorostów.

–O czym rozmawialiście?

–Barbarzyńcy mają bardzo dziwne wyobrażenia. Bez przerwy myślą o pieniądzach.

–Powiadają, że cały ich naród to sami plugawi handlarze i piraci. Nie ma wśród nich samurajów. Co chce z nim zrobić pan Toranaga?

–Bardzo mi przykro, ale nie wiem.

–Powiadają, że to chrześcijanin, że podaje się za chrześcijanina. Jest nim?

–Jest, ale nie takim, jak my, kapitanie. Jesteś, – panie, chrześcijaninem? Chrześcijaninem jest mój pan, więc ja również. Moim panem jest pan Kiyama.

–Mam zaszczyt dobrze go znać. Wyświadczył honor mojemu mężowi, zaręczając jedną ze swoich wnuczek z moim synem.

–Tak, Wiem, pani Toda...

–Czy pan Kiyama czuje się już lepiej? Podobno lekarze zabronili mu widywać się z kimkolwiek.

–Nie widziałem go od tygodnia. Nikt z nas go nie widział. Może cierpi na chiński przymiot. Boże, uchronij go od tego i ukarż wszystkich Chińczyków! – Kapitan utkwił wzrok w Blackthornie. – Lekarze mówią, że to ci barbarzyńcy przywieźli ową zarazę do Chin, do Makau, a stamtąd do naszych wybrzeży.

–Sumus omnes in manu Dei – powiedziała. „Wszyscyśmy w rękach Boga”.

–lita, amen – odparł bezwiednie kapitan, wpadając w zastawioną pułapkę.

Wpadka ta nie uszła uwagi Blackthorne'a, ujrzał błysk gniewu na twarzy Japończyka i usłyszał, jak cedzi coś przez zęby do Mariko, która zaczerwieniła się i

też zatrzymała. Blackthorne wy dostał się z lektyki i cofnąwszy się zbliżył do nich.

–Jeśli władasz łaciną, centurionie, to może wyświadcysz mi grzeczność i porozmawiasz trochę ze mną – rzekł. – Z wielką chęcią usłyszę o twoim wielkim kraju.

–Tak, cudzoziemcze, umiem się wysłowić w twoim języku.

–To nie jest mój język, centurionie, lecz kościelny, także język wszystkich wykształconych ludzi na świecie... Dobrze nim mówisz. Jak i kiedy się go nauczyłeś?

Przyglądali się im wszyscy samuraje z mijającego ich orszaku, tak Szarzy, jak Brązowi. Idący przy lektyce Toranagi Buntaro zatrzymał się i obejrzał. Kapitan stał przez chwilę niezdecydowany, po czym znowu ruszył. Mariko była zadowolona, że podszedł do nich Blackthorne. Przez moment szli w milczeniu.

–Centurion płynnie, wspaniale mówi tym językiem, prawda? – Blackthorne zagadnął Mariko., Tak, w samej rzeczy. Czy łaciny nauczyłeś się w seminarium, centurionie?

–Ty też mówisz wspaniale, cudzoziemcze – odparł chłodno kapitan, puszczając mimo uszu pytanie Mariko i ze wstrętem przypominając sobie seminarium w Makau, do którego jako dziecku kazał mu wstąpić Kiyama, żeby uczył się języków. – Skoro już możemy rozmawiać bezpośrednio, to odpowiedz mi wprost, czemuś zadał tej damie pytanie: „Kto jeszcze wie?...” Kto jeszcze wie o czym?

–Nie przypominam sobie. Mówiłem od rzeczy.

–Aha, a więc od rzeczy? Więc czemuś powiedział „co cesarskie cesarzowi”?

–To był zwykły żart. Rozprawiałem z tą damą, która opowiada pouczające historie, czasem bardzo trudne do zrozumienia.

–Tak, wiele jest do zrozumienia. Co cię tak rozwścieczyło tam przy bramie? I dlaczegoś tak szybko doszedł do siebie po tym ataku?

–Bóg się nade mną zlitował.

Znowu szli koło lektyki, kapitan był rozgniewany, że tak łatwo dał się schwytać w pułapkę. Jego władca, pan Kiyama, ostrzegł go przed bezgraniczną przebiegłością tej kobiety. „Pamiętaj, że przez całe życie chodzi z piętnem zdrady, a ten pirat to diabelski pomiot Szatana. Patrz, słuchaj i zapamiętuj. Może sama się zdradzi i stanie się dodatkowym świadkiem oskarżenia przeciwko Toranadze, zeznając na korzyść regentów. Zabij pirata w chwili, gdy wpadną w zasadzkę”.

I wtedy z wieczornego mroku wyleciały strzały. Pierwsza z nich przeszła gardło

kapitana, a kiedy czuł, jak w piersiach rozlewa mu się ogień i dławi go śmierć, jego ostatnią myślą było zdziwienie, ponieważ zasadzkę miano zastawić nie tutaj, na tej ulicy, tylko dalej, przy nabrzeżach, i zaatakować nie jego, lecz pirata.

Następna strzała wbiła się w słupek lektyki o cal od głowy Blackthorne'a. Dwie strzały przebiły przednią zasłonę palankinu Kiritsubo, a kolejna ugodziła w brzuch służącą Asę. Na krzyk dziewczyny tragarze upuścili lektyki i wzięli nogi za pas, znikając w ciemnościach. Blackthorne przeokoziółkował w poszukiwaniu schronienia, pociągnął z sobą Mariko, kryjąc się za przewróconą lektyką” a Szarzy i Brązowi rozpięchli się. Na obie lektyki spadł grad strzał. Jedna z głuchym odgłosem wbiła się w ziemię tam, gdzie przed chwilą stała Mariko. Buntaro jak tylko mógł osłaniał ciałem palankin Toranagi, a w jego składającej się z kolczugi, skóry i bambusa zbroi utkwiała strzała. Kiedy zaś deszcz strzał ustał, skoczył do zasłon i gwałtownie je rozsunał. W piersi Toranagi sterczały dwie strzały, ale nie wyrządziły mu krzywdy. Wyszarpnął ich zadziory z okrywającej go zbroi, którą nosił pod kimonem, a potem zdał z głowy szeroki kapelusz i perukę. Buntaro rozejrzał się w mroku, wypatrując wrogów baczny, ze strzałą w łuku, a Toranaga wyplątał się z zasłon, wyciągnął spod narzuty miecz i poderwał się na nogi. Mariko zaczęła czołgać się, chcąc mu przyjść z pomocą, ale Blackthorne przyciągnął ją z powrotem do siebie, ostrzegając krzykiem, bo na lektyki z obu stron ulicy znów posypały się strzały, które zabiły dwóch Brązowych i Szarego. Jedna przeszła tak blisko Blackthorne'a, że otarła mu skórę na policzku. Inna przygwoździła mu skraj kimona do ziemi. Służąca Sono klęczała przy wijącej się na ziemi rannej Asie, która mężnie powstrzymywała się od krzyku. W tym momencie Yabu wskazał ręką i zaatakował. Na krytym dachówką dachu majaczyły jakieś postacie. Z ciemności wyleciał ze świstem ostatni grad strzał, jak poprzednie wymierzonych w lektyki, a Buntaro wraz z innymi Brązowymi zagrodzili im dostęp do Toranagi. Jeden samuraj zginął. Buntaro mruknął z bólu, gdyż strzała trafiła dokładnie w szczelinę w jego naramienniku. Yabu, Brązowi i Szarzy, którzy puścili się w pogoń, dopadli ściany domu, ale napastnicy zniknęli już w ciemnościach. Wprawdzie tuzin Brązowych i Szarych popędził do rogu ulicy, żeby im odciąć drogę, jednak wszyscy zdawali sobie sprawę, że to nic nie da. Blackthorne podniósł się i pomógł wstać Mariko. Była roztrzęsiona, ale nic się jej nie stało.

–Dziękuję – powiedziała i pobiegła do Toranagi, chcąc dopomóc w ukryciu go przed Szarymi.

Buntaro krzychał do swoich samurajów, żeby zgasili pochodnie koło lektyk. I wówczas jeden z Szarych powiedział „Toranaga!”, co prawda cicho, lecz usłyszeli go wszyscy.

W migotliwym świetle pochodni pokryta makijażem, rozmazana od smug potu twarz Toranagi wyglądała groteskowo.

Jeden z oficerów Szarych uklonił mu się pośpiesznie. Nie do wiary, ale oto stał

przed nim, na wolności i poza murami zamku, wróg jego pana!

–Zaczekasz tutaj, panie Toranaga. A ty zameldujesz się natychmiast u pana Ishido – wydał rozkaz jednemu ze swoich podwładnych, który zaraz potem puścił się biegiem.

–Zatrzymaj go – rzekł cicho Toranaga.

Buntaro wypuścił dwie strzały. Goniec upadł i skonał. Oficer błyskawicznie wyciągnął oburęczny miecz i z bojowym okrzykiem rzucił się na Toranagę, ale przygotowany na to Buntaro odparował cios. Przemieszani ze sobą Brązowi i Szarzy jednocześnie wydobyli miecze i odskoczyli na wolną przestrzeń. Ulica zakłębiła się od walczących. Buntaro i oficer Szarych okazali się przeciwnikami godnymi siebie, robiąc finty i zadając cięcia. Nagle z roju walczących wyrwał się jakiś Szary i zaatakował Toranagę, lecz Mariko błyskawicznie chwyciła pochodnię, podbiegła i dźgnęła nią napastnika w twarz. Buntaro przeciął walczącego z nim samuraja na pół, okręcił się, przeciął następnego i jeszcze jednego, który zamierzał dopaść Toranagę. Równocześnie Mariko z wyciągniętym mieczem w ręku uskoczyła w bok, nawet na chwilę nie spuszczając z oczu Toranagi i jego straszliwego przybocznego adiutanta.

Czterej Szarzy zgrupowali się i razem ruszyli na Blackthorne'a, który w dalszym ciągu tkwił przy lektyce. Bezradnie patrzył, jak się zbliżają. Yabu z jakimś Brązowym, zaciekle walcząc, rzucili się mu na odsiecz. Blackthorne odskoczył, chwycił pochodnię i kręcąc nią niczym buzdyganem chwilowo wybił napastników z konceptu. Yabu zabił jednego z nich, drugiego okaleczył i w tej chwili nadbiegło czterech Brązowych, by rozprawić się z pozostałymi dwoma Szarymi. Yabu z rannym Brązowym ponowili atak, chroniąc Toranagę. Blackthorne pobiegł naprzód, podniósł z ziemi długi ni to miecz ni włócznię i pędem wrócił w pobliże Toranagi. W trakcie całej tej głośnej potyczki jedynie Toranaga stał nieporuszony, z mieczem w pochwie.

Szarzy walczyli dzielnie. Czterech ruszyło do samobójczej szarży na Toranagę. Przeszkodzili im w tym Brązowi i wzięli nad nimi górę. Szarzy przegrupowali się i zaatakowali jeszcze raz. A potem ich dowódca, rozkazał trzem z nich wycofać się po pomoc, reszcie zaś osłaniać ich odwrót. Trzej Szarzy umknęli co tchu w piersiach i chociaż ruszono w pogoń, a Buntaro jednego zastrzelił, to dwóch uciekło.

Pozostali zginęli.

Posuwali się spiesznie przez wymarłe boczne ulice, okrężną trasą zdążając do nabrzeża i galery. Było ich dziesięcioro – prowadził Toranaga, a za nim szli Yabu, Mariko, Blackthorne i sześciu samurajów. Reszta pod dowództwem Buntaro została wysłana wraz z lektykami i bagażami zaplanowaną trasą z poleceniem, żeby bez pośpiechu zdążali w stronę statku. W jednej z lektyk znajdowały się zwłoki służącej Asy. Podczas chwilowej przerwy w trakcie potyczki Blackthorne wyciągnął jej z ciała strzałę z zadziorem. Toranaga ujrzał ciemną krew, która buchnęła w chwilę później z rany, i ze zdziwieniem patrzył, jak pilot przytula dziewczynę, zamiast pozwolić jej na spokojną, godną śmierć na osobności, a potem, po ustaniu walk, delikatnie układa ją w lektyce. Służąca była dzielna i w ogóle nie jęczała, tylko wpatrywała się w niego aż do chwili śmierci. Toranaga pozostawił ją w zasłoniętej lektyce na przynętę, w drugiej zaś, również jako przynętę, umieszczono któregoś z rannych.

Z pięćdziesięciu Brązowych tworzących eskortę zginęło piętnastu, a jedenastu odniosło śmiertelne rany. Jedenastka ta prędko i zaszczycie przeniosła się do Wielkiej Pustki, trzech zrobiło to własnoręcznie, ośmiu pomógł w tym na ich prośbę Buntaro. Załatwiwszy to Buntaro zebrał resztę wokół zasłoniętych lektyk i ruszyli. Na ziemi pozostało czterdziestu ośmiu Szarych.

Toranaga zdawał sobie sprawę, jak bardzo narażony jest na atak, ale był zadowolony. Jeśli zważyć zmienność sytuacji, wszystko poszło dobrze, pomyślał. Jakże ciekawe jest życie! Z początku uznałem za zły omen to, że pilot zauważył, jak zamieniam się miejscami z Kiri. Ale potem uratował mnie, doskonale odegrałszy szaleńca, i to dzięki niemu uciekliśmy Ishido. Uwzględniłem w planach zjawienie się Ishido na dziedzińcu, ale nie przy głównej bramie. Była to nierozwaga z mojej strony. Dlaczego on się tam pojawił? Taka ostrożność jest do niego niepodobna. Kto mu doradzał? Kiyama? Onoshi? A może Yodoko? Kobieta, z gruntu praktyczna, byłaby... mogłaby podejrzewać taki fortel.

Plan ten – naglej, potajemnej ucieczki – był dobry i powziął go przed wieloma tygodniami, gdyż było oczywiste, że Ishido będzie dążył do uwięzienia go w zamku, nastawi przeciwko niemu pozostałych regentów jakimikolwiek obietnicami, chętnie poświęci zakładniczkę w Edo, panią Ochibę, i zrobi wszystko, byleby tylko zatrzymać go pod strażą aż do ostatecznej narady regentów, podczas której nie dadzą mu wyjścia, oskarżą o zdradę i zgładzą.

–Ale przecież oni i tak cię oskarżą! – powiedział Hiro-matsu wczoraj wieczorem tuż po zmierzchu, kiedy Toranaga wezwał go, by wyjaśnić mu, co się szykuje i dlaczego wahał się z decyzją. – Nawet jeżeli uciekniesz, to regenci oskarżą cię za twoimi plecami równie łatwo, jak w twojej obecności. Tak więc będziesz musiał popełnić seppuku, kiedy ci rozkażą, a rozkażą ci to zrobić na pewno.

–Tak – przyznał mu. – Gdyby czterech regentów głosowało przeciwko mnie, to jako przewodniczący Rady byłbym do tego zmuszony. Ale tu... – wydobyl z rękawa zwinięty pergamin – tu jest moja oficjalna rezygnacja z członkostwa w Radzie. Oddasz ją Ishido, kiedy moja ucieczka się wyda.

–Co takiego?

–Jeżeli rezygnuję, to przestaje mnie obowiązywać przysięga regencka. Ne? Taikō przecież nigdy nie zabraniał mi zrezygnować, ne? To również oddasz Ishido.

Wręczył Hiro-matsu stempel, urzędową pieczęć przewodniczącego Rady.

–W ten sposób zostajesz całkiem sam. Jesteś zgubiony!

Mylisz się! Posłuchaj, taikō w testamencie powierzył władzę pięciu regentom. Ale pozostanie tylko czterech. Żeby być w zgodzie z prawem, tych czterech, zanim będzie mogło skorzystać z mandatu cesarskiego, musi wybrać albo mianować piątego, nowego członka Rady, ne? Ishido, Kiyama, Onoshi i Sugiyama muszą się ze sobą zgodzić, ne? Czyż nowy regent nie musi być zaakceptowany przez nich wszystkich? Oczywiście, że tak! A więc, stary druhu, z kim że to ci wrogowie zgodzą się podzielić najwyższą władzą? No? Kiedy zaś będą się kłócili, żadne decyzje nie zapadną, a...

–A my będziemy przygotowywać się do boju, ty nie będziesz miał dłużej związanych rąk, tu kapniesz trochę miodu, ówdzie żółci, te hemoroidalne srajdupce zaś pożrą się nawzajem! – dopowiedział prędko Hiro-matsu. – Och, Yoshi Toranaga-no-Minowara, tyś jest mąż nad męża! Niechże zjem własny tyłek, jeśliś nie jest najmądrzejszym człowiekiem w tym kraju, panie!

Tak, plan był dobry, pomyślał Toranaga, i wszyscy dobrze odegrali swoje role: Hiro-matsu, Kiri i moja miła Sazuko. A teraz siedzą zamknięci na cztery spusty i tak już pozostanie, chyba że pozwolą im wyjechać. Sądzę jednak, że nigdy nie pozwolą.

Szkoda byłoby mi ich utracić.

Z trudem oderwał wzrok od zamku, skręcił za jeszcze jeden róg i prędkim krokiem wszedł w labirynt uliczek. Po jakimś czasie zatrzymał się przed wysłużoną bramą. Na jej deskach wyryto rybę. Zapukał umówionym szyfrem. Drzwi otworzyły się od razu.

–Tak, wielmożny panie? – powitał go natychmiast z ukłonem niechlujny samuraj.

–Weź swoich ludzi i idźcie za mną – polecił Toranaga i ruszył.

–Z ochotą.

Samuraj ów nie nosił mundurowego kimona Brązowych, a tylko nie pasujące do siebie łachy ronina, był wszakże członkiem doborowej elity tajnych oddziałów, które Toranaga przemycił do Osaki na wypadek nagłej potrzeby. Piętnastu ludzi, podobnie odzianych i jednakowo świetnie uzbrojonych, podążyło za nim i szybko zajęło miejsca, tworząc przednią i tylną straż, inni zaś rozbiegli się, żeby zaalarmować resztę tajnej kadry Toranagi. Wkrótce znalazło się przy nim pięćdziesięciu wojowników. Dalszych stu osłaniało go na flankach. Jeszcze tysiąc byłoby gotowych, w razie potrzeby, o świcie. Uspokoił się i zwolnił kroku wyczuwając, że pilot i Mariko zbyt szybko się męczą. A byli mu potrzebni w pełni sił.

Toranaga stał w cieniu składu handlowego, uważnie przypatrując się galerze, nabrzeżu i podwodziu. Towarzyszyli mu Yabu i samuraje. Pozostali, zbici w gromadkę, czekali sto kroków dalej w uliczce.

Kilkaset kroków od niego, na drugim końcu pasa ubitej ziemi, co wykluczało atak z zaskoczenia, przy trapie na galerę warował oddział złożony ze stu Szarych. Galera cumowała obok przy wspornikach wpuszczonych w kamienne nabrzeże, które wychodziło sto jardów w morze. Wiosła na niej spoczywały porządnie w dulkach, a na pokładzie majaczyły liczne postacie marynarzy i wojowników.

–To nasi samuraje czy ich? – spytał cicho Toranaga.

–Za daleko, żeby mieć pewność – odparł Yabu.

Woda była wysoka. Za galerą dopływały do brzegu i odpływały nocne łodzie rybackie z zapalonymi latarniami, które były pomocne przy łowieniu ryb i służyły jako światła kotwiczne. Na wybrzeżu po północnej stronie stały szeregiem wyciągnięte na brzeg rozmaitych rozmiarów łodzie, przy których krzatali się rybacy. Pięćset kroków na południe, przy jeszcze jednym kamiennym nabrzeżu cumowała portugalska fregata Santa Theresa. Grupki tragarzy pracowicie wносиły na nią w świetle pochodni beczki i bele. W pobliżu koczowała niedbale inna duża grupa Szarych. Nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ wszyscy Portugalczycy i wszystkie zagraniczne statki w porcie znajdowały się na mocy prawa pod stałą obserwacją. Portugalskie jednostki wpływały i wypływały swobodnie tylko z portu w Nagasaki.

Gdyby jeszcze bardziej zaostrzyć środki bezpieczeństwa, spokojniej spalibyśmy wszyscy w nocy, pomyślał Toranaga. Ale czy po skrępowaniu ich handlu nadal rozwijałaby się nasza wymiana handlowa z Chinami?

Oto pułapka, w którą pochwycili nas Południowi Barbarzyńcy i z której nie ma wyjścia w sytuacji, kiedy na Kiusiu rządzą chrześcijańscy daimyō, a księża są niezbędni. Najlepiej postępować tak jak taikō. Pójść wobec barbarzyńców na małe ustępstwo, potem zaś udać, że im się to odbiera, i spróbować ich nastraszyć wiedząc, że bez handlu z Chinami nie da się żyć.

–Za twoim pozwoleniem, panie, ja zaatakowałbym natychmiast – szepnął samuraj Toranagi.

–Nie radziłbym tego – powiedział Yabu. – Nie wiemy, czy na pokładzie są nasi. A poza tym tutaj dookoła może być ukrytych tysiąc ludzi. Tamci – wskazał na Szarych przy portugalskim statku – podnieśliby alarm. Za nic nie zdołalibyśmy dostać się na galerę i odpłynąć, bo zdążyliby nas zatrzymać. Potrzebowalibyśmy dziesięć razy

więcej ludzi niż mamy.

–General Ishido wkrótce się o nas dowie – rzekł samuraj. – A wtedy cała Osaka zaroi się od takiej masy naszych wrogów, że będzie ich więcej niż much na polu walki tuż po bitwie. Z tymi na flankach mam stu pięćdziesięciu ludzi, To wystarczy.

–Nie dla zapewnienia bezpieczeństwa. Nie wystarczy, jeżeli nasi żeglarze nie są gotowi przy wiosłach. Lepiej w jakiś sposób odwrócić ich uwagę, odciągając stamtąd tych Szarych oraz wszystkich, którzy siedzą w ukryciu. I tamtych.

Yabu wskazał na samurajów przy fregacie.

–Co mogłoby odwrócić ich uwagę? – spytał Toranaga.

–Pożar tej ulicy.

–To niemożliwe! – zaprotestował osłupiały samuraj. Podpalenie było przestępstwem karanym publicznym spaleniem całej rodziny winowajcy, wszystkich jej pokoleń. Prawo karało je jak najsurowiej, ponieważ ogień był największym zagrożeniem dla każdej wioski, miasteczka i miasta w cesarstwie. Z wyjątkiem dachówek na niektórych domach siedziby Japończyków wykonane były całkowicie z drewna i papieru. Każdy dom, każdy skład towarów, każda szopa i każdy pałac były niczym hubka i krzesiwo. – Nie wolno nam podpalić tej ulicy!

–Co jest ważniejsze: zniszczenie kilku ulic czy śmierć naszego pana? – zadał pytanie Yabu.

–Ten pożar się rozszerzy, Yabu-san. Nie wolno nam spalić Osaki. Tu mieszka milion ludzi... więcej!

–Czy to jest twoja odpowiedź na moje pytanie?

–Wielmożny panie – zwrócił się pobladły samuraj do Toranagi – wypełnię każdy twój rozkaz. Czy chcesz, żebym to zrobił?

Toranaga popatrzał na Yabu.

Daimyō z lekceważeniem wskazał kciukiem na miasto.

–Dwa lata temu połowa tego miasta poszła z dymem i spójrzcie, jak dzisiaj wygląda. Pięć lat temu był tu Wielki Pożar. Ile setek tysięcy straciło wtedy życie? A poza tym, czy to ważne? Przecież tam mieszkają tylko sklepikarze, kupcy, rzemieślnicy i eta. Osaka to nie chłopska wioska.

Toranaga przez jakiś czas oceniał wiatr. Uznał, że jest lekki i że nie roznieci pożaru.

Być może. Ale pożar zbyt łatwo mógł się przemienić w płonące piekło, które pochłonie całe miasto. Z wyjątkiem zamku. Och, gdyby tak pożar strawił tylko zamek, nie zawahałbym się ani chwili, pomyślał.

Obrócił się na pięcie i wrócił do pozostałych.

–Mariko-san, weź pilota, sześciu naszych samurajów i idźcie do galery. Udajcie popłoch. Powiedzcie Szarym, że była zasadzka, którą zastawili bandyci albo roninowie, nie wiecie tego na pewno. Opowiedz im, co się stało, że dowódca eskorty Szarych wysłał cię pilnie przodem, byś wezwała tych stu samurajów na pomoc, bo trwa zażarty bój, Kiritsubo chyba została zabita albo ranna... więc prosisz, by się pośpieszyli. Jeżeli zrobisz to przekonująco, to odciągniesz stąd większość z nich.

–Doskonale rozumiem, wielmożny panie.

–No a potem, bez względu na to, co zrobią Szarzy, wejdiesz z pilotem na pokład. Jeżeli są tam nasi żeglarze, a statek jest przygotowany i dla nas bezpieczny, wróć do trapu i udaj, że mdlejesz. – Wzrok Toranagi spoczął na Blackthornie. – Powiedz mu, co chcesz zrobić, ale nie mów mu o zemdleńiu.

Odwrócił się, żeby Wydać rozkazy reszcie swoich ludzi i specjalne poufne instrukcje sześciu samurajom.

Kiedy skończył, Yabu odciągnął go na stronę.

–Dlaczego odsyłasz barbarzyńcę? – spytał. – Gzy nie bezpieczniej byłoby zostawić go tu? Bezpieczniej dla ciebie.

–Bezpieczniej dla niego, Yabu-san, ale nie dla mnie. Jest dobrą przynętą.

–Podpalenie tej ulicy byłoby jeszcze bezpieczniejsze.

Owszem., Lepiej, żeby Yabu był po mojej stronie, niż po stronie Ishido, pomyślał Toranaga. Cieszę się, że nie kazałem mu wczoraj skoczyć z tej wieży.

–Wielmożny panie?

–Tak, Mariko-san?

Przepraszam, ale Anjin-san pyta, co będzie, jeżeli ten statek jest w ręku wroga., – Powiedz mu, że jeżeli nie czuje się na siłach, to nie musi z tobą iść.

Blackthorne pohamował gniew, kiedy przełożyła mu słowa Toranagi.

–Powiedz panu Toranadze, że jego plan nie jest odpowiedni dla kobiety, że powinnaś zostać tutaj. Jeżeli tam wszystko jest w porządku, to dam znak.

Tego nie mogę zrobić, Anjin-san, nie taki był rozkaz mojego pana – odparła stanowczo Mariko. – Każdy jego plan jest z pewnością bardzo mądry.

Blackthorne zdał sobie sprawę, że spieranie się z nią nie ma sensu. A bodaj diabli waszą zatwardziałą, krwiożerczą wyniosłość, pomyślał. Ale, Boże Świąty, jacy oni odważni! Ci Japończycy i ta Japonka.

Kiedy Wpadli w zasadzkę, przyglądał się Mariko, jak z długim samurajskim mieczem, który był niemal jej wysokości, stoi gotowa walczyć za Toranagę na śmierć i życie. Widział, jak raz – i to po mistrzowsku – użyła go. Wprawdzie Buntaro zabił jej przeciwnika, jednakże ułatwiła mu to, zmuszając tamtego do cofnięcia się. Na jej rozdartym w kilku miejscach kimonie nadal widniała krew, a twarz miała pobrudzoną.

–Gdzie się nauczyłaś władać mieczem, pani? – spytał, kiedy ruszyli szybko w stronę portu.

–Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie samurajki bardzo wcześnie są uczone posługiwania się nożem w obronie własnej czci i czci ich panów – odparła rzeczowo i pokazała mu sztylet, bezpiecznie ukryty w obi i gotów do natychmiastowego użycia. – Ale część z nas, niewiele, uczy się również władania mieczem i włócznią. Niektórzy ojcowie uważają, że córki, tak jak synowie, muszą być przygotowane do walki – za swoich panów. Naturalnie niektóre kobiety są bardziej wojownicze od innych i lubią iść do boju wraz z mężami i ojcami. Do takich należała moja matka. Moi rodzice uznali, że powinnam umieć posługiwać się mieczem i włócznią.

–Gdyby ten dowódca Szarych nie stał na drodze, to ta pierwsza strzała trafiłaby prosto w ciebie – powiedział Blackthorne.

–W ciebie, Anjin-san – odparła z wielkim przekonaniem. – Ale ocaliłeś mi życie, odciągając mnie w bezpieczne miejsce.

Przypatrując się jej, uświadomił sobie, że nie chciałby, aby spotkało ją coś złego.

–Pozwól, że ja pójdę z tymi samurajami, Mariko-san – powie-, dział. – Ty zostań tutaj. Proszę cię.

–To niemożliwe, Anjin-san.

–W takim razie chcę dostać nóż. A jeszcze lepiej dwa.

Przełożyła tę prośbę Toranadze, ten zaś wyraził zgodę. Blackthorne wsunął jeden nóż za pas, pod kimono. Drugi przywiązał trzonkiem w dół po wewnętrznej stronie przedramienia paskiem jedwabiu oddartym od brzegu kimona.

–Mój pan pyta, czy wszyscy Anglicy noszą w rękawach ukryte noże.

–Nie. Ale nosi je większość marynarzy.

–To nie jest tu przyjęte... ani u Portugalczyków – powiedziała.

–Najlepiej ukryć zapasowy nóż w bucie. Wtedy można komuś paskudnie zaszkodzić. W razie potrzeby.

Kiedy to przełożyła, Blackthorne zauważył baczne spojrzenie Tora-nagi i Yabu, wyczuwając, iż nie podoba im się myśl, że jest uzbrojony. To, dobrze, pomyślał. Może jednak uda mi się zachować broń.

Zastanawiał się jeszcze raz nad Toranagą. Kiedy odparto napaść z zaskoczenia i zabito Szarych, Toranagą za pośrednictwem Mariko podziękował mu w obecności wszystkich Brązowych za „wierność”. Nic poza tym: żadnych obietnic, umów, nagród. Blackthorne wiedział jednak, że te przyjdą później. Stary mnich wyjaśnił mu, że Japończycy wynagradzają jedynie za wierność. „Wierność i wypełnianie obowiązku, senhor – powiedział. – Oto co oni czczą – bushido. Podczas gdy my oddajemy życie za naszego Boga, Jego Błogosławionego Syna Jezusa i za Marię Matkę Bożą, te zwierzęta poświęcają się dla swoich panów i giną jak psy. Pamiętaj, senhor, dla zbawienia twojej duszy, że to zwierzęta”.

To nie zwierzęta, pomyślał Blackthorne. A poza tym większość «z tego, co mi powiedziałaś, ojczu, jest omyłką i przesadą fanatyka.

–Musimy dać jakiś znak, żeby wiedzieli, czy galera jest bezpieczna czy nie – powiedział do Mariko.

Ponownie przełożyła jego słowa, tym razem w dobrej wierze.

–Pan Toranagą mówi, że zrobi to jeden z jego żołnierzy.

–Uważam, że nie po męsku jest wysyłać kobietę, aby wypełniała zadanie dla mężczyzny.

–Zechciej okazać cierpliwość, Anjin-san. Pomiędzy kobietami i mężczyznami nie ma różnicy. Kobiety samurajki są równe samurajom. Do przeprowadzenia tego planu kobieta nadaje się o wiele lepiej od mężczyzny.

Toranagą coś krótko do niej powiedział...

–Jesteś gotów, Anjin-san? Musimy iść.

–Ten plan jest kiepski i niebezpieczny, a ja mam dość odgrywania roli przeklętej, naiwnej ofiarnej kaczkę, ale jestem gotów.

Zaśmiała się, ukloniła Toranadze i pobiegła. Blackthorne i sześciu samurajów pędem puścili się za nią.

Była bardzo szybka i dogonił ją dopiero za rogiem domu, a potem razem wypadli na otwartą przestrzeń. Jeszcze nigdy nie czuł się taki bezbronny. W tej samej chwili, gdy się pojawili, Szarzy dostrzegli ich i ruszyli w ich stronę. Wkrótce otoczyli ich i Mariko zaczęła gorączkowo trajkotać z Szarymi i samurajami Toranagi. A wówczas i on włączył się do ogólnej wrzawy ze swoją mieszanką portugalskiego, angielskiego i holenderskiego, gestami zachęcając ich do pośpiechu, jednocześnie wymacując schodnię, na której się oparł, wcale nie musząc udawać, jak bardzo brak mu tchu. Starał się zajrzeć na pokład galery, ale z wyjątkiem licznych głów przy nadburciach niczego nie widział wyraźnie. Dostrzegł ogolone czaszki wielu samurajów i wielu marynarzy. Nie potrafił jednakże rozpoznać ich kimon.

Zza pleców dobiegł go głos prędko mówiącego Szarego, więc odwrócił się. Powiedział, że go nie rozumie i żeby szybko poszli tamtą ulicą, gdzie rozgrywa się straszliwa bitwa.

–Wakarimasu ka? Zabierajcie stąd do wszystkich diabłów swoje dziurawe dupy! Wakarimasu ka? Tam się biją!

Mariko zapamiętała perorowała do dowódcy Szarych. Oficer ten cofnął się do galery i wykrzyczał rozkazy. Natychmiast ponad setka samurajów, samych Szarych, zaczęła wysypywać się ze statku. Paru wysłał brzegiem na północ, żeby przejmowali rannych i pomagali im w razie potrzeby. Jednego posłał, żeby sprowadził na pomoc Szarych warujących przy portugalskiej fregacie. Potem zaś, zostawiwszy dziesięciu ludzi do pilnowania schodni, pośpieszył z resztą samurajów do ulicy, która wijąc się biegła z portu do właściwego miasta.

Do Blackthorne'a podeszła Mariko.

–Czy statek nie jest twoim zdaniem uszkodzony? – spytała.

–Unosi się na wodzie.

Blackthorne z wielkim wysiłkiem uchwycił się lin schodni i korzystając z nich wszedł na pokład. Mariko podążyła za nim. Za nią zaś dwóch Brązowych.

Marynarze tarasujący furtę lewej burty przepuścili ich. Pokładu rufowego strzegło czterech Szarych, a dwóch innych dziobowego. Wszyscy byli Uzbrojeni zarówno w łuki i strzały, jak i miecze.

Mariko zapytała o coś jednego z marynarzy. Odpowiedział jej z szacunkiem.

–Są to wszystko marynarze wynajęci, żeby przewieźć Kiritsubo-san do Edo –

wyjaśniła Blackthorne'owi.

–Spytaj go... – Blackthorne urwał, bo rozpoznał niskiego krępego oficera, którego po burzy mianował kapitanem galery. – Konbanwa, kapitan-san – powiedział, mówiąc mu „dobry wieczór”.

–Konbanwa, Anjin-san. Watashi iye kapitan-san ima – odparł z uśmiechem Japończyk, potrząsając przecząco głową. Wskazał na stojącego samotnie na rufówce gibkiego marynarza ze stalowosiwym sterczący węzłem na głowie. – Imasu kapitan-san!

–Ah, so desu? Halloa, kapitan-san! – zawołał Blackthorne, ukłonił się i ściszył głos. – Mariko-san, dowiedz się, czy na dole są jacyś Szarzy.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, kapitan odkłonił się Blackthorne'owi i krzyknął do oficera. Oficer skinął głową i udzielił dłuższej odpowiedzi. Część marynarzy wyraziła aprobatę dla tego, co mówił. Z jakiegoś powodu na kapitanie i wszystkich na pokładzie jego słowa wywarły duże wrażenie – Ah, so desu, Anjin-san! – rzekł kapitan, a potem krzyknął „Keirei”! czyli „Salut!” i wszyscy obecni oprócz samurajów ukłonili się, oddając honory Blackthorne'owi.

–Ten oficer powiedział, że ocaliłeś jego statek podczas burzy, Anjin-san – wyjaśniła Mariko. – Nie wspominałeś nam o tej burzy ani o tym rejsie.

–Niewiele jest do powiedzenia. Ot, burza jakich wiele. Proszę, podziękuj ode mnie kapitanowi i powiedz, że jestem szczęśliwy z tego, że znowu stoję na pokładzie. Spytaj go, czy z chwilą nadejścia pozostałych będzie gotów do odpłynięcia – rzekł Blackthorne i dodał cicho: – Dowiedz się, czy na dole są jeszcze jacyś Szarzy.

Spełniła jego polecenia.

Podszedł do nich kapitan galery, poprosiła go o więcej informacji, a potem słysząc jego opinię, jak ważna jest obecność Blackthorne'a na pokładzie, ukłoniła się barbarzyńcy.

–Anjin-san, kapitan dziękuje ci za uratowanie statku i mówi, że są gotowi – powiedziała i cicho dodała: – A co do tej drugiej sprawy, to on nie wie.

Blackthorne zerknął na brzeg. Na północy nie było widać ani Buntaro, ani kolumny. Samuraj wysłany brzegiem na południe do Santa Theresy miał jeszcze sto jardów do celu i jak dotąd go nie spostrzeżono.

–I co teraz? – spytał, nie mogąc już dłużej znieść wyczekiwania. Czy statek jest bezpieczny? Zdecyduj się, powiedziała sobie w duchu Mariko.

–Tamten dotrze tam lada chwila – powiedział Blackthorne, patrząc na fregatę.

–Słucham? Wskazał ręką.

–Tamten... samuraj!

–Jaki samuraj? Przepraszam, nie sięgam wzrokiem tak daleko. Na statku widzę wszystko, choć tych Szarych z przodu jak przez mgłę. Jaki samuraj?

Powiedział jej i dodał po łacinie:

–Jest już zaledwie pięćdziesiąt kroków od nich. Zobaczyli go. Zaiste, potrzebujemy wsparcia. Kto da znak? Ważne jest, by go dać. Szybko.

–A mój mąż, czy go widać?

Pokręcił głową.

Od bezpieczeństwa dzieli mojego pana szesnastu Szarych, powiedziała sobie. O Matko Boża, miej go w swojej opiece!

Potem zaś, polecając duszę Bogu, przerażona, że podjęła nie właściwą decyzję, podeszła chwiejnie do szczytu schodni i udała, że mdleje.

Blackthorne'a zaskoczyło to. Zobaczył, jak Mariko uderza mocno głową o drewniane listwy. Kiedy popędził ku niej, z nabrzeża i spod pokładów zbiegli się Szarzy, a marynarze zaczęli się zbierać. Podniósł Mariko i idąc pośród nich skierował się na rufówkę...

–Przynieście wody... wody, hai?!

Japończycy wpatrywali się w niego nie rozumiejąc. Rozpaczliwie szukał w pamięci odpowiedniego japońskiego słowa. Stary mnich powtarzał mu je pięćdziesiąt razy. Rany boskie, jak ono brzmi?

–Aha... mizu, mizu, hai?

–Ah, mizu! Hai, Anjin-san.

Marynarz odbiegł. Nagle ktoś krzyknął ostrzegawczo. Z bocznej Uliczki wybiegło na brzeg trzydziestu przebranych za roninów samurajów Toranagi. Szarzy, którzy mieli właśnie opuścić nabrzeże, odwrócili się na schodni. Samuraje z rufówki i pokładu dziobowego wyciągnęli szyje, żeby lepiej widzieć. Nagle któryś wydał krzykiem rozkazy. Łucznicy uzbroili łuki. Wszyscy stojący niżej samuraje, Brązowi i Szarzy, błyskawicznie wydobyli miecze i większość z nich zbiegła z powrotem na nabrzeże.

–Bandyci! – ostrzegł krzykiem jeden z Brązowych.

Dwóch Brązowych na pokładzie natychmiast rozdzieliło się: jeden pobiegł na przód, a drugi na tył galery. Czterech ha lądzie utworzyło wachlarzyk, mieszając się z oczekującymi tam Szarymi.

–Stać!

Przebrani za roninów samuraje Toranagi zaatakowali. Któregoś ugodziła w pierś strzała i zwałił się ciężko na ziemię. Brązowy na dziobie błyskawicznie zabił łucznika Szarych i próbował zabić drugiego, ten jednakże okazał się za szybki i zwarli się mieczami, a Szary ostrzegł innych o zdradzie. Brązowy na pokładzie rufowym zranił jednego przeciwnika, ale rozprawiło się z nim szybko trzech innych, którzy natychmiast pomknęli do zejściówki, wymijając pierzchających przed nimi marynarzy. Samuraje na przystani w dole walczyli na śmierć i życie. Szarzy, roznosząc na mieczach czterech Brązowych, dobrze wiedzieli, że zdradzono ich i że w każdej chwili ich również rozniosą na mieczach napastnicy. Dowódca Szarych na pokładzie, potężnie zbudowany, brutalny samuraj z siwą brodą, obrócił się w stronę Blackthorne'a i Mariko.

–Śmierć zdrajcom! – ryknął i zaatakował ich z wojennym okrzykiem.

Blackthorne zauważył, że wszyscy Szarzy z żądzą mordu w oczach patrzą na Wciąż leżącą w omdleniu Mariko i zdał sobie sprawę, że jeżeli on i ona szybko nie otrzymają pomocy, to zginą... i że marynarze im nie pomogą. Pamiętał, że tylko samurajowi wolno walczyć z samurajem.

Zsunął ukryty nóż do dłoni i wyrzucił go łukiem. Nóż trafił samuraja w gardło. Dwóch innych Szarych podniosło głowy i skoczyło w stronę Blackthorne'a. Wiedząc, że nie pozwoli sobie na pozostawienie Mariko bez obrony, nie odstępując od niej chwycił drugi nóż. Katem oka dojrzał, że bitwa o schodnię jest prawie wygrana. Pokładu średniówki w dole broniło już tylko trzech Szarych, tylko trzech stało na drodze nadchodzącej odsieczy. Gdyby utrzymał się przy życiu jeszcze niespełna minutę, uratowałyby siebie i ją. Zabić ich, zabić tych drani!

Bardziej wyczuł, niż zobaczył cios miecza wymierzony w jego szyję i odskoczył, unikając go. Jeden Szary dźgnął mieczem w jego kierunku, drugi zaś, wznosząc swój, stanął nad Mariko. W tej samej chwili Blackthorne ujrzał, że Mariko ożywa. Rzuciła się do nóg zaskoczonego tym samuraja i przewróciła go na pokład. Potem zaś, przedostawszy się przez ciało innego zabitego Szarego, wyrwała z jego wciąż jeszcze drgającej ręki miecz i z krzykiem zaatakowała tego, którego powaliła. Szary zdołał się podnieść i wściekle rycząc rzucił się na nią. Cofnęła się i dzielnie cięła mieczem, ale Blackthorne był pewien, że już po niej, gdyż jej przeciwnik był za silny. Zdoławszy jakoś uniknąć kolejnego zabójczego pchnięcia, Blackthorne odpędził od

siebie rywala kopniakiem i cisnął nożem w napastnika Mariko. Nóż trafił Japończyka w plecy, dzięki czemu cios tamtego chybił celu, natomiast Blackthorne znalazł się w sytuacji bez wyjścia, bo jeden Szary wbiegł za nim po schodkach na rufówkę, drugi zaś, skończywszy zwycięsko walkę na dziobie, pędził ku niemu przez pokład. Blackthorne rzucił się do nadburcia i bezpiecznego morza, ale poślizgnął się na zalanych krwią deskach.

Pobladła Mariko wpatrywała się w chwiejącego się na nogach wielkiego samuraja, który nadal trzymał ją w potrzasku, i choć życie uchodziło z niego szybko, to jednak za wolno. Cięła z całych sił, ale odparował cios, chwycił trzymany przez nią miecz i wyrwał go jej z rąk. Ostatkiem sił zadał pchnięcie w chwili, gdy depcząc na schodni po trupach Szarych, na galerę wdarli się roninowie. Jeden skoczył do prześladowcy Mariko, a drugi postął strzałę na rufówkę.

Szary, którego strzała trafiła w plecy, stracił równowagę, a jego miecz wbił się w nadburcie obok Blackthorne'a. Blackthorne próbował uciec, ale Japończyk pochwycił go, obalił na pokład, i rozcapierzonymi palcami sięgnął mu do oczu. Następną strzała trafiła go w rękę, więc krzycząc z bólu i wściekłości zaczął daremnie szarpać za grot. Od uderzenia trzeciej strzały okręcił się dookoła, a z ust trysnęła mu krew. Dławiąc się nią i wytrzeszczając oczy, na chybił trafił sięgnął w kierunku Blackthorne'a i zwałił się na niego. W tym momencie nadbiegł z krótkim mieczem w ręku ostatni Szary, chcąc zabić barbarzyńcę. Zadał bezbronnemu Blackthorne'owi cios z góry na dół, ale jakaś sprzyjająca Anglikowi dłoń chwyciła jego rękę, a potem głowa zniknęła mu z karku i w górę trysnęła fontanna krwi. Z Blackthorne'a ściągnięto obu zabitych i postawiono go na nogi. Ocierając krew z twarzy, jak przez mgłę dojrzał leżącą na pokładzie Mariko i otaczających ją roninów Toranagi. Uwolnił się od swoich wybawców i potykając się ruszył do niej, ale nogi ugięły się pod nim i osunął się na pokład.

Dobre dziesięć minut zajęło mu odzyskanie sił na tyle, żeby mógł wstać bez pomocy. W tym czasie roninowie uporali się ze wszystkimi ciężko rannymi i wrzucili ciała poległych do morza. Zginęło sześciu Brązowych i wszyscy Szarzy. Roninowie uprzątnęli statek i przygotowali go do natychmiastowego odpłynięcia, posyłając marynarzy do wiosła, a innych na miejsca przy słupach, by czekali na oddanie cum. Wszystkie pochodnie zgaszono. Kilku samurajów wysłano w kierunku północnym na zwiad wzdłuż brzegu, aby spotkali się z Buntaro. Większość ludzi Toranagi pośpieszyła na południe, do kamiennego falochronu około dwustu kroków dalej, zajmując dogodne pozycje obronne przeciwko setce Szarych przy fregacie, którzy Zauważyli atak i szybko się zbliżali.

Kiedy na pokładzie wszystko dwa razy sprawdzono, dowódca przyłożył dłonie do ust i krzyknął w stronę brzegu. Natychmiast z ciemności wyłoniło się więcej przebranych za roninów samurajów Toranagi pod przywództwem Yabu i rozeszli się wachlarzowato w obie strony, tworząc ochronny kordon. A wówczas pojawił się Toranaga i w pojedynkę wolno zaczął kroczyć do schodni. Pozbył się już kobiecego kimona, ciemnego podróżnego płaszcza i usunął makijaż. Miał na sobie zbroję, na niej proste brązowe kimono, a za pasem zatknięte miecze. Wolną przestrzeń za nim wypełnili ostatni z jego strażników i cały oddział ruszył miarowym krokiem ku nabrzeżu.

Ty draniu, pomyślał Blackthorne. Jesteś okrutnym, zimnym, bezdusznym draniem, ale – nie ma co – posiadasz majestat!

Wcześniej zobaczył, że Mariko z pomocą młodej Japonki zeszła pod pokład, z czego wywnioskował, że została ranna, ale chyba lekko, gdyż wszystkich ciężko rannych samurajów zabito natychmiast na wypadek, gdyby nie mieli chęci albo możliwości zabić się sami, a ona była przecież samurajką.

Ręce miał bardzo słabe, ale chwycił ster, z pomocą japońskiego sternika stanął prosto i poczuł się lepiej, bo lekki wiatr odpędził od niego mdłości. Chwiejąc się na nogach, wciąż jeszcze oszołomiony, przyglądał się Toranadze.

Na zamkowej wieży nagle zapaliło się światło i dobiegło stamtąd słabe echo dzwonów bijących na alarm. A potem z murów zamku poszybowały ku gwiazdom race. Race sygnałowe.

O Chryste, pomyślał Blackthorne, na pewno dotarły tam wieści, na pewno dowiedzieli się o ucieczce Toranagi!

W wielkiej ciszy zobaczył, że Toranaga ogląda się i patrzy w górę. W całym mieście zamigotały światła. Toranaga bez pośpiechu odwrócił się i wszedł na pokład.

Z północy wiatr przyniósł odległe krzyki. Buntaro! To był na pewno on, z resztą orszaku. Blackthorne przeszukał wzrokiem ciemności w oddali, ale nie zobaczył nic. Na południu odległość pomiędzy atakującymi Szarymi i broniącymi się Brązowymi szybko malała. Oceniał liczebność stron. W tej chwili siły były wyrównane. Ale jak długo?

–Keirei!

Wszyscy na pokładzie uklękli i nisko się pokłonili wchodzącemu na pokład. Toranaga dał znak Yabu, a ten podążył za nim. Natychmiast objął dowództwo na galerze i wydał rozkaz odbicia. Pięćdziesięciu samurajów z oddziału Toranagi wbiegło po schodni, zajęło pozycje obronne i stanęło twarzami do brzegu, zbrojąc łuki.

Blackthorne poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw.

–Anjin-san!

–Hai?

Blackthorne wpatrzył się w twarz kapitana. Japończyk wyrzucił z siebie potok słów, wskazując na ster. Blackthorne pojął, że kapitan doszedł do wniosku, że to on pokieruje statkiem, dlatego prosi go, by zezwolił oddać cumy.

–Hai, kapitan-san. Oddać cumy. Isogi! – odparł. Tak jest, bardzo szybko, dodał w duchu, zdziwiony, że tak łatwo przypomniał sobie to słowo.

Galera odbiła od nabrzeża dzięki sprawności wioślarzy i pomocy wiatru. Blackthorne zobaczył, że na brzegu Szarzy atakują falochron, przypuszczając gwałtowny szturm. W tej samej chwili z ciemności za szeregiem wyciągniętych na brzeg łodzi wypadło trzech Japończyków i Japonka, cofających się i walczących z dziewięcioma Szarymi. Blackthorne rozpoznał Buntaro i służącą Sono.

Buntaro w zbroi, z której z przodu i z tyłu sterczały strzały, siekąc i tnąc zakrwawionym mieczem, przewodził temu zbrojnemu odwrotowi ku nabrzeżu. Dziewczyna była uzbrojona we włócznię, ale brakowało jej tchu i potykała się. Jeden z Brązowych przystanął śmiało, żeby osłonić ich odwrót. Opadli go Szarzy. Buntaro wbiegł po stopniach nabrzeża wraz z dziewczyną i ostatnim Brązowym, a potem odwrócił się i zaatakował prześladowców jak rozjuszony byk. Pierwszych dwóch zważyło się ciężko z wysokości dziesięciu stóp – jeden skręcił kark na kamieniach w dole, a drugi, który stracił rękę, upadł wyjąc. Szarzy zawahali się przez chwilę, co dało służącej czas na wymierzenie w nich włóczni, ale wszyscy na galerze wiedzieli, że jest to z jej strony tylko pusty gest. Ostatni Brązowy wyskoczył przed swojego pana i na oślep rzucił się na wrogów. Szarzy poszatkowali go, a potem zaatakowali chmarą.

Łucznicy ze statku posyłałi jeden rój strzał za drugim, zabijając lub raniąc wszystkich atakujących Szarych oprócz dwu. Miecz któregoś odbił się od hełmu Buntaro i spadł mu na naramiennik. Chronionym przez kolczugę przedramieniem Buntaro trzasnął napastnika, złamał mu kark i rzucił się na ostatniego Szarego.

Zabił także jego.

Służąca klęczała, próbując złapać dech. Buntaro nie marnował czasu na sprawdzanie, czy Szarzy żyją. Po prostu odrąbał im głowy pojedynczymi, idealnymi cięciami, a potem, kiedy już nic nie zagrażało mu na przystani i nabrzeżu, obrócił się w stronę morza i wyczerpany, lecz szczęśliwy ręką dał znak Toranadze. Toranaga, zadowolony równie jak on, zawołał coś w odpowiedzi.

Galera znajdowała się dwadzieścia jardów od nabrzeża, a odstęp pomiędzy nimi stale się zwiększał.

–Kapitan-san! – zawołał Blackthorne, dając Japończykowi gwałtowne znaki. – Wróć do nabrzeża! Isogi!

Kapitan posłusznie wydał krzykiem rozkaz. Wszystkie wiosła znieruchomiały i poczęły zagarniać wodę wstecz. Yabu natychmiast popędził do rufówki i z ożywieniem powiedział coś do kapitana. Rozkaz był jasny. Statek nie zawraca.

–Mamy mnóstwo czasu, na miły Bóg! Patrzcie!

Blackthorne wskazał na pas udeptanej ziemi na brzegu i falochron, przy którym roninowie trzymali Szarych w szachu.

Ale Yabu pokręcił głową.

Odległość od nabrzeża wzrosła do trzydziestu jardów, a Blackthorne'owi krzyczało w głowie: „Co z tobą, to przecież Buntaro, jej mąż!”

–Nie wolno zostawiać go na stracenie, to jeden z naszych! – krzyknął do Yabu i wszystkich na pokładzie. – Nasz, Buntaro! – Obrócił się do kapitana. – Zawracaj. Isogi!

Ale tym razem japoński żeglarz potrząsnął bezradnie głową i utrzymał kurs, a dowódca wioślarzy nie zmienił rytmu wielkiego bębna.

Blackthorne pośpieszył do Toranagi, który stał tyłem do niego, przypatrując się pilnie brzegowi i nabrzeżu. Czterech samurajów z jego straży przybocznej w jednej chwili zastąpiło drogę barbarzyńcy, wysoko unosząc miecze.

–Toranaga-san! – zawołał Blackthorne. – Dozo! Każ zawrócić statkowi! Tam!

Dozo... proszę! Zawróćmy!

–Iye, Anjin-san!

Toranaga wskazał na race sygnałowe na zamku i na falochron, a potem nieodwołalnie odwrócił się do niego tyłem.

–A bodaj cię, ty śmierzący tchórze... – zaczął Blackthorne, ale urwał. A potem popędził do burty i wychylił się przez nią. – Płyyyyyyń! – zawołał, naśladując gestami pływanie. – Płyn, na miły Bóg!

Buntaro zrozumiał. Podniósł dziewczynę na nogi, przemówił do niej i popchnął lekko do skraju nabrzeża, ale krzyknęła i padła przed nim na kolana. Na pewno nie umiała pływać.

Blackthorne rozpaczliwie rozejrzał się po pokładzie. Nie było czasu na spuszczenie łodzi. O wiele za daleko, żeby rzucić linę. Za mało sił, żeby dopłynąć tam i z powrotem. Żadnych kamizelek ratunkowych. Uczepiwszy się ostatniej nadziei, podbiegł do najbliższych wiosłarzy, którzy po dwu stali przy wielkich wiosłach, i przeszkodził im w wiosłowaniu. Wszystkie wiosła po lewej burcie na chwilę wypadły z rytmu, zderzając się ze sobą. Galera obróciła się niezgrabnie, bęben umilkł, a Blackthorne pokazał Japończykom, czego chce. Dwóch samurajów ruszyło, żeby go powstrzymać, ale Toranaga zawrócił ich.

Wraz z czterema wiosłarzami Blackthorne niczym strzałę wyrzucił wiosło za burtę. Przeleciało kawałek w powietrzu, a potem gładko uderzyło w wodę i siła pędu zaniósła je do nabrzeża.

,W tym momencie przy falochronie rozbrzmiał zwycięski krzyk. Od strony miasta nadbiegły posiłki Szarych i chociaż samuraje roninowie powstrzymywali swoich dotychczasowych przeciwników, to powstanie wyłomu w ich szeregach było tylko kwestią czasu.

–Szybciej! – krzyknął Blackthorne. – Isogiiii!

Buntaro podniósł dziewczynę z klęczek, pokazał jej wiosło i wskazał statek. Ukłoniła mu się lekko. Odsunął ją od siebie i całą uwagę skupił na bitwie, potężnymi nogami pewnie stojąc na nabrzeżu.

Dziewczyna krzyknęła coś w stronę galery. Odpowiedział jej kobiecy głos i skoczyła. Jej głowa wyłoniła się z wody. Młócąc rękami i nogami dotarła do wiosła i chwyciła się go. Z łatwością utrzymało jej ciężar i po chwili wymachując nogami zaczęła płynąć w stronę galery. Dogoniła ją mała fala, ale pokonała ją szczęśliwie i zbliżyła się do statku. Wówczas jednak przestraszona rozluźniła chwyt i wiosło wymknęło jej się z rąk. Przez trwającą wieki chwilę waliła w wodę, a potem zniknęła pod powierzchnią.

Już nie wypłynęła.

Buntaro został na nabrzeżu sam i stał przypatrując się walce, jak rozpala się i gaśnie. Z południa nadciągnęły nowe posiłki Szarych, w tym trochę konnych, żeby dołączyć do pozostałych, miał więc pewność; że falochron zaleje wkrótce całe morze żołnierzy. Dokładnie przyjrzał się północy, wschodowi i południu. A potem odwrócił się plecami do bitwy i poszedł na sam kraniec nabrzeża. Galera stała bezpiecznie pięćdziesiąt jardów stamtąd i czekała. Wszystkie łodzie rybackie dawno temu zemknęły z okolicy i czekały jak najdalej stąd po obu stronach zatoki, z zapalonymi światłami cumowniczymi, które świeciły w ciemnościach jak oczy kotów.

Kiedy Buntaro dotarł na koniec nabrzeża, zdjął hełm, łuk, kołczan, górną część zbroi i ułożył je przy pochwach swoich mieczy. Dwa miecze, do zabijania i krótki, położył oddzielnie. A potem obnażony do pasa wziął swój ekwipunek bojowy i wrzucił go do morza. Przyjrzał się z czcią długiemu mieczowi, a potem z całej siły cisnął go daleko w głębinę. Miecz zniknął w morzu prawie bez plusku.

Buntaro pokłonił się uroczyście galerze i Toranadze, który natychmiast przeszedł na rufę, skąd mógł być widoczny. Odkłonił się Buntaro.

–Buntaro ukląkł, na kamieniu przed sobą ułożył krótki miecz, w którego ostrzu rozbłysło światło księżyca, i zwrócony twarzą do galery znieruchomiał” nieomal tak, jakby się modlił. Na co on, do diabła, czeka? – mruknął Blackthorne wśród niesamowitej, od kiedy zamilkł bęben, ciszy. – Dlaczego nie skacze i nie płynie?

–Przygotowuje się do seppuku.

W pobliżu Blackthorne’a stała Mariko, podtrzymywana przez młodą Japonkę, jej siostrzenicę, Fujiko.

–O mój Boże, Mariko, czy nic ci nie jest, pani?

–Nie – odparła, ledwie go słuchając, z pobladłą, ale nie mniej piękną twarzą.

Zobaczył, że prymitywnie zabandażowano jej lewą rękę przy ramieniu, gdzie odcięto rękaw, i że nosi ją na temblaku z materiału oddartego z kimona. Bandaż był zakrwawiony, a po ręce ciekła krew.

–Tak się cieszę... – zaczął i wówczas dotarło do niego, co powiedziała. – Seppuku? Chce się zabić? Dlaczego? Ma mnóstwo czasu, żeby tu dopłynąć! Jeżeli on nie umie pływać, to popatrz... tam jest wiosło, które z łatwością go utrzyma. Tam, blisko nabrzeża, widzisz je? Nie widzisz?

–Widzę, ale mój mąż umie pływać, Anjin-san – odparła. – Wszyscy oficerowie pana Toranagi muszą... muszą się nauczyć... wymaga tego. On wszakże postanowił nie

płynąć.

–Dlaczego, na miłość boską?

Na wybrzeżu rozgorzała nagle szaleńcza walka, a kilka strzałów z muszkietów dokonało wyłomu w murze obrońców. Część samurajów roninów cofnęła się i zażarte pojedynki zaczęły się od nowa. Tym razem czołówka wroga została powstrzymana i odparta.

–Kaź mu, żeby płynął, na miły Bóg!

–Nie popłynie, Anjin-san. Przygotowuje się do śmierci.

–Rany boskie, jeżeli chce umrzeć, to dlaczego nie pójdzie tam? – Blackthorne wskazał palcem walczących. – Dlaczego nie pomoże swoim? Jeżeli chce umrzeć, to dlaczego nie umrze walcząc, jak mężczyzna?

Wsparta o młodą kobietę Mariko nie odrywała wzroku od nabrzeża.

–Ponieważ mogliby go schwytać, a gdyby popłynął, to również mógłby zostać schwytany, a wtedy wrogowie wystawiliby go na pośmiewisko, pohańbili, robili z nim straszne rzeczy. Schwytany samuraj przestaje być samurajem. Być schwytanym przez wroga to największa sromota, tak więc mój mąż robi to, co musi zrobić samuraj i mężczyzna. Samuraj umiera godnie. Bo czymże jest życie dla samuraja? Niczym. Całe życie jest cierpieniem, ne? Ma prawo i obowiązek umrzeć z honorem, przy świadkach...

–To głupie i niepotrzebne marnowanie życia – wycedził Blackthorne przez zęby.

–Okaż nam cierpliwość, Anjin-san.

–Cierpliwość wobec czego? Nowych kłamstw? Dlaczego mi nie ufacie? Czym sobie na to zasłużyłem? Okłamałaś mnie, prawda? Udałaś, że mdlejesz, a to był umówiony znak. Tak? Spytałem cię o to i skłamałaś.

–Rozkazano mi... był to rozkaz, żeby cię ochronić. Naturalnie, że ci ufam.

–Okłamałaś mnie – powtórzył wiedząc, że zachowuje się nedorzecznie, ale nie dbał o to. Mierzył go ten obłąkańczy brak poszanowania dla ludzkiego życia, a poza tym strasznie łaknął snu i spokoju, tęsknił za swoim jedzeniem, pićmi, statkiem i pobratymcami. – Wszyscy jesteście zwierzętami – powiedział po angielsku, wiedząc, że nimi nie są, i odszedł!

Główne siły Szarych dotarły do falochronu. Blackthorne spojrział na Buntaro.

–Ty biedny sukinsynu! – rzekł po angielsku. – Ty biedny, głupi sukinsynu!

Obrócił się na pięcie i, zszedłszy po zejściówce, podążył przez główny pokład w stronę dziobu, żeby przyjrzeć się rafom i mieliznom w przodzie. Nikt oprócz Fujiko i kapitana nie zauważył, że opuścił pokład rufowy.

Wioślarze wiosłowali bardzo karnie i galera posuwała się szybko. Morze było w miarę spokojne, wiatr pomyślny. Blackthorne z zadowoleniem czuł w ustach smak morskiej soli. I wtedy, półtorej mili przed nimi, dojrzał u wejścia do zatoki tłoczące się łodzie. Co prawda łodzie rybackie, ale wypełnione samurajami.

–Wpadliśmy w pułapkę – powiedział głośno, czując przez skórę, że to wrogowie.

Galerę przebiegło drżenie, bo wszyscy obserwujący bitwę na brzegu jak na komendę zmienili pozycje.

Blackthorne obejrzał się. Szarzy bezlitośnie oczyszczali falochron z niedobitków, a inni bez pośpiechu szli w stronę nabrzeża do Buntaro, ale od północy nadjechało galopem po ubitej ziemi czterech Brązowych wraz z piątym zapasowym koniem, przywiązany do konia dowódcy. Prowadzący zapasowego konia samuraj wjechał z klekotem na nabrzeże i pognął aż na sam jego koniec, podczas gdy pozostali trzej jeźdźcy popędzili w stronę nadchodzących Szarych. Buntaro również rozejrzał się, ale nie wstał z klęczek i kiedy przybysz ściągnął za jego plecami cugle, odprawił go machnięciem ręki i skierował trzymany oburącz krótki miecz ostrzem do siebie. W tej samej chwili Toranaga przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

–Buntaro-san! Jedź z nimi, spróbuj uciec!

Okrzyk przeleciał nad falami, został powtórzony i wówczas Buntaro usłyszał go wyraźnie. Wstrząśnięty, z mieczem wymierzonym w ciało, zawahał się. Jeszcze raz rozległ się ponagląjący, władczy okrzyk.

Buntaro z trudem wycofał się z objęć śmierci, na zimno zastanawiając się nad życiem i nad rozkazem ucieczki. Ryzyko było wielkie. Lepiej umrzeć tutaj, rzekł w duchu. Czy pan Toranaga o tym nie wie? Tutaj umrę honorowo. Tam – prawie na pewno mnie pochwyć. Dokąd ucieknę? Trzysta ri, aż do samego Edo? Z pewnością mnie złapią!

Poczuł w swoim ręku siłę, ujrzał mocny, niezachwiany, ostry jak igła miecz zawieszony blisko jego obnażonego brzucha i zapragnął nareszcie uwolnić się od cierpień umierania. Nareszcie umrzeć i odpokutować tym cały wstyd – wstyd za ojca klęczącego przed sztandarem Toranagi, podczas gdy powinni dochować wierności Yaemonowi, następcy taikō, tak jak to przysięgli, wstyd z powodu zabicia tylu ludzi, którzy zaszczytnie służyli sprawie taikō przeciwko uzurpatorowi Toranadze, wstyd z powodu tej kobiety, Mariko, i z powodu własnego jedyne go syna, na zawsze

napiętnowanych – syna z powodu takiej matki, Mariko zaś z powodu jej ojca, potwornego zabójcy, jakim był Akechi Jinsai. A ponadto wstyd z powodu świadomości, że przez nich jego własne nazwisko jest skalane na zawsze.

Ilustracja: Ilu tysięcy cierpień nie zaznałby, gdyby nie ona!

Jego dusza łaknęła wybawienia. Tak w tej chwili bliskiego, łatwo dostępnego i zaszczytnego. Był pewien, że następny żywot będzie lepszy, bo czyż może być gorszy niż ten?

A jednak odłożył miecz, okazał posłuszeństwo i rzucił się z powrotem w przepaść życia. Jego feudalny władca rozkazał mu znosić największe cierpienia, więc postanowił odłożyć próbę zdobycia spokoju. Cóż innego pozostawało samurajowi oprócz posłuszeństwa?

Zerwał się, Wskoczył na siodło, uderzył piętami boki konia i pomknął razem z drugim samurajem. Z ciemności wypadło galopem więcej konnych roninów, żeby zapewnić mu ucieczkę i zagrozić drogę nacierającym Szarym. A potem zemknęli także oni, gonieni przez paru jeźdźców wroga. Przez statek przewalił się wybuch śmiechu.

Rozradowany Toranaga bił pięścią w nadburtcie, a Yabu i samuraje ryczeli. Śmiała się nawet Mariko.

–Jeden uciekł, ale co z tymi wszystkimi zabitymi? – zawołał rozgniewany Blackthorne. – Spójrzcie na brzeg... leży tam na pewno ze trzy, cztery setki ciał. Spójrzcie na nich, jak Boga kocham!

Ale jego okrzyk nie przebił się przez śmiech.

I wtedy obserwator na dziobie podniósł alarm. Śmiech zamarł.

–Czy zdołamy się przez nich przebić, kapitanie? – spytał ze spokojem Toranaga. Przyglądał się zgrupowanym pięćset jardów przed nimi łodziom i nęcącemu korytarzowi, jaki zostawiły pomiędzy sobą.

–Nie, wielmożny panie.

–Nie mamy wyboru. Nie pozostaje nam nic innego – rzekł Yabu i spojrzął za rufę na tłum Szarych, którzy czekali na brzegu i nabrzeżu, a wiatr przynosił ich słabo słyszalne, szydercze obelgi.

On i Toranaga stali na nadbudówce dziobowej. Bęben zamilkł i galera kołysała się ciężko na łagodnej fali. Wszyscy na pokładzie czekali na decyzję. Wiedzieli, że całkowicie odcięto im drogę. Katastrofa na lądzie. Katastrofa przed nimi. Katastrofą było czekanie. Sieć zaczęłaby się zacieśniać, zacieśniać i wreszcie zostaliby schwytani. W razie potrzeby Ishido mógł czekać wiele dni.

Yabu wrzał. Gdybyśmy popłynęli do ujścia zatoki zaraz po wejściu na pokład, zamiast nedorzecznie marnować czas na Buntaro, byłibyśmy w tej chwili bezpiecznie na morzu, powiedział sobie w duchu. Toranaga traci rozum. Ishido nabierze przekonania, że go zdradziłem. Nic nie mogę zrobić... chyba że się przebijemy, a wówczas będę zmuszony walczyć po stronie Toranagi przeciwko tamtemu. Nic na to nie poradzę. Chyba że dostarczyłbym Ishido głowę Toranagi. Ne? Dzięki temu zostałbym regentem i dostał Kantō, ne? A potem, mając w zapasie sześć miesięcy i samurajów z muszkietami, może zostałbym nawet przewodniczącym Rady Regencyjnej? Albo i zgarnął główną nagrodę?! Pozbył się Ishido i został naczelnym wodzem następcy, protektorem i gubernatorem Zamku w Osace, generałem zarządzającym wszystkimi legendarnymi skarbami spoczywającymi w zamkowej wieży i władającym całym cesarstwem w czasie niepełnoletności Yaemona, a później dysponującym władzą mniejszą jedynie od jego władzy? Czemu nie.

A może nawet nagrodę największą ze wszystkich nagród? Tytuł shōguna. Gdyby tak pozbyć się Yaemona, a potem zostać shōgunem?

Wszystko za jedną jedyną głowę i paru życzliwych bogów!

Yabu poczuł, jak pod wpływem wzrastającej żądz miękną mu nogi. Takie to łatwe, ale nie mam jak zdjąć mu głowy i uciec – na razie.

–Zarządź gotowość bojową! – polecił wreszcie Toranaga.

Kiedy Yabu wydał rozkazy i samuraje zaczęli przygotowania, Toranaga skierował uwagę na barbarzyńcę, który nadal trzymał się blisko dziobu, gdzie pozostał po

ogłoszeniu alarmu i w tej chwili opierał się o krótki grotmaszt.

Żeby tak mógł go zrozumieć, pomyślał. W jednej chwili jest taki dzielny, a w następnej taki słaby. W jednej nieoceniony, a w następnej do niczego. Raz jest mordercą, a raz tchórzem. Raz jest łagodny, to znów niebezpieczny. Jest i mężczyzną, i kobietą, Yang i Yin. Składa się z samych sprzeczności i nie można przewidzieć, co zrobi.

–Spytaj go, Yabu-san! – powiedział.

–Słucham, wielmożny panie?

–Spytaj go, co robić. Jest pilotem. Czyż nie jest to bitwa morska? Czyż nie twierdziłeś, że na morzu ten pilot jest geniuszem? A więc dobrze, przekonajmy się, czy masz rację. Niech to udowodni.

Yabu ściągnął usta w cienką, okrutną linię i Toranaga ucieszył się, wyczuwając jego strach.

–Mariko-san – burknął Yabu. – Zapytaj pilota, jak wydostać się... jak przebić sobie drogę przez te łodzie.

Mariko posłusznie odeszła – od burty, wciąż podtrzymywana przez siostrzenicę...

–Nie, czuję się już dobrze, Fujiko-san – powiedziała do niej. – Dziękuję ci.

Fujiko puściła ją samą, z niechęcią spoglądając na Blackthorne'a. Blackthorne odpowiedział krótko.

–Mówi, że „z działami”, Yabu-san – przełożyła Mariko.

–Powiedz mu, że jeżeli pragnie zachować głowę, to musi wymyślić) coś lepszego.

–Musimy być dla niego wyrozumiali, Yabu-san – wtrącił Toranaga.– Mariko, zechciej mu grzecznie powiedzieć: „Niestety, nie mamy dział. Czy można się przebić w jakiś inny sposób? Nie możemy zejść na ląd”. Przełóż mi dokładnie jego odpowiedź. Dokładnie.

Mariko wypełniła polecenie.

–Przykro mi, panie, ale mówi, że nie. Tylko tyle: nie. Niegrzecznie.

Toranaga rozwiązał pas i podrapał swędzące miejsce pod zbroją.

–No dobrze – powiedział, nie przejąwszy się tym – skoro Anjin-san mówi o „działach”, a się na tym zna, to niech będą działa.

Kapitanie, do mnie! – Bezceremonialnie zdecydowanym dźgnięciem palca wskazał portugalską fregatę. – Przygotuj ludzi, Yabu-san. Jeżeli Południowi Barbarzyńcy nie wypożyczą nam swoich dział, to będziesz musiał je im zabrać. Prawda?’’.’).

–Z wielką przyjemnością – odparł cicho Yabu.

–Miałeś rację, to geniusz.

–Ale to ty znalazłeś rozwiązanie, Toranaga-san.

–Łatwo je znaleźć, dostawszy odpowiedź, ne? A jak rozwiązać kwestię zamku w Osace, sojuszniku?

–Nie ma jednego rozwiązania. Pod tym względem taikō był mistrzem.

–Tak. A jak rozwiązać kwestię zdrady?

–Oczywiście poprzez haniebną śmierć. Ale nie rozumiem, dlaczego pytasz o to mnie., Przelotna myśl... sojuszniku. – Toranaga spojrział na Blackthorne’a. – Tak, to mądry człowiek. Bardzo mi potrzeba mądrych ludzi. Mariko-san, czy barbarzyńcy dadzą mi działa?

–Oczywiście. Czemu mieliby nie dać?

Myśl, że mogliby nie dać dział, nie przyszła jej nawet do głowy. Wciąż martwiła się o los Buntaro. O wiele lepiej byłoby pozwolić mu umrzeć. Po co narażać jego honor? Zastanawiała się, czemu Toranaga nakazał Buntaro odjechać lądem w ostatniej chwili. Równie łatwo mógł mu przecież polecić, żeby dopłynął do statku. Tak byłoby o wiele bezpieczniej, a poza tym było mnóstwo czasu. Mógł to zrobić zaraz po tym, jak Buntaro dotarł na koniec nabrzeża. Po co czekał? Najtajniejsza częśćka jaźni odpowiedziała jej, że ich pan musiał mieć w pełni uzasadniony powód, żeby czekać i wydać taki rozkaz.

–A jeżeli nie dadzą? Jesteś gotowa zabijać chrześcijan, Mariko-san? – spytał Toranaga. – Czyż nie tak brzmi ich najbardziej niemożliwe do wypełnienia przykazanie? Ż nie będą zabijać?

–Tak, istotnie. Ale dla ciebie, panie, z ochotą pójdziemy do piekła, mój mąż, mój syn i ja.

–Tak. Jesteś prawdziwą samurajką i nie zapomnę ci tego, że chwyciłaś miecz w mojej obronie.

–Nie dziękuj mi, proszę. Jeżeli dopomogłam w skromnej mierze, to był to mój obowiązek. Jeżeli ktoś ma pozostać w twojej pamięci, niechże będzie to, proszę, mój

mąż i syn. Są więcej warci ode mnie.

–W tej chwili to ty jesteś dla mnie więcej warta. A możesz być warta jeszcze więcej.

–Powiedz mi jak, wielmożny panie, a wykonam to. – Odłóż na bok twojego obcego Boga. Słucham, wielmożny panie? – spytała z zamartwiałą twarzą.

–Odłóż na bok Boga. Masz o jeden obowiązek za wiele. – To znaczy, że mam zostać odstępczynią, wielmożny panie?

Wyrzec się chrześcijaństwa?

–Tak, chyba że znajdziesz dla twojego Boga właściwe miejsce... w zanadrzu swojej duszy, a nie na wierzchu.

–Racz mi wybaczyć, wielmożny panie – powiedziała drżącym głosem – ale moja wiara nigdy nie przeszkodziła mi być wierną tobie. Zawsze, cały czas, była ona dla mnie sprawą prywatną. Czy cię zawiodłam?

–Jeszcze nie. Ale zawiedziesz.

–Powiedz mi, co mam zrobić, żeby cię zadowolić.

–Chrześcijanie mogą się stać moimi wrogami, ne?

–Twoi wrogowie są moimi wrogami, panie.

–Ich kapłani są w tej chwili przeciwko mnie. Mogą nakazać wszystkim chrześcijanom, by wojowali ze mną.

–Nie zrobią tego, wielmożny panie. To spokojni ludzie.

–A jeżeli mimo to będą przeciwko mnie? Jeżeli chrześcijanie będą ze mną wojować?

–Nie będziesz się musiał nigdy obawiać o moją wierność tobie, wielmożny panie. Nigdy.

–Ten pilot może mówić prawdę, a twoi kapłani mieć fałszywe języki.

–Są księża dobrzy i są źli, wielmożny panie. Ale to ty jesteś moim władcą.

Doskonale, Mariko-san – rzekł Toranaga. – Wierzę ci. I rozkazuję, żebyś zaprzyjaźniła się z tym barbarzyńcą, dowiedziała wszystkiego, co on wie, poznała jego sposób myślenia, nie „spowiadała się” z niczego, co robisz, traktowała wszystkich kapłanów podejrzliwie i zawiadamiała mnie o wszystkim, o co cię pytają lub co mówią. Twój „-Bóg musi się zmieścić gdzieś pomiędzy tym, co wymienilem,

albo wcale. Mariko odgarnęła z oczu kosmyk włosów.

–Zrobię to wszystko, wielmożny panie, i nadal pozostanę chrześcijanką. Przysięgam.

–To dobrze. Przysięgnij na swojego chrześcijańskiego Boga.

–Przysięgam na to, Bóg mi świadkiem.

–Dobrze. – Toranaga odwrócił się i zawołał: – Fujiko-san!

–Tak, wielmożny panie?

–Zabrałaś ze sobą służące?

–Tak, wielmożny panie. Dwie.

–To przeznacz jedną Mariko. Drugą poślij po cha.

–Jeżeli sobie życzysz, to jest sake.

–Cha. Yabu-san, napijesz się cha czy sake?

–Proszę cha.

–Przynieś sake dla Anjin-sana.

W małym złotym krzyżyku wiszącym na szyi Mariko odbiło się światło. Spozregła, że Toranaga przygląda się mu.

–Chcesz... życzysz sobie, żebym go nie nosiła, wielmożny panie?

Mam go wyrzucić? – spytała.

–Nie – odparł. – Noś go, żebyś pamiętała o swojej przysiędze.

Wszyscy przyglądali się fregacie. Toranaga poczuł na sobie czyjś wzrok i rozejrzał się. Zobaczył zaciętą twarz, chłodno patrzące niebieskie oczy i wyczuł nienawiść... nie, nie nienawiść, podejrzliwość. Jakże ten barbarzyńca ma czelność mnie podejrzewać, pomyślał.

–Spytaj Anjin-sana, dlaczego nie powiedział wprost, że na tym barbarzyńskim statku jest wiele dział? I że trzeba rozkazać im, aby wyprowadzili nas z tej pułapki?

Mariko przełożyła. Blackthorne odpowiedział.

–Mówi... – Mariko zawahała się, po czym dodała pośpiesznie: – Wybacz mi, proszę, ale powiedział: „Dobrze mu robi, jeśli pójdzie po rozum do własnej głowy”.

Toranaga zaśmiał się.

–Podziękuj mu za jego rozum i głowę. Bardzo mi się przyda. Mam nadzieję, że zachowa ją na karku. Powiedz mu, że teraz jesteśmy równi.

–Mówi: „Nie, nie jesteśmy równi, Toranaga-san. Ale zwróć mi statek i załogę, a oczyszczę te wody z wszelkich wrogów”.

–Mariko-san, sądzisz, że ma na myśli zarówno mnie, jak i innych, Hiszpanów i Południowych Barbarzyńców? – spytał Toranaga beztróskim tonem.

Wiatr strącił jej na oczy kosmyki włosów. Odgarnęła je strudzonym gestem.

–Bardzo przepraszam, ale nie wiem. Może tak, a może nie. Mam go zapytać? Przykro mi, ale on... on jest bardzo dziwny. Obawiam się, że go nie rozumiem. Zupełnie.

–Mamy mnóstwo czasu. Tak. Z czasem wytłumaczy nam swoje postępowanie.

Blackthorne spostrzegł, że zaraz po odbiegnięciu od fregaty strzegących jej Szarych, zaczęła ona cichcem wysuwać się z przystani, a na wodę spuszczone szalupę, która prędko odholowała ją od miejsca postoju przy nabrzeżu na bystrą wodę. W tej chwili zaś, zwrócona burtą do lądu, unosiła się bezpiecznie na głębokiej wodzie kilka kabli od brzegu” utrzymywana łagodnie w miejscu dzięki lekkiej kotwicy dziobowej. Manewr ten zawsze stosowały europejskie statki w obcych lub wrogich zatokach, kiedy z brzegu groziło im niebezpieczeństwo. Blackthorne wiedział też, że chociaż teraz – podobnie jak wcześniej – na pokładzie nie widać żadnej podejrzaney krzątaniny, to wszystkie działa są już przygotowane do strzału, muszkiety rozdane, kartaczy, kul armatnich i kul łańcuchowych jest pod dostatkiem, a uzbrojeni marynarze siedzą w górze na masztach. Oczy zaś przepatrują okolicę we wszystkich kierunkach. Galerę zaczęto tam obserwować w chwili, gdy zmieniła kurs. Dwa działa okrętowe na rufie, trzydziestofuntówki, były skierowane i wycelowane prosto w nich. Portugalscy kanonierzy byli najlepsi na świecie, po angielskich.

Dowiedzą się też o Toranadze, pomyślał rozgoryczony, bo są mądrzy i na pewno spytali swoich tragarzy albo Szarych, o co ta cała awantura. A do tej pory ci przekłęci jezuici, którzy wiedzą o wszystkim, zdążyli już przesłać wieści o ucieczce Toranagi i o mnie.

Czuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Każde z tych dział może nas posłać w diabły, pomyślał. Tak, ale nic nam nie grozi, bo na pokładzie jest Toranaga. Dzięki Ci, Boże, za niego...

–Mój pan pyta – dotarli do niego słowa Mariko – co robicie, kiedy chcecie podплыnąć do drugiego okrętu wojennego.

–Jeżeli na pokładzie jest działo, to pozdrawia się wystrzałem z niego. Albo daje znaki flagami, prosząc o pozwolenie na podплыnięcie do burty.

–Mój pan pyta, co się robi, jeżeli nie ma flag.

Chociaż znajdowali się poza zasięgiem strzału, a furty działowe fregaty były wciąż zamknięte, Blackthorne poczuł się niemal tak, jakby armatnie lufy były od niego na wyciągnięcie ręki. Portugalski statek miał po każdej z burt osiem dział, a po dwa na dziobie i rufie. Erasmus na pewno by ją zdobył, zapewnił się w duchu, gdyby tylko załoga była w komplecie. Chciałbym ją zdobyć. Ocknij się, przestań marzyć na jawie, ostrzegł się, nie jesteśmy na pokładzie Erasmusa, ale na nikczemnej galerze i ten portugalski statek jest naszą jedyną nadzieją. Pod osłoną jego dział jesteśmy bezpieczni. Podziękuj swojemu szczęściu za Toranagę.

–Senhora, każ kapitanowi rozwinąć banderę pana Toranagi – rzekł. – To wystarczy. W ten sposób wystąpimy oficjalnie i powiadomi my ich, kto jest na pokładzie, choć założę się, że już to wiedzą.

Szybko wypełniono jego polecenie. Wszystkim na galerze jakby przybyło pewności. Blackthorne zauważył tę zmianę. Nawet on poczuł się różnie, płynąc pod tą banderą.

–Mój pan chce wiedzieć, w jaki sposób damy im znać, że chcemy podплыnąć.

–Powiedz mu, że bez flag sygnałowych ma dwa wyjścia: zaczekać poza zasięgiem ich dział i w małej łodzi wysłać na ich statek delegację albo podплыnąć prosto do nich na odległość głosu.

–Mój pan pyta, co radzisz zrobić.

–Podплыnąć, prosto do nich. Nie mamy powodów do ostrożności. Na pokładzie jest pan Toranaga. Najważniejszy daimyō w cesarstwie. Oni nam naturalnie pomogą. Jezu Chryste!

–Słucham, senhor?

Nie odpowiedział jej jednak, więc szybko przełożyła jego słowa i wysłuchała następnego pytania Toranagi.

–Mój pan pyta, co zrobią ci z fregaty. Zechciej wyjaśnić swój zamysł i powód, dla którego zamilkłeś.

–Nagle uświadomiłem sobie, że pan Toranaga jest w stanie wojny z Ishido. Czyż

nie? Dlatego ci z fregaty mogą nie być skłonni do udzielenia mu pomocy.

–Oczywiście, że mu pomogą.

–Nie. Po której stronie bardziej opłaca się być Portugalczykom, pana Toranagi czy Ishido? Jeżeli uznają, że po stronie Ishido, to nas zatopią, posyłając w diabły!

–Niemożliwe, żeby Portugalczycy ostrzelali japoński statek – odparła natychmiast Mariko.

Wierz mi, senhora, że zrobiliby to. I założę się, że ci z fregaty nie dadzą nam podpłynąć do swojej burty. Gdybym to ja był ich pilotem, tobym nie dał. Chryste Panie! – wykrzyknął Blackthorne, wpatrując się w brzeg.

Urągający im Szarzy zeszli już z nabrzeża i rozstawili się na brzegu. Nie mamy szans, pomyślał. Łodzie rybackie w dalszym ciągu dryfowały złowrogo, zagradzając wejście do zatoki. Tam również nie było szans.

–Powiedz panu Toranadze, że tylko w jeden sposób można się wydostać z tej zatoki. Liczyć na burzę. My ją, być może, przetrwamy, a te rybackie łodzie nie. A wówczas moglibyśmy prześliznąć się przez tę sieć.

Toranaga wypytał kapitana, który odpowiedział mu wyczerpująco, potem zaś Mariko zwróciła się do Blackthorne'a:

–Mój pan pyta, czy myślisz, że będzie burza.

–Mój nos mówi mi, że tak. Ale za kilka dni. Za dwa albo trzy. Możemy tyle zaczekać?

–Mówi ci twój nos? Czy burza pachnie?

–Nie, senhora. To tylko takie wyrażenie. Toranaga zamyślił się. A potem wydał rozkaz.

–Podpływamy na odległość głosu, Anjin-san.

–No to przekaż, żeby podpłynąć do nich prosto od rufy. Bo wtedy będziemy dla nich stanowić najmniejszy cel. Powiedz, że oni są perfidni... wiem, jak bardzo potrafią być perfidni, kiedy zagrożone są ich interesy. Są gorsi od Holendrów! Jeżeli ten statek pomoże panu Toranadze uciec, to Ishido zemści się na wszystkich Portugalczykach, więc nie zaryzykują pomocy.

–Mój pan mówi, że wkrótce poznamy odpowiedź.

–Jesteśmy bezbronni, senhora. Przeciwno tym działom nie mamy szans. Jeżeli ten statek jest nam wrogi, albo nawet jedynie neutralny, zatoniemy.

–Mój pan mówi, że masz rację, ale że należy do ciebie przekonać ich, by odnieśli się do nas przychylnie.

–Jakże ich mam przekonać? Przecież jestem ich wrogiem.

–Mój pan mówi, że tak w czasie wojny, jak i w czasie pokoju, porządny wróg może się okazać cenniejszy od porządnego sojusznika. Mówi, że ty znasz ich sposób rozumowania i wymyślisz coś, co ich przekona.

–Jedyny pewny sposób to siła.

–Dobrze. Zgoda, mówi mój pan. Powiedz w takim razie, proszę, jak napaść i zdobyć ten statek.

–Słucham?

–Powiedział: „Dobrze, zgoda. Jak byś napadł na ten statek, w jaki sposób byś go zdobył? Muszę skorzystać z ich dział”. Bardzo przepraszam, czy nie wyraziłam się jasno, Anjin-san?

–A ja powtarzam, że ją zatopię – oświadczył generał-gubernator Ferriera.

–Nie – odparł dell’Aqua, przyglądając się galerze z pokładu rufowego.

–Kanonierze, czy są już w naszym zasięgu?

–Nie, don Ferriera – odpowiedział ogniomistrz. – Jeszcze nie.

–Po co płynęłyby do nas, jeśli nie we wrogich zamiarach? Dlaczego po prostu nie ucieknie? Droga jest przecież wolna, eminencjo.

Nikt na pokładzie nie mógł widzieć napływu rybackich łodzi, gromadzących się w zasadzce, bo fregata znajdowała się za daleko od wyjścia z zatoki.

–Nie ryzykujemy nic, eminencjo, a zyskujemy wszystko – ciągnął Ferriera. – Udamy, że nie wiedzieliśmy o obecności Toranagi na pokładzie. Myśleliśmy, że chcą nas zaatakować bandyci... bandyci pod przywództwem heretyckiego pirata. Bez obawy, kiedy tylko znajdą się w zasięgu strzału, z łatwością ich sprowokujemy.

–Nie – rzekł rozkazująco dell’Aqua.

Ojciec Alvito odwrócił się od nadburcia.

–Gubernatorze – powiedział – nad tą galerą powiewa flaga Toranagi., Fałszywa! – odparł z sarkazmem Ferriera. – To najstarsza sztuczka na świecie! Przecież nie widzieliśmy Toranagi. Może go nie ma na pokładzie.

–Nie zgadzam się.

–Na rany Chrystusa, wojna to katastrofa! Jeżeli nie doprowadzi do klęski, to z pewnością zaszkodzi tegorocznemu rejsowi Czarnej Karaweli. Na to pozwolić nie mogę! Nie pozwolę, żeby mi coś w tym przeszkodziło!

–Nasze finanse są w gorszym stanie niż pańskie, gubernatorze – odparował ostro dell’Aqua. – Bez tegorocznego handlu Kościół zbankrutuje, czy to jasne? Od trzech lat z Goi ani z Lizbony nie dostaliśmy żadnych pieniędzy, a strata zysku w zeszłym roku... Boże, daj mi cierpliwość! Znam stawkę znacznie lepiej od ciebie, panie. I odpowiadam ci: nie!

Rodrigues siedział obolały na żeglarskim krześle, z nogą w łubkach spoczywającą na wyściełanym stołku, który przywiązano mocno przy podstawie kompasu.

–Gubernator ma rację, eminencjo – odezwał się. – Po co mieliby do nas podpływać, gdyby czegoś nie knuli? Czemu nie uciekną, ha? Nadarza nam się sakramencko dobra okazja.

–Tak, a decyzja w tej sprawie należy do wojskowych – powiedział Ferriera.

Alvito błyskawicznie zwrócił się w jego stronę.

–Nie, w tej sprawie rozstrzygnie jego eminencja, generale-gubernatorze. Nie wolno nam zrazić Toranagi. Musimy mu pomóc.

–Tyle razy słyszałem od was, że kiedy wybuchnie wojna, to będzie trwała bez końca. A wojna już się zaczęła, no tak?– spytał Rodrigues. – Widzieliśmy jej początek. To musi zaszkodzić handlowi. A śmierć Toranagi to koniec wojny i ratunek dla naszych interesów. Ja tam mówię, żeby zatopić tę galerę.

–A w dodatku pozbędziemy się tego heretyka – dorzucił Ferriera, obserwując Rodriguesa. – Na chwałę Bożą zapobiegniemy wojnie, a jeszcze jeden heretyk pójdzie na męki piekielne.

–Byłoby to niczym nie usprawiedliwione mieszanie się do ich spraw wewnętrznych – odparł dell’Aqua, zatajając prawdziwy powód.

–Mieszamy się do nich bez przerwy. Towarzystwo Jezusowe z tego słynie. Nie jesteśmy naiwnymi, tępymi kmiotkami!

–Bynajmniej tego nie mówię. Ale dopóki jestem na pokładzie, nie zatopisz, panie, tego statku.

–Więc proszę z łaski swojej powrócić na brzeg.

–Im prędzej ten rzeźnik zginie, tym lepiej, eminencjo – wtrącił Rodrigues. – On czy Ishido, co za różnica? Obaj są poganami i żadnemu nie można ufać. Pan gubernator ma rację, nigdy już się nam nie trafi taka gratka. A co z naszą Czarną Karawelą?

Rodrigues jako pilot miał piętnastą część udziału w zyskach. Prawdziwy pilot Czarnej Karaweli zmarł przed trzema miesiącami w Makau na kiłę, dlatego też Rodriguesa, ku jego nie kończącej się radości, wzięto z jego własnego statku Santa Theresa i powierzono nowe stanowisko. Jako oficjalną przyczynę śmierci tamtego pilota podano kiłę, jednakże wielu mówiło, że to jakiś ronin wbił mu podczas bijatyki w burdelu nóż w plecy, przypomniał sobie pochmurnie Rodrigues. Mój Boże, to moja wielka szansa. Nic mi w tym nie przeszkodzi!

–Całą odpowiedzialność wezmę na siebie – mówił właśnie Ferriera. – To decyzja wojskowa. Wplątaliśmy się w miejscową wojnę. Mój statek jest w niebezpieczeństwie. – Ponownie obrócił się w stronę kanoniera. – Są już w zasięgu dział?

–Cóż, don Ferriera, to zależy od życzenia. – Ogniomistrz dmuchnął na koniec lontu, który rozżarzył się i zaiskrzył. – Mogę teraz rozwalić im dziób, rufę, śródkręcie, co tam wolisz, panie. Ale jeżeli chcesz, żeby ktoś zginął, ktoś konkretny, to za parę chwil podpłyniemy do nich na odległość zabójczego strzału.

–Chcę śmierci Toranagi. I tego heretyka.

–To znaczy tego Anglika, pilota?

–Tak.

–Ktoś musi mi pokazać tego Japońca. Pilota ani chybi rozpoznam sam.

–Jeżeli pilot musi zginąć po to, żeby zabity został Toranaga i skończyła się wojna, to jestem za tym, generale-gubernatorze – rzekł Rodrigues. – W przeciwnym razie powinien być oszczędzony.

–To heretyk, wróg naszego kraju, zgorszyciel, a sprawił nam dotychczas tyle kłopotów, co gniazdo jadowitych węży.

–Podkreślałem już, że po pierwsze i po ostatnie ten Anglik jest pilotem, jednym z najlepszych na świecie.

–Piloci powinni mieć specjalne względy? Nawet heretycy?

–A tak, na miły Bóg! Powinniśmy wykorzystać go tak, jak oni wykorzystują naszych. Zabicie kogoś z takim doświadczeniem byłoby diabelnym marnotrawstwem. Bez pilotów nie byłoby żadnego sakramenckiego imperium, żadnego handlu, nic. Beze mnie nie popłynie Czarna Karawela, nie będzie zysku, powrotu do kraju, dlatego moje

zdanie jest piekielnie ważne.

–Hej tam, na rufówce, galera zmienia kurs! – dobiegło wołanie z masztu.

Galera, zmierzająca dotąd prosto na nich, skręciła kilka rumbów w prawo, kierując się w głąb zatoki.

–Pogotowie bojowe! – krzyknął natychmiast Rodrigues. – Wach ta prawej burty na maszty! Postawić wszystkie żagle! Wybrać kotwicę!

Marynarze w tej samej chwili rzucili się wypełniać rozkazy.

–Co się stało, Rodrigues?

–Nie wiem, gubernatorze, ale wychodzimy na otwarte morze. Ta gruba zdzira zmierza ku nawietrznej.

–A czy to ważne? Możemy ich zatopić w dowolnej chwili – rzekł Ferriera. – I tak przecież musimy przywieźć na pokład zapasy, a ojcowie muszą wrócić do Osaki.

–Owszem. Ale za nic nie pozwolę wrogom znaleźć się po nawietrznej mojego statku. Ta gamratka nie jest zależna od wiatru, ona może płynąć pod wiatr. Może okrążyć nas, żeby rzucić się na nas od rufy, gdzie mamy tylko jedno działo, i dokonać abordażu!

Ferriera zaśmiał się lekceważąco.

–Na pokładzie mamy dwadzieścia dział! A oni żadnego! Myślisz, że ten brudny pogański pływający chlew ośmieliłby się nas zaatakować?

Masz nie po kolei w głowie!

–Owszem, gubernatorze, i dlatego noszę ją jeszcze na karku. Santa Theresa ma rozkaz wypłynąć w morze!

Rozwiązane żagle rozwinęły się z trzaskiem i, pochwycił je wiatr, drzewca zazgrzytały, Obie wachty były na pokładzie na swoich stanowiskach bojowych. Fregata ruszyła, ale wolno.

–Płyńże, jędo – ponaglił ją Rodrigues.

–Jesteśmy gotowi, don Ferriera – zawiadomił ogniomistrz. – Mam ją na celownikach. Długo jej nie utrzymam. Który to Toranaga? Wskaż go, panie!

Galery, na której nie paliły się pochodnie, oświetlał tylko księżyc. W dalszym ciągu mieli ją ze sto jardów za rufą, lecz w tej chwili skręcała w lewo i kierowała się w

stronę przeciwnego brzegu zatoki, a jej wiosła opadały i zanurzały się w równym rytmie.

–Czy to jest ten pilot? Ten wysoki na rufówce?

–Tak – odparł Rodrigues.

–Manuel i Perdito! Wycelujcie w niego i rufówkę! – Przy najbliższym dziale dokonano małych poprawek. – Który to Toranaga? Prędko! Sternicy, dwa rumby w prawo!

–Jest dwa rumby w prawo, ogniomistrzu!

Wiedząc o piaszczystym dnie i pobliskich mieliznach, Rodrigues obserwował wanty, gotów. W każdej chwili przejął komendę od kanoniera, który zwyczajowo dowodził ogniem z dział na rufie.

–Uwaga główny pokład, działa prawej burty! – krzyknął ogniomistrz. – Po wystrzale damy im odpaść od wiatru. Otworzyć wszystkie furty działowe, przygotować się do salwy burtowej – Obsady dział wykonały rozkaz, spojrzzeniami śledząc oficerów na rufówkę. Oraz księży. – Na miły Bóg, don Ferriera, który to Toranaga?

–Który to jest, ojcze? – spytał Ferriera, gdyż nie widział Toranagi na oczy.

Rodrigues wyraźnie rozpoznał Toranagę, który stał w otoczeniu samurajów na pokładzie dziobowym. Niech zrobią to jezuici, pomyślał. No dalej, ojcze, zabaw się w Judasza. Dlaczego to zawsze my musimy załatwiać brudną robotę, choć przecież nie dałbym złamanego dublona za życie tego pogańskiego skurwysyna!

Obaj księża milczeli.

–Prędko, który to będzie Toranaga? – powtórzył pytanie ogniomistrz.

Zniecierpliwiony Rodrigues pokazał mu.

–Tamten, na dziobówce. Niski, krępy drań pośrodku tych wszystkich innych pogańskich drani.

–Widzę go, senhor pilocie.

Obsada dział dokonała ostatnich drobnych poprawek. Ferriera wyjął zapalony lont z rąk pomocnika ogniomistrza.

–Wycelowaliście w heretyka? – spytał.

–Tak, generale-gubernatorze, gotów pan? Opuszczę rękę. To będzie znak...

–Dobrze.

–Nie będziesz zabijał! – rozległ się głos dell’Aqua.

Ferriera obrócił się raptownie w jego stronę.

–To poganie i heretycy!

–Są wśród nich chrześcijanie, a nawet gdyby ich nie było...’

–Ogniomistrzu, nie zwracajcie uwagi na księdza! – warknął gubernator. – Skoroście gotowi, strzelamy!

Dell’Aqua podszedł do lufy działa i zasłonił sobą jej wylot. Swoją ogromną postacią zdominował rufówkę i uzbrojonych marynarzy, którzy czatowali zasadzeni w ukryciu. Rękę trzymał na krzyżu.

–Powiedziałem: „Nie będziesz zabijał!!!”

–Zabijamy bez przerwy, ojcie – odparł Ferriera.

–Wiem, wstydzę się tego i błagam Boga o wybaczenie. – Dell’Aqua nigdy dotąd nie był na rufówce bojowego statku z naładowanymi działami i muszkietami, w chwili gdy spoczywające na spustach palce gotowią się do zabijania. – Dopóki tu jestem, nie będzie zabijania, a ponadto nikt nie dostanie rozgrzeszenia za morderstwo z zasadzki!

–A jeżeli oni nas zaatakują? Spróbują zdobyć nasz statek?

–Będę błagał Boga, żeby wsparł nas w walce z nimi!

–Co za różnica, teraz czy potem?

Dell’Aqua nie odpowiedział. Nie będziesz zabijał, pomyślał, a poza tym Toranaga przyrzekł nam wszystko, natomiast Ishido nic.

–Więc co ma być, panie gubernatorze? Już czas! – zawołał ogniomistrz. – Teraz!’

Ferriera z niechęcią odwrócił się plecami do księży, rzucił lont i podszedł do balustrady.

–Przygotować się do odparcia ataku – zawołał. – Jeżeli bez zaproszenia podpłyną na bliżej niż pięćdziesiąt jardów, to bez względu na to, co mówią księży, macie rozkaz zatopić ich!

Rodrigues był tak samo wściekły, jak generał-gubernator, wiedział jednak, że wobec

tęgo księdza jest równie bezradny jak on. Nie będziesz zabijał? Na Błogosławionego Jezusa Chrystusa, a co z wami? – chciał wykrzyknąć. Co z auto da fe? Co z inkwizycją? Co z wami, księżmi, ogłaszającymi wyroki na „winnych”, „czarownice”, „satanistów” i „heretyków”? Pamiętajcie te dwa tysiące czarownic, które spalono w samej tylko Portugalii w roku, w którym popłynąłem do Azji? A co z niemal każdą wioską i miastem w Portugalii i Hiszpanii, co z dominiami odwiedzanymi i poddawanych śledztwu przez Bicz Boże, jak dumnie nazywali siebie inkwizytorzy, co ze swędem palonych ciał, który pozostawiali po sobie? O Chryste Panie, miej nas w opiece!

Odsunął od siebie strach i odrazę i skupił się na galerze. Widział w tej chwili Blackthorne’a. Ach, Angliku, pomyślał, dobrze jest cię widzieć, jak stoisz tam dowodząc, taki wysoki i pewny siebie. Sądziłem, że trafisz na pole straceń. Cieszę się, że uciekłeś, ale jednak, na szczęście, nie masz na pokładzie choćby najmniejszego działa, bo wówczas zatopiłbym cię, nie przejmując się nic a nic zdaniem księży.

Matko Boska, ochroń mnie przed złymi kapłanami.

–Ahoj, Santa Theresa!

–Ahoj, Ingeles!

–Czy to re, Rodrigues?

–Tak jest!

–Jak twoja noga?

–Ty skurczybyku!

Rodriguesa ucieszył przekorny śmiech, który nadbiegł ponad dzielącym ich morzem.

Przez pół godziny dwa statki manewrowały, goniąc się, wykonując zwroty i zmieniając kursy. Galera starała się zająć pozycję po nawietrznej i zastawić fregacie drogę przy zawietrznym brzegu, portugalski statek zaś chciał zdobyć dla siebie więcej przestrzeni, tak żeby w razie potrzeby wypłynąć z zatoki. Żadne jednak nie było w stanie zdobyć przewagi i dopiero właśnie podczas tej gonitwy z pokładu fregaty po raz pierwszy dojrzano rybackie łodzie zgromadzone przy wyjściu z zatoki i zrozumiano, co to oznacza.

–Dlatego do nas podpływa! Szuka ochrony!

–To jeszcze jeden powód, żeby go zatopić, skoro wpadł w pułapkę. Ishido będzie

nam dozgonnie wdzięczny – rzekł Ferriera.

Dell'Aqua stał twardo przy swoim zdaniu.

–Toranaga jest zbyt ważny. Nalegam, żebyśmy najpierw z nim porozmawiali. Zatopić go można zawsze. Nie ma dział. Nawet ja wiem, że z działami walczyć można jedynie działami.

Rodrigues pozwolił więc dojrzeć nowej sytuacji, żeby dać im czas na oddech. Oba statki znajdowały się pośrodku zatoki, nie zagrożone przez rybackie łodzie i niegroźne dla siebie nawzajem; fregata drżała na wietrze, gotowa w jednej chwili od niego odpaść, a galera z podniesionymi wiosłami, stojąc bokiem do niej, dryfowała w odległości głosu. Dopiero kiedy Rodrigues zobaczył, że na galerze podnoszą wiosła i obraca się ona burtą do nich, ustawił swój statek pod wiatr, żeby mogła podpłynąć na odległość krzyku, i przygotował się do szeregu następnych manewrów. Dzięki Ci, Boże, Błogosławiony Jezusie, Maryjo i Józefie, że mamy działa, a ten drań wcale, pomyślał znowu. Ten Anglik jest za cwany.

Ale dobrze jest mieć za przeciwnika zawodowca, rzekł w duchu. Znacznie bezpieczniej. Bo wtedy nie ma głupich błędów i nikt nie ponosi niepotrzebnie szwanku.

–Czy wolno wejść na wasz pokład?

–Komu?

–Panu Toranadze, jego tłumaczce i strażnikom.

–Bez strażników – rzekł cicho Ferriera.

–Musi jakichś ze sobą wziąć. To sprawa prestiżu – powiedział Alvito.

–Mam gdzieś jego prestiż. Żadnych strażników.

–Ja też nie chcę wpuszczać samurajów na pokład – przyznał Rodrigues.

–Zgodziłbyś się na pięciu? – spytał Alvito. – Tylko na jego straż przyboczną? Rozumiesz, w czym rzecz, Rodrigues.

Po chwili namysłu Rodrigues skinął głową.

–Pięciu może być, generale-gubernatorze. Wyznamy pięciu ludzi, jako twoją „straż przyboczną”, każdy uzbrojony w dwa pistolety. Ty, ojcze, ustal szczegóły. Szczegółami niech lepiej zajmie się ojciec Alvito, bo zna się na tym. Proszę, ojcze, ale powiesz nam potem, o czym była mowa. Alvito podszedł do nadburcia i krzyknął:

–Kłamstwami nic nie zyskacie! Przygotujcie swoje dusze na spotkanie piekieł, ty i twoi bandyci! Macie dziesięć minut, a potem generał-gubernator pośle was do wszystkich diabłów na wieczne męki!

–Płyniemy pod banderą pana Toranagi, na miły Bóg!

–Ta banderą jest fałszywa, piracie!

Ferriera wystąpił naprzód.

–Po co te bzdury, ojcze?

–Cierpliwości, panie gubernatorze – odparł Alvito. – To tylko konwenans. W przeciwnym razie Toranaga nigdy nie wybaczyłby nam znieważenia jego bandery... co już zresztą zrobiliśmy. To nie jest zwykły daimyō, to Toranaga. Ma on pod bronią więcej żołnierzy niż król Hiszpanii i lepiej byłoby, żebyś o tym nie zapominał, panie.

Wiatr szemrał w takielunku, drzewca klekotały nerwowo. Wtem na pokładzie rufowym galery zapłonęły pochodnie i ujrzeli Toranagę wyraźnie. Ponad falami pobiegł jego głos:

–Tsukku-san! Jak śmiecie unikać mojej galery! Tu nie ma piratów, są za to na tych rybackich łodziach u wejścia do zatoki. Chciałbym natychmiast do was podpłynąć!

–Ależ, panie Toranaga, bardzo przepraszam, nie mieliśmy pojęcia, że to ty, panie! – odkrzyknął Alvito, udając zdziwienie. – Myśleliśmy, że to zwykły podstęp. Szarzy powiedzieli nam, że bandyci roninowie zdobyli galerę siłą. Sądziliśmy, że bandyci pod dowództwem angielskiego pirata płyną pod fałszywą flagą. Zaraz tam płynę.

–Nie. To ją zaraz do was przyplynę.

–Błagam cię, panie Toranaga, żebyś pozwolił mi przyplynąć i ci towarzyszyć. Jest tu ze mną mój przełożony, ojciec wizytator, a także generał-gubernator. Chcą koniecznie naprawić tę pomyłkę. Zechciej przyjąć nasze przeprosiny! – Alvito przeszedł znów na portugalski, krzyknął głośno do bosmana „Spuścić szalupę!”, a potem po japońsku do Toranagi: – Już spuszcza szalupę, wielmożny panie!

Rodrigues, przysłuchując się pełnemu uniżoności głosowi Alvito, pomyślał, że o wiele trudniej jest sobie radzić z Japończykami niż z Chińczykami. Chińczycy rozumieli sztukę pertraktacji, kompromisu, ustępstw i nagród. Natomiast Japończycy przepelnieni byli dumą, a kiedy obrażono dumę kogoś – wszystko jedno kogo, niekoniecznie samuraja – wówczas nawet śmierć była za małą ceną do odpłacenia za zniewagę. Prędzej, skończ z tym, chciał zawołać.

–Popłynę natychmiast, generale-gubernatorze – mówił właśnie Alvito. – Eminencjo,

gdyby i księżdz ze mną popłynął, to jego wizyta bardzo by ugłaskała Toranagę.

–Dobrze.

–A czy to nie jest aby niebezpieczne? – spytał Ferriera. – Może użyć was dwóch jako zakładników.

–Gdybyście tylko dostrzegli oznaki zdrady, nakazuję wam w imię Boże zniszczyć ten statek i wszystkich na nim, nie bacząc na to, czy jesteśmy na pokładzie – odparł dell’Aqua. Dużymi krokami zszedł z rufówki na główny pokład, mijając działa, poły jego sutanny kołysały się dostojnie. Przy furcie wejściowej obrócił się i zrobił znak krzyża. A potem po schodkach zaburtowych zszedł do łodzi.

Bosman odbił od statku. Wszyscy marynarze uzbrojeni byli w pistolety, a pod ławeczką bosmana spoczywała baryłka prochu wraz z lontem. Ferriera przechylił się przez nadburcie i zawołał cicho w dół:

–Eminencjo, przywieźcie tu ze sobą tego heretyka.

–Słucham? Co powiedziałaś, panie?

Dell’Aquie sprawiało przyjemność droczenie się z generałem-gubernatorem, bo straszliwie raziła go nieustanna buta wojskowego. Zresztą dawno temu postanowił dostać w swoje ręce Blackthorne’a, słuch zaś miał doskonały. Che stupido, pomyślał.

–Przywieźcie tu ze sobą tego heretyka, dobrze? – powtórzył Ferriera.

Na pokładzie rufowym Rodrigues usłyszał zduszoną odpowiedź: „Tak, generale-gubernatorze”, i pomyślał: „Co za podłość zamýślasz, Ferriera?”

Twarz miał białą jak kreda, z trudem poprawił się na krześle. Ból w nodze był rozdzierający i Rodrigues większość sił zużywał, żeby go wytrzymać. Kości zrastały się dobrze, a rana – dzięki Ci za to, Matko Boska – nie paprała się. Ale złamanie było złamanie i nawet lekki przechył statku stojącego w dryfie dawał się mu we znaki. Łyknął grogu z wysłużonego bukłaka marynarskiego, który wisiał na kołku przy kompasie.

–Dokucza ci noga, pilocie? – spytał Ferriera, który mu się przypatrywał.

–Mam się dobrze – odparł. Grog stępił ból.

–Czy na tyle dobrze, żebyś dopłynął stąd do Makau?

–Tak. A także stoczył regularną bitwę morską. I powrócił tu w lecie, jeśli o to pytasz.

–Tak jest, o to. – Wargi Ferriery znów zrobiły się cienkie, rozciągając się w wąskim sztucznym uśmiechu. – Potrzebny mi jest zdrowy pilot.

–Jestem zdrowy. Noga zrasta się dobrze. – Rodrigues przewyciężył ból. – Anglik nie wejdzie na nasz pokład dobrowolnie. Ja bym nie wszedł.

–Stawiam sto gwinei, że się mylisz.

–To więcej niż zarabiam przez rok.

–Płatne po dopłynięciu do Lizbony, z zysków, jakie przyniesie Czarna Karawela.

–Przyjmuję zakład. Nic go nie zmusi do wejścia na nasz pokład dobrowolnie. O mój Boże, wzbogaciłem się właśnie o sto gwinei!

–Straciłeś je! Zapomniałeś, że jezuitom zależy bardziej na sprowadzeniu go tutaj niż mnie.

–A to czemu?

Ferriera spojrział mu prosto w oczy i nie odpowiedział, uśmiechając się tak krzywo jak przedtem. Potem zaś rzekł prowokująco:

–Wyprowadziłbym Toranagę z zatoki w zamian za tego heretyka.

–Jak to dobrze, że jestem twoim towarzyszem, panie, potrzebnym tobie i Czarnej Karaweli – odparł Rodrigues. – Nie chciałbym cię mieć za wroga.

–Jak to dobrze, że się nawzajem rozumiemy, pilocie. Nareszcie.

Żądam, abyście wyprowadzili mnie z tej zatoki. Pilnie – powiedział Toranaga dell’Aquie za pośrednictwem tłumacza Avito w obecności stojących obok Yabu i Mariko, która również słuchała. Stał na nadbudówce dziobowej galery, a dell’Aqua z Alvitem niżej, na pokładzie, ale mimo to ich oczy znajdowały się prawie na jednym poziomie. – Albo, jeśli wolicie, niech wasz okręt wojenny usunie mi z drogi tamte łodzie.

–Wybacz mi, panie Toranaga, ale byłoby to niczym nie usprawiedliwione wrogie działanie, które nie dałoby się... nie byłoby wskazane dla tej fregaty – odparł dell’Aqua, zwracając się wprost do daimyō i będąc jak zwykle pod niesłychanym wrażeniem tego, że ojciec Alvito przekłada jego słowa równocześnie. – Nie możemy tego zrobić... gdyż równałoby się to wypowiedzeniu wojny.

–Co zatem proponujesz?

–Zechciej udać się na fregatę, panie. Spytajmy o to generała-gubernatora. Ponieważ

wiemy już, jakie masz kłopoty, on znajdzie rozwiązanie. Jest wojskowym, a my nie.

–Przywieźcie go tutaj.

–Gdybyś ty popłynął tam, byłoby szybciej, wielmożny panie. Nie mówiąc już o zaszczycie, jaki byś nam tym wyświadczył.

Toranaga wiedział, że to prawda. Zaledwie przed kilkoma minutami dostrzegli, jak z brzegu spuszczone na wodę kolejne łodzie wypełnione łucznikami i chociaż w tej chwili byli bezpieczni, nie ulegało wątpliwości, że za godzinę wejście do zatoki zostanie zamknięte przez wrogów.

Był zatem świadom, że nie ma wyboru.

–Przykro mi, wielmożny panie – wyjaśnił mu wcześniej angielski pilot, podczas ich nieudanej pogoni za fregatą. – Nie jestem w sta nie się do niej zbliżyć. Rodrigues jest za sprytny. Wprawdzie, jeśli przestanie wiać, mogę nie dopuścić, by nam uciekł, ale nie pochwycę go w pułapkę, chyba że popełni błąd. Będziemy musieli per traktować.

–A czy popełni błąd i czy wiatr przestanie wiać? – spytał Toranaga za pośrednictwem Mariko.

–Anjin-san mówi, że mądry nigdy nie zakłada się o wiatr, chyba że chodzi o pasat i jest się na pełnym morzu. Ale my znajdujemy się w zatoce, gdzie za sprawą tych gór wiatry wirują i krążą. Tamten pilot, Rodrigues, nie popełni błędu.

Toranaga, który przypatrywał się zmaganiom obu pilotów, przekonał się ponad wszelką wątpliwość, że są mistrzami w swoim fachu. I wtedy uświadomił sobie, że ani on, ani jego ziemie, ani cesarstwo nie będą bezpieczne, dopóki nie zdobędzie nowoczesnych barbarzyńskich statków, a za ich pośrednictwem władzy nad tymi morzami.

Myśl ta poraziła go.

–Ale jak ja mogę układać się z nimi? – spytał. – Czym usprawiedliwię tak jawnie okazaną wrogość wobec mnie? Mam teraz obowiązek zabić ich za znieważenie mojego honoru.

I wówczas pilot wyjaśnił mu fortel z fałszywymi banderami, to, że podstępem tego używały wszystkie statki pragnące zbliżyć się do wroga albo go uniknąć. Toranadze ogromnie ulżyło, że kwestię zachowania przez niego twarzy da się rozwiązać w sposób możliwy do przyjęcia.

–Sądzę, że powinniśmy popłynąć tam zaraz, wielmożny panie – rzekł Alvito.

–Dobrze – zgodził się Toranaga. – Yabu-san, obejmij dowództwo nad statkiem. Mariko-san, powiedz pilotowi, żeby pozostał na rufówce i pilnował steru, a ty popłyniesz ze mną.'

–Tak, panie.

Sądząc z rozmiarów szalupy było oczywiste, że Toranaga może zabrać z sobą tylko pięciu strażników. Ale przewidział i to, a jego ostateczny plan był prosty: jeżeli nie zdoła skłonić tych z fregaty, żeby mu pomogli, to wraz ze swoimi samurajami zabije generała-gubernatora, pilota i księży, a potem zabarykaduje się w jednej z kabin. Jednocześnie galera podpłynie natychmiast do fregaty od strony dziobu, tak jak zaproponował Anjin-san, i razem spróbują zdobyć ją szturmem. Zdobędą ją albo nie zdobędą, w każdym razie szybko wszystko stanie się jasne.

–To dobry plan, Yabu-san – rzekł wcześniej.

–Pozwól, żebym to ja zamiast ciebie pojechał z nimi pertraktować, panie.

–Nie zgodzą się na to.

–Dobrze, ale zaraz po wydostaniu się z tej pułapki wypędź wszystkich barbarzyńców z naszego cesarstwa. Jeżeli to zrobisz, pozyskasz sobie więcej daimyō, niż ich stracisz.

–Rozważę to – odparł Toranaga wiedząc, że to bzdura, że musi” mieć po swojej stronie chrześcijańskich daimyō Onoshiego i Kiyamę, a więc również pozostałych chrześcijańskich feudałów, w przeciwnym razie bowiem wydadzą nań zaoczny wyrok. Dlaczego Yabu pragnął jechać na fregatę? Jaką podłość zamyślał na wypadek, gdyby odmówiono im pomocy?

–Wielmożny panie – spytał go dell'Aqua ustami Alvita – czy mogę poprosić Anjin-sana, żeby nam towarzyszył?

–Po co?

–Pomyślałem sobie, że może chciałby się przywitać ze swoim kolegą, anjinem Rodriguesem. Rodrigues ma złamaną nogę i nie może tu przyplłynąć. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, panie, to chciałby się z nim znów zobaczyć, podziękować mu za uratowanie życia.

Toranadze nie przychodziło na myśl nic, co przemawiałoby przeciw popłynięciu Anglika z nimi. Znajdował się pod jego opieką, tak więc nic nie mogło mu się stać.

–Zgoda, jeżeli on sam zechce popłynąć. Mariko-san, idź z Tsukku-sanem.

Mariko ukloniła się: Dobrze wiedziała, że jej zadaniem jest słuchać, informować i pilnować, żeby wszystko było przekładane poprawnie, bez opuszczeń. Czuła się już lepiej – z doprowadzonymi do idealnego porządku twarzą i fryzurą, w świeżym kimonie pożyczonym od pani Fujiko i z lewą ręką na schludnym temblaku. Jeden z oficerów, uczący się na lekarza, opatrzył jej ranę. Cios miecza nie przeciął ścięgien w jej ręce, a sama rana była czysta. Kąpiel przywróciłaby jej siły i wyleczyła, ale na galerze nie było na nią warunków.

Wraz z Alvitem przeszła na rufówkę. Jezuita spostrzegł, jak dobrze pasuje do Blackthorne'a poplamione kimono, a także nóż, który miał za pasem. Zastanawiał się, do jakiego stopnia wkradł się on w łaski Toranagi.

–Co za spotkanie, pilocie Blackthorne – powiedział.

–Bodajś się w piekle smażył, ojcze! – odparł uprzejmym tonem Blackthorne.

–Być może spotkamy się tam, Anjin-san. Być może się spotkamy. Toranaga powiedział, że możesz popłynąć na fregatę.

–Czy to rozkaz?

–Powiedział, że jeśli chcesz.

–Nie chcę.

–Rodrigues pragnąłby się z tobą zobaczyć i podziękować.

–Przełącz mu moje uszanowanie i powiedz, że spotkamy się w piekle. Albo tutaj.

Nie pozwala mu na to noga.

–A jak tam jego noga?

–Goi się. Dzięki twojej pomocy i łasce Bożej. Za kilka tygodni, jak Bóg da, będzie chodził, chociaż już do końca życia będzie utykał.

–Powiedz mu, że dobrze mu życzę. Lepiej płyńcie, księżę, szkoda czasu.

Rodrigues chciałby się z tobą spotkać. Na stole u niego stoi grog, smaczny pieczony kapłon ze świeżą zieleniną, sos, świeżutki chleb, jeszcze ciepły. Szkoda, żeby się marnowało takie jadlo.

–Co mówisz? Mamy świeżo upieczony złociutki chleb, pilocie, świeże suchary i zadnią wołowinę. Świeże pomarańcze z Goi, a nawet galon madery do popicia albo brandy, jeśli wola. Jest również piwo. A ponadto kapłon z Makau, gorący i soczysty. Generał-gubernator jest epikurejczykiem.

–A niech was wszyscy diabli!

–Co znaczy „epikurejczykiem”? – spytała Mariko.

–Epikurejczyk to ktoś, kto lubi dobrze zjeść i ma suto zastawiony stół, senhora Maria – odparł Alvito, używając imienia, jakie dostała na chrzcie.

Zauważył nagle zmienioną minę Blackthorne’a. Niemal widział, jak mu pracują ślinianki, i prawie czuł, jak boleśnie kurczy mu się żołądek. Dziś wieczorem na widok jadła rozstawionego w wielkiej kabinie kapitańskiej, lśniących sreber, białych obrusów i foteli, prawdziwych miękkich skórzanych foteli, wśród woni świeżego pieczywa, masła i soczystych mięsów jemu samemu zrobiło się słabo z głodu, a przecież nie był wygłodzony czy nie przyzwyczajony do japońskiej kuchni.

Jakże łatwo jest zwabić człowieka, rzekł w duchu. Trzeba tylko mieć właściwą przynętę.

–Do widzenia, naczelny pilocie! – powiedział, odwrócił się i pod szedł do furty wejściowej.

Blackthorne podążył za nim.

–Co się stało, Ingeles? – spytał Rodrigues.

–Gdzie to jadło? Porozmawiamy potem. Najpierw jedzenie, któreście obiecali.

Blackthorne stanął chwiejnie na głównym pokładzie.

–Proszę za mną – powiedział Alvito.

–Gdzie go zabierasz, ojczy?

–Do głównej kabiny, oczywiście, Blackthorne może posilać się podczas rozmowy pana Toranagi z generałem-gubernatorem.

–Nie. Może zjeść w mojej kabinie.

–Doprawdy, łatwiej pójść tam, gdzie jest jadło., – Bosmanie! Dopilnuj, żeby zaraz nakarmiono pilota w mojej kabinie wszystkim, czego zapragnie, co tylko jest na stole. Chcesz grogu, Ingeles, wina, piwa?.

–Najpierw piwa, a potem grogu.

–Bosmanie, zajmij się tym, sprowadź go pod pokład. Aha, słuchaj, Pesaro, daj mu z mojej szafy jakiś przyodziewek, buty i wszystko. Zostań przy nim, dopóki cię nie zawołam.

Blackthorne bez słowa podążył za potężnym, krzepkim bosmanem Pesaro w dół po zejściówce. Alvito już miał odejść od dell'Aquy i Toranagi, którzy za pośrednictwem Mariko rozmawiali przy zejściówce, kiedy Rodrigues zatrzymał go.

–Ojczy! Jedną chwilę. Co mu powiedziałaś?

–Tylko tyle, że chcesz się z nim zobaczyć i że na pokładzie jest jedzenie.

–Że ja mu je proponowałem?

–Nie, Rodrigues, tego nie powiedziałem. Ale czybyś nie zaproponował jedzenia koledze pilotowi, który jest głodny?

Ten biedny drań wcale nie jest głodny, on jest zagłodzony. Jeżeli zacznie jeść w takim stanie, to będzie połykał żarcie jak zgłodniały wilk, a potem zwróci wszystko równie łącno jak zachlana dziewczka. A przecież nie chcemy, żeby któryś z nas, niechby nawet i heretyk, żarł jak zwierzę i rzygał jak bydlę w obecności Toranagi, prawda, ojczy? Nie w obecności, tego sakramenckiego psubrata:” zwłaszcza takiego, którego zamiary są tak czyste jak zżarta franca szpara starej kurwy!

–Trzeba, żebyś nauczył się trzymać na wodzy swój plugawy język, mój synu – rzekł Alvito. – Przez niego trafisz do piekła. Zmów lepiej sto zdrowasiek i pość dwa dni. O chlebie i wodzie. Niechże to będzie pokuta wobec Miłosiernego, żebyś pamiętał o Jego łasce.

–Dziękuję, ojczy, zrobię to. Z chęcią. A gdybym mógł, tobym ukląkł i ucałował twój krzyż. Tak, ojczy, ja, biedny grzesznik, dziękuję ci za cierpliwość, którą obdarzył cię Bóg. Muszę uważać na swój język.

–Schodzisz pod pokład, Rodrigues? – zawołał od zejściówki Ferriera!

–Dopóki stoi tam ta świńska galera, zostanę na pokładzie, gubernatorze. Gdybym był potrzebny, to jestem tutaj. – Alvito właśnie ruszył, kiedy Rodrigues spostrzegł Mariko. – Zaraz, ojczy. Kim jest ta kobieta?

–To donna Maria Toda. Jedna z tłumaczek Toranagi. Rodrigues cichutko gwizdnął.

–Dobra jest? – spytał.

–Bardzo dobra.

–To głupio wpuszczać ją na pokład. Powiedziałaś „Toda”? Czyżby była nałożnicą starego Tody Hiro-matsu?

Nie. To żona jego syna. – Głupio zrobiliście, przywożąc ją na statek; – Rodrigues

przywołał ręką marynarza. – Rozpowiedz wszystkim, że ta kobieta zna portugalski – polecił.

–Tak, senhor.

Marynarz odbiegł, a Rodrigues zwrócił się ponownie w stronę ojca Alvito.

Jezuity bynajmniej nie przestraszył jego widoczny gniew.

–Pani Maria mówi także po łacinie, i to równie doskonale. Czy masz jeszcze coś do mnie, pilocie?

–Nie, dziękuję. Może lepiej zabiorę się do odmawiania zdrowasiek.

–Owszem, powinienesć.

Ksiądz zrobił znak krzyża i odszedł. Rodrigues splunął do splywnika, na co jeden ze sterników wzdygnął się i przeżegnał.

–Przybij sobie swój zapleśniały napletek do masztu! – syknął Rodrigues.

–Tak jest, naczelny pilocie, przepraszam, senhor. Ale w obecności zacnego ojca puszczają mi nerwy. Nic złego nie miałem na myśli.

Młody sternik zobaczył, że ostatnie ziarenka piasku przelatują przez szyjkę klepsydry, i odwrócił ją.

–O wpół do zejdz na dół weź, psiamać, jakiś ceber z wodą, szczotkę do szorowania i posprzątaj ten burdel w mojej kabinie. Po wiedz bosmanowi, żeby przyprowadził Anglika na górę, a ty tam posprzątasz. I radzę ci ją wysprzątać do czysta, bo pasy z ciebie zedrę. A kiedy będziesz to robił, zmów zdrowaśki za swoją potępioną duszę...

–Tak, senhor – odparł słabym głosem młodzieniec.

Rodrigues był fanatykiem, maniakiem na punkcie czystości, a jego własna kabina na tym statku była Świętym Graalem. Bez względu na pogodę wszystko musiało w niej być bez skazy.

–Musi być jakieś rozwiązanie, generale-gubernatorze – rzekł cierpliwie dell’Aqua.

–Chce ojciec otwartego aktu wojny przeciwko zaprzyjaźnionemu narodowi?

–Oczywiście, że nie.

Wszyscy w wielkiej kabinie zdawali sobie sprawę, że wpadli w tę samą pułapkę. Każde otwarte działanie stawiało ich z miejsca po stronie Toranagi, a przeciwko Ishido, czego bezwzględnie musieli uniknąć, gdyż Ishido mógł okazać się zwycięzcą. W tej chwili sprawował władzę nad Osaka, stolicą Kioto oraz nad większością regentów. A za pośrednictwem dwóch daimyō, Onoshiego i Kiyamy, miał kontrolę nad większą częścią wyspy Kiusiu, a tym samym nad portem Nagasaki, głównym ośrodkiem wszelkiego handlu, dzięki temu zaś nad całą wymianą handlową i tegorocznym rejssem Czarnej Karaweli.

–W czym trudność? – spytał za pośrednictwem ojca Alvito Toranaga. – Przecież chcę tylko, żebyście usunęli tych piratów z wejścia do zatoki, ne?

Siedział niewygodnie na honorowym miejscu, zajmując krzesło z wysokim oparciem przy wielkim stole. Obok niego zasiadał Alvito, naprzeciwko generał-gubernator, a przy jego boku dell’Aqua. Mariko stała za plecami Toranagi, a przy drzwiach, zwróceniu twarzami do uzbrojonych marynarzy, samuraje z jego straży przybocznej. Wszyscy Europejczycy mieli świadomość, że chociaż Alvito tłumaczy Toranadze wszystko, co się mówi w kabinie, to obecność Mariko gwarantuje, iż na głos nie zostanie wypowiedziane nic, co godziłoby w interesy jej pana, i że przekład będzie pełny i wierny.

Dell’Aqua pochylił się w krzesło.

–A może, wielmożny panie, wysłałbyś na brzeg posłańców do pana Ishido – rzekł. – Może wyjściem są pertraktacje. Ten statek mógłby im posłużyć jako neutralny grunt. Być może, w ten sposób zapobiegłbyś wojnie...

Toranaga zaśmiał się z pogardą.

–Jakiej wojnie? My, Ishido i ja, nie toczyliśmy wojny.

–Ależ, wielmożny panie, przecież widzieliśmy tę bitwę na brzegu.

–Nie bądźcie naiwni! Kto zginął? Garstka psa wartych roninów.

Kto kogo zaatakował? Jedynie roninowie, bandyci albo wprowadzeni w błąd

gorliwcy.

–A zasadzka? O ile wiemy, to Brązowi walczyli z Szarymi., Bandy ci atakowali wszystkich, Brązowych i Szarych. Moi ludzie walczyli po prostu w mojej obronie. W czasie nocnych potyczek łatwo o pomyłki. Jeżeli Brązowi zabijali Szarych, a Szarzy Brązowych, to jest to godna ubolewania pomyłka. Cóż jednak znaczy garstka żołnierzy dla każdego z nas? Nic. Nie toczymy wojny...

Toranaga spostrzegł ich niedowierzanie, więc dodał:

–Powiedz im, Tsukku-san, że w Japonii wojnę toczą armie. Takie drobne utarczki, zamachy na życie, to zwyczajne sondowanie przeciwnika, w razie niepowodzenia zbywane niczym. Wojna nie zaczęła się dziś wieczorem. Ona zaczęła się po śmierci taikō. A nawet wcześniej, kiedy umierał, nie pozostawiając dorosłego następcy. Albo i jeszcze wcześniej, kiedy zamordowano protektora Gorodę. Dzisiejszy wieczór nie ma trwałych następstw. Nikt z was nie rozumie naszego cesarstwa ani naszej polityki. Skąd mielibyście ją rozumieć? Owszem, Ishido dybie na moje życie. Tak jak wielu innych daimyō. Próbowali tego w przeszłości i spróbują w przyszłości. Kiyama i Onoshi to zarówno wrogo wie, jak przyjaciele. Wiedźcie, że jeżeli ja zginę, to ułatwi to sprawę Ishido, który jest waszym prawdziwym wrogiem, lecz tylko na krótko. W tej chwili schwytał mnie w pułapkę i jeżeli mu się ona uda, to po, prostu zdobędzie chwilową przewagę. A jeżeli nie, to będzie tak, jakby tej pułapki wcale nie było. Jednakże zrozumcie jasno, że moja śmierć nie usunie przyczyny tej wojny ani nie zapobiegnie zwadzie w przyszłości. Zwady nie będzie tylko wtedy, jeżeli Ishido zginie. Tak więc w tej chwili nie ma wojny. Wcale. – Toranaga poprawił się na krześle, nie mogąc znieść odoru w kabinie, jaki bił od tłustego jadła i niemytych ciał. – Ale rzeczywiście mamy do rozwiązania pilny problem. Potrzebuję skorzystać z waszych działań. Skorzystać zaraz. Wyjście z zatoki zagrażają nam piraci. Powiedziałem ci już wcześniej, Tsukku-san, że niedługo wszyscy będą musieli opowiedzieć się po którejś ze stron. A więc jakie jest stanowisko twoje, twojego przywódcy i całego chrześcijańskiego Kościoła? Czy moi portugalscy przyjaciele są ze mną czy przeciwko mnie?

–Bądź pewien, panie Toranaga, że wszyscy popieramy twoje sprawy – odparł dell’Aqua.

–To dobrze. W takim razie natychmiast usuńcie tych piratów.

–Byłby to akt wojny, na którym nic nie można zyskać. A może tak byśmy dobili jakiegoś targu, co? – zaproponował Ferriera.

Alvito nie przełożył jego słów, lecz zamiast tego powiedział:

–Generał-gubernator mówi, że my tylko staramy się uniknąć wtrącania się do

waszej polityki, panie Toranaga. Jesteśmy kapłanami.

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale to nie jest właściwe tłumaczenie – powiedziała do Toranagi Mariko. – Nie to powiedziano.

Alvito westchnął.

–Po prostu przestawiłem niektóre jego słowa, wielmożny panie – rzekł. – Generałowi-gubernatorowi pewne formy dobrego wychowania są obce, ponieważ jest cudzoziemcem. On nie rozumie Japonii.

–Ale ty rozumiesz, Tsukku-san? – spytał Toranaga.

–Staram się, wielmożny panie.

–A co on właściwie mówił?

Alvito powiedział mu.

–Anjin-san Wyjawił mi – rzekł po chwili milczenia Toranaga – że Portugalczycy bardzo interesują się handlem, a handlując przejawiają brak wszelkich manier i humoru. Rozumiem i przyjmuję twoje wyjaśnienie, Tsukku-san. Ale proszę, żebyś odtąd wiernie tłumaczył wszystko, tak jak zostało powiedziane.

–Tak, panie.

–Odpowiedz generałowi-gubernatorowi tak: Kiedy ten konflikt się rozstrzygnie, rozszerzę handel. Ja handel popieram, Ishido nie.

Dell’Aqua, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań, miał nadzieję, że Alvito zatuszował głupotę Ferriery.

–Nie jesteśmy politykami, wielmożny panie, jesteśmy ludźmi religijnymi, reprezentujemy Wiarę i wiernych. Naprawdę popieramy twoje sprawy. Tak.

–Zgoda. Rozważałem... – Alvito przerwał tłumaczenie, twarz mu się rozpromieniła i przez chwilę pozwolił płynąć japońskim słowom Toranagi. – Przepraszam, eminencjo, ale pan Toranaga powiedział: „Rozważałem, czy nie poprosić was o wybudowanie świątyni, dużej świątyni w Edo, jako dowodu zaufania dla waszych spraw”.

Przez długie lata, odkąd tylko Toranaga został panem Ośmiu Prowincji, dell’Aqua zabiegał o to, ustępstwo. A otrzymanie takiego pozwolenia akurat teraz, w trzecim co do wielkości mieście cesarstwa, było ustępstwem bezcennym. Ojciec wizytator był świadom, że nadszedł czas rozstrzygnąć sprawę dział. – Podziękuj mu, Martinie Tsukku-san – rzekł używając szyfrowego zwrotu, który wcześniej ustalili z Alvitem,

obierając taktykę, w której Martinowi przypadła rola chorążego – i powiedz, że zawsze będziemy się starali być do jego usług. Aha. Zapytaj go też, co miał na myśli, mówiąc o katedrze – dodał, specjalnie na użytek generała-gubernatora.

–Czy przez chwilę mógłbym mówić do ciebie wprost, wielmożny panie? – spytał Alvito zwracając się do Toranagi. – Mój pan dziękuje ci i mówi, że to, o coś prosił, jest być może do załatwienia. Będzie dążył, żeby zawsze cię wspierać.

–„Dążenie” to słowo abstrakcyjne i nie zadowalające.

–Tak, wielmożny panie. – Alvito zerknął na strażników, którzy oczywiście przysłuchiwali się im, choć wcale nie sprawiali takiego wrażenia. – Ale pamiętam, jak mówiłeś wcześniej, że czasem mądrze jest korzystać z abstrakcyjnych słów.

Toranaga zrozumiał od razu. Ruchem ręki odprawił swoich samurajów.

–Zaczekajcie na zewnątrz, wszyscy – polecił.

Z niepokojem wypełnili jego rozkaz. Alvito obrócił się do Ferriery.

–Nie potrzebujemy już twoich strażników, generale-gubernatorze – powiedział.

Po wyjściu samurajów Ferriera odprawił swoich ludzi i spojrzał na Mariko. Za pasem miał dwa pistolety, a trzeci schowany w bucie.

–Może chciałbyś, żeby pani Mariko spoczęła, wielmożny panie? – spytał Alvito Toranagę.

Toranaga ponownie zrozumiał. Przez chwilę myślał, a potem lekko skinął głową i nie odwracając się rzekł:

–Mariko-san, weź któregoś z mojej straży i odszukajcie Anjin-sana. Zostań z nim, dopóki po ciebie nie poślę.

–Tak, panie.

Drzwi zamknęły się za nią. Zostali sami. We czwórkę.

–Co to za propozycja? Co on proponuje? – spytał Ferriera.

–Cierpliwości, generale-gubernatorze – odparł dell’Aqua, bębniąc palcami po krzyżu i modląc się za powodzenie.

–Wielmożny panie – zwrócił się Alvito do Toranagi – mój pan mówi, że spróbuje zrobić wszystko, czego żądasz. W ciągu czterdziestu dni. Potajemnie zawiadomi cię o postępach sprawy. Za twoim pozwoleniem, kurierem będę ja.

–A jeżeli mu się nie powiedzie?

–To stanie się to nie z powodu niedostatecznych starań, namów czy też niemyślenia o sprawie. Przysięga na to.

–Przysięga na chrześcijańskiego Boga?

–Tak. Na chrześcijańskiego Boga.

–Dobrze. Da mi to na piśmie. Opatrzonym jego pieczęcią.

–Niekiedy porozumienia, porozumienia delikatnej natury, nie powinny ograniczać się do pism.

–Chcesz przez to powiedzieć, że nie dacie mi zgody na piśmie, jeśli ja nie dam wam swojej?

–Ja tylko przypominam sobie jedno z waszych powiedzeń, że honor samuraja jest z pewnością ważniejszy od świstka papieru. Ojciec wizytator przysięga ci przed Bogiem, dając swoje słowo honoru, tak jak dałby je samuraj. Twój honor jest dla ojca wizytatora dostateczną rękojmią. Pomyślałem tylko, że taki brak zaufania bardzo by go zmartwił. Chcesz, panie, żebym go poprosił o podpis?

–No dobrze – rzekł po dłuższej chwili Toranaga. – Przysięga na boga Jezusa, ne? Przysięga na swojego Boga?

–Składam ją w jego imieniu. Przysięgł na Błogosławiony Krzyż, że dołoży starań.

–I ty również przysięgasz, Tsukku-san?

–Bóg świadkiem, składam taką samą przysięgę na Błogosławiony Krzyż, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc w przekonaniu panów Onoshiego i Kiyamy, żeby zostali twoimi sojusznikami.

–W zamian za to spełnię daną wcześniej obietnicę. Czterdziestego pierwszego dnia będziecie mogli położyć kamień węgielny pod największą chrześcijańską świątynię w cesarstwie. Czy grunt pod nią może być wyznaczony od razu, wielmożny panie?

–Jak tylko przyjadę do Edo. A zatem, co z tymi piratami? Tymi w łodziach rybackich? Usuniecie ich natychmiast?

–Gdybyś miał działa, zrobiłbyś to sam, wielmożny panie?

–Oczywiście, Tsukku-san.

Wybacz mi taki brak zdecydowania, wielmożny panie Toranaga, ale musieliśmy

ułożyć pewien plan. Działa te nie są naszą własnością. Proszę mi dać jeszcze chwilę.
– Alvito zwrócił się do dell’Aquy. – Z katedrą wszystko załatwione, eminencjo – rzekł, po czym zgodnie z wcześniej ustalonym przez nich planem dodał do Ferriery: – Będzie pan rad, że go nie zatopił gubernatorze. Pan Toranaga pyta, czy przewiózłbyś mu dziesięć tysięcy dukatów w złocie, kiedy wyruszysz z Czarną Karawelą do Goi, i zainwestował je na rynku złota w Indiach. Z wielką chęcią dopomogliśmy w tej transakcji, korzystając z pośrednictwa naszych stałych tamtejszych kontrahentów i uwalniając cię od fadygi. Pan Toranaga mówi, że połowa zysku jest twoja. – Obaj, Alvito i dell’Aqua, uznali, że do czasu, kiedy za sześć miesięcy Czarna Karawelą odpłynie z powrotem, Toranaga albo odzyska stanowisko przewodniczącego Rady – i wówczas tym chętniej zgodzi się na tę dochodową transakcję – albo nie będzie żył. – Na czysto powinienes zarobić na tym bez trudu cztery tysiące dukatów. Nic nie ryzykując.

–W zamian za – jakie ustępstwo? To więcej niż wasza roczna subwencja od króla Hiszpanii dla całego Towarzystwa Jezusowego w Azji. W zamian za co?

–Pan Toranaga twierdzi, że piraci nie pozwalają mu opuścić zatoki. On wie chyba lepiej niż ty, czy to są piraci, panie.

Ferriera odpowiedział mu równie rzeczowym tonem, który, jak obaj dobrze wiedzieli, był przeznaczony wyłącznie na użytek Japończyka.

–Nierozważnie jest wierzyć temu człowiekowi. Jego wróg trzyma w ręku wszystkie figury. Ma przeciwko sobie wszystkich chrześcijańskich książy. A ha pewno dwóch najważniejszych, co słyszałem na własne uszy. Powiedzieli, że ten Japus jest naszym prawdziwym wrogiem. Wierzę im, a nie temu głupiemu bękartowi.

–Jestem przekonany, że pan Toranaga wie lepiej od nas, którzy Japończycy są piratami, a którzy nie – odparł mu, nie przejąwszy się jego słowami, dell’Aqua, podobnie jak Alvito wiedząc, co należy zrobić. – Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu, aby pan Toranaga sam się załatwił z tymi piratami?

–Oczywiście, że nie.

–Masz, panie, na pokładzie dużo zapasowych dział – rzekł ojciec wizytator. – Dlaczego nie dać mu po cichu kilku? A właściwie to kilka sprzedać. Bez przerwy handlujesz bronią. On broń kupuje. Cztery działa powinny mu wystarczyć aż nadto. Łatwo dadzą przewieźć się w szalupie, wraz z odpowiednią ilością prochu i kul, także po cichu. A wówczas problem mamy rozwiązany.

–Ferriera westchnął.

–Mój drogi eminencjo, z dział na galerze nie ma żadnego pożytku.

Brak na niej ambrazur, lin, słupów zabezpieczających. Nie mogą użyć dział, nawet gdyby mieli kanonierów, których nie mają. Obaj jezuici oniemieli ze zdziwienia.

–Żadnego pożytku?

–Najmniejszego.

–Ależ, don Ferriera, z pewnością potrafią przystosować galerę...

–Bez przebudowania galery nie da się z niej strzelać z dział. Zajęłoby to przynajmniej tydzień.

–Nan ja? – spytał podejrzliwie Toranaga spostrzegając, że coś się stało, mimo że bardzo starali się to ukryć.

–Toranaga pyta, o co chodzi – przełożył Alvito.

Dell’Aqua zdawał sobie sprawę, że ich czas się kończy., – Generale-gubernatorze, proszę nam pomóc. Proszę o to pana wprost. Uzyskaliśmy ogromne koncesje na rzecz naszej Wiary. Musi mi pan uwierzyć na słowo, a poza tym, tak jest, musi nam pan zaufać. Musi pan pomóc panu Toranadze wydostać się jakoś z tej zatoki. Błagam w imieniu Kościoła. Już sama katedra to z jego strony olbrzymie ustępstwo. Proszę cię.

Ferriera niczym nie dał po sobie poznać, jak bardzo uradowało go to zwycięstwo. Celowo odezwał się jeszcze surowszym tonem.

–Ponieważ prosisz, eminencjo, w imieniu Kościoła, oczywiście spełnię twoją prośbę. Wydostanę go z tej pułapki. Ale w zamian chcę otrzymać dowództwo Czarnej Karaweli w roku przyszłym, bez względu na to, czy ten będzie pomyślny.

–Nominacją tą dysponuje wyłącznie król Hiszpanii, jedynie on. Nie ja.

–Po wtóre: zgadzam się na jego propozycję co do złota, ale chcę twojej gwarancji, że ani tu, ani ze strony wicekróla Goi nie spotkają mnie żadne kłopoty zarówno w tej sprawie, jak i w kwestii obu Czarnych Karawel.

–Ośmielasz się szantażować mnie i Kościół, panie?

–To najzwyczajsza transakcja handlowa pomiędzy tobą, mną i tą małpą.

–To nie małpa, generale-gubernatorze. Radzę o tym pamiętać.

–Po trzeciej: zamiast dziesięciu dostanę piętnaście procent zysków z tegorocznego ładunku.

–Niemożliwe.

Po czwarte: dla porządku, eminencjo, przysięgniesz przed Bogiem – w tej chwili – że ani ty, ani żaden z podległych ci księży nigdy nie zagroziecie mi ekskomuniką, chyba że popełniłbym świętokradztwo, a nic z tego, co powiedziałem, nim nie jest. Ponadto zaś, również przed Bogiem, przysięgniesz, że ty i twoi świątobliwi ojcowie, wesprzecie mnie czynnie i dopomożecie tym dwu Czarnym Karawelom.

–I co jeszcze, generale-gubernatorze? Bo to z pewnością nie wszystko. Na pewno chcesz coś jeszcze.

–A po ostatnie: chcę tego heretyka.

Mariko spojrzała na Blackthorne'a od drzwi kabiny. Leżał półprzytomny na podłodze, skręcany wymiotami. Bosman opierał się o koję, łypiąc na nią okiem, i widać było żółte pieńki jego zębów.

–Zatruł się czy upił? – spytała Totomiego Kanę, stojącego obok niej samuraja, bezskutecznie próbując nie wpuścić do nozdrzy smrodu jedzenia i wymiocin, szpetnego smrodu marynarza, który stał na wprost niej, i nieodłącznego, przenikającego cały statek smrodu z zęz. – Bo sprawia to niemal takie wrażenie, jakby go otruli, ne?

–Może się zatruł, Mariko-san. Spójrz tylko na ten chlew, pani!

Samuraj ze wstrętem wskazał stół. Był on zalany piwem i zastawiony drewnianymi talerzami z resztkami okrojonego, na wpół surowego pieczonego udźca wołu, połówkami kurczaków z można, kawałkami odłamanego chleba i sera, stały też tam masło, a także sosjerka ze smalcem z boczku i opróżniona do połowy flaszka brandy.

Żadne z nich nie widziało dotychczas europejskiego jedzenia na stole.

–Czego chcecie? – spytał bosman. – Żadnych małp. Wakarimasu? Żadnych małpich-sanów w ta kabina! – Spojrzał na samuraja i gestem nakazał mu wyjść. – Won! Poszedł stąd! – Jego spojrzenie przeskoczyło na Mariko. – Jak się nazywasz? Imię, ha?

–Co on mówi, Mariko-san? – spytał samuraj. Bosman zerknął na niego, a potem znowu na Mariko.

–Co mówi ten barbarzyńca, Mariko-san?

Mariko oderwała zahipnotyzowany Wzrok od stołu i skupiła uwagę na bosmanie.

–Przepraszam, senhor, nie rozumiem. Co powiedziałaś?

–E? – Bosman jeszcze szerzej rozdziawił usta. Był potężnie zbudowanym grubasem ze zbyt blisko siebie osadzonymi oczami i wielkimi uszami, a włosy miał związane w nasmołowany mysi ogon. Z pofałdowanej szyi zwisał mu krzyż, a za pasem nosił luźno zatknięte pistolety. – E? To ty mówisz po portugalsku? Japuska, która mówi po portugalsku? Gdzieżeś się wyuczyła gadać po ludzku?

–Na... nauczył mnie chrześcijański ksiądz.

–Kurwa żesz moja mać! Matko Boska, kwiatusek, który gada po ludzku!

Blackthorne znowu zwymiotował i niemrawo próbował wstać z pokładu.

–Czy możesz... czy możesz, proszę, położyć pilota tam? – spytała; wskazując koję.

–A owszem. Jeżeli ta mała mi pomoże.

–Kto? Przepraszam, co powiedziałaś? Kto?

–On! Ten Japus. On.

Słowa te tak nią wstrząsnęły, że z najwyższym trudem zachowała spokój. Skinęła na samuraja.

–Kana-san, czy mógłbyś, proszę, pomóc temu barbarzyńcy? Trzeba położyć Anjin-sana tam.

–Chętnie, pani.

We dwójkę mężczyźni podnieśli Blackthorne'a i z głuchym odgłosem zwalili go na posłanie. Głowę miał za ciężką i bełkotał od rzeczy.

–Trzeba go umyć – powiedziała po japońsku Mariko, wciąż jeszcze osłupiała z powodu tego, jak bosman nazwał Kanę.

–Tak, Mariko-san. Każ temu barbarzyńcy posłać po służących.

–Dobrze. – Stół znów jak magnes przyciągnął jej niedowierzający, wzrok. – Czy oni naprawdę to jedzą?

Bosman podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Natychmiast pochylił się nad stołem, oderwał nogę kurczęcia i poczęstował ją.

–Głodnaś? Proszę, mały kwiatku-san, to smaczne. Świeży, dzisiejszy, prawdziwy kapłon z Makau.

Posiwiąłą gębę bosmana przeciął uśmiech. Uczynnie umaczał nogę kurczaka w

gęstym sosie i podetknął jej pod nos.

–Z sosem jest jeszcze lepsze. Ej, miło jest pogadać sobie po ludzku, nie? Jeszcze mi się to tu nie zdarzyło. Jedz, nabierzesz sił... tam, gdzie trzeba! Mówię ci, to kapłon z Makau!

–Nie... nie, dziękuję. Jedzenie mięsa... jedzenie mięsa jest zakazane. Sprzeczne z prawem... sprzeczne z buddyzmem i sintoizmem.

–Ale nie w Nagasaki! – Bosman roześmiał się. – Kupa Japusów bez przerwy wcina mięcho. Wszyscy jedzą, kiedy tylko mogą je zdobyć, a do tego chłają nasz grog. Jesteś chrześcijanką, co? No to spróbuj, mała donno. Jak masz się przekonać, jeśli nie spróbujesz?

–Nie, nie, dziękuję.

–Człowiek nie może żyć bez mięsa. To jest prawdziwe żarcie. Daje ci tyle sił, że możesz się pieprzyć jak gronostaj. Proszę... – Wyciągnął nogę kurczaka w stronę Kany. – Chcesz?

Kana pokręcił głową, tak jak ona czując obrzydzenie.

–Iye!

Bosman wzruszył ramionami i niedbale rzucił nogę kurczęcia na stół.

–Jak iye, to iye. Coś sobie zrobiła w rękę? Ranili cię podczas walki?

–Tak. Ale to nic poważnego.

Mariko poruszyła ręką, żeby mu ją pokazać, i przewyciężyła ból.

–Biedactwo! Czego tu chcesz, donna senhorita, ha?

–Zobaczyć An... zobaczyć pilota. Przysłał mnie pan Toranaga. Czy pilot się upił?

–Tak, upił się i nażarł. Biedny drań za prędko jadł i za prędko pił. Jednym haustem wydudlił pół flaszki. Wszyscy Anglicy są tacy sami. Grog się przy nich nie utrzyma i brak im ikry. – Obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów. – Jeszcze nie widziałem takiego małego kwiatuszka jak ty, nigdy też nie rozmawiałem z Japuską, która mówi po ludzku.

–Czy wszystkie japońskie kobiety i samurajów nazywasz Japusami i małpami?

Żeglarz zaśmiał się krótko.

–Ech, senhorita, przejęzyczyłem się. Tak nazywamy zwykłych ludzi, wiesz, rajfurów i dziewczki z Nagasaki. Nie chciałem cię obrazić. Ale jeszcze nigdy nie rozmawiał z cywilizowaną senhorita, nie miałem pojęcia, że takie są, jak pragnę Boga.

–Ja również, senhor, jeszcze nigdy nie rozmawiałam z cywilizowanym Portugalczykiem oprócz kapłanów. Jesteśmy Japończykami, a nie Japusami, ne? A małpy to zwierzęta, prawda?

–Pewnie. – Bosman odsłonił połamane zęby. – Wyrażasz się jak donna. Tak jest. Bez obrazy, donna senhorita.

Blackthorne zaczął mamrotać. Podeszła do koi i lekko nim potrząsnęła.

–Anjin-san! Anjin-san!

–Tak... tak? – Blackthorne otworzył oczy. – A... witaj... prze... ja... Cierpiał tak bardzo, a kabina tak mu wirowała, że musiał się położyć.

–Poślij, proszę, po służącego, senhor – powiedziała Mariko. – Trzeba go umyć.

–Są tu niewolnicy... ale nie do tego, donna senhorita. Zostaw tego Anglika... co znaczy te trochę rzygowin dla heretyka?

–Nie ma służby? – spytała zdumiona.

–Mamy niewolników – odparł bosman – czarnuchów, ale są leniwi. Ja tam nie pozwoliłbym żadnemu, żeby mnie mył – dodał z krzywym uśmiechem.

Mariko wiedziała, że nie ma wyboru. Toranaga mógł wezwać Anjin-sana natychmiast, a za wykonanie tego rozkazu odpowiadała ona.

–W takim razie potrzebuję wody, – powiedziała. – Żeby go obmyć.

–Beczka stoi przy zejściówce. Pokład niżej.

–Przynieś mi ją z łaski swojej, senhor.

–Poślij jego – odparł bosman, wskazując palcem Kanę.

–Nie. Zechciej przynieść ty. Zaraz.

Bosman obejrzał się na Blackthorne'a.

–Jesteś jego kochanicą?

–Słucham?

–Kochanicą Anglika?

–Co znaczy „kochanicą”, senhor?

–Jego kobitą. Jego miłośnicą, rozumiesz, senhorita, lubą tego pilota, jego rozkosznicą. Kochanicą.

–Nie. Nie, senhor, nie jestem jego kochanicą.

–No to jego? Tej mał... tego samuraja? A może tego króla, tego, co właśnie wszedł na pokład? Tora... jakiegoś tam? Jesteś którąś z jego kobit?

–Nie.

–Ani nikogo na galerze?

Zaprzeczyła kręcąc głową.

–Czy mógłbyś, proszę, przynieść trochę wody?

Bosman skinął głową i wyszedł.

–Pierwszy raz przebywam w bliskości tak odrażającego, tak okropnie cuchnącego człowieka – rzekł samuraj. – Co mówił?

–Że... ten człowiek pytał, czy... czy należę do konkubin pilota.

Samuraj podszedł do drzwi.

–Kana-san!.

–Żądam, abys pozwoliła mi w imieniu twojego męża pomścić tę zniewagę. Natychmiast,! Jakże byś w ogóle mogła obcować z jakimś barbarzyńcą!

–Kana-san! Proszę cię, zamknij drzwi.

–Ty jesteś Toda Mariko-san! Jakim prawem on śmiał cię znieważyć? Ta zniewaga musi być pomszczona!

–Będzie pomszczona, Kana-san, dziękuję ci. Tak, pozwalam ci na to. Ale jesteśmy tutaj z rozkazu pana Toranagi. I dopóki on nie wyrazi zgody, taki czyn byłby niewłaściwy.

Kana niechętnie zamknął drzwi.

–Dobrze – rzekł. – Ale proszę cię uroczyście, żebyś przed opuszczeniem tego

statku poprosiła o to pana Toranagę.

–Tak. Dziękuję ci za twoją troskę o mój honor. – Przerażona zadała sobie pytanie, jak by się zachował Kana, gdyby wiedział o wszystkim, co zostało powiedziane. Co by zrobił pan Toranaga? Albo Hiro-matsu? Albo Buntaro? Małpy? Matko Boża, pomóż zachować spokój i jasność umysłu. Chcąc osłabić gniew Kany, prędko zmieniła temat. – Anjin-san wygląda tak bezradnie. Jak dziecko. Widocznie barbarzyńcy źle znoszą wino. Tak jak niektórzy nasi mężczyźni.

–Owszem. Ale to nie od wina. Niemożliwe. To z tego, co on zjadł.

Blackthorne poruszył się niespokojnie, walcząc o odzyskanie przytomności.

–Na tym statku nie mają służby, Kana-san, tak że muszę zastąpić mu służącą.

Niezręcznie, gdyż przeszkadzała jej zraniona ręka, zaczęła rozbierać Blackthorne'a.

–Pozwól, że ci pomogę. – Kana okazał się bardzo sprawny. – Robiłem to samo z moim ojcem, kiedy go zmoгло sake.

–Dobrze jest, kiedy mężczyzna upije się raz na jakiś czas. Wypędza to z niego wszystkie złe duchy.

–Tak. Ale mój ojciec następnego dnia strasznie cierpiał.

–Mój mąż też bardzo cierpi. Przez kilka dni.

–Dałby Budda, żeby pan Buntaro uciekł – rzekł po chwili Kana.

–Tak. – Mariko rozejrzała się po kabinie. – Nie pojmuję, jak oni mogą żyć w takim brudzie. Gorzej od najbiedniejszych. W tamtej drugiej kabinie o mało co nie zemdlałam od smrodu”.

–Jest odrażający. Nigdy dotąd nie byłem na statku barbarzyńców.

–A ja jeszcze nigdy nie byłam na morzu.

Drzwi otworzyły się i bosman postawił ceber. Nagość Blackthorne'a zgorszyła go, więc wyszarpnął spod koi koc i przykrył go nim.

–On umrze. A poza tym... wstyd robić coś takiemu człowiekowi, nawet jemu.

–Słucham?

–Nic. Jak ci na imię, donna senhorita? – spytał z błyszczącymi oczami.

Nie odpowiedziała. Odsunęła koc i umyła Blackthorne'a do czysta, rada, że ma zajęcie, źle znosząc pobyt w tej kabinie oraz przykrą obecność bosmana. Zastanawiała się przy tym, o czym rozmawiają w drugiej kabinie. Czy jej pan jest bezpieczny.

Kiedy skończyła, zwinęła kimono Blackthorne'a i jego brudną przepaskę na biodra.

–Czy można to uprać, senhor?

–Że co?

–Te rzeczy powinny być zaraz wyprane. Czy pošlesz z łaski swojej po niewolnika?

–Mówiłem ci już, że to banda leniwych czarnuchów. Zajęłoby to im tydzień albo dłużej. Wyrzucić je, donna senhorita, szkoda gadać. Nasz kapitan, pilot Rodrigues, kazał mu dać prawdziwe ubranie. Proszę. – Otworzył skrzynię żeglarską, – Kazał mu dać coś stąd.

–Nie wiem, jak w to ubrać mężczyznę.

–Potrzebuje koszuli, spodni, sącza, skarpet, butów i kaftana.

Bosman wyjął te wszystkie rzeczy i pokazał jej. A potem ona i samuraj wspólnie zaczęli ubierać Blackthorne'a, który nadal był półprzytomny z przepicia.

–Jak on to nosi? – spytała, podnosząc w górę trójkątną workowatą moszenkę z tasiemkami.

–Matko Boska, z przodu, o tak – odparł zakłopotany bosman, wskazując własną. – Tak jak mówię, sacek zawiązuje się na spodniach. Na przyrodzeniu.

Spojrzała na bosmana i uważnie przyjrzała się jego sączkowi. Zauważył jej wzrok i poruszył się nerwowo.

Przyłożyła moszenkę do ciała Blackthorne'a i ostrożnie ją dopasowała, a potem wraz z samurajem przewlekli tasiemki pomiędzy jego nogami i obwiązali go nimi w pasie.

–Nie widziałam jeszcze tak nedorzecznej części garderoby – powiedziała cicho do Kany.

–Musi być bardzo niewygodna – odparł samuraj. – Czy księża noszą je, Mariko-san? Pod habitami? Nie wiem.

Odsunęła z oczu kosmyk włosów.

–Senhor. Czy Anjin-san jest już ubrany jak należy?

–Tak. Z wyjątkiem butów. Są tutaj. Mogą poczekać. – Bosman podszedł do niej, więc zacisnęła nozdrza. Odwrócony tyłem do samuraja, ściszył głos. – Chcesz ze mną pofiglować?

–Słucham?

–Podobasz mi się, senhorita, he? Co ty na to? W kabinie obok jest koja. Odeślij swojego znajomka na górę. Anglik jeszcze przez godzinę się nie ocknie. Zapłacę zwykłą stawkę.

–Słucham?

–Zarobisz miedziaka... a nawet trzy, jeżeli robisz to jak gronostaj, a wygodzi ci najlepszy kogut stąd do Lizbony. Co ty na to?

Samuraj spostrzegł jej przerażenie.

–O co chodzi, Mariko-san? – spytał. Mariko precyzyjnie się obok bosmana, odsuwając się jak najdalej od koi.

–On... on powiedział... – odparła, zacinając się.

Kana natychmiast wyciągnął miecz, ale stanął oko w oko z lufami dwóch pistoletów z odwiedzionymi kurkami. Lecz mimo to przygotował się do ataku.

–Stój, Kana-san! – wykrztusiła Mariko. – Pan Toranaga zabronił nam atakować bez jego rozkazu!

–No chodź, małpo, zaatakuj mnie, ty głupi śmierdzący zasrańcu! Słuchaj! Każ tej małpie odłożyć miecz, bo psi syn straci łeb prędzej, niż zdąży pierdnąć!

Mariko stała o stopę od bosmana. Prawą dłoń, nadal wsuniętą pod obi, trzymała na rękojeści sztyletu. Ale przypomniała sobie, co jest jej obowiązkiem, i cofnęła rękę.

–Kana-san – powiedziała – schowaj miecz. Proszę. Musimy być posłuszni panu Toranadze. Musimy mu być posłuszni, Kana z najwyższym wysiłkiem spełnił jej prośbę.

–Korci mnie, żeby cię posłać do piekła, Japusie!

–Wybacz mu, proszę, senhor, i wybacz mnie – powiedziała Mariko, starając się przybrać grzeczny ton. – To był błąd, bł...

–Ta małpia mordą wyciągnęła miecz. To nie był błąd, jak pragnę Jezusa!

–Proszę, wybacz to nam, senhor, bardzo przepraszam.

Bosman oblizwał wargi.

–Zapomnę o tym, jeżeli będziesz dla mnie miła, kwiatuszku. Pójdziemy do kabiny obok, a ty powiesz tej mał... powiesz mu, żeby został tutaj, a zapomnę o całej sprawie.

–Jak... jak się nazywasz, senhor?

–Pesaro. Manuel Pesaro, bo co?

–Nic. Zechciej wybaczyć mi to nieporozumienie, senhor Pesaro.

–Idź do kabiny obok. Już.

–Co się dzieje? Co... – Blackthorne nie miał pojęcia, czy się ocknął, czy też nadal śni zły sen, ale wyczuł zagrożenie. – Co tu się dzieje, na miły Bóg?!

–Ten śmierdzący Japus zamierzył się na mnie!

–To była... pomyłka, Anjin-san – wyjaśniła Mariko. – Ja... ja już przeprosiłam senhora Pesaro.

–Mariko? Czy to ty... Mariko-san?

–Hai, Anjin-san. Honto. Honto.

Podeszła bliżej. Bosman cały czas mierzył nieruchomymi pistoletami prosto w Kanę. Musiała precyzyjnie przycisnąć się obok niego i z jeszcze większym trudem opanowała chęć, żeby wyciągnąć sztylet i dźgnąć go nim w brzuch. W tym momencie otworzyły się drzwi. Do kabiny wszedł młody sternik z cebrem wody. Spojrzał jak głupi na pistolety bosmana i uciekł.

–Gdzie jest Rodrigues? – spytał Blackthorne, próbując zebrać myśli.

–Na górze, tam gdzie jest miejsce pilota – odparł bosman zgrzytliwym głosem. – Ten Japus zamierzył się na mnie, na miły Bóg!

–Pomóż mi wejść na pokład.

Blackthorne uchwycił się krawędzi koi. Mariko wzięła go pod rękę, ale nie była w stanie go utrzymać.

Bosman machnął pistoletem w stronę Kany.

–Niech ci pomoże – powiedział. – I powiedz mu, że jak Bóg na niebie, przed odpływem zawiśnie na noku rei.

Pierwszy oficer, Santiago, oderwał ucho od sekretnej dziury po sęku w ścianie głównej kabiny kapitańskiej, mając w głowie ostatnie słowa dell'Aquy: „A więc wszystko załatwione”. Bezszelestnie przeszedł przez mroczną kabinę, wymknął się na korytarz i cicho zamknął drzwi. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o spokojnej twarzy, a włosy nosił splecione w wymołowany warkocz. Ubranie miał czyste i jak większość żeglarzy był boso. W pośpiechu wspiął się po zejściówce i przez pokład główny dobiegł do rufówki, gdzie Rodrigues właśnie rozmawiał z Mariko. Przeprosił ich, nachyliwszy się przysunął wargi bardzo blisko ucha Rodriguesa i zaczął mu przekazywać wszystko, czego się dowiedział i miał polecenie podsłuchać, tak żeby nie usłyszał tego nikt więcej na pokładzie.

Blackthorne siedział na samej rufie, oparty o nadburcie, z głową złożoną na kolanach podkurczonych nóg. Wyprostowana Mariko siedziała po japońsku naprzeciw Rodriguesa, a przy niej posępny samuraj Kana. Na pokładach pełno było uzbrojonych marynarzy, także w bocianim gnieździe, dwóch zaś przy sterze. Statek w dalszym ciągu stał dziobem do wiatru, noc i powietrze były czyste, chmur więcej, a deszcz niedaleko. O sto jardów od fregaty, bokiem do niej, wystawiona na łaskę jej dział, tkwiła galera z wiosłami złożonymi w dulkach, jeśli nie liczyć dwóch po obu burtach. Utrzymywały ją one w miejscu, gdyż spychał ją lekki prąd. Rybackie łodzie z wrogimi japońskimi łucznikami, które trzymały ją w pułapce, zbliżyły się, lecz nie ruszyły jeszcze do ataku.

Mariko przyglądała się Rodriguesowi i jego oficerowi. Nie słyszała ich rozmowy, a gdyby nawet ją słyszała, puściłaby ją mimo uszu, bo tak ją wychowano. W domach z papieru nie mogłoby być mowy o zachowaniu intymności, gdyby nie przestrzegano zasad grzeczności i liczenia się z drugimi. Bez intymności cywilizowane życie byłoby niemożliwe, tak więc wszyscy byli nauczeni słuchać i nie słyszeć. Z korzyścią dla wszystkich.

Kiedy wyszła z Blackthorne'em na pokład, Rodrigues wysłuchał wyjaśnień bosmana oraz jej nieprzekonujących tłumaczeń, że był to jej błąd, bo źle zrozumiała słowa bosmana, co skłoniło Kanę do sięgnięcia, po miecz w obronie jej czci. Bosman słuchał tego z szerokim uśmiechem, pistoletami nadal mierząc w plecy samuraja.

–Ja tylko żem spytał, czy ona jest kochanicą Anglika, jak pragnę Boga, no bo bez najmniejszej krępacji myła go i wsadzała mu ptaka do saka.

–Schowaj te pistolety, bosmanie.

–On jest niebezpieczny, pilocie, mówię ci. Powieś go!

–Będę go miał na oku. Idź na dziób.

–Gdybym nie był szybszy od tej małpy, toby mnie zakatrupił. Daj go na nok rei. Tak to załatwiamy w Nagasaki.

–Nie jesteśmy w Nagasaki... idź na dziób! Ale już! A kiedy bosman odszedł, Rodrigues spytał:

–Co on ci powiedział, senhora? Co powiedział naprawdę?

–Że... nic, senhor. Nie pytaj, proszę.

–Przepraszam ciebie i twojego towarzysza za zuchwalstwo tego człowieka. Zechciej go przeprosić ode mnie, poproś o wybaczenie.

A poza tym Uroczyście proszę was oboje, abyście puścili w niepamięć jego zniewagi. Awantury na pokładzie nie przysłużyłyby się dobrze ani waszemu panu, ani mojemu. Przrzekam, że porachuję się z nim po swojemu w odpowiednim czasie.

Przemówiła do Kany, który po jej namowach wreszcie przystał na wszystko.

–Kana-san mówi, że zgadza się, ale że jeżeli zobaczy bosmana Pesaro na brzegu, to mu zetnie głowę.

–I całkiem słusznie, Bóg świadkiem. Tak jest. Dōmo arigato, Kana-san – powiedział z uśmiechem Rodrigues. – Dōmo arigato goziemashita, Mariko-san.

–Ty mówisz po japońsku, panie?

–Och, nie, zaledwie kilka słów. W Nagasaki mam żonę.

–A! Długo jesteś w Japonii? To mój drugi rejs z Lizbony. W sumie spędziłem na tych wodach siedem lat, tutaj oraz pływając tam i z powrotem do Makau i do Goi – dodał Rodrigues. – Nie zważaj na bosmana, to eta. Ale Budda powiedział, że nawet eta mają prawo żyć. Ne?

–Naturalnie – odparła Mariko, a twarz i nazwisko Portugalczyka na zawsze zapadły jej w pamięć.

–Moja żona mówi trochę po portugalsku, ale gdzie jej do ciebie, pani. Jesteś oczywiście chrześcijanką?

–Tak.

–Moja żona nawróciła się. Jej ojciec jest samurajem, ale niewiele znaczącym,. Jego władcą jest pan Kiyama.

–Ma szczęście, że posiada takiego męża – odparła uprzejmie Mariko, lecz w duchu

zadawała sobie zdumiona pytanie, jakże można poślubić barbarzyńcę i z nim żyć. Na przekór swojej wrodzonej grzeczności. – Czy twoja pani, twoja żona, je mięso, takie jak... jak to w kabinie?

–Nie – odparł ze śmiechem Rodrigues, odsłaniając białe, zdrowe, silne zęby. – A w moim domu w Nagasaki ja także nie jadam mięsa. Na morzu i w Europie owszem. To nasz zwyczaj. Tysiąc lat temu, zanim przyszedł Budda, był to również wasz zwyczaj, ne? Zanim Budda zaczął przestrzegać Tao, Drogi, wszyscy jedli mięso. Nawet tutaj, senhora.

Nawet tutaj. No, a teraz naturalnie zmądrzeliśmy, niektórzy z nas, ne?

Mariko przemyślała to sobie, a potem spytała:

–Czy wszyscy Portugalczycy nazywają nas małpami? I Japusami?

Za naszymi plecami?

Rodrigues szarpnął kolczyk w uchu.

–A czy wy nie nazywacie nas barbarzyńcami? – spytał. – Nawet prosto w oczy? Jesteśmy cywilizowani, a przynajmniej za takich się uważamy, senhora. W Indiach, ojczyźnie Buddy, nazywają Japończyków Wschodnimi Diabłami i nie pozwolą wylądować tam żadnemu z bronią. Wy nazywacie Hindusów Czarnymi i niehumanitarnymi. A jak nazywają Japończyków Chińczycy? Jak wy nazywacie Chińczyków? Jak nazywacie Koreańczyków? Czosnkojadami, ne?

–Wątpię, czy pan Toranaga byłby zadowolony. Albo pan Hiro-matsu, albo nawet ojciec twojej żony.

–Błogosławiony Jezus rzekł: „Pierwej usuńcie źdźbło z własnego oka, nim usuniecie belkę z mojego”.

W tej chwili jeszcze raz zastanawiała się nad tym patrząc, jak pierwszy oficer szepce pośpiesznie do ucha portugalskiego pilota. Oficer jeszcze bardziej ściszył głos, – Co takiego powiedział?! – wykrzyknął Rodrigues, niechętny zakławszy.

Mariko wbrew sobie próbowała podsłuchać, co mówi oficer. Ale nie dosłyszała, co powtórzył. A potem zobaczyła, że obaj z troską spoglądają na Blackthorne'a, więc zaniepokojona tym podążyła wzrokiem za ich spojrzeniami.

–Co się jeszcze wydarzyło, Santiago? – spytał ostrożnie Rodrigues, świadom obecności Mariko.

Oficer odpowiedział mu szeptem, osłaniając usta dłonią.

–Jak długo zostaną pod pokładem?

–Przepijali do siebie. I pili za ten układ.

–Dranie! – Rodrigues chwycił oficera za koszulę. – Ani słowa o tym, na miły Bóg. Jeśli ci życie miłe!

–Mnie nie trzeba tego mówić, pilocie.

–Zawsze jest taka potrzeba! – Rodrigues zerknął na Blackthorne’a.– Obudź go!

Oficer podszedł do Blackthorne’a i potrząsnął nim brutalnie...

–O co chodzi, co?

–Uderz go!

Santiago uderzył Anglika w twarz.

–Jezu Chryste, ja...

Blackthorne zerwał się na nogi, twarz go piekła, zachwiał się jednak i upadł.

–Skaranie boskie, ocknij się, Ingeles! – Rodrigues raptownym ruchem palca wskazał dwóch sterników. – Wyrzućcie go za burtę!

–Co?

–Natychmiast, do diabła!

Kiedy obaj pośpiesznie podnieśli Anglika, Mariko zaprotestowała: „Pilocie Rodrigues, nie wolno...”, ale zanim ona albo Kana mogli temu przeszkodzić, sternicy wyrzucili Blackthorne’a za burtę. Spadł z wysokości dwudziestu stóp na brzuch wzbijając chmurę wodnego pyłu i przepadł. Po chwili wynurzył się, zachłystując się, pluąc i młócąc kończynami wodę, której lodowatość otrzeźwiła go.

Rodrigues z trudem spróbował wstać z żeglarskiego krzesła.

–O Matko, pomóż mi któryś!

Jeden ze sterników skoczył, żeby pomóc, a pierwszy oficer wsunął Rodriguesowi rękę pod pachę.

–Ostrożnie, Chryste Panie, uważaj na moją stopę, ty niezgrabny kapuściany łbie!

Podprowadzili go do burty. Blackthorne nadal krztusił się i pluł, ale zdążył już

podpłynąć do burty statku i miotał przekleństwa na tych, którzy go za nią wyrzucili.

–Dwa rumby w prawo! – rozkazał Rodrigues.

Fregata lekko odpadła od wiatru i odsunęła się od Blackthorne'a.

–Trzymaj się z dala od mojego statku! – krzyknął Rodrigues i nagłym tonem powiedział do pierwszego oficera: – Weź szalupę, wyłów Anglika i zawieź go na galerę. Szybko. Powiedz mu... – Tu ściszył głos.

Mariko dziękowała Bogu, że Blackthorne nie utonął.

–Pilotcie! – powiedziała. – Anjin-san jest pod opieką pana Toranagi. Domagam się, żeby go natychmiast wyłowiono!

–Chwileczkę, Mariko-san! – odparł Rodrigues, nadal szepcząc do Santiago, ten zaś skinął głową i gdzieś popędził. – Przepraszam, Mariko-san, gomen kudasai, ale było to pilne. Ingeles musiał się rozbudzić. Wiedziałem, że umie pływać. Musiał otrzeźwieć, i to migiem!

–Dlaczego?

–Jestem jego przyjacielem. Nie Wspominał ci o tym?

–Tak. Ale Anglia i Portugalia toczą wojnę. A także Hiszpania.

–Owszem. Ale piloci powinni być ponad to.

–A zatem wobec kogo masz obowiązek?

–Wobec tej bandery.

–A czy to nie znaczy, że wobec twojego króla?

–Tak i nie, senhora. Jestem winien temu Ingelesowi życie. – Rodrigues obserwował szalupę. – Tak trzymać... a teraz ustaw nas pod wiatr – poleciał drugiemu sternikowi.

Tak, senhor., Czekał, sprawdzając raz i drugi siłę i kierunek wiatru, a wzrokiem rafy i odległy brzeg. Marynarz z sondą ręczną podawał głębokości.

–Przepraszam, co mówiłaś, senhora?

Rodrigues patrzył na nią przez chwilę, a potem zajął się ponownie sprawdzaniem położenia statku i szalupy. Mariko również jej się przyglądała. Marynarze wyciągnęli Blackthorne'a z wody i wiosłowali w tej chwili mocno ku galerze. Siedzieli, zamiast stać, i pchali wiosła. Nie widziała już wyraźnie ich twarzy. Anjin-sana zastonił jej

człowiek siedzący obok niego, ten, który szeptał z Rodriguesem.

–Co mu powiedziałaś, senhor? – spytała.

–Komu?

–Jemu. Senhorowi, którego wysłałeś do Anjin-sana.

–Żeby życzył Ingelesowi wszystkiego najlepszego i powodzenia – padła stanowcza i wymijająca odpowiedź.

Mariko przetłumaczyła Kanie tę wymianę zdań.

Kiedy Rodrigues ujrzał, że szalupa dobiła do burty galery, odetchnął.

–Zdrowaś Mario, Matko Boża...

Spod pokładu wyszli generał-gubentator i jezuici. A za nimi Torana-ga ze strażą przyboczną.

–Rodrigues! Spuścić szalupę! Ojcowie płyną na brzeg – oznajmił Ferriera.

–A potem?

–A potem wypływamy w morze. Do Edo.

–Dlaczego tam? Przecież mieliśmy płynąć do Makau – powiedział Rodrigues, uosobienie niewinności.

–Zawozimy Toranagę do domu, do Edo. Najpierw.

–Co takiego? A co z galerą?

–Zostanie tutaj albo przebije sobie drogę.

Rodrigues z jeszcze większym zdumieniem spojrzał na galerę, a potem na Mariko. Zobaczył w jej oczach nieme oskarżenie.

–Matsu – powiedział do niej cicho.

–Słucham? – spytał ojciec Alvito. – Cierpliwości? Dlaczego cierpliwości, Rodrigues?

–Zmawiałem zdrowaśki, ojczy. Mówiłem do tej pani, że uczą one cierpliwości.

Ferriera wpatrywał się w galerę.

–Co tam robi nasza szalupa? – spytał.

–Odesłałem tego heretyka z powrotem.

–Co takiego?!

–Odesłałem Anglika na jej pokład. O co chodzi, generale-gubernatorze? Ingeles obraził mnie, więc wyrzuciłem psubrata za burtę. Pozwoliłbym mu utonąć, ale umie pływać, więc posłałem oficera, żeby go wyłowił i odstawił na jego statek, bo chyba ten heretyk cieszy się względami pana Toranagi. Co się stało?

–Sprowadź go z powrotem.

–Musiałbym wysłać uzbrojony oddział abordażowy, generale-gubernatorze. Czy tego pan chce? On przeklinał i ział na nas ogniem piekielnym. Tym razem nie wróci dobrowolnie.

–Chcę go mieć z powrotem.

–W czym problem? Czy nie powiedziałaś, panie, że ta galera zostanie tu i będzie walczyć, albo coś takiego? No więc? Anglik znalazł się w zaszrannej sytuacji! I bardzo dobrze. Bo co komu po tym sukinsynu? Ojcowie zaś z pewnością woleliby, żeby im zniknął z oczu. Prawda, ojczy?

Dell'Aqua nie odpowiedział. Alvito również nie. Przekreślało to bowiem ułożony przez Ferriera plan, zaakceptowany przez nich i Toranagę, a mianowicie, że zaraz popłyną na brzeg, aby ułagodzić Ishido, Kiyamę i Onoshiego udając, iż dali wiarę opowieści Toranagi o piratach i nie mieli pojęcia, że „uciekł” z zamku. Tymczasem fregata pomknie do wyjścia z zatoki, pozostawiając galerze zadanie odciągnięcia stamtąd łodzi. W razie zaatakowania jej, odeprze ona napastników ogniem z dział i tym samym kości zostaną rzucone.

–Ale łodzie te nie powinny nas zaatakować – wywodził Ferriera. – Mają do pochwycenia galerę. Pańskim zadaniem, eminencjo, będzie przekonać Ishido, że nie mieliśmy wyboru. W końcu Toranaga przewodniczy Radzie Regencyjnej. No i wreszcie, heretyk pozostaje na naszym pokładzie.

Żaden z księży nie spytał po co. A sam Ferriera nie podał powodu.

Ojciec wizytator dotknął delikatnie ręką generała-gubernatora i odwrócił się plecami do galery.

–Może to i dobrze, że heretyk jest tam – rzekł i pomyślał, jakże dziwne bywają rządzenia Pana.

Nie! – chciał krzyknąć Ferriera. Chciałem zobaczyć, jak tonie. Człowiek za burtą wczesnym świtem – bez śladu, świadków, jakże prosto. Toranaga nigdy by się o tym

nie dowiedział. Przedstawiłoby mu się to jako tragiczny wypadek. Blackthorne zasługiwał na taki los. A poza tym generał-gubernator wiedział, jak straszliwa jest dla pilota śmierć w morzu.

–Nan ja? – spytał Toranaga.

Ojciec Alvito wyjaśnił, że pilot znajduje się na galerze oraz dlaczego tam jest. Toranaga obrócił się do Mariko, ta zaś skinęła głową i dodała to, co przedtem powiedział jej Rodrigues.

Toranaga podszedł do nadburcia i spojrzął w mrok. Z północnego brzegu zatoki spuszczone na wodę kolejne rybackie łodzie, a inne niedługo powinny dopłynąć na wyznaczone pozycje. Zdawał sobie sprawę, że pilot jest dla niego politycznie niewygodny, a bogowie podsuwali mu właśnie prosty sposób na pozbycie się go, gdyby tego zapragnął. Czy chcę tego? – zadał sobie pytanie. Chrześcijańskich kapłanów z pewnością ogromnie by ucieszyło zniknięcie Anjin-sana. Podobnie jak Onoshiego i Kiyamę, którzy do tego stopnia obawiali się tego człowieka, że któryś z nich albo obaj ukartowali próbę zamordowania go. Czego aż tak bardzo się obawiali?

To karma, że w tej chwili Anjin-san jest na galerze, a nie tutaj, zagrożony. Ne? Tak więc zatonie wraz z tym statkiem, z Yabu, z resztą i z muszkietami, i to również jest karma. Mogę stracić muszkiety, mogę stracić Yabu. Ale czy Anjin-sana?., Tak.

Ponieważ mam w zapasie jeszcze ośmiu tych dziwnych barbarzyńców. Możliwe, że razem wiedzą to samo, a może i więcej od tego jednego człowieka. Najważniejsze, żeby znaleźć się jak najszybciej w Edo i przygotować się do wojny, która jest nieunikniona. Kiyama i Onoshi? Kto wie, czy mnie poprą. Może tak, a może nie. Ale kawałek ziemi i trochę obietnic są niczym wobec poparcia mnie przez chrześcijan za czterdzieści dni.

–To karma, Tsukku-san. Ne?

–Tak, wielmożny panie. – Bardzo zadowolony Alvito zerknął na generała-gubernatora. – Pan Toranaga uważa, że nic się nie stało – powiedział. – Że to wola boska.

–Tak?

Raptem na galerze odezwał się głośno bęben. Wiosła uderzyły z wielką siłą w wodę.

–Co on robi, na – Chrystusa Pana?! – ryknął Ferriera.

A kiedy przyglądali się, jak galera odplywa od nich, łopocząca bandera Toranagi zjechała z masztu.

–Wygląda na to, że obwieszczają tym wszystkim przeklętym łodziom w zatoce, że pana Toranagi nie ma już na pokładzie.

–Co on robi?

–Nie wiem – odparł Rodrigues.

–Nie wiesz? – spytał Ferriera.

–Nie. Ale na jego miejscu skierowałbym się na morze i zostawił nam ten pasztet... albo się o to postarał. Ten Anglik właśnie pokazał nas palcem. Co robimy?

–Masz rozkaz płynąć do Edo – rzekł generał-gubernator, chcąc dodać: „Jeżeli staranujesz tę galerę, to tym lepiej”, ale nie zrobił tego, ponieważ słuchała Mariko.

Jezuici z ulgą popłynęli szalupą na brzeg.

–Postawić wszystkie żagle!– krzyknął Rodrigues, czując pulsujący ból w nodze. – Kurs południe-południowy zachód! Cała załoga do masztów!

–Senhora, powiedz, proszę, panu Toranadze, że najlepiej zrobi, jeżeli zejdzie pod pokład. Tak będzie bezpieczniej – rzekł Ferriera.

–Dziękuje i mówi, że zostanie tutaj.

Ferriera wzruszył ramionami i podszedł do skraju rufówki.

–Przygotować wszystkie działa. Załadować kartaczami! Pogotowie bojowe!

–Isogi! – krzyknął Blackthorne, ponaglaając dowódcę wioślarzy do szybszego bicia w bęben.

Spojrzał za rufę na fregatę, która zbliżała się do nich, płynąc pod wiatr z postawionymi wszystkimi żaglami, a potem przed dziób, szacując następny hals, który musieli wykonać. Zastanawiał się, czy dobrze to wyliczył, gdyż tutaj, w pobliżu skał było bardzo mało miejsca i sukces od katastrofy dzieliły zaledwie jardy. Ze względu na wiatr fregata, chcąc dopłynąć do wyjścia z zatoki, musiała halsować, podczas gdy galera mogła manewrować dowolnie. Żaglowiec był jednak szybszy. Rodrigues zaś dał jasno do zrozumienia, że przy ostatnim halsie, kiedy Santa Theresie będzie potrzebna przestrzeń, lepiej, żeby galera zeszła jej z drogi.

Yabu znowu coś do niego trajkotał, ale Blackthorne nie zważał na niego.

–Nie rozumiem... wakamarisen, Yabu-san! Posłuchaj, Toranaga-sama powiedział, że ja, Anjin-san, ichi-ban ima! Ja teraz jestem główny kapitan-san! Wakarimasu ka, Yabu-san?

Pokazał na kompasie kurs japońskiemu kapitanowi, który wyciągnął rękę w stronę fregaty płynącej zaledwie pięćdziesiąt jardów za nimi. Szybko ich doganiała, idąc znowu kursem, który groził zderzeniem.

–Trzymaj kurs, do diabła! – powiedział Blackthorne.

Wiatr oziębiał jego przemoczone ubranie i przyprawiał go o dreszcze, ale zarazem pomagał otrzeźwieć. Blackthorne przyjrzał się niebu. W pobliżu jasnego księżyca nie było chmur i wiał półwiatr. Pomyślał, że z tej strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Boże, rzekł w duchu, zachowaj ten jasny księżyc do czasu, aż przeplniemy.

–Hej, kapitanie! – zawołał po angielsku wiedząc, że nie ma żadnej różnicy, czy mówi tym językiem, po portugalsku, holendersku czy łacinie, gdyż był tu sam. – Poślij kogoś po sake. Sake! Wakarimasu ka?

–Hai, Anjin-san.

Posłano pędem marynarza. W biegu obejrzał się przez ramię, przerażony rozmiarami nadpływającej fregaty i jej szybkością. Blackthorne utrzymał kurs, próbując zmusić żaglowiec do zwrotu, nim zajmie całą przestrzeń po nawietrznej. Ale fregata nie zoczyła z kursu i szła prosto na nich. W ostatniej sekundzie zeszli jej z drogi, a później, gdy dziobnik żaglowca zawisł niemal nad ich pokładem rufowym, Blackthorne usłyszał rozkaz Rodriguesa:

–Ster lewo na burt! Zwinąć sztaksle, tak trzymać! – A potem krzyk po hiszpańsku: – Całowałaś czarta pod ogonem, Ingeles!

–Twoja matka robiła to, pierwsza, Rodrigues!

Fregata w ostatniej chwili odpadła od wiatru, żeby pomknąć ku odległemu brzegowi, gdzie miała znów zawrócić, żeby ustawić się pod wiatr, jeszcze raz pohalsować w tę stronę, po czym zawrócić po raz ostatni i popłynąć do wyjścia z zatoki. Przez chwilę oba statki były tak blisko siebie, że Blackthorne mógł niemal dotknąć żaglowca, Rodriguesa, Toranagi, Mariko i generała-gubernatora stojących chwiejnie na jego pokładzie. A potem fregata odpłynęła, a ich okręciły fale, które zostawiła.

–Isogi, isogi, na miły Bóg!

Wioślarze zdwoili wysiłki, a Blackthorne na migi zapędził do wiosł więcej ludzi, aż wreszcie w rezerwie nie pozostał nikt. Musiał dotrzeć do ujścia zatoki przed fregatą, bo inaczej byli zgubieni.

Galera połykała przestrzeń. Ale fregata także. Na drugim końcu zatoki okręciła się jak tancerz i Blackthorne dojrzał, że Rodrigues postawił dodatkowo marsie i topsle. ...- A to przechera, tak jak każdy rodowity Portugalczyk!

Przyniesiono sake, ale z rąk marynarza wzięła je młoda Japonka, która pomagała Mariko, i onieśmielona podała mu wino. Odważnie pozostała na pokładzie, mimo że nie był to jej naturalny żywioł. Miała silne ręce, starannie uczesane włosy, a gustowne i kosztowne kimono czyste. Galera podskoczyła. Japonka zachwiała się i wypuściła czarkę. Nie zmieniła miny, ale Blackthorne spostrzegł rumieniec wstydu na jej twarzy.

–Por nada – powiedział, kiedy sięgnęła po nią po omacku. – Nie szkodzi. Namae ka?

–Usagi Fujiko, Anjin-san.

–Fujiko-san. Proszę, daj ją. Dozo.

Wyciągnął rękę, wziął flaszkę i napił się prosto z niej, łykając wino, żądny wlać w siebie jego ciepło. Skupił się na nowym kursie, płynąc wzdłuż mielizn, o których na polecenie Rodriguesa powiedział mu Santiago. Dopijając ciepłe wino, sprawdził powtórnie pozycję galery względem przyładka, zapewniającą im wolną od przeszkód i zagrożeń drogę do wyjścia z zatoki. Zastanawiał się przelotnie, jak je ogrzano i dlaczego nieodmiennie podaje się je ciepłe i w małych ilościach.

Otrzeźwiał już i czuł, że jeśli będzie uważał, to wystarczy mu sił. Wiedział jednak, że brakuje mu rezerw, tak jak brakowało ich galerze.

–Sake, dozo, Fujiko-san – powiedział. Zwrócił jej flaszkę i przestał się nią interesować.

Płynąca nawietrznym halsem fregata posuwała się aż za szybko i przeszła sto jardów przed nimi, kierując się ku brzegowi. Wiatr przywiał do jego uszu sprośności, na które, oszczędzając energię, nie pofatygował się odpowiedzieć.

–Isogi, jak Boga kocham! Przegrywamy! – krzyknął., Emocje wyścigu, odzyskana samodzielność i władza nad statkiem, którą zawdzięczał nie tyle swojej pozycji, co sile woli, w połączeniu z rzadką satysfakcją, że Yabu jest na jego łasce, przepełniły go niesłychaną radością.»

–Gdyby nie to, że galera by zatonęła, a ja wraz z nią, chętnie władowałbym ją na skały po to tylko, żeby widzieć, jak toniesz, Yabu, ty kanalio! Za biednego Pieterzooona! – powiedział.

Lecz czy Yabu nie uratował Rodriguesa, kiedyś ty tego nie umiał zrobić? – przyszło mu na myśl. Czyż nie rzucił się na tamtych bandytów, kiedyś wpadł w zasadzkę? A dzisiaj zachował się dzielnie. Tak, to kanalia, ale mimo wszystko dzielna kanalia, taka jest prawda.

Znowu zaproponowano mu flaszkę sake.

–Dozo – podziękował.

Fregata przechyliła się mocno, płynąc pod wiatr, i widok ten sprawił mu wielką przyjemność.

–I ja bym sobie lepiej nie poradził – przyznał się głośno wiatrowi. – Ale gdyby była w moim ręku, to przedarłbym się przez te łodzie na morze i tyle by mnie widziano. Dopłynąłbym jakoś do ojczyzny, a Japonię pozostawił Japończykom i tym zapowietrzonym Portugalczykom. – Zobaczył, że Yabu i kapitan bacznie mu się przypatrują. – Ale tak naprawdę, tobym tego nie zrobił, jeszcze nie. Do schwytania i złupienia pozostaje Czarna Karawela. A poza tym zemsta, prawda, Yabu-san?

–Nan desu ka, Anjin-san? Nan ja?

–Ichi-ban! Pierwszorzędna! – odparł, pokazując na fregatę. Opróżnił flaszkę.

Fujiko wzięła ją od niego.

–Sake, Anjin-san?

–Dómo, iye!

Dwa statki były już bardzo blisko zmasowanych łodzi rybackich – galera kierowała się prosto w przerwę, którą umyślnie między sobą zostawiły, a fregata kończyła ostatni hals i zawracała w stronę wyjścia z zatoki. Kiedy zostawili w tyle osłaniające ich przylądki, powiało mocniej, a pół mili przed sobą mieli otwarte morze. Żagle fregaty falowały w podmuchach wiatru, wanty wydawały trzaski przypominające strzały z pistoletów, a przy dziobie i za rufą pojawiła się piana.

Wioślarze spływali potem i tracili siły. Jeden zasłabł. Potem następny. Około pięćdziesięciu samurajów roninów zajęło już stanowiska. W łodziach przed galerą po obu stronach utworzonego przez nie kanału łucznicy zbroili łuki. Na wielu z nich Blackthorne dojrzał malutkie kociołki z rozżarzonymi węglami, wiedział więc, że strzały, które nadlecą, będą płonące.

Przygotował się do bitwy najlepiej, jak potrafił. Yabu zrozumiał, że będą musieli walczyć, i od razu pojął, co oznaczają płonące strzały. Blackthorne otoczył ster drewnianymi zastawkami. Otworzył kilka skrzyń z muszkietami, uzbroił potrafiących strzelać i wydał im proch i kule. Ściągnął też na rufówkę kilka baryłek z prochem i zaopatrzył je w lonty.

Kiedy pierwszy oficer Santiago pomógł mu wejść do szalupy, powiedział mu też, że Rodrigues, jeżeli Bóg; dopuści, przyjdzie mu z pomocą.

–Dlaczego? – spytał.

–Mój pilot kazał ci powiedzieć, że musiał cię wyrzucić za burtę, żebyś otrzeźwiał, senhor.

–Dlaczego?

–Ponieważ kazał ci powiedzieć, senhor pilocie, że na pokładzie Santa Theresy grozi niebezpieczeństwo, grozi ono tobie.

–Jakie niebezpieczeństwo?

Mówi, żebyś, jeżeli możesz, przebił sobie drogę. Ale że on ci pomoże.

–Dlaczego?

–Na Najświętszą Dziewicę, przestań mleć swoim heretyckim jęzorem i posłuchaj, bo mam mało czasu.

Właśnie wtedy Santiago opowiedział mu o mieliznach, trasie przez kanał i o planie. Dał mu też dwa pistolety.

–Mój pilot pyta, czy jesteś dobrym strzelcem.

–Kiepskim – skłamał.

–Na koniec kazał ci powiedzieć, żebyś płynął z Bogiem.

–I on również... i ty też. – A ty idź do piekła!

–Tam gdzie ty masz krewnych!

Blackthorne zaopatrzył beczki w lonty na wypadek, gdyby zaczęli strzelać z dział, żaden plan nie istniał lub gdyby okazał się fałszywy, jak również w razie wtargnięcia wrogów na galerę. Nawet taka mała baryłka prochu z zapalonym lontem, unosząca się przy burcie fregaty, zatopiłaby ją tak niechybnie, jak salwa z siedemdziesięciu dział. Nieważne, jak mała jest baryłka, pomyślał, jeśli tylko ich wypatroszy.

–Ratujcie się isogi! – zawołał i przejął ster, dziękując Bogu za Rodriguesa i jasno świecący księżyc.

Zatoka u wejścia zwężała się do czterystu jardów. Głęboka woda ciągnęła się prawie od brzegu do brzegu, a z morza sterczały ostro w górę skaliste cyple.

Rybackie łodzie, które zastawiły pułapkę, stały w odległości stu jardów od siebie.

Santa Theresa znarowiła się, mając wiatr za trawersem z prawej burty i zostawiając za sobą dużą falę, szybko się do nich zbliżała. Blackthorne trzymał się środka kanału i dał znak Yabu, żeby był gotów. Wszystkim samurajom roninom polecono przycupnąć za nadburciami, gdzie niewidoczni dla wroga mieli siedzieć aż do chwili, kiedy Blackthorne da znak, a wówczas każdy, z muszkietem albo mieczem, z prawej lub lewej burty, gdziekolwiek będzie potrzebny, miał pod komendą Yabu podjąć walkę. Japoński kapitan wiedział, że wioślarze muszą nadażyć za rytmem bębna, a bębniasta, że musi być posłuszny Anjin-sanowi. I że wyłącznie Anjin-san kieruje statkiem.

Fregata znajdowała się pięćdziesiąt jardów za nimi pośrodku kanału, zmierzała prosto na nich i wcale nie kryła się z tym, że chce mieć ten środek dla siebie.

–Staranuj go! – cicho polecił Rodriguesowi Ferriera. Patrzył na Mariko, która stała z Toranagą przy barierze dziesięć kroków od nich.

–Nie ośmielimy się... nie w obecności Toranagi i tej Japonki.

–Senhora! – zawołał Ferriera. – Senhora... radzę wam zejść pod pokład, tobie i twojemu panu. Bezpieczniejsi będziecie na pokładzie działowym.

Mariko przetłumaczyła to Toranadze, który zastanawiał się przez chwilę, po czym zszedł po zejściówce na pokład działowy.

–A niech mnie kule biją – rzekł nie wiadomo do kogo dowódca kanonierów. – Chciałbym wystrzelić salwę i coś zatopić. Od roku, psia jego mać, nie zatopiliśmy choćby jednego zapowietrzonego pirata!

–Tak jest. Tym małpom należy się kąpiel.

–Staranuj galerę, Rodrigues! – powtórzył na rufówce Ferriera.

–Po co zabijać wroga, skoro inni w tym człowieka wyręczają?

–Matko Boska! Wart żeś tego księdza! Czy w twoich żyłach w ogóle płynie krew?

–Płynie, ale nie krew mordercy – odparł Rodrigues, również po hiszpańsku. – Ale w tobie, panie? W tobie ona płynie. Co? I to zapewne krew hiszpańską?

–Staranujesz ją czy nie? – spytał po portugalsku Ferriera, owładnięty chęcią mordy.

–Jeżeli zostanie tam, gdzie jest, to owszem.

–No, to niech zostanie tam, gdzie jest.

–Jakie miałeś plany względem tego Anglika, panie? Dlaczego byłeś taki zły, że nie jest na naszym pokładzie?

–Przestałem cię lubić i ci ufać, Rodrigues. Dwa razy stanąłeś, a przynajmniej na to wyglądało, po stronie tego heretyka przeciwko mnie lub nam. Gdyby w Azji był jeszcze jeden zdatny pilot, to pozbyłbym się ciebie ze statku i odpłynął moją Czarną Karawelą.

–I byś utonął, panie. Cuchniesz śmiercią i tylko ja mogę cię przed nią uchronić.

Ferriera przeżegnał się zabobonnie.

–Matko Boska, a niech cię diabli za twój plugawy język. Jakim prawem mi to mówisz?.

–Moja matka była Cyganką i, tak jak ja, siódmym dzieckiem siódmego dziecka.

–Kłamiesz!

Rodrigues uśmiechnął się.

–A tak, być może kłamię, mój generale-gubernatorze. – Przyłożył dłonie do ust i krzyknął: – Pogotowie bojowe! – A potem do sternika: – Tak trzymać, a jeżeli ta ciężarna krowa się nie ruszy, to zatop ją!

Blackthorne mocno trzymał ster, bolały go ręce, bolały nogi. Dowódca wioślarzy walił w bęben, oni zaś dobywali resztek sił.

Fregata znajdowała się już tylko dwadzieścia jardów za ich rufą, piętnaście, dziesięć. I wtedy Blackthorne mocno przesunął ster w lewo. Przechylony w ich stronę żaglowiec o mało co nie otarł się o galerę i w chwilę potem znalazł przy jej burcie. Mając go dziesięć jardów od siebie, Blackthorne mocno pchnął ster w prawo, tak żeby ustawić się doń równolegle. A potem razem, burta w burtę, przygotowali się do przemknięcia pomiędzy szpalerem wrogich łodzi.

–Ciagnąć, ciągnąć, dranie! – krzyknął Blackthorne, chcąc utrzymać się dokładnie przy burcie fregaty, bo tylko wówczas osłaniał ich jej kadłub i żagle. Wystrzeliło kilka muszkietów, a potem spadł na nich rój płonących strzał, nie wyrządzając poważniejszych szkód, ale kilkanaście z nich niechcący trafiło w niższe żagle fregaty i wzniciło ogień.

Przerażeni tym samurajscy dowódcy w łodziach powstrzymali swoich łuczników. Nikt dotąd nie zaatakował w Japonii statku Południowych Barbarzyńców. Czyż to nie wyłącznie oni przywozili jedwabie, dzięki którym dawały się znieść letnie, nasyczone wilgocią upały i zimowe chłody, a wiosny i jesień były rozkoszne? Czyż Południowych Barbarzyńców nie chroniły cesarskie dekryty? Czy spalenie któregoś z ich statków nie rozsierdziłoby ich do tego stopnia, że więcej by tu już – i słusznie – nie powrócili?

Tak więc kiedy galera kryła się pod opiekuńczymi skrzydłami fregaty, dowódcy powstrzymali swoich podwładnych, nie ośmielając się w najmniejszym stopniu ryzykować, że któryś z nich bez osobistego rozkazu generała Ishido przyczyni się do ustania rejsów Czarnych Karawel. Dlatego dopiero po ugaszeniu przez marynarzy z fregaty płomieni odetchnęli swobodniej.

Kiedy przestały padać strzały, Blackthorne również stał się spokojniejszy. Podobnie Rodrigues. Plan działał. Rodrigues doszedł do wniosku, że galera ma szansę, jedyną szansę, tylko pod osłoną fregaty. „Ale mój pilot uprzedza cię, że musisz być przygotowany na niespodzianki, Ingeles” – przekazał mu Santiago.

–Zepchnijcie drania na bok – zawołał Ferriera. – Do diabła, rozkazuję wam zepchnąć go między te małpy!

–Pięć rumbów w lewo! – wydał posłusznie rozkaz Rodrigues.

–Jest pięć rumbów w lewo! – odparł mu jak echo sternik.

Blackthorne usłyszał tę komendę. Natychmiast przesunął ster pięć stopni w lewo i pomodlił się. Gdyby Rodrigues utrzymał ten kurs za długo, to uderzyliby w łodzie i byłby to – ich koniec. Gdyby zwolnili rytm bębna i zostali w tyle, wrogie łodzie z

pewnością opadłyby ich bez względu na to, czy zdaniem nieprzyjaciół Toranaga był na pokładzie galery czy nie. Dlatego musieli trzymać się przy burcie żaglowca.

–Pięć rumbów w prawo! – rozkazał w samą porę Rodrigues. Jemu również nie marzyło się więcej strzał na pokładzie, na którym było za dużo prochu. – No wiejże, ty rajfurze – mruknął do wiatru.»Dmuchnij z cojones w moje żagle i zabierz nas stąd do wszystkich diabłów!

Blackthorne ponownie przesunął ster pięć stopni w prawo, żeby utrzymać się przy fregacie, tak więc oba statki pędziły burta w burtę – wiosła galery z prawej niemal dotykały żaglowca, te z lewej zaś prawie podtapiały rybackie łodzie. Teraz zrozumiał już, w czym rzecz, japoński kapitan, dowódca wioślarzy, a także oni sami. Włożyli w wiosłowanie resztę sił. Na komendę Yabu samuraje roninowie odłożyli łuki i pośpieszyli z pomocą, a sam daimyō również energicznie zabrał się do wiosłowania.

Szli łeb w łeb. Do pokonania pozostało im tylko kilkaset jardów.

I wówczas Szarzy z łodzi rybackich, odważniejsi Od poprzedników, podpłynęli, przecinając im drogę, i rzucili haki do chwytania. Dziób galery zatopił wrogie łodzie. Haki wyrzucono za burtę, zanim się zahaczyły. Trzymający je samuraje utonęli. Tak więc atak ten się nie powiódł.

–Bardziej w lewo!

–Nie ośmielę się, generale-gubernatorze. Toranaga nie jest głupi, a poza tym, niech pan spojrzy, przed nami jest rafa.

W pobliżu ostatnich łodzi rybackich Ferriera dostrzegł wystający z wody grzbiet skały.

–Matko Boża, wpędź go na nie! – zawołał.

–Dwa rumby w prawo!

Fregata przesunęła się raz jeszcze, a wraz z nią galera. Oba statki zmierzały na zmasowane rybackie łodzie. Blackthorne również spostrzegł skały. Zatopili następną łódź, a na pokład spadł grad strzał. Blackthorne utrzymał kurs tak długo, jak się odważył, krzyknął: „Pięć rumbów w lewo!”, żeby ostrzec Rodriguesa, i przesunął ster.

Portugalczyk wykonał manewr uchylający i odbił w bok. Tym razem jednak utrzymał lekko kolizyjny kurs, co nie należało do planu.

–Naprzód, draniu! – zawołał Rodrigues, podniecony wyścigiem i smagany strachem. – Sprawdźmy, co z twoimi cojones!

Blackthorne musiał się błyskawicznie zdecydować: zderzyć ze skałami czy z fregatą. Pobłogosławił wioślarzy za to, że nie porzucili wiosł, załogę i wszystkich na pokładzie, dzięki karności których zachował luksus wyboru. Wybrał więc.

Przesunął ster bardziej w prawo, wyciągnął pistolet i wycelował go.

–Z drogi, na miły Bóg! – krzyknął i nacisnął cyngiel.

Kula zagwizdała na rufówce fregaty, przechodząc dokładnie pomiędzy Rodriguesem a generałem-gubernatorem.

Ferriera raptownie schylił głowę, a Rodrigues skrzywił się. Ty Angliku, ty synu bezmlecznej dziewczki! – pomyślał. Szczęście to, umiejętności strzeleckie, a możeś celował, żeby zabić?

Zobaczył w ręku Blackthorne'a drugi pistolet i spostrzegł, że przypatruje się mu Toranaga. Uznał, że to nieważne.

Błogosławiona Matko Boża, co robić? Trzymać się planu czy go Śmienię? Czy nie lepiej zabić tego Anglika? Dla dobra wszystkich, odpowiedz mi tak czy nie, pomodlił się w duchu.

Odpowiedz sobie sam, na twą nieśmiertelną duszę! Czyż nie jesteś człowiekiem?

A więc słuchaj: za tym Anglikiem, zabije go się czy nie zabije, niczym wszy podążą inni heretycy. Jesteś mu winien życie, a, na honor, nie masz w sobie krwi mordercy – nie zabijesz pilota.

–Ster prawo na burt – rozkazał i ustąpił z drogi.

–Mój pan pyta, dlaczego o mało co nie rozbiłeś galery.

–To była zwykła zabawa, senhora, zabawa pilotów. Żeby wypróbować nawzajem swoje nerwy.

–A ten strzał z pistoletu?!

–To również zabawa... żeby wypróbować moje nerwy. Te skały były za blisko i, być może, za mocno przyparłem Anglika do muru. Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi, tak?

–Mój pan mówi, że takie zabawy są głupie.

–Przepróś go, proszę, ode mnie. Ważne, że pilot jest bezpieczny, galera jest bezpieczna. A ja cieszę się z tego. Honto.

–Urządziłeś tę ucieczkę, ten podstęp, wspólnie z Anjin-sanem?

–Tak się składa, że jest bardzo łebski i że wszystko wykonał w odpowiednim czasie. Księżyc oświecał mu drogę, morze sprzyjało i nie popełnił błędu. Ale dlaczego wrogowie go nie zatopili, tego nie wiem. Wola boska.

–Czyżby? – spytał Ferriera. Nie odwrócił się, wpatrując w galerę za nimi.

Zostawili już dość daleko za sobą wejście do zatoki i wpłynęli bezpiecznie na osacką redę, mając galerę kilka kabli za rufą. Obu się nie śpieszyło. Większość wiosł na galerze czasowo wciągnięto, „zostawiając tylko tyle, żeby spokojnie płynąć, podczas gdy przeważająca część wiosłarzy regenerowała siły.

Rodrigues całkowicie zignorował pytanie generała-gubernatora. Całą uwagę skupił na Toranadze. Cieszę się, że jesteśmy po jego stronie, pomyślał. W czasie wyścigu bacznie mu się przyglądał, rad z tak rzadkiej sposobności. Oczywiście tego człowieka były wszędzie, z nienasyconą ciekawością przypatrywały się kanonierom, działom, żaglom i drużynie gaszącej pożar, a za pośrednictwem Mariko wypytywał marynarzy i oficera: Po co to? Jak ładujecie działo? Ile trzeba prochu? Jak z nich strzelacie? Do czego służą te liny?

–Mój pan mówi, że być może była to po prostu karma. Wiesz, co to karma, naczelny pilocie?’

–Tak.

–Dziękuję ci, że mógł skorzystać z twojego statku. Teraz powróci na swój.

–Co takiego?! – Ferriera odwrócił się w jednej chwili. – Dopłyniemy do Edo na długo przed galerą. Z chęcią ugościmy pana Toranagę na naszym statku.

–Mój pan mówi, że nie ma potrzeby sprawiać wam dłużej kłopotu. Pojedzie na swój statek.

–Zechciej poprosić go, żeby został. Miło mi będzie dotrzymać mu towarzystwa.

–Pan Toranaga dziękuję ci, panie, ale życzy sobie zaraz udać się na swój statek.

–Bobrze. Zrób, jak mówi, Rodrigues. Dajcie im sygnał i spuście szalupę.

Ferriera nie był zadowolony. Pragnął zobaczyć Edo i lepiej poznać Toranagę, skoro tak bardzo związał z nim swoją przyszłość. Nie uwierzył w to, co Japończyk powiedział mu o środkach unikania wojny. Czy podoba nam się to, czy nie, toczy my wojnę po stronie tej małpy przeciwko Ishido, orzekł. A mnie się to nie podoba.

–Żałuję, że pan Toranaga nie będzie mi towarzyszył – rzekł i złożył uprzejmy ukłon.

Toranaga odklonił mu się i coś krótko powiedział.

–Mój pan dziękuje ci, panie – powtórzyła Mariko i dodała do Rodriguesa: – Mój pan mówi, że wynagrodzi cię za tę galerę, kiedy powrócisz tu z Czarną Karawelą.

–Ja nic takiego nie zrobiłem. Wypełniłem tylko obowiązek. Wybacz mi, proszę, że nie wstaję z krzesła... ale moja noga, ne? – odparł Rodrigues z ukłonem. – Szczęść ci Boże, senhora.

–Dziękuję, kapitanie-pilocie. Tobie również.

Kiedy przytrzymując się, zmęczona schodziła po zaburtowych schodkach z Toranaga, zobaczyła, że szalupą dowodzi bosman Pesaro. Ścierpła jej skóra i omal nie wymiotowała. Opanowała jednak skurcz żołądka, wdzięczna swojemu panu za to, że polecił im wszystkim opuścić ten cuchnący statek.

–Pomyślnego wiatru i szczęśliwej podróży! – zawołał do nich z góry Ferriera. Skinął im na pożegnanie ręką, na co odpowiedzieli mu tym samym, a potem łódź odbiła.

–Kiedy szalupa powróci, a ta parszywa galera zniknie z oczu, zejdzicie ze stanowisk – polecił dowódcy baterii.

Na rufówce zatrzymał się przed Rodriguesem. Wskazał na galerę.

–Jeszcze pożałujesz, żeś go zostawił przy życiu – oświadczył.

–Wszystko w ręku Boga. Jeśli zdołasz zapomnieć o sprawie wiary, to ten Anglik jest „zdatnym” pilotem, mój generale-gubernatorze.:

–Zastanawiałem się nad tym.

–No i?

–Im prędyj znajdziesz się w Makau, tym lepiej. Masz tam dopłynąć szybko jak nigdy dotąd, Rodrigues – rzekł Ferriera i zszedł pod pokład.

Rodriguesowi boleśnie pulsowało w nodze. Pociągnął łyk z bukłaka z grogiem. A bodaj piekło pochłonęło tego. Ferriera, pomyślał. Proszę cię jednak, Boże, nie wcześniej, nim znajdziemy się w Lizbonie.

Wiatr zmienił odrobinę kierunek, a do aureoli księżyca dotarła chmura, deszcz był niedaleko, na niebie zaś pojawiła się pierwsza smużka brzasku. Rodrigues całą uwagę skupił na statku, jego żaglach i położeniu. W pełni usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, zaczął przyglądać się szalupie. A wreszcie na koniec galerze.

Pociągnął znowu rumu, rad, że jego plan przebiegł tak gładko. Nawet ten strzał z pistoletu, który dopełnił dzieła. Cieszył się, że się na to zdecydował.

Musiałem podjąć decyzję i podjąłem ją, pomyślał.

–Ale mimo to – rzekł z wielkim smutkiem – generał-gubernator ma rację. Wraz z tobą herezja przybyła do Raju.

–Anjin-san?

–Hai? – spytał Blackthorne, wyrwany z głębokiego snu.

–Przyniosłam coś do zjedzenia i cha.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kim jest i gdzie się znajduje. A potem rozpoznał kabinę na galerze. Mrok przebijała smuga słońca. Czuł się ogromnie wypoczęty. Nie było słychać dudniącego bębna i nawet w najgłębszym śnie zmysły podpowiadały mu, że rzucono kotwicę, galera stoi bezpiecznie przy brzegu, a morze jest spokojne.

Ujrzał służącą z tacą, a przy niej Mariko, już bez temblaka. Leżał na koi pilota, tej samej, z której korzystał Rodrigues podczas rejsu z Anjiro do Osaki, a która była mu w pewnym sensie tak bliska jak jego własna koja i kabina na Erasmusie. Erasmus! Wspaniale byłoby znaleźć się na jego pokładzie i znów zobaczyć załogę.

Przeciągnął się rozkosznie, a potem wziął od Mariko filiżankę z cha.

–Dziękuję. Jest wyborna. Jak twoja ręka?...

–Znacznie lepiej, dziękuję. – Chcąc mu to zademonstrować, Mariko zgięła rękę w łokciu. – To była jedynie powierzchowna rana.

–Lepiej wyglądasz, Mariko-san.

–Tak, czuję się lepiej.

Kiedy wróciła o świcie na galerę z Toranagą, była bliska omdlenia.

–Lepiej zostać na górze – powiedział jej wtedy. – Słabość prędeż ci minie.

–Mój pan podziwia twoje umiejętności żeglarskie.

–Mieliśmy szczęście. Pomógł księżyc. A załoga spisała się wspaniale. Mariko-san, może byś spytała kapitana, czy dobrze zna te wody. Powiedz panu Toranadze, że przykro mi, ale nie mogę już dłużej obejść się bez snu. A może będziemy mogli podryfować przez jakąś godzinę? Muszę się przespać.

Mgłiście przypomniał sobie, jak odpowiedziała, że pan Toranagą pozwala mu zejść pod pokład i że na kapitanie można w zupełności polegać, jeżeli tylko pozostaną na przybrzeżnych wodach i nie wypłyną w morze.

Blackthorne przeciągnął się jeszcze raz i otworzył bulaj. Znajdowali się dwieście jardów od skalistego brzegu.

–Gdzie jesteście? – spytał.

–Przy brzegu prowincji Totomi, Anjin-san. Pan Toranagą chciał popływać i dać odpocząć kilka godzin wioślarzom. W Anjiro będziemy jutro.

–W tej wiosce rybackiej? Niemożliwe. Zbliży się południe, a o świcie byliśmy pod Osaka. To niemożliwe!

–Ach, to było wczoraj, Anjin-san. Przespałeś dzień, noc i połowę następnego – odparła. – Pan Toranagą zakazał cię budzić. Myśli, że dobrze ci zrobi, jeżeli na rozbudzenie się trochę sobie popływasz. Po posiłku.

Posiłek składał się z dwóch misek ryżu, ryby pieczonej na węglu drzewnym i polanej ciemnym, słono-gorzkiem, słodko-kwaśnym sosem, który, jak mu wyjaśniła, robiono ze sfermentowanej fasoli.

–Dziękuję... tak, z chęcią popływam. Spałem prawie półtorej doby. Nic dziwnego, że czuję się świetnie. – Zgłodniały, wziął tacę od służącej. Ale nie zabrał się do jedzenia od razu. – Czego ona się boi? – spytał.

–Nie boi się, Anjin-san. Tylko trochę się denerwuje. Wybacz jej, proszę. Jeszcze nigdy nie widziała z bliska cudzoziemca.

–Powiedz jej, że przy pełni księżyca barbarzyńcom wyrastają rogi, a z ust dobywa się ogień, jak smokom.

Mariko zaśmiała się.

–Na pewno nie powiem. – Wskazała na stół. – Jest tam proszek do zębów, szczotka, woda i czyste ręczniki – powiedziała i dodała po łacinie: – Rada jestem, mogąc cię oglądać w dobrym zdrowiu. Podobnie jak w czasie marszu, wykazałeś się wielką dzielnością, panie. Ich spojrzenia spotkały się i rozstały po dłuższej chwili. Mariko złożyła mu grzeczny ukłon. Dziewczyna też się ukłoniła. Drzwi zamknęły się za nimi.

Posiliwszy się, Blackthorne wyszedł na pokład. Niemal wszyscy byli nadzy. Niektórzy Japończycy wycierali się, inni leżeli na słońcu, kilku wyskoczyło za burtę. W morzu przy statku pływali samuraje i marynarze, chlapiąc się wodą jak dzieci.

–Konnichi wa, Anjin-san.

–Konnichi wa, Toranaga-sama – odparł.

Całkiem nagi Toranaga wchodził po schodkach, które spuszczone do wody.

–Sonata wa oyogitamo ka? – spytał, wskazując morze i strząsając ręką z brzucha i ramion wodę ciepłą od słońca.

–Hai, Toranaga-sama, Dómo – odparł Blackthorne przypuszczając, że pyta go, czy chce popływać.

Toranaga ponownie wskazał na morze i mówił przez chwilę, a potem przywołał Mariko, żeby to przełożyła. Nadeszła od rufówki w Dómovym, białym, bawełnianym, niedbale przewiązanym w pasie kimonie, osłaniając głowę czerwoną parasolką.

–Toranaga-sama mówi, że wyglądasz na bardzo wypoczętego, Anjin-san. Woda jest orzeźwieniem.

Orzeźwia – poprawił ją grzecznie. – Taki – Ach, dziękuję... orzeźwia. Prosi więc, żebyś popływał.

Toranaga opierał się beztrosko o nadburcie, wycierając uszy z wody małym ręcznikiem, a kiedy nie zdołał dobrze osuszyć lewego, zwiesił głowę i zaczął skakać na lewej nodze aż do skutku. Blackthorne zauważył, że pomimo wydatnego brzucha jest muskularny i w dobrej formie. Skrępowany, aż za bardzo świadom obecności Mariko, zdjął koszulę, sączek na jądra, spodnie, aż wreszcie został całkiem nagi, tak jak Toranaga.

–Pan Toranaga pyta, czy wszyscy Anglicy są tacy owłosieni. Mają takie jasne włosy.

–Niektórzy – odparł.

–My... nasi mężczyźni nie są owłosieni na piersiach ani rękach tak jak wy. Mają ich niewiele. Mówi, że jesteś bardzo dobrze zbudowany.

–I on również. Podziękuj mu, proszę.

Blackthorne podszedł do szczytu drabiny, świadom obecności Mariko i młodej Japonki, Fujiko, która klęczała na ruf owce pod żółtą parasolką, a obok niej służąca, która także go obserwowała. I wówczas, nie będąc w stanie zachować godności na tyle długo, aby zejść nago aż do samej wody, dał przez burtę nurka do bładoniebieskiego morza. Był to piękny skok, a chłód morskiej wody orzeźwił go. Na piaszczystym dnie, dziesięć jardów pod powierzchnią pośród kołyszących się wodorostów uwijało się mnóstwo ryb, które nie lękały się pływaków. Blisko dna przestał opadać, obrócił się, pobawił z jakąś rybą, a potem wynurzył i wyraźnie leniwymi, spokojnymi, lecz zarazem szybkimi wyrzutami rąk znad głowy, których nauczył go Alban Caradoc, popłynął w stronę brzegu., Mała zatoka była pusta – wiele skał, wąski kamienisty brzeg, żadnych śladów życia. W błękitne, bezkresne niebo

wzbijały się na wysokość tysiąca stóp góry.

Ułożył się na skale w słońcu. Czterech samurajów, którzy tam z nim przyплыnęli, zatrzymało się niedaleko od niego. Uśmiechnęli się do niego i pomachali rękami. Później popłynął z powrotem, a oni za nim. Toranaga cały czas mu się przyglądał.

Blackthorne wszedł na pokład. Jego ubranie zniknęło. W dalszym ciągu przebywały tam Mariko, Fujiko oraz dwie służące.

Jedna z nich ukloniła się i podała mu śmiesznie mały ręcznik, który wziął i zaczął się nim wycierać, skrępowany stając przodem do nadburcia.

Masz zachowywać się swobodnie, przykazał sobie. Przecież w zamkniętym pokoju z Felicity jesteś swobodny, prawda? Tylko publicznie, w obecności kobiet – w obecności Mariko – jesteś skrępowany. Dlaczego? Japończycy nie zauważają nagości i jest to całkiem rozsądna postawa. Jesteś w Japonii. Zachowuj się więc jak oni. Będziesz jak oni i będziesz się zachowywał jak król.

–Pan Toranaga mówi, że bardzo dobrze pływasz. Czy nauczysz go tego stylu? – spytała Mariko.

Bardzo chętnie – odparł, zmusił się do odwrócenia i oparł o nadburcie tak jak Toranaga. Mariko uśmiechnęła się do niego. Jaka ona ładna, pomyślał.

–I sposobu, w jaki zanurkowałeś do morza – dodała. – My... my jeszcze czegoś takiego nie widzieliśmy. Zawsze skaczemy na nogi. Chce się nauczyć, jak się to robi.

–Teraz?

–Tak, proszę.

–Nauczę go... a przynajmniej postaram się.

Służąca czekała na niego z przygotowanym bawełnianym kimonem, w które ubrał się z ulgą i obwiązał się pasem. A potem odprężony wyjaśnił, jak należy nurkować, jak schować głowę pomiędzy ręce, odbić się w górę i wyskoczyć, ale że trzeba się wystrzegać upadku na brzuch.

–Najlepiej zacząć od najniższego stopnia schodków zaburtowych i od rzucenia się w wodę głową w przód, bez odbijania się czy rozbiegu.

Tak uczyliśmy dzieci.

Toranaga słuchał, zadawał pytania, a kiedy zaspokoił ciekawość, powiedział za pośrednictwem Mariko: „Dobrze. Chyba zrozumiałem”. Podeszedł do furty burtowej i

zanim Blackthorne mógł go powstrzymać, rzucił się z wysokości pięciu jardów do wody. Wyrznął w nią mocno brzuchem. Nikt się nie roześmiał. Toranaga rozpryskując wodę powrócił na pokład i spróbował jeszcze raz. I znowu wylądował płasko na brzuchu. Innym samurajom powiodło się tak samo jak jemu.

–To niełatwe – rzekł Blackthorne. – Nauczenie się tego zajęło mi wiele czasu. Odpocznijcie, a jutro spróbujemy znowu.

–Pan Toranaga mówi: „Jutro to jutro. Nurkować nauczę się dziś”.

Blackthorne odłożył kimono na bok i jeszcze raz pokazał skok do wody. Samuraje poszli w jego ślady. I znowu im się nie udało. Tak samo jak Toranadze. Sześciokrotnie.

Po kolejnym zademonstrowaniu im, jak się nurkuje, Blackthorne wgramolił się na kładkę i ujrzał pośród samurajów Mariko, która naga szykowała się do skoku z góry. Miała śliczne ciało, a na ręce świeży bandaż.

–Zaczekaj, Mariko-san! – zawołał. – Lepiej spróbuj stąd. Za pierwszym razem. – Dobrze, Anjin-san.

Zeszła do niego, a malutki krzyżyk podkreślał jej nagość. Blackthorne pokazał jej, jak się schylić, skoczył do morza, chwycił ją w pasie, i przechylił tak, że wsunęła się do wody najpierw głową.

Potem spróbował to zrobić sponad linii zanurzenia galery Toranaga i poniekąd mu się powiodło. Mariko spróbowała jeszcze raz, a dotyk jej skóry tak podochocił Blackthorne'a, że przez chwilę błaznował, po czym wpadł do wody i płynął dopóty, dopóki się nie ostudził. A potem wbiegł na pokład, stanął przy nadburciu i pokazał im nurkowanie „na kotwicę”, które uznał za łatwiejsze, świadom, że Toranadze musi się koniecznie udać skok.

–Ale trzeba zachować sztywność, hai? Tak jak miecz. A wówczas musi się powieść – zapewnił.

Spadł za burtę. Zanurkował czysto i zaczął, pływając w pionie.

Kilku samurajów wystąpiło naprzód, ale Toranaga dał im znak, by się odsunęli. Sztywno uniósł ręce, wyprostował plecy. Pierś i biodra miał zaczerwienione od upadków na brzuch. A potem, tak jak to zademonstrował Blackthorne, swobodnie spadł w przód. Najpierw wszedł do wody głową i przerzuciło mu nogi, ale zanurkował, jako pierwszy z nich z powodzeniem, więc kiedy się wynurzył, powitała go burza pochwał. Zanurkował jeszcze raz, tym razem udatniej. Inni samuraje poszli w jego ślady. Potem zaś spróbowała Mariko.

Blackthorne zobaczył jej jędrne małe piersi, wąską talię, płaski brzuch i krągłe biodra. Kiedy podnosiła ręce w górę, przez twarz przemknął jej grymas bólu. Ale wyprostowała się jak strzała i dzielnie rzuciła za burtę. Weszła do wody czysto. Prawie nikt oprócz niego tego nie zauważył.

–Pięknie zanurkowałeś. Naprawdę pięknie – pochwalił, podając jej rękę, żeby z łatwością wyciągnąć Mariko z wody na kładkę przy schodkach zaburtowych. – Powinnaś na tym poprzestać. Może ci się otworzyć rana na ręce.

–Tak, dziękuję, Anjin-san. – Bardzo z siebie zadowolona stanęła przy nim, ledwie sięgając mu do ramienia. – To niezwykle uczucie spadać za burtę, zachowując sztywne ciało, a nade wszystko pokonując strach. O tak, to było naprawdę niezwykle przeżycie.

Weszła po drabince i włożyła kimono, które podała jej służąca. A potem, delikatnie osuszając twarz, zeszła pod pokład. „Chryste, to jest dopiero kobieta” pomyślał.

O zachodzie słońce Toranaga zawezwał go. Siedział na czystych futonach rozłożonych na pokładzie rufowym przy małym kubie z węglem drzewnym, w którym dymiły małe kawałki pachnącego drewna. Używano ich do aromatyzowania powietrza oraz po to, żeby o zmierzchu odpędzać moskity i komary. Kimono miał schludne i wyprasowane, a wielkie przypominające skrzydła ramiona wykrochmalonego kaftana sprawiały, że swoim wyglądem wzbudzał szacunek. Również Yabu nosił ceremonialny strój, a także Mariko. Była też obecna Fujiko. Na straży siedziało w milczeniu dwudziestu samurajów. W stojaki włożono pochodnie, a galera w dalszym ciągu spokojnie kołysała się na kotwicy w zatoce.

–Sake, Anjin-san?

–Dómo, Toranaga-sama.

Blackthorne uklonił się, przyjął od Fujiko maleńką czarękę, wznosił nią toast w kierunku Toranagi i wypił. Czarękę natychmiast napełniono mu powtórnie. Miał na sobie mundurowe kimono Brązowych, w którym czuł się swobodniej i naturalniej niż w europejskim ubraniu.

–Pan Toranaga mówi, że zostaniemy tutaj na noc. Jutro do płyniemy do Anjiro. Chciałby usłyszeć więcej o twoim kraju i świecie zewnętrznym – powiedziała Mariko.

–Oczywiście. Co chciałby wiedzieć? Piękna noc, prawda?

Blackthorne usiadł wygodnie, świadom jej kobiecości. Świadom aż za bardzo. Dziwne, pomyślał, bardziej zwracasz uwagę na nią, kiedy jest ubrana, niż wówczas, kiedy nie miała na sobie nic.

–Tak, bardzo piękna. Niedługo robi się parno, Anjin-san. Lato nie jest tu najlepszą porą roku. – Przełożyła Toranadze, co powiedziała. – Mój pan każe ci powiedzieć, że Edo leży w bagnistej okolicy. W lecie bardzo tam dokuczają moskity, ale wiosna i jesień są piękne... o tak, pory narodzin i śmierci są piękne.

–W Anglii klimat jest umiarkowany. Na siedem zim może „jedna wypada sroga. Tak samo lato. Raz na sześć lat mamy głód, chociaż zdarza się, że i dwa lata z rzędu.

–U nas też zdarza się głód. Każdy głód jest zły. Jak jest z tym teraz w twoim kraju?

–W ciągu ubiegłych dziesięciu lat trzy razy mieliśmy złe zbiory i zabrakło słońca, żeby dojrzały zboża. Ale to ręka Wszchemogącego.

Teraz Anglia jest bardzo silna. Kraj kwitnie. Nasz lud ciężko pracuje. Sami

wytwarzamy sobie ubrania, całe uzbrojenie, większość wełnianej odzieży w Europie. Z Francji sprowadzamy trochę jedwabów, ale kiepskiej jakości, a chodzą w nich jedynie bardzo bogaci.

Blackthorne postanowił nie mówić im o zarazach, buntach, powstaniach wywołanych przez groźbę wspólnych gruntów i napływ wieśniaków do miasteczek i miast. Opowiedział im za to o dobrych królach i królowych, świątłych przywódcach, mądrych parlamentach i pomyślnych wojnach.

–Pan Toranaga chce mieć całkowitą pewność. Twierdzisz, że tylko wasza potęga na morzu chroni was przed Hiszpanią i Portugalią?

–Tak. Tylko ona. Panowanie nad morzami zapewnia nam wolność. Wy również, tak jak i my, jesteście narodem wyspiarskim. Bez opanowania mórz, czyż i wy nie jesteście bezbronni wobec zewnętrznego wroga? Mój pan zgadza się z tobą.

–O, a więc i wy przeżyliście najazd?

Blackthorne spostrzegł, że Mariko, zwracając się w stronę Toranagi, lekko zmarszczyła czoło, co przypomniało mu, że musi ograniczać się do odpowiedzi, a nie pytać.

Kiedy odezwała się do niego ponownie, głos jej spoważniał.

–Pan Toranaga mówi, że powinnam ci odpowiedzieć na to pytanie, Anjin-san. Tak, dokonywano na nas najazdu dwa razy. Ponad trzysta lat temu – według waszego kalendarza w roku 1274 – najechali nas Mongołowie chana Kubilaja, który dopiero co podbił Chiny i Koreę.

Zaatakowali nas, kiedyśmy odmówili podporządkowania się ich władzy.

Kilka tysięcy wojska wylądowało na Kiusiu, ale naszym samurajom udało się je powstrzymać, a po pewnym czasie wróg się wycofał. Ale w siedem lat później Mongołowie przyплыли znowu. Tym razem w inwazji wzięło udział prawie tysiąc statków chińskich i koreańskich z dwustoma tysiącami żołnierzy – Mongołów, Chińczyków i Koreańczyków – przeważnie konnych. Była to największa armia inwazyjna, jaką zebrano w całej historii Chin. Okazaliśmy się bezradni wobec tak przytłaczającej potęgi, Anjin-san. Znowu zaczęli lądować w zatoce Hakata na Kiusiu, ale zanim zdążyli rozwinąć wszystkie swoje wojska, z południa nadleciał Wielki Wiatr, tai-fun, i zniszczył całą nieprzyjacielską flotę wraz ze wszystkim, co wiozła. Ci, którzy zostali na lądzie, szybko zostali wybici. Był to kamikazi, Boski Wiatr, Anjin-san powiedziała z pełnym przekonaniem. – Kamikazi zesłany przez bóstwa, żeby ochronił tę Krainę Bogów przed obcymi najeźdźcami. Mongołowie już więcej nie powrócili, a po mniej więcej osiemdziesięciu latach ich dynastię T'sin wypędzono z Chin – dodała z ogromnym zadowoleniem Mariko. – Bogowie obronili nas przed nimi. Bogowie

zawsze ochronią nas przed najazdem. W końcu jest to przecież ich ziemia, ne?

Blackthorne zadumał się nad olbrzymią liczbą statków i żołnierzy uczestniczących w owym najeździe. Hiszpańska Armada, która napadła na Anglię, wydawała się przy tym fraszką.

–Nam również pomogła burza, senhora – odparł z równą powagą. – Wielu wierzyło, że ją także zesłał Bóg, że był to na pewno cud, któż zresztą wie, czy nie był nim naprawdę. – Spojrzał na kociołek, bo trzasnął w nim jakiś węgielek i zatańczyły płomyki. A potem ciągnął: – Mongołowie o mało co nie zalali także Europy. – Opowiedział jej, jak hordy Czyngis-chana, dziadka chana Kubilaja, dotarły niemal do bram Wiednia, zanim powstrzymano jego rzezie i zawrócił, pozostawiając po sobie góry czaszek. – Ludzie w owych czasach wierzyli, że Czyngis-chana i jego żołnierzy zesłał Bóg, żeby ukarać świat za grzechy.

–Pan Toranaga mówi, że był on zwyczajnym barbarzyńcą, który umiał świetnie wojować.

–Tak. W Anglii jednak błogosławimy swój dobry los, że zamieszkujemy wyspę. Dziękujemy Bogu za nią i za Kanał. A także za naszą marynarkę. Ponieważ macie tak blisko tak potężne Chiny, a z Chinami jesteście w stanie wojny, zdumiewa mnie, że nie macie dużej floty. Czy nie obawiacie się kolejnego ataku?

Mariko nie odpowiedziała, tylko przełożyła Toranadze, o czym była mowa. Kiedy skończyła, Toranaga przemówił do Yabu, na co ten skinął głową i odpowiedział mu z równą powagą. Obaj przez jakiś czas rozmawiali. Mariko odpowiedziała na kolejne pytanie Toranagi, a potem spytała Blackthorne'a:

–Anjin-san, ile statków potrzebujecie do władania morzami?.

–Dokładnie nie wiem, ale w tej chwili nasza królowa ma pewnie ze sto pięćdziesiąt okrętów liniowych. Są to statki wybudowane wyłącznie na potrzeby wojny., Mój pan pyta, ile statków w roku buduje wasza królowa.

–Dwadzieścia do trzydziestu okrętów wojennych, najlepszych i najszybszych na świecie. Ale okręty te budują zazwyczaj grupy prywatnych kupców, którzy odsprzedają je Koronie.

–Dla zysku?

Blackthorne pamiętał, co samurajowie myślą o zysku i pieniądzach.

–Nasza królowa szczerze „wynagradza ich ponad poniesione koszty, by zachęcić ich do szukania nowych rozwiązań i nowych typów okrętów. Bez królewskiej przychylności nie byłoby to raczej możliwe. Na przykład mój statek Erasmus należy

do nowej klasy i zbudowano go według angielskiego projektu w Holandii.

–Czy mógłbyś zbudować taki statek tutaj?

–Tak. Gdybym miał cieśli, tłumaczy, wszystkie potrzebne materiały oraz czas. Najpierw wolałbym zbudować mniejszą jednostkę. Nigdy jeszcze nie budowałem statku samodzielnie, więc musiałbym poprobać... Naturalnie – dodał, starając się powściągnąć podniecenie, kiedy pomysł dojrzał mu w głowie – naturalnie, gdyby pan Toranaga chciał mieć statek lub statki, zapewne udałoby mi się zawrzeć transakcję handlową. Może mógłby zamówić pewną liczbę okrętów wojennych, które zbudowano by w Anglii. Przyłynęlibyśmy nimi, tutaj, otaklowanymi i uzbrojonymi według jego życzeń.

Mariko przełożyła to. Zainteresowanie Toranagi wzrosło. Podobnie zainteresowanie Yabu.

–Pyta, czy naszych marynarzy można wyuczyć żeglowania takimi statkami.

–Oczywiście, z czasem. Moglibyśmy załatwić, żeby ich kapitanowie albo przynajmniej jeden z nich popływał przez rok na tych morzach. A wtedy mógłby wam ułożyć program szkolenia. W ciągu kilku lat mielibyście własną marynarkę. Nowoczesną marynarkę. Nie ustępującą żadnej.

Mariko przez jakiś czas mówiła. Toranaga znowu wypytywał ją dociekliwie, podobnie Yabu.

–Pan Yabu pyta, czy na pewno nie ustępującą żadnej.

–Tak... Lepszą od tej, na jaką stać Hiszpanów. Albo Portugalczyków.

Cisza rosła. Pomysł z okrętami najwyraźniej pochłonął Toranagę, mimo że starał się ukryć ten fakt.

–Mój pan pyta, czy jesteś pewien, że da się to załatwić.

–Tak. Ile czasu by to zajęło?

Dwa lata na to, żebym dopłynął do kraju. Dwa lata na wybudowanie okrętu lub okrętów. Dwa na dopłynięcie z powrotem. Połowa kosztów musiałaby być pokryta z góry, reszta po dostarczeniu statków.

Toranaga w zamyśleniu pochylił się do przodu i dołożył do kociołka trochę aromatycznego drewna. Wszyscy wpatrywali się w niego i czekali. A potem długo rozmawiał z Yabu. Mariko nie tłumaczyła, o czym mówili, Blackthorne zaś był na tyle mądry, żeby o to nie pytać, chociaż ogromnie pragnął uczestniczyć w ich rozmowie.

Przyglądał się uważnie wszystkim, nawet tej młodej, Fujiko, która równie pilnie się przysłuchiwała, ale nie potrafił wywnioskować niczego z ich min. Wiedział, że jest to wspaniały pomysł, który może przynieść ogromne zyski i zapewnić mu szczęśliwy powrót do Anglii.

–Anjin-san. Z iloma statkami mógłbyś popłynąć?

–Naraz najlepiej z flotyllą złożoną z pięciu statków. Należałoby się liczyć z tym, że któryś z nich przepadnie w czasie sztormu albo wskutek napaści Hiszpanów i Portugalczyków, bo niewątpliwie będą wychodzić ze skóry, żebyście nie dostali tych okrętów wojennych. Za dziesięć lat pan Toranaga może mieć marynarkę złożoną z piętnastu do dwudziestu jednostek. – Odczekał, aż Mariko przetłumaczy te słowa, a potem wolno mówił dalej. – Ta pierwsza flotylla może przywieźć ze sobą skutników, cieśli okrętowych, kanonierów, marynarzy i kapitanów. W ciągu dziesięciu czy piętnastu lat Anglia może dostarczyć panu Toranadze trzydzieści nowoczesnych okrętów wojennych, wystarczających aż nadto, żeby opanować wasze ojcyste wody. A do tego czasu, gdybyście sobie życzyli, można by już zapewne budować na miejscu nowe jednostki, które zastąpiłyby stare. My-już chciał powiedzieć „sprzedalibyśmy”, ale zmienił słowo – nasza królowa byłaby zaszczycona, pomagając wam utworzyć własną marynarkę, a ponadto, tak, owszem, na wasze życzenie wyszkolilibyśmy ją i wyposażyli.

Tak jest, pomyślał w uniesieniu, a żeby udoskonalić ten plan ostatecznie, dostarczylibyśmy również oficerów oraz admirała, królowa zaś zaproponowałaby wam ścisłe przymierze, korzystne dla was i dla nas, które stanowiłoby część transakcji, po czym wspólnie, przyjacielu Toranaga, przepędzilibyśmy Portugalczyków i Hiszpanów z tych mórz i opanowali je na zawsze. Mógłby to być największy dwustronny układ handlowy, jaki kiedykolwiek zawarły dwa narody, pomyślał radośnie. A gdyby nad tymi wodami panowała japońsko-angielska flota, to my, Anglicy, zdominowalibyśmy japońsko-chiński handel jedwabiem. Corocznie przyniosłoby to miliony.

Gdyby mi się to udało, zmieniłbym bieg historii, zdobyłbym bogactwa i zaszczyty, o jakich mi się śniło, stałbym się protoplastą rodu. A zostanie protoplastą rodu to najcenniejszy zaszczyt, o jaki może zabiegać mężczyzna, nawet jeśli mu się to nie uda.

–Szkoda, powiada mój pan, że nie mówisz naszym językiem.

–Tak, szkoda, ale jestem pewien, że ty, pani, tłumaczysz doskonale.

–Mówi tak nie dlatego, by mnie krytykował, Anjin-san, po prostu wypowiada spostrzeżenie. To prawda. O wiele korzystniej dla mojego pana byłoby rozmawiać z tobą bezpośrednio, tak jak mogę to zrobić ja.

–Czy macie jakieś słowniki, Mariko-san? I gramatyki – gramatykę portugalsko-japońską albo łacińsko-japońską? Gdyby pan Toranaga zapewnił mi książki i nauczycieli, to spróbowałbym się nauczyć waszego języka.

–Nie mamy takich książek.

–Ale jezuici mają. Sama mi to powiedziałaś.

–Och!

Zaczęła mówić do Toranagi i Blackthorne ujrzał, jak oczy daimyō i oczy Yabu rozpromieniają się, a twarze ich rozciągają się w uśmiechach.

–Mój pan mówi, że zapewni ci to, Anjin-san.

Na polecenie Toranagi Fujiko dołała Blackthorne'owi i Yabu sake. Toranaga, podobnie jak Mariko, pił cha. Nie mogąc się powstrzymać, Blackthorne spytał:

–Co mówi na moją propozycję? Jaką dał odpowiedź?

–Anjin-san, zalecam cierpliwość. On odpowie ci we właściwym czasie.

–Proszę, spytaj go teraz.

–Zechciej mi wybaczyć, wielmożny panie – Mariko niezbyt chętnie zwróciła się do Toranagi – ale Anjin-san z całym szacunkiem pyta, co myślisz o jego planie. Bardzo pokornie i jak najgrzeczniej prosi o odpowiedź.

–Dostanie ją we właściwym czasie.

–Mój pan mówi, że rozważy twój plan i dokładnie przemyśli to, coś mu powiedział – odparła Mariko Blackthorne'owi. – Prosi cię o cierpliwość.

–Dómo, Toranaga-sama.

–Idę spać. Odplywamy o świcie – powiedział Toranaga i wstał.

Wszyscy oprócz pilota zeszli za nim pod pokład. Blackthorne został sam na sam z nocą.

Na pierwszą zapowiedź świtu Toranaga wypuścił cztery gołębie pocztowe, które wraz z głównym bagażem przysłano na statek, kiedy przygotowywano go do wypłynięcia. Ptaki zatoczyły dwa koła, a potem odleciały – dwa w kierunku Osaki, dwa w stronę Edo. Szyfrowana wiadomość do Kiritsubo zawierała polecenie dla Hiro-matsu, aby zrobił wszystko, co tylko można, żeby bez awantur natychmiast wyjechać z Osaki. Gdyby nie pozwolono im na to, mieli zamknąć się w środku, a w momencie

sforsowania bramy podpalić część zamku, którą zajmowali, i popełnić seppuku.

Szyfrowana wiadomość do syna Toranagi, Sudary, w Edo brzmiała, że Toranaga uciekł, że jest bezpieczny i nakazuje mu, aby w dalszym ciągu potajemnie szykował się do wojny.

–W morze, kapitanie – polecił.

–Tak, panie.

Do południa przebyli zatokę oddzielającą prowincje Totomi i Izu i znaleźli się przy przylądku Ito, najdalej na południe wysuniętego punktu półwyspu Izu. Wiatr im sprzyjał, fala była martwa, a w żegludze dopomagał pojedynczy grotzagiel.

Później zaś, kiedy skręcili na północ, płynąc blisko brzegu, w kanale pomiędzy lądem i kilkoma wysepkami, na wybrzeżu odezwały się złowieszcze grzmoty.

Wszystkie wiosła znieruchomiały.

–Chryste Panie, co... – zaczął Blackthorne, wbijając wzrok w brzeg.

Nagle w nadmorskich skałach pojawiło się węzowate pęknięcie i do morza zwały się miliony ton kamienia. Woda zagotowała się na chwilę. Do galery dotarła mała fala i przeszła. Lawina kamieni ustała. Znowu rozległo się dudnienie, niższe w tonie, bardziej przypominające pomruk, ale dochodzące z dalszej odległości. Ze skał stoczyły się wolno kamienie. Wszyscy pilnie nasłuchiwali i czekali, wpatrując się w lico skały. Słysząc było krzyki mew, szum przybrzeżnych fal i wiatru. A potem Toranaga dał znak bębniście, który ponownie uderzył w bęben. Ruszyły wiosła. Na galerę powróciło normalne życie.

–Co to było? – spytał Blackthorne.

–Zwykle trzęsienie ziemi – odparła zdumiona Mariko. – U was nie ma trzęsień ziemi?

–Nie. Nigdy. Nigdy nie widziałem trzęsienia ziemi.

–Ach, u nas są one często, Anjin-san. To było nic, tylko małe. Ośrodek wstrząsu jest gdzie indziej, może nawet w morzu. A może było to małe trzęsienie ziemi, wyłącznie miejscowe. Miałeś szczęście, że widziałeś małe.

–Zdawało mi się, że trzęsie się cała ziemia. Przysięgłbym, że widziałem... słyszałem o trzęsieniach ziemi. Mają je w Ziemi Świętej i w imperium otomańskim. Chryste! – Zaczerpnął powietrza, serce mocno mu waliło. – Przysięgłbym, że widziałem, jak się trzęsła cała tamta skała.

–Och, bo się trzęsła, Anjin-san. Kiedy człowiek przebywa w takiej chwili na lądzie, nie ma dlań straszniejszego przeżycia na świecie. Trzęsienie pojawia się bez zapowiedzi, Anjin-san. Wstrząsy nadchodzą falami, czasem z boku, czasem ziemia wznosi się i opada, a niekiedy trzy, cztery drżenia następują szybko po sobie. Bywa, że po małym trzęsieniu w dzień później w nocy przychodzi większe. Bez określonego porządku. Najgorsze przeżyłam w nocy, sześć lat temu koło Osaki, trzeciego dnia miesiąca Spadających Liści. Nasz dom zważył się na nas, Anjin-san. Nic się nam nie stało, synowi i mnie. Wygrzebaliśmy się spod ruin. Wstrząsy trwały przez tydzień albo dłużej, niektóre silne, inne bardzo silne. Nowy wielki zamek taikō w Fujimi został doszczętnie zniszczony. Podczas tego trzęsienia ziemi i w pożarach, które ono wywołało, zginęły setki tysięcy ludzi. To właśnie jest najgroźniejszy dopust spośród wszystkich, Anjin-san – pożary, które ono wywołuje. Nasze miasta, miasteczka i wsie tak łatwo giną. Czasem silne trzęsienie ziemi zdarza się daleko na morzu, a legenda głosi, że właśnie tam powstają Wielkie Fale. Mają one po dziesięć, dwadzieścia stóp wysokości. Zjawiają się zawsze bez ostrzeżenia i bez względu na porę roku. Wielka Fala po prostu występuje z morza na nasze brzegi i przewala się przez ląd. Znikają miasta. Kilka lat temu taka właśnie fala zniszczyła pół Edo.

–I tak się dzieje u was zwykle? Każdego roku?

–O, tak, co roku w tej Krainie Bogów mamy trzęsienia ziemi.

A ponadto pożary, powodzie, Wielkie Fale i potworne sztormy, tai-funy. Przyroda nas nie rozpieszcza. – W kącikach oczu Mariko zebrały się łzy. – Może właśnie dlatego tak bardzo kochamy życie, Anjin-san. Jak sam widzisz, musimy. Śmierć unosi się w naszym powietrzu, jest obecna w morzu i ziemi. Powinieneś wiedzieć, Anjin-san, że na tym Padole Łez towarzyszy nam ona od dnia urodzin.

Koniec tomu pierwszego

[1] cojones – (z hiszp.) dosłownie „jądra”, „jaja”, przeniśnie „odwaga”, „ikra”, „charakter”.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/